

John Gilstrap

Za każdą cenę

(Przekład Wiesława i Paweł Czajczyńscy)

Były kierownik warsztatu samochodowego Marcusa Forda - o nazwie "Najwyższa jakość na Południu" - został wylany, ponieważ chodził w koszuli poplamionej kawą. Fakt, że przyszedł do pracy czysty, a plama pojawiła się dopiero po dwóch godzinach, był mało istotny. Stary Marcus dobrze wiedział, jak mają wyglądać jego pracownicy, i, na Boga, lepiej, żeby go nie zawodzili.

Jake Brighton nie miał pojęcia, ile z opowieści o zasadach Marcusa było prawdziwych, ale brał sobie wszystkie do serca. Szczególnie teraz, gdy tkwił w korku samochodów pełną gębą do Zakładów Zebra. Nie mieściło mu się w głowie, że w tak niewielkim miasteczku jak Phoenix, w Karolinie Południowej, mogły być godziny szczytu. Ponownie zerknął na zegarek i westchnął. Ósma. Dokładnie ósma.

Cholera.

Zgodnie z wywieszką na drzwiach warsztat Marcusa Forda otwierano o siódmej rano, przez sześć dni w tygodniu. Jako kierownik Jake postawił sobie za cel, że znajdzie się za biurkiem o szóstej trzydzieści, aby powitać handlowców i klientów zaczynających napływać mniej więcej od szóstej czterdzieści pięć.

Z rozmowy wstępnej, w jakiej uczestniczył pięć miesięcy temu, wiedział, że Clint Marcus nie cierpi spóźniałstwa. Był jednak pewny, że tym razem ten siedemdziesięcioletni wdowiec przymknie oko na wykroczenie. Dwa miesiące temu Jake stawał na głowie, żeby zadowolić Lucasa Banksa, nieprzyzwoicie zamożnego miejscowego prawnika, którego rodzinne wakacje zostały poważnie zagrożone z powodu niewielkiej stłuczki samochodowej. List pochwalny przesłany Marcusowi głosił: "Jake Brighton i jego ekipa są najlepsi w swoje branży i pragnę pana zapewnić, że na zawsze zostaną waszym oddanym klientem".

To jedno zdanie zmieniło gniewne spojrzenie Marcusa w uśmiech.

- Już dawno powinienem ściągnąć na to miejsce jakiegoś sensownego gościa - powiedział na wczorajszym cotygodniowym zebraniu personelu. - Tak trzymaj, Jake, a będziesz tu miał diabłą przyszłość. - W istocie była to wielka pochwała, jak na człowieka znanego z tego, że ot tak, dla sportu, przypiekał kierowników na wolnym ogniu.

Odgłosy aplauzu wciąż dźwięczały w uszach Jake'a. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że entuzjazm współpracowników jest równie obowiązkowy jak obecność na zebraniu. Ujrzał jednak na ich twarzach szczerą dumę i to napełniło go prawdziwą radością. Mimo że wyróżniono tylko jego, podczas improwizowanej przemowy wyraźnie zaznaczył, że ten list

dotyczy całej ekipy. Nie minął się zbytnio z prawdą.

Zeszłego wieczoru ogarnął go tak wyśmienity nastrój, że wyruszył do domu pół godziny wcześniej, aby podzielić się radością z rodziną.

No, dobrze. Najlepsze plany myszy i ludzi...

Niezależnie od tego, kto jakie zajmował stanowisko, tak naprawdę firmę prowadziła siedemdziesięciosześcioletnia Mae Hooper, która przeżyła dwóch mężów i trójkę z pięciorga dzieci. Mechanicy stawiali dwa do jednego, że to Mae swoim zachowaniem wyssała z rodziny chęć do życia. Po dwudziestu dwóch latach pracy w Marcus Ford ta kobieta zapomniała więcej o samochodach, niż Jake mógłby się kiedykolwiek nauczyć. Wiedział jednak, że nie warto się jej sprzeciwiać.

Wreszcie dotarł do celu. Zaparkował subaru na ulicy, wzdłuż słupków z łańcuchami, zostawiając kilka miejsc z przodu dla klientów. Stary Marcus nie lubił patrzeć na - jak zwykł to określać - japoński korek na jego parking.

Kiedy Jake wyszedł z samochodu na poranny chłód, zmówił krótką błagalną modlitwę, aby pod koniec dnia koła jego wozu znajdowały się na swoim miejscu. Na zachodnim krańcu Phoenix pojazd pozostawiony na ulicy zawsze stanowił nieodpartą pokusę. Jake pomyślał, że jeśli przed zachodem słońca uda mu się wprowadzić wóz do garażu, wszystko będzie dobrze. Z każdą następną chwilą szansę malały. Zaledwie trzy tygodnie temu, w biały dzień, trójka gangsterów w kominiarkach obrabowała stację Exxon. Nikt nie został ranny, ale dranie wciąż pozostawali na wolności. Jake był pewny, że bandzior na tyle bezczelny, by w dzień mierzyć z obrzynką w ludzi, nie miałby najmniejszych oporów przed skrojeniem samochodu.

To tyle na temat zacisza małego amerykańskiego miasteczka.

Jake wszedł szybko do środka; dzwonek nad drzwiami zaanonsował jego przybycie. Nadeszła jesień i mechanicy zdążyli go już ostrzec, że Mae Hooper nie cierpi przeciągów. Klient, który nieco ślimaczył się przy drzwiach, narażał się jedynie na kąśliwą uwagę, ale pracownik popełniający to samo wykroczenie mógł spodziewać się karczemnej awantury. Aby zrekompensować nieuniknione straty ciepła, Mae przez cały rok trzymała w przedsiönku termostat, a u swych stóp - ceramiczny grzejnik.

Szok termiczny zaparł Jake'owi dech w piersiach. Szybko ściągnął kurtkę.

- O Jezu, pani Hooper - jęknął. - Czy nie jest tu aby odrobinę za chłodno?

Mae nie wyczuła ironii. Wzruszyła ramionami ze współczuciem i podała mu filiżankę kawy.

- Proszę, Jake. Śmietanka i trzy łyżeczki cukru - od prawie pięciu miesięcy witała go każdego ranka tymi siedmioma słowami.

Powiesił kurtkę na wieszaku i z wdzięcznością przyjął poczęstunek.

- Dzięki. O rany, ten hall wygląda genialnie.

Pomiędzy wczorajszym wieczorem, kiedy stąd wyszedł, a dzisiejszym rankiem do biura zawitało Halloween. Tam gdzie poprzednio stał stolik, teraz królowała kompozycja z kolb kukurydzy i dyń, a nad recepcją Mae zwieszał się papierowy łańcuch duchów i czarownic. Zrobiło się ładnie, nawet domowo. Jake pomyślał, że prace renowacyjne, które właśnie ukończono, być może nie oznaczały wyłącznie straty pieniędzy.

Mae obdarzyła go jednym ze swych protekcyjnych, isticie babcinych uśmiechów.

- Cóż, ktoś musi dbać o to miejsce.

Przez wiele lat Clint Marcus opierał się szczególnemu trendowi: właściciele warsztatów samochodowych starali się, by wnętrza ich firm przypominały gabinet lekarski czy kancelarię adwokata. Zgodnie z opinią ekspertów, w dzisiejszych czasach należało wychodzić naprzeciw upodobaniom kobiet. Zniszczone sofy i zakurzone stoliki straciły prawo do istnienia.

Marcus dołączył wreszcie do szeregu, ale dopiero wtedy, gdy rywale tak wypielęgnowali swoje warsztaty, że zaczęli odbierać mu klientów. Zrobił kompletną rewolucję. Nowe, śnieżnobiałe panele zastąpiły starą, obskurną boazerię. Część powierzchni biurowej Marcus przeznaczył na wyłączny użytek kierownika i Mae, przychylając się do prośby "szefowej" o uchylne okno w ścianie działowej. Dzięki temu mogła gderać, nie ruszając się z miejsca. Stary wydzielił nawet niewielką przestrzeń dla dzieciaków, żeby im się nie nudziło, gdy rodzice załatwiali interesy. Po zakończeniu remontu biuro było jak nie to samo. Teraz, świątecznie udekorowane, wyglądało tym bardziej sympatycznie.

- Kiedy to wszystko zrobiliście?

Mae szperała w dokumentach, udając, że czegoś szuka.

- Narobiłam się przy dekoracji, podczas gdy ty narobiłeś się przy spóźnieniu.

Uśmiechnął się.

- No cóż, doceniam w pełni. Ma pani niezły gust.

Machnęła ręką i cmoknęła ze zniecierpliwieniem, jakby odpędzając wypowiedziane przez niego słowa. Szybko zmieniła temat.

- No i jak tam było wczoraj wieczorem? Carolyn zdziwiła się na twój widok?

Jake zaśmiał się drwiąco i przewrócił oczami.

- Raczej ulżyło jej - stwierdził. - Travis znów wdał się w jakąś bójkę. W szkole. Zdaje się, że dzieciaki zaczęły go w kawiarni, a on dał się sprowokować.

- Czy to znowu ta sprawa wozów kempingowych? - Mae matkowała wszystkim i bacznie śledziła burzliwy proces przystosowawczy małego Brightona.

- Według Trávisa, te dzieciaki ze Wzgórza Snobów wciąż nie dają mu spokoju. Wczoraj ten skubaniec Lampierów wyśmiewał go na oczach kilku dziewczyn. Kiedy zaczęły się chichrać, Travis wstał i rąbnął go w gębę - rozjaśniona twarz zdradzała, że dzieli z synem jego dumę. - W rezultacie była to walka jednego ciosu.

- A co miał zrobić? - podchwyciła Mae, robiąc wymowną minę. - Stać tam jak jakiś słabeusz?

- No, ale według dyrektora szkoły, pana Menefee... - Jake wymówił to nazwisko tak, jakby wydzielało brzydką woń - w dzisiejszych czasach trzeba być słabym. Najbardziej liczy się umiejętność współżycia, a to, czy ktoś zachował się słusznie, czy nie, praktycznie nie odgrywa roli.

- I właśnie dlatego tak źle się dzieje w tym kraju! - pokręciła głową z ubolewaniem.

Jake stłumił uśmiech. Mae miała tendencję do brania każdej, nawet najmniejszej niesprawiedliwości za dowód upadku cywilizacji.

- Ale nie skończyło się na tym - ciągnął. - Kiedy Travis wracał do domu, starszy brat tego Lampiera zasadził się na niego i sprawił mu tęgie lanie.

Mae jęknęła.

- Na szczęście nie jest połamany, ale niezłe potłuczony. Dziś rano w ramach protestu odmówił pójścia do szkoły. Zdaje się, że nie sądzi, by ktokolwiek pociągnął do odpowiedzialności szczeniaki ze Wzgórza, które go pobiły. Na szczęście Carolyn przypomniała sobie, że idą na wycieczkę z klasą.

- Nie dziwię mu się, że jest zdenerwowany - zgodziła się Mae, ignorując dzwoniący telefon. - To po prostu niesprawiedliwe. Wiesz, kiedy byłam mała...

Jake przerwał jej, wskazując aparat.

- Odbierzesz? - nie chciał zachować się obcesowo, ale słyszał już wszystko, co go mogło interesować na temat dzieciństwa Mae. Zrozumiała, o co chodzi, a kiedy sięgnęła po słuchawkę, Jake zniknął w swoim gabinecie.

Nie zdążył usiąść, gdy uśmiechnięta twarz starszej damy pojawiła się w oknie.

- Doktor Whittaker na pierwszej linii do ciebie. Wiesz, ten mercedes. Jake skrzywił się.

- Już? Dopiero co z nim rozmawiałem. Nie dalej jak wczoraj wieczorem. Roześmiała się.

- Chyba nie sądzisz, że dzwoni dzisiaj po raz pierwszy. Myślę, że chce się jeszcze trochę potargować.

Dwa tygodnie temu ten znany lekarz wjechał swoim mercedesem w betonowy rów odwadniający z prędkością ponad pięćdziesięciu kilometrów na godzinę. Teraz wściekał się, że

jego wóz nie jest jeszcze gotowy. Kardiolog, gdyby ktoś nie wiedział, za nic w świecie nie obejdzie się bez ulubionego środka transportu.

Jake sięgał po słuchawkę, gdy wtem przyciągnął jego uwagę jakiś ruch za oknem. Najwyraźniej na zewnątrz zbierali się ukradkiem jacyś ludzie. Jeden z facetów trzymał w ręku rewolwer.

Cholera!

Drzwi otwały się z hukiem i do recepcji wtargnęła powódź uzbrojonych osób. Jake instynktownie zerwał się na nogi i szarpnięciem otworzył prawą górną szufladę biurka, wyciągając swoją czterdziestkęczwórkę.

- Policja Federalna! Nie ruszać się!

Słowa zabrzmiały jak kanonada. Jake drgnął, czując nieprzyjemny ucisk w żołądku. Wykonał ruch, aby wsunąć rewolwer z powrotem do szuflady, ale zawahał się. Potem było już za późno.

- Spluwa!

Patrzył z przerażeniem, jak tuzin półautomatycznych pistoletów zwrócił się ku niemu.

Mae wrzasnęła, gdy mężczyźni w niebieskich wiatrówkach przycisnęli ją do podłogi, mierząc z rewolwerów przez pleksiglasowe okno. Jake stał nieruchomo, celując w sufit swoim chromowanym magnum.

- Odłóż go! - rozkazał dowódca.

Głos zdumiał Jake'a prawie tak samo jak rozkaz. Pod hełmem i ekwipunkiem kryła się kobieta.

Dwóch innych wyskoczyło, by go okrążyć i zyskać tym samym lepsze pole do strzału.

- Odłóż ten rewolwer! Natychmiast! Pokaż ręce! Ale już!

Nie wiedział, co robić. Żołądek skurczył mu się ze strachu. Gdyby próbował strzelać, załatwiliby go w jednej chwili. W końcu ręce zdecydowały za niego. Powoli odłożył broń na biurko, kombinując, skąd się dowiedzieli.

- O tak - zachęciła. - Dobrze. Na biurko. O, właśnie tak. A teraz trzymaj łapy tak, żebyśmy je widziała i podejdź do drzwi.

Jake podniósł rozwarte dłonie na wysokość łokci i ominąwszy biurko, skierował się ku drzwiom gabinetu. Powolne, rozmyślne ruchy były najlepszą i jedyną polisą ubezpieczeniową.

- No dalej, dalej - ponagliła kobieta. - Ruszaj się. Dobrze, o tak. Grzeczny chłopiec. Właśnie tak.

W chwili gdy Jake przestąpił próg, dopadło do niego trzech mięśniaków z brygady szybkiego reagowania: dwaj flankujący dowódcę i trzeci, którego do tej pory nie zauważył.

Powalili go brutalnie, najpierw na kolana, potem twarzą na dywan, wyciskając mu powietrze z płuc. Z drugiego pomieszczenia dobiegł ponownie krzyk Mae. Ktoś przycisnął mu twarz kolanem, uniemożliwiając jakikolwiek ruch, podczas gdy inni wykręcili ręce, aż nadgarstki zetknęły mu się za plecami.

Jake nie walczył. Aresztowanie było faktem, jedyną zmienną była liczba siniaków, jakie zafundują stróże prawa swojemu więźniowi. Poczul na nadgarstkach kajdanki i skrzywił się w oczekiwaniu bólu, który, jak wiedział, musi przyjść. Nie zawiódł się. Stalowe bransoletki zacisnęły się mocno.

- Zostań na miejscu - rozkazał jakiś głos.

Nie ma problemu - pomyślał Jake. Kiedy leżał na nowiusieńkim, kasztanowatym dywanie - nie mającym nawet czterech miesięcy - kwaśny zapach sztucznych włókien drażnił mu nozdrza. Zwalczył chęć kichnięcia, starając się jednocześnie poukładać myśli.

Byliśmy tacy ostrożni.

Para czarnych wojskowych butów wyrosła przed jego twarzą, zasłaniając widok.

- Jake Brighton?

Z wysiłkiem uniósł głowę i spojrzał na kobietę, która zaledwie minutę wcześniej groziła, że go zastrzeli. - Tak. A kim ty jesteś?

- Agent specjalny Rivers z FBI. Mamy nakaz przeprowadzenia rewizji - nachyliła się, pokazując dokument, ale Jake patrzył przed siebie bez wyrazu.

W głowie kłębiły mu się myśli. Jak, u diabła...

- A ty jesteś aresztowany za czynną napaść na agentów federalnych. O nie, to nie było w porządku. Wyciągnął szyję, żeby lepiej przyjrzeć się swemu oprawcy, ale po chwili zaprzestał wysiłków.

- Mogę usiąść?

Jakaś silna dłoń zacisnęła się na jego ramieniu, pomagając mu wstać i usiąść na krześle w poczekalni. Jake z niedowierzaniem patrzył na mrowie policjantów. Naliczył około pięćdziesięciu, po równo z FBI i DEA - Wydziału Narkotykowego - oraz kilku miejscowych gliniarzy. Aż się tu kłębiło. Za ciężkimi drzwiami przeciwpożarowymi w drugim końcu poczekalni słyszał federalnych, wypłaszających mechaników i lakierników z warsztatu.

Może sytuacja nie przedstawia się aż tak źle, jak początkowo myślał... DEA oznaczało narkotyki.

Rivers miała już wyjść, gdy Jake zawołał za nią:

- Co tu się, u diabła, dzieje?

Jej usta wykrzywiły się w niewesołym uśmiechu. Zdjęła kewlarowy hełm, ukazując

włosy w odcieniu truskawkowy blond.

- To tak zwany nalot narkotykowy.

Mae zachłysnęła się, przyciskając pulchne palce do policzków.

- Wielkie nieba! Narkotyki? Tutaj? - sądząc z wyrazu twarzy, prędkiej uwierzyłaby, że Eleonora Roosevelt była prostytutką. - To niemożliwe! Powiedz jej, Jake! To po prostu niemożliwe!

Uśmiechnął się ze zmieszaniem. Mae mieszkała w Phoenix od tysiąc dziewięćset dwudziestego i pomimo całej swojej zgryźliwości wciąż widziała zieloną trawę pod ulicznym pyłem i szczęśliwe rodziny wśród bezdomnych włóczęgów na rogu.

- Myślisz, że mam coś wspólnego z narkotykami? - zapytał Jake, zdezorientowany.

- A masz? Sądzę, że wielu twoich pracowników ma. - Rivers przejrzała kartki. - Martinez, Willis, MacGonegal i Hummer. Znasz ich?

Potwierdził skinieniem głowy. Cała brygada lakierników. Powinien był się domyślić.

- Handel czy posiadanie?

- Jedno i drugie.

Cholera. Lakiernicy stanowili słaby punkt jego ekipy i zawsze traktował ich jak wrzód. Nie było między nimi człowieka, którego by w ciągu ostatnich pięciu miesięcy nie straszył zwolnieniem. Trudności z koncentracją, niedbalstwo, ciągłe spóźnienia - typowe objawy brania. Jak mógł nie skojarzyć?

Mae wciąż jeszcze tego nie załapała.

- Dlaczego aresztujecie Jake'a?

- Ponieważ próbował mnie zastrzelić - odpowiedziała Rivers niemal radośnie.

Mae przewróciła oczami.

- Gdyby próbował cię zastrzelić, byłabyś teraz martwa. Jake przymknął powieki i westchnął.

- Hm, pani Hooper...

- Mówię poważnie - upierała się starsza dama. - Nie strzelałam z rewolweru od pięćdziesięciu lat, ale z tej odległości nawet ja nie mogłabym spudłować.

Rivers popatrzyła na nią przeciągle.

- Gdyby mnie zastrzelił, pani szef nie byłby chyba zadowolony z konsekwencji - wskazała podbródkiem stojącego kilka stóp dalej ponurego agenta DEA z karabinem maszynowym.

- Och, daj spokój, Rivers - sprzeciwił się Jake. - Może rozejrzałabyś się dookoła, co? Czy nie straciłabyś opanowania, gdyby tysiąc osób z karabinami maszynowymi wpadło nagle

do twojego biura? - instynktownie znalazł sposób obrony.

Rivers zaszczyciła go przelotnym spojrzeniem.

- Rozpoznaliśmy się nawzajem.

- I właśnie dlatego nie strzeliłem. - Skrzywił się lekko, karcąc się w duchu za zbyt silny nacisk na słowie "nie".

Przez chwilę zastanawiała się, gryząc wargę, po czym spojrzała na niego jeszcze raz.

- Chciałabym w to wierzyć, ale wiesz co? Jak dla mnie, wisiateś na tej spluwie trochę za długo - zaczęła mówić coś jeszcze, ale przerwała. Miała na głowie zbyt pilne sprawy, żeby tracić czas na rozmowę. - Teraz trzymaj swój rewolwer w zacisznym miejscu, a ja będę robić, co do mnie należy. Już niedługo was odtransportujemy.

Siedząc samotnie na wygodnym krześle, pośród ochrypłych krzyków gliniarzy, które cichły z każdą minutą, Jake unikał patrzenia komukolwiek w oczy, upokorzony własnym strachem. Świąteczne dekoracje w kącie zdawały się z niego drwić. Oczywiście gliny jeszcze się nie domyśliły, ale to była tylko kwestia czasu. Kiedy zdobędą jego odciski palców, będzie po wszystkim. Więzienie albo egzekucja.

Uspokój się - nakazał sobie w duchu. - Panika załatwi cię szybciej niż cokolwiek innego.

Powrócił myślami do rodziny i strach zacisnął obręcz na jego żołądku. Czy zdoła ostrzec Carolyn? I Trávisa. Boże, jak wytłumaczy to Travisowi?

- Pani Hooper, może mnie pani połączyć z żoną? - zdziwiło go opanowanie, jakie usłyszał we własnym głosie.

- Nie mogę - odpowiedziała. Mae zawsze piszczała w chwilach podekscytowania i właśnie teraz jej głos osiągnął ekstremum. - Wyłączyli telefony - wyrzuciła ręce w górę, potrącając okulary, które zsunęły się jej na sam koniec perkatego nosa. - Wiesz, chyba już wcześniej powinnam ci była powiedzieć, że ci chłopcy sprawiali sporo kłopotów. Od samego początku nie przepracowali uczciwie ani jednego dnia.

Nie słuchał jej. Myślał o tym, co miał stracić. Cholera jasna! - zamknął oczy i westchnął. - Myślałem, że się nam udało.

Kiedy Rivers i jej ludzie przeszukiwali warsztat z zapalem typowym dla speców od demolki, starał się przewidzieć jej następny krok. Pochylając się do przodu, aby zmniejszyć nacisk na ręce, modlił się, żeby jego oprawcy nie traktowali go zbyt brutalnie. Ostre ukłucia w koniuszkach palców pozwalały liczyć uderzenia serca.

Najwyraźniej jeszcze go nie rozpoznali. To zdumiewające, co może uczynić kilka lat, kilka kilogramów oraz broda. Doszedł do wniosku, że ma trzy godziny - maksymalnie pięć. W

żadnym razie nie zabierze im to więcej czasu. Kiedy w końcu zdejmuje mu odciski palców, lona jego przyszłości skróci się niebezpiecznie.

Zastanowił się, czy wciąż zajmują z Carolyn pierwsze miejsce na liście dziesięciu najbardziej poszukiwanych.

Szalone "Dni Dyni" w Domu Handlowym Perkinsa trwały bez przerwy przez sto dwadzieścia godzin od wtorku do soboty włącznie, ściągając do Phoenix nawiedzonych łowców okazji z trzech stanów. Bezkształtny tłum już od ósmej gromadził się przed głównym wejściem, czekając na możliwość stratowania Phyllis Bly, kierowniczkę sklepu, gdy tylko odsunie rygiel w drzwiach.

Obserwując, jak punkt dziewiąta ludzka fala zalewa przejścia, Carolyn pomyślała, że tak musi wyglądać piekło. Ludzie, niczym szarańcza, zarobili się we wszystkich działach. W ciągu pół godziny podłogi, lamy i regały były zasłane czym popadło. Rozgorączkowane klienci odpakowywali koszule, majtki, buty i sprzęt sportowy tylko po to, by zobaczyć, że nie pasują, źle wyglądają albo są inne niż myśleli. Zrobiwszy bajzel w jednym miejscu, przesuwali się dalej, by dokonać kolejnego spustoszenia.

Po blisko dwóch godzinach Carolyn czuła się jak cofnięty obrońca na boisku. Jako pracownika zatrudnionego na czas określony przenoszono ją z jednego działu do drugiego, gdzie zastępowała nieobecnych. Nie pracowała w sklepie na tyle długo, aby kwalifikować się do prowizji, więc pięć procent obrotu, jaki uzyskiwała, rozdzielano pomiędzy pracowników związku. To z kolei sprawiało, że jej obecność była niepożądana w dniach zastoju, a bardzo mile widziana w okresie takim jak ten.

Tego ranka obsługiwała dział chłopięcy, gdzie liczne mamusie ciągnęły za uszy swoje zwolnione ze szkoły pociechy, w nadziei że znajdą dla nich jakąś gratkę przed sezonem zakupów świątecznych. Carolyn opierała się o ścianę przed przymierzalnią, próbując ocalić resztki dobrego samopoczucia. Patrzyła, jak olbrzymia Włoszka negocjuje ze swym ośmioletnim brzdącem kupno dwuczęściowego garnitur.

Biedny maluch wyglądał absurdalnie w granatowym monstrum.

- Ładnie leży, prawda? Jak pani myśli? - spytała kobieta, biorąc Carolyn za sprzymierzeńca.

- No cóż, to zależy. - Carolyn nawet nie starała się stłumić uśmiechu. - Spodziewa się pani, że synek utyje o siedem kilo jeszcze przed weekendem? - Ten garniturek był ostatnim z tego rodzaju za trzydzieści dziewięć dolarów dziewięćdziesiąt pięć centów, a rodzina wybierała się w sobotę na wesele. W innych okolicznościach Carolyn zastanowiłaby się nawet nad kłamstwem, byleby sprzedać towar, ale ranek spędzony w tłumie rywalizujących ze sobą klientów dokumentnie zepsuł jej nastrój. Poza tym chłopak naprawdę wyglądał w garniturku,

jakby został pożarty przez poliestrowego goryla. Najzwyczajniej w świecie nie mogła mu tego zrobić.

Matka rzuciła jej gniewne spojrzenie.

- No, chyba nie wygląda aż tak źle?

Oczywiście istniała tylko jedna właściwa odpowiedź, ale Carolyn nie miała zamiaru zmieniać zdania.

- Proszę pani, chciałabym móc powiedzieć coś pozytywnego, ale niestety, jest o wiele za duży.

Dzieciak dostrzegł swoją szansę.

- Widzisz, mammo? Przestań - zajęczał. - Wyglądam w tym jak głupek. Poza tym i tak nie chcę iść na to durne wesele.

Matka posłała Carolyn zabójcze spojrzenie. W końcu poddała się.

- No dobrze. W takim razie przymierz ten szary. - Mamo!

- Michael, rób, co mówię - podniosła głos. - I nie kłóć się ze mną. Dzieciak tupnął nogą, ale ściągnął grafitowy garniturek z wieszaka i zawlókł go do przymierzalni.

- Jak ja nie cierpię wesel - syknął, znikając za zasłoną.

Kobieta skrzyżowała ręce na piersiach i spojrzała spode łba na Carolyn.

- Nie zaszkodziłoby, gdyby okazała mi pani choć odrobinę pomocy - prychnęła.

Carolyn uśmiechnęła się najgrzeczniej jak potrafiła.

- Przepraszam panią, ale pokazywanie go światu w takim stroju zakrawałoby na znęcanie się nad dzieckiem. Prosiła pani o moją opinię, więc ją wyraziłam. Jeśli to...

- Jakiś problem? - Phyllis Bly zmaterializowała się nie wiadomo skąd.

- Raczej nie - odezwała się defensywnie Carolyn.

- Powiedzmy sobie, że pani nie jest zbyt pomocna - wtrąciła matka Michaela.

- Przykro mi to słyszeć - stwierdziła Phyllis. Jako kierowniczka prowadziła nieustającą wojnę ze swymi pracownikami, a jej spojrzenie dało Carolyn do zrozumienia, że burza rozpęta się później. - No cóż, z przyjemnością przejmę obowiązki.

- Słucham? - Carolyn osłupiała, nie z uwagi na gniew Phyllis, lecz na to, że przełożona zamierzała ją zastąpić.

- Telefon do ciebie - wyjaśniła. - Twój mąż. Mówi, że ma ważną sprawę. - Gdy Phyllis objęła kierownictwo sklepu, jednym z jej pierwszych "ulepszeń" było odcięcie telefonów wewnętrznych od centrali. Odtąd rozmowy z miasta trafiały do Działu Obsługi Klienta, a pracownicy mogli dzwonić z trzech automatów w hallu.

Żołądek Carolyn skurczył się boleśnie. Jake nigdy nie dzwonił do pracy. Przymuszczała,

że chodzi o Trávisa. Mówiła, że powinni go zabrać na pogotowie z tą głową!

- O rany - westchnęła. - Zaraz wracam.

- Niech ci to nie wejdzie w krew - dogonił ją głos Phyllis. Przedzierając się przez hordy kupujących, Carolyn tłumiała w sobie chęć tratowania. Dział Obsługi Klienta znajdował się na tyłach domu handlowego, po przekątnej od działu chłopięcego. Trzy minuty zdawały się dziesięcioma, zanim wreszcie trafiła za ladę i sięgnęła ponad jednym z pracowników po telefon. Zignorowała oburzone spojrzenie i wcisnęła pulsujące światelko przycisku. - Jake?

- Carolyn! - ton jego głosu oscylował pomiędzy napięciem a rozgorączkowaniem. - Gdzie byłeś? Wiszę na słuchawce od...

- Wszystko w porządku z Travisem?

- Co? A, tak. Przypuszczam, że z nim wszystko dobrze. Posłuchaj...

- Dzięki Bogu! - poczuła ulgę, jakby nagle zanurzyła się w basenie. I zaraz pojawiło się zdenerwowanie. - To po co dzwonisz? Phyllis już...

- Carolyn, posłuchaj uważnie. Aresztowano mnie.

Wyraźnie usłyszała napięcie w głosie męża - ton z odległej przeszłości. Jego słowa niczym nóż myśliwski rozdarły jej duszę. Usiadła ciężko na biurku.

- O mój Boże! - tylko tyle zdołała powiedzieć. Długo tłumiona trwoga zalała umysł, uniemożliwiając jakiegokolwiek myśli.

- Carolyn, posłuchaj mnie, do cholery! - głos Jake'a zmienił się w ściszony krzyk i w końcu uświadomiła sobie, że próbuje jej coś powiedzieć. Krew szumiąca w uszach zagłuszała jego słowa. - Nie wpadaj w panikę, kochanie - wyszeptał. Głos złagodniał, kiedy udało mu się przyciągnąć jej uwagę. - Jesteś tam?

Pokiwała głową, nie zważając na łzy płynące po policzkach.

- Tak - wyjąkała. - O Boże, Jake, co się stanie z Travisem? - Nie potrafiła znieść myśli, że jej mały synek może być wychowywany przez obcych ludzi. Jak on by sobie poradził, gdyby rodzice poszli do więzienia?

Nagle oprzytomniała. Widok przysłuchujących się ludzi poraził ją niczym piorun. Zerwała się na nogi, spoglądając nerwowo w stronę pracowników Działu Obsługi Klienta, którzy szybko odwracali wzrok. Co powiedziała na głos, a co pomyślała? Co mogli wiedzieć? Nagle z przerażeniem dostrzegła wycelowany w siebie obiektyw kamery kontrolnej i odwróciła się plecami.

- Jestem teraz na posterunku policji - mówił Jake najbardziej opanowanym głosem, na jaki potrafił się zdobyć. - Zatrzymali mnie pod zarzutem jakiegoś beznadziejnego napadu, ale Lucas Banks negocjuje z nimi, żeby mnie wypuścili.

Miarowe tempo jego słów sprawiło, że scenariusze katastrofy przestały wirować w głowie Carolyn. Próbował przekazać jej jakąś wiadomość, ale w panice nie rozumiała jej. Zmagła się ze swym umysłem, próbując uporządkować gmatwaninę bezużytecznych myśli. Przygotowywali się na ten moment, nawet ćwiczyli rozliczne opcje, ale to było tak dawno temu. Wszystko znajdowało się gdzieś w jej głowie, ale nie mogła odnaleźć choćby najmniejszego fragmentu.

- Ja... przepraszam, Jake - stopniowo odzyskiwała opanowanie. - Powtórz to jeszcze raz. Wyraźnie usłyszała radość w jego głosie. Zrozumiał, że będzie wiedziała, co robić.

- Powiedziałem, że zostałem aresztowany pod zarzutem napadu, ale myślę, że mnie wypuszczą.

Niezliczone pytania, których nie mogła wypowiedzieć, paraliżowały mózg Carolyn. W końcu zepchnęła wszystkie gdzieś na bok. Teraz liczyło się tylko jedno.

- Czy oskarżono cię o cokolwiek? - To pytanie sprawiło, że kilka głów odwróciło się w jej stronę.

- Tak. Ale tylko o napad. Pobrano mi już odciski palców, ale Lucas Banks powiedział, że niedługo mnie wypuszczą. Za kaucją, jeśli mu się uda.

To nie było logiczne, ale wiedziała, że Jake nie traci głowy w takich okolicznościach. Nie miała pojęcia, kim jest Lucas Banks i dlaczego pomaga jej mężowi, ale nie miało to w tym momencie znaczenia. Nadszedł czas walki albo ucieczki.

- A więc będziesz w domu? - spytała, nagle zdając sobie dokładnie sprawę z wypowiedzianych słów.

- Niczym się nie przejmuj. Rób to, co zamierzałaś. Skontaktuję się z tobą później.

- Zamierzałaś? - Najwyraźniej Jake nie mógł rozmawiać, a ona musiała mieć stuprocentową pewność.

- Tak, zamierzałaś. No wiesz, to, co zawsze planowałaś na dzisiaj. Rozumiem - powiedziała w myśli.

- A ty?

- Zrób, co musisz zrobić - ponaglił. - A jeżeli ja spędzę tu więcej czasu niż przypuszczam i nie będziemy mogli się spotkać, wtedy może będziesz musiała załatwić za mnie parę spraw. Sama wiesz.

To było to. Koszmar się zaczął. Poczowała mdłości i przez krótką chwilę zastanawiała się, czy może zwymiotować na ciemnopomarańczowy kombinezon pracownika działu obsługi. Wszystko zostało powiedziane, ale zawahała się chwilę, zanim odwiesiła słuchawkę.

- Jake - odezwała się miękko.

- Tak, wiem - powiedział. - Ja też cię kocham.

Wszyscy na nią patrzyli. Nie tylko pracownicy działu obsługi - a Bóg wiedział, że mieli prawo - ale wszyscy w sklepie. Zobaczy, jak odwracają wzrok, kiedy odwróci się, aby spojrzeć im prosto w oczy. Jakimś cudem wiedzieli. Czy to możliwe?

Oczywiście, że nie. To paranoja.

Czuła, że z jakiegoś miejsca głęboko w jej wnętrzu sączy się panika i z całej siły próbowała ją powstrzymać. Jej umysł zupełnie opustoszał. Miała tysiąc rzeczy do zrobienia, ale nie mogła sobie przypomnieć ani jednej.

Krok po kroku - powiedziała do siebie. - Krok pierwszy: jak się stąd, do diabła, wydostać?

Gdzie się podziała torebka? Spiesząc do telefonu, zostawiła ją w szufladzie pod kasą. Rozważała możliwość pozostawienia jej tam, ale przypomniała sobie o kluczach do samochodu.

Plan zaczął powoli odtwarzać się w jej umyśle. Najpierw odbierze Tra-visa ze szkoły, potem...

- O mój Boże! - wypowiedziała te słowa szeptem, ale na tyle głośno, że ściągnęła uwagę jakiejś klientki przy stoisku z kosmetykami.

- Wszystko dobrze, kochana? - zapytała kobieta.

Ta wycieczka klasowa! Carolyn tylko zerknęła na nieznajomą, przyspieszając kroku. O Boże... O Boże...

Istniał sposób, aby to zrobić; musiał istnieć. Nic nie szło według planu - nic. Nie musi to jednak przeszkadzać, jeśli nie będzie zbyt panikować. Po prostu będzie musiała odrobinę zmienić porządek rzeczy. Miała mnóstwo czasu do namysłu. Mnóstwo czasu. No dobrze, dlaczego w takim razie nie potrafiła zmusić umysłu do pracy?

- Gdzie ty się podziewałaś? - warknęła Phyllis, kiedy Carolyn wróciła na stanowisko. - Mam nadzieję, że powiedziałaś swojemu mężowi, że to miejsce pracy, a nie jakieś tam... Co ty wyprawiasz?

Carolyn odepchnęła ją biodrem od kasy i wyjęła torebkę z szuflady.

- Teraz nie masz przerwy! - krzyknęła kierowniczką, ściągając spojrzenia klientów. - Natychmiast wracaj!

Carolyn nie odezwała się ani słowem. Myślami błądziła gdzie indziej. Ponownie przeżywała koszmar z przeszłości, zastanawiając się, jak mogło znowu do tego dojść. Oskarzenie o napad? Czy nie tak właśnie powiedział Jake? Kogo on, do diabła, napadł? Była

zła, że nie skupiła się bardziej podczas rozmowy.

Plan ucieczki opierał się na podstawowym założeniu: najpierw rodzina, za każdą cenę, cała reszta na drugim miejscu. Pierwsza misja Carolyn polegała na odebraniu syna ze szkoły. Nawet gdyby nie doszło na razie do spotkania z Jakiem, mogą wykonać ruch bez niego. Jake był bardzo pomysłowy, nawet błyskotliwy, i na pewno znajdzie sposób, by do nich dołączyć. Problem polegał na tym, że Travis był jeszcze dzieckiem i nie miał pojęcia, co go czeka. Potrzebował opieki i ochrony.

Cholerna wycieczka.

Po "skompletowaniu" rodziny należało zdobyć rzeczy niezbędne do przetrwania. Tam, dokąd zmierzali, życie będzie cięższe. Zadrżała na wspomnienie minionych lat, spędzonych w ukryciu w domach "kolegów po fachu" jej wujka Harry'ego.

W owych dniach dowiedzieli się wiele na temat trudnej sztuki przetrwania. Niejaki Lanford Skiles, "Lanny", nauczył ich, jak znikać. Lanny, błyskotliwy człowiek ulicy, fałszerz-malwersant o bulwiastych oczach, poświęcił wiele dni, aby zmienić w nich wszystko - nawet to, co pozornie nienaruszalne: sposób mówienia, upodobania smakowe, marzenia, obawy. Wszystko to zostało w nich wtłoczone do punktu, w którym dawna rzeczywistość zaczyna się zamazywać.

Tak więc Jake i Carolyn Donovan w końcu zmienili się w Jake'a i Carolyn Brighton. Zatrzymali pierwsze imiona, ponieważ doświadczenie uczyło, że reakcja na nie jest niemalże instynktowna. Z początku Jake zaproponował wyjazd z kraju, ale Lanny powiedział: nie. A tak naprawdę: Do diabła, nie. Aby wyjechać z kraju, potrzebny był paszport, co z kolei wymagało aktu urodzenia. Zdjęciom przyglądano by się dokładniej, a FBI, wspierane przez urzędników z Departamentu Stanu, zwracałoby szczególną uwagę na każde nowe posunięcie z ich strony, co stanowiłoby kolejny przyczynek do spieprzenia sprawy.

- Absolutnie nie - upierał się Lanny. - Ty i ta tutaj panna - wskazał na Carolyn - zrobicie lepiej, trzymając się kraju, który znacie. Co jednak nie oznacza powrotu na stare śmieci. Lepiej, do cholery, postarajcie się unikać wszystkich miejsc, w których byliście przed ucieczką. I nawet nie myślcie o tym, żeby zadzwonić do kogoś, kto was znał wcześniej. Zrobicie to, a jesteście ugotowani.

To Carolyn zauważyła, że w ich obecności Lanny nigdy nie używał słowa "Donovan". Jeżeli zachodziła potrzeba rozgraniczenia starej i nowej tożsamości, zawsze wówczas mawiał: "wtedy, kiedy należeliście do tego świata".

Pewne cechy pozostały jednak niezmiennie i one stały się najsłabszymi ogniwami w ich nowej tożsamości. Wzrostu, wagi i odcisków palców, na przykład, nie można było zmienić od

razu, chociaż wiek sam zadbał o dwa pierwsze punkty. Ludzie stojący po złej stronie prawa przez wiele lat próbowali zmieniać ich odciski palców, ale nigdy ze znaczącym sukcesem. Z reguły kończyło się na bólu i bliznach, które przyciągały więcej uwagi niż oryginalne odciski.

Sztuka znikania polegała na umiejętności bycia tak normalnym, żeby zniechęcić ludzi do zadawania dociekliwych pytań.

- Musicie żyć jak pieprzeni państwo Doe - powtarzał im po tysiackroć. - Nikt nigdy nie kwestionuje białej koszuli z niebieskim garniturem, ale ubierzcie się inaczej, a równie dobrze możecie zawiesić sobie na szyi tabliczkę: POPATRZ NA MNIE.

Żadnych muszek, żadnych lśniących sukienek, nic kosztownego - i tak zresztą nie było ich stać na wiele. No i, oczywiście, żadnych dzieci.

No cóż, w tym miejscu przekroczyli granicę. W gruncie rzeczy Travis to był przypadek, ale kiedy został poczęty, ujrzeli w nim dar od Boga. W świecie zakłamania i lęku stanowił dla nich jedyne źródło prawdziwej radości i dumy. Carolyn wzdrygnęła się, wyobrażając sobie, jak zareaguje jej syn, kiedy dowie się prawdy.

Na zmartwienia przyjdzie czas później - odpowiedziała sobie w duchu, wślizgując się za kierownicę celiki. W tej chwili musiała się skupić na sprawach bardziej przyziemnych: narzędziach, broni, żywności i ubraniach. Wszystko leżało zapakowane w magazynach, gotowe do użycia. Nurtowało ją jednak pytanie, czy starczy czasu, aby zabrać te rzeczy. W przyczepie mieli zapasy zapakowane w płócienne worki i zmagazynowane w zamkniętej szafce, ale nie ośmieliłaby się wrócić pod ten jedyny znany policji adres. Te rzeczy przepadły na zawsze. Wcześniej, gwałcąc regułę mieszania tożsamości, przemyciła kilka starych fotografii i ulubionego misia Travisa z dawnych czasów. Rozstanie z nimi bolało.

Każda sekunda zwiększała jednak ryzyko, a oni byli przygotowani na przetrwanie, mając jedynie siebie i ubrania na grzbietach. Wszystko pozostałe stanowiło tylko dodatek.

No cóż, wszystko oprócz pieniędzy. Były siłą napędową całego mechanizmu. Jake zawsze się zarzekał, że w razie konieczności znajdzie sposób na załatwienie gotówki, ale Carolyn wiedziała równie dobrze jak on, że jej mąż nigdy nie zagrozi utratą życia jakiemuś urzędnikowi tylko dla forsy.

Nawet w najtrudniejszych chwilach nigdy tego nie zrobił. Plan zakładał, że Carolyn pójdzie do banku, i było to jedno z najsłabszych ogniw w łańcuchu. Banki to zabawne miejsca, pilnie strzeżone i pełne ludzi, którym płacono, by zachowywali się paranoicznie. We wszystkich bankach obserwowano klientów za pomocą kamer i nigdy nie było wiadomo, kto i jak bacznie się nam przygląda. Jednak dzisiaj musiała zaryzykować.

Straciła pół godziny na dojazd; całe dziesięć minut więcej, niż zakładała. Zaparkowała

samochód przed Safewayem na drugim końcu rozległego placu. Chociaż parking przed bankiem świecił pustkami, możliwość szybkiej ucieczki wydawała się jej mniej ważna, niż wtopienie się w tłum kupujących. Ostatnia rzecz, jakiej pragnęła, to strażnik z banku mówiący: "Tak, widziałem tę panią, jak wsiadała do srebrnej celiki". Lepiej, gdyby widziano ją znikającą gdzieś w tłumie.

Wyłączyła silnik i usłyszała bicie własnego serca. To naprawdę się działo. Wszystko, co za wszelką cenę starali się ukryć, mogło za chwilę zostać wyciągnięte na światło dzienne.

- Nie trać zimnej krwi - powiedziała do siebie. Wzięła głęboki oddech i przez jakiś czas wstrzymywała powietrze w płucach. - Musi się udać. - Prostując plecy, przejrzała się w lusterku i wyslizgnęła z samochodu.

Idąc po chodniku wzdłuż bezbarwnego ciągu niewielkich sklepików, starała się zachowywać naturalnie. Zdawała sobie sprawę, że w obcisłych lewisach, z krótkimi czarnymi włosami pasującymi do onyksowych oczu wygląda atrakcyjnie pomimo swoich trzydziestu sześciu lat. Poruszała się szybko i lekko. Minęło ją paru licealistów i spostrzegła, że odwracają się, aby obejrzeć ją od tyłu. Zazwyczaj takie spojrzenia sprawiały jej przyjemność, ale dziś przypomniały, że powinna być niewidzialna. Zdwoiła wysiłek, żeby się nie wyróżniać.

Znieruchomiała tuż przed głównym wejściem do banku. Nie ma w co włożyć pieniędzy! Pierwotny plan zakładał, że weźmie z domu brzydką, zbyt dużą torebkę, która leżała w tej samej szafce, co płócienne worki. Co teraz zrobić? Ta mała, modna torebeczka, którą przewiesiła przez ramię dziś rano, mieściła zaledwie portfel i kluczyki. Brakło w niej miejsca nawet na okulary przeciwsłoneczne.

Uporczywe drżenie żołądka wzmagało się z każdą sekundą. Lepiej będzie, jak szybko coś wymyśli. Rozglądała się przez kilka chwil, aż w końcu...

Safeway!

Obróciła się raptownie i skierowała w przeciwną stronę, ściągając kolejne spojrzenia młodzieńców, którzy teraz musieli sądzić, że kogoś wypatruje. Uśmiechnęła się grzecznie, choć obojętnie i weszła przez automatyczne drzwi wprost do gigantycznego sklepu spożywczego.

- Przepraszam - powiedziała, zbliżając się do pierwszej kasjerki.

- Witam! - wymizerowana kobieta, z przewagą siwych włosów i niezdrową cerą, zwróciła się w jej stronę. Nikt nie stał w kolejce; sprawiała wrażenie, jakby jej ulżyło, że może z kimś porozmawiać.

Radość powitania wyprowadziła Carolyn z równowagi.

- Hmm... witam - starała się przybrać równie lekki ton, ale bez powodzenia. - Nie wiem,

czy mogłaby pani wyświadczyć mi pewną przysługę?

- Niewątpliwie spróbuję.

Carolyn ze wszystkich sił starała się utrzymać uśmiech i kontakt wzrokowy, ale nie mogła zapanować nad rozbieganymi oczami.

- Cóż, nie jestem pewna, czy wolno pani to robić - zaczęła, świadoma nienaturalnego drżenia swego głosu. - Czy mogłabym poprosić o torbę na zakupy?

Jeżeli kasjerka podejrzewała coś niezwykłego, nie pokazała tego po sobie.

- Oczywiście - powiedziała, sięgając pod kasę. - Plastikową czy papierową?

Carolyn ukazała zęby w uśmiechu.

- Poproszę papierową.

Johnston's Corner, filia Banku i Funduszu Powierniczego Phoenix, nie była niczym wyjątkowym - po prostu lokalny bank na potrzeby rodzin zamieszkujących przedmieścia oraz firm, które dawały im miejsca pracy. Jake spodziewał się, że mniejszy bank będzie rządził się mniejszą ilością zasad i reguł. W hołdzie dla swej klienteli miejsce zostało kompletnie wyzute z pretensjonalności; nie było ani wielkich żyrandoli, ani marmurowych podłóg czy pozłocanych stanowisk dla kasjerów. Bank i Fundusz Powierniczy Phoenix był instytucją dla mas pracujących, którym posadzka z płytek, fluorescencyjne światło i kasy obite drewnianymi panelami w zupełności wystarczały.

W poczekalni panował tłok, jak to zwykle bywało w porze obiadowej. Carolyn, siedząc w ciasnym hallu na jednym z foteli obitych imitacją skóry, starała się znaleźć w obie niezbędną cierpliwość. Niepojęta logika, jaką kierowała się ta instytucja, zakazywała kasjerom obsługiwania klientów mających skrytki depozytowe. To była domena dyrektora i jego zastępców, których wysokie stanowiska odzwierciedlały maleńkie biurka w wyłożonej dywanami części sali, oddzielone od siebie szklanymi przepierzeniami sięgającymi ramion. Każdy z urzędników obsługiwał innych klientów - w większości młode pary o cielęcym wyrazie twarzy, ludzi, którzy starali się o pożyczkę, nie mając pewności, czy ich na nią stać.

W miarę upływu czasu fotele obok Carolyn zapełniały się coraz to nowymi klientami, z których każdy czekał na osobistą audiencję z wyższym personelem. Ludzie chętnie nawiązywali rozmowy, co pozwalało jej na chwilowe odprężenie. Wydawało się, że nikt niczego nie podejrzewa. W ciągu dziesięciu minut oczekiwania Carolyn przynajmniej dwadzieścia razy zerknęła na zegarek.

Każda kolejna sekunda zwiększa ryzyko. Nie zważała na to, że nieustannie nerwowo postukuje obcasem o podłogę. Dlaczego to tak długo trwa?

Wszystkie spotkania zakończyły się jednocześnie, jak na komendę, i urzędnicy za biurkami skinęli ręką na kolejną falę petentów. Carolyn wydawało się niesprawiedliwe, że kobieta, która czekała zaledwie minutę czy dwie, została przyjęta równocześnie z nią.

Młody przystojniak - może dwudziestopięcioletni, o oczach w tym samym kolorze co jego błękitna, oksfordzka koszula z guzikami przy kołnierzyku - wyciągnął rękę do Carolyn.

- Dzień dobry - powiedział, uśmiechając się szeroko. - Jestem Jeff. Czym mogę pani służyć?

Miał tak miły głos i tak szczery uśmiech, że Carolyn zastanowiła się, ile ładnych, młodych serduszek stopniało od ciepła tego powitania. Piętnaście lat temu mogła być jedną z nich. Dzisiaj jednak spieszyła się, co ujawnił wyraźnie ton jej głosu.

- Muszę się dostać do mojej skrytki - wyjaśniła, wręczając mu kluczyk. Uśmiech Jeffa zmienił się z prywatnego na urzędowy, ale nie zniknął ani na moment.

- Oczywiście - wyszedł, by powrócić po kilku sekundach z drugim kluczykiem i kartą identyfikacyjną. - Proszę bardzo - powiedział. - Musi pani tu podpisać.

Kiedy Carolyn wpisała nazwisko na karcie, Jeff porównał je z oryginałem podpisu widniejącym powyżej.

- Pierwsza wizyta od pięciu miesięcy - zauważył.

Carolyn posłała mu spojrzenie, które natychmiast wycisnęło z niego skruchę.

- Bardzo przepraszam, pani Brighton. To oczywiście nie moja sprawa.

Carolyn nie skomentowała, lecz jej oczy mówiły aż nadto, że całkowicie się z nim zgadza. Jeff poprowadził ją krętymi schodami do skrytki Brightonów. Zamek opierał się przez jakiś czas, ale wreszcie ustąpił. Jeff otworzył drzwiczki i wyjął długi, czarny metalowy pojemnik. Wręczył go Carolyn, która nie potrafiła odpędzić myśli, że chciał skomentować jego ciężar.

- Chciałaby pani pójść do kabiny, jak przypuszczam? - przypochlebił się, gdy wspinali się po schodkach.

Carolyn uśmiechnęła się przez grzeczność.

- Tak, jeśli można.

Poprowadził ją do jednej z dwóch kabin, mierzących jakieś dwa metry na półtora, i otworzył drzwi.

- Proszę się nie spieszyć - powiedział.

- Dziękuję.

Zamknęła drzwi na klucz, zerknęła w górę w poszukiwaniu kamery i otworzyła pojemnik. Uśmiechnęła się. Wewnątrz było sześćdziesiąt dwa tysiące dolarów w gotówce.

Zapomniała już, jak wygląda taka suma pieniędzy. Same studolarówki. Wyciągnęła spod kurtki papierową torbę z Safewaya i wpychając banknoty w banderolach, starała się nie myśleć o procencie, jaki urósłby z takiego wkładu, gdy zainwestowali go właściwie. Taka jest cena ciągłej ucieczki.

Nie było zresztą większego wyboru. Banki miały obowiązek informowania Urzędu Skarbowego o dużych transakcjach gotówkowych. Gdy nadchodził dzień, w którym Brightonowie potrzebowali gotówki, musieli ją mieć natychmiast; brakowało czasu na telefony do brokera. Mogli trzymać ją w domu - i tak przez jakiś czas robili - ale nie tu, w Phoenix. Farm Meadows tak często odwiedzali włamywacze, że wielu sąsiadów Carolyn przestało w ciągu dnia zamykać swoje przyczepy na klucz, aby oszczędzić drzwi i okna. Co więcej, zawsze istniało ryzyko pożaru. Biorąc to wszystko pod uwagę, skrytka depozytowa wydawała się najbardziej sensownym rozwiązaniem.

Carolyn obawiała się, czy torebka ze sklepu okaże się wystarczająco pojemna. Pusta przestrzeń zdawała się zapełniać szybciej, niż opróżniał się metalowy pojemnik. Nie spodziewała się też, że banknoty będą takie ciężkie.

A co to takiego? Sięgając po ostatni plik, znalazła pistolet: małą trzydziestkęósemkę, niewiele większą od dłoni. Nie przypominała sobie tego szczegółu z wyuczonego na pamięć planu, ale Jake najwyraźniej pomyślał o wszystkim. Wysunęła magazynek i uważnie spojrzała. No jasne, pełny. Ani na chwilę w to nie wątpiła. Przeładowała broń, znajdując jeszcze jeden pocisk w komorze. Jake naprawdę potrafił planować. Musiał zwizualizować sobie scenariusz, w którym zakładał konieczność użycia czegoś więcej niż słów, aby dostać się do magazynu, i przygotował się także na taką ewentualność. Po raz setny w ciągu tych wszystkich lat zastanowiła się, czy starczyłoby jej odwagi, aby nacisnąć spust. Po chwili odpędziła tę myśl i skoncentrowała się na tym, co dalej.

Każdy centymetr sześcienny przestrzeni w papierowej torebce zajmowały teraz studolarowe banknoty, ale zmieściła wszystkie i zostało jeszcze trochę miejsca na zagięcie górnej części. Wsunęła pistolet do kieszeni kurtki, włożyła torbę pod lewą pachę i ściskając pojemnik w prawej ręce, otworzyła drzwi, aby odebrać kluczyki od Jeffa.

- Carolyn! - zagrzmiął jakiś kobiecy głos. Dopiero po chwili rozpoznała sąsiadkę, Mary Barnett. Z tonu powitania można było wywnioskować, że nie widziały się od wielu lat. - Jak cudownie, że cię widzę! - Całkowicie głucha, pani Barnett - pani Kula Cyc, jak nazywali ją chłopcy - nie potrafiła mówić cicho. O, Boże!

- Witaj, Mary. Jak się masz? - Machnęła ręką do Jeffa. Skinął głową, ale najwyraźniej nie mógł się w tej chwili oderwać od telefonu.

- Lepiej nie można - zagrzmiała Mary. Opasła, w luźnej żółtej sukni z szarfą, wyglądała jak kolorowy balon z napisem "Miłego dnia". - Jak tam nasz Travis? Kiepsko wyglądał wczoraj wieczorem.

Po co mi to?

Gdyby pani Barnett jedną piątą wysiłku, jaki inwestowała w sprawy innych ludzi, poświęciła własnym interesom, już dawno obracałaby milionami.

- Wszystko dobrze - odpowiedziała Carolyn, promieniejąc w duchu na widok Jeffa odkładającego słuchawkę.

- Nie widziałam, żebyś z nim szła do lekarza - komentarz pani Barnett był nabrzmiały dezaprobatą.

Carolyn zignorowała ją, koncentrując uwagę na Jeffie.

- Proszę bardzo - wręczyła mu pojemnik.

Poszedł do krypty i po dwudziestu sekundach powrócił z kluczami.

- Dziękuję, pani Brighton - powiedział uprzejmie.

Pani Barnett podążyła za Carolyn, paplając przez cały czas.

- Co masz w tej torbie? Nie obrabowałaś chyba, złotko, tego banku, co? - zachichotała z własnego żartu. Carolyn zmroziła ją spojrzeniem. - Och, przepraszam, Carolyn - pospieszyła Mary. - Chyba się nie obraziłaś?

Carolyn uśmiechnęła się odrobinę za późno i pokręciła głową.

- Ależ skąd - odparła. - Jestem po prostu trochę zmęczona.

Pani Barnett odwzajemniła uśmiech, pozbawiony jednak typowego dla niej rozbawienia.

- Oczywiście, rozumiem.

Cholera by to wzięła, przeklinała w duchu Carolyn. Niewątpliwie pani Barnett wiedziała już, że coś jest nie w porządku. Kolejny gwóźdź do trumny.

Z trudem zwalczając w sobie chęć biegu, wróciła do celi i spojrzała na zegarek: dwunasta czterdzieści osiem. Cholera, każda sekunda...

Szef policji w Phoenix, Peter Sherwood, miał zbyt dużo papierkowej roboty, żeby zamartwiać się kolejnymi duperelami. Jeżeli Lucas Banks powiedział, że ten Brighton jest czysty, znaczyło, że faktycznie jest czysty.

Widział już dostatecznie dużo dziwnych zachowań Lucasa w sali sądowej, aby wiedzieć, kiedy facet jest w humorze. Tym razem na pewno nie był. Czasami nie chodziło o przegraną czy wygraną sprawę. Czasami chodziło o sprawiedliwość. I z tego co Sherwood zauważył, Lucas wiedział, co mówił.

W innych okolicznościach już dawno by wypuścił Brightona. Niestety, sprawa leżała w gestii FBI, a zajmująca się nią agentka z wielkim namaszczeniem odgrywała rolę królowej. Co takiego było w tej Agencji, że tak cholernie ciężko się z nimi współpracowało? Bóg świadkiem, że ci od narkotyków i chłopaki z Tajnych Służb mieli ego rozdęte do nieprzytomności, ale przynajmniej udawali, że okazują respekt przed orłami na kołnierzyku Sherwooda. Za to ludzie z FBI najwyraźniej uważali, że każdy, kogo spotykają na swojej drodze, jest albo idiotą, albo kryminalistą.

Pani Rivers było szczególnym przypadkiem. Robiła jeszcze w majtki w przedszkolu, kiedy Sherwood załatwił swego pierwszego przestępcę, a teraz była tak cholernie arogancka, że wyglądało to na kompleks boskości. Ta czterdziestoletnia, usztywniona pianką do włosów paniusia, która z pewnością chciała, by widziano w niej jednego z Aniołków Charliego, miała specyficzne podejście do świata. Sherwood miał natomiast ochotę pożreć ją żywcem wraz z tym całym jej podejściem. Uświadomił sobie jednak, że w odróżnieniu od Lucasa i jego klienta odgrywa rolę apostoła pokoju.

- Przerabialiśmy to już dwukrotnie, Irene - powiedział dobitnie adwokat. To była walka. Z trudem zmusił się do pozostania w fotelu dla klientów, obitym sztuczną skórą; z nogą założoną na nogę bawił się spinaczami do papieru, leżącymi w pojemniku na biurku Sherwooda. - Brighton nie stanowi zagrożenia ani dla ciebie, ani dla kogokolwiek innego. Ma tu pracę. I rodzinę. Czego ty od niego chcesz?

Rivers opadła na bliźniaczy fotel.

- Masz rację - zgodziła się. - Przerabialiśmy to już dwukrotnie. Teraz to już trzeci raz. A on jest twoim znajomym. Już to słyszałam. Problem w tym, panie mecenasie, że wciąż zapominasz o tym kawałku, kiedy wyciągnął broń na mój widok.

- Bzdury! - Czara przepętniła się. Lucas pochylił się gwałtownie, spinacz wystartował z

politurowanego blatu biurka i Sherwood ledwo zdołał uchylić się przed rykoszetem. Banks wiedział, że nie powinno się podnosić głosu w obecności tej kobiety, ale nie potrafił się dłużej hamować. - On wcale nie celował w ciebie! Wyciągnął broń na widok ludzi z pistoletami maszynowymi! Sama mówiłaś, że nawet nie wycelował, na miłość boską! Co byś, u diabła, zrobiła, widząc rój terrorystów wlatujący do twego biura?

Rivers pokręciła głową.

- Nie jestem terrorystką. Jestem agentem federalnym - opierała łokcie na miękkich poręczach fotela, obserwując swoje palce. - Poza tym nie podobało mi się to, co czaiło się w jego oczach. Nie strzelił, ale wiem, że o tym pomyślał.

- Na Boga, teraz bawisz się w czytanie cudzych myśli!

Nadszedł czas, aby Sherwood wtrącił się do rozmowy, dopóki Banks nie wkurzył agentki naprawdę.

- Daj spokój, Irene. Znam Lucasa od dziecka. Jeżeli mówi, że ten facet jest czysty, możesz mu wierzyć. Nie zrozum mnie źle, ale utnie ci jaja w sądzie... - zrozumiał swoją gafę, napotykając wzrok kobiety. - Hmm, wiesz, o co mi chodzi. On jest prawnikiem. Ale to nie jest sala sądowa. Nie wystąpiłaś jeszcze z oficjalnym oskarżeniem, prawda?

Zmrużyła oczy. Najwyraźniej nie podobało jej się takie podejście do sprawy.

- Dlaczego ten facet jest dla ciebie taki ważny?

W handlu takie pytanie nazywano sygnałem zakupu. Brwi Sherwooda powędrowały w górę, jakby chciał powiedzieć: "Cholernie dobre pytanie", ale pozostawił odpowiedź swojemu kumplowi.

Lucas wzruszył ramionami.

- Wyświadczył mi przysługę. Naprawdę przyłożył się, żeby zrobić nasz wóz przed wakacjami, więc, do cholery, jestem mu coś winien.

Rivers wyrzuciła ręce w górę.

- O, coś takiego - zadrwiła. - On ci robi wóz, a ja mam przymknąć oko? Co to, do diabła, za układ?

- A co to za przestępstwo? - upierał się Lucas. - Jezu Chryste, Irene, jak mogę to prościej przedstawić? On nie wiedział, że jesteś glina. Zobaczył te spluwy i zareagował instynktownie. Dlaczego wydaje ci się to takie nierozsądne? - wyczuwając rysę w rozumowaniu kobiety, zniżył głos i usiadł na fotelu. - Posłuchaj. Wpadłaś tam ze względu na narkotyki i udało się. Nazwijmy to szczęśliwym dniem dla wymiaru sprawiedliwości i zwolnijmy mego klienta.

Irene wciągnęła powietrze nosem i trzymała je w płucach przez kilka sekund. Kiedy spojrzała na Sherwooda, a potem na Lucasa, obaj zrozumieli, że porządni faceci wygrali.

- To pomyłka - odezwała się pozornie do siebie. - Po prostu czuję w kościach, że to pomyłka.

Sherwood pozwolił słowom zawisnąć na chwilę w powietrzu, nie mając pewności, czy teraz kolej na jego przemowę.

- Nie, to nie pomyłka - uspokoił ją. - To ważna decyzja. Przerwał, nie chcąc napierać dalej. Westchnęła raz jeszcze i wstała.

- Wygraliście, chłopcy - powiedziała, wyciągając rękę. - Popelniam błąd, ale niech stanie na waszym.

Lucas wstał w ślad za nią i uściśnął jej dłoń.

- Agentko Rivers, doceniam to. Proszę mi wierzyć, postępuje pani właściwie.

Uśmiechnęła się. Pierwszy przejaw sympatii od dwudziestu minut. - Mam nadzieję, panie mecenasie - powiedziała. - Dla dobra nas wszystkich.

Jake zmienił pozycję, oczywiście na tyle, na ile mógł, mając prawy nadgarstek przymocowany kajdankami do nogi drewnianego krzesła. Zapłaciłby ze dwadzieścia dolców, żeby móc wesprzeć rękę na oparciu; pięćdziesiąt, żeby wstać i rozprostować kości.

Minęło wiele czasu od dnia, gdy po raz ostatni był na posterunku policji. Miał wtedy osiemnaście lat. Teraz odniósł wrażenie, że siedziba policji w Phoenix została zaprojektowana i zbudowana przez tę samą ekipę, która wzniosła jej większy odpowiednik w hrabstwie Cook, w Illinois. Gmatwanina biurek i krzeseł uniemożliwiała przejście w prostej linii z jednego krańca pomieszczenia na drugi. Papiery i dokumenty zawałały wszystkie poziome powierzchnie z podłogą włącznie. Mundurowi i detektywi w cywilnych ubraniach chodzili po papierach, przeważnie nie zwracając na nie najmniejszej uwagi. Jake zawsze dbał o porządek w swoim biurze i zastanawiał się, w jaki sposób w tej słabo oświetlonej, okopconej dymem z papierosów norze ludzie mogli wykonywać swoją robotę.

Zegar na ścianie za jego plecami głośno hałasował przy każdym ruchu wskazówki minutowej. Kiedy Jake z grymasem bólu na twarzy szukał dogodniejszej pozycji dla swego tyłka, aby w ten sposób ulżyć kręgosłupowi, zerknął na zegar po raz sto trzydziesty czwarty. Minęły już trzy godziny od chwili, gdy pobrano mu odciski palców i pozwolono zadzwonić. Grunt zaczynał mu się palić pod nogami.

Zastanawiał się, jak długo Carolyn będzie na niego czekać, zanim odjedzie z Travisem. Jakaś jego częśćka miała nadzieję, że już wyjechali, ale w gruncie rzeczy zdawał sobie sprawę, że to niemożliwe. Wiele wspólnie przeszli. Nie zostawi go. Będzie czekać aż do ostatniej minuty, tak jak i on czekałby na nią.

Robiło się późno. Trzynasta piętnaście. W najgorszym razie, nawet jeśli Carolyn działa sama, do tego czasu powinna już wszystkiego dopilnować. A to oznacza, że czeka teraz z Travisem w magazynie, odliczając minuty, dopóki nie wyczerpie się jej cierpliwość.

Tak czy inaczej, Jake miał nadzieję, że wszystko wyjaśni się w ciągu kolejnych sześćdziesięciu minut. Oczywiście gliniarze zdjęli mu odciski palców, żeby FBI je zidentyfikowało. Kiedy przyjdą wyniki, już po nim. Chryste, będzie miał szczęście, jeśli nie zastrzelą go na miejscu. Z drugiej strony - tej bardziej optymistycznej - Lucas Banks wydawał się naprawdę wkurzony, że federalni w ogóle Jake'a aresztowali, i nie szczędził wysiłków, by go stąd wydostać. Jeżeli Jake kiedykolwiek wątpił w słusność starannej obsługi klienta, to od dzisiaj stał się szczerze wierzący. Obietnica, że zostanie wyciągnięty z aresztu, była dla niego źródłem nadziei.

Zegar odmierzał kolejne minuty. Dla zabicia czasu Jake odtworzył w umyśle rozmowę z Carolyn, próbując przypomnieć sobie, czy nie powiedział czegoś, czym mógłby się zdradzić przed glinami. Zakładał, że nagrali rozmowę, a nawet jeśli tego nie zrobili, to istniało duże prawdopodobieństwo, że się jej przysłuchiwali. Gliniarze stali dostatecznie blisko, żeby wszystko słyszeć. Carolyn wyczuła niebezpieczeństwo i był pewien, że dokładnie wiedziała, co robić. W miarę jak odtwarzał w myślach poszczególne słowa, stopniowo się rozluźniał, ufny, że niczego nie wygadali.

Odgłos otwieranych drzwi skierował jego uwagę na biuro szefa, gdzie wszyscy zniknęli już tak dawno temu. Z ponurego spojrzenia agentki Rivers Jake nie potrafił wyczytać, czy koszmar właśnie się skończył, czy też dopiero zaczyna. Dopiero gdy Lucas, który siedł tuż za kobietą, mrugnął do niego z uśmiechem, Jake zrozumiał, że jest wolny.

Fala podekscytowania i zniecierpliwienia przyprawiła go o zawrót głowy. Z trudem stłumił radość na twarzy, przybierając maskę zatroskania.

- Nie patrz tak posepnie - powiedział prawnik. - Jesteś wolny.

Jake posłał mu słaby uśmiech, po czym spojrzał w kierunku Irene, która ignorując go całkowicie, wyjęła z kieszeni maleńki kluczyk i odpięła kajdanki. Najpierw od krzesła, potem z nadgarstka swego więźnia. Wsunęła metalowe obrączki do kieszeni blezera i wysunęła oskarżycielsko palec.

- Nigdy więcej we mnie nie celuj, rozumiesz? Jake uniósł brwi, udając przestraszony.

- Tak, rozumiem.

W cywilnych łachach skurczyłaś się o połowę, damulko - pomyślał.

- I dzięki za wyrozumiałość - dodał na głos.

Mierzyła go wzrokiem jeszcze przez kilka sekund, po czym zakończyła spotkanie

krótkim skinieniem głowy. Odwróciła się na pięcie i podążyła do bufetu.

Jake zwrócił się do prawnika i gorąco uściśnął mu dłoń.

- Lucas, nie potrafię wyrazić swojej wdzięczności - poczuł ukłucie żalu, wyobrażając sobie, co już niedługo czeka jego nowego przyjaciela. - Naprawdę uratowałeś mi życie, brachu.

Lucas uśmiechnął się i poklepał Brightona po plecach.

- Nie, Jake - poprawił go. - To agentka Rivers cię nie zastrzeliła. Ja uratowałem tylko twoją reputację - zaśmiali się. - Żałuję, że nie mogę cię podwieźć do domu, ale mam jeszcze papierkową robotę w sądzie.

Jake machnął ręką.

- O Boże, nie trzeba! - krzyknął. - Złapię taryfę.

Sherwood włączył się do rozmowy, kładąc dłoń na jego ramieniu.

- Proszę nam wybaczyć to całe zamieszanie, panie Brighton - powiedział, wyciągając rękę. - Peter Sherwood, szef lokalnej policji - przedstawił się. - Ten facet walczył o pana jak szalony. Kusi mnie, żeby rozbić wóz tylko po to, by zrobić z panem interes.

Tym razem wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Robimy co w naszej mocy. - Jake przyjął komplement. Zegar ponownie tyknął głośno, a on wciąż tu stał, gadając o pierdołach z cholernym szefem policji! - O kurczę! - zawołał, jakby nagle przyszło mu coś do głowy. - Naprawdę muszę uciekać. Miałem tu dzisiaj niezły ubaw, ale teraz muszę lecieć.

- Może któryś z moich ludzi odwiezie pana do domu? - zaproponował Sherwood. - Albo do warsztatu?

Jake podziękował uśmiechem, ale pokręcił przecząco głową.

- Nie, dziękuję. Złapię taksówkę.

- No, rzeczywiście - zachnął się Sherwood. - Proszę pozwolić się odwieźć, na miłość boską Jason! - zawołał na jednego z umundurowanych policjantów. - Potrzebuję kogoś, żeby zawiózł pana Brightona do domu.

Jake poczuł silny ucisk w żołądku.

- Nie, naprawdę - nalegał, mając nadzieję, że głos mu się nie załamuje. - I tak macie za mało ludzi do łapania przestępców. Nie chcę sprawiać kłopotu.

Sherwood odszedł, nie słuchając sprzeciwów. Jake poczuł, że ugrzązł. Najbliższy postój taksówek znajdował się prawie milę stąd. Nikt z własnej woli nie szedłby tak daleko, gdyby nie musiał. Chyba że miałby coś do ukrycia... Trzeba strasznie uważać.

Młody policjant - Jason Slavka, zgodnie z metalowym identyfikatorem na piersi - podszedł, beztrudno obracając na palcu kółko z kluczykiem.

- Proszę za mną.

"To ostatnia rzecz, jaką chciałbym zrobić" - tego Jake nie powiedział. Powlókł się za młodym policjantem i już na schodkach pomachał ostami raz do Lucasa Banksa.

Biorąc pod uwagę ograniczenia prędkości i światła na skrzyżowaniach, od warsztatu dzieliło go jakieś pół godziny drogi. Jake w żaden sposób nie mógł podjąć takiego ryzyka - tym bardziej w wozie policyjnym! Magazyn znajdował się dokładnie na drugim krańcu centrum, może dziesięć minut od posterunku, biorąc pod uwagę spory ruch.

Przepraszam, czy mógłby mnie pan podrzucić do miejsca, gdzie zaaranżuję bardziej dogodny sposób ucieczki?

Absurdalność sytuacji wywołała uśmiech na jego twarzy, mimo że oczy wpatrywały się nieruchomo w samochodowy nadajnik. Jak, do diabła, wykręcić się z tego?

Od wielu lat wraz z Carolyn przygotowywali się na tę chwilę, traktując ją jako odległą, nieprawdopodobnie "gdyby". Rozpracowali nie kończące się listy "gdyby" z całym mnóstwem przeróżnych rozwiązań. Analizując najdrobniejsze szczegóły planu, pozbywali się cząstki towarzyszącego im nieustannie strachu.

Minęło wiele miesięcy od czasu, gdy przygotowali furgon do ucieczki; prawie rok od dnia, w którym Jake odwiedził "bezpieczny dom". Może przyczepa spłonęła albo została skradziona? W ramach planu opartego na przypuszczeniach potrafił usprawiedliwić pewne niedociągnięcia, mając nadzieję, że zawsze jakoś je nadrobi.

Teraz jednak "gdyby" zmieniły się w "gdy", a słabe punkty ich planu okazały się zaskakująco widoczne. Szczerze mówiąc, federalni powinni go już przygwoździć. Gdyby nie nieuwaga jakiegoś agenta po drugiej stronie modemu, zidentyfikowaliby go już godzinę temu. Jakże to żałośnie ironiczne - pomyślał. - Wszystkie plany, wszystkie ewentualności, wszystkie potajemne wyprawy i zakupy sprowadziły się do głupiego łutu szczęścia w grze, w której szala wygranej przeważała na jego niekorzyść.

A tu jechał sobie w najlepsze w cholernym radiowozie!

Myśl, Jake, myśl.

Kiedy zakręcili przy Alei Mapie i Tobbacco Trail, ujrzał przed sobą pięciopiętrowy szpital i nagle w jego głowie zmaterializował się plan.

Przez mniej więcej dziesięć miesięcy w roku, od poniedziałku do piątku centrum władzy w Waszyngtonie przenosiło się między dwunastą a czternastą z korytarzy Kapitolu i budynku Biura Wykonawczego do kilku elitarnych restauracji. Podczas spotkań z organizatorami działalności charytatywnej, potentatami przemysłowymi oraz bohaterami świata sportu wybierano zwykle na lunch tak znamienite miejsca, jak Maison Blanche, Old Ebbitt Grill czy hotel Hay-Adams. Tu, gdzie prasa mieszała się swobodnie ze swymi ofiarami, reguły kontaktów były jasne. Rejestrowano tu każde słowo wypowiedziane do kogokolwiek - nawet zwykłe pozdrowienie czy prośbę o wskazanie drogi do toalety.

Te publiczne pijalnie trunków dostarczały wiele tematów redaktorom kolumn plotkarskich, ale rzadko omawiano tu sprawy znaczącej wagi.

Prawdziwa polityka wymagała intymności: miejsca, gdzie bezpieczeństwo przedkładano nad jakość posiłków, a szef lokalu wiedział, komu gdzie wolno siedzieć. Właśnie taką restaurację prowadził Eddie Bartholomew. Nazywała się "Smithville" i mieściła w Alei Connecticut w pobliżu Parku Woodley. Każda licząca się osobistość musiała przejść przez lokal Eddiego w drodze do sławy lub zapomnienia. Mimo to, kiedy przyciskano go, aby wymienił jakieś nazwisko, Eddie doznawał nagłej amnezji. Panele z drzewa klonowego pokrywały ściany "Smithville", a wspaniałe krajobrazy Constable'a zajmowały miejsca zarezerwowane w drogich restauracjach do pozowania do zdjęć, na których właściciel ścisnął dłonie znamienitych gości.

Tylko dwieście siedemdziesiąt osiem osób z całego świata mogło dokonywać rezerwacji w "Smithville", z których każda płaciła pięć tysięcy dolarów rocznie za posiadanie takiego przywileju. Jednakże nawet oni musieli liczyć się z odmową. Na przykład było sprawą niedopuszczalną, żeby zobaczono, jak szef demokratów z Białego Domu ucztuje ze swą kochanką w tym samym czasie, kiedy republikański rzecznik przyjmował swych szczególnych przyjaciół płci męskiej.

Eddie słono płacił za przeczesywanie swego lokalu w poszukiwaniu urządzeń podsłuchowych, a każdą osobę - każdą - poddawano kontroli za pomocą wykrywacza metalu. Goście z własną obstawą musieli dokonać wyboru przy drzwiach wejściowych: albo broń zostawała przy biurku, albo klient spożywał posiłek w samotności. Eddie wiedział nie od dzisiaj, że broń palna oznacza kłopoty.

Reporterzy i gliniarze byli persona non grata; po prostu nigdy nie otrzymywali

rezerwacji. Kilka lat temu pewien reporter z "Post" próbował siłą wtargnąć na salę, by rzucić okiem na gości, ale został powstrzymany przez szefa kuchni. Biedny pismak, schodząc ze schodów, przypadkowo połamał sobie obie kostki u nóg i nadgarstek.

Obecnie Eddie znalazł się w ciężkiej sytuacji. Clayton Albricht, przewodniczący Senackiej Komisji Sądowej, od wielu lat dobry klient szanujący panujące w tym lokalu zasady, zaprosił Petera Frankela, zastępcę szefa FBI. Kiedy do kuchni dotarła wieść, że jeden z głównych gliniarzy w kraju ma zamiar zjeść tu posiłek, kilka osób z personelu wzięło wolne. Właściciel starał się wytłumaczyć paranoicznym kucharzom i pomywaczom to, co Albricht wyjaśnił mu wcześniej przez telefon - "że Frankel załatwia sprawy nieoficjalne" - ale nie chcieli słuchać. Co gorsza, postępując zgodnie z własnym protokołem w stosunku do kontrowersyjnych gości stałych bywalców restauracji, Eddie informował wszystkich pozostałych, którzy dokonali rezerwacji, że będzie gorąco, i w rezultacie chyba ze dwunastu albo odwołało, albo przełożyło obiad na po czternastej.

Z braku większego wyboru Eddie doszedł do wniosku, że długie lata wiernego patronowania Albrichtowi prawdopodobnie zarobiły na przerwę.

Miał nadzieję, że waga sprawy, jaką załatwiał senator, uzasadniała taki postępek. Był jednak święcie przekonany, że ostatni raz pozwolił, by doszło do takiej sytuacji.

Gdyby Clayton Albricht w końcu umarł, a nie tylko wyglądał, jakby właśnie miał zamiar opuścić ziemski padół, na czele konduktu żałobnego niewątpliwie kroczyłby szwadron politycznych karykaturzystów. Senator był chodzącą karykaturą człowieka: ściągnięta, blada skóra, wydatny, zakrzywiony nos. Przedstawiano go już jako każdy znany gatunek ptaka, od orła czy sępa aż po kanarka. Był zagorzałym rzecznikiem praw i obowiązków jednostki, a jego pięć kadencji można by określić jako konsekwentną kampanię prowadzoną przeciwko wszelkim programom dotacji dla najuboższych.

Odmalowany przez opozycję i prasę jako antysemita, zagorzały przeciwnik homoseksualistów i wróg kobiet, który bezdusznie patrzy na dzieci głodujące w ramionach swych bezdomnych dziadków, Albricht już dawno temu przystroił się w ochronny pancerzyk z kevlaru i azbestu. Ignorował docinki opozycjonistów, skupiając się na potrzebach jedynych ludzi, którzy się dla niego liczyli - mieszkańców Illinois. W ich oczach był uosobieniem podstawowych, środkowozachodnich wartości chrześcijaństwa: patriotyzmu i sprawiedliwości. Fakt, że dzięki niemu miliardy federalnych dolarów płynęły do kieszeni jego wyborców, stanowił zaledwie przybranie tortu.

Każdy polityk miał wrogów, ale konserwatywne zapatrywania Albrichta przysporzyły

mu więcej przeciwników, niż mógłby przypuszczać. Patrząc, jak senator skutecznie krzyżuje ich plany, próbowali wszelkich możliwych sztuczek, aby zrzucić go z grzędy. Domyślał się jednak, że to tylko część bardziej złożonej gry.

Spośród wszystkich prześladowań najbardziej wytrąciły go z równowagi, sprawiając przy tym najwięcej kłopotu, trzy specjalne dochodzenia. Niczym psy ścigające rannego kota, te skurczybyki rozdarły mu życie na części w poszukiwaniu najmniejszego przewinienia czy nierozważnego czynu, które mogliby wykorzystać, by odsunąć go od władzy. Końcowy wynik brzmiał: zero do trzech.

Senator Albricht nie należał do szczególnie mściwych ludzi, ale jakoś nigdy nie potrafił wybaczyć tym sukinsynom. Naginając konstytucję do własnych potrzeb, opozycja próbowała dosięgnąć senatora i jego rodzinę i, z braku lepszego powodu, ukarać go za przekonania. Jeden z agentów śledczych wyróżniał się szczególnym uporem w dążeniu do celu; był agresywny, jadowity i niesprawiedliwy. Delegowany z FBI do biura prokuratora, odznaczał się wyjątkową ambicją i był tak samo pochłonięty własną karierą, jak każdy ze skurczybyków, dla których pracował.

Nazywał się Peter Frankel i rzucił się na to zlecenie jak wygłodniały wilk na surowe mięso. Kiedy majątek Albrichtów - samochody, meble, szafy na bieliznę - okazały się czyste, zmienił taktykę i zaczął puszczać historyjki do prasy. Że córkę Albrichta aresztowano za posiadanie narkotyków, że jego syn jest homoseksualistą i ma AIDS... Taktyka ta była równie prosta, jak okrutna: wysiudać silnych poprzez ranienie słabszych.

Albrichtowie, z natury wychodzący obronną ręką z opresji, przeszli przez to wszystko bez szwanku, lecz w końcu Frankel odniósł wielkie zwycięstwo. Udowodnił, że jest oddanym graczem w drużynie, i ostatecznie nagrodzono go, awansując na zastępcę szefa Federalnego Biura Śledczego - najwyższe niepolityczne stanowisko w piramidzie władzy.

Prezydent - niedoinformowany obserwator wyborów na Dalekim Południu - postanowił mianować Frankela szefem z dniem pierwszym stycznia, kiedy obecnie panujący przejdzie w stan spoczynku, by oddać się hodowli koni w jakiejś zapadłej dziurze. Frankel znajdował się naprawdę o krok od celu.

I tylko jeden człowiek stał mu na drodze.

Jako przewodniczący Senackiej Komisji Sądowej, Clayton Albricht zamierzał unieważnić nominację Frankela, upokarzając go na forum publicznym. Przesłuchania miały się rozpocząć dopiero za pięć tygodni - zbyt wcześnie na przygotowanie szczegółowego planu wendetty, ale ludzie pokroju Frankela gromadzili wrogów tak, jak chłopcy bilety na mecze bejsbolu. Zanim Albricht padnie, przeciwnicy szefa FBI będą mieli możliwość świadczenia w

otwartej sesji. Czas zemsty się zbliżał. A czyż "Smithville" nie było najlepszym miejscem na rozpoczęcie tej brudnej rozgrywki?

- Smakowało? - zapytał senator, kiedy Eddie zabierał talerze. Frankel poklepał się po nieprzyzwoicie dużym brzuchu.

- Pyszne - odparł. - Ale szczerze mówiąc, trochę się niepokoję, senatorze. Teraz, gdy czekamy na kolejne danie, sądzę, że przejdziesz do celu tej małej, nieoficjalnej uczty?

Twarz Frankela wydawała się stworzona do telewizji; gładka do czasu, gdy się uśmiechnął. Wtedy w policzkach pojawiały się dołeczki, idealnie po obu stronach ust. Był podręcznikowym agentem FBI. Kamery telewizyjne w jakiś sposób odfiltrowywały z jego oczu bezdusność - czystą ambicję - która tak onieśmiała ludzi w kontakcie osobistym. Frankel cholernie dobrze wiedział, że mężczyzna siedzący naprzeciwko dzierżył klucz do jego przyszłości, a mimo to nawet nie drgnęła mu powieka.

- Prawdopodobnie zdajesz sobie sprawę, Peter, że nie masz szans w przyszłym miesiącu. Kiedy skończę z tobą, publika zacznie wrzeszczeć o twoją dupę i z braku wyjścia postawimy cię w stan oskarżenia. - Albricht miał już dosyć żartów jak na jeden dzień. Nadszedł czas na bezpośredni atak.

Dołeczki nie poruszyły się, gdy Frankel uniósł brwi w zaniepokojeniu.

- No, no, senatorze. Wygląda, jakbyś stracił swój obiektywizm. Może powinienem przekazać sprawę moim prawnikom.

Albricht zignorował przynętę. Przesłuchania Senatu nie były procesami sądowymi, a on nie był sędzią; zaledwie rzecznikiem obywateli, który miał ocenić, czy Frankel nadaje się do prowadzenia najpotężniejszej na świecie agencji stojącej na straży prawa.

- Zaprosiłem cię tu z jednego powodu - wyjaśnił Albricht. - Chciałem dać ci szansę zrezygnowania z nominacji. Ocalisz w ten sposób swoją karierę, a prezydentowi oszczędzisz zakłopotania, w które, jak obaj wiemy, wprawi go twoje przesłuchanie.

Frankel śmiał się długo i głośno.

- Ech, myślałem, że masz naprawdę coś ważnego! - zagrzmiał. - Powiedz mi, Clay, od kiedy to zacząłeś się martwić o los prezydenta? Z tego co ostatnio słyszałem, nie wypowiadałeś się zbyt pochlebnie na jego temat.

Albricht zmrużył oczy. Nie, nie spodziewał się, że Frankel się wycofa - w rzeczywistości byłby rozczarowany, gdyby tak się stało - ale czegoś się spodziewał. Może cienia strachu w oczach? Nienawiści? Jakiegoś drgnienia twarzy odzwierciedlającego antypatię, jaką Albricht nosił w sercu? Zamiast tego usłyszał więcej niż śmiech: nie wypowiedziane "pieprz się".

W końcu Frankel zastąpił uśmiech pobłażliwą wzgardą. Otworzył usta, żeby coś powiedzieć, ale przeszkodziło mu świergotanie telefonu komórkowego. Nie spuszczając wzroku z senatora, wyjął z kieszeni płaszcza telefon wielkości książeczki czekowej i wcisnął przycisk.

- Frankel.

On coś ma - pomyślał Albricht, przysłuchując się rozmowie, a pod wpływem tej myśli sos Alfreda skwasił mu się w żołądku.

- Kto ich złapał?... Gdzie?... Nie chrzań. No nic, przygotuj dla mnie ten numer, kiedy wrócę. Chcę osobiście zadzwonić do agentki Rivers. - Kiedy wyłączył telefon i wsunął go do kieszeni, rozpromienił się, jakby wygrał na loterii.

Wstał raptownie i poklepał Albrichta po ramieniu.

- No cóż, Clay, wygląda na to, że obydwaj będziemy dziś wieczorem w wiadomościach.

Albricht zachował stoicki spokój, idealną twarz pokerzysty. W którymś momencie stracił kontrolę nad tym spotkaniem i teraz nie miał pojęcia, o czym mówił Frankel.

Zastępca szefa FBI odszedł, ścisnąwszy mu uprzednio rękę, ale w połowie drogi do wyjścia zatrzymał się.

- Wiesz - rzucił - nie myślałem, że po tych wszystkich latach, jakie spędziłeś w senacie, jesteś aż tak naiwny.

Zachichotał z własnego żartu, który rozumiał wyłącznie on, po czym opuścił salę jadalną, aby odebrać broń.

Bzdury! Sherwood nie mógł uwierzyć w to, co usłyszał.

- Popełnili błąd.

Twarz agentki Rivers poczerwieniała, a ręce zatrzęśły się od powstrzymywanej wściekłości.

- To nie pomyłka, Sherwood! Te odciski palców pasują idealnie. Klient twojego przyjaciela to Jake Donovan. Ten Jake Donovan. Niech to cholera! - Irene ruszała rękami, jakby szukała czegoś, czym mogłaby rzucić. - Numer jeden na liście dziesięciu najbardziej, do kurwy nędzy, poszukiwanych. A ja go puściłam. Kurwa mać!

Sherwood poczuł się odrętwiały i szczerze mówiąc, nieco zszokowany potokiem wulgaryzmów, jaki wylał się z ust tej drobnej, a jednak cholerycznej młodej damy. W zawodach w rzucaniu mięsem byłaby niewątpliwie laureatką z błękitną wstęgą. Popełnili błąd. Oczami wyobraźni ujrzał nagłówek dokładnie na dole strony: "Poszukiwany za morderstwo".

Irene nadal miotała się po biurze w obliczu gwałtownego załamania swojej kariery, ale Sherwood przestał jej słuchać, koncentrując uwagę na liście gończym. Niewątpliwie istniało podobieństwo, ale dopiero po dokładnym przyjrzeniu się. Szczególnie w okolicach oczu.

Na zdjęciu Jake Donovan był dzieciakiem, a mężczyzna, z którym rozmawiał zaledwie kilka minut temu, miał obfitą, siwiejącą brodę i łagodne rysy twarzy. Teraz wpatrywał się w zdjęcie krótko ostrzyżonego dwudziestolatka o wydatnym podbródku, boksterskim nosie i przenikliwych błękitnych oczach. Sherwood zakrył dłonią wszystko z wyjątkiem oczu oraz linii włosów i, w magiczny sposób, wyczarował Jake'a Brightona.

- Jasny gwint, niech to wszyscy diabli - wymamrotał.

- Szlag by trafił! - wybuchnęła ze złością Irene. - Ukrzyżują nas, do kurwy nędzy!

Sherwood spojrział na nią z wyrazem twarzy zawiedzionego ojca. Niebywale pewna siebie strażniczka sprawiedliwości wyglądała teraz, jakby miała się rozpłakać. Gdyby nie była taką głupią pindą, mógłby nawet czuć dla niej współczucie. Pukanie do drzwi wyrwało go z zamyślenia.

- Co ma znaczyć to "nas", Irene? Donovan nie był moim więźniem.

Wstał i otworzył drzwi, które ukazały jakiegoś podenerwowanego policjanta. Młodzieniec, jeszcze niedawno będący nastolatkiem, zdawał sobie sprawę, że przeszkadza.

- Przepraszam, szefie, ale jest telefon do agentki Rivers.

- Powiedz, że mam ważne spotkanie - warknęła Irene, nie zaszczycając chłopaka

spojrzeniem. - Oddzwonię, jak znajdę chwilę czasu.

Zdawało się, że dzieciak skurczył się w sobie.

- Hmm, już próbowałem, proszę pani, ale kazał mi powtórzyć, że nazywa się Peter Frankel. Powiedział, że na pewno będzie pani chciała z nim rozmawiać.

Wszelkie barwy odpłynęły z twarzy kobiety.

- O cholera! - jęknęła.

Sherwood skulił się zamiast niej, zastanawiając się, czy powinien pomóc jej podejść do krzesła. Zaoferował swoje.

- Możesz odebrać u mnie, jeśli chcesz - bąknął. - Wyślę kogoś, żeby sprawdził, czy Donovan jest jeszcze z moim patrolowym.

Przez sekundę patrzyła zdezorientowana, po czym skinęła głową.

- Dziękuję.

Sherwood uśmiechnął się. Reputacji Petera Frankela w świecie stróżów prawa nie można było pod żadnym pozorem określić jako dobrej. Zamykając drzwi, usłyszał ponownie świergotanie telefonu. W tym momencie nie zamieniłby się z Irene nawet za milion dolarów.

Jake pomyślał, że historyjka jest całkiem wiarygodna. Oszczędzając kłopotu gliniarzowi, który miał go wieźć na koniec świata, zaproponował, żeby wysadził go przy szpitalu.

- Chodzi o moją matkę. Robią jej jakiś zabieg ambulatoryjny - wyjaśnił. - Cholernie by się ucieszyła, a niewątpliwie potrzebuje towarzystwa.

Policjant kupił to bez zastanowienia, nie zwracając uwagi na drżące dłonie i lekko łamiący się głos swego pasażera. A dlaczego miałby nie kupić? Przynajmniej zwalniało go to z długiej jazdy donikąd. A poza tym, kto by nie chciał gdzieś podskoczyć po spędzeniu paru godzin w areszcie? Każdego by to wyprowadziło z równowagi.

Do ambulatorium wchodziło się tym samym wejściem co na pogotowie. Slavka zatrzymał się tuż przed automatycznymi drzwiami; pojazdy cywilne parkowały kilka metrów dalej.

- Proszę bardzo, panie Brighton - powiedział grzecznie. - Dostawa pod same drzwi.

Jake uściśnął mu rękę i wysiadł.

- Dzięki za podwiezienie - rzucił.

- Mam nadzieję, że pańska matka czuje się dobrze.

Jake uśmiechnął się nerwowo, doszukując się sarkazmu w tonie policjanta.

- Dziękuję - powtórzył. - Mam nadzieję, że tak.

Wszedł drzwiami z napisem "Sala przyjęć" tak naturalnie, jakby robił to już wielokrotnie, i podążył dalej do rejestracji. Zatrzymał się przy miniaturowej fontannie, żeby sprawdzić, czy ktoś za nim idzie. Pociągnął tęgiego łyka - na tyle długiego, aby przekonać się, że jest sam - a następnie ruszył nonszalancko ku wyjściu.

Na zewnątrz z trudem zwalczył przemożną chęć puszczenia się biegiem. Znow znalazł się na otwartej przestrzeni i, o ile się nie mylił, tego dnia na ulice wyjechało o wiele więcej wozów patrolowych niż zazwyczaj.

Trzymaj się - powiedział sobie w duchu. - Jeszcze trzy przecznice i będziesz w domu, wolny.

Skręcił w lewo na rogu ulicy Jeffersona i Alei Williama i Mary. Nareszcie magazyn. Jeżeli Carolyn jeszcze nie wyjechała - a przeczuwał, że tego nie zrobiła - za pięć minut spotkają się i chwilowy kryzys minie. Kiedy już się połączą, będą mobilni, a mobilność oznaczała wolność.

Znak "Przechowalnia" wyrastał dobre półtora metra ponad chodnikiem. Żarówka wewnątrz plastikowego znaku nie działała od czasu, gdy Jake po raz ostatni korzystał z tego miejsca, podobnie jak automatyczny drewniany szlaban, który miał powstrzymywać nieuprawnionych przed wejściem. Najwidoczniej jeden gość - uprawniony lub nie - przyjął wyzwanie, roztrzaskując drewnianą zaporę.

Budynki 626 i 627 leżały na tyłach kompleksu, z dala od kilku innych podobnych, betonowych magazynów. Wśród comiesięcznych opłat Brightonów rachunki z przechowalni nieodmiennie zajmowały pierwsze miejsce. Wystarczy płacić w terminie - sądził - a nikt nie pofatyguje się sprawdzić, czy przestrzegają warunków umowy najmu.

Jake zwolnił kroku i zatrzymał się, zanim skręcił za ostami róg. Nie dostrzegł niczego podejrzanego, nie dolatywały go żadne dźwięki, ale na drzwiach z prawej strony brakowało masywnego zamka. Oznaczało to, że Carolyn znajduje się w środku albo zdążyła już wyjść.

Nie, była tam. Wiedziała, że nie może stąd odejść, nie zamknąwszy uprzednio drzwi. Oglądając się ukradkiem za siebie, przebiegł ostatnie piętnaście metrów. Kiedy sięgnął do uchwytu, aby podnieść drzwi, stanął raptownie. Wewnątrz była zgromadzona broń. W tej chwili oboje byli spięci. Wystraszenie Carolyn mogło okazać się fatalne w skutkach.

Odszedł krok od drzwi i przylgnął plecami do betonowej ściany, która oddzielała dwa magazyny. Po kilku sekundach cicho zapukał.

- Carolyn, to ja! - krzyknął głośniejszym głosem niż zamierzał, ale przecież musiał ją ostrzec.

- Jake?

Z tonu jej głosu wywnioskował, że go rozpoznała; upewniała się tylko.

- Tak, to ja. Otwieram drzwi, dobrze?

Otworzyła je sama. Kiedy blaszane drzwi dudniąc uniosły się do wysokości pasa, zgiął się w pół i wślizgnął do środka.

Jason Slavka zdążył właśnie zjechać z wiaduktu i znajdował się kilka przecznic od posterunku, kiedy usłyszał wezwanie. Wyjął mikrofon z uchwytu na głównej konsoli i wcisnął przycisk transmisji.

- Tu Dwa-Cztery David.

- Dwa-Cztery David, podaj status.

O cholera - pomyślał. Czas na kontrolę. Miał nadzieję, że wślizgnie się na posterunek nie zmieniając statusu na tablicy; w ten sposób nikt nie wysłałby go na nowe zlecenie i miałby szansę na zmniejszenie stosu papierzysk zalegających na jego biurku.

Ech, pieprzę to.

- Dziesięć-osiem. Jadę na posterunek - odpowiedział, zgłaszając się tym samym na ochotnika do kolejnej akcji.

- Hmm, Dwa-Cztery David... - usłyszał jakiś ruch w tle: ktoś przeszkadzał dyspozytorowi, zadając jakieś pytania. - Nie rozłączaj się, Dwa-Cztery David.

Jason zachichotał i pokręcił głową.

- Nie rozłączaj się? - rzucił w kierunku radia, jakby zwracał się do osoby. - To ty do mnie zadzwoniłeś, nie pamiętasz?

Dyspozytor powrócił po kilku sekundach.

- Dwa-Cztery David, jaki jest dziesięć-dwadzieścia twojego pasażera?

- Wysadziłem go przy szpitalu. Jego matka ma jakąś operację.

Tym razem poruszenie po drugiej stronie linii było wyraźniejsze i głośniejsze. Jason wyraźnie usłyszał przekleństwo. Przysięgłby, że to Sherwood.

- W porządku, Dwa-Cztery David - głos dyspozytora wydawał się wyspą spokoju wśród ogólnej wrzawy. - Zostań na nasłuchu.

- O Boże, Jake, nic ci się nie stało! - Carolyn zarzuciła mu ręce na szyję i przytuliła go mocno aż do bólu. - Tak strasznie się o ciebie martwiłam. - Mroczne pomieszczenie oświetlała stojąca na podłodze naftowa lampa.

Gdy Carolyn poczuła przyptyw adrenaliny, skupiła się całkowicie na swej misji. Zastanawiając się dokładnie nad każdym kolejnym ruchem, przejrzała wnęki i zebrała przygotowane wcześniej płócienne worki.

Skończyła wcześniej - prawie godzinę temu - i właśnie wtedy ogarnęła ją panika. Skoro

rodzina jest najważniejsza, to dlaczego musiała najpierw zrobić te wszystkie inne rzeczy?

Samotność to straszliwe uczucie - nawet kilkuminutowa - ale samotność w ciemności jest najgorsza. W słabym świetle lampy naftowej strach przybierał fizyczny wymiar. Carolyn miała wrażenie, że wyciągając ręce przed siebie, mogłaby wymacać swoje lęki. Im bardziej wmawiała sobie, że zachowuje się głupio, tym groźniejsze były czające się w ciemności strachy.

Instynktownie wymacała zagrzebaną w torbie półlitrową butelkę Jacka Danielsa. W jej umyśle pojawiło się niejasne wspomnienie chwili, gdy ją chowała dawno temu - w czasie kiedy alkohol znaczył dla niej wiele. Powiedziała sobie w duchu, że jeden łyżeczek pomoże jej odzyskać kontrolę nad sytuacją. No cóż, może dwa. Trunek palił cudownie i szybko dotarł do miejsca, gdzie ciało produkowało odwagę. Kiedy poziom płynu w butelce opadł poniżej krawędzi etykiety, szarpnęły ją wspomnienia dawnego koszmaru i odłożyła butelkę na swoje miejsce.

Z ruchu ramion żony Jake wywnioskował, że płacze. Czuł od niej strach, kurz i pot. I, do cholery, alkohol. Oczy zamglily mu się, kiedy przytulił ją i pocałował w czoło.

- Tak mi przykro - wyszeptał.

Uścisk miał zbawienny, prawie hipnotyczny wpływ. Przez te wszystkie lata dużo razem przeszli - tyle strachu, płaczu i ucieczek - że czasem zastanawiał się, czy świat mógłby w ogóle bez niej istnieć. Jej słabość do alkoholu doprowadzała go do obłędu, a krzyk przez sen przerażał prawie tak samo jak ją, ale była jedyną osobą na świecie, która знаła jego prawdziwą tożsamość. Nawet Travis nie znał prawdy - nie mógł znać.

Ostatnia myśl grzmotnęła go niczym młot. Odsunął od siebie Carolyn na tyle, by spojrzeć jej w oczy.

- Gdzie Travis?

Przez całą drogę siedział w tyle autobusu, tam gdzie nauczyciele i opiekunowie chcieli, by siadywały dzieci z Farm Meadows. Czuł, że wygląda śmiesznie z fioletowym okiem, a tania imitacja okularów Oakleys, które nosił, by ukryć podbite oko, w gruncie rzeczy nie spełniała swego zadania.

Travisowi przypominano już trzykrotnie - raz, kiedy wsiadał do autobusu, a potem jeszcze dwa razy, kiedy przybyli do tego głupiego domu na plantacji - że jeszcze jedna bijatyka, a wyleci ze szkoły. Jakby miało mu to złamać serce, rzeczywiście.

Nie cierpiał tej szkoły. Męczyło go, że zawsze był tym nowym - świetnym workiem treningowym dla miejscowych dupków. Ojciec powiedział mu, że to prawdopodobnie ostatnia

przeprowadzka. Przeprowadzali się każdego cholernego roku, jak tylko sięgał pamięcią, z jednych śmieci na drugie, ale w końcu rodzice zdecydowali, że w tej dziurze zapuszczają korzenie. Super. Jakby się kto pytał, cała Karolina Południowa była do dupy.

Aby oderwać się od przykrych myśli, pomyślał o Ericu Lampierze. Ciekawe, czy ten gogus może już oddychać przez nos. Biedny dzidzius nie mógł dziś nawet zawlec dupy do szkoły... Uśmiech wywołał ból w oku. Taak, to było tego warte.

"Bijatyka" trwała całe trzy sekundy. W kafeterii Travis wytrzymał dobre dwie minuty paplaniny smarkaczy ze Wzgórza Snobów, ale stracił cierpliwość, gdy Eric nazwał jego i jego przyjaciół "kapuścianymi łbami z przyczepy". Po prostu wstał, rozgniół mu nos jak malinowego pomidora i usiadł z powrotem, by skończyć frytki. To była walka jednego ciosu.

Fontanna krwi i smarków wywołała eksplozję krzyków, głównie ze strony dziewczyn ze Wzgórza Snobów, którym wtórował skowyt Erica. Boże, co za bardak. Po niecałych dwóch minutach pojawiło się gestapo. Ze sposobu, w jaki się poruszali, można by wywnioskować, że w kafeterii jest jakiś uzbrojony maniak. Nikt nawet nie zapytał, kto jest winny. Podczas gdy pielęgniarka obskakiwała Erica, dyrektor, pan Menefee, zawlókł Travisa do swego gabinetu. Kiedy dotarli do korytarza, jakiś spanikowany dorosły wezwał karetkę. Czy to nie najbardziej absurdalny pomysł, o jakim kiedykolwiek słyszano? Karetka do głupiego złamanego nosa!

- Mam was dosyć! - warknął Menefee. Tak było zawsze. Jeśli jakiś chłopak z Farm Meadows coś przeszkobał, nauczyciele nieodmiennie mieli pewność, że wszyscy jego koledzy są cichymi współwinowajcami.

Tajemnicą poliszynela był fakt, że dzieciaki z przyczep nie były tu mile widziane. Na ile Travis zdążył się zorientować, jeszcze kilka lat temu szkoła J.E.B. Stuarta należała wyłącznie do gogusiów ze Wzgórza Snobów, aż „jakiś kretyn” pomieszał „margines z Farm Meadows” z „młodzieżą ze Wzgórza”. Nie udawał, że rozumie tę politykę - w gruncie rzeczy miał ją w nosie - ale jedno było pewne: nauczyciele i cały personel tęsknili za dawnym układem.

Travis nie rozumiał, dlaczego tak narzekają. Z jego punktu widzenia fakt, że dzieci z Farm Meadows chodziły do tej szkoły, rozwiązywał na przykład problem dyscypliny. Jeśli gdzieś na posadzce znaleziono ślady krwi, można było ukarać dzieciaka z przyczepy. I nie liczyło się, że może to niewłaściwy - wszyscy z Farm Meadows byli z góry winni. Za każdym razem, gdy jakiś chłopak ze Wzgórza palił, przeklinał, dłubał w nosie czy szarpał się z kimś, robił to naturalnie pod namową koleśków z Farm Meadows. Dla Travisa zakrawało to na histerię. Wraz z kolegami wpadł na pomysł wywabiania bogatych lalusiów z ich ceglanych pałaców, żeby pomieszkali w gównianych przyczepach.

W szkole J.E.B Stuarta dzieciak z zamożnego domu mógł robić czy mówić, co mu się

żywnie podobało - takie miał konstytucyjne prawa. Dla Trávisa i jego kumpli konstytucja zdawała się kończyć w miejscu, gdzie mówili bogatym gnojkom, żeby się odpieprzyli. A dotknięcie jednego z nich - zwłaszcza pięścią - było czymś więcej, niż ten system mógł znieść.

Pan Menefee - *der führer* dla Trávisa i jego kumpli z uwagi na zajęcia z niemieckiego - był wkurzony jak cholera. On również użył takiego określenia. Wkurzony. Travis zastanawiał się, czy będzie "wkurzony" rozmawiając z tatusiem-prawnikiem Erica Lampiera. Jakoś nie wydawało mu się to prawdopodobne. Może zaniepokojony? Wzburzony (nowe słowo dla Trávisa)? Niewątpliwie coś bardziej wytwornego niż "wkurzony".

Menefee miał dość Trávisa. Nie tolerował brutalnego zachowania w swojej szkole i, do cholery, nieważne kto zaczął. Powinni się wstydzić. Kiedy Travis powiedział, że nie oni, czyli dzieciaki z przyczep - zatarg dotyczył bezpośrednio Erica i jego - wydawało się, że na Menefee nie zrobiło to żadnego wrażenia.

- A na Erica - zapytał Travis - też pan nakrzyczy za to, że obrażał mnie i moich kolegów? - Przez chwilę myślał, że dyrektor go uderzy. Ten powiedział jednak tylko, żeby Travis pilnował swoich pieprzonych spraw - kolejne wyrażenie, które niewątpliwie zostanie wycięte z wersji dla Lampiera.

- To koniec, Brighton - zakończył Menefee z czerwoną twarzą i latającymi rękami. - Jeszcze raz, a wyrzucę cię stąd na zawsze!

Kurewsko świetny układ. Tego Travis nie powiedział na głos. Skończyło się na okresie próbnym - cokolwiek to, do diabła, oznaczało - oraz surowym ostrzeżeniu, aby odświeżyć sobie kodeks postępowania. W zawieszeniu pozostawała sprawa, czy rodzina Lampierów będzie upierała się przy oskarżeniu. Lekko zaniepokojony Travis wyobraził sobie rozprawę sądową, gdy szedł krętą ścieżką przez las w kierunku domu Mike'a Howe'a, żeby obejrzeć filmy wideo, jakie jego kolega znalazł w szafce.

Terry Lampier - starszy brat Erica - wraz z dwoma kumplami zjawili się nie wiadomo skąd, tarasując mu przejście. Travis w lot pojął, że znalazł się w tarapatkach, i co sił w nogach popędził w drugą stronę. Ale szkoccy górale bili go pod każdym względem: wzrostem, wagą i szybkością. Dopadli go po kilkunastu krokach i powalili na ścieżkę. Dalsze szczegóły zamazały mu się nieco w pamięci, lecz pamiętał, że bronił się dzielnie, dopóki silny cios w jaja nie pozbawił go wszelkiej chęci do obrony. Nie pamiętał nawet, czym dostał w oko. W jednej chwili czuł, jakby eksplodowały mu trzewia, a w następnej leżał już trzy metry od ścieżki pod kępą krzaków.

Kiedy udało mu się stanąć na nogach, nie mógł wyjść z podziwu, że wszystkie organy ciała nadal funkcjonują. Zastanawiał się, czy odchodząc myśleli, że go zabili. Tak czy owak

dobrze, że jest w nie najgorszej formie. Naprawdę mogli go zabić.

Zanim wrócił do przyczepy, słońce zaczęło chylić się ku zachodowi, zabierając ze sobą ciepło dnia. Cały tył i bok podkoszulka zostały wyszarpięte, więc chłód dawał się Travisowi we znaki. Przez chwilę kręciło mu się też w głowie i zapragnął usiąść, ale zawroty minęły dokładnie w chwili, kiedy skręcał w swoją ulicę.

Zauważył Kulę Cyc, która udawała, że pielęgnuje kwiaty w ogrodzie, podczas gdy w rzeczywistości wściubiała nos w nie swoje sprawy. Spojrzała w kierunku Trávisa i wrzasnęła:

- O Boże, chłopcze, co się stało?!

Z wyrazu jej twarzy Travis wywnioskował, że musiał wyglądać dużo gorzej, niż się czuł.

- Wszystko w porządku - odparł. - Upadłem i właśnie wracam do domu. Pani Barnett z pewnym wysiłkiem wstała z kolan i ruszyła ku niemu, ostrożnie pokonując piętnastocentymetrowy druciany płótek, który otaczał kwiatowe grządki.

- Upadłeś - rzuciła z powątpiewaniem. - Myślisz, że ci uwierzę? Chodź no tu, niech ci się przyjrzę.

Travis nie zatrzymał się.

- Naprawdę czuję się dobrze, pani Barnett - powiedział, mijając ją. - Mama powinna już być w domu.

- Powiedz jej, że powinien cię zbadać lekarz!

Pomachał jej na pożegnanie i poszedł, próbując wcisnąć w spodnie poszarpany podkoszulek.

No to już po mnie - jęknął w duchu. Skoro wywołał taką reakcję u Kuli, Bóg jeden wie, jak wystraszy się mama. Nie czekał zbyt długo, żeby się o tym przekonać. Najwidoczniej pani Barnett nie mogła się powstrzymać. Kiedy skręcił za ostatnim rogiem, ujrzał rodziców biegnących mu naprzeciw.

- O Boże! - krzyknęła rozziewając matka. - Travis!

Chłopak instynktownie zerknął za siebie, sprawdzając, czy ktoś obserwuje tę scenę.

- O Boże! Co się stało? - jęknęła.

- Bił się - odpowiedział za niego ojciec z dezaprobatą w głosie.

- Kto ci to zrobił? - nalegała matka.

- Nie tutaj, Carolyn - ostrzegł ojciec. - Chodźmy z nim do domu.

Oto i nauk początek - pomyślał Travis. Następowaly jedna po drugiej. Najpierw wspomniano o potrzebie dobrych stosunków z nowym środowiskiem, potem usłyszał, jaki wpływ na resztę jego życia mogło wyrzucić jego dzisiejsze zachowanie. Kiedy próbował się

bronić, opisując zniewagi, jakie musiał znieść ze strony Erica Lampiera, naskoczyła na niego mama mówiąc, że dwa razy źle nie znaczy dobrze. Travis odetchnął, kiedy rodzice zaczęli się spierać, czy powinni pójść z nim do lekarza. Matka martwiła się, że mógł doznać jakiegoś urazu głowy. Tata jednak utrzymywał, że nie muszą zawozić go do lekarza, jeżeli nie ma bezwzględnej konieczności.

Było to dość nieoczekiwane. Travis nigdy nie uważał rodziców za biedaków, zdziwił się więc, że chcą oszczędzać na zdrowiu własnego syna. Pomyślał jednak, że to nawet dobrze - zawsze przerażali go lekarze i igły, którymi się tak zręcznie posługiwali. Wymknął się do swego pokoju, dając rodzicom możliwość rozwiązania tego problemu między sobą.

Autobus zatoczył koło przed wejściem do szkoły. Travis westchnął. Pocieszył się, że za trzy lata - czyli kiedy będzie miał szesnaście - skończy z tymi bzdurami i rzuci szkołę raz na zawsze.

Jake tupnął nogą.

- Cholera - spojrzął na zegarek, ale nie mógł dostrzec wskazówek. - Kiedy ma wrócić?

- Około drugiej.

Tym razem zbliżył tarczę do światła.

- To około piętnastu minut. Jak tu sprawy stoją?

- Myślę, że jesteśmy prawie gotowi. - Carolyn wzięła latarkę i zaprowadziła męża na tyły magazynu.

W hali po prawej stronie stał biały Chevrolet furgonetka, którego używali tylko w wyjątkowych sytuacjach. W ciągu pięciu miesięcy, odkąd zamieszkali w Phoenix, nie uruchomili go ani razu. Nawet nie przekręcili kluczyka w stacyjce. Na przestrzeni ośmiu lat, od kiedy mieli ten pojazd, korzystali z niego ze dwadzieścia razy, i to tylko nocami. Na liczniku nie było nawet trzydziestu tysięcy kilometrów. Ruszy - powiedział Jake do siebie. - Musi ruszyć.

Gdy tylko wynajęli te pomieszczenia, wstawił w dzielącą je ścianę drzwi, tak aby materiały przechowywane po lewej stronie mogły być ładowane i rozładowywane z furgonetki bez konieczności wychodzenia na zewnątrz.

Carolyn najwyraźniej harowała jak wół, żeby spakować niezbędne rzeczy. Cała broń leżała w samochodzie wraz z materiałami budowlanymi i zapasem konserw na kilka tygodni. Wszystko zostało równo poustawiane i zabezpieczone linkami na półkach, które zainstalował wcześniej Jake. W drugim magazynie dostrzegł tył ukrytej celiki.

- Zrobiłaś kawał dobrej roboty, kochanie. Wzruszyła lekko ramionami i pokręciła

głową.

- Po prostu nie mogę uwierzyć, że to robimy. Jak to się stało?

- Parszywy pech - westchnął. - To nie do wiary. Planujesz i planujesz, a w końcu jakaś zgraja ćpunów wyciąga spod ciebie posłanie.

Podniósł z gumowego dywanika na podłodze furgonetki kaburę z ciężkim glockiem -
17. Rozpiąwszy kurtkę, wyciągnął pasek ze szlufek po prawej stronie lewisow i przymocował kaburę.

- Czy forsa jest już w środku?

Milczenie żony ściągnęło jego spojrzenie. Stała z opuszczonymi rękami, wpatrując się niemo w jakiś punkt w ciemności.

- Kochanie?

Zamrugła oczami, ale się nie poruszyła.

- Chyba nie mogłabym tego zrobić jeszcze raz - wyszeptła.

Zasłonił pistolet kurtką i podszedł dwa kroki, ujmując Carolyn za ramiona. Kiedy próbowała uciec wzrokiem, nie pozwalał jej, przesuwał się tak, aby patrzyli sobie prosto w oczy.

- Kochanie, posłuchaj. Teraz nie możemy pozwolić sobie na słabość. Słyszysz? Przez cały czas zdawaliśmy sobie sprawę, że taki moment może nadejść - że, do diabła, najprawdopodobniej przyjdzie - i właśnie to się stało. Chciałbym, żeby było inaczej, ale nie mam na to wpływu. Nie pozostawiono nam innego wyjścia.

Zacisnęła mocno powieki i ponownie westchnęła.

- Może tym razem powinniśmy się poddać. Niech sąd rozstrzygnie. Słyszając te słowa z ust żony, Jake poczuł obawę stokroć większą, niż w warsztacie, na posterunku czy nawet w drodze tutaj. Żeby wszystko sprawnie działało, musieli stanowić zespół zgrany. I silny.

- Carolyn, popatrz na mnie. Proszę.

Otworzyła oczy. Były suche. Wiedziała, że miał rację. Musiał się jednak upewnić.

- Wiesz, że kiedy nas złapią, nie będzie żadnego procesu, zgadza się? To trwa już zbyt długo i sprawy zaszły za daleko, żeby prawdziwy winowajca na coś takiego pozwolił. Jeżeli nas złapią, koniec z nami.

Pokiwała głową. Wiedziała, że to prawda.

- Pomyśl o Travisie - napierał. - Przecież nie wiesz, co mu powiedzieliśmy. On też nie będzie bezpieczny.

Tym razem zastanowiła się dłużej.

- Może powinniśmy wyjechać bez niego - powiedziała, wolno cedząc słowa.

- Chyba nie mówisz poważnie - podniósł głowę.

- Może będzie bezpieczniejszy bez nas.

Patrzył na nią przez długą chwilę.

- Naprawdę w to wierzysz?

Już dawno przestała w cokolwiek wierzyć. Czuła, że dryfuje po morzu uczuć, których źródłem był Travis: strach, wyrzuty sumienia, poczucie winy, żal. Od dnia jego narodzin przeżyli najwspanialsze lata. A teraz odwdzięczają się za jego niewinność i oddanie, okłamując go i narażając na śmiertelne niebezpieczeństwo. Nigdy by tego nie zrozumiał. I nigdy by nie wybaczył.

Z chwilą jego narodzin podpisała kontrakt, zgodny - jak wierzyła całym sercem - z wolą Boga. W zamian za uśmiech Trávisa, jego figle i jego czułość, za bezsenne noce, kiedy niewyjaśnione gorączki, kolki, brudne pieluchy spędzały im sen z powiek, za całą niezmierną, niekwestionowaną miłość była mu winna jedno - być obok, otaczać opieką i tulić w ramionach. Zawsze powinna znajdować się w pobliżu, kiedy budził się w nocy, stał sobie kolano czy płakał.

Z drugiej strony - to już nie było małe dziecko. Sam zakładał sobie opatrunki i uciekał przed uściskami czy całusami. Może więc ma już dość siły, aby przetrwać samodzielnie?

Widmo własnej młodości zamajaczyło jej w pamięci, jakby na dowód, że się myli. Dobrze pamiętała wszystkie obawy, wątplenia i brak poczucia bezpieczeństwa. Pamiętała, że czasami życzliwe ucho albo smaczne jedzenie znaczyłyby równie wiele, co pieszczota czy plasterk na ranie. Nie było jednak przy niej nikogo. I teraz miałoby nie być jej przy nim?

Uświadomiła sobie, że umowę zawarła na dobre czy złe, aż po kres swego życia. Odpowiedź stała się oczywista.

- Nie - powiedziała stanowczo. - Nie wierzę. Chodźmy po niego. Jake obserwował Carolyn przez chwilę, zanim odwzajemnił jej uśmiech.

Raz jeszcze przygarnął ją do siebie i ucałował.

- Boże, tak cię kocham. Lekko szturchnęła go w żebra.

- Słowa niewiele znaczą. Udowodnij, że potrafisz nas z tego wyciągnąć.

Zabrał się do pracy. Doskonale orientował się w ciemności. Zanurzywszy się do połowy w furgonetce, wyjął spod lewego rzędu półek błękitną sportową torbę.

- Pokaż mi swój portfel - poprosił.

Z zapaloną latarką zrobiła kilka kroków i znalazła swoją małą torebkę.

- Masz.

- Dzięki. - Jedną ręką odebrał od niej portfel, drugą walczył z ekspresem torby. - Możesz

tu trochę poświecić?

Przesunął się, robiąc dla niej miejsce, po czym wyjął z torby spory plik dowodów tożsamości i kart kredytowych. Wręczył jej prawo jazdy wydane w Karolinie Pomocnej i ostrzegł:

- Wyjmij z portfela i kieszeni wszystko, co może mieć jakikolwiek związek z Jakiem i Carolyn Brighton.

- Co mam z tym zrobić?

- Wszystko jedno. Zostaw je tu na podłodze. Teraz jesteśmy Jerry i Carrie Durflinger.

- Durflinger? Żartujesz sobie? Uniósł brwi.

- Wybacz - powiedział z uśmiechem. - Nie mogłem znaleźć żadnych odpowiadających nam Smithów. - We własnym portfelu zostawił tylko pieniądze, wyrzucając resztę zawartości na podłogę. - Masz wszystko?

Oddechnęła głęboko i wzruszyła ramionami.

- Chyba tak. Czy tablice rejestracyjne pasują do dowodów?

Jake odpowiedział zdumionym spojrzeniem. Nie mogło być inaczej.

Zamknęli tylne drzwi furgonetki. Jake wspiął się na siedzenie kierowcy, a Carolyn stanęła przy opuszczanych drzwiach magazynu. W żółtym świetle latami widać było, jak spleta dłonie na piersiach. Jake zamknął oczy i zmówił po cichu modlitwę. Krzyknął radośnie, gdy silnik zaskoczył od razu.

- Dobra nasza!

Carolyn podniosła oba kciuki do góry i popchnęła szerzej drzwi. Jake wyjechał na tyle, by żona mogła opuścić bramę. Patrzył w lusterku, jak zamyka magazyn na klucz. Wsiadła do samochodu i przez moment mocowała się z torbą z pieniędzmi, robiąc sobie miejsce na nogi.

- Gotowe - oznajmiła w końcu.

- A zatem w drogę.

Kiedy wmieszali się w ruch uliczny, poczuł, że powinien powiedzieć coś, co dodałoby im otuchy. Pomimo wysiłków nie potrafił *znaleźć* odpowiednich słów, a co gorsza, wciąż odczuwał strach. Ze wszystkich głupich decyzji, jakie podjął w życiu, ta wydawała mu się najgorsza; ze wszystkich przygód, jakie przeżył, ta wydawała się ostatnia.

Jakby dla podkreślenia beznadziejności sytuacji musiał przepuścić dwa wozy policyjne, które przemknęły tuż przed nimi, wyjąc przeciągle.

Irene wpatrywała się w dopiero co odłożoną słuchawkę. Nigdy w ciągu czterdziestu dwóch lat jej życia nikt aż tak nie zmieszał jej z błotem - biorąc pod uwagę nawet dwa lata w koledżu, kiedy dorabiała sobie sprzedażą przez telefon.

Frankel zadzwonił, aby pochwalić ją za schwytanie Jake'a Donovana, poszukiwanego od wielu lat przez wymiar sprawiedliwości. Powiedział, że traktuje jej pilność jak osobistą przysługę, gdyż pomoże mu to w czasie nadchodzących przesłuchań w Senacie.

Pochwała zabolą ją bardziej niż wszystkie przekleństwa, które usłyszała później. O tym, że wiele lat temu Frankel jako pierwszy zajmował się tą sprawą, wiedzieli wszyscy w biurze; fakt, że wybił się i pozostawił ją komuś innemu, nikogo nie dziwił. A tu, w przededniu nominacji na szefa, Irene zaprzepściła jego szansę uwieńczenia kariery. Szansę, jaka trafia się raz w życiu. Gdyby tylko posłuchała własnego instynktu!

Do diabła z Sherwoodem i jego serdecznymi przyjaciółmi!

No dobra, to nie fair. Mimo swego drobnomieszczaństwa i denerwującej łaskawości, Sherwood powiedział jedynie, co o tym myśli. To mogła wybaczyć. Miłosierdzie nie mogło jednak objąć Lucasa Banksa. Sherwood przynajmniej był gliną. Banks robi dobrze, omijając Irene w ciągu kilku kolejnych wcieleń. Powinna porozmawiać z prokuratorem generalnym Stanów Zjednoczonych, aby wystosował przeciwko niemu oskarżenie o utrudnianie śledztwa.

Spośród wszystkich inwektyw ciskanych przez Frankela najbardziej zraniła Irene ta, że okazała się "niekompetentna". Pracowała w tej branży zbyt długo, aby popełniać tego typu pomyłki. Oczywiście jej kariera legła w gruzach, a wraz z nią marzenia o szybkiej wspinaczce po drabinie awansów. W biurze boleśnie rozprawiano się z takimi jak ona, skazując ich na wyważanie drzwi w najgorszych norach, jakie widział świat, albo obserwowanie, jak rośnie trawa w jakimś odległym indiańskim rezerwacie.

Zawsze mogła z tego zrezygnować, ale na dłuższą metę nie było to wyjście z sytuacji. Musiała myśleć o córkach. Dopóki Pam i Paula nie skończą koledżu i nie znajdą sobie odpowiednich mężów, jej pensja musi wystarczyć na opłacanie rachunków.

Sherwood nie wrócił z wieściami o aresztowaniu i domyśliła się, że Donovan zwiął. A zatem zaczął się pościg. Sięgnęła ku klamce drzwi oddzielających gabinet Sherwooda od pokoju interwencyjnego. Zawahała się, prostując plecy i próbując wziąć się w garść. Jak na razie wciąż prowadziła tę sprawę.

Pokój interwencyjny był pusty. Filiżanki z nie dopitą kawą stały pośród porzucanych

dokumentów i formularzy, a porozstawiane krzesła potęgowały panujący tu nieporządek. Niewątpliwie Sherwood postawił cały wydział na nogi, żeby dopaść Donovana, i Boże błogosław mu za to.

Pozostała jej tylko policja z Phoenix. Chłopcy z DEA wracali już do domów po porannej akcji, a poza tym ta sprawa nie podlegała ich kompetencjom. Wyglądało więc na to, że Irene musi czekać z założonymi rękami na wytyczne z biura w Charleston. Wtedy pościg nabierze zupełnie innego wymiaru. Tymczasem chciała odszukać Sherwooda i jego ludzi. Jakkolwiek by na to patrzeć, wciąż mogła wydawać im rozkazy.

Znalazła szefa i trzech poruczników w centrum dowodzenia - pomieszczeniu nie większym od salki konferencyjnej - w którym znajdowało się kilkanaście telefonów, a na trzech ścianach wisiały duże mapy. Czwartą zajmowała w całości olbrzymia, zielona tablica. Nie zapisana.

To się wkrótce zmieni - pomyślała Irene.

- Witam panów - powiedziała oficjalnie, wchodząc zdecydowanym krokiem. Urodzeni i wychowani na Południu mężczyźni odruchowo wstali, ale dała im znak, żeby zajęli miejsca. - Wszyscy słyszeliście o mojej porannej przygodzie - zaczęła - i jestem pewna, że w ciągu najbliższych kilku godzin albo, nie daj Boże, dni będziecie mieli wspaniałą możliwość poprawienia mi humoru. - Pomyślała, że pokazanie, kto tu rządzi, będzie najlepszym sposobem na podreperowanie reputacji. Brnęła więc dalej. - Jak na razie, proszę mnie poinformować o tym, co wiemy.

Sherwood dokończył kawę i postawił piankowy kubek na stole konferencyjnym pośród kilkunastu podobnych.

- Obawiam się, Irene, że wiemy tyle co i ty - powiedział wzruszając ramionami. - Okpił nas. Policjant, który miał go odwiedzić do domu, nabrał się na historyjkę o operacji matki. Nasi ludzie oczywiście już są w tym szpitalu, ale według mnie niczego tam nie znajdują. To spryciarz.

- Przypuszczam, że wysłaliście kogoś do ich domu - zasugerowała, wywołując pobłażliwe spojrzenie szefa.

- Oczywiście - odpowiedział, czując, że jego wyrozumiałość została nieco nadwątlona. - Chociaż nie mogę sobie wyobrazić, żeby był na tyle głupi.

Skinęła głową. Donovanowie byli dobrzy, ale przestępcy popełniają czasami niewiarygodnie głupie błędy.

- A blokady dróg? - spytała, przeglądając listy gończe z podobiznami poszukiwanych. Próbowała dostrzec podobieństwo z twarzą, jaką zapamiętała.

- Niestety, brakuje nam ludzi - odpowiedział za Sherwooda jeden z mężczyzn. - Policja

stanowa wykazuje chęć pomocy, ale mają ten sam problem. Niech mi pani da dwie godziny, a przetrząsnę całe miasto. Na razie możemy tylko mieć nadzieję, że popełnią błąd.

Irene rzuciła listy gończe na stół i podniosła wzrok.

- Cóż, Donovanowie raczej nie popełniają ich zbyt wiele - odezwała się chłodno. - Czy zdajecie sobie w ogóle sprawę, z kim mamy do czynienia? Ta dwójka w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku zabiła szesnastu ludzi. Ludzi, których znali. Swoich przyjaciół. Skosili ich ot tak, po prostu, jak łan zboża. O ile sobie przypominam, byli fanatykami ochrony środowiska. Próbowali udowodnić, jakie zagrożenie niesie broń chemiczna, więc wysadzili w powietrze jej skład i zatruli kilkaset kilometrów kwadratowych w Arkansas.

- Zostawili jakąś wiadomość, prawda? - wtrącił Sherwood, starając się potwierdzić szczegóły, jakie miał w pamięci.

Skinęła głową. Wspomnienia powróciły ze zdwojoną siłą. Przez wiele lat była to przykładowa sprawa w akademii.

- Tak - odpowiedziała. - Nazwali to manifestem. Wydrukowali go elegancko i zostawili w hotelu w pokoju współpracownika, który tego dnia był chory i nie poszedł do pracy. Wrócili do motelu tylko po to, żeby jego też wypieprzyć w powietrze. To jakieś oszalałe sukinsyny, panowie.

O zdumiewającej umiejętności znikania.

- Nawet nie mamy przyzwoitego zdjęcia tego gościa - dodała smętnie. Facet z listu gończego tylko w niewielkim stopniu przypominał Jake'a Brightona, a dopiero za pół godziny na ulicach miasta miało ukazać się aktualne zdjęcie.

- Powinniśmy zwrócić uwagę na dobre aspekty tej sytuacji - odezwał się jeden z mężczyzn. - Facet jest wytrącony z równowagi tak samo jak my. Nie wiem, jak dokładnie ten typ wszystko planuje, ale nie ma szans, żeby był przygotowany na coś takiego, jak dzisiaj rano.

- Trafne spostrzeżenie - zgodziła się. - A zatem, jeśli mamy go dorwać łatwo i przyjemnie, musimy zrobić to jak najszybciej. Trudno zgadnąć, jaki ma plan ucieczki, ale nie zapominajmy, że wyszedł stąd goły jak święty turecki. Bez samochodu, bez pieniędzy - i bez nikogo, do kogo mógłby otworzyć usta. Dokąd się uda po te wszystkie rzeczy?

- Wiemy, że dzwonił do żony - powiedział ten sam mężczyzna. - Prawdopodobnie powiedział jej, żeby wszystko załatwiła.

- Wiemy, że to była jego żona, czy tylko zakładamy? - zapytał Sherwood.

Twarz oficera oblała się rumieńcem.

- Hmm, mówił, że to jego żona. Wszyscy wybuchnęli śmiechem.

- Mówił też, że nazywa się Brighton. Nie sądzę, żebyście nagrali tę rozmowę, co? -

zapytała Irene.

- Co takiego? - Sherwood złapał się za głowę. - Pogwałcić Piątą Poprawkę?

Cholera. Tak myślałam - przemknęło jej przez głowę.

- Przez ten telefon konsultujemy się z prawnikami - wyjaśnił poważnie Sherwood. - Sędzia powiedział, że nie ma mowy o nagraniach.

- No dobrze - odezwała się Irene, sprawdzając w myślach jeszcze jedną możliwość. - Co wiemy o miłej pani Donovan?

- Wiemy, że uśmierciła cholernie dużo ludzi - mruknął drugi z mężczyzn, podczas gdy trzeci - Roper, zgodnie z nazwiskiem na identyfikatorze - odebrał dzwoniący telefon.

- No tak, dziękuję. Cóż za pomocna informacja. Czy ta dziewczyna prowadziła się z naszym chłopcem na tyle długo, aby zostać panią Brighton?

- Hmm, wie pani, co mówią - odpowiedział Sherwood z szerokim uśmiechem. - Nic tak dobrze nie cementuje związku jak dobra, krwawa hulanka.

- Mam coś! - oświadczył Roper, odkładając słuchawkę na widełki. - Wrzuciliśmy do komputera nazwisko Brighton ograniczając się do Phoenix i okolic. No i mamy bombę. Niejaki Travis Brighton uczęszcza do szkoły podstawowej imienia J.E.B Stuarta. Ten sam adres domowy co Jake'a - kemping Farm Meadows.

Irene walnęła w stół obiema dłońmi.

- O to chodziło! - krzyknęła. - To nasz najlepszy atut. Jeśli dostaniemy dzieciaka, to tak jakbyśmy mieli jego rodziców.

Sherwood zaczął wydawać rozkazy, chociaż jego ludzie sami zaczęli już działać.

- Wyślijcie wszystkie jednostki do tej szkoły! - krzyczał. - Oprócz tych, które obstawiają już dom Brightonów i warsztat samochodowy. Zadzwoncie do tej szkoły. Każcie im jakoś zatrzymać dzieciaka. - W pomieszczeniu zakotłowało się, ale Sherwood dmuchnął w gwizdek i ludzie w jednej sekundzie zamarli. - Pamiętajcie! Ten facet wymaga nieco dyplomacji. Mamy do czynienia ze znanym mordercą, który chce wyrwać dziecko ze szkoły. Krew dla niego to nie pierwszozna, zrozumiano? Powiedzcie wszystkim, żeby, do cholery, uważali na siebie.

Irene zadrżała na myśl o strzałach z broni automatycznej i rannych dzieciach.

- Ile czasu zajmie jednostkom dotarcie na miejsce?

Sherwood oparł ręce na żebrach i zaczerpnął głęboki oddech, spoglądając na mapę i dokonując obliczeń w myślach.

- Dziesięć minut, jak sądzę. Może dwanaście. Trochę daleko od asfaltu. Irene spojrzała na zegarek i westchnęła. Wydawało jej się, że to cała wieczność.

Znajdowali się niecały kilometr od szkoły.

Prowadząc furgonetkę na granicy ryzyka, Jake uświadomił sobie z dreszczem, o jak wysoką stawkę toczy się gra i jak bardzo to jest niesprawiedliwe.

Jakaś szalona, dziwaczna konspiracja, której nigdy do końca nie zrozumiał, kosztowała go całe życie: przyszłość i przeszłość. W ciągu tych wszystkich lat coraz rzadziej zdarzały mu się ataki paniki - te nagłe przyływy paranoi, kiedy ktoś rzucił mu dziwne spojrzenie, albo straszliwe chwile w sklepie spożywczym, kiedy słyszał: "Czy ja pana gdzieś nie widziałam?" - ale ich ciężar odebrał mu bezpowrotnie zaufanie do ludzi. Powoli, lecz konsekwentnie przekonanie o rządzącej światem sprawiedliwości erodowało, aż osiągnęło punkt krytyczny. Życie oznaczało przetrwanie: ciągłe upewnianie się, że pod koniec dnia nie straciło się tego, co najważniejsze. Dzisiaj nawet ten cel wydawał się trudny do osiągnięcia.

Jake zastanawiał się czasami, co by się stało, gdyby przestał uciekać i oddał się w ręce wymiaru sprawiedliwości. Przed laty znikanie wydawało mu się łatwe i bezpieczne. Teraz zdał sobie sprawę z popełnionego błędu. Uciekając, w oczach świata przyznawali się do winy.

Wpakowali się w to w chwili, gdy wierzyli jeszcze, że wszystko samo się jakoś ułoży. Myśleli, że złe rzeczy nie przytrafiają się dobrym ludziom, a ponieważ starali się być przyzwoitymi obywatelami, mieli nadzieję, że jakoś dotrą do szczęśliwego końca. Kiedy spoglądał teraz wstecz, ta naiwność wyprowadzała go z równowagi.

W ciągu tych wszystkich lat osiągnął kruchy wewnętrzny spokój, przesycony pesymizmem, którego wciąż była pozbawiona Carolyn. Jake obawiał się, że żona nigdy nie przestanie doszukiwać się we wszystkim jasnych stron - nigdy w pełni nie zrozumie, że ich przeznaczeniem jest przedwczesna śmierć. Najbardziej poszkodowany w całej tej sprawie był Travis. Czym zawinił w poprzednim życiu, że otrzymał rodziców, którzy zniszczyli mu dzieciństwo? I kimże oni byli, by wystawiać go na...

Nie, tak nie wolno - rozkazał sobie w duchu. - On jest twoim synem. Jesteś jego ojcem. Masz prawo. Ponosisz pełną odpowiedzialność.

Liczyła się tylko rodzina. Wszystko inne znaczyło naprawdę niewiele. Jake kłamałby, kradł, zabijał, byle ochronić żonę i syna, tak samo jak ten, kto ich wystawił, robiąc wszystko, aby ochronić swoją plugawą tajemnicę. A FBI z radością służyło pomocą prawdziwemu mordercy. Donovanowie stanowili jedną z największych niewiadomych w historii Biura i Jake mógł sobie wyobrazić rozbudzaną od lat w agentach żądzę zemsty - oczywiście w imię

sprawiedliwości.

Rząd wykorzystywał sprawiedliwość do zdobycia czy utrzymania władzy nad ludźmi. Politycy i ich pionki dbali jedynie o rozgłos i kolejne szczeble w karierze; schwycić przestępcę znaczyło otrzymać lepsze stanowisko, większy personel, efektowniej urządzone biuro. Nawet jeżeli zwykli ludzie, tacy jak Jake czy Carolyn, musieli paść ofiarą, aby te zamierzenia mogły się urzeczywistnić - cóż, czy miało to dla kogokolwiek znaczenie?

- Jake, kochanie, dobrze się czujesz? - Carolyn najwyraźniej starała się odwrócić jego uwagę.

- Co? Tak, wszystko w porządku - zmusił się do nieprzekonującego uśmiechu.

- Myślisz, że już wiedzą?

Zerknął na zegarek. Czternasta dwadzieścia.

- Och, tak, z pewnością. Jestem pewien, że właśnie dlatego wozy policyjne pędziły przez miasto. Szukają mnie. Do tej pory obstawili już nasz dom, warsztat, wszystko.

Jęknęła i obróciła się na siedzeniu chwytając go za rękę.

- W szkole też już są!

Ani jeden mięsień nie drgnął na jego napiętej twarzy.

- Możliwe. Rozpoznała to spojrzenie.

- O, Boże, Jake, nie możesz przecież wejść do szkoły i zacząć strzelać! Co zamierzasz zrobić?

Gdy spojrzał na nią, na jego twarzy malował się spokój i zdecydowanie.

- Zamierzam zabrać naszego syna. - A jeżeli policja już tam jest?

Wzruszył ramionami, przenosząc wzrok na drogę.

- Jeżeli jest tam policja, to prawdopodobnie będzie gorąco. - Ale, Jake...

Walnął otwartą dłońią w kierownicę.

- Do diabła, Carolyn, a mam inny wybór? Te sukinsyny nie dostaną mojego dziecka! Zabrali nam życie, jego życia nie wezmą! To nie ja zacząłem tę walkę. Wyjdę ze szkoły z Travisem albo w ogóle stamtąd nie wyjdę! Nie umiem tego prościej wyrazić.

Wpatrywała się w niego przez długą chwilę, ale nie odwzajemnił jej spojrzenia. Próbowwała wzniecić w sobie gniew, lecz w głębi duszy wiedziała, że miał rację. Jeżeli byli tu jacyś źli ludzie, to właśnie gliniarze - ci w Arkansas, którzy nie kwapili się, by szukać dowodów przeciwko temu, kto dokonał wówczas masakry.

Jake, którego poślubiła przed laty, był zupełnie inny niż ten zgorzkniały, cyniczny mężczyzna, który unikał teraz jej wzroku, zaciskając szczęki. Tego człowieka ukształtowało cierpienie i poczucie niesprawiedliwości, i był gotów uczynić wszystko, aby odzyskać to, co

mu się prawnie należało.

Rodzina na pierwszym miejscu, cała reszta na drugim.

Miał absolutną rację: nie pozostawiono im wyboru. Carolyn wysiłkiem woli odpędziła poczucie klęski, próbując wskrzesić w sobie choć odrobinę optymizmu. Nadszedł czas, by być silnym, nie słabym.

W miarę jak zbliżali się do szkoły, milczenie ciążyło coraz bardziej. Carolyn miała ochotę włączyć radio, byleby tylko przerwać ciszę, ale bała się, że usłyszy komunikat o ich ucieczce. FBI sklasyfikowało ich jako morderców, tego była pewna; krzyczały o tym wszystkie listy gończe. Kiedy Jake zatrzymał furgonetkę przy krawężniku na wierzchołku stromego wzgórza tuż za szkołą, czuła się strasznie ze świadomością, że on naprawdę był gotów zabijać w razie konieczności - aby sprostać temu, czego od niego oczekiwano.

- Dlaczego tu stanąłeś? - zapytała. - Podjedź pod samo wejście i skończmy z tym szybko.

Pokręcił głową.

- Nie, gliniarze będą nas szukać albo w subaru, albo w celice. Nie chcę, żeby ktoś powiedział im o furgonie. - Zaciągnąwszy hamulec ręczny, obrócił się twarzą do niej. - A teraz posłuchaj, jak ja to widzę, dobrze? - Mówił spokojnie, kontrolując swój głos. - Chcę, żebyś czekała tutaj z włączonym silnikiem. Jeżeli nie wrócę w ciągu piętnastu minut, odjedź beze mnie.

Próbowała mu przerwać, ale nie pozwolił.

- Jeżeli usłyszysz strzały, policz do trzydziestu i odjeżdżaj. Znajdę jakoś z Travisem drogę do bezpiecznego domu. Planuję po prostu normalnie wyjść ze szkoły, ale jeżeli zobaczysz, że wlecemy tyłki pod górę, przesiądź się za kierownicę i bądź gotowa.

- Skończyłeś? - rzuciła przez zaciśnięte usta. Zastanowił się chwilę, po czym skinął głową.

- Tak, skończyłem.

- No to pozwól mi powiedzieć, jak to naprawdę będzie wyglądało - odparowała ogólnie. - Czekam tu na ciebie. Koniec, kropka. Dwie godziny, wystrzały, nic mnie to nie obchodzi. Czekam. Jesteśmy razem, Jake, na zawsze. - Oczy ponownie zaszyły jej łzami, ale tym razem nie powstrzymywała się.

Kiedy ostatni raz czuli się sobie tak bliscy? Uśmiechnęła się, gdy wyciągnął rękę i ujął jej podbródek. Sprzeczenie się byłoby stratą czasu i doskonale zdawał sobie z tego sprawę.

- Kocham cię, wiesz o tym.

Jej usta były smutne, ale w oczach miała uśmiech. Przykryła jego dłoń swoją.

- Kochaj mnie na tyle mocno, żeby tu wrócić.

- Obiecuję.

Powiedzieli sobie wszystko, co należało. Wyskoczył z furgonetki i zatrzasnął drzwi. Naciągnął mocniej kurtkę, chroniąc się przed przenikliwym wiatrem. Przycisnął łokciem glocka, żeby się upewnić, czy wciąż tam jest. Boże, jaki piękny dzień! Zbyt piękny na załatwianie takich spraw.

Zbiegł po stromych betonowych schodkach, które, według ulotki przesłanej im w zeszłym tygodniu do domu, stanowiły zagrożenie dla dzieci. Zdaje się, że jakaś dziewczynka potknęła się w tym miejscu i nagle okazały się zbyt niebezpieczne dla pozostałych uczniów.

Przebiegł przez opustoszałe boisko. Zatrzymał się na kilka sekund, żeby popatrzeć na furgonetkę, aż wreszcie zniknął za rogiem.

Szkoła podstawowa imienia J.E.B. Stuarta - niemalże wszystko na Dalekim Południu nazywano tak na cześć jednego z bohaterów Konfederacji - mieściła się w długim, jednopiętrowym budynku, nie liczącym sobie nawet pięciu lat. Wzniesiony ze szkaradnej brązowej cegły, został zaprojektowany jako energooszczędny. W każdej klasie było tylko jedno okno, którego zresztą nigdy nie otwierano, chyba że w nagłych wypadkach. Jak pokazywały standardowe testy oceniające poziom placówek dydaktycznych, szkoła Stuarta odnosiła większe sukcesy niż większość szkół w Karolinie Południowej, zawdzięczając to sprawnie działającemu Komitetowi Rodzicielskiemu oraz licznej grupie prymusów.

Zbliżywszy się do budynku, Jake po raz pierwszy uświadomił sobie, że w swoim planie ucieczki nigdy nie uwzględnili edukacji Trávisa. Kolejna dziura.

Cholera.

Jako nauczyciel potrafił sprostać wymaganiom programowym ósmej klasy, ale wciąż pozostawała kwestia doboru podręczników. Jak mogli przeoczyć coś tak oczywistego?

Jakie to ironiczne - pomyślał z goryczą - że po wielu latach planowania i symulacji, przerabiania setek scenariuszy typu "co by było gdyby", pierwsze poważne słabości wychodziły na jaw jeszcze przed wprowadzeniem planu w życie. Niech to wszyscy diabli!

Zbliżając się do frontowych drzwi, rozglądał się czujnie dookoła, szukając śladów czegoś niezwykłego. Jeżeli policja obstawiła szkołę, to wykonali kawał dobrej roboty. Ponownie przycisnął łokciem glocka.

Proszę cię, Boże, wybac mi to, co mogę uczynić. - Zuchwalstwo tkwiące w tej modlitwie na wszelki wypadek, czyli w asekurowaniu się z obu stron, wywołało uśmiech na jego twarzy.

Przeszedł przez dwie pary podwójnych drzwi i znalazł się w korytarzu udekorowanym z

okazji Święta Jesieni. Z podwieszonego sufitu zwisały krzykliwe sztandary. Pewnego dnia zakazano celebrowania Halloween w tej szkole, ponieważ jakaś religijna fanatyczka mająca zbyt wiele czasu odkryła, że Halloween jest w istocie świętem pogańskim i jako takie pogwałca konstytucyjną niezależność Kościoła od państwa.

Zdumiewające.

Po prawej stronie, nieco z tyłu, ujrzał trzy zdjęcia dzieci umieszczone pod napisanym staroangielską czcionką tekstem "In Memoriam". Zza obrazów wзираły kolorowe kokardy. Ten widok zmartwił Jake'a. Za jego czasów dzieci nie umierały.

Przez szklane przepierzenie sekretariatu dostrzegł pięć osób z personelu, zgromadzonych przy końcu znajdującego się tuż przy drzwiach kontuaru: mężczyzna i cztery kobiety. Zdawali się ożywieni, wyraźnie czymś przejęci. Szczególnie mężczyzna, w którym Jake rozpoznał dyrektora Menefee, sprawiał wrażenie wyjątkowo zaaferowanego, co uwidoczniała gniewna zmarszczka przecinająca czoło. Najwyraźniej dyskutowali o czymś nieprzyjemnym i Jake domyślał się o czym.

Sięgając do klamki, napotkał spojrzenie jednej z kobiet. Rozdziawiła usta i z twarzą białą jak kreda postukała Menefee w plecy. Na widok tężejącej twarzy mężczyzny Jake poczuł ucisk w żołądku. Dyrektor spojrzał na niego stanowczo, bez lęku i nagle Jake'owi przyszło do głowy, że Menefee może okazać się kłopotliwy. Zatrzymał się, by rozpiąć płaszcz, po czym popchnął drzwi i wszedł do środka.

Rozmowa urwała się w jednej chwili. Jake uświadomił sobie, jak męczą go takie niezręczne cisze.

- Witam państwa - powiedział najbardziej radosnym tonem, na jaki mógł się zdobyć. - Przyszedłem po syna.

Odpowiedziało mu milczenie. Wszystkie cztery kobiety zwróciły oczy na swego szefa, który sprawiał wrażenie nie przygotowanego do odpowiedzi.

- Ja... obawiam się, że my... hmm, nie możemy... hmm, tego dla pana zrobić - wyjąkał dyrektor.

Jake uśmiechnął się cierpliwie. Niewątpliwie ten facet słyszał o porannych zdarzeniach i chciał zyskać na czasie, prawdopodobnie aby ochronić Travisa przed czymś, co pojmował jako zagrożenie dla chłopca. W głębi serca podziwiał Menefee za odwagę. Facet miał jaja.

- Szczerze mówiąc - odezwał się Jake najłagodniej jak potrafił - to nie jest prośba, tylko stwierdzenie. Przyszedłem po syna. - Kiedy nikt się nie poruszył, dodał: - Odbiorę go teraz. - Oparł prawy łokieć o kontuar, odsuwając połę płaszcza. Nie wiedział, czy tym ruchem odsłonił pistolet, ale najwyraźniej Menefee trafnie zinterpretował ten gest. - Myślę, że ma teraz

angielski - dodał Jake.

Menefee zwrócił się do jednej z kobiet.

- Pani Harris, czy mogłaby pani skontaktować się z panią Friedrich i powiedzieć jej, że pan Brighton czeka tu na syna?

Kobieta poruszyła się, ale Jake sparaliżował ją słowami.

- Szczerze mówiąc, pani Harris, chciałbym, żeby pani Friedrich po prostu przysłała Trávisa do sekretariatu. Może pani opuścić ten fragment dotyczący mojej osoby. To będzie niespodzianka. - Następnie, jakby po namyśle dodał: - Jeśli nie ma pani nic przeciw temu, proszę mu powiedzieć, żeby wziął ze sobą książki i kurtkę.

Pani Harris pokiwała posłusznie głową i podążyła szybko do konsoly. W tym samym momencie druga kobieta, ta w białym fartuchu pielęgniarki, zanurkowała rozpaczliwie do sąsiedniego pomieszczenia.

- Proszę tu zostać! - zawołał Jake w ślad za nią i podbiegł do drzwi, za którymi zniknęła. Kobieta od początku sprawiała wrażenie mocno wystraszonej. Teraz znieruchomiła pośrodku gabinetu pielęgniarek, mrużąc oczy, jakby w obawie przed ciosem. Na krawędzi leżanki w drugim końcu pomieszczenia siedziała mała dziewczynka o blond włosach związanych w kucyk - wyglądała na młodszą siostrę którejś z uczennic. Choć wyraźnie zalekciona, nie stanowiła bezpośredniego zagrożenia, więc Jake ją zignorował.

- Proszę - ponaglił, zwracając się do pielęgniarki - porozmawiajmy na korytarzu, dopóki nie przyjdzie Travis.

Kobieta wyrzuciła ramiona w górę, wywołując uśmiech na jego twarzy.

- Może pani opuścić ręce. Naprawdę, nie przyszedłem tutaj, by kogokolwiek skrzywdzić. Chciałbym tylko, żebyście się nie rozchodzili.

- Czy pan naprawdę zabijał ludzi, panie Brighton? - zapytała niespodziewanie dziewczynka z kucykiem.

Pytanie zdekoncentrowało go zupełnie. Spojrzał na nią uważnie, szukając czegoś, czego wcześniej nie zauważył. Sprawiała wrażenie szczerze zaciekawionej.

- Nie, skarbie - odpowiedział. - Nigdy nikogo nie skrzywdziłem. - Zbliżył się nieco i pochylił, by spojrzeć jej prosto w oczy. - Naprawdę.

Mała, najwidoczniej usatysfakcjonowana, uśmiechnęła się.

- To dobrze.

Pogłaskał ją po głowie uważając, żeby nie zmierzić jej fryzury, po czym przeniósł uwagę z powrotem na dorosłych w gabinecie.

- Czy już pani zadzwoniła, pani Harris?

- N... nie - bąknęła. - Ja... ja myślałam, że chce pan to słyszeć.

- To bardzo rozsądne z pani strony - z pewnym wysiłkiem ułożył usta w uśmiech. - A zatem proszę to zrobić. Zamieniam się w słuch.

Kobieta wcisnęła guzik na konsolce.

- Pani Friedrich? - zapytała.

Głuchy głos z głośnika brzmiał odległe.

- Tak?

Pani Harris zerknęła na Jake'a, zanim przemówiła ponownie:

- Czy mogłaby pani przysłać Trávisa Brightona do sekretariatu?

W tle rozległo się grupowe "ooo" całej klasy. Wycieczka do gabinetu dyrektora nie wróżyła nic dobrego.

- Klasa! Spokój! - Na rozkaz pani Friedrich w sali zaległa cisza. - Dobrze - powiedziała do mikrofonu. - Coś jeszcze? - najwyraźniej oczekiwała na podanie przyczyny.

- Proszę dopilnować, żeby wziął ze sobą książki i kurtkę. - Pani Harris odwróciła się do Jake'a. Sprawiała wrażenie zadowolonej z uśmiechu, jaki otrzymała w zamian.

- Jakie książki? - spytała pani Friedrich.

Nauczycielka zerknęła na Jake'a, który jedynie wzruszył ramionami.

- Wszystkie - odpowiedziała.

- Wszystkie?

Pani Harris rzuciła kolejne spojrzenie, ale Jake ponaglił ją gestem. Odwróciła się ponownie do mikrofonu, najwyraźniej nie wiedząc, co powiedzieć. W końcu poddała się i wyłączyła konsolę.

Takie rozwiązanie wydało się Jake'owi zabawne.

- Nieźle to pani rozegrała, pani Harris - pochwalił. Kobieta była z siebie wyraźnie dumna.

- Po co wplątywać w to dziecko, Brighton? - zapytał Menefee tonem ojca besztającego syna.

Uśmiech zniknął z twarzy Jake'a. Długo piorunował mężczyznę wzrokiem, zastanawiając się, czy odpowiedzieć.

- Nie patrz na mnie jak na kogoś, kto znęca się nad dziećmi, Menefee - odparł w końcu.

- Na wypadek gdybyś jeszcze sobie nie uświadomił, właśnie nadszedł czas, żebyś zaczął być bardzo, bardzo ostrożny.

Menefee pokręcił głową i wyprostował się, jakby odzyskał utraconą wcześniej odwagę.

- Nie patrzę na ciebie jak na kogoś, kto znęca się nad dziećmi, Brighton. Patrzę na ciebie

jak na mordercę, ponieważ nim jesteś.

Cztery kobiety jęknęły równocześnie. Pani Harris przycisnęła dłoń do piersi - jakby dostała ataku serca - i rzuciła Menefee zdumione, a zarazem gniewne spojrzenie. Wszystkie odsunęły się od szefa, co przypomniało Jake'owi sceny z westernów, gdzie ulica pustoszeje przed ostateczną rozgrywką.

Ani na chwilę nie spuścił wzroku z Menefee, kątem oka rejestrując jednocześnie poczynania pozostałych osób w pomieszczeniu. Wyczuwał, że sprawy nie potoczą się dokładnie według planu. Menefee postępował głupio, wdając się w słowne potyczki. Na co liczył, podejmując walkę z uzbrojonym człowiekiem?

- Gdybym był mordercą - Jake uważnie dobierał słowa - już byś nie żył, Menefee. Jak na razie, nawet cię nie przestraszyłem.

- Przynosisz broń do mojej szkoły ...

Jake uciszył go raptownym ruchem lewej ręki i Menefee skulił się. W innych okolicznościach taka reakcja rozśmieszyłaby Jake'a, lecz nie tym razem. Zatrzymał palec wskazujący tuż przed czubkiem nosa dyrektora.

- Najwyższy czas, żebyś się zamknął - ostrzegł. - Nie zrobiłem nic złego. To nie twoja sprawa, ale zapewniam cię, że dotąd, nikogo nie zabiłem - przerwał, przesuwając wzrokiem po osobach w gabinecie. Jedna po drugiej wszystkie kobiety z wyjątkiem małej dziewczynki odwróciły wzrok. - Zapewniani cię również, że zrobię wszystko, aby ochraniać moją rodzinę. Czy to jasne, Menefee?

Wzrok dyrektora błędził pomiędzy koniuszkiem palca a pistoletem na biodrze Brightona. Przełknąwszy głośno ślinę, skinął głową. Jake powoli opuścił palec.

- To dobrze. A teraz może sobie usiądziesz. Menefee zawahał się na chwilę.

- Proszę - nalegał Jake, wskazując ręką w kierunku jednego z trzech metalowych biurków stojących za kontuarem. - Niczego nie ruszaj, zgoda? A szczególnie telefonu. Już prawie skończyłem.

Minęło zaledwie jedenaście minut, a Carolyn zdążyła już zmarznąć. Zwiększyła ogrzewanie w samochodzie, uświadamiając sobie jednocześnie, że nie chodzi o chłód z zewnątrz. To nerwy. Zawsze w takich sytuacjach temperatura jej ciała wzrastała. Czuła, że stopy odparzają jej się od nawiewanego gorąca, a mimo to nie mogła powstrzymać się od dygotania.

To trwało zbyt długo. Co to za problem wejść do środka, zabrać Tralisa i wyjść? Pięć minut? Może dziesięć? Teraz mijała dwunasta, a ona wciąż nie widziała swoich mężczyzn. Nie mogła sobie wybaczyć, że puściła Jake'a samego. Nie powinna tak łatwo ustępować. W razie niepowodzenia wspólnie ponieślby konsekwencje. Świadomość bezsilności stała się nie do wytrzymania.

Dwukrotnie zabierała się do wysiadania z furgonetki, żeby sprawdzić, co się dzieje, ale za każdym razem coś ją powstrzymywało. Gdyby sprawy nie ułożyły się po ich myśli, była potrzebna właśnie tutaj. Jej umysł wykreował koszmarny scenariusz, w którym Jake ciągnął Tralisa pod górę z gliniarzami depczącymi im po piętach, tylko po to, by zastać pusty furgon.

Ile razy to powtarzał? Wystarczy trzymać się planu, a sukces murowany.

W głębi serca czuła jednak, że ten plan skazany jest na niepowodzenie. Bo jakim cudem miałby się powieść? Istniało milion zmiennych z miliardem kombinacji. Na przykład ta cała sprawa z Tralitem i wycieczka w plener. Kto by pomyślał? Albo ten poranny nalot narkotykowy w sklepie... Nic nie pokrywało się z ich przewidywaniami. Do diabła, początkowa wersja planu nie uwzględniała nawet istnienia Tralisa.

Dawniej mieli obsesję planu. Pracowali nad nim co noc, inwestując tysiące dolarów w sprzęt, narzędzia i bezpieczną kryjówkę w górach. Boże, ten dom! Ile czasu minęło od chwili, gdy widziała go po raz ostatni? Jedenaście lat? Może dwanaście? Travis był wtedy maluchem. Nawet wtedy to schronienie bardziej przypominało szczurzą norę. Bezpieczny dom - w rzeczywistości stara przyczepa kempingowa, którą Jake ochrzcił wzniosłym mianem Jaskini Donovanów - stał pośrodku szlaku wijącego się wśród wzgórz Wirginii Zachodniej, dokładnie na granicy cywilizacji. Jake przeczytał o nim w ogłoszeniach lokalnej gazety w Beckley i kupił go od banku za piętnaście tysięcy dolarów gotówką, w przeddzień przetargu. Zgodnie z informacjami biura nieruchomości, przyczepa należała teraz do niejakiego Francisa Wheelera z High Point w Karolinie Północnej. Czasami Carolyn zastanawiała się, jakim cudem Jake'owi nie myliły się te wszystkie nazwiska.

Początkowo miał obsesję na ich punkcie. Zawsze było mu mało. Mniej więcej co tydzień, przez ponad rok, chodził do biblioteki, gdzie uważnie studiował nekrologi w kilkunastu poczytnych gazetach. Kiedy już miał nazwisko, po prostu dzwonił do Wydziału Motoryzacji pod pretekstem sprawdzenia danych dla firmy ubezpieczeniowej. Trochę paplaniny, stek blefów i jakoś udawało mu się wyciągnąć od urzędnika numer ubezpieczeniowy kierowcy. Kiedy miał ten magiczny dziewięciocyfrowy identyfikator, reszta nie przedstawiała żadnej trudności. Używając wielu adresów, a raczej puszek na listy należących do niedawno zmarłych - co miesiąc innej - otrzymywali nowe prawa jazdy.

Brightonowie przetrwali o wiele dłużej, niż mogli przypuszczać. I to tylko dzięki Travisowi. Kiedy dziecko przyszło na świat, zmiany nazwisk stały się niewspółmiernie bardziej skomplikowane. A z chwilą gdy nauczył się mówić, przestały być brane pod uwagę. W jaki sposób by mu to wytłumaczyli? Zgadziali się, że pewnymi tajemnicami nigdy nie można będzie się podzielić z chłopcem. A więc zostali na dobre rodziną Brightonów, zgodnie z nazwiskiem widniejącym na metryce urodzenia Trávisa.

Reszta była po prostu sprawą ostrożności. Postępując zgodnie z obowiązującym prawem, płacąc w terminie podatki i wtapiając się w tłum, udawało się jakoś przetrwać. Patrząc w przeszłość, Carolyn stwierdziła, że stali się zbyt wygodni. W dużym stopniu zatracili dawną czujność.

Teraz krąg systematycznie zacieśniał się wokół nich i wcale nie była pewna, czy jeszcze potrafi sobie z tym wszystkim poradzić. Miała teraz trzydzieści sześć lat, Jake trzydzieści osiem. Byli za starzy, aby zaczynać wszystko od początku. A Travis? Co mu powiedzą? Jak to się stało - zastanawiała się - że nigdy nie przedyskutowali wyczerpująco części planu dotyczącej ich syna? Zupełnie jakby obawiali się otworzyć te szczególne drzwi, w obawie przed tym, co może się za nimi czaić.

Czy Travis kiedykolwiek wybaczy im te wszystkie kłamstwa? Czy nie znenawidzi ich, kiedy dowie się prawdy? Jakkolwiek by na to patrzeć, nie było to niewinne kłamstewko o świętym Mikołaju. Całe życie ich syna zostało wzniesione na fundamencie z piasku. Wszystkie dokumenty chłopca były wystawione na Trávisa Brightona, syna Carolyn Davies Mallone i Jacoba Aubreya Brightona. Prawdziwi właściciele tych nazwisk, posługujący się takimi a nie innymi numerami ubezpieczenia, od dawna nie żyli; zginęli w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim roku w nie związanych ze sobą wypadkach samochodowych.

Jakie to miało znaczenie dla Trávisa - zastanawiała się - że jego rodzice w ogóle nie istnieli? Czy musiałby zmienić nazwisko, gdyby ich schwytano? Czy mogliby nie zmieniać nazwiska, gdyby ich nie rozpoznano? Tysiące pytań zalewało powodzią jej umysł, kiedy

dygotała w ciepłym wnętrzu samochodu, próbując znaleźć w tym wszystkim jakiś ukryty sens. W nagłym przyplywie pesymizmu zdała sobie jasno sprawę, że nie mieli pojęcia, co, do diabła, robili. Tajemnica tego, że przetrwali, nie kryła się w ich planie, ale raczej w umiejętności dostosowania się do przypadkowych zdarzeń, jakie niosło życie. Planowanie to był tylko sposób na uzbrojenie się w cierpliwość i nadzieję, że jakoś to będzie.

Zadrzała ponownie i złapała się na tym, że myśli o butelce Jacka Blacka ukrytej w płóciennym worku. To mnie rozgrzeje - usprawiedliwiała się przed sobą. Ślina napłynęła jej do ust na samą myśl o jasnobrązowym trunku...

Nie! - rozkazała sobie z mocą i przez moment wydawało jej się, że wypowiedziała to słowo na głos. - Nie czas na takie rzeczy.

Zobaczyła wóz policyjny dopiero, gdy przemknął tuż obok, zmierzając w kierunku szkoły.

O Boże! Proszę, nie.

Serce waliło jej w piersiach, gdy błękitno-biały radiowóz zwolnił przed głównym wejściem, wchodząc w ostry zakręt.

- Cholera! - tym razem odezwała się na głos i wślizgnęła się za kierownicę. - O Boże. No, dalej, chłopaki! - jęknęła przez zaciśnięte zęby. Nigdzie ich nie dostrzegła. - Niech to wszyscy diabli!

Sięgnawszy lewą ręką między kolana, pociągnęła dźwignię i niezdarnie przysunęła fotel do kierownicy - za pierwszym razem za blisko, za drugim odsunęła się za daleko. Dopiero po kolejnych dwóch czy trzech próbach ustawiła fotel właściwie. Wcisnęła sprzęgło, sięgając jednocześnie do dźwigni zmiany biegów i znieruchomiła.

Jakimś sposobem lśniaca, mała trzydziestkaósemka znalazła się w jej dłoni.

- Dwa dni z rzędu - mruknął Travis, wkładając kurtkę i wciskając książki do plecaka. Zamknął szafkę. - To już wchodzi w zwyczaj. - Tym razem nie miał pojęcia, co przeskrobał; najwyraźniej w końcu wywalono go ze szkoły. Z jakiego innego powodu miałby zabierać wszystkie książki?

Dziś rano powinienem był pocałować Menefee w jego tłustą dupę - pomyślał. A zresztą, niewielka strata. I tak nie cierpiał tej szkoły.

Jak, do diabła, powie o tym ojcu? Tak, dziś wieczorem w Farm Meadows zanosilo się na ostre krzyczando. Zastanawiał się mimo woli, czy mama będzie go tulić, kiedy krzyki ojca wypełnią ich niewielki dom, czy też tata na osobności spełni swoją powinność.

Kiedy skręcił z korytarza G do skrzydła administracyjnego, zaczął szukać w myślach

wykroczenia, jakie dzisiaj popełnił. Niewątpliwie nie wyrzucaliby go za to, że po szkole wystawił się na ciosy brata Erica Lampiera. A może właśnie o to chodziło? Jeżeli będzie musiał ponownie opowiadać historyjkę o oku kolejnemu belfrowi o kamiennej twarzy, to chyba się porzyga. Pani Benoli, szkolny pedagog, pytała go chyba kilkanaście razy, czy mama albo tata go biją. Tak jakby chciała usłyszeć od niego pozytywną odpowiedź.

Oczywiście nie dał jej satysfakcji. Powiedział, że nie pamięta, kiedy ojciec ostatnio go uderzył. Nie była to do końca prawda, ale lanie za pogryzienie w przedszkolu Tommy'ego Mutiona raczej nie wyglądało na rodzicielskie nadużycie władzy, na jakie czyhała ta stara wiedźma.

O mało nie narobił w gacie, kiedy skręciwszy po raz ostatni, zobaczył za rogiem własnego starego. Taak, chodziło o jakieś poważne gówno.

- Cześć, tato - bąknął głupawo, otwierając szklane drzwi. - Dzień dobry, panie Menefee.
- Travis nie należał do lizusów, ale w tej chwili nie wydawało mu się to najgorszym wyjściem.

- Cześć, Trav - odpowiedział Jake, zmuszając się do uśmiechu. Coś tu się działo i Travis wyczuwał prawie namacalnie napięcie wiszące w powietrzu. - Masz wszystko?

Chłopak wzruszył ramionami.

- No. Gdzie idziemy?

Jake otoczył syna ramieniem, nie spuszczać wzroku z Menefee.

- Na małą przechadzkę - odparł krótko.

- Nie mieszaj go w to, Brighton - powiedział z naciskiem Menefee, ośmielając się wstać z krzesła. Travis rozpoznał groźbę w jego głosie.

- Nie wtrącaj się, Menefee - ostrzegł Jake, ponownie podtykając palec wskazujący pod nos dyrektora.

Travis obserwował tę wymianę zdań jak mecz tenisa, przenosząc wzrok z jednego mężczyzny na drugiego. Pani Harris wyglądała, jakby miała się rozplakać.

- Co tu się dzieje? - zapytał. - Czy z mamą wszystko dobrze? Jake szybko zerknął na syna.

- Wszystko z nią w porządku - powiedział niezbyt przekonująco. - Menefee, rób to, co ci wyjdzie na zdrowie, słyszysz? Po prostu nie wtrącaj się.

- Nie ujedziesz nawet dwudziestu kilometrów - upierał się dyrektor. - Dosyć tego! - warknął Brighton wycofując się ku drzwiom. - No, synu, chodźmy.

Travis czuł się strasznie niezręcznie.

- O czym on mówi? Gdzie nie ujedziemy dwudziestu kilometrów?

- Chodźmy, chodźmy! - Jake popędził chłopca.

Travis podążył za ojcem idącym szybko, lecz ostrożnie w kierunku głównego wejścia. W tym właśnie momencie wóz policyjny zahamował na miejscu przeznaczonym dla autobusów.

- Ale jaja! - wykrzyknął Travis. - Spiesz im się.

Jake odwrócił się i stanął twarzą do głównych drzwi akurat w chwili, gdy niebiesko-biały radiowóz hamował.

- Cholera!

- Co się stało?

Jake schwycił chłopca za dżinsową kurtkę i popchnął go mocno w lewo, w kierunku drzwi na drugim końcu korytarza. - Chodź, Trav, szybko - krzyknął wyciągając Glocka.

- Do diabła, tato! Co ty...

- Cicho! - warknął Jake, ciągnąc mocniej za kurtkę chłopca. Travis instynktownie uwolnił się z uchwytu.

- Po co ta spluwa?

- Ruszaj się!

Desperacki ton i nerwowe spojrzenie były czymś zupełnie nowym dla Trávisa. Nigdy nie widział ojca w takim stanie. Działo się coś o wiele poważniejszego niż wszystko, co wydarzyło się do tej pory. Przerażony chłopiec ledwie zdawał sobie sprawę, że biegnie korytarzem, łamiąc wszelkie zasady.

Jego ojciec miał broń! I najwyraźniej zamierzał jej użyć. Do cholery, wyglądało na to, że z niecierpliwością czekał na okazję. Co to, u diabła, miało znaczyć?

Travis pędził po lśniącem linoleum, robiąc po dwa susy na jeden Jake'a. Wypadli na zewnątrz, skręcili ostro w lewo i puścili się sprintem ku wzgórzu.

- Uciekamy przed policją? - wysapał Travis, starając się dotrzymać kroku ojcu, kiedy ten wspinał się po trawiastym zboczu.

Gdybyś wiedział, co robimy - pomyślał Jake.

- Wyjaśnię ci w samochodzie - odparł krótko.

Jake pokonywał stromy stok długimi susami; stopy ślizgały mu się na mokrej trawie. Runął jak długi twarzą w dół, ale już po sekundzie gramolił się dalej pod górę. Dwa kroki naprzód, jeden w tył.

Travis zwolnił po dwóch upadkach. Jake schwycił za plecak na ramionach chłopca i szarpnął mocno.

- Biegnij, do cholery! - syknął.

Kiedy znaleźli się na szczycie wzgórza, krzyknął radośnie, ujrawszy na pustej ulicy

furgonetkę z włączonym silnikiem.

Czując równy grunt pod nogami, Travis zaczął biec, ale Jake powstrzymał go stanowczo.

- Nie. Teraz idź. I wsiądź do tego furgonu.

- Czyj to wóz?

- Nasz. A teraz wskakuj. - Jake popchnął syna i jednym pociągnięciem otworzył tylne drzwi.

- Gdzie mam usiąść? - To była typowa bagażówka. Żadnych siedzeń ani okien, tylko dwa rzędy równoległych półek przymocowane po obu stronach przestronnego wnętrza. Travis dostrzegł mamę, która wyglądała na jeszcze bardziej przerażoną niż ojciec.

- Wszystko jedno - rzucił Jake, ciągnąc go za ramię. Travis ponownie się wyswobodził.

- Nie - rzucił. - Nigdzie nie jadę.

Nic się tu nie zgadzało. Ci ludzie nie mogli być jego rodzicami. Wyglądali tak samo, lecz zachowywali się jak szaleńcy. Miał wrażenie, że nagle znalazł się w środku akcji jakiegoś filmu science fiction, w którym najeźdźcy z kosmosu przyjmują postać ludzi. Paraliżujący strach ścisnął mu trzewia. Nie spełni ich żądań, dopóki ktoś nie wytłumaczy mu, co tu się, u diabła, dzieje.

- Travis, nie ma teraz czasu. Wsiadaj!

- Przerażacie mnie! - krzyknął na tyle głośno, aby ściągnąć uwagę ewentualnego przechodnia.

- Wsiadaj do tej pieprzonej furgonetki! - Jake objął go w pasie i podniósł do góry.

- Zostaw mnie!

Carolyn była bliska paniki. Nie odrywała oczu od dalekiego krańca ulicy, gdzie w każdej chwili mogli pojawić się policjanci.

- O Boże, Travis - błagała. - Nie krzycz tak!

Jake zrozumiał, że zмага się z synem nadaremnie, i puścił go.

- Posłuchaj mnie - zaczął mówić szybko. - Wiem, że cię to przeraża i że wszystko wydaje ci się bez sensu, ale musisz wsiąść do tego samochodu i musimy stąd odjechać. Policja ściga nas za coś, czego nie zrobiliśmy. Teraz są zaledwie przecnicę stąd.

- Jake, pospiesz się! - Carolyn zaczynała tracić kontrolę nad nerwami. Zlekceważył jej prośbę.

- Obiecuję, że wyjaśnię ci wszystko, jak tylko ujedziemy kawałek. Ale teraz musisz mi po prostu zaufać. Jeżeli nie wsiądziesz do tej furgonetki, mama i ja zginiemy.

Travisowi zakręciło się w głowie. Siedzenie w kozie, moralizatorskie wykłady Menefee

czy lanie od Terry'ego Lampiera - to potrafił zrozumieć, ale ta sytuacja najzwyczajniej go przerastała.

- Proszę, Travis! - błagała matka roztrzęsiona.

Coś tu nie grało. Powinien stąd uciekać - do gliniarzy, a nie przed nimi. Umysł podpowiadał mu to nawet wtedy, gdy wsiadł do samochodu i pochłonęły go ciemności.

- Kochanie, proszę, pospiesz się! - błagała Carolyn, kiedy Jake otworzył drzwi od strony pasażera. Ruszyła w chwili, gdy opadł ciężko na fotel. Zawróciła z piskiem opon i wjeżdżając jednym kołem na przeciwległy krawężnik, skierowała się ku Szlakowi Konfederatów i bezpieczeństwu.

- Uważaj na szybkościomierz - ostrzegł Jake. - Przekraczasz dozwoloną prędkość o trzy kilometry.

- Niech ktoś mi wreszcie powie, o co tu chodzi! - krzyknął Travis.

W bocznym lusterku Carolyn dostrzegła policyjny radiowóz, który wyłonił się nagle zza rogu ulicy na szczycie wzgórza.

- Cholera - wyrzuciła z siebie. - Jadą za nami.

Jake odwrócił się i zobaczył błyskające niebieskie światła.

- Do diabła. - Wygramolił się ze swego miejsca i kucnąwszy za fotelem kierowcy, patrzył w boczne lusterko.

- Słuchaj - powiedział szybko. - Możemy ich nabrać.

- Jak? - panika zmieniła głos Carolyn.

- Zachowując się normalnie - uspokoił żonę. - Przecież oni nie szukają furgonetki, tylko subaru albo celiki. I nie szukają ciebie, tylko mnie.

- Szukają nas.

Jake wzruszył ramionami.

- Przecież nie byliśmy razem w szkole. Słuchaj, to najlepszy pomysł, jaki przychodzi mi do głowy. Kto wie, może nas nawet nie zatrzymają?

Przesunął się do syna, który sprawiał wrażenie sparaliżowanego strachem.

- Boże, tato, co się dzieje?

Jake patrzył na niego przez długą chwilę, szukając w umyśle prostej odpowiedzi.

- Uciekamy - odrzekł najprościej jak potrafił. I choć wydaje się to przerażające i nieuczciwe, jesteś częścią tej historii. - Jeżeli Travis docenił szczerłość ojca, nie dał tego po sobie poznać. Jake ściągnął z półki dwa zielone wełniane koce wojskowe. - Masz - rzucił. - Nakryj się tym i leż cicho.

Travis patrzył na niego podejrzliwie.

- Po co?

Jake przysunął się bardzo blisko do syna i wyszeptał spiętym głosem:

- Travis, posłuchaj mnie, dobra? Jesteśmy zdesperowani. Nie możesz ciągle żądać ode mnie wyjaśnień. Po prostu zrób to dla mnie. Nie mogą nas dopaść.

Błękitne oczy chłopca rozszerzyły się i zamglily. Biedny dzieciak był przerażony i nie rozumiał, co się Wokoło niego dzieje. Pokiwał jednak głową i nasunął koce na twarz.

- Zatrzymuj mnie - odezwała się z przodu Carolyn.

Jake opadł na kolana i wczołgał się na tyły samochodu, obok Trávisa. Nie wypuszczając broni z ręki, zakrył się kocem po brodę, gdy usłyszał, jak żużel na poboczu zachrząścił pod kołami.

- Travis - wyszeptał - ani słowa. Chłopak skinął głową spod koców.

- A ty, Carolyn, pamiętaj - dorzucił Jake głośnym szeptem. - Jesteś teraz Carrie Durflinger. - Po namyśle sięgnął ręką i zablokował tylne drzwi.

Carolyn wciągnęła powietrze nosem, zatrzymała w płucach, a następnie wypuściła cicho ustami. Ten pomysł nie należał do planu, ale mógł im pomóc. Po wizycie w szkole policja będzie szukała Jake'a i zupełnie innego samochodu. To kruche pocieszenie opierało się na założeniu, że gliniarze nie dojdą od razu po nitce do kłębka. Carolyn zadrżała ponownie. Musiała postawić wszystko na jedną kartę.

Nagle zdała sobie sprawę, że trzyma w ręku trzydziestkęósemkę. Oczywiście nie miała najmniejszego zamiaru ostentacyjnie nią wymachiwać, ale nie zdążyła nawet pomyśleć o ukryciu broni. Wsunęła ją pospiesznie pod prawe udo, prawie pewna, że w razie konieczności i tak by jej nie użyła.

Radiowóz zatrzymał się tuż za tylnym zderzakiem furgonetki. Carolyn zauważyła błyszczące odznaki na piersiach policjantów. Przez dłuższy czas siedzieli nieruchomo w samochodzie, nie wyłączając sygnału świetlnego.

- Nic się nie dzieje - odezwała się Carolyn, nie poruszając wargami.

- Zatrzymali się? - zapytał cicho Jake. - Uhm.

- To dobrze, sprawdzają numer rejestracyjny. Odpręż się.

- Taak - miała wrażenie, że w żołądku fruwa jej tysiące motyli... nie, raczej kondorów. Całe stada największych ptaków na tej planecie.

- Ze sposobu, w jaki wysiądą z samochodu, wywnioskujesz, co wiedzą. Jeżeli wyciągną spluwy, koniec z nami.

Travis ściągnął koc z głowy.

- Spluwy?

Nawet nie pomyślał o możliwości strzelaniny. Patrzył tępo na glocka w ręku Jake'a.

- Tato? - w oczach chłopaka był autentyczny strach. Jake podniósł palec do ust.

- Cśśś. Pamiętasz, co ci mówiłem? Obiecuję, że wszystko ci później wyjaśnię. Na razie musisz się schować pod kocem. - Uśmiechnął się lekko.

Drżąc i łkając cicho, chłopiec spełnił polecenie.

- Wsiadają - odezwała się Carolyn. - Nie wyjęli broni. A jakby chcieli przeszukać wnętrze?

- Nie będą chcieli. Nie mają powodu. Chyba że cię rozpoznają - pomyślał.

- Ale jeżeli będą chcieli? Jake nie miał pojęcia, co wtedy.

- To zrobią to.

Gliniarze wysiedli z radiowozu jednocześnie. Ten od strony pasażera stanął z tyłu furgonetki, niecały metr od Jake'a - gdyby nie cienka warstwa blachy, mogliby uściskać sobie dłonie. Tymczasem kierowca podszedł powoli do Carolyn. Kiedy się zbliżył, opuściła szybkę o kilkanaście centymetrów.

- Dzień dobry pani - powiedział policjant.

Musiała wyciągnąć szyję i odwrócić się w lewo, aby go w ogóle zobaczyć.

- Dzień dobry. Czy zrobiłam coś nie tak?

- Mogę zobaczyć pani prawo jazdy? - spytał policjant, Pernell, jak głosiła srebrna tabliczka z nazwiskiem nad kieszenią. Był bardzo oficjalny, bez śladu humoru.

Powstrzymanie drżenia rąk, kiedy szperała w torebce, szukając nowych dokumentów na nazwisko Carrie Durflinger, wymagało od Carolyn ogromnego wysiłku. Kiedy wręczała laminowaną kartę ze swoją fotografią, szybko zerknęła na adres. Oak Lane 274, High Point, Karolina Północna.

Pernell patrzył na dokumenty przez kilka sekund, po czym wcisnął je za pas.

- Czy widziała pani tego mężczyznę? - zapytał, pokazując niewyraźną fotokopię starego zdjęcia Jake'a z przodu i z profilu.

Ostatnim razem, kiedy Carolyn widziała to zdjęcie, obok twarzy Jake'a widniała jej podobizna, podobnie przedawniona. Przyjrzała się uważnie. Ogolony, bez śladu siwizny, Jake wyglądał tak młodo.

- Nie, chyba nie - odpowiedziała powoli, w głębi duszy dumna ze swych aktorskich zdolności. - Kto to jest?

Gliniarz odebrał jej zdjęcie i wsunął z powrotem do kieszeni.

- Podaje się za niejakiego Brightona. Poszukujemy go za morderstwo. Carolyn

otworzyła szeroko usta.

- Morderstwo! O mój Boże! W naszym małym miasteczku? Gliniarz skrzywił się na twarzy, jakby chciał powiedzieć: "Tak, czyż to nie straszne?" i pokręcił głową.

- Zna pani tutejszych mieszkańców, tak? - zapytał. - Pani Durflinger, poproszę, żeby pani tu zaczekała jeszcze chwilę, dobrze?

Carolyn poczuła ucisk w sercu. Co on zobaczył? Co ona powiedziała?

- Hmm, trochę mi się spieszy - bąknęła zerkając na zegarek. Gliniarz pokiwał głową. Niewątpliwie nic go nie obchodził jej grafik.

- To potrwa chwilę.

- Jezu, Carolyn - wyszeptał z tyłu Jake. - Jesteś z Karoliny Północnej. To nie jest twoje małe miasteczko!

O cholera! Jak mogła być taka głupia? Żołądek ścisnął jej się jeszcze bardziej. Spięła się pod wpływem bólu, ale zachowała kamienną twarz pokerzysty. Drugi gliniarz wpatrywał się intensywnie w jej odbicie w lusterku nad drzwiami. Gdyby drgnął jakiś mięsień jej twarzy, na pewno nie uszłoby to jego uwagi.

- Za późno, aby to roztrząsać - mruknął Jake.

Carolyn zignorowała go. Ciekawe, jak on by to odegrał, skoro jest w tym taki dobry.

Pernell podszedł do swego partnera. Carolyn obserwowała, jak rozmawiają spokojnie, jakby się naradzali. Pernell stał plecami do Carolyn. Nie podobał jej się ten drugi. Miał nieprzyjemne oczy, gdy słuchał; odniosła wrażenie, że przenika ją wzrokiem. Z ruchów obu mężczyzn wywnioskowała, że Pernell podlegał temu drugiemu, który zadawał jakieś pytania. Pernell odpowiadał na każde lekko kręcąc głową.

- Co się dzieje? - zapytał Travis spod koca. Jake dotknął ramienia chłopca.

- Cśśś. Wszystko będzie dobrze.

Wreszcie skończyli rozmawiać. Pernell ruszył do furgonetki, a drugi policjant wrócił do radiowozu.

- Przykro mi, że panią kłopotalem, pani Durflinger - powiedział Pernell, wręczając jej przez okienko prawo jazdy. Kiedy Carolyn wzięła dokumenty, uśmiechnął się i klepnął dwukrotnie w drzwi na znak zakończenia kontroli. - Życzę miłego dnia.

Nerwy Carolyn eksplodowały, gdy tylko policjant ruszył z powrotem do radiowozu. Ręce drżały jej tak, że nie mogła zamknąć okna. Po kilku sekundach dygotała już na całym ciele: ręce, kolana, nogi, ramiona, szczęki. Po dreszczach przyszła fala mdłości wraz z niemożliwą do opanowania potrzebą pójścia do toalety. Już prawie im się udało, a teraz zaprzepaści to wszystko w powodzi łez i wymiotów.

- Będę rzygać - powiedziała, a raczej z jej ust wydobył się zdławiony skrzek.

- Nie! - zakomenderował Jake. - Nie możesz pozwolić sobie na ten luksus. Przełkniesz to, co musisz i odjedziesz jakby nigdy nic. - Surowość tonu sprawiła, że Travis wysunął głowę spod koca. Chłopiec wyglądał na jeszcze bardziej przerażonego niż wcześniej. Jake dostrzegł wyraz jego twarzy i zmiękł.

- Teraz ty trzymasz wodze, kochanie - ciągnął. - Pomyśl: tylko ty, ja i Travis. Nic innego się nie liczy. Możemy uciec albo dać się złapać. Innej możliwości po prostu nie ma. Wszystko zależy od ciebie. Przed minutą wykonałaś kawał świetnej roboty. Nie zepsuj tego teraz.

Ranił Carolyn, wypowiadając te słowa, i doskonale zdawał sobie z tego sprawę. Beształ ją jak dziecko, a co gorsza, w obecności Travisa. Żadnych pochwał, tylko ostrzeżenie przed fatalnymi konsekwencjami, jeżeli podda się emocjom, które nią owładnęły.

- ...opanuj się, Carolyn - nie przestawał mówić.

- Jestem spokojna. W porządku? - warknęła. Emocje opadły jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki. Ręce i kolana uspokoiły się, serce zwolniło rytm, ustąpiły mdłości.

Wrzuciła bieg i zjechała z pobocza. Zerknęła w lusterko wsteczne. Pernell zdawał się zaprzątnięty papierami, które trzymał na kolanach. Kiedy radiowóz zniknął Carolyn z oczu, złapała się na tym, że chciałaby, żeby policjant nigdy się nie dowiedział o swojej fatalnej pomyłce.

Jake wydał z siebie okrzyk wojenny, który sprawił, że omal nie straciła panowania nad kierownicą.

- Udało się, mała! Byłaś wspaniała!

Do szesnastej trzydzieści wszystkie siły rządowe Stanów Zjednoczonych włączyły się w poszukiwanie Donovanów. Irene nie mogła wyjść ze zdumienia, że wciąż nie odwołano jej z funkcji dowódcy taktycznego całej operacji. Praktycznie oznaczało to, że oficjalnie uznano ją za kozła ofiarnego. W razie gdyby rzeczywiście straciła swój łup, tylko ona pożegna się z karierą.

A jednak nie tylko ona. Irene знаła Paula Boersky'ego od czasów, gdy mieszkali razem w Minneapolis - podczas jej pierwszego samodzielnego zadania, a jego drugiego. Przez wiele lat wspólnie przyczynili się do długiej listy aresztowań, co sprawiło, że w błyskawicznym tempie wspinali się po szczeblach kariery. Irene wyprzedziła swego starego partnera zaledwie czternaście miesięcy temu, dzięki realiom politycznym lat dziewięćdziesiątych. W tych niespokojnych czasach częściej awansowano reprezentantów mniejszości, w tym przypadku kobietę. Gdyby teraz ktoś zapytał, Irene stwierdziłaby, że stało się fatalnie.

Jeżeli Paul źle znosił porażkę w tym specyficznym wyścigu, nigdy nie dał tego poznać po sobie. Zresztą Irene chętnie pozwalała podwładnym błyszczeć w robocie i jak dotąd wychodziło mu to tylko na dobre. Bez wątpienia dzięki następnemu zleceniu wypłynię jako szef jakiegoś biura terenowego.

Cóż, przynajmniej miał na to szansę, aż do dzisiaj. Gdyby śledztwo w sprawie Donovanów nie zakończyło się pomyślnie, wszyscy biorący w nim udział znaleźliby się na czarnej liście. W siedzibie głównej nazywano to silnym bodźcem do działania.

Obecnie Paul, Irene oraz kilkunastu innych gliniarzy i agentów FBI przeczesywali kemping Farm Meadows szukając jakiejś wskazówki co do miejsca pobytu Donovanów. Jak na razie, nie znaleźli absolutnie nic; policja z Phoenix odniosła jednak znaczny sukces, chwytając przy okazji czterech poszukiwanych przestępców. Irene podsłuchiwała, jak jakiś glina porównywał rozpierzchających się uciekinierów do prusaków umykających przed zapalonym światłem. Osobiście wołała własne porównanie z robakami pod podniesionym kamieniem. Tak czy owak, Sherwood ocalił własne dupsko.

Musiał istnieć sposób, aby ich wytropić. Nie chciała wierzyć, że ziemia po prostu się otworzyła i pochłonęła trzy ludzkie istoty. Każdy człowiek pozostawia po sobie jakieś ślady. Wszystko wskazywało jednak na to, że istotnie każdy - z wyjątkiem Donovanów.

Paul westchnął głośno i oparł się o prowizoryczny ganek dołączony do przyczepy kempingowej.

- Wiem, że wolałbyś tego nie usłyszeć - odezwał się głupio - ale zdaje się, że oni po prostu nam uciekli. Szafy są pełne ubrań, naczynia w zlewie, a w pralce mokre ciuchy. Ulotnili się na dobre. Nic dodać, nic ująć.

- I minęliśmy się z nimi w szkole - westchnęła.

- Dwie godziny temu - potwierdził. - Coraz dokładniej widać, jak spędzili dzisiejszy dzień. Ich sąsiadka, niejaka Mary Barnett, mówi, że widziała dziś rano Carolyn w banku. Dziewczyna wyglądała ponoć "bardzo podejrzanie".

- Co to oznacza? Wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Prawdopodobnie tyle, że pani Barnett nie ma zbyt dużo do roboty. Wysłałem człowieka do tego banku, żeby zasięgnął języka.

Irene pokiwała głową.

- Coś jeszcze?

- Uhm. Pokażę ci - poprowadził ją do środka przyczepy. Minęli kuchnię, potem salon i weszli do sypialni. Przeciwniczka mieszkalnych przyczep musiała jednak przyznać, że ta sprawiała lepsze wrażenie niż wszystkie inne, jakie dotychczas widziała.

- Popatrz - powiedział Paul, wskazując łóżko. - Trzy płócienne worki pełne ubrań i przyborów toaletowych.

Brwi wygięły jej się w głęboki łuk.

- Trzy worki? Jak niedźwiedź mama, niedźwiedź tata i mały niedźwiadek?

- Dokładnie - potwierdził. - Trzy worki zapakowane niezbędnymi rzeczami, a mimo to szafy i szuflady są pełne.

Spojrzała na niego gniewnie.

- Wyjaśnij mi, proszę, jakim cudem zaglądając do czyjejś szafy potrafisz stwierdzić, czy czegoś w niej brakuje, czy nie? Posiadasz jakąś szczególną moc? - zachichotała kręcąc głową.

Odwzajemnił jej gniewne spojrzenie. Nie lubił być pośmiewiskiem i nie rozumiał zachowania Irene.

- Pomyśl trochę - odparował. - Czy ktoś, kto pakował się w ostatniej chwili, nie zostawiłby bałaganu? No wiesz, porozrzucane ciuchy, pootwierane szuflady, wieszaki na podłodze. Rozejrzyj się dookoła - wykonał zamaszysty ruch ręką. - Nie jest tu, co prawda, sterylnie, ale porządek raczej nienaganny.

Kobieta utkwiała wzrok w płóciennych workach.

- Może wybierali się na jakąś wycieczkę?

- Te worki leżały w szafie zamkniętej na kłódkę. - Więc?

- Więc sędzę, że od dawna przygotowywali się na taki dzień. Popatrz, w tym worku są

nawet zdjęcia i pamiątki z dzieciństwa. Nikt nie zabiera takich rzeczy na wakacje. Donovanowie byli gotowi, żeby wyjechać w każdej chwili, co oznacza, że mieli starannie opracowany plan. Wiedzą, co robić. Gdzie jechać i jak się tam dostać.

- Ale przecież zachwialiśmy tę równowagę - wtrąciła. - Więc może zburzyliśmy cały plan?

Wzruszył ramionami.

- No cóż, może. Ale pamiętaj, że to, co tu widzisz, to najbardziej podstawowe przedmioty codziennego użytku. Nie ma tu nic, co przydałoby im się podczas ucieczki.

Kobieta zastanawiała się nad tym przez długą chwilę.

- Co oznacza, że niezbędne rzeczy ukryli gdzieś indziej. Pokiwał głową.

- Na ich miejscu też bym tak zrobił. Patrzyła na niego długo.

- Może wydają ci się za bardzo przewidywalni? To, że zniknęli raz, niekoniecznie oznacza, że zrobią to ponownie.

- Szczerze mówiąc, już to zrobili. - Paul sprawiał wrażenie zakłopotanego, stwierdzając coś tak oczywistego.

Irene westchnęła i potarła palcami skronie. Tyrada Frankela jeszcze nie przebrzmiała w jej głowie.

- Masz coś jeszcze? Mężczyzna spuścił wzrok.

- Hmm, wiesz, śledztwo właściwie dopiero się zaczęło...

- Nie odpowiadaj wykrętnie - ostrzegła.

Paul z nadzieją przekartkował po raz wtóry notes.

- Szczerze? Poza kilkoma ciekawostkami nie mamy nic użytecznego. To znaczy, wszystkie fizyczne dowody na świecie twierdzą niezbicie, że Brightonowie są w rzeczywistości Donovanami, ale co z tego? Wiedzieliśmy o tym, zanim jeszcze tu się zjawiliśmy. Chcemy natomiast wiedzieć, dokąd pojechali, i tu nie dysponujemy żadnymi wskazówkami. Przynajmniej na razie. - Słowa zawisły ciężko w powietrzu, a Irene wyglądała, jakby miała ochotę warczeć. - Żałuję, że nie mogę ci powiedzieć czegoś, co chciałabyś usłyszeć - zakończył.

Twarz jej się wydłużyła.

- Nie masz pojęcia, jak męczą mnie ludzie, którzy mówią mi, czego nie mogą zrobić - złapała się na tym, że prawie dosłownie powtarza słowa Frankela. - Mogę wynająć ucznia szóstej klasy, który powie mi, czego nie możemy zrobić. A karierę buduje się na umiejętności znajdowania odpowiedzi. - Przeszła do kuchni, a Paul podreptał za nią. Usiedli przy stole.

Ugodzony jej reprimendą, postanowił, że przerwie milczenie dopiero w przyszłym

tygodniu. Po tych wszystkich latach zasługiwał na lepsze traktowanie.

- Jeszcze raz - naciskała. - Powiedz mi, co wiemy. Wziął głęboki oddech i przełknął gniew.

- W porządku. Przede wszystkim są niezwykle ostrożni. Przygotowali się do ucieczki przypuszczalnie już jakiś czas temu. Znaleźliśmy tu wszelkie atrybuty rodzinnego życia. No wiesz, książki, czasopisma, przybory toaletowe, zabawki. Na pierwszy rzut oka ich upodobania literackie oscylują wokół romansów i dreszczowców, a w pokoju chłopaka jest kolekcja książek, za które mój syn dałby się zabić. Natknęliśmy się na kilka czasopism o aktywności ruchowej - takie sportowe ciekawostki. Według mnie jest to istotne choćby z uwagi na to, że umiejętność radzenia sobie w różnych warunkach ułatwia im ucieczkę.

Irene rzuciła mu kolejne gniewne spojrzenie.

- A korespondencja? Są jakieś listy z adresami zwrotnymi, które mogłyby nas do czegoś doprowadzić?

Otworzył ponownie notes. Wiedział oczywiście, że nie ma tam żadnych adnotacji związanych z tym pytaniem. Chciał w ten sposób zyskać na czasie, a *zarazem* wyrzucić dobre wrażenie.

- W tej materii też nie znaleźliśmy nic konkretnego - odpowiedział. - W większości to nie zapłacone rachunki i poczta nie wnosząca nic do sprawy. Za kilka godzin, po wstępnych badaniach, uzyskamy konkretne odpowiedzi. - Westchnął i podniósł ręce. - Jest za wcześnie, Irene. Nie wiem, co mam ci powiedzieć.

Jakiś cień pojawił się w wejściu.

- Przepraszam...

Ten nieśmiały głos należał do agenta specjalnego Mike'a Jamisona, który stał właśnie w drzwiach, czekając, aż zostanie zauważony. Jeżeli ludzie naprawdę przypominali swe ulubione stworzenia, to Jamison powinien być właścicielem stadniny koni. Boże, co za twarz! Za czasów J. Edgara - kiedy agenci FBI musieli wyglądać nienagannie - zbyt wysunięta górna szczęka Jamisona nie pozwoliłaby mu nigdy wyjść poza mury akademii. Nawet obecnie, mimo że Biuro uczyniło spory krok naprzód w tym względzie, wygląd młodego agenta wciąż stanowił zagrożenie dla jego kariery. Nieśmiałego i zbyt spokojnego Jamisona uważano powszechnie za nieudacznika. Irene domyślała się, że w ciągu pięciu lat zostanie na stałe oddelegowany do "biurowego piekła", aby uganiać się za aparaturą destylacyjną Indian z Dakoty Północnej.

Paul pierwszy dostrzegł nowo przybyłego.

- Tak, Mike, co się dzieje? - jako bezpośredni przełożony Jamisona zawsze czuł się zakłopotany w jego obecności.

- Zapomnijcie o toycie celice - oświadczył młody agent, jakby recytował formułę, której nauczył się na pamięć. - Właśnie dzwonili z posterunku w Phoenix. Zdaje się, że kilka godzin temu dwaj gliniarze pozwolili Donovanom odjechać, pół przecznicy od szkoły.

Irene otworzyła usta i zacisnęła mocno powieki.

- Powiedz, że żartujesz. Jamison wzruszył ramionami.

- Chciałbym, żeby tak było. Ci gliniarze nie widzieli Jake'a Donovana, a nikt tam nie zadał sobie trudu, żeby przefaksować zdjęcie Carolyn. Przypuszczalnie strasznie się spieszyli.

- O Boże - jęknęła Irene. - Czy jest coś, jakiś szczegół, cokolwiek, czego Sherwood i jego banda dzisiaj nie spieprzyli?

Paul stłumił śmiech i skoncentrował się na raporcie Jamisona.

- A co z celiką? - ponaglił.

- Policjanci z Phoenix zatrzymali białą furgonetkę - wyjaśnił Jamison. - Mamy numery rejestracyjne. Karolina Północna, wóz zarejestrowany na nazwisko Durflinger.

- I niech zgadnę - mruknęła Irene nie otwierając oczu. - Durflingerowie nie żyją, zgadza się?

Jamison wyglądał na rozczarowanego, jakby ktoś skradł mu największą bombę.

- Skąd pani wie?

- Bo w taki sposób zyskuje się nowe nazwisko - odezwał się Paul głosem ciężkim od pogardy. - To najstarsza sztuczka, o jakiej piszą w podręcznikach.

- Nie mogę w to uwierzyć - jęczała Irene. - Cholera. No cóż, daj to szybko do sieci. We wszystkich stanach na wschód od Missisipi.

- Sherwood już to zrobił - poinformował Jamison. Irene spiorunowała go wzrokiem.

- Taak, Sherwood zrobił dzisiaj bardzo dużo. Dajmy mu zatem wsparcie, w porządku?

Jamison pokiwał głową, lecz nie poruszył się. Cierpliwość Paula ulotniła się w jednej chwili.

- Mike, jeżeli masz coś jeszcze, to wyrzuć to z siebie. Mężczyzna odchrząknął i przez kilka sekund przeszukiwał pokłady swojej pamięci.

- Jakiś facet z banku poza miastem oglądał wiadomości w TV. Zatelefonował na posterunek w Phoenix i powiedział, że dziś rano obsługiwał Carolyn Donovan.

- Aha, znowu ten bank... - stare informacje zaczynały już męczyć Irene.

- Ten facet powiedział, że chciała dostać się do skrytki depozytowej - zakończył Jamison.

- I co? - ponagliła go Irene. Jezu Chryste, z tego człowieka wszystko trzeba wyciągać siłą.

- I otworzył jej. - Jamison wzruszył ramionami.

- Chrzanisz, Mike - warknął Boersky. - Co wyjęła ze skrytki? Agent Jamison wyglądał na lekko spanikowanego, tak jakby nagle przypomniał sobie, że miał coś zrobić.

- Nie wiem. Ten facet nie potrafi stwierdzić z całą pewnością. Mówił, że weszła do kabiny z pustymi rękami, a wyszła z papierową torbą wypełnioną po brzegi. Nikt nie widział, co tam włożyła.

Irene i Paul wymienili spojrzenia.

- Gotówka? - zastanowiła się głośno. Paul skinął głową.

- Też tak sędzę.

Irene odprawiła Jamisona, odwracając się do niego plecami.

- Mówiłeś, że już tam kogoś posłałeś? - zwróciła się do przyjaciela. - Albo już tam przyjechał, albo jest w drodze.

Odczekała, aż Jamison wyszedł, i powiedziała bez ogródek:

- On jest absolutnie beznadziejny, no nie? Paul pokiwał głową i zagryzł wargę.

- Tak, a wolno mu nosić broń w miejscach publicznych. To zastanawiające, nie? - Wstał. - Jest świetny w gromadzeniu informacji, ale nie potrafi zmienić tej swojej manieri przekazywania ich. Powinien być technikiem, a nie agentem.

Irene myślała już o czym innym.

- Co do pana, agencie Boersky - powiedziała wskazując palcem - chcę, żebyś skontaktował się z Biurem Prokuratora Stanów Zjednoczonych i załatwił mi nakaz sądowy na otwarcie tej skrytki.

Paul popatrzył na nią, jakby postradała zmysły.

- Po co? Myślisz, że poszła tam, aby coś do niej włożyć?

- Szczerze mówiąc nie - odezwała się marszcząc brwi. - Według mnie ta skrytka jest pusta. Chcę, żebyś to potwierdził. - Wstała z krzesła i podeszła do drzwi. - Poza tym wyglądasz, jakbyś nie miał co robić.

Travis siedział na składanym krzeselku na tyłach furgonetki. Od długiego czasu jechali w milczeniu. Był przekonany, że rodzice postanowili jednak nie tłumaczyć mu, o co w tym wszystkim chodzi. Kiedy słońce schowało się za widocznymi w oddali szczytami, delektował się subtelnymi smugami pomarańcza, czerwieni i błękitu malującymi się na wieczornym niebie. Góry zdawały się płonąć ogniem w zapadającym zmroku. Wraz z ciemnością pojawił się cały nieznanemu mu dotąd świat lęków.

Nigdy przedtem nie widział rodziców tak spiętych. Przez te wszystkie lata, kiedy

jeździli po kraju, spędził chyba tysiąc godzin, obserwując ich z tego miejsca. Dzisiejszego wieczoru wyglądali inaczej i ta przemiana budziła w Travisie strach. Ojciec zaciskał szczękę w dość zabawnym grymasie i chłopiec widział, jak przez cały czas pracują mu mięśnie po obu stronach twarzy. I to nowe spojrzenie - takie samo jak wtedy, gdy ten glina podszedł do okienka. A mama! Jezu, wyglądała, jakby miała wybuchnąć.

Długie okresy milczenia również napawały Trávisa przerażeniem, podobnie jak nerwowe, szeptane rozmowy, z których mógł wychwycić tylko urywki. Jeżeli mogliby powiedzieć coś dobrego, już by to zrobili.

W końcu nie wytrzymał.

- Hej, tato - głos zabrzmiał niepewnie, jakby chłopiec wahał się, czy zadać to pytanie.

- Tak, Travis?

- Naprawdę zastrzeliłbyś tego policjanta?

- Travis, nie teraz - warknęła matka. Jake podniósł rękę.

- Nie - powiedział. - Myślę, że musimy o tym porozmawiać. - Ale, Jake... - w tonie Carolyn słyhać było prośbę.

- On musi poznać prawdę. Wolałbym, żeby tak nie było, ale musi się o wszystkim dowiedzieć.

Travis pożałował swojego pytania. Niespodziewanie przypomniał sobie, jak Jay Kowalski powiedział mu o dniu, w którym ojciec oświadczył rodzinie, że ma raka. Obecna sytuacja bardzo mu przypominała tamtą historię, z tą tylko różnicą, że tam nie było samochodu i broni. Jay powiedział, że mama i tata długo się spierali, czy powinni powiedzieć dzieciom prawdę, aż w końcu, kiedy ojciec wygrał spór, życie Jaya zmieniło się bezpowrotnie. Pan Kowalski zmarł w tym samym roku. Travis nie chciał, żeby jego ojciec umarł.

Jake wziął głęboki oddech, tak jak zawsze przed dłuższym wykładem.

- Trav, są pewne sprawy dotyczące mamy i mnie, o których powinieneś wiedzieć...

Newark, Arkansas, sierpień 1983

Magazyn 234 znajdował się między budynkami 1719 i 2680, w pobliżu centrum tego, co kiedyś było Fabryką Broni Ulyssesa S. Granta. Dawniej system numeracji musiał coś oznaczać, lecz teraz były to jedynie przypadkowe cyfry na nieprzeliczonej liczbie niskich budynków z czerwonej cegły. O ile magazyn 234 z zewnątrz wyglądał nieciekawie i mdło, to jego wnętrze można było określić jako zdecydowanie brzydkie. Fluorescencyjne światło, odbijając się od brązowych jak kupa dziecka ścian, tworzyło żółtą poświatę, w której każdy wyglądał na przewlekle chorego.

Carolyn i Jake jak zwykle się spóźniali, chociaż tym razem naprawdę nie własnej winy. Ale usprawiedliwienia, choćby najbardziej przekonujące, były bez sensu. Dzisiaj rozpoczynano największą operację w historii "Czystej Planety" i wszystko musiało przebiegać bez zarzutu. Kiedy pędzili korytarzem w kierunku zatłoczonej sali konferencyjnej, Jake starał się nie myśleć o ewentualnych tarapatach, w jakich mogą się znaleźć. Zresztą to Carolyn była od martwienia się za ich oboje.

- Hej, to nowożeńcy! - oświadczył promiennie Glenn Parker, kiedy Donovanowie próbowali wślizgnąć się chyłkiem do środka. - Właśnie mówiłem wszystkim, Jake, jakim byłeś supermanem tej nocy. Te cienkie ściany są lepsze niż erotyczny telefon, człowieku.

Carolyn splonęła się po czubki uszu, a sala wybuchnęła śmiechem i aplauzem. Jake wyszczerzył zęby w szerokim uśmiechu i skłonił się.

- Dzisiejszej nocy podniosę zasłony specjalnie dla ciebie, dziubdziusiu. Będziesz miał i fonię, i wizję.

Czarnowłosa, zgrabna Carolyn o wielkich brązowych oczach była jedyną kobietą wśród trzydziestu siedmiu jurnych młodzieńców. Nie przejmowała się ani trochę faktem, że niewątpliwie odgrywa główną rolę w ich nocnych fantazjach, kiedy to samotnie szukali wytchnienia w ciemnościach swych motelowych pokoi.

- Hej, Carolyn, nie masz dzisiaj kłopotów z chodzeniem? - nie dawał za wygraną Parker, wzniecając kolejną salwę śmiechu.

- Skoro ty wciąż jeszcze możesz posługiwać się ręką, to ja mogę chodzić - odparowała, a mężczyźni zaczęli pokładać się ze śmiechu.

Nick Thomas, inspektor bezpieczeństwa pracy projektu "Newark" oraz człowiek

odpowiedzialny za przebieg tego ostatniego przed rozpoczęciem operacji spotkania, próbował przywrócić porządek na sali.

- Spokój, spokój - powtarzał, wymachując rękami. - Możemy wrócić do tematu? Jake, Carolyn, zajmijcie miejsca. Gdzie jest Tony Bernard?

Składane metalowe krzeselka w sali konferencyjnej zdawały się starsze niż sam budynek, a dwa ostatnie stojące na szarym końcu były najgorsze ze wszystkich. Samym wyglądem gwarantowały odparzenia na tyłku. Jake wytrzymał kilka sekund, po czym wybrał pozycję stojącą.

- Tony jest chory - oświadczył, pocierając się po pośladku w miejscu, gdzie wbijało mu się krzeselko. - To dlatego się spóźniliśmy. Staraliśmy się go wyciągnąć z pokoju, ale pluje wnętrznościami. Wierzcie mi, nie chcielibyście go teraz widzieć.

Na twarzy Nicka pojawiła się troska. Setki razy ćwiczyli przebieg tej akcji z kompletną załogą. Jake zwrócił się do Seana Foleya, kierownika projektu, który siedział nachmurzony w rogu za Nickiem.

- Tak czy inaczej, idziemy - burknął Foley. Marketingowiec z wykształcenia, nie miał zbyt wiele czasu na okiełznywanie kowbojskiej mentalności członków grup wejściowych. Cholera by go wzięła, gdyby musiał wycofać się z multimilionowego kontraktu tylko dlatego, że ktoś zachorował bez zezwolenia.

W sali zapanowała cisza. Korzystając z tego, Nick podjął wykład.

Włączył projektor i na rozwijanym ekranie pojawił się rysunek oznaczony: "Magazyn B-2740".

- No dobrze, kochani, to będzie nasz dom przez kolejne dwadzieścia osiem tygodni. Zakładając, że to miejsce jest identyczne jak jego pięćset braci i siostr w tutejszym Ośrodku Masowej Destrukcji, mamy halę szeroką na trzydzieści metrów, wysoką na dwadzieścia - przesunął zakończony gumą wskaźnik, aby pokazać istotne szczegóły na ekranie. - Te małe kwadraciki widoczne na rysunku to betonowe słupy wspornikowe. Na wypadek gdybym mówił zbyt szybko dla niektórych słuchaczy, słupy wspornikowe to coś, co podtrzymuje dach.

W tłumie rozległy się chichoty i okrzyki, a dwóch Teksaszczyków puściło papierowe jaskółki. Kiedy śmiechy ucichły, Nick rzucił na ekran kolorowy slajd.

- Jak widzicie, jest to typowy bunkier: konstrukcja igloo ze wzmocnionego betonu oraz półtora metra ziemi usypanej na szczycie i po bokach. Bóg jeden wie, ile ziemi jest z tyłu. W każdym razie mnóstwo. Prowadzi tam tylko jedna droga, kochani - a mianowicie frontowe drzwi ognioodporne.

Żadna z tych informacji nie wносиła niczego nowego do sprawy i Nick wiedział o tym

doskonale. Każdy detal planowanej czystki w Newark został już przećwiczony w identycznym magazynie odległym od strefy skażonej. Ale gdy nadchodzi czas akcji, przygotowań nigdy za wiele. Z trzydziestu kilku osób zgromadzonych w sali konferencyjnej tylko osiemnaście opuści centrum dowodzenia po rozpoczęciu operacji; tylko sześć spośród nich wejdzie do tego magazynu. Nikt nie wiedział na pewno, co tam zastaną, ale wszystko wskazywało na to, że coś paskudnego.

Kiedyś w magazynie B-2740 przechowywano wszystko, od ładunków wybuchowych do pełnego spektrum broni chemicznej. Obecnie aż roiło się od przypuszczeń, ale wiadomo było z całą pewnością, że to miejsce "miało w sobie kupę gówna" (słowa inspektora Agencji Ochrony Środowiska, który rok temu w pobliżu wejścia zobaczył pojemnik z gazem musztardowym i wpadł w panikę). Członkowie "Czystej Planety" mieli za zadanie zgłębienie tej tajemnicy.

Najbardziej obawiali się "nerwowych" substancji VX i GB, jakie spodziewano się znaleźć tam w dużych ilościach. Jake'a przerażało to świństwo, ponieważ wiedział, że toksyczne jest już w stosunku jeden do miliona. W wolnym tłumaczeniu na język laika, ta absurdalnie niska liczba była równa jednej kropli odczynnika rozpuszczonego w ilości powietrza, którym oddycha przeciętny dorosły w ciągu dwudziestu siedmiu lat.

- Pamiętajcie - zakończył Nick - każde najmniejsze potknięcie może was kosztować życie.

Obrócił się na pięcie i wskazał na Adama Pomeroya - najnowszy nabytek w zespole "Czystej Planety".

- Panie Pomeroy!

Adam oderwał wzrok od gryzmołów w notesie. W wieku dwudziestu trzech lat wyglądał na szesnaście i wszyscy zgodnie stwierdzili, że ma największe szansę na złapanie choroby wenerycznej.

- Tak?

- Proszę opisać mechanizm uszkodzenia w przypadku substancji VX. Adam wyglądał jak uczeń, który skrupulatnie bada wzrokiem sufit

w poszukiwaniu odpowiedzi. Znalazłszy ją, uśmiechnął się.

- To inhibitor cholinesterazy - odezwał się z dumą.

- A cóż to oznacza?

Uśmiech na jego twarzy zgasł jak zdmuchnięty płomień świecy.

- Hmm...

- Panie Parker.

Glenn uśmiechnął się. Siedział już w tym interesie od ośmiu lat i rzadko dawał się złapać.

- Oznacza to, że impulsy nie mogą przejść z jednej komórki nerwowej do drugiej.

- Doskonale. Jake, co należy robić w przypadku wystawienia się na jego działanie?

- Och, daj spokój, Nick! - Jake wywrócił oczy do góry. Carolyn szturchnęła go łokciem.

- To ty daj spokój - zrugła go. - Mówimy tu o poważnych sprawach. Przez salę przewaliło się dudniące "Ooooo".

- Puchniesz jak dynia i po tobie - odpowiedział w końcu Jake.

- Bzzzz - odezwał się Nick, imitując sygnał niewłaściwej odpowiedzi w turniejach telewizyjnych. - Źle. Dziękujemy za udział w grze. Carolyn?

- Atropina. Trzeba ją sobie wstrzyknąć w udo. - Z uwagi na wrodzoną ostrożność zdążyła już przećwiczyć tę procedurę, używając sterylnego roztworu soli fizjologicznej. Okazało się to wcale nie takie trudne, jak początkowo sądziła.

- Bardzo dobrze. Gaz musztardowy. Co się dzieje, kiedy dostaniecie się w obszar działania tego gazu? - pytanie było skierowane do wszystkich, ale tylko jedna osoba podniosła rękę. - Jake.

- Puchniesz jak dynia i po tobie.

- Tak! Teraz trafiłeś.

Tym razem w salwie śmiechu dało się słyszeć nerwowość, jakby wszyscy zdawali sobie sprawę, że nadszedł czas, kiedy teoria zmienia się w praktykę. Nick spoważniał.

- Proszę, uważajcie na siebie.

Magazyn B-2740 wyrastał z lasu w Arkansas niczym starożytny grobowiec pierwotnych mieszkańców tego kontynentu; gładka, wzmocniona betonem fasada wznosiła się sześć metrów ponad wyboistą drogą dojazdową. Kiedy Jake z pewnym wysiłkiem naciągnął na siebie kombinezon, stojąc dokładnie na granicy strefy skażenia, zastanowił się, co archeolodzy będą myśleć o tym miejscu za jakieś tysiąc lat. Czego dowiedzą się o mieszkańcach tych olbrzymich jaskiń?

Wejście na Poziom A wymagało odpowiedniego stroju, który zakładało się z pomocą kilku innych osób. Butle z tlenem zakładano na podwójną warstwę ubrania: szorty i podkoszulki, które nosili do pracy wraz z obowiązkowym kombinezonem "Czystej Planety" w królewskim błękitcie, następnie wewnętrzne rękawice z lateksu, a na koniec sam kombinezon z wbudowanymi pięciopalcowymi rękawicami i wysokimi butami. Skórzane rękawice i buty z neoprenu sięgające do połowy łydek były o numer za duże i miały deflektory rozbryzgowy, aby

żadne świństwo nie dostało się do wewnątrz i nie załatwiło kombinezonu, a co za tym idzie jego właściciela.

Jake przymocował butle z tlenem i futerał na przenośne radio, obwiązując się mocno dokoła talii. Przewłókł miniaturowy mikrofon przez parciane szelki podtrzymujące butle i włożył małe głośniki do prawego ucha. Przymocował przełącznik do paska na ramieniu z prawej strony i nacisnął przycisk w kształcie grzyba. Wyglądał teraz jak rzymski legionista salutujący cesarzowi.

- Wejście Jeden do Operacyjnego. Jesteście tam?

- Mam cię, Wejście Jeden.

Jake skrzywił się, gdy głos Drewa Price'a wwiercił mu się w mózg, i pokręcił regulatorem głośności.

- Trochę głośno, kochanie?

Carolyn roześmiała się. Jake pokazał jej język.

- Ej, Operacyjny, możesz zrobić próbę odliczania? Słyszał uśmiech w głosie Drewa, kiedy tamten odpowiedział.

- Próba dla Jake'a. Jeden, dwa, trzy, cztery, pięć. Pięć, cztery, trzy, dwa, jeden.

Wystarczy?

Donovan przytknął dłoń do piersi.

- Miodzio. Dzięki, stary.

Podczas gdy pozostałe grupy sprawdzały łączność, Jake i Carolyn nałożyli maski na twarze.

- Wyglądasz jak mrówkojad - usłyszał w głośniku głos Carolyn.

- No cóż, nie możemy wszyscy być tak piękni jak ty, kochanie - odparł.

- Koniec z tym, moi drodzy - przerwał im Foley, czyli Pan Osobowość. - Od tej pory rozmawiamy tylko o istotnych sprawach, zgoda?

- Tak - bąknęła Carolyn.

Jake wyłączył urządzenie. Wszyscy przeszli do miejsca, gdzie personel techniczny zapakował ich w "kombinezony ochronne". Nazywali siebie Silverados, z uwagi na ognioodporne, powlekane aluminium zewnętrzne warstwy kombinezonów, wykonanych specjalnie do tej roboty. Teoretycznie zewnętrzna powłoka dawała w przypadku pożaru dodatkowe dziesięć do piętnastu sekund, ale Jake uważał, że to paranoja. Mieli do czynienia z ładunkami wybuchowymi, na miłość boską. Najmniejszy pożar i giniesz. Koniec, kropka.

Silverados stali z rozpostartymi rękami na szeroko rozstawionych nogach, a koledzy z zespołu odkażającego pomagali im wejść w ciężką zbroję, naprowadzając ich ręce w

odpowiednie otwory.

Kiedy Jake'owi nasunięto na głowę ogromny kaptur i zasunięto odporny na trujące opary ekspres, ogarnęła go panika. Wcześniej, podczas prób, czuł się podobnie, ale tak jak wtedy, udało mu się przełknąć nieprzyjemne uczucie, zanim przysporzyło mu kłopotów.

Worek na zwłoki z oknem - pomyślał.

Przebiegł go nieprzyjemny dreszcz. Kiedy już kombinezon został zapięty, nie można było z niego wyjść bez pomocy kogoś z zewnątrz. Jake oscylował na krawędzi klaustrofobii i często dręczyły go nocne koszmary, jak zamknięty wewnątrz wysysa całe powietrze z butli i zaczyna się dusić. Wiedział, że to absurd, ale mimo to nie rozstawał się z piętnastocentymetrowym nożem, który trzymał w kieszeni.

Odseparowany od świata zewnętrznego, słyszał teraz jedynie własny oddech - upiorny syk, przypominający tak charakterystyczny oddech Dartha Vadera. Odwrócił się, aby spojrzeć na pozostałych członków grupy, i ujrzał własne odbicie w szybcie kombinezonu. Szczerze mówiąc, tylko oczy. Wydawały się olbrzymie.

Na zakończenie przymocowano im do kombinezonów strzykawkę z atropiną - jedyne znane Jake'owi antidotum na świństwo, jakie mogli *znaleźć* w magazynie. Nacisnął guzik transmisyjny.

- Wejście Jeden do Grupy Wejściowej. Sprawdźmy jeszcze raz radio.

- Wejście Trzy gotowe do akcji. - Carolyn, jako jedyna kobieta w zespole, nie potrzebowała w gruncie *rzeczy* żadnego identyfikatora numerycznego, ale zasady to zasady.

- Wejście Dwa.

- Cztery.

- Pięć.

- Sześć.

Jake słuchał, jak po kolei odmeldowują się poszczególne osoby, upewniając się równocześnie, że wszyscy znają swoje numery.

- Zarejestrowałeś wszystkich, Operacyjny? - to był ostatni krok przed wyruszeniem.

- Mam sześciu - odparł Drew Price.

- A sześć to magiczna liczba - zauważył Jake. - W porządku, idziemy. Zgodnie z planem trzysobowa grupa Jake'a, nazwana Wejście Alfa, miała

wejść do magazynu i skierować się na prawo, podczas gdy Wejście Bravo, drugi trzysobowy zespół, na lewo. W najlepszym razie mieli spotkać się na krańcach badanych obszarów i wspólnie rozpracować środek hali. Jake i Carolyn wymienili ze sobą szybkie spojrzenia i dotknęli się rękawicami, gdy krasomówca, Glenn Parker, mocował się z zamkiem.

Potężny mechanizm zaprojektowano wedle specyfikacji Departamentu Obrony. Przypominał standardowy zamek, tyle że pięciokrotnie większy i osłonięty stalowym pancerzem. Według ślusarza, którego wezwano, aby sfabrykował klucz, mechanizm zamka był starutki, ale dobrutki - a co najważniejsze, nie dało się go otworzyć bez odpowiedniego klucza. Nawet w normalnych okolicznościach otwarcie przedstawiałoby duże trudności, a w potrójnych rękawicach, bez czucia w rękach było to naprawdę nie lada przedsięwzięcie.

Tak jak wszystkie inne operacje, tę również przećwiczano kilkanaście razy w identycznych magazynach i wydawało się, że Parker nie ma sobie równych. Kiedy sięgnął ręką pod osłonę, napięcie wśród członków grupy gwałtownie wzrosło. W tym momencie z zakamarka wyleciał rój os. Silverados zaczęli wrzeszczeć jak małe dzieci, instynktownie szukając jakiegoś schronienia.

Panika trwała zaledwie kilka sekund, dopóki nie uświadomili sobie, że nawet cybernetyczna osa złamałaby żądko na takim pancerzu. Gwałtowne zamieszanie zdążyło jednak już wzbudzić panikę w centrum operacyjnym.

- Grupy wejściowe! Co się stało? - wrzeszczał Drew do mikrofonu. Jake roześmiał się. Strach uleciał i tylko adrenalina nadal utrzymywała się na wysokim poziomie.

- Hmm, przepraszam, Operacyjny. Mieliśmy tu pewien problem z owadami. Nikomu nic się nie stało.

- Jesteście na otwartym kanale, do cholery - wyrzucił z siebie Foley. Jake mógł go sobie wyobrazić, jak odpycha biednego Drewa od mikrofonu. Kto jest na otwartym kanale?

Słuchawki, jakich używali, posiadały opcję, która umożliwiała rozmowy na otwartym kanale. Tu, w Newark, nie wolno im jednak było z niej korzystać - gdy zbyt wiele osób mówiło jednocześnie, powstawał nieopisany chaos.

- Czyżbym był na otwartym kanale? - zapytał Jake samego siebie. Słowa ugrzęzły wewnątrz kombinezonu.

Po chwili usłyszał: - Sprawdźcie, sprawa... - głos urwał się raptownie. Jake dostrzegł, jak numer czwarty - Carlos Ortega - wyciąga rękę z rękawa, aby chwycić radio na pasku.

- Kto to był? - szczekał Foley. - Kto nie zastosował się do procedury? Jake szybko machnął do Carlosa. Nie było sensu odpowiadać na tego typu pytania.

- Hmm, Operacyjny? Zajęliśmy się tym. Wszyscy wyłączyli otwarty kanał. Wchodzimy.

- Chcę wiedzieć, kto to był!

Wszyscy spojrzeli na Jake'a, który chwycił się za krocze i wysunął wymownie rękę, pokazując ptaka w rękawicy. Wskazał na zamek i Parker powrócił do swojej roboty.

Jake zdumiał się, że te księżycowe kombinezony całkowicie izolują od świata zewnętrznego. Parker stał nie dalej jak trzy metry od niego, postukując metalem o metal, a mimo to do uszu Jake'a nie dochodził najmniejszy dźwięk. Czuł jedynie ciężar ekwipunku, lekkie łaskotanie w żołądku oraz piekielne gorąco. Boże, to gorąco. Krople potu gromadziły mu się na koniuszkach palców.

Wreszcie Parker tryumfalnie uniósł głowę, wskazując na zamek jak na trofeum.

- W porządku - oświadczył Jake. - Drzwi otwarte. Wchodzimy. Tym razem w słuchawce rozbrzmiał głos Drewa.

- Dobra. Liczymy na puste pomieszczenie. Dobrze by było - pomyślał Jake.

Przeleciało mu przez głowę, że otwieranie starożytnego grobowca z mumią musi robić podobne wrażenie: wkraczanie w nieznaną, bez żadnej wiedzy o tym, jakie klątwy mogą tam oczekiwać. Parker zapał się, ale drzwi pod wpływem własnego ciężaru ustąpiły nadszpiewanie łatwo. Smuga światła przecięła atramentową czerń wnętrza magazynu. To tyle na temat pustego pomieszczenia - zamruczał do siebie Jake. Miejsce przypominało strych, zavalony milionami skrzyń różnych rozmiarów, typów i budowy. Zawartość drewnianych skrzynek budziła zwykle większą grozę niż materiały przechowywane w kartonowych pudłach, tu jednak jednych i drugich było tyle, że nie miało to już znaczenia.

- No cóż, Operacyjny, szybką akcją mamy z głowy. Ten magazyn jest załadowany po brzegi.

- W porządku, Wejście. Informujcie nas na bieżąco.

Nikt się nie poruszył, dopóki dwaj specjaliści na przodzie nie stwierdzili, że jest bezpiecznie. W tej robocie tylko cierpliwi żyją na tyle długo, żeby doczekać emerytury. W czasie wykładów ludzie udawali, że nie obchodzą ich te wszystkie bzdury związane z bezpieczeństwem, ale nikt z Silverados znajdujących się w Magazynie B-2740 nie miał wątpliwości, że najmniejszy błąd może kosztować życie.

- Mam zera na wskaźniku - oświadczył Parker.

- Ja też - odezwał się Adam Pomeroy, odpowiednik Parkera w Zespole Bravo.

- U mnie też wszystko w porządku - powiedział Jake. Tylko Carolyn dosłyszała wahanie w jego głosie i spojrzała zdziwiona. Odwrócił wzrok.

Strumień dziennego światła zgasł, gdy tylko weszli głębiej do betonowej jaskini. Co ciekawe, mrok zdawał się najbardziej nieprzenikniony dokładnie na granicy światła i ciemności.

- Wejście Jeden do Operacyjnego. Jesteśmy w środku.

- W porządku, Wejście Jeden. Pierwsze wrażenia? Pomieszczenie przytłaczało swoim

ogromem. Rozciągało się daleko poza zasięg latarek przymocowanych do rękawów kombinezonów i wyglądało na maksymalnie załadowane. Drewniana skrzynia, która wcześniej tak przeraziła faceta z Agencji Ochrony Środowiska, wciąż stała na swoim miejscu, tuż za drzwiami, blisko środka - to miejsce jako pierwsze powinno zostać oświetlone po otwarciu ognioodpornych drzwi. *Armia Stanów Zjednoczonych - Niebezpieczeństwo - Trucizna* - taki napis widniał tuż ponad znanym symbolem trupiej czaszki i skrzyżowanych kości. A poniżej: *Substancja Chemiczna - Gaz Musztardowy*.

To był dopiero początek. We wszystkich kierunkach rozciągały się rzędy półek z Bóg wie czym. Zakładając, że drewniane kontenery z napisami zawierały sprzęt wojskowy - a sprzęt wojskowy to takie coś, po czym zostają głębokie leje - miejsce to zasługiwało na miano jednej wielkiej bomby. Dalej znajdowały się dwustulitrowe beczki, kartonowe pudła, szklane słoje ... I tak dalej, i tak dalej.

Jake włączył mikrofon.

- Pierwsze wrażenia? No cóż, pomyliliśmy się co do tego kontraktu o jakieś milion dolarów.

- Dwa miliony - poprawiła go Carolyn. W ciemności ich twarze niknęły za szybkami księżycowych kombinezonów, a mimo to wiedziała, że jej mąż się uśmiecha.

Parker prowadził grupę Alfa głębiej w ciemność. Z każdym krokiem świat wydawał się coraz mniejszy, ograniczony do tego, czego mogli dotknąć światłami latarek. Półki sięgały betonowego stropu i na pierwszy rzut oka wszystko wyglądało tak samo; każdy zakamarek, każdy kąt był identyczny jak sąsiedni. Jake złapał się na tym, że nieustannie zerka do tyłu na migoczącą ścianę słonecznego światła. Dopóki widzi to światło – powtarzał sobie w duchu - nie zgubi się. Ta optyczna kotwica kurczyła się jednak w szybkim tempie.

- Co tam, Parker? - odezwał się.

- Wciąż zera. Może powinniście robić coś bardziej produktywnego, niż lazić za mną?

Do cholery, facet miał rację. Taki był plan. Mieli oszacować ryzyko skażenia związanego z tym magazynem, a to wymagało jego przeczesania krok po kroku. Jake i Carolyn powinni już zacząć zapisywać spostrzeżenia. Nie wiedzieć jednak czemu ogrom tego, co tu zastali, wciągał ich coraz głębiej do wnętrza.

- Hej, coś tu mamy - głos Adama Pomeroya wyraźnie drżał.

Jake odwrócił się o trzysta sześćdziesiąt stopni, ale niczego nie zobaczył.

- Gdzie jesteś? Co tam znalazłeś?

Adam pomachał uniesioną latarką i Jake dostrzegł go pomiędzy rzędami półek. Nie miał pojęcia, że aż tak bardzo się od siebie oddalili.

- Tutaj jestem - odezwał się Adam. - Znalazłem szkielet.

- Powtórz - odezwał się Jake, nie wierząc własnym uszom. - Powiedziałaś "szkielet"? - mówiąc, kluczył w labiryncie skrzyń i pudeł.

- Dobrze usłyszałaś - potwierdził Adam.

- Machaj tym światłem, żeby do ciebie trafił.

- Widzę go - powiedziała Carolyn, kierując Jake'a ku początkowi magazynu.

Położył jej rękę na ramieniu, zmuszając do raptownego zatrzymania. Zdawało mu się, że usłyszał coś dziwnego: odgłos wystrzału korka z butelki. Może to kompresor powietrza? Cholera, to nie wróżyło nic dobrego.

- Słyszycie? - zapytał.

- Prawie jak kanonada - odezwał się ktoś z grupy Bravo. Jake spojrzał w ich kierunku. Cholera, dokładnie tak.

W ułamku sekundy otaczający ich świat buchnął jaskrawobiałym światłem. Silny podmuch targnął Jakiem. Odniósł wrażenie, że leci w powietrzu, a następnie poczuł, jak uderza o coś twardego. Powinien słyszeć hałas, czuć ból; zabrakło jednego i długiego. Tylko palący żar w miejscu, gdzie wcześniej stała grupa Bravo. Zdezorientowany, nie wiedział, czy leży na podłodze, czy też rzuciło nim o ścianę. Rozróżnienie góra - dół przestało mieć sens.

Ponowny błysk rozdarł wnętrze magazynu i tym razem uszy Jake'a rozsadził ogłuszający hałas. Żółte płomienie na chwilę dołączyły do białych, po czym ciężka zasłona czarnego dymu zasnęła wszystko dokoła i gorąco stało się niewidzialne.

Musiał się wydostać z tego koszmaru; to nie mogło się wydarzyć. W jednej sekundzie zrozumiał, że jest trupem.

- Jake!

Odwrócił się na prawo, spodziewając się ujrzeć Carolyn, ale zobaczył tylko nieprzeniknione ciemności.

- Jake! Gdzie jesteś?

Słuchawka w uchu! Chryste, Carolyn mogła być wszędzie, lecz jej głos zawsze będzie tuż obok niego. Wyczuł przycisk transmisji.

- Jezu, co to było?

- Dzięki Bogu, Jake. Gdzie jesteś?

- Nie mam pojęcia. A ty?

Trzeci granat zawył kilka centymetrów ponad jego głową i walnął w prawy róg magazynu. Tym razem eksplozja zyskała wymiar fizyczny. Jake poczuł, jak porywa go fala gorąca; upadł na regał, który zarwał się pod jego ciężarem. W błysku ujrzał srebrzystą sylwetkę

Carolyn na tle kłębow dymu w chwili, gdy upadła zaledwie kilka kroków od niego.

- Carolyn! Nic ci nie jest?

Jedyną odpowiedzią był nieludzki krzyk, a raczej skowyt, dochodzący gdzieś spoza gęstej zasłony czarnego dymu. Narastał, wypełniając ciemności, po czym utonął nagle w bezmiarze ciszy.

- Carolyn! - wrzasnął Jake. - Carolyn, gdzie jesteś? - ledwie słyszał własne słowa i nie był pewien, czy nie ogłuchł.

Nagle poczuł na ramionach czyjeś ręce. Kombinezon werznął mu się w krocze, kiedy ciągnęły go po podłodze. Z trudem uniósł się na kolana, a potem na nogi, krzycząc z radości na widok dużej trójki na srebrnym kombinezonie tuż przed sobą. Carolyn żyła!

Wciąż zdezorientowany, brnął za nią, wierząc, że wie, dokąd zmierza. Pożar za ich plecami rozprzestrzeniał się z każdą sekundą, podsycany kolejnymi eksplozjami. Jake przestał się potykać i popędził, popychając przed sobą Carolyn.

Płomienie i dym buchały przez otwarte drzwi, kiedy oboje rzucili się na trawę. Wałąc ręką w przycisk transmisyjny, Jake wrzeszczał wniebogłosy:

- Uciekajcie! Uciekajcie! Uciekajcie!

Wciąż jednak nie słyszał własnego głosu.

Chwiejnie stanęli na nogach i rzucili się ku linii dekontaminacyjnej. Nagle Carolyn stanęła jak wryta. Jake ponownie się potknął, ale zdołał odzyskać równowagę. Wtedy ujrzał to, co sparaliżowało Carolyn. Rzeź. Wszędzie pełno ciał, powykręcanych, leżących na ziemi.

Co do cholery...

Carolyn usłyszała strzały, a potem ujrzała strzelca: potwora bez twarzy, idealnie zamaskowanego wśród zieleni. Zdradzały go tylko błyski ognia z lufy. Był tak blisko! Nie rozumiała, jakim cudem jeszcze żyli. W tej samej chwili pleksiglasowa osłona twarzy w kombinezonie Jake'a eksplodowała.

- O Boże! O Boże, Jake! - schwyciła go, żeby nie upadł.

Jake złapał ją za ręką i pociągnął za ścianę magazynu. Wspięli się na strome wzniesienie.

Potem biegli. Długo. Las migał im przed oczami zielenią, żółcią i bielą, kiedy uciekali przed uzbrojonym mordercą, oddalając się od chmury dymu nie wiedząc czemu. Musieli uciec możliwie jak najszybciej i najdalej.

Za każdym krokiem ciężka butla z tlenem uderzała Carolyn po łopatkach. Nagle poczuła, że traci grunt pod nogami. Jakaś pętla bluszczu z leśnego poszycia chwyciła ją za kostkę i rzuciła na stertę liści u stóp zwałonego drzewa.

Odpoczynek - pomyślała Carolyn. - Muszę chwilę odpocząć. Złapać oddech...

Jake poderwał ją jednak na nogi i zmusił do wysiłku, ciągnąc nie wiadomo gdzie. Wyszarpnąwszy się z jego objęć, uruchomiła komunikator.

- Nie mam już siły - krzyknęła, czując ogień w płucach i wirowanie w głowie. Wnętrze kombinezonu zamieniło się w istną saunę. - Musimy odpocząć. - Jake nie odpowiadał, więc raz jeszcze wcisnęła przycisk, tym razem wrzeszcząc przeraźliwie: - Wolniej, do cholery!

- ...zwolnimy. Później - jego głos wydawał się odległy.

Miała wrażenie, że wciąż biegnie, ale mijane zarośla zwolniły tempo do szybkiego spaceru.

- Nie słyszę cię! - wołała, ale nie odpowiadał. A może był ranny? Jezu, kula trafiła go w twarz! Oczywiście, że był ranny!

- Jake!

Jake nie słyszał nic prócz własnego głosu. Dlaczego, do diabła, ona nie odpowiada?

Ledwo widział przez pajęczynę potłuczonego pleksiglasu, ale nie wstrzymało go to w biegu. Jeszcze nigdy tak nie pędził. Nigdy tak się nie bał. Carolyn ciągle zwalniała. Nie odpowiadała przez to cholerne radio. Widział, jak raz nacisnęła przycisk transmisyjny, ale słuchawka w uchu milczała.

Słuchawka! O to chodziło! Musiała mu wylecieć, kiedy rzuciła nim po magazynie. Pomyślał, że trzeba się zatrzymać, ale momentalnie uznał tę myśl za szaloną. Miał dziurę w tym pieprzonym kombinezonie! Bzdurne wykłady Nicka Thomasa napłynęły mu do głowy i spróbował przypomnieć sobie szczegóły.

Czas, odległość i osłona. Pamiętał to dobrze: trzy czynności zabezpieczające przed toksycznymi substancjami. Ograniczyć czas, zwiększyć odległość i osłonić się przed niebezpieczeństwem. Cholera! Stał w tym pieprzonym dymie przez Bóg wie jak długo i to z dziurą w cholernym kombinezonie. Pieprzyć to wszystko!

Negatywne myśli otwały drzwi przerażeniu i panice. Co to powiedział Nick podczas ostatniego wykładu? Aha: Najmniejszy błąd może was kosztować życie. Ryk śmiechu, łapanie się za brzuchy. A teraz to świństwo naprawdę mogło go załatwić!

Pędził więc dalej, ciągnąc Carolyn za co popadło. Wiedział, że wkrótce zabraknie im tlenu. W normalnych warunkach starczało go na czterdzieści pięć minut. Oczywiście projektanci nie robili wyliczeń przy założeniu, że użytkownicy wylecą w powietrze i zostaną postrzeleni, a następnie będą gnać przez las jak spłoszona zwierzyna. Na ile pozostało im powietrza? Na trzydzieści minut? Mniej? Jak długo trwał ten obłąd? Nie miał pojęcia. Wydawało mu się, jakby minął tydzień.

Przynajmniej pojemnik z tlenem wciąż działał bez zarzutu. Jake oddychał czystym powietrzem. To było najważniejsze... Wtem usłyszał w głowie głos Nicka. Trzy sposoby przenikania Tak mówił, no nie? Inhalacja była najgorsza, ale pozostawała absorbcja i przyjmowanie pokarmów. Substancje toksyczne dostają się do organizmu również przez skórę.

A ja mam dziurę w tym cholernym kombinezonie!

Panika Jake'a zaczęła przybierać realne kształty, kiedy poczuł zawroty głowy. O Boże, zaraz zemdleje! Desperacko walczył o kontrolę nad własnym umysłem. Próbował sobie przypomnieć, jakie są pierwsze objawy po zaabsorbowaniu zbyt dużej dawki toksyn, ale nie wychodziło.

Jeśli to wygląda jak kaczka i chodzi jak kaczka...

Było to jedno z ulubionych powiedzeń Nicka. Niewątpliwie olbrzymia temperatura i przerożenie sprawiło, że maksymalnie się odwodnił, ale czy to było powodem fatalnego samopoczucia, czy może ta wielka, pieprzona dziura w kombinezonie?

Wrzasnął, kiedy lampka alarmująca o zbyt niskim ciśnieniu zamigotała na osłonie twarzy.

- O cholera! Niech to szlag! - Pięć minut życia - nie, raczej trzy, jeśli będzie oddychał nabierając pełne płuca powietrza. Zatrzymał się raptownie, nie zdając sobie sprawy, że wciąż trzyma Carolyn za kombinezon. Koszmar stał się rzeczywistością. Jake, uwięziony w kombinezonie, nie mógł liczyć na niczyją pomoc.

Usiadł ciężko na liściach - właściwie opadł na nie bezwładnie - i wyjął rękę z rękawa, aby poszukać słuchawki, która dyndała na przewodzie opierając się na przepoconym ubraniu w okolicy brzucha. Wymacał ją palcami i włożył sobie do ucha. Przez mgłę przerożenia i ciężki oddech przebijał się krzyk Carolyn.

- ...się dzieje?!

Jake włączył palcem przycisk transmisji.

- Jestem chory, Carolyn - wysapał. - Już po mnie. Ten alarm ciągle brzęczy. Jestem trupem.

- Gówno prawda!

Zdumiał go jej ton. Jakby chciała się z nim spierać - nawet cienia współczucia. Czuł, jak ciągnie go za rękaw kombinezonu i dopiero po kilku sekundach zauważył w jej garści zwój przewodu.

- Co ty wyprawiasz? - zapytał, ale zaraz zobaczył. Atropina. - Czekaj! - wrzasnął. - Może to tylko ta spiekota!

Carolyn nigdy nie była pielęgniarką i o ile się orientował, nigdy nie chciała być. I dobrze. Wpakowała mu igłę w nogę, jakby miażdżyła jakiegoś robaka. Pomyślał, że chyba przebiła się do kości udowej. Ostry ból zmienił się w palący, kiedy wstrzyknęła płyn. Potem poczuł zawroty głowy. Upadł na plecy.

Przenikliwy ból rozjaśnił mu umysł. Brzęczenie nie było już tak intensywne. Musiał wydostać się z kombinezonu. Teraz. Natychmiast. Czas uciekał.

Worek na zwłoki z oknem - przemknęło mu znowu przez głowę.

Krótki ekspres znajdował się gdzieś na karku, pod specjalną osłoną. Jake szukał go przez jakąś minutę.

- Weź nóż - głos Carolyn rozbrzmiewał mu w głębi głowy. Podniósłszy wzrok zobaczył,

jak sama robi zastrzyk sobie - wkłuwając się we własne udo tak delikatnie...

Nóż. Tak, oczywiście, nóż. Jak mogła zachowywać taki spokój? Z wysiłkiem wsunął rękę do kieszeni, ale okryte lateksem palce wyczuły składanego bucka. Żeby otworzyć nóż, musiał wyjąć drugą rękę z rękawa.

Ostrożnie wyciągnął ostrze i akurat w tym momencie buczenie ustało zupełnie. Nigdy jeszcze tak dokładnie nie wykorzystał zapasu powietrza. Teoretycznie po zamknięciu alarmu zostawało go na jakieś trzydzieści sekund.

Cholera!

Zagłębił ostrze w kombinezonie tuż poniżej podbródka. Pracował jak szalony, rozcinając materiał aż po krocze, a następnie zmienił chwyt noża, żeby ciąć dalej do kolana.

Tlen w butli się wyczerpał. W połowie oddechu Jake'owi po prostu zabrakło powietrza, tak jakby ktoś nagle zatkał mu nos i usta. Płuca zawyły, a mięśnie naprężyły się, czekając na dopływ tlenu. Ogarnięty paniką zapomniał o kombinezonie. Upuścił nóż na ziemię i wbił się paznokciami obu rąk w osłonę twarzy. Wysilek zmniejszył ciśnienie wewnątrz maski tak drastycznie, że kiedy ją wreszcie ściągnął, wydała cichy ssący odgłos.

- Dzięki Bogu! - powiedział głośno zginając się wpół i opierając ręce na kolanach. Znowu mógł oddychać.

- Wyjdź z tego kombinezonu - rozkazała Carolyn. - Jesteś brudny. Kombinezon. Boże, był w strasznym stanie, skażony tym świństwem, które tam spłonęło. Jake wstrzymał ponownie oddech - tym razem z wyboru - i wytrząsnął stopy z księżycowego stroju. Potykając się, odszedł szybko na jakieś dziesięć kroków, zatrzymał się i spojrzał za siebie.

Oparł się o drzewo i wziął głęboki oddech. Gorące, sierpniowe powietrze wydawało mu się chłodne, a prosta czynność oddychania była błogosławieństwem. Żył.

- Jak się czujesz? - zapytała Carolyn. Wciąż miała na sobie kombinezon, więc rozmawiali przez radio i w tle Jake słyszał, że i jej alarm również buczy.

- Używasz mnie jako królika doświadczalnego! - krzyknął, wciskając przycisk transmisji i roześmiał się. - Ty cwaniaro! Chciałaś zobaczyć, czy powietrze mnie zabije!

Niczym ptak wyłaniający się z jakiegoś dziwnego, srebrnego jaja, Carolyn uwolniła się ze swej skorupy, rozcinając materiał, tak jak wcześniej zrobił to Jake. Wiele razy ćwiczyła tę czynność, choć tylko w wyobraźni, i jej ruchy zdawały się bardziej zdecydowane niż Jake'a, a nawet pełne wdzięku. Tak jakby używała ostrzejszego noża. Wskoczywszy z księżycowego kombinezonu, zdjęła wysokie buty, oddaliła się kilka kroków i dopiero wtedy zrzuciła butelkę tlenową i maskę. W końcu pozbyła się rękawic, które wywróciła na drugą stronę, zapobiegając w ten sposób ewentualnemu skażeniu.

Kiedy skończyła, spojrzała na stojącego pomiędzy drzewami Jake'a, który wpatrywał się w nią przez długą chwilę. Wreszcie ruszyli ku sobie.

- Żyjemy - odezwała się Carolyn. W jej głosie nie było słycać szczęścia, jakie powinno towarzyszyć podobnym słowom.

Jake chciał powiedzieć coś wesołego, by rozluźnić atmosferę, ale powstrzymała go nagła fala emocji. Mgliste, surrealistyczne wspomnienia pożaru, wybuchów, ciał kolegów zawirowały mu w głowie... Ale miał Carolyn. To nadawało sens istnieniu, nawet jeśli cała reszta legła w gruzach. Jak powiedziała, żyli! Przypadli do siebie wśród leśnej ciszy. A jednak czuł strach. Coś mu mówiło, że złe jeszcze nie odeszło.

Dopiero po czterech godzinach marszu wzdłuż rzeki natknęli się na chatę. W jedynej izbie stało stare wojskowe łóżko, chemiczna toaleta i kuchenka kempingowa na propan. Drzwi wisiały na jednym zawiasie i wszystko wskazywało na to, że od wielu tygodni nikt tu nie zaglądał. - Urocze miejsce - wymamrotała Carolyn.

Jake uśmiechnął się.

- No, naprawdę wysoki standard. Widzisz może gdzieś telefon? Oparła ręce o biodra i przewróciła oczami.

- Tak, oczywiście, że widzę. Myślę, że jest w szafce na naczynia. - Podeszła do okna o stłuczonej szybie.

Westchnął.

- Musimy skontaktować się z policją.

- Cóż, jak tylko... Hej! Tam jest łódka!

Jake pospieszył, żeby spojrzeć przez okno ponad ramieniem Carolyn.

- Gdzie?

Poprowadziła go przez frontowe drzwi i dalej ku zbitemu z desek pomostowi. Mniej więcej w połowie drogi, obok rozrzuconego stosu drewna na opał leżało wśród liści odwrócone do góry dnem, zniszczone czółno z aluminium.

- Myślisz, że nie zatonie? - zapytała.

- Nie można tak po prostu ukraść jakiemuś człowiekowi czółna! Chryste, pewnie by nas tu za to powiesili.

Skrzywiła się.

- Masz lepszy pomysł? Nie wyobrażam sobie łożenia boso po lesie. Bardzo dziękuję. I nie zamierzam zamieszkać w tej budzie.

Jake rozejrzał się dokoła.

- Jezu, Carolyn, nigdy wcześniej niczego nie ukradłem.

- No tak, zupełnie jak John Dillinger, zgadza się? Nie mamy tu zbyt wielu możliwości do wyboru.

Wziął głęboki oddech, zatrzymał powietrze w płucach lustrując horyzont, jakby szukał inspiracji. W końcu wzruszył ramionami.

- A, do diabła, co tam!

Przewrócił czołno na kil i zaciągnął je w pobliże pomostu, podczas gdy Carolyn wzięła wiosło leżące pod łódką.

- Nie zmęczyłaś się zbyttnio, kochanie? - wysapał, starając się ochronić palce u nóg przed zmiążdżeniem.

- Nie, czuję się świetnie, złotko - uśmiechnęła się. - Zaniosę to wiosło na pomost.

Czołno ześlizgnęło się z łatwością po trawiastym zboczu i wsunęło zgrabnie do wody. Jake zanurzony po biodra pomógł Carolyn wejść do środka, a następnie wciągnął się sam, zajmując pozycję na rufie.

Wiosłowali przez godzinę wzdłuż ściany lasu.

- Myślisz, że zrobiliśmy z pięć kilometrów? - odezwał się Jake po raz pierwszy od wielu minut.

- Według mnie zrobiliśmy tysiące kilometrów - odpowiedziała Carolyn. Leżała na plecach na dnie czołna, osłaniając ramieniem oczy przed słońcem. Tak naprawdę pytanie miało na celu sprawdzenie, czy śpi.

- Dlaczego pytasz?

- Hmm. Według planu, w obliczu nieprzewidzianych wypadków należy ewakuować się na odległość co najmniej pięciu kilometrów. Chcę nam zapewnić bezpieczeństwo.

Podniosła lekko rękę i zerknęła na niego spod przymrużonych oczu.

- Stary łgarz z pana, panie Donovan. Nigdy nie zapoznałeś się z tym planem.

Uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

- Nie, ale ty mi go czytałaś.

- Następnym razem pokażę ci obrazki - rzuciła, ponownie ukrywając się za ramieniem.

Koryto rzeki zwęziło się znacznie w ciągu kolejnych dwudziestu minut. W końcu dojrzeli pierwsze domy usytuowane wzdłuż brzegów.

- Myślę, że wpływamy na obszary cywilizowane - powiedział Jake. Carolyn usiadła.

Chatki myśliwskie po obu stronach rzeki zmieniły się w duże domy z podwórkami pełnymi starych pieców, lodówek i wszelakiego złomu. Niewątpliwie domostwa były zamieszkałe. Usytuowane blisko brzegu budynki ociekały wilgocią, a żałosny widok

potęgowały górujące nad nimi drzewa, które okrywały je wieczną ciemnością, osłaniając od przenikliwych promieni letniego słońca.

Carolyn spoglądała w zamyśleniu, wyobrażając sobie nieustającą walkę z pleśnią. Wzdrygnęła się na myśl o zapachu wypełniającym pozbawione klimatyzacji wnętrza.

- Jak ludzie mogą tak żyć? - zapytała głównie siebie. Wyobrażenia poddawała jej obrazy umorusanych dzieci bawiących się w zaniedbanych izbach w oczekiwaniu na kolejny nędzny posiłek.

Jake naciągnął przez głowę podkoszulek Budweisera i wzruszył ramionami.

- Nie mam zielonego pojęcia.

Uśmiechnęła się z satysfakcją, rejestrując ten kolejny przejaw nieskończonego optymizmu swego męża.

- Szlachetność biednych, zgadza, się?

- Cóż, na pewno nie mają się czego wstydzić - Jake jakby się bronił. - Z tego co wiemy, ci ludzie pracują na trzy etaty, żeby zapewnić sobie przetrwanie.

- Nieważne - rzuciła krótko.

Jake znał ten ton. Uważała, że w tych sprawach jest naiwny i niedoinformowany. Tej cechy charakteru żony nigdy nie potrafił zrozumieć. Carolyn wytyczyła sobie pewien poziom, trudny do osiągnięcia dla zwykłego śmiertelnika, i nawet gdy oscylowali wokół punktu, w którym wieczorne wyjście na pizzę i piwo wymagało skrupulatnych obliczeń, przejawiała niepokojący, prawie okrutny brak tolerancji dla ludzi biednych. Za każdym razem, kiedy Jake zwracał uwagę, że zbliżają się niebezpiecznie do granicy ubóstwa, upierała się, iż nie bierze pod uwagę całej masy istotnych czynników. Różnica polegała na potencjalnych możliwościach - mówiła. Jako absolwenci koledżu, z wyższym wykształceniem technicznym w liczącej się dziedzinie, teoretycznie mieli nieograniczone możliwości. Fakt, że ojciec Jake'a harował w kopalniach na nocną zmianę aż do grobowej deski, a matka sprzątała po domach, by związać koniec z końcem, zdawał się nie wywierać na Carolyn najmniejszego wrażenia. Była zabawna pod tym względem. Domyślał się, że to wpływ jakiegoś wydarzenia z jej dzieciństwa. Czegoś, co wypaczyło jej spojrzenie na świat. Pod każdym innym względem pełna poświęcenia, oddana żona, potrafiła zachowywać się bezdusznie, gdy w grę wchodziły pieniądze.

- Jak myślisz, gdzie jesteśmy? - zapytał zmieniając temat. Carolyn wyciągnęła szyję i rozejrzała się dokoła.

- Nie mam pojęcia - odpowiedziała po kilku sekundach. - Niewątpliwie gdzieś w dół od tego miejsca, w którym byliśmy wcześniej. - Jej uśmiech rozjaśnił całą łódź. Nic na świecie, żaden zły humor czy nietolerancja nie osłabiłyby czystego piękna tego uśmiechu - pomyślał

Jake.

Po kilku minutach krajobraz znów się zmienił. Tym razem ujrzeli rząd zniszczonych sklepów, które, podobnie jak pobliskie domostwa, usytuowano na brzegu rzeki. Najwyższy z budynków sprawiał jednocześnie wrażenie najstarszego. Parter zbudowany był z kamienia, a dwie wyższe kondygnacje pokrywał zniszczony siding, na którym widniał wypłowiały, ręcznie wymalowany czerwoną farbą napis: "Przynęta i takielunek u Bobby'ego".

- Hej, popatrz! - Jake wskazał ręką. - Zobaczmy, czy Bobby ma telefon. - Skierował czołno do brzegu i ustawił je przy żuźlowym parkingu. Wyskoczył pierwszy, przytrzymując łódź, kiedy wychodziła Carolyn. Wspólnie wciągnęli czołno na brzeg i ruszyli po żuźlu, odruchowo unosząc łokcie, kiedy ostre kamyki wbijały się w im boscie nogi. Trzydzieści metrów dalej żuźel zmienił się w asfalt. Przystanęli na chwilę, czekając, aż przestaną ich boleć stopy.

- Witamy w Buford - powiedziała Carolyn. Jake przekrzywił głowę.

- Skąd wiesz?

Zaśmiała się i wskazała na drugą stronę ulicy.

- "Buford. Gospodarstwo domowe" - przeczytała, a następnie wskazała dwie przecznice dalej: - Motel "Buford".

- Twoja zdolność dedukcji jest niebezpieczna - zadrwił. - Skąd wiesz, że jakiś facet o nazwisku Buford nie jest właścicielem sklepu i motelu?

Spojrzała na niego z miną oznaczającą: "Ja wiem najlepiej".

- Ludzie o nazwisku Buford nie prowadzą takich interesów.

Miasteczko okazało się większe, niż Jake się spodziewał. Rozciągnięte w trzech kierunkach na długość kilku przecznic, było ciekawą mieszaniną starych budynków o wysokich fasadach i ogrodzeniach z kutego żelaza, ze szklaną architekturą lat sześćdziesiątych. Górnicze miasteczko, w którym dorastał, było o wiele mniejsze, a zamieszkiwało je dziesięć tysięcy ludzi. Traktując to jako skalę porównawczą, oceniał, że Buford - o ile rzeczywiście tak się nazywało - mogło liczyć około dwudziestu tysięcy mieszkańców. Tym bardziej zdumiewało go, że w zasięgu wzroku nie widać było żywej duszy.

- Gdzie oni wszyscy się podzieli? - Carolyn wypowiedziała na głos myśli męża.

- Trochę nawiedzona ta miejscina, co? - Sklep "Przynęta i takielunek u Bobby'ego", podobnie jak okoliczne budynki, był zamknięty na cztery spusty, a w środku nie paliło się żadne światło. - Czy "Strefa mroku" nie rozpoczynała się właśnie tak?

Carolyn zadrzała.

- Na pewno ich ewakuowano! - krzyknęła. - Ten pożar w magazynie musiał ich nieźle wystraszyć.

Jake spojrzął na nią spode łba.

- Jezu, naprawdę tak myślisz? Tak daleko?

- No wiesz, tak naprawdę to nie wiemy, na ile oddaliliśmy się od magazynu. Pięć kilometrów to kawałek drogi.

- A to spore miasteczko - zakończył za nią. - Przecież to koszmar, ruszyć stąd wszystkich ludzi - oparł ręce na biodrach i powiódł wzrokiem po ulicy. - Widzisz jakąś budkę telefoniczną?

Nie dopatrzwszy się żadnego, ruszyli w kierunku motelu "Buford". Niewątpliwie tam musieli mieć telefon. Szli szybkim krokiem, popychani dziwnym niepokojem. Całkowita pustka w czasie, gdy ulice powinny się roić od ludzi, robiła na nich postapokaliptyczne wrażenie. Jake spodziewał się, że zaraz zobaczy Mad Maxa wraz z grupą uchodźców.

Czy skażenie mogło dotrzeć aż tak daleko? W przypadku poważnych katastrof tego typu ewakuowano ludzi w promieniu przynajmniej pięciu kilometrów. Czy istniała możliwość, że kierunek wiatru, inwersje termiczne czy jakiegokolwiek inne fizyczne lub meteorologiczne anomalie sprawiły, że wciąż znajdowali się w strefie zagrożenia?

Idąc, prowadzili rozważania na ten temat. W końcu Jake wrócił do rzeczywistości.

- Za późno, żeby się teraz tym przejmować. Jeśli to strefa skażenia, to przez cały dzień byliśmy wystawieni na działanie substancji toksycznych.

Zastanawiali się, jak po dwudziestu czy trzydziestu latach odczują skutki katastrofy. Może rak. Albo ślepotą. Boże, istniało tyle możliwości! A objawy mogły wystąpić dopiero po dziesięcioleciach.

I to było najgorsze w całym tym interesie. Niektóre z najniebezpieczniejszych chemikaliów były bezbarwne, bezwonne i pozbawione smaku, a skutki ich działania zauważało się dopiero po wielu latach. Skąd możemy wiedzieć, czy guz, który pojawił się po sześćdziesiątych piątym urodzinach, jest po prostu kolejnym nowotworem, tak jak ostatnie trzy, które wyleczył onkolog, czy też jest skutkiem dawnego skażenia chemią?

Na parkingu motelu "Buford", podobnie jak w całym mieście, nie dostrzegli ani jednego samochodu. Jednopiętrowy budynek wyglądał jak typowy motel z lat sześćdziesiątych. Rząd kilkunastu pokoi ciągnął się wzdłuż parkingu. Na końcu mieściło się niewielkie biuro o szklanych ścianach. Bliskość łóżka i klimatyzacji uświadomiła Jake'owi, jak bardzo jest wyczerpany. Niespodziewanie zdał sobie sprawę, że ledwo powłóczy nogami.

- Nie najgorzej, biorąc pod uwagę okoliczności - skomentował. Właściciel miał dryg do zieleni - morze floksów i bratków pośrodku parkingu otaczało niewielki basenik, który najwyraźniej został wykopany znacznie później. Na zewnętrznych parapetach okien stały

wielobarwne donice z kępami pelargonii.

- Jak myślisz, wynajmują pokoje na całą noc, czy tylko na godziny? - zapytała Carolyn.

Jake pokręcił głową.

- Ale z ciebie smarkula - starał się nadać swemu głosowi wesołe zabarwienie.

Zachichotała.

- No cóż, stać mnie na takie zachowanie, kiedy jestem tak szalowo ubrana. - Dopiero teraz o tym pomyślał. Wyglądali koszmarnie. Brudni, spoceni, spieczeni słońcem, boso przedstawiali niecodzienny widok.

- Muszę się zdrzemnąć - oznajmiła Carolyn, podchodząc do przeszklonego wejścia. Ku jej zdumieniu drzwi z łatwością ustąpiły pod naporem dłoni.

Meble w środku były stare, ale czyste. Coś z wczesnej Ameryki z domieszką stylu kolonialnego oraz modernizmu duńskiego.

- Jak milutko - mruknęła z przekąsem Carolyn.

- Cicho - warknął Jake. - Halo - zawołał - jest tu kto?

- Może nie powinniśmy tu wchodzić - szepnęła. - Czuję się jak włamywacz.

- Witam, witam! - podskoczyli, kiedy starszy mężczyzna wyłonił się niespodziewanie zza kontuaru. Dobiegał chyba siedemdziesiątki i miał szczery uśmiech, rozpromieniający twarz pokrytą kilkudniowym zarostem. Wyglądał za staro, żeby witać motelowych gości. - Wybaczcie, kochani. Nie chciałem was przestraszyć. Jestem Terrell. Czym mogą służyć?

Roześmiali się.

- W porządku, w porządku - odezwał się Jake. - Proszę się nie dziwić, że tacy jesteśmy dzisiaj skoczni. To miejsce wygląda na trochę nawiedzone.

Uśmiech Terrella nie zmienił się ani trochę, ale oczy pociemniały mu, kiedy oceniał wygląd gości.

- Wszystko gra? Wyglądacie coś tak... No, wszystko w porządku? Carolyn otworzyła usta, żeby odpowiedzieć, lecz Jake położył jej znacząco dłoń na plecach.

- Czujemy się dobrze, dzięki - odpowiedział. - Ale przytrafił nam się niewielki wypadek. Czy moglibyśmy skorzystać z pańskiego telefonu, żeby zadzwonić po policję?

Uśmiech zniknął jak za dotknięciem różdżki, a na twarzy mężczyzny pojawił się niepokój. Wyskoczył zza kontuaru.

- Wielkie nieba! - popychał ich ku krzesłom. - Jesteście ranni? Jake uśmiechnął się i pokręcił głową.

- O nie, proszę się nie martwić, nic z tych rzeczy. Taki mały problem z łódką, to wszystko. - Czuł na sobie oskarżycielski wzrok Carolyn. Miała mu za złe to jawne kłamstwo.

- Na pewno dobrze się czujecie? - wyglądało na to, że Terrell gotów jest odwieźć ich do szpitala własnym samochodem.

- Doskonale - zapewnił Jake.

Mężczyzna przypatrywał im się jeszcze chwilę, po czym ponownie wskazał krzesła.

- Proszę, usiądźcie. - Z ochotą skorzystali z jego uprzejmości. - Możecie skorzystać z telefonu, ale jeżeli nie ma żadnego trupa na drodze albo Ruscy nie najeżdżają na Little Rock, lepiej jak zaoszczędzicie te dwadzieścia pięć centów. Każdy gliniarz w promieniu stu kilometrów jest teraz w Newark i pomaga przy ewakuacji. Grozili, że mnie aresztują, jeśli nie opuszczę tego miejsca, ale zrezygnowali, jak dowiedzieli się, że muszą ewakuować całe to więzienie - Terrell roześmiał się gromko i rozkaszał się.

Palacz - pomyślał Jake. - Mentolowe.

- Ewakuacja? - uniósł brwi. Spojrzenie, jakie rzuciła mu Carolyn, było nadzwyczaj wymowne. Co ty, do diabła, wyprawiasz? - mówiło. Ponownie ją zignorował.

- Nie słyszeliście? - sapnął z niedowierzaniem Terrell. - W pobliżu Newark doszło do wielkiego wybuchu i pożaru. Mieli tam jakieś gazy, broń nuklearną i inne takie, no i przeciekły te świństwa do ziemi. Ewakuowano ludzi z wszystkich miejscowości w promieniu piętnastu kilometrów.

Jake wyśmienicie udał zdumienie.

- Żartuje pan! To grozi nam niebezpieczeństwo? Terrell zaśmiał się szyderczo i ruszył z powrotem za ladę.

- Nie wierzę w te brednie. Pomyślałem sobie, że jeśli Pan Bóg chciałby mnie dzisiaj do siebie zaprosić, dostałbym ataku serca podczas ewakuacji, rozumiecie, o co mi idzie? - zniknął za węglem, ale nie przestał mówić. - Tak mi się zdaje, że to idealny czas dla różnych punktów i ćpunów, żeby splądrować to miejsce. Niech przyłazą. Mam dla nich niezłą niespodziankę - podniósł masywną strzelbę z odpiłowaną lufą. - No, powiedzcie mi, nie zastanowilibyście się jeszcze raz, czy warto mnie obrabować, widząc to cacko?

Carolyn jęknęła. Jake poczuł ucisk w żołądku. To tyle na temat gościnności dziadunia - przemknęła myśl.

Na widok ich min Terrell natychmiast przybrał skruszony wyraz twarzy i odłożył broń z powrotem za kontuar.

- Przepraszam. Znowu was, kochani, wystraszyłem.

Tym razem śmiech Donovanów zdawał się nieco wymuszony.

- Nie, nie - bąknął Jake. - Wszystko w porządku. Dzięki temu będę się czuł bezpieczniej.

Uśmiech powrócił na twarz Terrella.

- Ile potrwa ta ewakuacja? - zapytała Carolyn.

- Nie umiem powiedzieć. - Terrell zabawnie zamrugał oczami. - Nie wyobrażam sobie, żeby ciągnęli to dłużej niż do pojutra. Nie możecie poczekać na policję?

Jake spojrzał na Carolyn i zrobił wymowną minę.

- Słuchaj pan - zaczął powoli, zwracając się do mężczyzny. - Padamy z nóg. Musimy się trochę przespać. Może wynająłby nam pan któryś pokój i stamtąd zadzwonilibyśmy na policję?

- No pewnie - oczy Terrella rozpromieniły się jeszcze bardziej. - Możecie sobie wybrać, który chcecie. - Wyjął kartę rejestracyjną z tekturowego pudełka i długopis z kieszeni. - Tylko proszę tutaj wypełnić.

Jake wypełnił wszystkie rubryki, walcząc z wyczerpaniem i odrętwieniem umysłu. Kiedy skończył, oddał kartę Terrellowi.

- Honorujesz Visę?

- Och, wszystkie - mężczyzna roześmiał się, najwyraźniej zachwycony, że znalazł przynajmniej jednego klienta.

Trzy minuty później Donovanowie szli przez parking w kierunku pokoju numer 15, z którego, według Terrella, roztaczał się najlepszy widok na basen.

- Może mi powiesz, co to wszystko miało znaczyć? - spytała Carolyn. Jake wzruszył ramionami, a właściwie wstrząsnął nim dreszcz.

- Nie wiem. Miałem takie zabawne odczucie. Tu się wszyscy znają i tamten snajper na wzgórzu może okazać się bratem Terrella. Po prostu pomyślałem sobie, że nie powinniśmy dzielić się naszą historią z pierwszym napotkanym człowiekiem. Chcę opowiedzieć wszystko bezpośrednio policji.

Dotarli do swojego pokoju. Jake otworzył drzwi. Wystrój wnętrza był taki jak w biurze. Carolyn opadła bezwładnie na łóżko.

- Zadzwonisz od razu?

- Za chwilę - odpowiedział.

13

Obudził go daleki odgłos syren. Zdezorientowany, rozprostował kręgosłup i spojrzał w ciemności pokoju.

- Cholera! - jęknął. - Zasnąłem. - Sprawdzał zegarek. No tak, na trzy godziny.

Sądził, że tylko na chwilę usiadł w zarwanym fotelu. Chciał dać wytchnienie plecom i ramionom. Nawet nie pamiętał, kiedy zaniknął oczy.

Syreny przypomniały mu, że czegoś nie zrobił. Po chwili, jak za odsłonięciem kurtyny, wydarzenia dnia powróciły do jego świadomości.

Ktoś próbował go zabić! Kula chybiła o włos, na miłość boską! Odtwarzając w umyśle pęd pocisku i siłę, z jaką uderzył w szybkę, Jake poczuł ucisk w żołądku, a ręce zaczęły mu drżeć. Uwięziony w piekle między snem a jawą, poczuł raz jeszcze podmuch gorąca na ramionach i plecach. A potem dostrzegł ciała kolegów, porzucane na drodze jak pnie zwalonych drzew. Nawet w wyobraźni nie wyglądały prawdziwie; nie wyglądali na martwych. Mógł jedynie przypuszczać, że zostali zastrzeleni przez człowieka na wzgórzu, tego samego, który próbował zabić Carolyn i jego. Brak śladów krwi na zwłokach oraz zasłonięte twarze zabitych w jakimś stopniu tłumiły horror tego wydarzenia.

- Muszę zadzwonić - wyszeptał. Musiał przecież się dowiedzieć, co się stało. Ostrożnie, żeby nie narobić hałasu, oparł się mocno na fotelu i usiadł prosto. Przeczesał palcami włosy i obrócił się wolno najpierw w lewo, a potem w prawo, rozciągając mięśnie i kręgosłup. Miał zaledwie dwadzieścia cztery lata, a czuł się na siedemdziesiąt.

W ciemnym pokoju meble wyglądały jak czarne cienie na czarno-szarym tle. Jake po omacku odszukał telefon stojący na nocnym stoliku, ale zawahał się. Jego uwagę przyciągnął dźwięk syren, który wyraźnie przybierał na sile. Wstał i podszedł do okna, gdzie dwoma palcami rozchylił ciężkie, obszyte gumą zasłony.

Siąpił drobny, jednostajny deszcz. Wszystko lśniło szkliście w ciemnościach nocy, a pusty parking i widoczne w oddali budynki wydawały się w tym lśnieniu nowsze niż za dnia. Wycie pierwszej syreny sięgnęło zenitu, a następnie urwało się raptownie. Przed biurem motelu zatrzymał się wóz policyjny.

- Co to, do diabła, znaczy?

Carolyn poruszyła się na dźwięk jego głosu.

- Co się dzieje? - mruknęła sennie.

- Jeszcze nie wiem - obserwował z rosnącym zaniepokojeniem, jak policjant wysiada z samochodu i trzymając rękę na kolbie rewolweru, ostrożnie podchodzi do przeszklonych drzwi. Gliniarz pociągnął ostro za klamkę, po czym zadudnił pięścią w szybę. - Myślę, że nasz przyjaciel Terrell może mieć kłopoty - powiedział Jake, słysząc nadjeżdżające kolejne radiowozy.

Carolyn podeszła z zaciekawieniem do okna i stanęła obok męża. Patrzyli, jak w biurze zapala się światło, rzucając zielonkawą poświatę przez przyciemnioną szybę. Stary człowiek otworzył ospale drzwi, lecz ożywił się natychmiast, słuchając słów policjanta. Kilkakrotnie pokiwał głową i parę razy pokręcił nią przecząco.

W końcu wskazał w kierunku jedynej gości w motelu. Donovanowie podskoczyli.

- Cholera jasna - wyjąkał Jake.

- Co takiego?

- To mi paskudnie wygląda.

Policjant ruszył szybkim krokiem, mówiąc coś do mikrofonu przypiętego do ramienia, po czym wsiadł do radiowozu. Ani na chwilę nie spuścił wzroku z ich pokoju.

- Co takiego?

Jake wyłowił panikę w głosie Carolyn, czując jednocześnie, jak identyczne uczucie narasta w nim samym.

- Musimy się stąd zabierać.

- O czym ty mówisz? - zaszlochała.

Jake kręcił się w ciemności, próbując znaleźć drugie wyjście z pomieszczenia.

- Jake! - prawie krzyknęła.

- Cśśś! - rozkazał. - Okno w łazience! Chodź! - pociągnął ją za rękę na tyły pokoju, mimo że sygnały świetlne wozu policyjnego znalazły szparę w zasłonie i rzuciły na przeciwną ścianę laserowy promień światła.

- Co my robimy? Nigdzie nie idę - upierała się, podążając za nim bezwiednie.

- Posłuchaj - warknął. - Jacyś ludzie próbowali nas dzisiaj zabić, a ten gliniarz sprawia wrażenie szalonego. Wygląda na to, że jeśli zostaniemy tu dłużej, możemy nie doczekać jutra.

Standardowej wielkości okno w łazience wykonane było z matowego białego szkła. Kolejna syrena zawyła w pobliżu i zamarła. Cholera - pomyślał Jake - teraz jest ich dwóch. A nadjeżdża jeszcze więcej.

Klamka przekręciła się z łatwością, ale Jake musiał wałnąć obiema dłońmi, żeby okno się otworzyło.

- To głupota! - jęczała Carolyn.

- Ty pierwsza - wskazał rękami.

- Dokąd?

- Na zewnątrz, do cholery! - syknął. - Nie wiem dokąd. Po prostu na zewnątrz.

Carolyn otworzyła usta, żeby się sprzeciwić, ale zrezygnowała. Nie zdążyła jeszcze dobrze postawić bosej stopy na jego rękę, kiedy prawie wypchnął ją przez otwór okienny. Poleciała głową w dół na szeroką aleję za motelem. W ostatniej chwili wysunęła ręce, aby zamortyzować upadek, chroniąc w ten sposób wszystko z wyjątkiem własnej dumy.

Jake zeskoczył w chwili, gdy błękitno-czerwone światła wozu policyjnego odbiły się od drzew na dalekim końcu kompleksu, po ich prawej stronie.

- Cholera! Objeżdżają motel od tyłu!

Potrzebowali schronienia. Radiowóz był zbyt blisko, więc nie udało im się niepostrzeżenie dobiec do linii drzew. Śmietnik! Jake ponownie schwycił Carolyn za rękę i pociągnął ją za sobą. Przebiegli jakieś dwadzieścia metrów i dali nura za duży pojemnik na śmieci. Ciepły deszcz wzmógł cuchnącą woń starych odpadów i gnijącego jedzenia. Jake złapał się na tym, że instynktownie oddycha przez usta.

- Dlaczego uciekamy przed policją? - zapytała Carolyn szeptem. - Nie zrobiliśmy nic złego!

- Nie wiem. Po prostu mam złe przeczucie - odpowiedział najszczerzej jak potrafił.

Drugi radiowóz nadjechał niepostrzeżenie z wyłączonymi światłami i stanął na tyłach ich pokoju. Gliniarz otworzył drzwi, zwinnie wyslizgnął się z wozu, trzymając w ręku wielostrzałowy karabin i przeszedł szybko na drugą stronę, kryjąc się za samochodem.

Donovanowie wymienili spanikowane spojrzenia.

- Chcą nas aresztować? - wyszeptała Carolyn.

Jake odpowiedział wzruszeniem ramion, całkowicie niewidocznym w ciemnościach nocy.

- Jezu, spójrz na niego. Sra w gacie ze strachu.

Obydwoje podskoczyli, kiedy radio gliniarza zapiszczało i elektroniczny głos przebił się przez stłumione dudnienie deszczu.

- Do wszystkich jednostek. Otrzymaliśmy potwierdzenie. Nie ma wątpliwości, że to nasi strzelcy.

Policjant wymamrotał coś do mikrofonu, po czym odbezpieczył rewolwer celując w okno, przez które właśnie się wymknęli.

- O mój Boże - wysapała Carolyn.

- Nie może się doczekać, żeby nacisnąć spust - powiedział Jake, nie wierząc własnym oczom. Ten glina chciał ich dostać za wszelką cenę i nie bardzo mu zależało, czy będą jeszcze oddychać, czy też nie. Odciągnął Carolyn od śmietnika i chyłkiem pobiegli ku linii drzew.

- Musimy stąd wiać. Wkrótce sprowadzą psy.

Tym razem nie trzeba jej było zachęcać do biegu. Kolejny radiowóz zatrzymał się na tyłach budynku, akurat kiedy dotarli do pierwszych drzew. Policjanci krzyčeli teraz, najwidoczniej nie martwiąc się już o zachowanie ciszy i Donovanowie mogli pędzić co sił w nogach.

- Wracamy do łodzi? - zapytała Carolyn.

- Mam nadzieję.

Płynęli przez całą noc. Nad ranem Carolyn wpadła na pomysł, żeby skontaktować się z jej wujkiem z Chicago. Ten sprzedawca detaliczny odzieży męskiej zajął się w pewnym momencie handlem nieruchomościami i wkrótce stał się prawdziwym potentatem. Teraz miał forsy więcej niż sam Bóg i jeżeli istniał ktoś na świecie, kto dzięki swoim koneksjom mógł wyciągnąć ich z tego bagna, to właśnie Harry Sinclair. Wciąż nie mogli pojąć, dlaczego w ciągu kilku godzin z ofiar stali się wrogami publicznymi numer jeden, ale zdawali sobie sprawę, że zanim się ujawnią, muszą znaleźć odpowiedzi na kilka pytań. Niestety, Visa prawdopodobnie naprowadziłaby policję na ich trop, więc mogli zapomnieć o korzystaniu z kart kredytowych. Musieli szybko znaleźć wyjście z tej sytuacji, czyli dotrzeć do Harry'ego Sinclaira.

Opowiadali to wszystko Travisowi przez blisko dwie godziny. Wielu rzeczy nie rozumiał, innych nie chciał rozumieć. W miarę słuchania dziwnej opowieści o ludziach, których rzekomo znał, chłopiec coraz głębiej chował się pod wojskowy koc, pragnąc z całego serca, żeby w końcu przestali mówić i pozwolili mu dalej wierzyć, że wszystko jest takie jak zawsze.

Clayton Albright wrócił do biura dopiero o ósmej trzydziści. Oczywiście Weronika wciąż na niego czekała - osobista asystentka od pierwszego dnia w biurze - ale ona należała do wyjątków. Reszta personelu zwinęła się jakąś godzinę temu. Senator szedł ciężko, z umysłem i tyłkiem odrętwiałym od nieskończonej ilości bezsensownych spotkań z równie bezsensownymi kolegami czy podwładnymi. Co chwila przeklinał, że jego życie stało się jedną długą sesją zdjęciową.

Kiedy otworzył olbrzymie dębowe drzwi i wszedł do biura, ogarnął go spokój. Pracował ciężko przez wiele dziesięcioleci, żeby dochrapać się tego stanowiska w prestiżowym gmachu Komisji Senackiej, a teraz, kiedy już osiągnął swój cel, tak rzadko dane mu było tu pracować. W Waszyngtonie, gdzie władzę mierzyło się w metrach kwadratowych zajmowanych pomieszczeń, widok na budynek Kapitolu, jaki roztaczał się z okien biura Albrighta, budził zazdrość jego kolegów. Podobne uczucie wzbudzało również samo biuro z dwoma kominkami, misternie rzeźbioną boazerią oraz bezcennymi dziełami wypożyczonymi z Narodowej Galerii Sztuki. Te pomieszczenia emanowały władzą.

- Cześć, Weroniko - mruknął Albright, wchodząc do pokoju. - Przepraszam, że tak długo cię przetrzymałem. Tak naprawdę nie ma powodu, żebyś tu musiała jeszcze siedzieć.

Nie było też powodu, dla którego miałyby wyjść - bezdzietna wdowa miała ich niewiele. Mimo to sięgnęła po swoje rzeczy - parasolka i kapelusz przeciwdeszczowy stanowiły standard bez względu na pogodę.

- Posłaniec zostawił dla pana przesyłkę - poinformowała, wyjmując płaszcz z szafy za biurkiem. - Na paczce, którą znalazłam wewnątrz, jest napisane, że ma pan ją otworzyć osobiście.

Albright dostrzegł szarą kopertę leżącą na stole konferencyjnym w chwili, gdy kobieta o niej wspomniała. Zgodnie z załączonym pismem, nadeszła z "Washington Post".

- Przysłali z gazety - wyjaśniła Weronika. - Ten dziennikarz prosił, żeby pan do niego zadzwonił. Powiedział, że ten artykuł ukaże się o dziewiątej.

- Jaki artykuł? - zdziwił się Albright.

- Ten facet nic więcej nie powiedział. Tylko żebym panu przypomniała o telefonie - mówiła Weronika już w drzwiach. Wiedziała, co może się stać, gdyby pozostała. - Jego wizytówka leży na paczce. Do jutra.

Zanim Albright zdążył odpowiedzieć, drzwi zamknęły się cicho.

Przesyłka nie była duża - jakieś dwadzieścia na trzydzieści centymetrów, gruba może na niespełna centymetr. Gdyby nie późna pora, Albricht kazałby komuś z pracowników dowiedzieć się, kim, u diabła, jest Tom Ford.

Zasiadłszy na jednym ze skórzanych foteli w kolorze wina, stojących przy stole konferencyjnym, Albricht wsadził kciuk pod pieczęć i otworzył kopertę. Jego oczom ukazało się kilka fotokopii dokumentów wraz z listem napisanym na firmowym papierze "Washington Post".

"Drogi Senatorze Albricht,

Znajdzie Pan tu dokumenty, które ostatnio otrzymałem z anonimowego źródła. Zarzuca się w nich Panu utrzymywanie regularnych stosunków pedofilskich i homoseksualnych. Z uwagi na przestępczą naturę tych czynów, pomyślałem sobie, że może zechciałby Pan skomentować te zarzuty, zanim zdecydujemy się je opublikować. Gdyby taka była Pana wola, załączyłem na Pański użytek moją wizytówkę, a ponieważ są to bardzo niepokojące wieści, składam na pana ręce wyrazy głębokiego współczucia. W tych okolicznościach jednak nie mam innego wyboru, niż opublikować te materiały.

Z poważaniem, Tom Ford".

Albricht poczuł ucisk w żołądku, kiedy otwierał kopertę. Jęknął głośno na widok jej zawartości: rachunki płacone jego kartą kredytową za członkostwo w jakimś stowarzyszeniu o nazwie "Kongres na rzecz wolności homoseksualistów" oraz za subskrypcję kilku nielegalnych publikacji o tematyce pedofilskiej.

- O mój Boże - wymamrotał. Krew odpłynęła mu z twarzy. - O mój Boże.

Na rachunkach widniały jego własne podpisy i numery kart kredytowych. Ale przecież nigdy czegoś takiego nie zrobił! Był autorem przepisów, które choćby posiadanie takich rzeczy uznawały za przestępstwo federalne. Sugerował nawet karę śmierci dla potworów, które produkowały te obrzydlistwa. Jak ktokolwiek mógłby nawet pomyśleć...

W jednej chwili zrozumiał, co się stało. Co to powiedział mu Frankel? Obydwaj znajdziemy się dzisiaj w wiadomościach... Jezu!

Gdy zadzwonił telefon, Albricht zamknął oczy. Niewątpliwie to ten dziennikarz. Któż inny mógłby dzwonić o tej godzinie? Przez jakiś czas walczył z sobą, w końcu wstał z fotela, usiłując gorączkowo wymyślić sensowny komentarz, który mógłby być później cytowany. Nagle zabrakło mu konceptu. Był zbyt zszokowany. Do cholery, potrzebował swego personelu, i to zaraz. Musiał mieć przygotowany właściwy grunt dla tej sprawy, zanim jeszcze dopadnie go prasa. Zanim powie coś, czego później będzie żałował.

Telefon zadzwonił po raz czwarty. Albricht musiał wnieść sprzeciw. Im szybciej, tym lepiej. W przeciwnym razie poranne gazety oznajmią całemu światu, że "nie udzielił komentarza, ponieważ był nieuchwytny", a te szablonowe słowa nieodmiennie są interpretowane przez publikę jako milczące przyznanie się do winy. Wciąż nie wiedząc, co powiedzieć, zaczerpnął głęboko powietrza i podniósł słuchawkę.

- Słucham?

- Witam, Clay - odezwał się głos. - Widzę, że pali się u ciebie światło. Otworzyłeś już przesyłkę?

Albricht spiął się w sobie. Nawet w "Post" dziennikarze mieli na tyle przyzwoitości, żeby nazywać go senatorem.

- Z kim rozmawiam?

- Możesz nazywać mnie Wiggins - odparł szybko mężczyzna. - Te materiały robią wrażenie, co?

- Nie wiem, o czym pan mówi. - Albricht chciał zyskać na czasie, ponieważ włączył magnetofon.

Wiggins zachichotał.

- Oczywiście, że nie wiesz. Co za wstydlive i okropne czyny. Naprawdę tak uważam, Clay. Rzeczywiście są ci potrzebni mali chłopcy, żebyś mógł się wyżyć seksualnie?

Ręce Albrichta drżały, kiedy słuchał tych potwarzy. Zacisnął zęby.

- Nie wiem, kim jesteś, Wiggins - wycedził - ale mam dla ciebie wiadomość zwrotną dla Frankela. Jeżeli sądzi, że ulegnę szantażowi...

Wiggins mówił dalej nie zmieniając barwy głosu.

- ...możemy sobie wyobrazić, jak zareaguje opinia publiczna, kiedy te zdjęcia zostaną opublikowane.

Te słowa zamknęły Albrichtowi usta. Chociaż szybko doszedł do siebie, stało się. Pokazał chwilę słabości i teraz jego przeciwnik wiedział, kto jest silniejszy.

- Nie może być zdjęć czegoś, co nigdy nie miało miejsca - zadrwił słabo. Wiggins roześmiał się ponownie.

- Och, czyżby? Cóż, muszę ci powiedzieć, Clay, że z tymi gaciami spuszczonej do kostek naprawdę jesteś na nich do siebie podobny. A ten chłopiec na kolanach przed tobą na pewno jest za młody, żeby się golić...

Albricht usiadł, żeby nie upaść. Zorientował się, co jest grane, i zrozumiał, że przegrał. Dokumenty w kopercie świadczyły o wielkich umiejętnościach fałszerskich Frankela. Nawet jeśli fotografie, które opisywał Wiggins, jeszcze nie istniały, w dobie zaawansowanej techniki

komputerowej, kiedy każda twarz mogła zostać dołączona do każdego ciała, nie był to żaden problem. W chwili gdy świat ujrzy te zdjęcia, kariera Albrichta obróci się w pył.

"Post" zamieści cenzurowaną wersję zdjęć, a sprośne szmatławce bez wątpienia wydrukują te niecenzurowane. Prawda przestanie się liczyć. Nawet gdyby jakimś cudem udało mu się udowodnić, że te fotografie są mistyfikacją, na zawsze zostanie przedmiotem tanich żartów we wszystkich kafejkach świata.

Ręce drżały mu, gdy słuchał Wigginsa, a pobłażliwy ton tamtego przyprawiał o ból żołądka.

- ...oczywiście, przypuszczam, że te rachunki w kopercie można by łatwo wytłumaczyć. Zawsze mógłbyś powiedzieć, że to oszustwo. Ogólnie wiadomo, że numery kart kredytowych danej osoby można dostać na milion różnych sposobów. - Wiggins przerwał, jakby upewniał się, czy Albricht słucha uważnie. - Nadążasz, Clay?

- Czego chcesz? - warknął Albricht.

- Tylko tego, co najlepsze dla ciebie i twojej rodziny. Strasznie bym nie chciał, żeby te zdjęcia skończyły w wiadomościach telewizyjnych. Chyba miałbyś koszmarnie trudności z udowodnieniem, że one również są sfalszowane. To znaczy, zacznijmy od tego, że nie masz najlepszych układów z mediami, a biorąc pod uwagę te rachunki, no cóż, zrobiłoby się niezłe piekielko, nie sądzisz?

Albricht zamknął oczy, pragnąc natychmiastowej śmierci tego człowieka, lecz mógł jedynie słuchać.

- Cóż, Clay, muszę lecieć. I posłuchaj, jestem pewien, że nagrywałeś tę rozmowę - a może nawet mnie namierzyłeś. Powiedz tylko słówko, koleś, a z radością przyjdę. Może nawet udałoby mi się powiększyć te zdjęcia do rozmiarów plakatu. To by dopiero byłoby cudo, nie sądzisz? - Wiggins roześmiał się jeszcze raz, po czym na linii zaległa cisza.

Albricht wpatrywał się w słuchawkę. Odłożył ją dopiero po kilkunastu sekundach. To był koniec. Wszystkiego. Tak po prostu. Niechlubny koniec świetlanej kariery. Słyszał już rozmowy swych kolegów na korytarzach: Może sobie wnosić sprzeciwy, ale ja widziałem te zdjęcia...

Waszyngton był miastem, w którym liczył się wizerunek. Raz zszargany, był nie do naprawienia. Nawet gdyby udowodnił, że to wszystko łgarstwa, spustoszenie w jego reputacji zdąży się już dokonać. Tradycje prasy waszyngtońskiej były znane: spekulacje na temat domniemanej winy zapewniały zbyt. Niewinności dochodziło się w sądzie, a kiedy już się ją udowodniło, media mogły nawet opublikować werdykt - gdzieś na dalszych stronach wydania.

- Szlag by cię trafił, Frankel - powiedział głośno. Ten sukinsyn ostrzegał go,

nieprawdaż? Pomimo gniewu, w pewnym stopniu podziwiał błyskotliwość i prostotę tego spisku. Frankel rozłożył swego przeciwnika całkowicie na łopatki, a gdyby Albricht ogłosił prawdę - że Frankel spreparował te dokumenty, aby odwrócić uwagę od własnej, kwestionowanej przeszłości - naród wzniosłby oczy do góry i potraktował te słowa jako paranoję przypartego do muru człowieka. A ci, którzy dobrze znają Albrichta i dokładnie wiedzą, co jest grane, będą się zachowywać jak przerażone króliki. Zrobią wszystko, żeby odseparować się od rannego kolegi. Nikt nie wiedział przecież, kto będzie następny.

W jednej chwili wszystko stało się dla niego niezwykle jasne. Złożywszy ręce na stole, oparł na nich czoło i jęknął: - Jestem skończony.

Irene otworzyła usta ze zdziwienia i oparła ręce na biodrach, kiedy kierownik przechowalni podniósł drzwi do bloku 627.

- Powiedziałyabym, że byli przygotowani - stwierdziła, kiwając głową.

- Cholera jasna! - Paul Boersky ujął to wymowniej.

- Popatrzcie, co zrobili z moją ścianą! - wrzasnął kierownik i to był początek monologu na temat łobuzów, które ośmieliły się żyć wśród przyzwoitych ludzi, i o braku szacunku dla biednego człowieka pracy, który ledwo wiązał koniec z końcem. Po trzydziestu sekundach bezdechu Paul kazał jednemu z umundurowanych policjantów odprowadzić mężczyznę do biura.

W odnalezieniu tego miejsca w dużej mierze pomogło im szczęście. Pośród wielu rodzynków zebranych w przyczepie Donovanów w Farm Meadows znajdował się rachunek, który przybył tego dnia z przechowalni. Początkowo nie wydawał się bardziej interesujący od innych skrawków papieru, które zabrali do szczegółowego badania. Zyskał na znaczeniu, kiedy Jason Slavka wspomniał, że te przechowalnie znajdowały się zaledwie kilka przecznic od szpitala, gdzie oczywiście nigdy nie słyszano o matce Jake'a.

Irene w duchu pogratulowała sobie tak cennego odkrycia, zdając sobie jednak sprawę, że znalazła się znów w punkcie wyjścia. Donovanowie zostawili tu toyotę, a sądząc po ilości pustych półek, zrekompensowali sobie zapasy pozostawione w przyczepie.

- Możesz się pochwalić, że ty mi o tym powiedziałeś - mruknęła Irene do Paula, kiedy weszli do środka.

Agent nie odezwał się ani słowem, nie umiejąc o tak wczesnej porze odczytać nastroju szefowej. Przeszukali dokładnie okolicę budynku.

Irene znalazła porzuconą tablicę rejestracyjną i dowody tożsamości. Pochyliła się.

- Spójrz tutaj! - zawołała. - Brightonowie oficjalnie nie żyją. Założę się, że Durflingerowie również. Ci ludzie są bystrzy, Paul. Mają masę gotówki i są doskonali w przybieraniu nowych tożsamości. Tak jakby ktoś ich w tym wyszkolił.

Paul westchnął i uniósł brwi.

- Przynajmniej mamy furgonetkę - odezwał się z nadzieją w głosie.

- Niewątpliwie z nowymi numerami rejestracyjnymi - roześmiała się. - Chciałbyś zgadnąć, ile jest na świecie białych furgonetek?

Kiedy przybyli technicy kryminalistyki z aparatami fotograficznymi, torebkami na

dowody rzeczowe oraz zestawami do pobierania odcisków palców, Paul i Irene starali się nie wchodzić im w drogę. Szczerze mówiąc, Irene powinna była zostawić Paula samego, ale tak naprawdę nie miała zbyt wiele do roboty. Gdy brakuje wskazówek, praca agenta śledczego staje się cholernie nudna.

- A jak sądzisz, kto ich szkolił? - ni stąd, ni zowąd zapytał Paul.

- Co mówisz? - Nie zwracała na niego uwagi. Jej umysł po raz trzeci w ciągu dwudziestu czterech godzin odtwarzał tyradę Petera Frankela.

- Chodzi mi o ich zniknięcie - powtórzył Paul. - Jak myślisz, kto ich szkolił?

Spojrzała na niego wilkiem.

- Jeżeli masz jakąś teorię, to chętnie posłucham.

Nagle zdał sobie sprawę z wyrazu swojej twarzy i pozbył się głupiego uśmiechu.

- Ubiegłej nocy w hotelu czytałem akta Donovanów - wyjaśnił. - Nie wiedziałem, że Harry Sinclair to ich wuj.

Irene zrozumiała, do czego zmierzał Paul, i przerwała mu przeczącym ruchem głowy.

- Skoro przeczytałeś, to wiesz, że badano jego sprawę w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim i okazał się czysty jak łąza.

- Nikt z taką forsą nie może być czysty - zachnął się Paul. - Zdaje się, że stanowił dla nich niewyczerpane źródło gotówki.

Zastanowiła się przez chwilę.

- Sinclair musiałby zwariować, żeby dać się wciągnąć w coś podobnego.

Paul wzruszył ramionami.

- Rodzina to rodzina. Myślę, że powinniśmy to sprawdzić. Nie mamy przecież zbyt wiele do stracenia. Z mojego punktu widzenia, znaleźliśmy tu tonę dowodów, ale ani jednej wskazówki.

Irene rozważyła jego propozycję.

- Chcesz założyć u niego podsłuch?

- Czemu nie? Bóg świadkiem, że robimy to w słusznej sprawie. Lekkim ruchem głowy dała mu znać, żeby to załatwił.

- Świetnie. Zadzwoń do Biura Prokuratora Generalnego - ruszył ku podnoszonym drzwiom, lawirując wśród gromady techników. - A przy okazji, Irene... - rzucił tuż przed wyjściem.

Spojrzała na niego, unosząc brwi. - To ja ci o tym powiedziałem.

Carolyn wrzasnęła.

Jake wyprostował się na siedzeniu, gotowy do walki. Jego umysł zarejestrował światło dnia, nie rozumiejąc jednak, co się stało z ciemnością. Carolyn siedziała wyprostowana, z dziko rozbieganymi oczami. Wyciągała ręce z rozpostartymi palcami, jakby odpychając coś od siebie. Wtedy zrozumiał, że przyśnił jej się ten sen.

- Carolyn! - rzucił ostro. - Carolyn, jesteś tutaj. Jestem przy tobie. Już dobrze, kochanie - przechylił się na ile mógł, przyciągając ją ku sobie. Wtedy zaczęła płakać. Zawsze w takim wypadku zaczynała płakać.

- O Boże - westchnęła, powracając do rzeczywistości. - O mój Boże - pozwalała się kołysać, ale pozostawała sztywna w jego ramionach, zaplatając ręce wokół własnego tułowia.

- Opowiesz mi tym razem? - zapytał po chwili.

- Nie - pokręciła głową, wtulając się w jego kurtkę. - Nie mogę.

Po prostu nie chce, pomyślał z goryczą. Ta gra polegająca na tym, że Carolyn ukrywała przed nim swą przeszłość, zawsze doprowadzała go do gniewu. Do cholery, byli przecież małżeństwem - dwa życia, jedna osoba. W rzeczywistości - trzy życia. Razem spoglądali w przyszłość, mając za sobą tyle trudnych chwil, a mimo to strzegła strasznych wspomnień z dzieciństwa niczym kodów umożliwiających odpalenie rakiet z głowicami nuklearnymi. Jeżeli nie chciała być prawdziwą żoną, w jaki sposób on mógł stać się prawdziwym mężem?

Oczywiście nie podzielił się z nią swymi wątpliwościami. Teraz palił go wstyd, że w ogóle o czymś podobnym pomyślał. W takich chwilach potrzebowała go najbardziej. A on miał obowiązek być przy niej; pomóc jej w walce z tym koszmarem. Przełknie gniew po raz kolejny, choć prawdopodobnie będzie musiał to zrobić jeszcze tysiące razy. Ucałował jej włosy i pogłaskał po głowie. Carolyn pachniała okropnie - dusząca kombinacja brudu i potu - ale pod pewnym względem wydawała mu się piękniejsza niż wtedy, kiedy ze sobą chodzili. Carolyn pozbawiona woalek; taka, jaką chciała za wszelką cenę ukryć przed światem.

Minęło kilka minut, zanim go od siebie odepchnęła. Odwróciła wzrok, wycierając rękawem oczy i nos.

- Przepraszam - bąknęła.

- Ja też - grzbietem dłoni pogłodził ją po policzku.

Carolyn nie wróciła w pełni do rzeczywistości. Jake wiedział, że taki nastrój może trwać u niej wiele godzin. Ostatnim razem posprzeczali się o to i trzasnąwszy drzwiami, poszedł na wysokokaloryczne śniadanie. Nic tak nie gasi wewnętrznego ognia jak brzuch pełen naleśników.

Po niespokojnym śnie w wychłodzonej furgonetce czuł się fatalnie. Ubiegłej nocy,

wkrótce po przekroczeniu granicy Wirginii Zachodniej, rozszalała się burza i górskie dróżki stały się nieprzejezdne. Około dziesiątej, nie chcąc ryzykować wypadku, Jake zatrzymał wóz na parkingu przed motelem "Rebel Yell" nieopodal Białych Siarkowych Źródeł i oznajmił, że tu przenocują.

Zmienił tablice rejestracyjne, na wypadek gdyby gliniarze, którzy zatrzymali ich przy szkole, skojarzyli fakty. Zmienił również prawa jazdy i dokumenty tożsamości. Teraz podróżowali jako państwo James i Clarissa Delaney. Ponieważ Travis jako dziecko nie miał dowodu tożsamości, Jake postanowił oszczędzić chłopcu stresu i nie zmieniać mu imienia.

Używając wojskowej saperki, zakopał w lesie stare tablice rejestracyjne i dokumenty.

Zastanawiali się z Carolyn nad możliwością zatrzymania się w motelu, ale zgodnie odrzucili ten pomysł, przeczuwając, że właśnie na taki błąd czeka policja. Myśleli również o zaparkowaniu w jakimś odosobnionym miejscu. W końcu jednak stwierdzili, że biała furgonetka wzbudzi mniej podejrzeń, stojąc w deszczową noc na parkingu, niż w lesie.

Travis spał kamiennym snem aż do rana, podczas gdy oni udawali tylko, że śpią, w gruncie rzeczy wypatrując kolejnych kłopotów. Makabryczność tej sytuacji wciąż nie dotarła w pełni do żadnego z nich, chociaż z upływem godzin Jake był coraz bardziej rozgoryczony. Co za zwyrodnialec mógł narazić ludzi na takie cierpienia? Przeklinał samego siebie, że nie znalazł odpowiedzi czternaście lat temu, kiedy wszystkie dowody były na tyle świeże, że świat mógł uwierzyć w ich niewiarygodną historię.

Nie potrafił opędzić się od czarnych myśli. Siedząc o pomocy z bronią na kolanach pośród wzgórz Wirginii Zachodniej, zastanawiał się, czy starczy mu jaj, żeby zastrzelić kogoś w obronie rodziny.

O wschodzie słońca, kiedy miał już dość czekania, zdecydował, że pora jechać. Carolyn znów zasnęła, lecz kiedy przekręcił kluczyk w stacyjce, podskoczyła jak rażona piorunem.

- Przepraszam - bąknął, próbując zachować powagę na widok oszołomionego spojrzenia żony.

Dopiero po kilku sekundach dotarło do niej, co się dzieje. Rozluźniła się.

- Jezu, ale się przestraszyłam - przeciągnęła się i ziewnęła głośno.

- Travis jeszcze śpi? - zapytał, nie chcąc się odwracać. Carolyn spojrzała w tył.

- Chyba tak - odparła. - W każdym razie ma zamknięte oczy.

Przez dłuższy czas jechali w milczeniu. Carolyn zastanawiała się nad czymś, a Jake nie chciał jej przeszkadzać, wiedząc, że prędzej czy później sama to z siebie wyrzuci.

- Nie powinieneś był mu wszystkiego mówić - odezwała się w końcu. - Po co go w to wciągać?

- Musi zdawać sobie sprawę z niebezpieczeństwa.

- Dzieciak jest chory z przerażenia.

Oho, poczucie winy - pomyślał Jake. - Nikt nie gra tą kartą lepiej od Carolyn.

- Musi wiedzieć dostatecznie dużo, aby zachowywać ostrożność - rzekł głośno. - Oraz to, że stawka jest bardzo wysoka.

- Ale za dużo mu powiedziałaś. *Zaczyna się.*

- Chcesz, żebym mu to teraz wyjął z pamięci? - Boże, tak nie lubił się bronić.

Jake posiadał cały arsenał wyrazów twarzy, z których każdy potrafił wystać cierpliwość Carolyn do stratosfery. A już zwłaszcza ten - zadowolony z siebie uśmieszek typu, ja wszystko wiem najlepiej" - doprowadzał ją do szału.

- Nie - warknęła. - Nie zapominaj, że on ma dopiero trzynaście lat. To jeszcze dziecko.

- Rozumiem - odrzekł Jake. - Trzynaście lat. Zastanawiałem się nad tym cały ranek.

Dzięki za przypomnienie.

Otworzyła usta szykując się do następnej rundy, ale po chwili je zamknęła. Powiedziała już to, co miała na wątrobie, a on powiedział swoje. Teraz musieli dogadywać się z sobą. Zrezygnowała z przeciągania struny.

W miarę jak teren stawał się coraz bardziej stromy, drogi zwężyły się z czterech pasów do dwóch - czarne, kręte wstęgi wijące się przez nieskończone kilometry meandrowych zakrętów. Jake jechał tędy ostatni raz jakieś pół roku temu i już wtedy droga była w kiepskim stanie. Teraz zniszczona, pełna dziur sprawiała, że podskakiwali jak na trampolinie. Biorąc pod uwagę ciężar pojazdu, napęd na tylne koła oraz niebezpieczne warunki jazdy, Jake dochodził powoli do wniosku, że ta podróż była najtrudniejszym punktem ich planu. Dzięki Bogu, że wymyślił pasy bezpieczeństwa. W przeciwnym razie wylecieliby przez dach.

Jakimś cudem Travis przespał najgorszą część drogi.

Wkrótce jednak podróż stała się po prostu monotonna. Poskąpili przy zakupie furgonetki, rezygnując z silnika V-8 na korzyść standardowego V-6, i teraz płacili za to słoną cenę. Dodatkowe obciążenie całkowicie zminimalizowało zdolności samochodu do jazdy pod górę. Teraz ugrzęźli za ciągnikiem z przyczepą załadowaną słupami telefonicznymi. Poruszali się z prędkością nie przekraczającą trzydziestu kilometrów na godzinę, nie mając nawet cienia nadziei na wyprzedzenie zawałidrogi.

- Myślałeś kiedykolwiek, że do tego dojdzie? - zapytała Carolyn. W jej głosie usłyszał nie znane mu dotychczas uczucie. Może smutek?

Odpowiedział ostrożnie, nie wiedząc, co chciała usłyszeć.

- Kiedyś tak - uśmiechnął się smutno. - No wiesz, na początku. W ciągu ostatnich kilku

lat wyperswadowałem to sobie. Uwierzyłem, że się nam udało. Uśpiłem swoją czujność. Przepraszam.

Po chwili milczenia przeczesła palcami włosy i zamruczała coś do siebie.

- Nie radzę sobie tak, jak się spodziewałam - wyznała.

Uśmiechnął się.

- Zwierzę ci się z małego sekretu, jeżeli obiecasz, że nie dasz mi bury. Zobaczył, jak odwraca głowę w jego kierunku.

- Ja też sobie nie radzę. Szczerze mówiąc, jestem przerażony - umilkli ponownie, lecz po jakiejś minucie Jake postanowił zwalczyć przytłaczający ich pesymizm. - Mimo to uda nam się. Obiecuję ci, jakoś z tego wyjdziemy.

Przez kolejną minutę myśleli o sprawach zbyt groźnych, żeby o nich mówić. Carolyn pierwsza przerwała ciszę. - I co dalej?

- Dalej? - Jake spojrzał na nią zdumiony.

- Tak, dalej. Powiedzmy, że uda nam się dojechać do naszej Jaskini...

- Och, z pewnością nam się uda.

Poruszyła ręką, jakby chciała odpędzić defensywne nury z jego głosu.

- Tak, masz rację. Kiedy już zajedziemy do Jaskini... Co dalej?

- Prześpimy się?

Wywróciła oczy do góry. Nie cierpiała, kiedy udawał głupka. - Daj spokój, Jake! Co zrobimy nazajutrz? A potem następnego dnia, i jeszcze następnego? Wzruszył ramionami.

- Będziemy żyć - oświadczył, jakby była to najbardziej oczywista rzecz na świecie. - Będziemy żyć i czekać. Ustawimy się w życiu najlepiej, jak potrafimy. Wiesz o tym. A we właściwym czasie znów wyjdziemy na światło dzienne i będziemy radzić sobie najlepiej, jak potrafimy. Taki jest plan. Zawsze taki był. Przecież wiesz.

- I to właśnie mnie dręczy - wybuchnęła. - Masz rację, taki zawsze był plan, ale nie ma w nim dla nas przyszłości. Równie dobrze możemy wspólnie pójść do więzienia.

W jednej chwili uświadomiła sobie, że nacisnęła nieodpowiedni przycisk. Jake potrząsnął gniewnie głową i zacisnął dłonie na kierownicy.

- Dlaczego zastanawiasz się nad tym teraz, kiedy jest za późno, żeby cokolwiek zrobić?

- Ja tylko mówię, co mnie trapi...

- W takim razie zachowaj to dla siebie - przerwał jej gwałtownie. - Włożyłem w ten plan zbyt dużo czasu i wysiłku.

- Nie mów mi, czego mam nie robić! - krzyknęła. - Jeżeli się czymś przejmuję, to będę ci o tym mówić.

- Po co? - rzucił zadziornym tonem. - Co zyskamy przez to, że teraz będziesz gdybać i zmieniać zdanie? Sytuacja wygląda, tak jak wygląda, i jesteśmy tu, gdzie jesteśmy. To całkiem proste. Ile razy prosiłem cię, żebyś tu ze mną przyjechała?

- A co z Travisem?

- Musieliśmy go zabrać! Zresztą na pewno mu się spodoba. Carolyn zacisnęła gniewnie zęby i odwróciła się do okna.

- No cóż, panie Tajemniczy, zawsze miałeś obsesję, że się ktoś dowie.

- Obsesję? - nie mógł uwierzyć własnym uszom. - Rozesłali za nami listy gończe - za morderstwo. Jesteśmy na pierwszym miejscu listy najbardziej poszukiwanych - przynajmniej byliśmy. A ja mam obsesję, bo chcę zachować parę rzeczy w tajemnicy!

Carolyn podniosła rękę, jakby się poddawała.

- Posłuchaj - powiedziała. - Mówię tylko, że może powinniśmy opracować lepszy plan od tego, który zakłada jazdę nie wiadomo dokąd, żeby tam oczekiwać na Bóg wie co.

Jake walnął otwartą dłońią w kierownicę.

- A wymyśliłabyś coś lepszego? Może mamy wsiąść do samolotu? Autobusu? Może na statek? A może wrócimy do Rebel Yell i zatrzymamy się na cały rok? Do diabła, z forsą jaką mamy, moglibyśmy przez miesiąc byczyć się w Plaża! Ale wiesz co? Tam są ludzie, Carolyn. Nie ma ani jednego samolotu, pociągu, autobusu czy statku, którym moglibyśmy sobie podróżować niepostrzeżenie.

Wzięła głęboki oddech, zbierając siły przed dalszym sporem, lecz Jake nie dał jej dojść do słowa.

- Nie, zaczekaj. Posłuchaj, co mam do powiedzenia. Od czternastu lat opracowujemy ten plan, zgadza się? Musisz uwierzyć, że zrobiliśmy co w naszej mocy. To miejsce na nas czeka i my również musimy być na nie gotowi. Jeżeli teraz stracisz pewność siebie, Travis straci oparcie.

- A jeśli już mowa o Travisie - podjęła Carolyn - postanowiliśmy, że będziemy go sami kształcić, ale nie mam pojęcia, czego powinni się uczyć ósmoklasiści. A jak zawalimy tę sprawę?

Jake westchnął. W jego pojęciu planowanie zawsze koncentrowało się wokół ucieczki i przyzwoitej kryjówki. Reszta była zbyt trudna do przewidzenia.

Teraz, pośród tego piekła, ona oczekiwała szczegółowego planu, biorącego pod uwagę każdą ewentualność. Dlaczego nie potrafiła być elastyczna? Od wczoraj, kiedy się to wszystko zaczęło, wynajdywała jedynie same negatywy i zaczynał mieć tego dość.

Co za różnica, do diabła, jeśli coś się nie powiedzie? Albo dojdą do siebie, albo nie. Nic

więcej. Zamartwianie się tylko komplikowało sytuację.

- Chryste, Carolyn - odezwał się łagodniejszym tonem. - Jeżeli zawalimy sprawę, to zawalimy. Życie będzie toczyło się dalej. Wszystko w naszych rękach, kochanie. Jest za późno, żeby się martwić o szczegóły.

Opuściła głowę na piersi i odezwała się cicho:

- To wszystko jest takie niesprawiedliwe. Travis na to nie zasłużył. Jezu.

- Carolyn, posłuchaj. Najpierw rodzina, pamiętasz? Wszystko inne jest mniej ważne. Jeżeli dobrze się sprawimy, Travis dorośnie i zapamięta to sobie jako jedną wielką przygodę.

Carolyn oddychała przez usta, żeby się nie rozplakać. Nie wytrzymała zbyt długo.

- Boże, dopomóż nam - wyszeptała.

Travis obudził się po piętnastu minutach, kiedy Jake zwolnił na szczycie grani Falls Ridge, żeby skręcić w lewo na bitą drogę, która w końcu miała ich doprowadzić do Jaskini Donovanów.

- Gdzie jesteśmy? - zapytał chłopiec zaspanym głosem.

- Prawie na miejscu.

- Co znaczy "na miejscu"?

Odpowiedź wkrótce stała się jasna. "Na miejscu" oznaczało dwa kilometry na wschód donikąd. Bita droga urywała się jakieś trzydzieści metrów od autostrady. Dalej była tylko trawa i piach; paradoksalnie teren bardziej gładki i równy niż większość dróg, którymi podróżowali tego ranka. Biała przyczepa - Jaskinia Donovanów - stała pośrodku zarośniętego pola, wyglądając jak gigantyczny grzyb w paski na tle wielobarwnego lasu. Wysoka trawa zasłaniała całkowicie koła, sięgając do parapetów dużych okien.

Minęło zbyt dużo czasu. Carolyn pamiętała, że ta kryjówka wygląda prymitywnie, ale absolutnie nie była przygotowana na coś takiego. Travis wypowiedział jej myśli na głos.

- Chyba żartujecie.

- Nawet najskromniejszy - stwierdził Jake, starając się jak mógł ukryć własną niepewność - dom to zawsze dom.

- Nie ma mowy - powiedział Travis akcentując każde słowo. - Nie ma mowy, kurczę!

Kiedy samochód się zatrzymał, chłopak otworzył tylne drzwi i wysiadł. Z otwartymi ze zdumienia ustami poprowadził rodzinę w kierunku wejścia do ich nowego domu. Jedyne wysilając wyobraźnię mógł dopatrzeć się ścieżki wśród chwastów.

- Co to jest? - zapytał.

- To nasz dom - odparł groźnym głosem ojciec, który zdążył już przeprowadzić nieprzyjemną rozmowę z Carolyn i nie miał ochoty na drugą rundę z synem. - Zaraz wyjmę

klucz.

- Nie ma potrzeby - odezwał się Travis, popychając drzwi palcem. - Otwarte.

Jake wyciągnął spod kurtki glocka, wyminął syna i wszedł ostrożnie do środka. Travis podążał tuż za nim.

- Jest tu kto? - zawołał Jake. Odpowiedziało mu jedynie urągliwe brzęczenie cykad.

Wewnątrz przyczepa cuchnęła jak stara gąbka, mokra i brudna. Z przodu, w kuchni - czyli aneksie z kempingową kuchenką gazową i blatem - okna z żaluzjami otwarte były akurat na tyle szeroko, żeby padający deszcz przemoczył pufy z piankowej gąbki. Linoleum na podłodze popękało wokół podstawy szafek, ukazując dwie równoległe linie żółtego kleju biegnące przez krótki korytarzyk, który prowadził do pojedynczej sypialni po przeciwnej stronie. Całkowita długość przyczepy wynosiła jakieś siedem do ośmiu metrów.

- Wygląda na to, że mieliśmy tu gości - powiedział Jake, wsuwając broń do kabury. Wystarczyło jedno spojrzenie, aby to stwierdzić.

Travis przecisnął się obok ojca w wąskim przejściu. Nie odezwał się, ale odraza na jego twarzy była bardziej wymowna niż słowa.

- Zapomniałam, że tu nie ma prądu - jęknęła Carolyn, spoglądając na palniki kuchenki i gazowe kinkiety na ścianach.

- Ale jaja! - krzyknął Travis, wycofując się z sypialni. - Pełno tu zużytych kondomów!

Carolyn jęknęła ponownie, zdumiona, że Travis rozpoznał podobne rzeczy. Razem z Jakiem poszli zobaczyć to na własne oczy. Prezerwatywy zaśmiecały materac i podłogę - na pierwszy rzut oka było ich z siedem. Wyglądały jak miniaturowe sterówce po katastrofie.

- Obrzydliwe! - Travis zmarszczył nos.

- To prawda - mruknął Jake, ściągając na siebie spojrzenie żony. - Przynajmniej wiemy, dlaczego mieliśmy tu gości.

Travis szedł ku wyjściu. Nagle stanął.

- Zaraz! - krzyknął ożywiony. - A gdzie jest toaleta? Rodzice wymienili między sobą spojrzenia.

- Na tyłach, na zewnątrz - odpowiedział z prostotą ojciec. - Sam ją wykopałem.

Travis patrzył na niego przez chwilę pełnym niedowierzania wzrokiem.

- Żartujesz - odezwał się w końcu. - W lesie?

Jake wzruszył ramionami. Czuł się niezręcznie.

- Szczerze mówiąc, bardziej na polu niż w lesie. W takiej budce.

- Nie ma mowy! - Travis wyglądał, jakby zbierało mu się na płacz. - Nie ma mowy, do kurwy nędzy!

- Travis! - krzyknęła Carolyn.

- Nie ma mowy, do kurwy nędzy, żebym srał w tym pieprzonym lesie jak jakieś pieprzone zwierzę! - popchnął z całej siły drzwi, które odbiły się od szafek i uderzyły go w łokieć, po czym wypadł z przyczepy i pobiegł w kierunku lasu.

- O Boże, Jake, dokąd on leci? Mężczyzna wziął głęboki oddech.

- Pójdę za nim - powiedział.

- Idę z tobą! - Carolyn pospieszyła do drzwi, ale Jake złapał ją za ramię.

- Nie - odezwał się łagodnie. - Tym razem ja to załatwię, zgoda? Wszystko będzie dobrze.

Travis rozpoznał kroki ojca, ale nie podniósł wzroku.

Uciekł z przyczepy głównie dlatego, by nikt nie widział jego łez, ale stary i tak za nim przyszedł. Kiedy przetarł twarz, ukłucie bólu przypomniało mu o podarunku, jaki przed dwoma dniami otrzymał od Terry'ego Lampiera. Choć wtedy również myślał, że życie się dla niego skończyło, nie mógł porównać tamtej historii z piekłem, które ujrzał przed minutą.

Jake usiadł obok niego na powalonym drzewie. Travis nienawidził tego człowieka - tego kłamcy. Nienawidził ich obojga. Kiedy poczuł na swoim ramieniu dłoń ojca, szarpnął się i zerwał na nogi.

- Wiedziałeś, że to się kiedyś stanie, tak? - wyrzucił z siebie oskarżycielskim tonem.

- Chyba tak - odpowiedział ojciec prawie szeptem.

Travis odwrócił się i stanął z nim twarzą w twarz. Gniew i nienawiść płonęły w oczach chłopca.

- Kłamałeś przez te wszystkie lata. Czy ta historia o masakrze też była kłamstwem? Zabiłeś tych wszystkich ludzi?

- Nie.

Travis postąpił krok do przodu, jakby wyzywał ojca na pojedynek.

- Nie wierzę ci - wyrzucił z siebie. - Jesteś kłamcą i mordercą, i mam nadzieję, że zginiesz i pójdziesz do piekła! - widział, jak ojciec ugina się pod ciężarem tych słów. Doskonale - pomyślał. Mam nadzieję, że cię boli!

Kim w ogóle był ten człowiek? Ojciec, którego znał przez trzynaście lat, nigdy nie zareagowałby w ten sposób, tylko sprawiłby mu tęgie lanie. Do diabła, chciał tej walki - rąbnąć pięścią, rozłożyć na łopatki!

Ogrom tego wszystkiego wykraczał poza granice dziecięcego rozumienia.

- Wiesz, uczyliśmy się o tym w szkole - powiedział w końcu drżącym głosem. -

Nazywają to katastrofą w Newark. Najgorsza chemiczna katastrofa w historii - skrzywił się nagle, głos mu się załamał. Ścisnął głowę rękami, jakby się bał, że mu wybuchnie. - Jezu, tato! To jest jak holokaust albo masakra w Dzień Świętego Walentego! To znaczy... Boże, to ma taką samą nazwę w historii!

Jake również wstał i chwycił syna za ramiona. Travis wyszarpnął się i cofnął o kilka kroków.

- Opowiedziałem ci wczoraj naszą historię - zaczął Jake najbardziej opanowanym tonem, na jaki mógł się zdobyć. - Wszystko, co mówiłem, jest prawdą. Twoja mama i ja uciekliśmy. To cała nasza wina.

- Ale kłamałeś!

- Spójrz na mnie, Trav - odezwał się łagodnie Jake.

Travis nie chciał, aby ich spojrzenia się spotkały. Właśnie w taki sposób ojciec zawsze wygrywał wszelkie potyczki. Mimo to Jake'owi udało się ściągnąć wzrok chłopca.

- Masz rację. Kłamałem. Okłamywałem każdego, kogo spotkałem na swej drodze w ciągu ostatnich czternastu lat. Włącznie z tobą. Nie ma usprawiedliwienia na to, co zrobiłem, ale nawet gdybym musiał jeszcze raz przez to przejść, wciąż nie widzę możliwości postąpienia w inny sposób. Przykro mi - ujął w dłoń podbródek chłopca i uśmiechnął się. Bez względu na to, jak twardy próbował być Travis wobec swych przyjaciół i kolegów z klasy, Jake zawsze potrafił dotrzeć do jego serca. - Ale musisz uwierzyć, że teraz nie kłamię.

Chłopiec wyszarpnął się ponownie.

- To dlaczego nie pójdziesz po prostu na policję? Od razu. Powiedz im, co zrobiliście, i wszystko zostanie raz na zawsze załatwione - płakał teraz otwarcie i jak tylko zdał sobie z tego sprawę, odwrócił się w stronę drzew.

Jake próbował go objąć, ale i ta próba zakończyła się porażką.

- To nie takie proste, Trav. To trwa już zbyt długo. Ktoś zaaranżował wszystko w oparciu o konkretny plan. Bardzo dobry plan. Po ucieczce z tego koszmaru dla mnie i mamy nastąpiły ciężkie dni. Prawdziwy sprawca chciał przerzucić winę na nas, a my, uciekając, tylko mu w tym pomogliśmy.

- Dlaczego akurat my? Co takiego zrobiliśmy?

Jake westchnął i przysunął się do syna. Boże, tak ciężko było mu to wypowiedzieć.

- Nie chodzi o nas wszystkich. Chodzi o mamę i mnie. Ty stanowisz część tej gry, ponieważ jesteś częścią nas.

Travis usiadł ciężko u stóp starego dębu odwrócony tyłem do Jake'a. Objął rękami nogi i schował twarz w kolanach, starając się uspokoić. To tak jakby ktoś wetknął mu bombę

zegarową w sam środek życia, a teraz włączył się sygnał alarmowy. Zawsze jakoś wierzył, że kiedy dorośnie, przestanie być dzieciakiem z przyczepy; że życie stanie się bardziej sprawiedliwe. Teraz, tłumiąc łzy cisnące mu się do oczu, uświadomił sobie, że sprawiedliwości nie było w torbie podróżnej, w jaką Bóg zaopatrywał każdego człowieka.

Jake czuł ból w sercu na widok smutku syna, jego całkowitej bezradności w obliczu nowego położenia. On sam wielokrotnie doświadczał podobnego uczucia.

Dawniej, kiedy nabierali doświadczenia w trudnej sztuce uciekania, Jake poświęcił setki godzin na odtwarzanie wydarzeń owego sierpniowego popołudnia w Newark. W końcu zrozumiał, że pytanie "dlaczego ja" mogło go zawieść do granic wytrzymałości psychicznej.

Sprawca katastrofy w Newark, kimkolwiek był i jakimi kierował się pobudkami, mógł zabić pracowników "Czystej Planety" wszędzie, tak jak mógł w każdej chwili wysadzić w powietrze ten magazyn wraz z jego zawartością. Z jakiejś przyczyny masakrę i eksplozję zaplanowano na tę samą chwilę. Tego Jake był pewien. Co więcej, ktoś musiał za to ponieść karę.

Wciąż powracał myślami do szkieletu, jaki znalazł Adam Pomeroy tuż przed rozpoczęciem strzelaniny. Tu tkwił klucz do zagadki. Jake doszedł do wniosku, że morderca opracował bardzo wyszukany plan, którego częścią było ukrycie tamtych zwłok. Czy można wyobrazić sobie na to lepsze miejsce niż stos innych ciał? Może ten facet wiedział nawet, że pożar i skażenie zmuszą władze do zapieczetowania całego budynku i w ten sposób zamknięcia w grobowcu wszelkich dowodów?

Czternaście lat temu Jake zdręczał się, próbując rozwiązać zagadkę, dlaczego pan X po prostu nie przeniósł gdzieś tego cholernego ciała i nie zakopał go gdzie indziej. Carolyn wymyśliła wiarygodną teorię: operacja przeprowadzana przez Agencję Ochrony Środowiska zaskoczyła pana X. Kiedy już odkryto i zamknięto magazyn, było za późno, aby tam powrócić niepostrzeżenie.

Jake i Carolyn przez wiele lat analizowali każdy szczegół ze wszystkich stron, ale nieodmiennie powracali do tego szkieletu. Raz posunęli się nawet tak daleko, że zaczęli myśleć, czy nie wślizgnąć się jeszcze raz do środka i nie zgromadzić dowodów, które świadczyłyby o ich niewinności. Jednak ryzyko złapania czy zatrucia toksynami zdawało się przeważać niewielką szansą znalezienia uniewinniających materiałów. W najlepszym razie byłby to strzał w ciemnościach. I to bardzo niebezpieczny.

Teraz, gdy patrzył, jak Travis walczy z ogarniającą go paniką, szczegóły dawno zapomnianych zdarzeń zaczęły na powrót sączyć się do jego świadomości.

Oszalałeś - powiedział sobie w duchu. - Od tego czasu wiele spraw się zmieniło.

Wiele innych jednak się nie zmieniło. Jeżeli właściwie rozumiał artykuły w gazetach i jeżeli media wiernie relacjonowały fakty, nic w tym magazynie nie zmieniło się od tego pamiętnego dnia. Wszystko pozostało nietknięte.

To może się udać...

Pokręcił głową, próbując odepchnąć szalone myśli, ale im więcej się nad tym zastanawiał, tym jaśniej płonął płomyk nadziei. Oczywiście, istniało ryzyko. I będą musieli na jakiś czas wyjść z ukrycia, ale, na Boga, to mogło się udać!

Poza tym, cóż mieli do stracenia? To nie było życie! Teraz dostrzegł to z całą jasnością. Ich plan miał fatalną skazę, ponieważ zawęzał się tylko do ucieczki. Reszta była zbyt nieprzewidywalna. Jaka czekała ich przyszłość? Ściśnięci w jakiejś gównianej przyczepie, żyliby w ciągłym strachu, że kochasie powrócą z większą ilością kondomów? Jak zamkną im usta? Zabiją ich?

Nowy plan dawał przynajmniej promyk nadziei. A jeśli on i Carolyn zginą, przynajmniej ich syn dorośnie wiedząc, że rodzice zrobili co mogli, aby udowodnić swoją niewinność.

Czasami honoru broniło się samą walką, a nie jej wynikiem.

Pomimo absurdu tego pomysłu, Jake poczuł się dziwnie doładowany, jakby w ciągu kilku sekund ubyło mu lat. To mogło się udać!

- A więc to wszystko? - zapytał Travis, wciąż odwrócony plecami do ojca. Teraz wydawał się znużony. - Czy już zawsze będziemy uciekać?

Jake usiadł na ziemi obok niego.

- To zabawne, że pytasz...

Po raz pierwszy od czterdziestu lat Clayton Albricht poważnie zastanawiał się, czy nie pozostać w łóżku. Reporterzy gromadzili się na trawniku przed wejściem do budynku przez całą noc, podczas gdy on wraz z personelem obmyślał gorączkowo sposób odparcia zarzutów i przejęcia kontroli nad całą sprawą.

Wił się, słysząc, jak w porannych wiadomościach jego rzecznik prasowy mówi zebrany dziennikarzom: "Senator zdecydowanie i kategorycznie zaprzecza, jakoby kiedykolwiek angażował się w jakiegokolwiek czynności homoseksualne czy pedofilskie..."

Chryste, nawet ten sprzeciw brzmiał potępiająco.

Oczywiście nikt nie potrafiłby udowodnić, że Frankel maczał w tym palce, więc podobne sugestie były nie do pomyślenia. Na Albrichcie zaciążyły zatem oskarżenia niezidentyfikowanego pochodzenia wymierzone bezpośrednio w jego karierę. Każda wymówka senatora brzmiała komicznie.

Jego żona, Alba, wierzyła mu. Widziała zbyt wiele zniszczonych karier, by sądzić, że tego rodzaju podstępne okrucieństwo jest niemożliwe. Pocieszała się, że przynajmniej dzieci są już dorosłe.

Mimo to Clayton i Alba przez wiele godzin rozmawiali przez telefon z dziećmi, wyjaśniając, co media niebawem ogłoszą publice, i zapewniając, że ich ojciec naprawdę nie jest zbrodniarzem. Pod koniec rozmowy dzieci zgodziły się, że nadszedł czas na krótkie wakacje. O ósmej wieczór Clay junior będzie w Parku Denali wraz z żoną i dwójką swoich pociech, a Amy zapragnęła wygrzać się na słońcu w St. Thomas. Wszyscy zgodzili się, że Clay junior raczej nie będzie nękanym przez prasę. Na Alasce bywało chłodno w październiku.

- To ten duży, prawda, Clay? - zapytała Alba, kiedy odwiesił słuchawkę po tysięcznej rozmowie z członkami swojego personelu.

Po chwili telefon zadzwonił ponownie. Przez cały rano telefonowano do Albrichta z różnych stron świata. Tak się złożyło, że gdyby nie bomba związana z jego osobą, byłby to dzień pozbawiony sensacji. Senator podniósł słuchawkę i odłożył ją natychmiast. Po trzech sekundach znów rozbrzmiał dzwonek telefonu. Obydwoje wybuchnęli śmiechem.

Clayton zrobił dla żony miejsce tuż obok siebie. Ten stary fotel kojarzył im się z niezliczonymi bajkami i pocałunkami na dobranoc dla dzieci. Nazywał go fotelem do rozmyślań.

- Jeszcze nie - powiedział o wiele swobodniejszym tonem, niż czuł w głębi ducha. - Do

czasu, gdy przypuszczalne zdjęcia nie trafią do mediów. Jeżeli ujrzą światło dzienne, wtedy tak. Wtedy będzie po nas.

Alba poprawiła potargane w czasie snu włosy, czując ulgę, że w końcu odpoczywał. Do świtu pozostało ze czterdzieści minut.

- Trzymasz się jakoś? Posłał jej słaby uśmiech.

- Chyba tak, oczywiście dopóki nie złożą mi propozycji, żebym pełnił rolę marszałka na Wielkiej Paradzie Pedziów. Wtedy może będę musiał zeskoczyć z czegoś wysokiego.

- Swoją drogą, co w tym złego być pedałem? - dokuczała mu.

- Wielkie nieba, oczywiście, że to nic złego - zaśmiał się. Czasami kręciło mu się w głowie od liczby przypadków, kiedy musiał odstępować od swych moralnych zasad. Po cichu tęsknił za czasami, kiedy słowo "pedał" oznaczało jedynie część roweru.

- Jesteś pewny, że to Frankel? - spytała Alba.

Senator pokiwał głową, trąc oczy wierzchem dłoni.

- Czuję jego smród. Nie ma innej możliwości.

- Możesz go pokonać?

Wzruszył ramionami. W tym momencie myśl o śnie sprawiała mu wyjątkową przyjemność.

- Cóż, nie postawią mnie w stan oskarżenia, jeżeli o to ci chodzi. Nie można niczego udowodnić na podstawie jakichś rachunków, czy nawet zdjęć. A nawet Frankel nie może wyczarować świadków.

Alba stanęła z boku fotela, aby pomasażować ramiona męża.

- On nie spocznie, wiesz o tym. Nawet jeżeli mu odpuszczysz, wciąż będzie cię dręczył. To się nigdy nie skończy.

Clayton odchylił się w fotelu i pociągnął ją za obie ręce, aż przytuliła się do niego od tyłu.

- Znasz mnie przecież - powiedział. - Będę go zwalczał po kryjomu, jak długo będę mógł. Jeśli wyjawię, kim jest naprawdę, zwyciężymy. Jeśli nie, wtedy może nadejdzie czas, aby powrócić do Chicago. Do domu.

Alba pomyślała, że być może jej mąż zmęczył się już Waszyngtonem. Ciężkie było takie życie. Niewątpliwie mogliby załatwić sobie niezłą emeryturę. Może to był po prostu znak, że czas zrezygnować?

- A zatem jak sądzisz, co się najpierw stanie? - zapytała.

Clayton westchnął marszcząc nos.

- Cóż, moim zdaniem nic się nie wydarzy, jeżeli tego nie zechcę. Pismaki sprawią, że

przez kilka tygodni będzie tak jak teraz, czyli będą zamieszczać moje codzienne sprzeciwy obok codziennych propozycji prezydenta, żebym zrezygnował ze stanowiska. Potem zrobi się dość gorąco. Gazety zaczną zbierać cytaty moich zwolenników potępiające mnie za bezbożność i wyświęcające ciebie za to, że pozostałaś przy tak okropnej kreaturze.

- Może wystąpię w programie Oprah - drwiła Alba. Clayton roześmiał się.

- Pedofiliczni prawodawcy oraz kobiety, które ich kochają - rzekł naśladowując głos spikera. - Jeżeli sprawy potoczą się zwykłym trybem, nie zostaniemy zaproszeni na żadne przyjęcie z okazji Bożego Narodzenia, ale z nadejściem Wielkanocy trafimy z powrotem na listę A. Potem, pod koniec kadencji ogłoszę, że przechodzę na emeryturę, a za kilka lat będziemy z powrotem w Chicago i zacznę zarabiać na życie wygłaszając prelekcje i pisząc książki.

- To brzmi, jakbyś wszystko już zaplanował, senatorze - podsumowała Alba, masując mu delikatnie twarz palcami.

- Ależ oczywiście - potwierdził. - A co najlepsze, mam całe pięć lat na obmyślenie, jak dobrać się do dupy Frankelowi.

Alba cofnęła się, słysząc ten komentarz, i lekko uśmiechnęła. - Zakładam, że nie dosłownie.

- Jake, oszalałeś! - Carolyn wyraźnie się wściekła, że w ogóle coś takiego przyszło mu do głowy. Odwróciła się do niego tyłem i wpadła do przyczepy.

Jake podążył za nią, a Travis szedł tuż za nim, chociaż ojciec ostrzegął go, żeby nie mieszał się do tej rozmowy.

- Dlaczego oszalałem? To sposób na odzyskanie życia.

- Gówno prawda! To sposób na skończenie życia! - wydawało się, że zaraz wybuchnie płaczem.

- A takie życie nie jest śmiercią? - podniósł w górę rękę. - Chryste, Carolyn, musimy wykorzystać tę szansę.

- Dlaczego teraz? - obstawała przy swoim. - Ostatnim razem, kiedy o tym rozmawialiśmy, sam uznałeś ten pomysł za głupi. Co sprawiło, że nagle straciłeś rozum?

- Złapali was - odezwał się Travis, stwierdzając fakt.

- Ty się do tego nie mieszaj! - odrzekli chórem rodzice.

Carolyn zanurzyła palce w swych gęstych włosach w geście skrajnego wzburzenia.

- Jest za późno - upierała się. - Nie ma już dowodów, a my jesteśmy za starzy.

Jake podniósł rękę.

- Zgoda, mamy czterdziestkę na karku - przyznał. - Ale wiesz co? W przyszłym roku będziemy o rok starsi. Dowody też. Teraz czas wydaje się niewłaściwy, ponieważ powinniśmy byli zrobić to wcześniej!

- A co z Travisem? - chwytła się wszystkiego, co przychodziło jej na myśl.

- Co ze mną? - odezwał się zdumiony chłopiec.

- Nie mieszaj się w to! - po raz drugi odpowiedzieli chórem.

- Co z nim?

- To jeszcze dziecko, Jake. Nie możemy go mieszać w coś takiego. To bezprawne.

- Powiem im, że zmusiliście mnie pod groźbą użycia broni - wtrącił

Travis. Kłótnia od razu się skończyła.

- Dzięki, skarbie - powiedział Jake opierając pięści o biodra. - Z taką rodziną, kto by potrzebował obrońców? - Travis stał się sprzymierzeńcem Jake'a, powiedzmy - warunkowym sprzymierzeńcem.

Carolyn zaciskała mocno zęby, zastanawiając się nad propozycją męża.

- Milion rzeczy może się nie powieść - odezwała się łagodniej i nawet Travis zauważył zmianę w jej głosie.

- Ważne, żeby chociaż parę spraw poszło po naszej myśli - skontrolował Jake i przysunął się bliżej. - Pomyśl o tym. Albo będziemy żyli jak dotychczas, albo spróbujemy.

Carolyn pochłaniała jego słowa, patrząc to na syna, to na męża.

- A jeśli nikt nie zechce nam pomóc? Jake wzruszył ramionami.

- Nie dowiemy się tego, jeżeli nie poprosimy o tę pomoc. - Zdobył się na ostrożny uśmiech.

Zamknawszy oczy, westchnęła głęboko i po raz kolejny zatopiła palce we włosach.

- To obłąd - jęknęła.

- No właśnie! - krzyknął triumfalnie Travis.

Wcisnęli się w zroszoną mgłą aneks kuchenny i przez dobrą godzinę omawiali szczegóły, odtwarzając dawno zapomniane sposoby działania.

Kiedy ustalili wstępny plan, wrócili do furgonetki. Jake zaczął zamykać drzwi przyczepy, ale zawahał się, widząc bezsensowność swojego działania.

- Mój wkład w życie erotyczne młodzieży - mruknął, odkładając klucz na bok.

Donovanowie potrzebowali automatu telefonicznego, lecz znalezienie takowego w okolicy wydawało się równie trudne, co poszukiwanie świętego Graala. W tej części Wirginii Zachodniej ciężko było znaleźć nawet budynek z normalnymi fundamentami. Na przydrożnej stacji Gulf widniał co prawda na jednym z dystrybutorów międzynarodowy symbol telefonu, ale po sprawdzeniu okazało się, że automat nie działa od dłuższego czasu - powiedzmy od czasów wojny secesyjnej.

Przejechali dwadzieścia kilometrów, mijając po drodze kilka zrujnowanych chałup i nie kończące się lasy porastające strome zbocza.

- Dlaczego ludzie chcą tu mieszkać? - zastanawiał się na głos Jake.

W końcu dojechali do przydrożnej karczmy "U Homera i Jane", której status jedynej restauracji w tej części stanu jasno określała liczba starych samochodów na parkingu. Budynek był typowy dla tej głuszy. Centralna część wykonana z czerwonej cegły mogła mieć w młodości pewien urok, ale z biegiem czasu z obu stron powstały drewniane przybudówki zakłócające wszelką harmonię. W sumie miejsce sprawiało raczej odpychające wrażenie. Wygląd okien świadczył jednak, że bar tętnił życiem.

A co ważniejsze, zgodnie z napisem na tablicy przymocowanej do jednej z cegieł, u Homera i Jane nie tylko można było skorzystać z telefonu, ale także wynająć pokój.

Zawieszenie furgonetki zaprotestowało, skrzypiąc przeciągle, gdy Jake skręcił na wyboisty podjazd.

- Co o tym sądzisz?

- Sądź... - Carolyn przerwała w pół słowa. - O Boże... spójrz na stojak z gazetami.

Ton głosu matki sprawił, że Travis przeszedł na przód wozu.

- Jaki stojak?

Jake z początku też go nie zauważył, ale kiedy spojrział we wskazanym kierunku, żołądek podszedł mu do gardła. W okienkach automatów na monety trzy rywalizujące gazety - dwie z Wirginii Zachodniej i jedna z Waszyngtonu - ukazywały zdjęcia najśłynniejszych na świecie terrorystów walczących w obronie środowiska. Zamiast starych fotografii z listów gończych użyto aktualnych zdjęć z praw jazdy.

- Cholera - rzucił Jake - wygląda, że to my.

W tej chwili groźba, że zostaną schwytani, stała się prawie namacalna.

- Nie możemy wejść do środka - stwierdziła Carolyn. - Ludzie jedzą śniadanie i połowa

z nich pewnie akurat o nas czyta.

Uwaga była bardzo trafna. Listy gończe, jako takie, nigdy nie przedstawiały specjalnego zagrożenia. Ludzie rzadko nawiązywali z Donovanami kontakt wzrokowy, a już na pewno nie pamiętali zdjęć osób, których nigdy w życiu nie spotkali. Jednak w tak niewielkiej zbiorowości, gdzie bez wątpienia wszyscy wszystkich znali, nieznajomi musieli przyciągnąć uwagę. A kiedy w dodatku ich fotografie widniały w gazecie, Bóg jeden wiedział, co mogło się wydarzyć.

- Ja mogę wejść - zaofiarował się Travis. - W gazetach nie ma moich zdjęć.

Jake i Carolyn instynktownie chcieli zaprotestować, ale w ostatniej chwili powstrzymali się.

Jake uniósł brwi, patrząc na żonę.

- Co o tym sądzisz?

- Mamo, naprawdę mogę to zrobić! - Travis bardzo chciał się sprawdzić. - Kurde, to tylko rozmowa telefoniczna - piorunujące spojrzenia rodziców kazały mu umilknąć. Wywrócił oczy do góry. - Chciałem powiedzieć, kurczą, to tylko rozmowa telefoniczna.

- To nie zabawa, Travis - zgromiła go matka.

- Wiem o tym, ale Jezu... znaczy jejku... po co ryzykować, żeby was rozpoznano, jeśli chodzi tylko o głupi telefon?

Kolejne trafne spostrzeżenie sprowokowało wzruszenie ramion Jake'a.

- Nie widzę powodu, dla którego miałby tego nie zrobić.

- Ale Harry go nie zna - skontrowała Carolyn.

- Będzie wiedział, kim jestem, jak mu się przedstawię - upierał się Travis. - Dajcie spokój i powiedzcie mi, co mam mu przekazać. Potem on powie mnie, a ja wam.

Może to istotnie nie było takie skomplikowane.

- Dzwoniłeś kiedyś na czyjś rachunek? - zapytał Jake.

- Uhm. Pamiętacie, wtedy w Amarillo, kiedy zepsuł się samochód Tawingosom? Zadzwoniłem na wasz rachunek, żeby powiedzieć, że będą później.

Jake i Carolyn spojrzeli po sobie, szukając jakiegoś powodu, by się sprzeciwić, ale nie mogli znaleźć żadnego.

- Zgoda - powiedziała Carolyn, wzdychając. - Posłuchaj, co masz mu powiedzieć.

Obserwując, jak Travis zmierza w kierunku przydrożnej knajpy, Jake poczuł dumę. Oto świat tego dzieciaka został kompletnie wywrócony do góry nogami, a mimo to chłopak naprawdę chciał im pomagać. Oczywiście pozostało wiele do zrobienia. Ta przygoda była

daleka od zakończenia, ale Jake czuł, że w tym właśnie momencie stali się bardziej rodziną niż kiedykolwiek wcześniej.

- Ciekawy jestem, jak zareaguje Harry - zastanowił się na głos.

- Jestem pewna, że mu ulży - odpowiedziała Carolyn. - O taak.

Harry Sinclair, wujek Carolyn ze strony matki, posiadał więcej chicagowskiej Złotej Mili niż jakikolwiek inny inwestor. Ogólnie znany ze swej ogromnej lojalności wobec kolegów oraz z bezwzględności w biznesie, Harry wzbudzał zarówno strach, jak i szacunek - w zależności od tego, po której stronie stołu negocjatorskiego zasiadał. Przyzwyczyił się do zwycięstw, bez względu na cenę. Roilo się od plotek, że posuwał się nawet do gróźb w stosunku do swoich przeciwników, ale nigdy mu tego nie udowodniono.

Harry'emu Sinclairowi znana była tylko jedna dziedzina życia, a mianowicie interesy, i prowadził je z niespotykaną pasją. Jake spotkał go zaledwie dwukrotnie, a mimo to mantra tego starego skurczybyka wryła mu się mocno w pamięci.

- Zawsze łatwo poznać frajera - powiedział Jake'owi, kiedy ten dopiero umawiał się na randki z Carolyn. - To facet, który wierzy, że gra się skończyła, gdy przeciwnik się poddaje. Dorastając na Południu, nauczyłem się prawdziwego sekretu zwyciężania. Dopóki ten drugi gość może utrzymać się na nogach, gra toczy się dalej.

Wykład był jedyną formą komunikacji uznawaną przez Harry'ego Sinclaira i już pierwszego dnia Jake przestał trawić tego człowieka. Uważał go za wcielenie wszelkiego zła w biznesie. Facet za bardzo przypominał mu baronów górniczych z Pensylwanii, którzy codziennie wysyłali jego ojca do piekła, zdając sobie w pełni sprawę, że zgniłe powietrze szybów niszczy mu płuca. Dla ludzi pokroju Harry'ego biznes był tylko eufemizmem od miażdżenia bezbronnych. Takie bezlitosne byki wyróżniały się na szkolnym podwórzu kosztownymi mundurkami i jedwabnymi krawatami.

W czasie ich pierwszego spotkania Harry od razu wyłożył kawę na ławę. Chciał onieśmielić nieokrzesanego dzieciaka górnika, który plątał się koło jego siostrzenicy. Było to w posiadłości Harry'ego. Siedząc na krześle wartym dwa tysiące dolarów i ssąc trzydziestodolarowe cygaro, wuj opowiedział historię koreańskiego sklepikarza, Kim Po. Odmówił on sprzedaży swego sklepu warzywnego, nie mając zamiaru robić miejsca dla Sinclair Plaża - kolosalnej, pięćdziesięciopiętrowej budowli ze szkła i granitu na Alei Michigan, mającej mieścić biura i sklepy.

Harry, który zawsze chętnie się tym, że przestrzega zasad fair play, otrzymał zgodę na wzniesienie swojej wieży próżności i postawił budynek w odległości piętnastu centymetrów z trzech stron i z góry, nad sklepem Po. Koreańczyk podał oczywiście sprawę do sądu. Harry

rozpoczął oblężenie, wnosząc ze swej strony oskarżenie o domniemane szkody moralne. Rozpoczęła się walka na opłaty sądowe, której Po nigdy nie mógł wygrać, o czym zresztą doskonale wiedział. Po sześciu miesiącach wojny toczonyj w salach sądowych Po poddał się i zaproponował, że sprzeda sklep. Harry nie zgodził się.

- Zdażyłem już wydać te pieniądze na adwokatów i zmiany architektoniczne - relacjonował Jake'owi. - Zaoferowałem mu czterdzieści centów na dolarze, ale odrzucił tę propozycję.

W końcu Po postąpił honorowo. Zrezygnował z walki i poddał się, co było najlepszym wyjściem.

Wciąż jednak trzymał się na nogach. Kiedy wreszcie doszło do otwarcia Sinclair Plaza, Harry wynajął pomieszczenia znajdujące się zaledwie kilka centymetrów od sklepu Koreańczyka konkurencyjnemu sklepowi warzywnemu, z podobnym asortymentem do tego, jaki oferował Koreańczyk, jednakże bardziej różnorodnym i tańszym.

Harry wygrał wojnę w dniu, w którym kupił wreszcie nieruchomość Koreańczyka jako jedyny biorący udział w przetargu.

Tacy drapieżcy jak Harry Sinclair doprowadzali do oblędu prawników, którzy w ciągu ostatnich dwóch dekad pracowali bez wytchnienia, aby reputacja starego lisa pozostała bez skazy. Harry'ego aresztowano tylko raz, pod koniec lat siedemdziesiątych, kiedy znaleziono dość niedociągnięć, aby skazać go na pięć lat więzienia.

Dla Jake'a Harry zawsze był i miał pozostać podejrzanym ptaszkiem, mimo że Carolyn czciła każdy krok swego wuja. Jako jedyna dziewczyna pośród morza kuzynów, Carolyn była "Promyczkiem" Harry'ego i potentat finansowy przy każdym spotkaniu obdarowywał ją srebrnymi dolarami i tabliczkami czekolady. Istniała pomiędzy nimi wyczuwalna więź, stanowiąca tylko część wielkiej tajemnicy okrywającej dzieciństwo Carolyn.

Jake rozpoznawał lojalność na pierwszy rzut oka i chociaż bardzo nie podobało mu się większość rzeczy związanych z życiem Harry'ego Sinclaira, nie mógł zaprzeczyć, że w krytycznym momencie staruszek przyszedł im z pomocą. Kiedy w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku cały świat runął na Donovanów, Harry zorganizował im wszystko, czego potrzebowali, by zniknąć, od nowych dowodów tożsamości aż po gotówkę. Zrobił to kilka miesięcy po wyjściu z więzienia, kiedy taka pomoc mogła go wiele kosztować.

Patrząc przez okno furgonetki na bar, Jake pokręcił głową z niedowierzaniem. Czy właśnie tego człowieka Travis miał prosić o pomoc?

Czekając na powrót syna, pozwolił swym myślom dryfować do drugiego spotkania z Harrym Sinclairem, a pierwszego, w którym Jake wystąpił w roli zbiega. Wujcio przysłał po

nich samochód w uprzednio ustalone miejsce, kawałek drogi w dół rzeki od Buford. Jake do dzisiaj pamiętał nazwisko kierowcy. Thorne. Typ żołdaka, muskularny, o rozbudowanym torsie. Facet odzywał się rzadko, ale jego ciemne oczy nieustannie ciskały groźby. Z tego co Jake sobie przypominał, pikap przyjechał późną nocą i jechali bez przerwy aż do rana. W końcu dotarli do domu położonego gdzieś w południowym Illinois.

Przespał wtedy większość drogi i otworzył oczy dopiero pod wpływem ciepła wschodzącego słońca. Carolyn, która zbudziła się wcześniej, siedziała rozmawiając ściszym głosem z Thorne'em. Jake przeciągnął się i powoli usiadł.

- Hej, śpiochu! - odezwała się radośnie Carolyn. - Najwyższy czas na pobudkę.
- Która godzina? - był zbyt zaspany, żeby pamiętać o spojrzeniu na zegarek.
- Dochodzi dziewiąta. Jesteśmy prawie na miejscu.
- Poprawka - wtrącił Thorne. - Już jesteśmy na miejscu.

Jedynym budynkiem w zasięgu wzroku był obszerny farmerski dom tkwiący pośrodku ogromnej zielonej polany. Cadillac zwolnił i skręcił na piaszczystą drogę. Dom był okazały w ten szczególnie środkowozachodni sposób. Prawdopodobnie zbudowany w latach dwudziestych tego stulecia, przypominał nieco przysadzistą piramidę Azteków. Wspierał się o ziemię ogromnym portykiem, a potem w klasycznym wiktoriańskim stylu piął się dwa piętra w górę ku łupkowemu dachowi zwieńczonemu skomplikowaną kombinacją wieżyczek.

Harry czekał na nich u wejścia. Na widok wuja Carolyn wybuchnęła płaczem. Lata spędzone w więzieniu odcisnęły na nim piętno: głębokie bruzdy pojawiły się na chłopięcej dotąd twarzy. Ostatnim razem, gdy się widzieli - czy to możliwe, że minęło już osiem lat? - miał bujną, starannie ufryzowaną kasztanowatą czuprynę, a teraz jego włosy przypominały zmierzwiony kłęb konopnych paków. Mimo wydatnego brzuszka Harry zawsze miał obsesję na punkcie strojów i pilnie śledził najnowsze trendy w modzie męskiej. Teraz jego ubranie było zmięte i stare, podobnie jak człowiek, które je nosił.

Carolyn wyskoczyła z samochodu i pobiegła wypielegnowaną ścieżką prosto w rozpostarte ramiona wuja, zmieniając się na powrót w młodą dziewczynę.

- Mój mały Promyczek - szepnął. - Tak za tobą tęskniłem. - Kiedy schowała twarz w jego objęciach, pogłaskał ją po głowie. - Cicho, Promyczku. Cśśś. Uspokój się. Wszystko będzie dobrze.

Jake obserwował tę scenę z podjazdu, starając się ignorować Thorne'a, który najwyraźniej traktował męża Promyczka jak potencjalne zagrożenie. Czując przenikliwy wzrok kierowcy, Jake zdał sobie sprawę z drżenia rąk, kiedy szukał dla nich odpowiedniego, bezpiecznego miejsca.

Dopiero po upływie minuty Carolyn oderwała się od wujka, który nawet wtedy trzymał ją na odległość ramion, wpatrując się w dawno nie widzianą twarz.

- Jesteś piękna - powiedział. - Wyglądasz jak Sinclairowie. Masz oczy swej matki. I jej buzię.

- A więc jej matka też kleła jak szewc, zgadza się? - wtrącił Jake, chcąc jakoś wyróżnić się spośród innych ozdób trawnika. Nikt jednak nie odwzajemnił jego uśmiechu.

Gniewne spojrzenie Harry'ego mówiło, co czuł w głębi duszy: Jeszcze z nią jesteś?

Jake podszedł bliżej, sprowadzając wraz z sobą Thorne'a.

- Witam. Miło pana znów widzieć. Dobrze pan wygląda - wyciągnął rękę i uśmiechnął się ponownie, znów tylko on.

Carolyn odwróciła się w połowie, jedną ręką obejmując Harry'ego i kiwając na męża drugą, jakby chciała i jego przytulić.

. - Pamiętasz Jake'a, prawda, wujku? Chodziliśmy na randki w liceum. Raz zaprosiłeś go na obiad...

- Oczywiście. - Harry piorunował młodego mężczyznę wzrokiem, ściskając mu rękę. Poruszył lekko nosem - jakby zwiertzył jakiś nieprzyjemny zapach. Jake spojrzał na siebie, zdając sobie natychmiast sprawę ze swego zaniedbanego wyglądu.

- Thorne - rozkazał Harry - wyślij kogoś po nowe ubrania dla mojej siostrzenicy i jej męża. Proste, rozumiesz? Nic wyszukanego. Jaki rozmiar butów nosicie?

- Ja dziesiątkę - odpowiedział Jake. - Carolyn chyba piątkę.

- Pięć i pół - poprawiła.

Thorne przez chwilę spoglądał na małżonków, a następnie przeniósł wzrok na swego szefa, który odprawił go skinieniem głowy.

- Proszę, wejdźcie - zaprosił ich Harry.

- Sympatycznie tu - ocenił Jake. Umeblowany gustownymi, nie ekstrawaganckimi antykami, pełen gobelinów, obrazów i orientalnych dywaników, dom sprawiał wrażenie nie tylko zamieszkanego, ale wręcz wypieszczonego.

- Dziękuję - powiedział Harry. - To nie jest mój dom, tylko jednego z moich znajomych. Zgodził się, żebym was tu przyjął. - Poprowadził ich do obszernego salonu, gdzie usiadł w wygodnym fotelu. Jeden z trzech wiatraków rozrzedzał ciężkie powietrze, tworząc iluzję bryzy.

- Carolyn, usiądźcie sobie z Jackiem na sofie.

- Mam na imię Jake. - Harry spojrzał na niego chłodno. - To nie to samo co Jack.

Starszy mężczyzna uśmiechnął się.

- Zgadza się. A ty możesz mi mówić Harry. A więc... co wiecie z mediów o całej

sprawie?

- Niczego nie widzieliśmy ani nie słyszeli - wyjaśniła Carolyn. Od czasu eksplozji w magazynie broni byli tak zaabsorbowani ucieczką przed policją, że całkowicie stracili dostęp do informacji.

- Hmm... - Harry wciągnął mocno powietrze nosem i oparł się plecami o poduszki na fotelu, składając dłonie na klatce piersiowej. - Cóż, żałuję, że muszę wam o tym mówić, ale jesteście głównymi bohaterami wiadomości. Bardzo mocnych wiadomości. Obawiam się, że uciekając z tamtego motelu w Buford zaprzepaście wszystko, co mogliście zyskać, oddając się w ręce policji.

- Ale my nic złego nie zrobiliśmy! - zaprotestowała Carolyn. - Boże, z pewnością możemy to udowodnić!

Harry zaczerpnął powietrza w płuca, szukając odpowiednich słów.

- Oczywiście powinno mieć znaczenie, czy ktoś jest winny, czy też nie, ale jak wiecie, sam miałem pewne konflikty z władzą i zapewniam was, że sprawa winy jest często zupełnie nieistotna. Czasami pada się ofiarą dość wyszukanego spisku. Zerkając jednym okiem na telewizor, przez ostatnie dwanaście godzin słyszałem, jak oskarżano was przynajmniej kilkanaście razy.

- Ale jak to możliwe?! - krzyknęła Carolyn. - Skoro my tylko!...

- Niewątpliwie - przerwał jej Harry - ktoś chce, by świat uwierzył, że to wy dokonaliście tych straszliwych czynów. I zdaje się, że osiągnął swój cel, a wy nie możecie odeprzeć tych zarzutów. Skoro wszyscy wierzą, że jesteście winni, musicie postępować tak, jakbyście istotnie mieli coś na sumieniu. Pamiętajcie: policja nie rozróżnia winnych i niewinnych poszukiwanych.

Harry przerwał, dając Donovanom czas na zrozumienie istoty swych słów. Uśmiechnął się, gdy Carolyn bezwiednie odszukała dłoń męża i uściśniła ją z uczuciem. Najwyraźniej Harry'emu bardzo zależało na tym, żeby "Promyczek" był szczęśliwy w małżeństwie.

- No więc co mamy robić? - zapytała Carolyn. Mężczyzna odwrócił wzrok.

- Znikniecie - powiedział patrząc na swoje ręce. - Ulotnicie się. Przestaniecie istnieć.

- Na jak długo? - zapytał Jake. Harry podniósł wzrok.

- Przypuszczam, że na zawsze. Oczywiście rozpoczną wielkie śledztwo. Zbadają motywy. Zgromadzą dowody. Wydaje mi się, że wciąż będziecie podejrzani, kiedy skończą. Coś mi tu śmierdzi. To wszystko jest zbyt klarowne, a ta gra rządzi się bezwzględnyymi regułami.

Ciężar tego, co sugerował Harry, przytoczył Jake'a jak skała granitu. - A nasi

przyjaciele, znajomi? - wyrzucił z siebie. - W mieszkaniu zostały wszystkie nasze rzeczy, samochód...

- Zapomnijcie o nich. Zapomnijcie o wszystkim z wyjątkiem tego, że macie przetrwać. - Harry powiedział to tak zwyczajnie, jakby chodziło o zatankowanie paliwa albo kupienie jabłka w warzywniaku.

Carolyn, na skraju paniki, potrząsnęła gwałtownie głową.

- Musi być inne wyjście.

- Nie ma innego wyjścia - zaprzeczył z naciskiem wuj. - Prosiłaś o radę, Promyczku, więc ci ją daję. Nie ma innego wyjścia.

- A co z pieniędzmi? - zapytał Jake. - A praca? Jak mamy się utrzymać? Te pytania sprawiły Harry'emu wyraźną przyjemność.

- Thorne za chwile przyniesie wam walizkę - wyjaśnił. - Znajdziecie w niej osiemdziesiąt tysięcy dolarów. Przykro mi, że nie mogę dać więcej, Promyczku, ale wiąże się to z wakacjami, jakie odbyłem dzięki uprzejmości gliniarzy. Moje interesy nie stoją już tak jak kiedyś.

Osiemdziesiąt tysięcy dolarów! - wrzasnął umysł Jake'a. - A on jeszcze przeprasza?

Harry dostrzegł zdumienie na ich twarzach i zaczął szybko wyjaśniać.

- Posłuchajcie mnie oboje - powiedział, unosząc palec wskazujący. - To będą wasze pieniądze na przetrwanie i musicie nimi mądrze dysponować.

Jeżeli którekolwiek z was wyda je na ekstra samochód albo noc w Vegas, przysięgam na Boga, że dam wam obojgu wycisk. To, co w innych ustach mogło brzmieć jak pusta groźba, w tym przypadku zabrzmiało jak najszczerza obietnica.

- Pomogę wam uzyskać nowe tożsamości - ciągnął. - Mój asystent, Thorne, zna ludzi, którzy się tym zajmą. Ale od tej chwili sami odpowiadacie za siebie, rozumiecie?

Carolyn skinęła głową, lecz już wcześniej wyłączyła się z rozmowy, myśląc o niezliczonych problemach, jakie na nich czekają. Ludzie nie mogli tak po prostu przestawać istnieć! Mieli odciski palców. Mieli twarze, i to, jak zauważył wcześniej wuj, twarze pokazywane we wszystkich mediach.

- Promyczku, nie słuchasz - warknął Harry. - Nie mamy zbyt wiele czasu.

- A nasze twarze? - spytała.

- Stworzenie nowej twarzy nie jest takie trudne, jak ci się wydaje. Przynajmniej tak mi mówiono. Tu nowy nos, tam jakiś retusz, inna fryzura. Zdziwilibyście się, jakie to proste. Trudniejsza sprawa z dokumentami. Umiejscawiają was w teraźniejszości, jak również w przeszłości. Ale nie martwcie się. Znajomi Thorne'a zajmą się wszystkim. Istotne jest wasze

zachowanie. Nie wolno wam kupować, wytwarzać ani mieć niczego, czego nie moglibyście w każdej chwili porzucić. Nawet z nowymi dowodami tożsamości nie możecie zapominać, że jeden błąd może wszystko zaprzepaścić. Żadnego domu, żadnych zapasów, żadnych zwierząt i żadnych dzieci.

- Żadnych dzieci? - oburzyła się Carolyn. - Ale my chcemy założyć rodzinę!

Harry zaśmiał się niewesoło.

- Na miłość boską, Carolyn. Planowaliście wiele rzeczy. Otwórz oczy. Dzieci będą dla was kulą u nogi. Kiedy nadejdzie czas, żebyście wzięli tyłki w troki, będziecie musieli zrobić to w okamgnieniu. Nie będzie czasu na bieganie po sklepach i kupowanie pampersów.

- Daj spokój - przerwał mu Jake. - Musimy mieć chociaż namiastkę życia. To, co nam proponujesz, brzmi tak, że lepiej chyba pójść do więzienia.

Harry spojrzał na niego z gniewem i zacisnął szczęki.

- Ja właśnie daję wam tę namiastkę życia. Staram się wam pokazać, jak jej nie zburzyć. Mówicie, że chcecie mieć dzieci. Rewelacja. Chcecie, żeby były zupełnie pokranclowane? Oto podstawowa prawda na temat waszego dalszego życia i nigdy, przenigdy o niej nie zapominajcie: cokolwiek sobie wcześniej planowaliście, nie ma teraz najmniejszego znaczenia, ponieważ nie będziecie mieli szansy, żeby to zrealizować. Kropka. Będziecie musieli się przeprowadzać raz na rok, a nawet częściej. Nie załatwicie sobie roboty, która wymagałaby sprawdzenia życiorysu, a już zwłaszcza w waszym zawodzie. Moglibyście natknąć się na znajomych. Kiedy skończymy rozmawiać, przestaniecie nazywać się Donovan. Jeżeli macie jakąś rodzinę, zapomnijcie o niej. Masz najlepszego kumpla? Może drużbę z wesela? Odtąd może myśleć, że nie żyjesz. Harry przerwał na chwilę.

- Rozumiecie mnie, dzieci? Nie możecie sobie pozwolić na przyjaciół. Wiem, że to ciężki układ, ale nie macie innego wyjścia. A jeżeli nie możecie mieć znajomych, to co tu, u diabła, mówić o dzieciach? Nie rozumiecie? To idiotyczne.

W pokoju zapadło milczenie. Ciężar tej życiowej lekcji przytłoczył Jake'a całkowicie. Kiedy słuchał przemowy Harry'ego, po raz pierwszy zdał sobie sprawę ze strasznej niesprawiedliwości, jaka ich spotkała. W późniejszych latach nieraz modlili się z Carolyn o sprawiedliwość, ale wyglądało na to, że nie istnieje żaden Wyższy Plan. To właśnie stał się im przekazać Harry. Jest jak jest, kropka. Nie byli przygotowani na tę lekcję.

- A ty - zakończył Harry, celując palcem prosto w oczy Jake'a - nie sądz, że więzienie jest jakkolwiek alternatywą, rozumiesz? Ja jestem twardszy, niż ty kiedykolwiek będziesz, a po pięciu latach prawie mnie złamało. Wy oboje możecie spędzić za kratkami resztę życia. Chyba lepsza jest śmierć, rozumiecie? Śmierć jest lepsza niż więzienie.

Jake i Carolyn odwrócili wzrok jak na komendę. Ściskali się za ręce tak mocno, że pobielały im kostki u rąk. Harry odezwał się łagodniejszym tonem:

- Promyczku, wiesz, że wolałbym sobie odciąć rękę, niż patrzeć, jak przez to przechodzisz - oczy zaszyły mu łzami. - Wiesz o tym, prawda?

Pokiwała głową, nie odrywając wzroku od podłogi.

- Co więcej, będą pokusy. Przyjdzie Boże Narodzenie, albo może wasza rocznica ślubu i zechcecie zadzwonić do domu, a może nawet do mnie. Ale nie wolno wam. FBI przewróci cały świat do góry nogami, szukając was, i nie sądzcie, że spoczną za rok, dwa, czy nawet za pięć. Będą wiedzieć o was więcej, niż wiecie sami o sobie, i nie przestaną obserwować waszych znajomych czy krewnych. Ludzie będą im dawać wskazówki. Wasz obraz, jaki odmaluje prokurator generalny Stanów Zjednoczonych, będzie tak okropny, że żaden znajomy nie oprze się pokusie, żeby was wydać. Nie możecie nikomu ufać. Nigdy. Zapamiętajcie to sobie.

W wejściu do salonu pojawił się Thorne z walizką w ręku.

- Daj nam jeszcze minutę - powiedział Harry i asystent wyszedł. Sinclair pochylił się na fotelu, wyciągając rękę w kierunku Carolyn. Ujęła ją, łącząc się w ten sposób z dwoma mężczyznami, których kochała najbardziej na świecie.

- Gdyby było inne wyjście, powiedziałbym wam - odezwał się. - Ale nie ma. Federalni nienawidzą mnie, wiesz o tym. Dlatego nie możemy zbyt długo rozmawiać. Jeśli któregoś dnia utkniecie, to znaczy naprawdę znajdziecie się w sytuacji bez wyjścia, zadzwonicie pod ten numer - wręczył im błękitny kartonik, który wyjął z kieszeni. - Przeczytajcie, zapamiętajcie i zniszczcie go. Zrobię dla was co w mojej mocy, ale pamiętajcie, że policja skarbową i FBI przez cały czas mają mnie na oku. Niewykluczone, że taki telefon spowodowałby więcej kłopotów, niż cokolwiek rozwiązał. Ujął Carolyn za podbródek i łzy napłynęły mu do oczu.

- Promyczku, jeżeli wszystko się powiedzie, już nigdy się nie zobaczymy - głos uwiązał mu w krtani, kiedy pochylił się i mocno ją przytulił. Przyszedł czas na rozstanie.

Wyciągnął rękę do Jake'a.

- Nie wyobrażasz sobie, chłopcze, cośmy przeszli wspólnie z twoją żoną. Dobrze się nią opiekuj.

Jake również wstał.

- Zrobię co w mojej mocy - zapewnił. Harry patrzył na niego złowroźnie.

- Zrób więcej niż to, co w twojej mocy. Ochroniaj ją za wszelką cenę. Od tej chwili jest wszystkim, co ci zostało.

Wyszedł szybko, pozostawiając Donovanów samych w salonie.

- O Boże, Jake! - Carolyn załkała gorzko. - Co my zrobimy? Zastanowił się przez

chwilę, gryząc dolną wargę i próbując dojść do siebie.

- Chyba postaramy się przetrwać.

- Przepraszam - przerwał im Thorne, wrywając ich z zamyślenia - ale pan Sinclair powiedział, żebyście się spieszyli. Na górze znajdziecie trochę nowych ubrań. Starczy też czasu na szybki prysznic, jeśli oczywiście macie ochotę.

Jake skinął w milczeniu głową. Wyglądał jak człowiek, który właśnie usłyszał swój wyrok śmierci. Wzburzenie nie pozwalało mu rozsądnie myśleć. Obejmując Carolyn, wyszedł za Thorne'em z salonu - w nieznaną przyszłość.

Idąc przez parking, Travis czuł, jak serce łomocze mu w piersiach. Z trudem tłumił w sobie przemożną chęć zerknięcia w kierunku rodziców. Było nie było, to on wpadł na ten pomysł i postanowił, że nie da po sobie poznać strachu. W niecałe dwadzieścia cztery godziny jego życie przewróciło się do góry nogami, a on był w tym wszystkim tylko biernym pionkiem. Strasznie go to męczyło. Teraz wnosił swój wkład i jeśli pójdą do więzienia, to wszyscy troje.

Kiedy wszedł po czterech schodkach i stanął przed drzwiami wejściowymi, jeszcze raz odtworzył sobie w głowie to, co miał powiedzieć. Większość wydawała się pozbawiona sensu, ale rodzice zapewnili go, że nie ma się czym przejmować. Wujek Harry - bez względu na to do cholery, kim, był - wszystko doskonale zrozumie.

Silna woń bekonu, którą czuł stojąc przed drzwiami, zmieszała się z dymem papierosowym i siarkowym odorem jaj, kiedy wszedł do baru. "U Homera i Jane" było tłoczno i hałaśliwie, a goście siedzący przy stolikach wyglądali, jakby właśnie zrobili sobie przerwę śniadaniową w drodze do pracy.

Travis znieruchomiał w progu na kilka sekund i zlustrował pomieszczenie w poszukiwaniu telefonu.

- Przesuń się, synu - rzucił jakiś dryblas w dżinsach z paskiem o klamerce wielkości spodka. Travis ustąpił, ale facet i tak go potrącił. No, może nie tak mocno, ale z pewnością nie było w tym nic przyjaznego.

Z drugiego końca baru zbliżyła się kobieta o surowej twarzy. Miała na sobie poplamiony tłuszczem fartuszek kelnerki i wyświechtaną siatkę na włosach.

- Słucham?

Według faceta, który właśnie poprosił o kolejną kawę, nazywała się Peggy. Travis uśmiechnął się grzecznie, starając się zachowywać jak normalny podróżny.

- Przepraszam, czy mają tu państwo jakiś telefon?

To, co kelnerka dostrzegła w chłopaku, najwyraźniej wzbudziło w niej więcej podejrzeń niż współczucia.

- Jesteś sam?

Co za różnica - pomyślał w duchu.

- Hmm, nie. Moi rodzice czekają na zewnątrz w samochodzie.

Peggy zmrużyła oczy, jakby chciała przeniknąć go na wskroś. Najwyraźniej wyglądał jej na chuligana czy kogoś w tym rodzaju. W końcu wskazała na tyły baru, gdzie przez gęstą

zawiesinę dymu Travis dostrzegł zarys aparatu telefonicznego.

- Dzięki - zmusił się do kolejnego uśmiechu.

Starał się zachować spokój i obojętność - nawet wyglądać pogodnie - kiedy szedł głównym przejściem, otoczony kilkunastoma zdjęciami swoich rodziców. Nie musiał być ekspertem kulinarnym, aby stwierdzić, że ten bar był po prostu paskudną speluną.

Telefon wisiał na ścianie tuż przed toaletami, a sądząc po wszechobecnym smrodzie, ktoś właśnie podprowadził słuchawkę. Przekonany, że wszyscy bacznie go obserwują, podniósł słuchawkę z widełek i wcisnął zero oraz wystukał zapamiętany numer telefonu.

- Chciałbym zadzwonić do Harry'ego Sinclaira na jego rachunek - powiedział operatorce, kiedy odezwała się po drugiej stronie linii.

- Kto dzwoni? - zapytała.

Travis poczuł, że serce zamarło w nim na moment. Co powiedzieć? Mama z tatą nie przygotowali go na takie pytanie. Milczał na tyle długo, że telefonistka zapytała, czy się nie rozłączył.

- Co? - zapytał nieswoim głosem. - Nie, nie, jestem, jestem. Proszę mu powiedzieć, że to pan Donolly.

- Pan Donolly?

- Nie, Donovan! - poprawił się szybko. Cholera!

- Aha. To które wreszcie? - kobieta najwyraźniej ufała mu nie bardziej niż Peggy.

- Donovan - powiedział stanowczym głosem. - Travis Donovan. - Do diabła! Teraz każde jego słowo wzbudzi podejrzenia. Wcisnął sobie słuchawkę mocno między ucho a ramię i rozejrzał się dokoła, czy ktoś go obserwuje. Na razie, wszystko wydawało się w porządku.

- Tak? - Travis usłyszał gruby głos po czwartym sygnale.

- Rozmowa od Trávisa Donolly na rachunek Harry'ego Sinclaira.

- Donovana! - poprawił Travis. Specjalnie mu to zrobiła! Na linii zaległa cisza.

- Travis Donovan? - zapytał gruby głos. - Nie znamy żadnego Trávisa Donovana.

- Jestem synem Promyczka - dodał szybko. Cisza.

- Zgadza się pan na tę rozmowę? - nalegała telefonistka. Odpowiedź nadeszła powoli i z wahaniem.

- Taak, zgadzamy się.

Travis wypuścił powietrze z płuc, nie zdając sobie sprawy, że wstrzymywał oddech.

- Dziękuję - powiedział z wdzięcznością, a kiedy telefonistka wyłączyła się, zapytał: - Wujek Harry?

- Nie - odpowiedział kwaśno głos. - Jestem jego przyjacielem. Kim tak naprawdę jesteś?

- głos emanował groźbą mimo odległości tysiąca dwustu kilometrów.

Ton mężczyzny przyprawił Trvisa o zimny dreszcz.

- To naprawdę ja - powiedział z naciskiem. - Syn Promyczka.

- To nie jakiś żart, synu? - naciskał głos. - Jeśli tak, to zadzwoniłeś pod niewłaściwy numer.

Travis przełknął głośno ślinę.

- Nnn... nie, to nie żart - wyjąkał z trudem. - Mm... moja mama i tata potrzebują pomocy wujka Harry'ego.

Ponownie słuchawka wypełniła się ciszą.

- Dobrze - odezwał się w końcu głos. - Zaczekaj chwilę. Travis pokiwał bezwiednie głową.

- Dobrze - bąknął wystraszony. Szczerze mówiąc, ten człowiek na drugim końcu linii na tyle odebrał mu odwagę, że gdyby Travis musiał, czekałby przy telefonie dzień i noc.

- Cholera, mamy ich! - wiwatował Paul Boersky, odciągając uwagę Irene od stosu papierów. - Ten podsłuch na telefonie Harry'ego Sinclaira. Nie minęły jeszcze trzy godziny, a już trafiliśmy w dziesiątkę!

- Gdzie? - głos Irene drżał od podekscytowania. Za półtorej godziny miała zadzwonić do Frankela i o taką właśnie bombę modliła się przez cały czas.

- Nie rozpracowali tego jeszcze w stu procentach, ale wygląda na Wirginię Zachodnią. Jakieś miejsce o nazwie Winston Springs.

- Cholera jasna! - Irene ożywiła się wyraźnie. - Mam nadzieję, że wszystko nagrywają?

- Tak jak my teraz rozmawiamy - oświadczył Paul i pokój rozbrzmiał nagle okrzykami wojennymi i przybijanymi piątkami.

Paul wciąż wisiał na telefonie oczekując nowych wiadomości, a Irene zajęła się nاپuszczaniem policji stanowej z Wirginii Zachodniej na swych zbiegów.

Harry Sinclair zdawał sobie sprawę, że prawdopodobnie powinien był podzielić się swoimi podejrzeniami z Thorne'em. Prawda wyglądała tak, że oczekiwał tej rozmowy od obejrzenia wczorajszych wiadomości, i chociaż zupełnie nie wiedział, jak może pomóc swojej rodzinie, postanowił zrobić wszystko co w jego mocy.

Nie obawiał się Departamentu Sprawiedliwości. Od czasu do czasu zakładali podsłuch na jego telefony, ale nigdy wcześniej nie robili tego akurat w momencie, gdy mogli mu rzeczywiście zaszkodzić. Na szczęście Harry doskonale wiedział, kiedy urządzenia

podsluchowe pojawiały się w jego telefonach, a to dzięki uprzejmości wysoko postawionego znajomego w biurze prokuratora Stanów Zjednoczonych dystryktu Chicago. Na Południu Harry dorastał z ojcem tego człowieka i zainwestował kilka dolców w delikatesy w centrum miasta, których tamten był właścicielem. Kiedy przyjaciela capnął Departament Zdrowia z uwagi na jakieś niedopatrzenie, Harry wykonał kilka telefonów do biura burmistrza i wyciągnął go z opresji. Dzieciaki z sąsiedztwa doskonale wiedziały, co to lojalność.

Telefon od Tralisa nie mógł przypaść na gorszy okres. Jak tylko Thorne powiedział, kto jest na linii, Harry zrozumiał, że właśnie podpalili krótki lont. Nie potrafił jedynie stwierdzić, jak krótki.

Instynktownie zerknął na zegarek.

- Ile był na linii? - zapytał. Thorne wzruszył ramionami.

- Może ze trzy minuty?

- W porządku. - Harry skinął głową. - Zagłusz rozmowę na kilka minut, a potem daj ją na telefon cyfrowy.

W ciągu kolejnych trzech czy czterech minut impulsy elektroniczne obleciały świat, kończąc na prywatnej linii w biurze Harry'ego w Dallas - oficjalnie domu parafialnym księdza. Tam jego człowiek skierował je do jednego z czterech znajdujących się w domu cyfrowych telefonów, których kryształki zmieniano co cztery dni. Namierzenie wydawało się praktycznie niemożliwe. Takie środki ostrożności kosztowały mnóstwo zachodu, ale Sinclair nauczył się na własnej skórze, w jakim tempie jego przeciwnicy doskonałą elektroniczne podsłuchy. Zaledwie dwa lata temu stracił kontrakt komunikacyjny wart miliard dolarów na rzecz jakiegoś buraka z Teksasu. Zrozumiał, że zasady gry uległy zmianie. Obecnie fałszowanie rozmów telefonicznych stało się bardziej regułą, niż wyjątkiem. A fakt, że doprowadzało to do frustracji okazjonalnego podsłuchiowacza, był jak lukier na ciastku.

Harry podejrzewał, że podsłuchują jego rozmowy. Zakładali mu podsłuch już wcześniej, nawet z błahszych powodów. Nic tak nie wkurzało Departamentu Sprawiedliwości, jak robienie dużych pieniędzy i zatrudnianie tysięcy pracowników. Jeśli ktoś dokonywał czegoś takiego, oznaczało to, że robił coś nielegalnie. Chyba że przeznaczyło się odpowiednią sumę na kampanię prezydencką. Ale Harry prędzej zrobiłby tysiąc fajerwerków ze swej forsy, niż dałby złamanego centa na taki cel.

W chwili gdy dostał cynk o podsłuchu, uruchomił swoich prawników, którzy mieli udowodnić, że to bezprawie. Takie sprawy zabierały jednak sporo czasu i Harry był pewien, że FBI ma już nagranie rozmowy dzieciaka z Thorne'em. Mógł powstać problem. W obecnych czasach federalni bez problemu mogli wymyślić na tyle prawdopodobną przyczynę, aby

otrzymać nakaz rewizji. Z takim papierem w ręku rozłożą mu mieszkanie na czynniki pierwsze w poszukiwaniu Promyczka. Westchnął.

Wojna Sinclaira z federalnymi datowała się od połowy lat siedemdziesiątych. Reprezentant Kongresu z Chicago zbudził się wówczas pewnego ranka i uświadomił sobie z przerażeniem, że Harry wykupywał większość najcenniejszych nieruchomości w mieście, a każdy cent z hojnych dotacji tego finansowego rekina trafiał w ręce niewłaściwej strony. Domniemując niesprawiedliwe metody rywalizacji, kongresman podzielił się swymi żałami z pełnym współczucia prezydentem, który z kolei szepnął kilka słów prokuratorowi generalnemu.

I w ten oto sposób kilka lat później Harry Sinclair został skazany na karę więzienia za nadużycia podatkowe, które każdego innego obywatela kraju kosztowałyby jedynie grzywnę.

Ta jawna niesprawiedliwość otworzyła jednak Harry'emu oczy. Niemiłosiernie dłużyło mu się te pięć lat - choć zanosilo się, że będzie siedział osiem - w betonowym pomieszczeniu, pozbawionym prywatności i światła słonecznego, gdzie dławił się odgrzewanym łajnem szumnie zwanym tam jedzeniem. Nigdy nie mógł już odzyskać tych straconych dni; ominęły go miejsca, których nie zwiedził, oraz kontrakty, których nie podpisał.

Obecnie cieszył go proste przyjemności i rzadko pokazywał się w swych pałacowych biurach w centrum miasta. Kiedy trafiał mu się paskudny humor, szedł popływać na materacu w basenie albo zapominał o wszystkim ,grając w golfa. Teraz miał ludzi, którzy prowadzili za niego interesy. Nadszedł czas, aby czerpać korzyści ze wzniesionego przez siebie imperium.

Wolność była dla Harry'ego wszystkim; nikomu nie życzył więzienia. Teraz wolność Promyczka znów wisiała na włosku i nie mógł znieść tej myśli. Trzewia rozrywało mu uczucie, jakiego nie doświadczał od lat. Czuł, że zbroi się do wojny.

Kiedy usłyszał szczebiot telefonu cyfrowego, wstał zza biurka i podszedł do błękitnej skórzanej sofy stojącej pod przeciwległą ścianą. Harry zawsze był człowiekiem dość korpulentnym, ale obfity brzuszek, który kiedyś zdawał się twardy jak skała, teraz trząsł się przy każdym kroku.

- Dziękuję - powiedział odbierając słuchawkę od Thorne'a i dając mu znak, żeby nie odchodził. Zawahał się chwilę, jakby rozważał, co powie, a następnie wcisnął przycisk. - Tak?

- Czy to wujek Harry? - odezwał się niepewny chłopięcy głos po drugiej stronie linii.

- Tak.

- Wreszcie! - wyrzucił z siebie Travis. - Boże, myślałem, że nigdy się nie połączę. Jejku!

Harry milczał czekając, aż chłopiec się uspokoi i będzie w stanie słuchać. Travis zorientował się dość szybko, o co chodzi, i potok słów urwał się raptownie.

- Halo? - odezwał się. - Jesteś tam, wujku?

- Skończyłeś? - z tonu starszego mężczyzny przebijała surowa nagana.

- Co? A tak, przepraszam. Właśnie... - Travis powstrzymał się w połowie zdania i Harry zobaczył oczami wyobraźni, jak chłopak opanowuje się i przechodzi do sedna sprawy. - No dobrze, wujku Harry. Jestem Travis

Brighton... nie, wcale nie, do diabła... o, przepraszam... jestem Travis Donovan. Ty mnie nie znasz, ale...

- Wiem, kim jesteś, synu - przerwał mu Harry. - A teraz powiedz mi, czego chcesz. - Kolejny głęboki oddech na drugim końcu linii, a po nim nerwowe chrząknięcie. W końcu dzieciakowi rozwiązał się język i wyrecytował to, co kazali mu przekazać rodzice.

Po dwóch minutach nieprzerwanego monologu Harry wstał ponownie i zaczął przechadzać się po pokoju. To było największe szaleństwo, o jakim słyszał od długiego, długiego czasu.

- Do diabła! - Paul Boersky rzucił słuchawką tak mocno, że jedna z leżących obok grubych książek spadła z biurka. - Zgubili rozmowę.

Irene, rozmawiając z innego telefonu z policją stanową Wirginii Zachodniej, kazała im chwilę zaczekać.

- Co takiego? - zapytała z niedowierzaniem. Nawet nie waż się mówić mi podobnych rzeczy - tego nie wypowiedziała na głos.

Paul nigdy nie potrafił kontrolować własnych emocji. Teraz kopnął śmietniczkę, która poszybowała przez całą salę konferencyjną.

- Wiedzą o nas. Tuż po odebraniu telefonu zaszyfrowali rozmowę. Nie wiem dokładnie, jak to zrobili, ale rozłożyli nasz podsłuch i nic nie mamy.

Irene zacisnęła zęby i potrząsnęła głową. Nie odezwała się ani słowem do Paula, którego wściekłość zdawała się sięgać zenitu. Skupiła się na rozmowie z sierżantem Bowerem z Wirginii Zachodniej.

- Przepraszam, sierżancie - odezwała się ochryple. - Właśnie otrzymaliśmy dość kiepskie wieści. Ma pan możliwość poprawienia mi humoru. Znaleźliście już ten numer?

Po drugiej stronie usłyszała szelest papierów i głos Bowera.

- Mam go - odparł policjant. - Przydrożny bar "U Homera i Jane". Moi ludzie mogą tam być za dwadzieścia minut.

Irene skrzywiła się.

- Dwadzieścia minut? Nie można szybciej? Bower chrząknął.

- To nie jest duże miasto, agentko Rivers. Tu wszystko trwa dłużej. Mogę obiecać, że dla pani zrobimy co w naszej mocy, zgoda?

Irene uśmiechnęła się.

- Ani przez chwilę w to nie wątpiłam. Proszę jednak powiedzieć ludziom, żeby uważali. Donovanowie łatwo się wymykają i, co więcej, są zdesperowani.

Tym razem Bower roześmiał się głośno.

- Moi ludzie naprawdę ciężko pracują, żeby to nasi klienci uważali na nas, a nie my na nich.

- No dobrze, sierzancie. A zatem niech pan każe swym ludziom zrobić to najlepiej jak potrafią. - Spojrzała na zegarek. Nie ma szans, pomyślała. Jake i Carolyn byli specjalistami w wyprzedzaniu prawa. Chryste, zdążyli już dojechać z Phoenix w Karolinie Południowej do Winston Springs w Wirginii Zachodniej. Potrafili się wymykać i to trzeba im przyznać. Prawdopodobieństwo, że będą tam jeszcze za dwadzieścia minut, równało się zeru.

Odłożywszy słuchawkę, zaczęła uspokajać Paula. Biedny facet zmagał się jak galernik, żeby utrzymać się na powierzchni, ale za każdym razem, gdy załatał jakiś przeciek, dostawał kolejną torpedę. To zdumiewające, jak krucha była jego kariera. I czy mu się to podobało, czy nie, została nierozwalnie związana z jej karierą, otoczona warstwą ochronną grubości skorupki jajka.

- Starsi też chcą skorzystać z telefonu, młody człowieku - powiedziała surowo Peggy. Miała teraz nowiutką plamę tłuszczu na fartuszkach i taki wyraz twarzy, jakby właśnie wypijała szklanekę soku z cytryny.

Travis zakrył dłonią mikrofon.

- Proszę im powiedzieć, żeby jeszcze minutkę poczekali - odezwał się uprzejmie.

Peggy zrobiła nieprzyjemną minę i uniosła do góry dwa palce ułożone w literę V.

- Dwie minuty, mądralo - ostrzegła. - Dwie minuty, a potem nie ma cię przy telefonie. - Kiedy odeszła, Travis z trudem stłumił w sobie przemożną chęć pokazania jej jednego palca.

- Posłuchaj uważnie, chłopcze - mówił Harry. - Powiedz swoim rodzicom, że FBI wie, gdzie jesteście. Nie ma potrzeby panikować, ale wkrótce tam się zjawia, tego jestem pewny.

- To ja już muszę lecieć - powiedział pospiesznie Travis. Bez względu na to, czy potrzeba była, czy też nie, i tak ogarnęła go panika.

- Czekaj! - rozkazał Harry. - Daj mi jeszcze pół minuty. Zorientuję się, co mogę zrobić, jeśli chodzi o namówienie tego znajomego twoich rodziców, Nicka Thomasa, o ile się nie mylę, do współpracy. Na razie musimy wymyślić sposób, żebyście stamtąd zniknęli. Czy jest tam

jakieś charakterystyczne miejsce? Gdzieś, gdzie moglibyśmy się spotkać?

Travis odsunął się od ściany, próbując wyjrzieć przez okno, ale zobaczył tylko Peggy, która ustawiła się pośrodku przejścia z pięściami opartymi na biodrach.

- Nie... nie wiem.

Harry westchnął ciężko.

- No dobrze, wiesz może, w którą stronę biegnie droga? Północ-południe? Wschód-zachód?

Travis potrząsnął głową, zakłopotany. Czuł się, jakby przyszedł nie przygotowany na klasówkę.

- Nie, nie wiem.

Kolejne westchnięcie. Szczerze mówiąc, tym razem bardziej przypominało warknięcie.

- No dobrze. Posłuchaj. Oto co masz powiedzieć rodzicom: dzisiaj o północy biały samochód stanie na poboczu, dokładnie trzy kilometry na prawo od baru, z którego dzwonisz. Rozumiesz?

Travis nie był pewien.

- Na prawo?

- Tak, do cholery, na prawo. Nie wiemy, czy to północ, czy południe, więc posługujmy się terminologią prawo - lewo. Staniesz na drodze przodem do baru i wysuniesz prawą rękę. Dokładnie trzy kilometry w tym kierunku.

- Dobrze.

- Nie mów dobrze, jeśli do końca nie wiesz, o co chodzi - ostrzegł Harry.

- Nie, naprawdę. Trzy kilometry. Rozumiem - wyczuwając, że Peggy przysłuchuje się każdemu słowu, Travis cofnął się w stronę cuchnących toalet.

- W porządku, chłopcze, teraz musicie znaleźć kryjówkę na resztę dzisiejszego dnia. Nie obchodzi mnie, gdzie to będzie, ale kiedy mówię kryjówkę, naprawdę mam na myśli kryjówkę. Aż do północy, kiedy przyjdziecie na spotkanie. Nadażasz?

- Uhm.

- Nie chrząkaj mi, synu. Chcę słyszeć tak albo nie.

- Tak, nadażani.

- Wspaniale. A teraz skoncentruj się wyjątkowo mocno. Dzisiaj o północy biały samochód zatrzyma się w umówionym miejscu. Będzie do waszej dyspozycji. Kierowca nazywa się Thorne. On się wami zaopiekuje. Kiedy wysiądzie z wozu i zapali papierosa, będzie to sygnał, że macie do niego podejść. Zapamiętałeś wszystko?

Chłopca ogarniało przerażenie, że zapomni o jakimś szczególe, lecz nie śmiał poprosić

o powtórzenie.

- Chyba sobie poradzę - powiedział.

- To dobrze - zakończył Harry. - A teraz wracaj i powiedz rodzicom, żeby się stamtąd jak najszybciej zabierali. Natychmiast. Jeżeli macie samochód, pozbądźcie się go czym prędzej. I bądźcie we właściwym miejscu o pomocy. Punktualnie.

Travis skinął głową.

- Będziemy tam - nie mógł się już doczekać, kiedy odejdzie od telefonu. - Coś jeszcze?

Harry milczał przez chwilę.

- Taak - powiedział przeciągle, zniżając głos. - Powiedz swoim, żeby uważali, kiedy będą podchodzić do Thorne'a. Czasami źle interpretuje nagłe ruchy.

Z tonu głosu Travis wywnioskował, że prawdopodobnie była to najważniejsza sprawa ze wszystkich.

Harry wyłączył telefon i zrelacjonował szczegóły Thorne'owi, który od blisko trzydziestu lat pełnił funkcję jego osobistego asystenta. Do przetrwania w świecie biznesu, jak Harry uparcie wierzył, potrzeba było psa stróża - nawet psa napastnika. Dobrze opłacanego człowieka, potrafiącego zdobywać informacje niezbędne do kontroli rywali i polityków. Ktoś, komu można wydawać polecenia, nie obawiając się o rezultat. Dla Harry'ego tym człowiekiem był Thorne - lojalny jak pies, groźny jak tygrys. Twardziel od czasu do czasu zagrywał nieuczciwą kartą, ale Harry rzadko musiał go powstrzymywać.

- Mają jakieś szansę? - zapytał po wstępnym przedstawieniu najnowszego planu siostrzenicy i jej męża.

Thorne wzruszył ramionami.

- Myślę, że to cholernie ryzykowne, ale... taak, z pewnością mają. Czemu nie? Zawsze jest jakaś szansa. To jednak zabierze trochę czasu.

- Nie mamy czasu. - Harry pokręcił głową. - Oni nie mają czasu. Musimy działać szybko. Kogo znamy w Little Rock? - W Waszyngtonie mieli kilkanaście kontaktów, podobnie sprawa się przedstawiała w Chicago, Nowym Jorku i wszystkich innych głównych miastach. Ale na takim zadupiu nie było z czego wybierać.

Thorne zagryził dolną wargę i spojrzał ponuro.

- Nikt mi nie przychodzi do głowy. Zaraz, czekaj! Czy ten twój koleś dermatolog - Tim Vincent - nie przeprowadził się tam, jak zabrali mu licencję w Wisconsin?

- Onkolog - poprawił Harry. - Specjalista od raka. - Tak, przypominał sobie. Jakieś dziesięć lat temu przyjaciel z czasów studenckich, Tim Vincent, miał pewne problemy. Dopadli

go pokrzywdzeni pacjenci za różnego rodzaju błędne diagnozy, z których kilka, jak się okazało, doprowadziło do chirurgicznych usunięć idealnie zdrowych części ciała. Sama myśl o tym przyprawiała Harry'ego o ból żołądka, lecz Vincent upierał się podczas jednej łzawej rozmowy telefonicznej, że to wszystko stało się przypadkiem, i błagał go o pomoc. Harry długo się zastanawiał, zanim wreszcie zwyciężyło w nim poczucie lojalności. Dzięki niezwykle hojnym darom, jakie przekazał na przestrzeni wielu lat większości z najważniejszych uniwersytetów Środkowego Zachodu, Harry'emu udało się przekonać przełożonych Vincenta, żeby obeszli się z nim łagodnie. W rezultacie ten mógł zatrzymać licencję pod warunkiem, że zgodzi się na prowadzenie praktyki zawodowej w jakimś miejscu, gdzie nigdy nie będą musieli po nim sprzątać. Ostatnimi czasy Tim otrząsnął się z zawodowej apatii i szło mu wyśmienicie.

- W porządku - zdecydował Harry. - Zadzwoń do Tima. Przesyłam pozdrowienia i niech na kilka dni przenocuje paru moich przyjaciół.

Thorne notował na skrawku papieru.

- A jeżeli mógłby sam się gdzieś ulotnić na czas ich pobytu, to tym lepiej.

- Chcesz, żebym wezwał pilotów i przygotował samolot - uśmiechnął się Thorne.

Harry zastanawiał się przez chwilę.

- Nie. FBI ma nas na oku - powiedział głośno i pstryknął palcami, kiedy rozwiązanie samo pojawiło się w jego umyśle. - Powiem ci coś. Czy "Universal Waste" wciąż jest nam winna przysługę?

Thorne roześmiał się.

- Czy nie zagwarantowaliśmy długu Petera van der Horsta? - nie czekał na odpowiedź. - Zadzwonię do niego i zorientuję się, czy pożyczyci nam kilka samolotów z załogami.

- Tylko samoloty - poprawił Harry. - Wykorzystamy własnych ludzi. Thorne skinął głową z aprobatą i ciągnął dalej:

- Rozumiem, że mam pojechać do Waszyngtonu? Harry pokręcił głową.

- Nie. Ja tam pojedę. Chcę, żebyś skombinował wóz w Wirginii Zachodniej.

Thorne spojrzał osłupiały.

- Zamierzasz sam rozmawiać z facetem z Agencji Ochrony Środowiska? Wybacz, ale nie sadzę...

- Nie ma wyboru - przerwał mu Harry. - Nie można się rozdziwić, a chcę, żeby jak najmniej ludzi było w to wmieszanych.

Thorne potrząsnął z uporem głową.

- Z całym szacunkiem, panie Sinclair, mam o wiele większą siłę perswazji niż ty...

- I jesteś o wiele bardziej pomysłowy. Chcę, żebyś pilnował Promyczka. - Harry

zakończył rozmowę, odwracając wzrok. - Dziś po południu chcę być w Waszyngtonie.

Thorne przez chwilę rozważał możliwość polemiki, ale w końcu zrezygnował. Tyle było do zrobienia.

- Ej, Thorne?

- Tak? - mężczyzna zdążył już wyjść na korytarz i cofnął się. Harry patrzył na niego długą chwilę.

- Wiesz, ile Promyczek dla mnie znaczy...

- Zajmę się wszystkim...

- Nie, posłuchaj mnie. Nie przesadzaj, dobrze?

Thorne najeżył się. Wiedział, jak wykonać robotę. Wyszedł bez słowa.

Harry zastanawiał się nad sytuacją. Na miłość boską, minęło czternaście lat! Nie dali najmniejszego znaku życia. A teraz przy pierwszym potknięciu Promyczek i jej guzik wart mąż chcieli wszystko zaprzepaścić. Niewiarygodne. Może działali pod wpływem paniki? Gdyby miał możliwość porozmawiania osobiście z Carolyn, może mógłby wbić jej trochę rozumu do głowy.

Takie spotkanie nie było jednak możliwe. Mimo że bardzo chciał znów się zobaczyć z siostrzenicą - często zastanawiał się, jak wygląda teraz, kiedy wkracza w wiek średni - rozumiał, że coś takiego absolutnie nie wchodzi w grę. Może gdyby ten dzieciak nie zadzwonił bezpośrednio do domu ... ale w tej sytuacji... Skoro FBI ich namierzyło, ryzyko było zbyt duże.

Jake uruchomił silnik, gdy tylko Travis wyszedł z baru. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie podjechać mu na spotkanie, ale nie zrobił tego, by nie ściągnąć czyjejś uwagi.

- Gdzie się podziewałeś? - rzuciła z wyrzutem Carolyn, gdy chłopiec zatrzasnął za sobą drzwi. - Już prawie szliśmy tam po ciebie.

- Przepraszam. - Travis wzruszył ramionami, zupełnie nie skruszony. W ciągu kolejnych dziesięciu minut, kiedy szukali miejsca, gdzie mogliby porzucić furgonetkę, chłopak opowiedział im z detalami przebieg rozmowy z wujkiem Harrym.

Agent specjalny, John Carnegie, poruszył się niespokojnie, ośmielając się zaledwie na kilka sekund oderwać wzrok od lornetki.

Lubił swoją pracę, powiedzmy, umiarkowanie. Przypominała mu lata, kiedy jako nastolatek prawdziwie się zaprzyjaźnił z ojcem podczas jesiennych łowów na jelenie. W każde Święto Dziękczynienia wstawali w środku nocy i jechali przez wiele godzin, znajdując przed świtem miejsce, gdzie siedzieli i czekali bez ruchu przez kilka godzin, aż ofiara podeszła dostatecznie blisko na pewny strzał.

Ten poranek był bardzo podobny; zgadzały się wszystkie detale, oprócz ofiary i rodzaju broni. Z tego miejsca, na skraju lasu, obserwował dom Sinclaira, zwracając szczególną uwagę na wszelkie niezwykle ruchy. W ciągu ranka podjechało kilka samochodów, ale w żadnym z nich John nie zauważył nikogo, kto choć z grubsza pasowałby do opisu Donovanów, jaki przekazali mu przełożeni. Samochody odjechały i zostały poddane wnikliwej rewizji jakiś kilometr dalej. Donovanowie pozostawali niewidzialni.

Siedział na swym posterunku do dziesiątej. Minęło sześć godzin i umysł zaczynał płątać mu figle. Słyszał urojone odgłosy, kątem oka widział jakieś błyski. Zdawał sobie sprawę, że to tylko bezsensowne harce oczekujących na alarm zmysłów, a mimo to czuł się rozdrażniony. Właśnie takich chwil najbardziej nie cierpiał - kiedy stał na warcie dłużej, niż pozwalała mu zdolność koncentracji, a miał przed sobą kilka godzin pracy. Dawniej, kiedy robił podobne zlecenia dla piechoty morskiej - tyle że wtedy z karabinem - bawił się swą pracą, zdając sobie sprawę, że jest w niej naprawdę dobry. Teraz, mając na karku trzydzieści pięć lat, ciągle się zastanawiał, co tym razem ujdzie jego uwagi.

Nogi i plecy domagały się odpoczynku, krótkiego rozprostowania, ale Carnegie był zbyt dobrze wyszkolony, by sobie na coś takiego pozwolić. Harry Sinclair - ten paranoiczny rekin finansowy - miał reputację świetnego kontrinwigilatora, mającego w dodatku hysia na punkcie osobistej ochrony. Carnegie wiedział, że jeśli wykona nawet najmniejszy ruch, ludzie Sinclaira go dostrzegą.

Przez większą część ranka Carnegie ćwiczył tabliczkę mnożenia, aby zachować trzeźwość umysłu, aż po dwadzieścia pięć razy dwadzieścia pięć. Kiedy to go znudziło, próbował dzielić czterocyfrowe liczby. Jednak już po kilku próbach rozboleła go głowa.

Czterdzieści pięć minut temu powiedziano mu przez radio, że poszukiwani skontaktowali się z Sinclairem telefonicznie. Poczł przyptyw nadziei. Teraz jednak adrenalina

odpłynęła zupełnie i John siedział znudzony jak mops.

Ruch. Carnegie obrócił nadgarstek, aby zerknąć na zegarek i zarejestrował czas: dziesiąta dwadzieścia cztery. Na powrót przyłożył lornetkę do oczu i zobaczył w pięćdziesięciokrotnym powiększeniu, jak Harry Sinclair wyszedł ze swej rezydencji i zniknął w środku czekającej limuzyny. Trzech mężczyzn wsiadło za nim i samochód ruszył w kierunku bramy.

Carnegie kciukiem uruchomił nadajnik radiowy.

- Obiekt jedzie w kierunku jedyńki - wyszeptał. Mimo oddzielających go od domu czterystu metrów obawiał się, że jesienny wietrzyk może zanieść jego głos przez pole.

- Tu jedyńka. Widzę obiekt - zaskrzypiał głos w aparaciku w uchu. - Uwaga, wszystkie grupy. Jechać za nim, ale nie interweniować.

Droga wolna, Sinclair - pomyślał Carnegie. - Bądź tak głupi, na jakiego wyglądasz.

Ten dzień dla Nicka Thomasa i tak był już wyjątkowo paskudny, a nie minęła jeszcze druga. Oszołomiony sprawą ponownej ucieczki Donovanów, nie potrafił oderwać wzroku od porannych wiadomości, tracąc w ten sposób szansę dotarcia na czas do pracy.

Kiedy w końcu wyjechał spóźniony czterdzieści pięć minut, nastrój całkiem mu się zepsuł. W Gainesville, na domiar złego, skręcił w drogę 66, po której włókł się jakiś traktor z przyczepą, pozostawiając samochodom zmierzającym do miasta tylko jedną zatłoczoną nitkę.

Dopiero po jedenastej Nick wszedł wreszcie do siedziby Agencji Ochrony Środowiska mieszczącej się przy ulicy M, a jego szef przez dobre piętnaście minut powtarzał, że gdyby wyjechał punktualnie, korek nie stanowiłby problemu.

Czasami Nick żałował, że nie pracuje na poczcie, gdzie ludzie traktują podobne przewinienia jako rutynową część pracy. W obecnych warunkach znosił takie męczenie ze spokojem i godnością, na jaką pozwalały okoliczności.

Kiedy historia pojmania i drugiej ucieczki Donovanów pojawiła się w wiadomościach, Nick złapał się na tym, że nieświadomie powraca do wspomnień z przeszłości. Zdumiewała go ich klarowność: lekko siarkowy odór palących się chemikaliów, strach, jaką przyniosła ze sobą ta woń, nawet pięć kilometrów od punktu zero, a później te uporczywe pytania, dlaczego zaaprobował wynajęcie tak "niepewnych" ludzi.

Prawda jest taka, że zażyłość z Jakiem i Carolyn Donovanami kosztowała go karierę. Gdyby nie ten nieszczęsny ranek w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku, Nick niewątpliwie zajmowałby teraz wysokie stanowisko kierownicze. Sprawy jednak nie poszły tym torem i był tym, kim był - specjalistą programu GS-12, mającym pod sobą ludzi, z których wielu nie urodziło się jeszcze, kiedy on kończył koledż.

Niektóre z tych dzieciaków podziwiały go jako doświadczonego, starego wygę, ale ci z większą ilością oleju w głowie unikali go jak zarazy. Ambitni karierowicze trzymali się z daleka od ludzi takich jak Nick. Na tym etapie gry istniało tylko kilka powodów, dla których ktoś z jego życiorysem i wykształceniem tkwił w tym biurokratycznym piekle, a żaden z nich nie oznaczał niczego dobrego.

Zdawał sobie sprawę, co mówiły sekretarki i ci inżynierkowie, a określenia, jakich używali w stosunku do niego, z pewnością nie różniły się zbyt wiele od epitetów, które słyszał w młodości. Kiedy przydomek "bezpłciowy nudziarz" wyszedł z mody, jego miejsce zajęło nowe popularne słowo "dupek". Z czasem Nick zaczął traktować te zniewagi jak cenę, jaką trzeba za-

płacić za to, że jest się bardziej bystrym niż większość ludzi na świecie.

Tak wyglądało życie inspektora bezpieczeństwa z niebezpiecznej "fabryki odpadów", która zabiła szesnaście osób.

Tego ranka pod prysznicem Nick próbował skalkulować koszty netto tego jednego aktu terrorystycznego i uświadomił sobie, że żadne równanie nie mogło temu sprostać. Pod wieloma względami ci, co zginęli, mieli szczęście. Oni tylko umarli - i to stosunkowo szybko, według opinii specjalistów. Sąd ustalił następnie wartość ich śmierci w postaci siedmiocyfrowego odszkodowania i życie toczyło się dalej.

Za to kosztów emocjonalnych nie dało się zmierzyć. Tamto popołudnie kosztowało Nicka małżeństwo - przynajmniej on tak to widział. Z uwagi na dzieci mieszkali razem, ale od wielu lat nie sypiali z sobą ani nie prowadzili cywilizowanych rozmów. Już na początku powiedział Melissie, że stracił zawodową reputację, ale nie wierzyła. Kiedy prawda wyszła w końcu na jaw i Melissa zdała sobie sprawę, że skończyły się czasy drogich ciuchów i błyskotek - duperele tak istotnych dla jej przyjaciółek - spisała swego męża na straty.

Należało wziąć również pod uwagę stratę setek tysięcy dolarów z potencjalnych prac, jakie mógłby podjąć, gdyby nie zła sława związana z jego nazwiskiem. Wiedział, że litowanie się nad sobą nie ma najmniejszego sensu, ale czasami po prostu brakowało mu już siły.

Nie wierzył, że historia katastrofy w Newark zostanie opublikowana w gazetach. Władzom tak zależało, aby zamknąć sprawę wypadku i zabezpieczyć fabrykę, tak by uniknąć kolejnego skażenia, że dowody zgromadzono zbyt szybko i zbyt powierzchownie. Oczekiwał czegoś więcej po FBI. Dla nich istniała praktycznie tylko jedna opcja: winnymi tego całego koszmaru było dwoje szaleńców, których Nick znał osobiście i uważał ich za najzwyczajniejszych ludzi pod słońcem. To prawda, że uciekając z miejsca zbrodni de facto przyznali się do winy, jednak ktoś powinien zastanowić się nad inną możliwością.

Nick nie był gliną, lecz inżynierem, inspektorem do spraw bezpieczeństwa pracy. Mimo to wiedział z własnego doświadczenia, jak skutecznie pewne hipotezy potrafią rządzić przebiegiem śledztwa. Zamiast gromadzić dowody prowadzące do konkretnego wniosku, agenci skupili się na udowodnieniu tylko jednej teorii. W trakcie śledztwa ignorowali przeciwstawne dowody jako nie mające związku ze sprawą. Tak zawsze postępowały media, ale po policji spodziewał się czegoś więcej.

Jego zdaniem, śledztwem w Newark rządziła ostra polityka. Właśnie dlatego trzeba było załatwić sprawę jak najszybciej i najbardziej gładko. Nick domyślał się, co się za tym kryło. Ówczesny prezydent Stanów Zjednoczonych postawił na obronność. Ostatnią rzeczą, jakiej potrzebował, było zamieszanie spowodowane przypadkowym wybuchem "broni

specjalnej". Skoro takie wypadki były możliwe, to zagrożenie tkwiące w broni chemicznej mogło przyćmić wszystkie inne problemy. Gdyby jednak ten wypadek mógł zostać zapisany na konto bezmyślności dwójki szaleńców, to sprawa dotyczyłaby nie samej broni, ale ludzi, którzy dopuścili się tak niewybaczalnego czynu.

Ale nie odczynniki zabiły ludzi. Ludzi zabili ludzie.

Ciała znalezione na zewnątrz magazynu świadczyły niezbicie o śmiertelnych ranach - zbyt precyzyjnych, by przypisać je wybuchom amunicji w trakcie pożaru. No i, oczywiście, zamordowany został ten człowiek, który tamtego ranka czuł się zbyt kiepsko, aby wziąć udział w akcji - Tony Bernard. Zastrzelono go z bliskiej odległości w pokoju motelowym. Straszne.

Ale dlaczego? Po co Jake i Carolyn Donovanowie dopuściliby się takiej rzezi? I dlaczego akurat tego dnia? Dlaczego nie dzień wcześniej albo później? Albo za miesiąc? Chryste, mieli tam być przez pół roku. Z drugiej jednak strony takie pytania mogły powstawać w przypadku każdej zbrodni czy przestępstwa. Dlaczego Lizzie Borden nie zaczekała jeszcze dzień? Albo chłopcy Menendez?

I ten list pożegnalny. Najbardziej obciążający i najbardziej niewytłumaczalny dowód. Pojawił się jakby na zamówienie i dlatego właśnie wydawał się Nickowi bez sensu. Dwójka terrorystów wysadza w powietrze kilkunastu ludzi, a potem jedzie załatwić Tony'ego Bernarda. Strzelają mu prosto w twarz, na miłość boską, i przypieczętowują udany dzień napisaną na maszynie wiadomością, pozostawiając ją w jego pokoju. W kilku zdaniach całkowicie przyznają się do winy i wygłaszają bombastyczną tyradę na temat rządów, które decydują się igrać z Bogiem.

Bla-bla-bla.

Nick powiedział agentowi FBI prowadzącemu śledztwo - aroganckiemu gościowi o nazwisku Frankel - że Jake i Carolyn nie mogliby czegoś podobnego zrobić, ale protesty inspektora bezpieczeństwa zostały potraktowane jako gorączkowe błagania przyjaciela, który nie chciał uwierzyć, że został wystrychnięty na dudka. Szydercze słowa agenta dźwięczały zawsze w uszach Nicka, kiedy odtwarzał w pamięci tamte dni: Przyjaciele Teda Bundy'ego też byli cholernie zszokowani.

Donovanowie nawet nie podpisali tego oświadczenia, które rzekomo pozostawili! Ich nazwiska były napisane na maszynie, jak cały tekst. Na miłość boską, każdy może coś takiego wystukać na przenośnej maszynie do pisania. O dziwo, ten skrawek papieru prawie natychmiast stał się kolejnym niezbitym dowodem w "bezspornej sprawie" przeciwko Donovanom. Dla Nicka to wszystko cuchnęło jak stoisko rybne w upalny dzień.

Jednak FBI to FBI, a on był tylko Nickiem Thomasem, nagle nie zatrudnionym i

niezatrudnialnym. Jeżeli Donovanowie byli niewinni, musieli liczyć wyłącznie na siebie. On na pewno nie zamierzał rzucić się dla nich w przepaść.

Dawno już zepchnął to wszystko za siebie. A raczej próbował. Z powodzeniem - aż do wczoraj, kiedy wybuchła wielka bomba. Sceny pokazywane w wiadomościach, z pożaru, ewakuacji i znalezienia zwłok, ożywiły wspomnienia z niepokojącą jasnością.

I pomyśleć, że tam w środku wciąż znajdowały się zapieczętowane zwłoki...

Telefon zaszczebotał dwukrotnie - jakaś rozmowa wewnętrzna. Nick w pierwszej chwili chciał ją zignorować, ale po sekundzie stwierdził, że jego szef i tak już dostatecznie go nie cierpiał. Wcisnął odpowiedni przycisk.

- Tak?

- Telefon do ciebie na linii siódmej - poinformowała Maura, sekretarka zespołu. - Gość twierdzi, że to bardzo ważne.

- Wygląda na handlowca? - jęknął.

- Hmm, mówił pełnymi zdaniami, jeśli ci to coś pomoże. Zawsze lubiła żartować.

- No dobra - zgodził się z westchnieniem. - Odbiorę. - Chyba wiedział, kto dzwoni. Popęłił błąd, wykazując zainteresowanie nowym systemem komputerowym, na który jego zespołu nie było stać, nie wspominając, że nie ma uprawnień do zakupu. Zwodził faceta od wielu tygodni. Czas skończyć z tym raz na zawsze.

- Nick Thomas - rzucił szorstko do słuchawki.

- Dzień dobry, panie Thomas - odezwał się starszy, nie znany mu głos. - Nazywam się Fox. Musimy się spotkać, i to możliwie jak najszybciej.

Tak, to był handlowiec. Jakiś inny, ale ta sama technika.

- W tej chwili jestem zapracowany - odpowiedział krótko. - Może zadzwoni pan w przyszłym tygodniu?

Dlaczego nie może po prostu powiedzieć "Dziękuję, nie"? Mężczyzna mówił nadal spokojnie, ale głos przyjął szczególną barwę.

- Szczerze mówiąc, panie Thomas, chodzi o niezwykle pilną sprawę. Musimy się spotkać niezwłocznie. Natychmiast. Nie zamierzam pana straszyć i oczywiście nie grozi panu żadne niebezpieczeństwo.

- Niebezpieczeństwo?

- Przynajmniej nie teraz - kontynuował tajemniczy pan Fox. - Mały Nicky i Joshua też na razie nie mają się czego obawiać. Siedzą sobie teraz w swoich klasach w szkole podstawowej Stephena Fostera. Kiedy będą wracać do domu o piętnastej dziesiątej, jestem przekonany, że nic im się nie stanie.

Fala przerażenia oblała Nicka jak kubel lodowatej wody. Ten dupek groził jego dzieciom!

- Posłuchaj - odezwał się podniesionym głosem. - Nie wiem, kim...

- Jeżeli będzie pan podnosił na mnie głos, panie Thomas, odłożę słuchawkę i wtedy nigdy pan się nie dowie, o czym chciałem z panem rozmawiać - nieznajomy przerwał dla zwiększenia efektu. - Czy wyrażam się jasno?

W miarę jak narastał lęk, opuszczała Nicka chęć walki. Zupełnie jakby ktoś wyjął korek i wypuścił wodę z wanny. Ten facet znał imiona jego dzieci. Znał ich plan zajęć...

- Panie Thomas, jest pan tam? Głos przerażał go teraz.

- Tak, jestem.

- To świetnie - powiedział Fox niespodziewanie weselszym tonem. - Zapewniam, że naprawdę nie grozi panu żadne niebezpieczeństwo. Ale musimy się spotkać. Natychmiast. Proszę szukać białego lincolna przed budynkiem - po stronie ulicy M. Będę czekał dokładnie pięć minut. - Na linii zaległa cisza.

Cholera! Nick wpatrywał się długo w słuchawkę, tracąc w ten sposób dobre pół minuty cennego czasu. Zastanawiał się, czy nie powiadomić policji, ale od razu odrzucił tę możliwość. Kimkolwiek był ten facet, nieźle się przygotował. A cokolwiek zamierzał, na pewno zaplanował kontrę na wypadek, gdyby Nick nie postąpił po jego myśli.

Poza tym nie było czasu. Zerwał się z krzesła. Czas. Powiedział, że pięć minut! Boże, gdyby winda się zepsuła, tyle właśnie zajęłoby mu zbiegnięcie po schodach.

Słuchawka podskoczyła na widelkach, kiedy rzucił ją i skoczył do drzwi. Jego szef zrobił ruch, jakby chciał zatarasować mu drogę, ale cofnął się na widok wyrazu twarzy Nicka. Nawet otworzył drzwi.

Irene zadzwoniła z samochodu w drodze na lotnisko, gdzie chciała złapać samolot do Wirginii Zachodniej. Cały dzień obawiała się tej chwili, a kiedy usłyszała Frankela po drugiej stronie linii, uświadomiła sobie, że jej obawy wcale nie były przesadne. Paul Boersky siedział cicho na siedzeniu obok, udając, że jest pochłonięty podziwianiem widoków.

- Muszę ci powiedzieć, Irene, że bardzo jestem rozczarowany sposobem, w jaki radzisz sobie z tą sprawą.

Tak jakbyś ty radził sobie lepiej w osiemdziesiątym trzecim - odparowała w duchu. To była rozmowa pokutna, a nie konfliktowa - hmm, przynajmniej z jej punktu widzenia. Po tamtej stronie linii każda rozmowa stanowiła doskonały pretekst do kłótni.

- Masz go, potem go tracisz, a potem znów go masz. Jezu, muszę założyć specjalny notes, żeby za tym nadążyć. Co tam zdobyli nasi koledzy buraki?

Irene spojrzała przez ramię i zmieniła pas ruchu, podążając w kierunku lotniska Greenville-Spartansburg.

- Obawiam się, że niewiele. Zdaje się, że nikt nie widział Donovanów, ale kelnerka przypomina sobie jakiegoś dzieciaka, który spędził sporo czasu przy telefonie. Nie słyszała jednak, o czym rozmawiał.

- Cholera - wyrzucił z siebie Frankel. - A więc policjanci się poddali? Co za absurdalne pytanie.

- Nie, przynajmniej nic mi o tym nie wiadomo. Szczerze mówiąc, kiedy ostatnio rozmawiałam z gościem, który się tam zajmuje tą sprawą, zapewnił, że rzucił do akcji wszystkich swoich ludzi. Zadzwoniłam do Lesa Janiera z biura w Charleston. Powiedział, że wysłał tam kilku agentów. Swoją drogą ja też właśnie tam jadę.

- A inwigilacja tego Sinclaira w Chicago? - zapytał Frankel zmieniając temat. - Ostami raport, jaki dostałem, mówi, że nasi ludzie wyjechali za nim ze stanu.

Irene wzięła głęboki oddech.

- No cóż, tam również mamy problem - powiedziała. - Chyba jakoś się o nas dowiedział. Wysłał samochodem jednego ze swych asystentów. Facet miał na sobie takie samo ubranie jak Sinclair. Potem, kiedy nastąpiło zamieszanie w naszych szeregach, stary wymknął się innym wyjściem ze swego domu i zniknął. - Ufff, wreszcie miała to za sobą. Przynajmniej główne uderzenie za to niepowodzenie trafi w kogoś innego. Prawdopodobnie w Teda Greenberga - jej odpowiednika w Chicago.

Frankel milczał przez dłuższą chwilę. Spotkała tego człowieka tylko dwukrotnie, ale wiedziała, że w chwili zdenerwowania zwykle robi się purpurowy na twarzy. Wyobraziła sobie, jak teraz czerwienieje. Kiedy w końcu przemówił, zdawało się, że przekroczył już granicę złości i zmierza do furii. Może nienawisci. Utrzymywał przy tym pełną kontrolę nad głosem.

- Zdajesz sobie sprawę, Irene, że jesteśmy FBI, prawda? Najbardziej zaawansowaną organizacją śledczą na świecie. A ci Donovanowie i ich krewni robią z ciebie kompletną idiotkę. Pośmiewisko przed całym światem! Chryste, widziałem, jak Barney Fife robił policyjną robotę dużo lepiej od ciebie!

No cóż, dziękuję za inspirację, Peter - pomyślała Irene.

- Masz dwa dni, Irene - zakończył Frankel. - Jeszcze dwa dni, a potem odsunę cię od tej sprawy i wywalę do pilnowania granicy. Rozumiesz, co mówię?

- Tak jest - odpowiedziała Irene. Podtekst: mam przesłuchania za sześć tygodni i lepiej, żebyś ich nie spieprzyła. - Doskonale rozumiem.

- A teraz jedź i działaj jak pieprzony agent FBI!

Na widok kolejki przed windą Nick zaklął. Popędził w dół po schodach - sześć pięter, dwanaście półpięter! Minął dwie grupki palaczy skupionych na klatce schodowej, jak uczniacy szmuglujący zakazanego dymka w miejscu, gdzie istniało małe prawdopodobieństwo, że złapią ich nauczyciele. Palący spojrzeli z przerażeniem, ale widząc, że to nikt ważny, kontynuowali swoje rozmowy.

Kiedy wypadł na korytarz, strażnik spojrzął na niego z jeszcze większym lękiem niż palacze, instynktownie kładąc rękę na kaburze na biodrze. Przez mgnienie oka Nick zastanawiał się, czy nie wyrzucić z siebie prawdy - że jakiś szaleniec groził jego dzieciom - ale natychmiast odpędził od siebie tę myśl. W odpowiedzi na pytający wzrok mężczyzny błysnął identyfikatorem zwieszającym mu się z szyi.

- Spóźnię się na umówione spotkanie - krzyknął pośpiesznie, nie czekając na odpowiedź.

Zgodnie z obietnicą, biały lincoln parkował w niedozwolonym miejscu tuż przed wejściem od strony ulicy M. Nick ruszył szybkim krokiem w kierunku wozu, ale nagle zwolnił. Skąd miał pewność, czy to właśnie ten lincoln?

Jakby w odpowiedzi otworzyły się drzwi od strony kierowcy i jakiś mężczyzna o głowie byka i śnieżnobiałych włosach zamachał do niego ręką.

- Pan Thomas?! - zawołał.

Nick poczuł ucisk w gardle. Usłyszał ten sam głos, pozbawiony teraz elektronicznych

zniekształceń. Zwolnił jeszcze bardziej. - Tak.

- Proszę wsiąść - zaprosił mężczyzna, uśmiechając się lekko. - Naprawdę nic panu nie grozi.

. Mnie nie, ale moim dzieciom - pomyślał Nick. Zbliżył się niepewnie jak pies, który przychodzi na zawołanie, wiedząc, że zostanie zbity za zjedzenie skarpetki. Mężczyzna wskazał fotel obok siebie i, gdy Nick usiadł, ruszył z otwartymi drzwiami.

- Witam - powiedział wyciągając rękę. - Obawiam się, że niezbyt właściwie rozpoczęliśmy naszą znajomość. Nie nazywam się Fox. Nazywam się Sinclair. Harry Sinclair. Dla przyjaciół Harry. Mogę mówić do ciebie Nick?

Thomas bez uśmiechu, z wahaniem ucisnął dłoń starszego mężczyzny. Z początku nazwisko nic mu nie powiedziało. Kiedy jednak przyjrzał się baczniej tej twarzy, olśniło go. Widział tego człowieka na okładce "Business Week", pod nagłówkiem "Pan Koneksja". Na zdjęciu finansowy rekin pływał w pieniądzech, a karykatury polityków wychodziły mu z kieszeni.

- Możesz mnie nazywać jak ci się żywnie podoba - zaczął Nick, spięty. - Gdzie moje dzieci?

Harry zaśmiał się wzgardliwie i ruchem ręki rozwiął jego zmartwienia.

- Są tam, gdzie mówiłem ci przez telefon. Idealnie bezpieczne w szkole. Naprawdę, Nick, nie ma najmniejszego niebezpieczeństwa. Obawiam się, że chcąc się za wszelką cenę z tobą spotkać, sprawiłem, że uwierzyłeś w coś całkiem innego. Przepraszam.

Do diabła z jego przeprosinami! Nick nie wiedział, co powiedzieć, więc milczał, starając się powstrzymać drżenie rąk. Harry tymczasem skierował lincolna ku przedmieściom Wirginii. Po raz pierwszy od wielu lat Nick naprawdę się bał.

- Stoisz na krawędzi - odezwał się Sinclair z uśmiechem, który zdawał się emanować szczerą uprzejmością. - Przejdę zatem od razu do meritum sprawy. Mam siostrzenicę, która znajduje się teraz w... powiedzmy, w tarapatkach. O ile mi wiadomo, uważa ona, iż mógłbyś jej pomóc. Nazywa się Carolyn Donovan. Kojarzysz?

Przez chwilę Nick kompletnie zapomniał języka w gębie. Potem słowa niepewnie wypłynęły z jego ust.

- Ja, hmm... znałem ją kiedyś. Tak.

Harry uśmiechnął się szeroko na widok uczuć malujących się jasno na twarzy Nicka.

- Coś mi się wydaje, że nie grasz zbyt często w pokera, Nick - powiedział śmiejąc się. - Skoro ją znasz, zakładani, że nieobca ci jest natura jej kłopotów.

Nick skinął głową, zaprzestając wysiłków, aby pozostać nieodgadnionym.

- No cóż, zgodnie z tym, co mówił jej syn - tak swoją drogą, to mają teraz syna... a więc zgodnie z tym, co mówił dziś rano jej syn, Carolyn i jej mąż, Jack... znasz Jacka?

Nick spojrzał pytająco.

- Chyba Jake? Tak, oczywiście, że go znam.

- Niech będzie Jake - poprawił się Harry Sinclair. - Tak czy owak, czy sądzisz, że są winni zbrodni, o jaką się ich oskarża?

Nick zmrużył oczy. Niewątpliwie istniała tylko jedna odpowiedź na to pytanie.

- Nie - odparł powoli. - Nie. Nigdy tak nie uważałem. Mówiłem wtedy FBI... - umilkł raptownie, zdając sobie sprawę, że powinien tylko odpowiadać na pytania, nic poza tym.

- To dobrze - powiedział Harry. - Ponieważ oni wytrwale zaprzeczają, by zrobili coś złego. Muszę ci w zaufaniu powiedzieć, że od początku chcieli się oddać w ręce policji, aby udowodnić swoją niewinność. Niestety, moja wiara w system prawny była o wiele słabsza niż ich i wymogłem, by pozostali przez jakiś czas w ukryciu. Tej decyzji nie można odwrócić. Teraz, kiedy wydarzenia przybrały tak nieszczęśliwy obrót, doszli do wniosku, że mogliby dowieść swojej niewinności, gdyby tylko mogli dostać się do tego składowiska w Newark.

Nick rozdziawił usta.

- Nie ma mowy - powiedział stanowczo. - Mam rozumieć, że chcą wejść do tego magazynu?

Harry wzruszył ramionami.

- Przypuszczalnie tak.

- Nie ma mowy. Absolutnie. Poziom skażenia powaliłyby słonia. Nawet nie pozwolono mi odzyskać tych ciał.

- Nie pozwolono? - Harry sprawiał wrażenie zaintrygowanego. Nick przewrócił oczami.

- Ci wariaci z FBI i z Agencji Ochrony Środowiska. Bardzo im zależało, żeby wszystko zabezpieczyć...

- A więc gdybyś miał szansę, wszedłbyś tam? - przerwał mu Harry. Nick umilkł, zdając sobie sprawę, że właśnie wpadł w pułapkę.

- Cóż, zachowując odpowiednie środki ostrożności... To znaczy, sam sprzęt ochronny...

- nagle zrozumiał, czego chce od niego Harry. - Nie mogę po prostu zażądać wydania tego sprzętu! - zachnął się. - Te rzeczy kosztują tysiące dolarów. Wylaliby mnie na zбитy pysk.

Na czole starszego mężczyzny pojawiły się głębokie bruzdy.

- Tak samo jak wsadziliby moją siostrzenicę do pierdła za zbrodnię, której nie popełniła - warknął. - Ona i jej mąż mieli nadzieję, że wykażesz chęć pomocy. Dlatego zadzwonili do mnie. Mam cię skłonić, żebyś pomógł im znaleźć dowody ich niewinności. A zwykle jestem

bardzo przekonujący.

Przerażenie Nicka pogłębiło się, kiedy zdał sobie sprawę z wyboru, przed jakim stał. Jeden z najpotężniejszych biznesmenów w kraju - do diabła, z tego co wiedział to nawet na świecie - właśnie wyznał, że popełnił przestępstwo, i zdradził Nickowi szczegóły planu opracowanego przez jego rodzinę. Jeśli powie "tak", stanie się współwinnym.

- A jak powiem "nie"? - zapytał ostrożnie. Harry wzruszył jednym ramieniem.

- Wówczas byłbym bardzo rozczarowany - odpowiedział. Tym razem jego uśmiech nie wydawał się już taki szczery.

Nick wpatrywał się w twarz mężczyzny, szukając ukrytej groźby, jakiegoś znaku mówiącego o tym, co mogłoby przytrafić się jemu i jego rodzinie w razie odmowy. Ujrzał jedynie uśmiech. Jeśli Harry dostrzegł obawę w oczach swego pasażera, nie zrobił absolutnie nic, aby ją rozwiązać. Najzwyczajniej w świecie się uśmiechał.

Ludzie tak potężni jak Harry Sinclair nie wspinali się po drabinie po jednym szczeblu; oni spychali stojących im na drodze ludzi, łamali drabinę, a później odbudowywali ją pod swoimi nogami bez szczebli na dole. Ktoś taki jak Nick nie znaczył absolutnie nic dla Sinclaira - po prostu kolejny robak, którego należało zmiażdżyć po drodze.

Ten starzec był zbyt taktowny, aby grozić otwarcie, i miał zbyt dużo oleju w głowie, by nawet na moment pozwolić swemu pasażerowi się rozluźnić. Nick musiał podjąć decyzję, przypieczętowując tym samym swój los. Mógł walczyć albo się poddać; nie istniały pośrednie wyjścia. Prawdę mówiąc, z Nicka nigdy nie był wielki wojak.

Kiedy wreszcie spojrzął w oczy Harry'ego, wyglądał na wyczerpanego psychicznie.

- Co mam zrobić?

Z braku alternatywy Donovanowie zaparkowali furgonetkę o jakieś półtora kilometra od baru w opuszczonej stodole - w każdym razie sprawiała takie wrażenie. W Wirginii Zachodniej nie można było mieć co do tego pewności. Samochód mieścił się z trudem w środku i było go widać z zewnątrz przez szpary między deskami. Jednak przy odrobinie szczęścia nikt nie powinien się tu kręcić. Przynajmniej na razie.

Rozstanie z furgonetką było dla Jake'a trudne. Ten samochód i poobijany volkswagen bus, którego używali poprzednio, stanowiły podstawę planu ucieczki. Odrzucając ten wóz, symbolicznie porzucał swoje drugie życie polegające na planowaniu i przygotowaniach.

Teraz wkraczali na linię bez asekuracyjnej siatki pod spodem.

Furgonetka pełniła funkcję magazynu na sprzęt niezbędny do przetrwania: ubrania, amunicję, żywność i przybory osobiste. Teraz wszystkie te rzeczy stały się bezużyteczne. Wszystkie, z wyjątkiem dodatkowych ciuchów. No i, oczywiście, pieniędzy. Forsa zawsze mogła się przydać. Travis patrzył ze zdumieniem, jak rodzice przekładają opasane pliki banknotów do dwóch zapinanych na ekspres toreb sportowych, do tej pory leżących na półkach w furgonetce.

Wybrali miejsce w lesie, gdzie postanowili zaczekać. Pozostali bliżej baru, niż pozwalałaby na to zwykła ostrożność; mniej więcej kilometr od wyznaczonego punktu spotkania. Jake optował za nieco bardziej oddaloną kryjówką, bojąc się, że gliniarze przeczeszą dokładnie okolicę, ale Carolyn była odmiennego zdania. Uważała, że według policji tylko szalencie pozostałby tak blisko, a zatem poszukiwania najprawdopodobniej skoncentrują się na autostradzie, kilka kilometrów stąd. W końcu, oczywiście, kobieca logika przeważyła.

Wysoko na wzgórzu, wkliniowany między sterczące granitowe skały, Travis obserwował szeroko otwartymi oczami, jak na autostradzie poniżej kłębiło się około setki policyjnych wozów.

- Boże, spójrzcie na to! Carolyn pociągnęła go za kurtkę.

- Travis, siadaj! - syknęła. - Jeszcze cię zobaczą! Wyswobodził się jednym szarpnięciem.

- Tak, oczywiście. Na pewno mnie zobaczą przez te liście - odezwał się wzgardliwie.

- Jest jesień - skontrowała matka. - Tych liści z każdą minutą jest coraz mniej.

Travis roześmiał się.

- Naprawdę myślisz, że...

- Nie czas na negocjacje - warknął Jake. - Zejdź z tych skał i rób, co ci się każe.

Travis ociągał się.

- To jest takie nudne! Jake odchrząknął.

- W tych okolicznościach nuda jest pozytywnym zjawiskiem. Opuszczając w pośpiechu furgonetkę, Jake schwycił niewłaściwą torbę z amunicją. Przygotowane magazynki do glocka zostawił na półce, a zabrał z sobą puste. Teraz dla zabicia czasu zajął się ładowaniem dziewięciomilimetrowych pocisków do sześciu pustych magazynków.

- Mogę włożyć jeden? - zapytał Travis.

- Pewnie - Jake czuł na sobie piorunujące spojrzenie Carolyn. Ale przecież trzynastoletni chłopcy nie grzeszą cierpliwością, więc jeśli tylko ta zabawa miała go na chwilę zaabsorbować...

Magazynek i pudełko z nabojami były cięższe, niż Travis się spodziewał. Obserwując ojca doszedł do wniosku, że cała sprawa polega tylko na wsuwaniu pocisków na swoje miejsce, ale kiedy mu się nie udało, podniósł wzrok w oczekiwaniu na wskazówki.

- Naciśnij - poinstruował Jake. - A potem wsuń do środka - patrzył, jak syn wykonuje polecenie, ale i tym razem bez powodzenia.

- Dobrze - zachęcił go - ale musisz mocniej nacisnąć na sprężynę. Dobre sobie - mocniej! Paznokcie kciuków pobielwały Travisowi od wysiłku. W końcu pierwszy nabój wślizgnął się na swoje miejsce.

- Super! - krzyknął chłopak.

- Wiesz, że wcale mi się to nie podoba, prawda? - odezwała się Carolyn. Jake uśmiechnął się niespokojnie.

- Dlatego nie pytałem cię o zgodę - miał nadzieję, że ułagodzi ją poczuciem humoru. Sprzeczką z żoną była ostatnią rzeczą, jakiej teraz potrzebował.

Carolyn nie roześmiała się, ale pominęła sprawę milczeniem. Oboje mieli już dość konfrontacji jak na jeden dzień. Oparła się o skałę i zatopiła wzrok w idealnie błękitnym niebie, wyglądającym jak mozaika w baldachimie liści. Dzień był o wiele cieplejszy niż poprzedni. Kiedy słońce wzniosło się w górę, pozostała po nocnym deszczu wilgoć zaczęła gwałtownie parować i zawisła pod zielono-błękitnym baldachimem. Ostatni błysk lata przed nadejściem zimy. Gdyby nie odgłosy syren i nieprzerwane pobrzękiwanie metalu o metal, kiedy jej chłopcy przygotowywali się na najgorsze, mogłaby uwierzyć, że życie toczy się normalnym trybem. Każdego innego dnia mogłaby nawet zasnąć w takich warunkach.

- Wiesz - odezwał się Travis, zwracając się do ojca - nie odpowiedziałeś mi na pytanie. Jake podniósł wzrok.

- Tak? Jakie pytanie?

- Czy zabiłbyś tych gliniarzy. No wiesz, tych w szkole - patrzył na własne ręce, świadomie unikając kontaktu wzrokowego.

- A jak myślisz? - Jake starał się pozostać niewzruszony.

- Nie wiem. Chyba tak - rzekł chłopiec obojętnie.

Jakie przerwał pracę i położył na kamieniu załadowany do połowy magazynek. Słowa syna wykraczały poza prostą hipotezę. W miarę dorastania Trávisa rozmowy z nim stawały się coraz bardziej skomplikowane.

- Jest tylko jedno usprawiedliwienie zabijania - powiedział dobierając uważnie słowa, jak hazardzista grający o wysoką stawkę. - Jest nim obrona rodziny.

Travis zastanowił się nad tą odpowiedzią, po czym powrócił do pracy, wciąż unikając wzroku ojca.

- Nawet jeśli to glina? I wykonuje po prostu swoją pracę?

Jake spojrzał na Carolyn, którą nagle przestało interesować łażenie po zaroślach. Złagodził ton.

- Do czego zmierzasz, Trav?

Kiedy chłopiec wreszcie podniósł wzrok, niewinność zniknęła z jego oczu, a miejsce ufności zajęła gorycz.

- Po prostu próbuję sobie to wszystko poukładać - odrzekł. - Znaczy się, to całe zamieszanie z bronią, nabojami i tego typu rzeczami. Nosisz ciągle ten pistolet i wszystkim grozisz. Po prostu zastanawiam się, kogo zamierzasz zabić.

Jeżeli słowa ciętyby jak miecze, Jake leżałby już posiekany na milion kawałków. Nie wiedział, co odpowiedzieć.

- To nie w porządku... - Carolyn próbowała przyjść mu z pomocą.

- Dlaczego nie? - przerwał jej Travis. - Czy mam myśleć, że ta broń jest tylko na pokaz?

- Synku, proszę - błagała.

- Nie, pozwól mu mówić. - Jake powstrzymał ją gestem.

- Tak, pozwól mi mówić - szydził Travis. - Pozwól mi zadawać te głupie, dziecinne pytania, zgadza się?

Tym razem przyszła kolej na Jake'a.

- Posłuchaj, Trav, próbowałem ci wyjaśnić...

- Dlaczego kłamałeś - wyrzucił z siebie Travis.

- Nie mamy zamiaru nikogo zastrzelić - powiedziała ostro Carolyn. Chłopak uchylił się przed jej objęciami i wstał niepomny na to, że wystawał ponad skałami.

- To się nie zgadza z tym, co on dopiero co powiedział! - rzucił ojcu miażdżące spojrzenie. - Powiedział, że zamierza zabijać w obronie rodziny. To wspaniale! A wtedy oni zabiją ciebie! A ja będę... - głos uwiązł mu w krtani. - Oni po prostu...

Oczy chłopca zaszklily się, kiedy wyobraźnia podsunęła mu obraz, którego usta nie chciały nazwać po imieniu. Szukał właściwych słów, ale nie przychodziły.

Carolyn stała nieruchomo, obawiając się odrzucenia, gdyby wyciągnęła rękę do swego syna.

- Och, kochanie, tak mi przykro.

Travis odwrócił się do niej plecami i zaczął wpatrywać się w drogę poniżej.

Jake obserwował to wszystko bez słowa. Szanował prawo syna do gniewu. Chciał podejść do nich obojga, spróbować złagodzić ich ból, ale czuł bezcelowość takiego gestu. Istniało duże prawdopodobieństwo, że cierpienie zagości na stałe w ich życiu i będą musieli znaleźć własny sposób, aby jakoś wytrzymać. To nie była odpowiednia chwila na emocje. Może później. Nadszedł czas na racjonalne myślenie, na działanie. Teraz chodziło o przetrwanie, nie o uczucia. Carolyn wiedziała o tym tak dobrze jak on, ale nie była wystarczająco silna.

W końcu musiało do tego dojść. Uczucia, jakie przeżywał Travis, były dla niego zupełnie nowe. Musiał je wyładować, wypowiadając złe, raniące słowa. Jake był jednak pewien, że to minie. A gdyby nawet nie, to trudno, niech i tak będzie. Niech jego syn żyje długo i gniewa się na ojca nawet przez sto lat. Nienawiść syna, własnego syna, nie mogła się równać z nienawiścią, jaką Jake żywił do siebie samego.

Jesienne barwy rozmyły się w jego zwilgotniałych oczach. Skupił się ponownie na uzupełnianiu pustych magazynków.

Przed szóstą słońce skryło się za wzgórza i Donovanowie włożyli kurtki. Wilgoć, tak miła i kojąca w ciepłe słonecznych promieni, teraz przyprawiała o dreszcze, pogarszając i tak już kiepskie nastroje. Carolyn zabrała z furgonetki torbę pełną krakersów i puszek z tuńczykiem, ale zapomniała o otwieraczu do konserw. Jak to dobrze, że Bóg pomyślał o szwajcarskich scyzorykach wojskowych, pomyślała.

W ciągu ostatnich pięciu godzin aktywność policji zmalała praktycznie do zera i pusta droga kusila poczuciem bezpieczeństwa, które, jak nieustannie powtarzał Jake, było jedynie iluzją. Za każdym razem, kiedy Carolyn i Travis ożywiali się podczas rozmowy i podnosili głos, uciszał ich. Nie mówili oczywiście o niczym ważnym, przeważnie wspominali różne zdarzenia z dzieciństwa Trvisa. Tak jakby zawarli ciche przymierze, że będą unikać rozmów o

teraźniejszości i przyszłości. Pozostawała zatem wyłącznie przeszłość - czyli oklepane, dobrze znane historyjki.

O dziewiątej zaczęli przygotowywać się do opuszczenia kryjówki. Na każdego przypadła jedna torba. Travis zaofiarował się nieść gotówkę, ale zamiast tego trafiła mu się żywność i ubrania.

- Jak zwykle kasę trzyma mama - zauważył chłopak, zarabiając kuksańca w głowę.

Ciemności okazały się zdradliwym sprzymierzeńcem, kiedy ruszyli ostrożnie ku drodze, spuszczać się po stromym zboczach. Luźne kamienie i wijące się pnącza sprawiały, że każdy krok mógł skończyć się tragicznie. Dotarli jednak na dół bez uszczerbku, jeśli nie liczyć powalanych ziemią siedzeń.

Jake obawiał się przechodzenia na drugą stronę drogi, gdzie teren był znacznie bardziej płaski. Trójka ludzi idących pieszo w ciemności niewątpliwie wzbudziłaby podejrzenia przypadkowego obserwatora. Nie było jednak wyjścia. Szybko przebiegli przez pustą wstęgę asfaltu i skryli się za osłoną drzew. Ponownie zagłębili się w mroku, aby przejść pozostały kilometr.

Dokładnie o jedenastej trzydzięci zatrzymali się bezpośrednio po drugiej stronie drogi od wyznaczonego miejsca spotkania. Weszli jakieś pięć czy sześć metrów w głąb lasu i zniknęli w jego ciemnościach, obserwując stamtąd z rzadka przejeżdżające samochody. Gdyby tylko mogli się jakoś rozgrzać...

Po całym dniu spędzonym w bezruchu ostatnie pół godziny wydawało się im się wiecznością. W milczeniu wsłuchiwali się w nocne dźwięki, starając się wyłowić z nich odgłos silnika zbliżającego się samochodu. Żadne z nich nie drgnęło nawet wówczas, kiedy jakiś szop pracz pogonił za swoją ofiarą do pobliskiego rowu odwadniającego. Pohukiwanie sowy przypominające płacz dziecka przeszło rześkie powietrze.

- Jezu Chryste! - syknął Jake, zerkając na zegarek. Jasnozielone wskazówki i cyferki zdawały się wyjątkowo jaskrawe. - Gdzie on się podziewa? Spóźnia się.

Carolyn zgromiła go wzrokiem.

- Która godzina?

- Jedenasta pięćdziesiąt siedem.

- A więc się nie spóźnia - szepnął Travis, prowokując kolejne ściszone gromy z ust matki. - Powiedział, że dokładnie o pomocy. Nie ma jeszcze dwunastej.

- Już prawie - burknął ojciec.

- Jake, rozluźnij się - Carolyn położyła mu rękę na ramieniu. Jej zadziwiająco spokojny ton maskował napięte do ostatka nerwy. - Harry nas nie zawiedzie.

Trzy minuty później, dokładnie o pomocy, biały cadillac zatrzymał się po przeciwnej stronie drogi, jakieś sto metrów od nich.

- Jest! - szepnął Jake. - Chodźmy. - Postąpił krok wprzód, ale Carolyn i Travis pociągnęli go za kurtkę.

- Jeszcze nie - zgromił go chłopiec. - Nie zapalił papierosa. Wujek Harry kazał nam czekać, aż zapali.

Jake wyszarpnął im się gwałtownie.

- Do cholery jasnej! To on! Jak myślicie, ile białych samochodów ma się zatrzymać o północy dokładnie w tym miejscu? Jezu!

- Ale polecenia Harry'ego były dokładne! - zaprotestowała Carolyn. - Powiedział, że mamy czekać, aż...

Jake miał już dosyć tych bredni. Był znużony i przemoczony. Przez ostatnie trzydzieści sześć godzin wypełniał tylko rozkazy Carolyn. Zrób to. Zrób tamto. Zatrzymaj się tutaj. Nie stawaj tam. Miał już tego naprawdę dość! A na dodatek wkrótce będzie musiał znosić również pana krewniaka, Harry'ego Sinclaira.

Schwycił dwie torby z pieniędzmi i ruszył w kierunku samochodu.

Przełamując odruch skrywania się w cieniu, postanowił wyłonić się z lasu zwyczajnie, na wypadek gdyby całe zdarzenie obserwował ktoś postronny.

W połowie drogi odwrócił się i skinął na żonę i syna, żeby dołączyli do niego, zdumiony, jak doskonale niewidoczni byli w ciemnościach. Zamachał, ale nie ruszyli się z miejsca.

- Chodźcie! - krzyknął szeptem. - Załatwmy to! - zamachał do nich jeszcze raz i w końcu wyłonili się z kryjówki, oglądając się niespokojnie za siebie.

- Rozluźnij się, Carolyn. Wyglądasz, jakbyś właśnie obrabowała bank.

- Dokładnie tak się czuję - jej głos brzmiał tak, jakby miała wybuchnąć płaczem. - Nie podoba mi się to. Harry powiedział...

Stanęli jak wryci, kiedy cadillac zjechał z pobocza.

- Co on, do diabła, robi? - wyrzucił z siebie szeptem Jake, tłumiąc chęć krzyku.

Wtedy dostrzegli przednie światła zbliżającego się samochodu, jak się po chwili okazało - niebiesko-białego forda policji stanowej Wirginii Zachodniej.

- O cholera! - syknął Jake. - To pułapka.

- Co teraz zrobimy? - jęknął Travis.

Znajdowali się na otwartej przestrzeni, zbyt daleko od linii drzew, aby wrócić tam niepostrzeżenie. Musieli coś zrobić w ciągu pięciu sekund albo koniec z nimi.

- Rów! - Jake wskazał palcem.

Jak na komendę trzema susami dopadli do rowu, który biegł równoległe do drogi, i dali do niego nura, uderzając twarzami w pełną śmieci wodę.

Jake miał wrażenie, że coś rozsadza mu piersi; zacisnął mocno powieki, aby stłamsić strach, wsłuchując się w odgłos przejeżdżającego wozu. Jeżeli ten gliniarz ich dostrzegł, było już po nich. Jake nie zdążyłby nawet wyciągnąć pistoletu.

Leżeli bez ruchu jeszcze długo po tym, jak warkot silnika ucichł w oddali. Travis pierwszy przerwał ciszę.

- Odjechał?

Jake wychylił się z rowu, chwytając jednocześnie za kolbę pistoletu. Ujrzał przed sobą pustą, niknącą w ciemności drogę.

- Czysto - oświadczył szeptem. - Wracajmy między drzewa! Schwycił Carolyn za rękę, a ona złapała Tralisa i popędzili z powrotem do swego schronienia w krzakach, gdzie upadli, ciężko dysząc.

- O Boże - wysapała Carolyn. - A nie mówiłam, żebyś poczekał! - Uderzyła Jake'a w piersi na tyle mocno, żeby go zabolowało.

Nie odezwał się. Kiedy miał rację, miała.

- Myślisz, że nas widział? - jęknął Travis.

- Nie - odparła Carolyn. Jake nie był taki pewny.

- Ja tam nie wiem. Nawet jeśli nas widział, mógł się nie zatrzymać. Jesteśmy uzbrojeni i niebezpieczni, pamiętasz?

Nie mieli pojęcia, co dalej robić. Ich wybawca odjechał, policja wciąż patrolowała okolicę, a oni tkwili w ciemnościach nocy zdani wyłącznie na swoje nogi. Minęło pięć minut.

- Myślisz, że wróci? - zapytał Jake.

- Kto, ten gliniarz czy nasz?

- Ten i ten. - Jake wzruszył ramionami.

- Niech zgadnę: nasz - tak, a glina - na razie nie - ponownie Travis odpowiedział za matkę.

Jake mierzwił sobie włosy w zdenerwowaniu.

- Taki układ mi pasuje. - Minęły kolejne dwie minuty. Potem trzy i pięć. - Nic dobrego - wyszeptał Jake.

Duch w nim upadł. Nagle wydało mu się, że nie dadzą sobie rady i wkrótce zostaną pojmani. A co oznaczałoby pojmanie? Więzienie. Domyślał się, że całe dziesięciolecie, o ile nie dożywocie - a może nawet kara śmierci. Z niepamięci wypłynęło nagle wspomnienie

wycieczki na posterunek policji, kiedy był skautem - może dziesięcioletnim chłopcem. Najfajniejszy był schowek pełen pistoletów, rewolwerów i karabinów, stojących jak żołnierze na baczność w szeregu. Zwiedzali również cele aresztu z odpadającą farbą, metalowymi łózkami i toaletami pozbawionymi jakiegokolwiek prywatności. Choć minęło tyle lat, pamiętał dokładnie, jak przewodnik recytował wymiary tych stalowo-betonowych klatek: półtora na dwa i pół. Nawet wówczas zdawał sobie sprawę, że te liczby oznaczają bardzo małą przestrzeń. A on nie cierpiał małych pomieszczeń.

Można się udusić w takiej klatce.

Ze wszystkich skautów on jeden odmówił przekroczenia progu celi, żeby "zobaczyć, jakie ma wymiary", jak powiedział policjant. Wiedział, że innym dzieciom spodobała się ta zabawa, i pamiętał swoje przerażenie, że któryś z kolegów może dla zgrywy zamknąć za nim drzwi. Nawet gdyby udało im się znaleźć klucz, przez kilka straszliwych minut byłby zamknięty sam w malutkim pomieszczeniu, a wszyscy by z niego drwili, patrząc, jak szłocha i błaga, żeby go wypuścili.

Nic takiego się nie stało. Podziękował grzecznie, a policjant uszanował jego wolę. Jednak lęk, którego wtedy doznał, był w nim obecny do dziś.

Ani poddanie się, ani pojmanie nie wchodziło w grę.

- Jak myślicie, ile powinniśmy czekać? - zapytał Travis.

- Do następnego czwartku, jak będzie trzeba - odpowiedział Jake. Cadillac wrócił.

- To on - rzuciła podekscytowana Carolyn. Biały samochód wrócił na miejsce i zatrzymał się.

- Tym razem nie ruszamy się, dopóki nie da sygnału - rozkazał Travis. Boże, robił się apodyktyczny.

Przez trzydzieści sekund nic się nie wydarzyło. Nagle rozbłysnęło wewnętrzne światło i Jake rozpoznał kierowcę. Poczciwy stary Thorne, człowiek pozbawiony poczucia humoru. Minęło czternaście lat, a on nie zmienił się ani trochę.

Donovanowie nie spuszczaali wzroku z barczystego mężczyzny, który wysiadł z samochodu i zamknął za sobą drzwi. Kolejnego ruchu nie potrafili rozróżnić w ciemności. W końcu dostrzegli płomień zapalniczki przed twarzą Thorne'a.

- Teraz? - szepnął Jake.

- Idziemy.

Zbliżyli się do samochodu powoli, lecz nie ukradkiem, idąc jak zwyczajni ludzie na zwyczajnej drodze w zwyczajną noc.

- Pamiętaj - wyszeptał chłopiec. - Nie przestrasz go. Jake uśmiechnął się.

- Boże, Trav, jeżeli on nas do tej pory nie zobaczył, to nie chcę z nim jechać tym samochodem.

- Po prostu pamiętaj, to wszystko - nalegał chłopiec.

- Postaram się.

Milcząc, zbliżyli się na odległość dwóch metrów od kierowcy. Jego krzaczaste brwi łączyły się z sobą nad nosem. Nie wykonywał żadnych zbędnych ruchów, ale coś wydawało się nie tak w sposobie, w jaki palił papierosa. Jake zdał sobie sprawę, że mężczyzna ma na dłoniach rękawiczki. Obie ręce były wolne. Pociuszające.

- Cześć, Thorne - odezwała się łagodnie Carolyn. - Miło cię znowu widzieć - uściśnęła go lekko, a on odwzajemnił jej się tym samym, dokładając wszelkich starań, aby wycisnąć z siebie uśmiech.

- Pan Sinclair pozdrawia. Wasz znajomy, Nick, jutro do was dołączy.

- Świetnie! - wykrzyknęła Carolyn. - A co z wujkiem Harrym? Zobaczą się z nim?

- Nie powinniśmy już jechać? - Jake zerknął nerwowo na zegarek.

- Nie, pan Sinclair nie może się z wami spotkać. - Thorne zignorował pytanie Jake'a. - FBI obserwuje go bardzo uważnie od czasu, gdy pokazano wasze twarze w telewizji. - Zdawał się lekko zdumiony widokiem Tralisa, który z kolei bardzo się starał, żeby między nim a tym zimnym, brązowym spojrzeniem znajdował się ojciec.

- Co to jest? - zapytał Thorne.

- To jest chłopiec - odpowiedział Jake ironicznie.

Usta Thorne'a rozciągnęły się w uśmiechu, ale oczy pozostały bez wyrazu. Jego oczy nigdy się nie śmiały.

- Zapomniałem, jaki z ciebie zabawny człowiek, Jack.

- Jake - poprawił Travis.

Mężczyzna spojrział na nich obu, jakby byli resztkami obiadu.

- Musimy jechać - powiedział i otworzył tylne drzwi, ukazując całe mnóstwo bagażu i porozrzucane na siedzeniach i podłodze gazety. - To miejsce dla ciebie, mały - poinstruował. - Wejdź pod te rzeczy i zakryj się dobrze. - Wcisnął przycisk na pilocie przy kluczykach i kłapa bagażnika podskoczyła do góry. - Promyczku, ty i twój mąż przez jakiś czas musicie podróżować w ten sposób - wyjaśnił. - Ustawili blokady na drogach. Nie mogą nas zatrzymać bez konkretnego powodu, a jeśli ukryjecie się w bagażniku, to prawdopodobnie nie będą go mieli.

Jake stanął jak wryty.

- Ja nie wsiadam do bagażnika.

- Czyżby? - rzucił Thorne, wyraźnie rozbawiony. - A to czemu?

- Mam klaustrofobię. Drągał przewrócił oczami.

- No więc poradź sobie z nią jakoś. Bo tylko tak was zawiozę. Albo to, albo spacer.

Wybieraj.

Jake patrzył, jak Travis zagrzebuje się pod manele na tylnym siedzeniu, a Thorne pomaga Carolyn wsiąść do bagażnika. Przynajmniej był obszerny.

Cholera.

Wziął głęboki oddech, przerzucił stopy ponad krawędzią i położył się na dnie bagażnika. Niektóre decyzje są łatwiejsze od innych - pomyślał.

Nick Thomas miał pełne prawo siedzieć za biurkiem, nawet jeśli właśnie minęła pierwsza w nocy, i przeglądać pliki komputerowe na ekranie. Sam kiedyś wprowadził do komputera te wszystkie dane.

Dlaczego zatem czuł się jak przestępca?

Znalazł i wydrukował odpowiednie dokumenty, równocześnie mówiąc sobie w duchu, że to czyste szaleństwo. Plany topograficzne, tablice przeważających wiatrów, codzienne grafiki - wszystko, co w jakimś stopniu wiązało się z pamiętną operacją w Newark. Im więcej myślał o teorii Jake'a i Carolyn, tym bardziej wydawała mu się absurdalna. Cała ta demolka tylko po to, aby ukryć zwłoki, które i bez tego można było schować gdzieś, gdzie nikt by ich nie znalazł? To absurd.

Prawdopodobnie w stwierdzeniu, że źdźbło trawy najlepiej ukryć w stogu siana, była jakaś logika, ale czy można odnieść to do zwłok?

Mniej więcej co dwadzieścia minut tłumił w sobie chęć, by zadzwonić na policję i skończyć z tym wszystkim. Nigdy wcześniej nie złamał prawa - oczywiście jeżeli nie liczyć zbyt szybkiej jazdy samochodem. Ale nawet wtedy nie przekraczał dziesięciu procent ponad ograniczenie prędkości. Teraz nie potrafił sobie nawet wyobrazić, ile razy złamie prawo.

Gdyby kiedyś musiał tłumaczyć się ze swych czynów przed sądem, oskarżyłby Harry'ego Sinclaira o to, że groził jego rodzinie. Miał nadzieję, że wykrywacz kłamstwa zadziałałby na jego korzyść - miała przecież miejsce rozmowa telefoniczna. Bez tego usprawiedliwienia ludzie mogliby się domyślić prawdziwej przyczyny jego szalonego zachowania, a wtedy dowiedzieliby się czegoś, do czego on właśnie doszedł.

Zdał sobie ze wszystkiego sprawę około dziesiątej - długo po tym, jak Sinclair wysadził go z samochodu przed budynkiem zarządu. Po półtoragodzinnej przejażdżce Nick podjął ostateczną decyzję, a kiedy poskładał wszystko do kupy, po raz pierwszy od wielu lat poczuł, że naprawdę żyje. Wyszedł poza rutynę wstawania o piątej i powrotu do domu o siódmej, a świadomość ryzyka działała na niego dziwnie zachęcająco. Czuł się winny za te szczeniackie myśli, ale w końcu uznał, że nawet to poczucie winy jest czymś pozytywnym. Nie przypominał sobie, kiedy ostatni raz odczuwał prawdziwe emocje, zawsze kierował się tym, co należy zrobić. Dziś jego zachowanie było całkowicie pozbawione chłodnej kalkulacji.

Przynajmniej przez tych kilka krótkich chwil pracował wyłącznie dla siebie. Jedyne termin, jaki go obowiązywał, to ten narzucony przez samego siebie, gdy przyjął zlecenie. W

głębi serca wiedział, że robi coś, do czego posiada wyjątkowe kwalifikacje. Nikt inny w tym morzu biurokratów nie mógł tak skutecznie wygrzebać danych o Newark - ani jego szef, ani świeży narybek z koledżu. Tylko on wiedział, czego szukać w tych plikach, ponieważ on jeden wiedział, co gdzie wpisał.

Poznanie rozkładu magazynu należało do jednej z istotniejszych spraw. Musieli wiedzieć, jak dostać się do środka i jak stamtąd uciec, w razie gdyby sprawy przybrały zły obrót. Nick zagłębił się po uszy w pracy, z zapalem, jakiego nie doświadczał od lat.

Późnym wieczorem, po dłuższym zastanowieniu, doszedł do wniosku, że w grę wchodzi tu przyjaźń i własne sumienie. Musiał podjąć wyzwanie, by móc patrzeć co rano na swoje odbicie w lustrze. W tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim dał się uciszyć, naciskany przez polityków, którzy chcieli zatuszować katastrofę w Newark. W pośpiechu, osłaniając własny tyłek, podkulił ogon i pozwolił Agencji Ochrony Środowiska oraz FBI sporządzić oskarżenie przeciwko kolegom. Ani razu nie odezwał się głośno, że rząd psuje się od wewnątrz. Najłatwiej było siedzieć cicho. Nawet teraz, po tylu latach, nie widział możliwości, by wtedy cokolwiek dało się zmienić. Ale faktem jest, że nawet nie próbował. Podobnie jak Jake i Carolyn, zapłacił za to wysoką cenę.

Poza tym sprawa tych ciał! Największe świętokradztwo z możliwych. Zwłoki członków grupy wejściowej pozostały tam po dziś dzień, a wszystko dlatego, że osoby bezpośrednio za to odpowiedzialne wyniosły swoje kariery ponad ludzką przyzwoitość.

No cóż, teraz Nick mógł coś na to zaradzić. W gruncie *rzeczy* mógł zmienić bardzo wiele.

Zanim wydrukował wszystkie potrzebne dokumenty, minęła pierwsza trzydzieści. Włożył stertę papierzysek do nesesera i zatrzasnął z kliknięciem zamki. Oznajmił rodzinie, że jedzie do Arkansas w sprawach służbowych, a szefowi zostawił wiadomość, że potrzebuje kilku dni urlopu na opiekę nad chorym krewnym z Oregonu. Z torbą w jednej ręce i neseserem w drugiej, Nick podążył szybkim krokiem ku drzwiom. I tak będzie musiał jeszcze chwilę poczekać na samochód, ale to mu nie przeszkadzało. Znał strażnika, który pełnił służbę dzisiejszej nocy. Facet już od tygodni namawiał go do obejrzenia zdjęć nowo narodzonego dziecka.

Nick ruszył w kierunku windy i westchnął. Dostał prezent od losu. Jak często - pomyślał - trafia się okazja podróży do własnej przeszłości, aby móc zmienić przyszłość?

Jak oni to robią? - jęknęła Irene, opierając głowę na rękach. - Po prostu wyparowują. Tak jakby nigdy się tu nie pojawili. - Nie licząc nerwowych czterdziestu pięciu minut w samolocie, gdzie zmuszała się do siedzenia z zamkniętymi oczami, nie spała od prawie trzydziestu godzin. Ostatni raz czuła się tak fatalnie po skończeniu liceum, kiedy spędziła siedem dni w domku na plaży na pijackiej balandze. - Czego nam brakuje, Paul?

Paul Boersky wyglądał nadzwyczaj świeżo w porównaniu z nią. Wyrżał przez okno, zastanawiając się nad odpowiedzią. Zbudowane na początku lat pięćdziesiątych koszary policji stanowej były w jeszcze gorszym stanie niż posterunek w Phoenix. Wyglądało na to, że niewiele uległo tu zmianie od pierwszego dnia ich powstania. Jedynie żółta farba na ścianach pogłębiła swój odcień, wystawiona od dziesiątków lat na działanie dymu papierosowego. Podłogi robiły wrażenie niedawno woskowanych, ale dozorca owocniej spędziłby czas, uzupełniając brakujące płytki PCV.

- Czego nam brakuje? - powtórzył Paul. - Niczego z wyjątkiem Donovanów - odwrócił się od okna i usiadł na składanym krzeselku.

Irene dotknęła czołem blatu biurka.

- Bardzo śmieszne - mruknęła.

- Nie staram się być zabawny - bronił się. - Jestem śmiertelnie poważny. Według mnie wiemy wszystko, co można w tej sytuacji wiedzieć. Problem w tym, że nie potrafimy czytać ich myśli.

Opróżnił styropianowy kubeczek, po czym pochylił się w przód, opierając przedramiona o stół.

- Wiemy, że pomaga im Harry Sinclair. Kobieta podniosła głowę.

- Naprawdę? Wiemy o tym? Wzruszył ramionami.

- No dobra, nie mamy dowodów. Ale, do diabła, każą dzieciakowi do niego dzwonić, a potem on szyfruje rozmowę i znika. To zbyt duży zbieg okoliczności.

- A zatem istnieje spore prawdopodobieństwo, że znikną na kolejne czternaście lat - stwierdziła Irene. - Cudownie. Czy ten stary to ich jedyna rodzina?

- Jedyny krewny, do którego mogli się zwrócić - odparł Paul, ziewając przeraźliwie. - Rodzice Donovana nie żyją - matka zmarła kilka lat temu, a ojciec kiedy Jake był jeszcze dzieckiem. Jak mamuśka kopnęła w kalendarz, biuro w Filadelfii załało kościół i cmentarz tajnymi agentami, na wypadek gdyby Jake miał ochotę złożyć ostatni hołd. A ojciec Carolyn

zniknął, kiedy była mała - wiesz o tym. Ale matka jest teraz w domu. Puszczą bańki ze śliny i zdejmują wyimaginowane robaki z pościeli.

Irene skrzywiła się.

- Jak zawsze wrażliwy. W porządku, a więc niczego nam nie brakuje. Pozwól, że sformułuję pytanie inaczej: jak ich znajdziemy i dopadniemy?

Paul wciągnął powietrze przez nos, a następnie wypuścił je powoli.

- Cóż, sytuacja nakazuje nam czekać na ich błąd - ale zdaje się, że nie bardzo chcą go popełnić. Jeżeli znajdziemy faktyczne powiązanie między Sinclairem i Donovanami - coś lepszego niż tylko więzy krwi i rozmowa telefoniczna - możemy otrzymać pozwolenie na głębsze zbadanie kontaktów starego Harry'ego, żeby zobaczyć, kogo wykorzystuje, aby pomóc im zniknąć.

Pokręciła przecząco głową.

- Tego się nie da zrobić - westchnęła. - Biuro i tak za bardzo go nachodziło przez te wszystkie lata. Prokurator generalny dystryktu Chicago jest zbyt zastraszonej przez Sinclaira, żeby zaglądać do jego nory.

Wyprostowała się i wygięła plecy za oparcie krzesła, aby rozciągnąć znużone mięśnie.

- Donovanowie tak cholernie wszystko kalkulują - powiedziała. - Stale wracam myślami do chwili, gdy po raz pierwszy aresztowałam Jake'a.

Zanim sprowadziłam na siebie to całe gówno - przemknęła jej myśl.

- Był taki obojętny, nawet arogancki - zakaszłała. - Zupełnie nie jak morderca, na miłość boską. Co on sobie myślał? Musiał srać w gacie, ale w ogóle tego po sobie nie pokazał. O czym to świadczy?

- Świadczy o tym, że miał mnóstwo czasu na zdobywanie doświadczenia - odpowiedział Paul bez wahania. - Przygotowywał się do tej chwili od ponad dziesięciu lat.

Nie, tu chodziło o coś więcej. Co mogło być źródłem takiego spokoju ducha, takiej pewności siebie? Irene przywołała szczegóły nalotu na Marcusa Forda i ujrzała stojącego przed sobą Donovana z rewolwerem w ręku. Pamiętała to wahanie, o którym nikt nie chciał rozmawiać. Czy był przygotowany na użycie broni? Czy je planował? Po co w ogóle miał przy sobie broń, jeśli nie po to, by pomóc sobie w ucieczce? Powiedział, że to dla obrony, ale czy można dać wiarę jego słowom? Przecież każdy, kto unosi broń, robi to z zamiarem ataku, czyż nie? Oczywiście, że tak.

A więc dlaczego nie zaatakował? Ponieważ nie miał szansy? Może...

Drzwi otworzyły się gwałtownie, przerywając potok jej myśli. Jakiś policjant o wyglądzie czternastolatka wsadził głowę do maleńkiego gabinetu.

- Przepraszam, agentko Rivers - odezwał się. - Sierżant stwierdził, że to może panią zainteresować. Pani szef jest w CNN.

Irene i Paul unieśli brwi i wymienili między sobą spojrzenia. Podążyli za policjantem do małej jadalni, gdzie w rogu kontuaru stał prehistoryczny telewizor. Peter Frankel uczestniczył w konferencji prasowej. Stał za pulpitem, na którym widniał znak FBI, a płatanina mikrofonów zasłaniała większą część jego klatki piersiowej. Ten człowiek urodził się, by występować w telewizji, Irene musiała mu to przyznać. Śnieżnobiały uśmiech, błękitne oczy i bystrość umysłu - wszystko, o czym J. Edgar mógł jedynie marzyć. -

- Nie uważam, żeby to miało jakieś znaczenie na tym etapie, Gail - rzucił zastępca szefa FBI w odpowiedzi na jakieś pytanie, którego Irene nie dosłyszała. - Tu liczy się wyłącznie sprawiedliwość. Senator Albright jest przede wszystkim obywatelem Stanów Zjednoczonych i uznajemy go za niewinnego, dopóki tej winy mu nie udowodnimy...

- O czym on mówi? - zapytała Irene młodego policjanta. Chłopak roześmiał się.

- Najwyraźniej senator z wielkiego stanu Illinois ma słabość do młodych chłopców.

Irene zwróciła się do Paula.

- Czy to puszczali w telewizji dziś rano? Coś na temat subskrypcji czasopism i członkostwa w jakimś klubie?

Paul wzruszył ramionami.

- Nie mam pojęcia. Rano spałem.

- Tak - wtrącił policjant. - W ten sposób to odkryto. Jakiś przeciek do prasy. Irene ponownie skupiła uwagę na wiadomościach. Domyślała się, że prędzej czy później pojawi się temat Donovanów.

- Biorąc pod uwagę stanowczy sprzeciw senatora wobec pańskiej nominacji na szefa FBI - mówił mężczyzna poza obiektywem kamery - niektóre osoby sugerują, że być może to właśnie pan podsunął prasie te informacje.

Frankel skrzywił się, patrząc na dziennikarza z najwyższą pogardą.

- Uważam to pytanie za obraźliwe, Brett - powiedział, starając się odzyskać panowanie nad sobą. - Niech pan powie tym ludziom, że zwyczajnie są w błędzie. - Wskazał na innego niewidocznego dziennikarza, lecz zanim padło kolejne pytanie, zwrócił się ponownie do Brettta.

- Jestem zastępcą szefa FBI, na miłość boską. Jak pan śmie coś takiego insynuować - przerwał na długą chwilę, w milczeniu wyzywając reportera, aby kontynuował polemikę. Kiedy Brett nie podejmował wyzwania, Frankel przeniósł wzrok na reporterkę. - Przepraszam, Helen, teraz twoja kolej.

- Panie Frankel, jakieś piętnaście lat temu sprawcy katastrofy w Newark w stanie

Arkansas uciekli panu sprzed nosa. Pan sam nazwał to najbardziej żenującym wydarzeniem w pańskiej karierze. Teraz historia odżyła. Jake Donovan był w areszcie, a pańscy ludzie pozwolili mu umknąć kolejny raz. Czy mogę prosić o komentarz?

Frankel najpierw sprawiał wrażenie zniecierpliwionego, potem jakby posmutniał, wreszcie twarz rozjaśnił mu uśmiech.

- Mówiłem ci, że pięknie dziś wyglądasz, Helen? - rzucił. Reporterzy wybuchnęli śmiechem. Kiedy harmider ustał, Frankel na powrót przybrał oficjalny ton. - Cóż mogę powiedzieć? Nasi najlepsi ludzie pracują nad sprawą Donovanów, ale z tego co mi wiadomo, poszukiwani są w dalszym ciągu na wolności i chętnie skorzystamy z wszelkiej pomocy, jaką społeczeństwo nam zaoferuje.

Irene roześmiała się, choć nienawidziła tego faceta.

- Boże, on naprawdę jest dobry.

Jake i Carolyn siedzieli w milczeniu na tylnych fotelach cadillaca. Thorne wyjechał z Little Rock zmierzając w kierunku Newark. Znajdowali się teraz zaledwie pięćdziesiąt kilometrów od celu i Jake zdumiał się, jak niewiele zmieniło się w krajobrazie od czternastu lat. Droga niewzruszenie królowała ponad bagnami na bezkresnej równinie. Wydawało się to niemożliwe, ale przysięgłby, że nawet ogromne tablice reklamowe nie zmieniły się od tamtych dni. Wypłowie od słońca i deszczu, stały się w większości nieczytelne, ale Jake wciąż potrafił dostrzec na nich zarys samochodu czy pralki. Przydrożny bar reklamował PIWO NA MIEJCU dla wszystkich przejeżdżających, którzy chcieli zatankować przed dalszą drogą do piekła.

- Klnę się na Boga, że ostatnim razem brakowało tych samych liter! - krzyknął wskazując palcem.

Carolyn jedynie potrząsnęła głową. W duchu beształa się, że tu przyjechali. W miarę jak zbliżali się do źródeł swego koszmaru, nowy plan zaczął wydawać jej się coraz bardziej bezsensowny. Niewątpliwie Harry mógł pomóc im zniknąć po raz kolejny.

- Co to za miejsce? - spytał Travis głosem ciężkim od pogardy. Rodzice od lat włóczyli go po różnych zadupiach, ale to wyglądało gorzej niż wszystkie trzy poprzednie razem wzięte.

Wkrótce znaleźli się w centrum miasteczka i zbliżyli do przysadzistego budynku poczty.

- Wygląda znajomo? - zapytał ich Thorne. Odezwał się po raz pierwszy od sześciu godzin, czyli od czasu uwolnienia pasażerów z bagażnika.

Carolyn głęboko westchnęła.

- To stąd nas zabrałeś ostatnim razem - mówiąc to ścisnęła rękę syna.

- Nigdy nie myślałem, że wrócę do tego pieprzonego miejsca - mruknął kierowca.

- No to nie myśleliśmy we dwóch - zgodził się Jake. - Tym razem przynajmniej jestem suchy i w miarę czysty. - Jakies trzy godziny temu zatrzymali się na krótką przerwę w przydrożnej knajpie, gdzie wzięli prysznic i przebrali się.

Siedząc między rodzicami, Travis musiał wyciągać szyję jak żuraw, aby dojrzeć budynek poczty, który minęli dość szybko.

- A do tego czasu gdzie się ukrywaliście? - zapytał. Jake wskazał zamaszystym ruchem ręki.

- Tam, w lasach - odparł. - Nie różniło to się zbyt wiele od ostatniej nocy.

- Tyle że było zimniej i straszniej - poprawiła Carolyn. - Boże, jak my się baliśmy.

Travis zastanowił się nad słowami mamy.

- No dobrze - powiedział, jakby kończył jakiś spór. - Powiedzcie mi jeszcze raz. Po pierwsze, dlaczego w ogóle byliście w Newark? - spojrzał na Jake'a, który z kolei skinął na Carolyn, żeby przejęła pałeczkę.

Sto lat prosperity Newark zakończyło się gwałtownie w tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym roku, kiedy to prezydent Lyndon Johnson zamknął zajmującą obszar o powierzchni siedmiuset pięćdziesięciu hektarów

Wojskową Fabrykę Amunicji Ulyssesa S. Granta. Był to jeden z najkosz- towniejszych napadów złości w historii. Fabrykę, podobnie jak wiele innych rządowych zakładów, zamknięto w odpowiedzi na gubernatorski sprzeciw wobec propozycji zintegrowania szkół publicznych znajdujących się w jego stanie. Była jednak jedyną, której nigdy na powrót nie otwarto.

W ten sposób praktycznie w ciągu jednej nocy miasteczko Newark zakończyło swój żywot.

Dopiero w połowie lat siedemdziesiątych niejaki Harold Davis odkrył możliwości pogrzebane w tej lokalnej tragedii. Tam gdzie wszyscy widzieli tylko bezkresne hektary ponurych, opuszczonych terenów, ten ambitny przedsiębiorca dostrzegł gotową fabrykę, czekającą tylko na odpowiedniego właściciela. Działając szybko i w wielkiej tajemnicy, prowadził rozmowy z bankiem, które zaowocowały kupnem siedmiuset pięćdziesięciu hektarów gruntu za pięć milionów dolarów.

Przez prawie dziesięć lat Harold Davis nie robił absolutnie nic na zakupionej przez siebie ziemi, obserwując nerwowo, jak spadają ceny nieruchomości w Arkansas, mimo że podobne tereny na całym świecie drożały z każdym dniem. Mimo to nie panikował. W głębi serca wierzył, że pewnego dnia jego cierpliwość zostanie nagrodzona.

W końcu marzenia się spełniły. W roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym pierwszym rozpoczął się największy boom militarny w czasie pokoju: Ronald Reagan postawił sobie za cel wskrzeszenie amerykańskich sił zbrojnych z popiołów, pozostawionych po administracji Cartera. Chętni do inwestowania w obronę kiełkowali niczym chwasty w ogrodzie, walcząc o swój udział w tym biznesie masowej destrukcji.

Harold Davis instynktownie zdawał sobie sprawę, iż programy zbrojeniowe mówiły o rzeczach, które miały tendencję do eksplodowania, i zaciszne zakątki nie chciały mieć z nimi nic wspólnego. Wreszcie nadszedł odpowiedni moment i Harold Davis zrobił krok naprzód.

- A może by tak do Newark w Arkansas? - zapytał. - Bardzo byśmy was tam chcieli.

Izba Handlowa doprowadziła się prawie do bankructwa, drukując broszury, które w jak

najlepszym świetle odmalowywały ten wiejski zakątek. Och, były urocze. "Newark w stanie Arkansas - raj dla ludzi lubiących spędzać czas na świeżym powietrzu". Oczywiście twórcy tej reklamy nie wspomnieli ani słowem, że ludzie z Newark polowali i łowili ryby nie dla sportu, lecz dla pożywienia. Inne hasło głosiło: "Miasteczko jak z przeszłości". W wolnym tłumaczeniu: straszliwa bieda i odrażający brud; miejsce, w którym dziesięć procent uczniów nie stać na nowe buty, a żeby wyleczyć ząb, trzeba odbyć czterdziestopięciminutową przejażdżkę samochodem do hrabstwa Jefferson.

Na dłuższą metę żaden z tych szczegółów nie miał znaczenia i Harold zdawał sobie z tego sprawę. Gdyby firmy naprawdę dbały o warunki życia swych pracowników, to miejsca takie Elizabeth w New Jersey umarłyby wiele lat temu. Firmy dbały o pieniądze - a w szczególności o to, jak by tu ich nie wydawać. Pełniąc rolę strażników kwitnącej maszyny przemysłu zbrojeniowego, właściciele Fabryki Granta wydali kiedyś miliardy dolarów na konstruowanie tysięcy budynków, przeznaczonych do konkretnego celu - doskonalenia i przetwarzania ładunków wybuchowych. Mówcie co chcecie na temat armii, ale ich budowle potrafią przetrwać wieki.

Kiedy Harold reklamował się w salach konferencyjnych całego kraju, pomijał sprawy warunków życia, koncentrując się na dolarach. Zaproponował ciekawą alternatywę dla masowych wydatków oraz kooperację zamiast nie kończących się apeli wzywających do rozwoju strefowego. Niektóre decyzje są po prostu łatwe.

W ciągu dwunastu miesięcy, poczynając od kwietnia tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego, Harold Davis podpisał umowy leasingowe wartości stu milionów dolarów ze wszystkimi największymi nazwiskami w przemyśle obronnym.

Jesienią tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku fortuna uśmiechnęła się do niego całą gębą.

Wybudowana w roku 1885 fabryka Granta służyła dwóm wojnom światowym oraz kilku pomniejszych konfliktom i z czasem stała się składnicą wszelkiego rodzaju militarnych zabawek. Od rakiet i bomb aż po naboje, gaz paraliżujący, głowice nuklearne - jej magazyny widziały wszystko. Niedługo po drugiej wojnie światowej, w miarę jak malała aktywność Ground Zero - takim przydomkiem w latach pięćdziesiątych ochrzczili fabrykę miejscowi - operacje zaczęły się koncentrować w środku rozległego terenu. Dowódcy kazali przenieść przestarzały sprzęt i broń na krańce ciągnących się kilometrami rzędów identycznych bunkrów, i z czasem dosłownie o nim zapomniano.

Przed opuszczeniem swej twierdzy w Arkansas dyrektor wraz z personelem namozolili się, aby każda spłonka, łuska i ładunek wybuchowy zostały przeniesione do odpowiedniej

składnicy wojskowej gdzieś w odległej części kraju. I istniało naprawdę małe prawdopodobieństwo, by czegoś po drodze nie zgubili.

Kiedy przybyli nowi dzierżawcy, od czasu do czasu znajdowali jakieś rzeczy, których w umiejętny sposób należało się pozbyć. Armia okazała się w miarę chętna do współpracy przy usuwaniu lub niszczeniu zidentyfikowanej broni, zwracając jednocześnie uwagę, że wyświadczają przysługę panu Davisowi i jego dzierżawcom. Wraz z tą nieruchomością Harold Davis zakupił również wszystkie związane z nią problemy.

Układ z armią był prosty: Davis zapłaci swoim kontrahentom za zidentyfikowanie podejrzanych materiałów i weźmie na siebie ciężar ich zniszczenia, a Wuj Sam zaopiekuje się znaną tam bronią, ale dopiero jak Davis zapłaci za jej zidentyfikowanie. Armia nie chciała, żeby jej ludzie uganiali się za wiatrem w polu, wykorzystując sektor prywatny. Ta dżentelmeńska umowa miała na celu doprowadzenie do tego, aby teren ten stał się bezpieczny, a zarazem dochodowy.

Pierwszy z koszmarów prawnych pojawił się późną zimą, kiedy Agencja Ochrony Środowiska zwietrzyła, co się dzieje. Okazało się, że zgodnie z regulaminem dotyczącym niebezpiecznych odpadów, Harold Davis - jako właściciel nieruchomości - miał obowiązek składać raport o miejscach zagrożonych w miarę ich odkrywania. Niedopełnienie tego obowiązku szybko urosło do miliona dolarów grzywny, mimo że w połowie przypadków prawnicy pana Davisa apelowali.

Wyjątkowo groźne materiały składowane w magazynie B-2740 odkryto przez przypadek. Przyszły dzierżawca wybrał się na obchód jednego z pierwszych, dawno porzuconych magazynów na obrzeżach fabryki. Towarzyszył mu sam Harold Davis. Wtedy właśnie znaleźli dokładnie to, o czym rząd Stanów Zjednoczonych chciał jak najszybciej zapomnieć.

Z braku wyboru Davis wynajął firmę "Czysta Planeta", która, z kolei, zatrudniła odpowiednich specjalistów, aby wykonali niezwykle niebezpieczne zadanie zidentyfikowania zawartości magazynu.

- ...i tak ojciec i ja staliśmy się specjalistami od brudnej roboty- zakończyła Carolyn. - I pomyśleć, ile musiał dostać Davis za dzierżawę tego miejsca. Trudno uwierzyć, że rząd tak po prostu porzucił tę fabrykę.

Jake spochmurniał.

- Chyba żartujesz? Szkoda, że nie spuścili na nią bomby atomowej.

- Ale skutek jest właściwie podobny, prawda? - wtrącił Travis. - Spuścić bombę czy zatruć, na jedno wychodzi.

W pośpiechu, żeby zdążyć na ósmą, Bonnie Jerome wyskoczyła ze sportowych nike'ow i włożyła eleganckie lakierki. Potem popędziła korytarzem, by odhaczyć się na liście za udział w licho wie której z kolei obowiązkowej prelekcji na temat bezpieczeństwa pracy. Szpiedzy są wszędzie - powiedział mówca - i wiedzą, kim ona jest. W gruncie rzeczy wiedzieli wszystko o wszystkich. Jeśli pracowałeś dla FBI - od prostego urzędnika aż po samego szefa - mieli twoje zdjęcie i dossier. W przypadku ludzi takich jak Bonnie i techników, którzy dla niej pracowali, prawdopodobieństwo, że podejście do nich jakiś obcy agent, było takie samo jak w przypadku innych agentów - może nawet większe.

Wyłączyła umysł, kiedy facet przeszedł do części dotyczącej uwodzenia przez obcych szpiegów w znanych nocnych lokalach w Waszyngtonie. Uśmiechnęła się na samą myśl. Jeśli jej wczorajszy podbój - przystojny student z Georgetown o imieniu Jonathan - był szpiegiem, to uczciwie zarobił na wszystkie sekrety, jakie zabrał ze sobą do domu.

Dokładnie po trzech godzinach spotkanie wreszcie dobiegło końca i mogła na powrót przeobrazić się w znudzonego mola komputerowego. To, co robiła dla FBI, równie dobrze mogła robić dla każdej innej agencji rządowej, albo nawet sektora prywatnego. Dbała o to, aby skomplikowana gmatwanina systemów komputerowych - zarówno oprogramowanie, jak i sprzęt - działała możliwie gładko i bez zakłóceń, i w ten sposób chroniła świat przed czerwonymi hordami czy czymkolwiek, co traktowano jako zagrożenie dnia. W tym mieście podzielonym polityką Bonnie tak naprawdę nie przejmowała się swoją pracą, o ile tylko jej koty były najedzone, nie zalegała z czynszem, a te koszmarnie przestarzałe kupy złomu zwane komputerami wciąż przetwarzały informacje. Dostęp, jaki miała do ściśle tajnych danych, gwarantował jej dojście praktycznie do wszystkiego, co oferował system, ale najzwyczajniej nie była tym zainteresowana. Wszystko, co zobaczyła za dnia, skwapliwie zapominała przed snem.

Przynajmniej tak się zazwyczaj działo. Dzisiaj miało być inaczej. Zaledwie kilka minut po powrocie za biurko odkryła na nim pilną wiadomość bezpośrednio związaną z informacjami w obrębie systemu, a nie funkcją samego systemu. O ile pamiętała, tylko raz za jej kadencji wydarzyło się coś podobnego - pogwałcenie reguł bezpieczeństwa w jednym ze starszych systemów w sieci. Jeśli ostrzeżenie pojawiło się u jednego z jej programistów jako błędna wiadomość, obarczy tym ludzi od bezpieczeństwa.

Ta wiadomość była jednak inna. Do wydruku przyklejona była notatka napisana

wściekle różowym atramentem:

"Bonnie! To wyskoczyło jako błędna wiadomość o trzeciej dwadzieścia jeden rano. Pomyślałem, że będziesz chciała się tym zająć. Sam bym to zrobił, ale muszę odprowadzić dzieciaki do szkoły.

T.R."

Podpisał tę notkę zabawną, uśmiechniętą buzią.

T.R. oznaczało Teda Rosencranze'a, jej asystenta odpowiedzialnego za nocne zmiany. Odlepiając papierek z wydruku, czytała dalej. Najwyraźniej ktoś z Agencji Ochrony Środowiska wklepał to do komputera w roku ... sprawdziła ponownie datę ... w roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim! Jakimś cudem zapomniano o tym pliku albo informacja uległa przedawnieniu. Tak czy owak, z jakiejś przyczyny nie został on przeniesiony do nowego systemu. Instrukcje były dokładne i standardowe: w wypadku gdyby ktoś dotarł do tych plików, agent zajmujący się tą sprawą miał być osobiście i natychmiast o tym poinformowany.

Z początku Bonnie nie widziała w tym nic wielkiego. Wiadomość nie zawierała niczego, czym Ted nie mógł się sam zająć. Później jednak przyjrzała się baczniej i dostrzegła nazwisko agenta.

- O cholera.

Przez kilka chwil zastanawiała się, co powinna zrobić. W końcu wzruszyła ramionami i sięgnęła po książkę telefoniczną Biura. Przeleciała palcami po stronach... Jest! Chwilę zbierała myśli, po czym podniosła słuchawkę i wystukała numer wewnętrzny.

Pogodny, lecz oficjalny kobiecy głos odezwał się w słuchawce już po pierwszym sygnale.

- Tu gabinet zastępcy szefa, Frankela.

Nick zdawał sobie sprawę, że powinien odczuwać zmęczenie, a mimo to trzygodzinny lot lśniącem odrzutowcem osobliwie go doenergetyzował. Gulfstream był latającym apartamentem hotelowym z miękkimi fotelami, w pełni wyposażonym barem oraz miniaturowym gabinetem - z biurkiem, komputerem, telefonami i nawet faksem. Oczywiście różniło się to od zniżkowych lotów, z których Nick normalnie korzystał. Tam można było zarobić w głowę tłustymi orzeszkami ziemnymi od jakiegoś smakosza z tyłu, podczas gdy pasażer z przodu miażdżył ci kolana oparciem.

Nick był jedynym pasażerem na pokładzie. Jak dziecko w wesołym miasteczku, siadał na każdym fotelu, bawiąc się wszystkimi przyciskami tylko po to, by przekonać się, do czego służą.

Wylądowali w Little Rock około piątej rano. Kierowca o kamiennej twarzy wyjechał na płytę lotniska i zawiózł Nicka do prehistorycznego, przekłętego kompleksu motelowego w Newark, kilka kilometrów od składnicy broni. Długi, niski dach ocieniał rząd zniszczonych drzwi, podobnych do siebie jak krople wody. Okno, drzwi, okno, drzwi i tak dalej, w dokładnie takich samych odstępach wzdłuż chodnika na całej długości opuszczonego budynku. Pusta, metalowa rama oraz dyndające przewody elektryczne - tylko tyle zostało z szyldu na zardzewiałym słupie na parkingu.

Nick rozpoznał szkaradne pozostałości po motelu Quachita Grove - czyli tą samą rudera, w której przebywał ostatnim razem, kiedy to pracował w grupie fanatyków mających zmierzyć się z niebezpiecznymi odpadami.

Milczący kierowca poprowadził samochód obok kompletnie zdemolowanej recepcji motelu i skręcił ku rządowi pokojów. Po raz pierwszy Nick zdał sobie sprawę z niebezpieczeństwa, poczuł ucisk w żołądku. Tutaj mogło zdarzyć się wszystko i nikt nie usłyszałby nawet krzyku. Niewątpliwie nikt nie znalazłby jego ciała; gryzonie by o to zadbały. W tym miejscu na pewno roiło się od szczurów wielkości cielaków. W przeciągu kilku godzin pozostałyby po nim czyste kości.

W co on się, do diabła, wpakował?

Kierowca poprowadził Nicka do pokoju numer 24. Metalowa tabliczka została oderwana dawno temu, lecz ślad numeru widniał wciąż na kredowej farbie rozwarstwionych drzwi.

Pośrodku pokoju, pod szkieletem wentylatora na suficie, zobaczył stół do gry w karty

z czterema składanymi krzeselkami. W ciągu pół minuty przebywania w tym pomieszczeniu Nick zdążył już kichnąć trzy razy pod wpływem woni pleśni oraz zatęchłej gumy piankowej. Kierowca wyjął z wewnętrznej kieszeni cieniutką latarkę w kształcie długopisu i idąc za żółtym promieniem, znalazł dwie lampki na baterie. Włączył je, a następnie zaciągnął poszarpane zasłony.

Patrząc na nie Nick zrozumiał, dlaczego nawet wandale pozostawili je w spokoju.

- O, proszę - odezwał się wreszcie mężczyzna. - Zeszłej nocy przywiozłem ci kilka pudełek. Są tam - wskazał ciemne miejsce w głębi pokoju, gdzie stało kilkanaście ustawionych w niestabilną piramidę kartonowych pudeł. - Twój przyjaciele powinni wkrótce się pojawić. Wiem, że to miejsce wygląda nieciekawie, ale nie przejmuj się. Jest bezpieczne. Nie wejdzie tu nikt niepożądany.

Skierował się ku drzwiom.

- Dokąd pan idzie? - zawołał za nim Nick, ale ten zignorował pytanie. Prawdopodobnie to wszystko niewiele go obchodziło.

Minęły trzy godziny. Cisza, spokój. Nick zajął się czytaniem grubych stosów wydruków, które ze sobą przywiózł.

Wspomnienia natychmiast powróciły. Oczami wyobraźni zobaczył rozkład fabrycznych budynków i granice strefy skażonej. Pamiętał to wszystko tak dokładnie, jakby minęło nie kilkanaście lat, ale dni. Przygotowanie do oczyszczania Newark było pierwszą operacją, w której pełnił funkcję inspektora bezpieczeństwa pracy, i za wszelką cenę nie chciał tego zawalić. Dobrze wypełnione zadanie wiązało się ze sporym sukcesem zawodowym.

Kilka miesięcy przed pojawieniem się ekipy wejściowej - kowbojów w srebrnych kombinezonach - przybył tutaj wraz ze swoimi ludźmi, aby pobrać próbki z gleby, powietrza i wody. Należało zlokalizować ewentualne wycieki, które mogły wystąpić w ciągu lat, zagrażając rybnym i wiewiórkom. Paskudna, brudna robota - przemoczone nogi, żaloba za paznokciami. W rezultacie powstał niemały stosik raportów, map i diagramów, które empirycznie pokazywały, jak niewiele ktokolwiek wiedział na temat piwnicy Wuja Sama w Arkansas.

Czasami brak informacji mówił równie dużo, co mnóstwo danych w komputerze. Przeglądając w zatęchłym pokoju motelowym te stare mapy i wykresy, Nick przypomniał sobie bezsenne noce, kiedy powstawały te dokumenty. On był odpowiedzialny za dobór sprzętu, jakiego mieli użyć Silverados podczas pierwszego wejścia, więc ewentualne kary w postaci niebotycznych sum pieniężnych, gdyby błędnie obliczył ryzyko, spędzały mu sen z powiek.

W końcu, oczywiście, realia okazały się o wiele bardziej przerażające niż najgorszy z

koszmarów. Po prostu nie przewidział możliwości ataku.

Czy Silverados zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa? Słyszeli jedynie eksplozje, jeżeli w ogóle zdążyli je usłyszeć. W czasie najgłębszej depresji Nick zastanawiał się, ilu spośród nieżyjących kolegów przeklinało go w ostatnich chwilach za to, że spieprzył tę jedyną pracę, jaką miał do wykonania.

Prawie nie było do tej pory dnia - nawet przed ponownym pojawieniem się w wiadomościach Jake'a i Carolyn - w którym nie przypominałyby mu się te ciała, leżące na drodze prowadzącej do magazynu B-2740. Ludzie z grupy dekontaminacyjnej i z administracji ugotowali się żywcem, zanim ktokolwiek spróbował do nich dotrzeć. Ci, którzy znajdowali się najbliżej otwartych drzwi wylotowych, wtopili się w księżycowe kombinezony. Taka widać była ostatnia wola wściekłego ognia, któremu po prostu pozwolono płonąć. Ludzie zmienili się w kawałki mięsa porzrywane wewnątrz ochronnych strojów; krew wyparowała z nich tak, jakby jej nigdy nie było.

Nick odtwarzał w pamięci akcję ratowniczą, podczas której skażone zwłoki umieszczano w ogromnych gumowym workach, specjalnie zaprojektowanych bardziej na wypadek napromieniowania, niż skażenia substancjami chemicznymi. Ciała odsyłano do bazy wojskowej w celu dekontaminacji i dokonania sekcji zwłok.

Inaczej postępowano z ekipami wejściowymi. Te ciała zostały skażone w zbyt dużym stopniu. W przeciwieństwie do odczynników biologicznych, które ginęły w bardzo wysokich temperaturach, odczynniki chemiczne z magazynu B-2740 jedynie zmieniały postać, łącząc się ponownie z produktami spalania i tworząc w ten sposób nowe, potencjalnie jeszcze bardziej niebezpieczne związki. Produkty takich reakcji są stosunkowo łatwe do przewidzenia na początku, kiedy w procesie uczestniczą znane substancje, ale w miarę jak dołącza ich coraz więcej, lista potencjalnych kombinacji wzrasta geometrycznie, szybko osiągając punkt, w którym znaczące przewidywania stają się niemożliwe. W przypadku katastrofy w Newark, gdzie nikt nie znał nawet wyjściowych związków chemicznych, istniało nieskończenie wiele możliwości.

Podczas pożaru magazyn zamienił się we wrzący kocioł ognia i dymu. Płonące paliwo raketowe i środki wybuchowe zapalały chemiczne głowice bojowe, podnosząc temperaturę we wnętrzu budynku do pięciuset stopni Celsjusza. Zgodnie z raportem, piekło rozpętało wichurę, wsysając ogromne ilości powietrza przez otwarte drzwi, te same, przez które ognista kula próbowała się ulotnić, co powodowało ciągłą recyrkulację trującej atmosfery.

Wobec tak wielu niewiadomych, zawodowi malkontenci i dranie od kamer z Agencji Ochrony Środowiska zrobili, co umieli: załatwili sprawę w bezpieczny dla siebie sposób,

oświadczając, że próg magazynu jest ostateczną granicą. Nikt nie mógł postawić stopy w środku, nie łamiąc tym samym prawa federalnego. Fakt, że leżały tam ciała czyichś synów, że byli to kiedyś przyjaciele Nicka, potraktowano jako nieistotny szczegół.

Nick myślał o tym, co ma wkrótce zrobić. A jeśli wszystkowiedzący z Agencji mieli rację? Jeśli rzeczywiście pakuje się w sam środek toksycznego koszmaru? Nawet jeżeli wraz z Jakiem i Carolyn udałoby im się zminimalizować niebezpieczeństwo, w jaki sposób można usprawiedliwić podjęcie takiego ryzyka? Powie, że chciał wyprostować przeszłość?

Słyszając warkot zbliżającego się samochodu, spojrzął w okno. Zdał sobie sprawę, że odpowiedź właśnie przybyła.

Travis wysiadł z cadillaca.

- Nie zostanę tutaj - oświadczył stanowczo na widok tego, co pozostało po motelu Quachita Grove.

- Cicho, synku - syknęła Carolyn.

- Ale... - zaperzył się chłopak, lecz dłoń Jake'a, którą poczuł na ramieniu, przekonała go, że rozważniej będzie się zamknąć.

- O mój Boże! - Carolyn, z lekko rozchylonymi ustami, przyglądała się otoczeniu.

- Upiorne miasteczko w Arkansas - odezwał się Jake.

- Wy naprawdę tu spaliście? - zapytał z niedowierzaniem Travis. Jake uśmiechnął się.

- No wiesz, wtedy nie wyglądało to aż tak źle.

Podskoczyli jak na komendę, kiedy otworzyły się drzwi pokoju 24. Mężczyźni równocześnie sięgnęli do swoich kabur. Jake znieruchomiał, gdy zobaczył, z kim ma do czynienia, ale Thorne szedł przed siebie równym krokiem, podnosząc do strzału olbrzymią, chromowaną czterdziestkępiątkę.

- Stój! - krzyknął.

Nick Thomas otworzył szeroko oczy i natychmiast wyrzucił ręce w górę.

- Jezu! - zawołał. - Cholera jasna!

Jake wyciągnął rękę w kierunku Thorne'a.

- Nie! To Nick! Nie strzelaj!

Thorne celował przez kilka sekund, po czym opuścił rewolwer.

- Pieprzeni amatorzy - mruknął, wsuwając broń pod sportową kurtkę. - Jak tak dalej będziesz zaskakiwał ludzi, to młodo umrzesz.

Nick opuścił ręce. Nogi ugięły się pod nim, pobladł na twarzy. Carolyn podbiegła do niego i pomogła mu usiąść.

- Cholera - powtórzył. Zdawało się, że to cały zasób jego słownictwa. - Cholera jasna.

Travis zachichotał, ale pohamował się, kiedy ojciec pacnął go otwartą dłonią w głowę.

- Przepraszam, Nick! - Jake również podbiegł do niego. - Nic ci nie jest?

- Mało mnie nie zastrzelili! - powiedział Nick trzęsącym się głosem. - Wysyłacie jakiegoś zbira, żeby mnie tu przywłócił taki szmat drogi, a potem bierzecie mnie na muszkę?

- To nie żaden zbir - poprawiła Carolyn, ale najwyraźniej nikt nie zwrócił na to uwagi. Jake wzruszył ramionami.

- Nie wiedzieliśmy, że to ty, Nick. Po prostu nas wystraszyłeś. Mężczyzna spojrzał na niego, jakby nagle wyrosło mu trzecie oko.

- Przestraszyłem was? - wyjąkał z niedowierzaniem. - Jezu, Jake, chcieliście mnie zastrzelić za to, że was przestraszyłem? A jakbym to nie był ja?

Jake i Carolyn wymienili między sobą spojrzenia i szybko zmienili temat.

- No dobra. Co nowego? - zapytała Carolyn, uśmiechając się powitalnie. Objęła Nicka ramieniem, a on odwzajemnił jej uścisk.

- Jezu, wyglądacie strasznie - pokręcił głową. Jake pomógł mu wstać na nogi.

- Jak miło, że to zauważyłeś. Dyplomacja to nadal twoja specjalność? Nick chciał się roześmiać, aby rozluźnić atmosferę, ale nie potrafił.

- A tak na serio, Jake, wszystko w porządku? Spojrzenie Donovana mówiło wyraźnie: Oszalałeś?

- Mamy za sobą czternaście ciężkich lat.

- A to kto? - Thomas wskazał na chłopca.

- To nasz syn, Travis - odpowiedział dumnie Jake. - A nasze czternaście lat nie umywa się chyba do jego ostatnich dwóch dni. On o niczym nie wiedział.

Chłopiec uśmiechnął się z zakłopotaniem i wyciągnął rękę, tak jak go zawsze uczono.

- Miło cię poznać, Travis.

Chłopak skinął głową i końcem buta kopnął jakiś kamień. Wystraszył ich nieoczekiwany chrzęst opon na żużlu, ale Jake szybko się uspokoił, widząc, że Thorne nie reaguje.

- To ten kierowca, który mnie tu przywiózł - wyjaśnił Nick.

Kiedy zielony Chevrolet podjechał bliżej, Thorne zamachał do mężczyzny w samochodzie. Rozmawiali chwilę przez otwarte okienko. W końcu Thorne wyprostował się i podszedł do Carolyn.

- No dobra, Promyczku - odezwał się. - Muszę jechać. Pan Sinclair nie chce, żebym rzucał się w oczy. Zostawiam wam cadillaca.

- Nie możesz odjechać! - zaprotestował Travis. - Jesteś tu... - skurczył się pod

przenikliwym spojrzeniem zimnych oczu.

- Wszystko, o co prosiłaś, powinno już być w pokoju. Pan Sinclair powiedział, że zajmie się pozostałymi sprawami. Tylko bądź dzisiaj wieczorem punktualnie na lotnisku - wygłosił całą przemowę do Carolyn, tak jakby w pobliżu nie było nikogo innego.

- Dzięki, Thorne - uśmiechnęła się miło i podała mu rękę. Mężczyzna spojrzał zmieszany. - I podziękuj też w moim imieniu wujkowi Harry'emu.

Nagle zdawało się, że Thorne'owi zabrakło słów. Szybko uściskał jej dłoń, odwrócił się na pięcie i zniknął w ciemnościach.

- Cóż, niewątpliwie potrafisz sobie radzić z takimi typami - stwierdził Nick, gdy Thorne wszedł do samochodu.

- Przestań go tak nazywać! - warknęła Carolyn. - Bardzo dużo mu zawdzięczam.

W milczeniu patrzyli za odjeżdżającym chevroletem. Kiedy zniknął z pola widzenia, Carolyn niespodziewanie podniosła drażliwy temat.

- Uda nam się to wszystko zorganizować, czy nie?

Bonnie Jerome zerknęła na zegarek. Zrezygnowała z lunchu, czekając na telefon od Frankela, a teraz dochodziła już druga i jej żołądek był gotów zjeść siebie samego.

Do diabła z nim, powiedziała sobie w duchu. Jeżeli pan Ważniak nie ma na tyle przyzwoitości, aby oddzwonić, to ona nie ma zamiaru czekać cały dzień. Dlaczego te typy na kierowniczych stanowiskach uważają, że ludzie nie mają nic lepszego do roboty, niż czekać, aż szefowie łaskawie poświęcą im nieco swej drogocennej uwagi?

Najbardziej irytowało ją to, że jej samej kompletnie nie zależało na tej cholernej rozmowie. Prawdopodobnie chodziło o jakiś błąd komputera. Przy jej szczęściu Frankel, o ile w ogóle oddzwoni, zarzuci ją stwierdzeniami typu jaki to on jest ważny i, co za tym idzie, nie ma czasu na podobne błahostki. Tego Bonnie mogła się spodziewać po rozmowie z sekretarką pana Frankela, której nie chciała powiedzieć, jaką to ma dla niego wiadomość.

- Mam dostęp do wszystkich danych - zauważyła sekretarka.

- Według tej informacji - nie - skontrowała Bonnie i rozmowa szybko się skończyła.

Może powinna sama zadzwonić i mieć to już z głowy; po prostu zostawić wiadomość sekretarce i zająć się swoimi sprawami. Nie chciała się do tego przyznać przed sobą, ale perspektywa rozmowy z prawdopodobnym następcą tronu męczyła ją. Biorąc wszystko pod uwagę, byłoby o wiele lepiej...

Na dźwięk telefonu podskoczyła prawie pod sufit. Tak było przez cały dzień. Za każdym razem, kiedy telefon ożywał, sądziła, że to On. I dzwoni tylko po to, aby okazało się, że Bonnie nie ma dla niego żadnych rewelacji.

Tylko się zanadto nie przejmuj - powiedziała sobie w duchu.

Telefon zadzwonił ponownie. Bonnie trzymała rękę nad słuchawką, dopóki nie przebrzmiał trzeci sygnał.

- Systemy informatyczne - odezwała się. - Tu Bonnie Jerome.

- Łączę z zastępcą szefa - rozpoznała głos sekretarki i zanim zdążyła cokolwiek powiedzieć, usłyszała sygnał oczekiwania.

No to mam, czego chciałam.

Jedno kliknięcie i po drugiej stronie linii rozbrzmiał męski głos.

- Witam, panno Jerome, tu Frankel. Rozumiem, że ma pani dla mnie jakąś wiadomość? To był naprawdę on! Rozpoznała ten głos z telewizji oraz ze szkoleniowych filmów.

- Hmm, dzień... dzień dobry panu - wyjąkała. - Dzięk... hmm... dziękuję, że pan dzwoni.

- Czym mogę służyć? - nagle przyjął zupełnie beznamiętny, oficjalny ton.

- No cóż, pracuję w systemach informatycznych. Faktycznie nadzoruję...

- Wiem, kim pani jest, panno Jerome - przerwał Frankel. - To naprawdę bardzo pracowity dzień. Gdyby tak zechciała pani przejść od razu do sedna...

Skąd on wie, kim jestem? - krzyczały myśli Bonnie.

- Oczywiście. No cóż, dzisiejszej nocy dostaliśmy wiadomość, że ktoś z Agencji Ochrony Środowiska natrafił na plik, który najwidoczniej utajniono w pewnym okresie...

- Plik? - irytacja w głosie Frankela ustąpiła zainteresowaniu.

- Tak. Plik komputerowy. Dotyczący Newark, w Arkansas.

- Tak - wymówił to słowo szybko i dobitnie. - A zatem słyszał pan o tym? - zapytała.

- Słyszałem? O Boże, panno Jerome, czy pani mieszka w jaskini?

O la la! Najwyraźniej zdradziła się ze swoją ignorancją. W siedzibie FBI wychodzono z założenia, że wszyscy oglądają wiadomości i czytają gazety. Brnęła więc dalej.

- Tak czy inaczej, ostrzeżenie przy tym pliku mówiło, że gdyby ktokolwiek dostał się do niego, należy o tym natychmiast pana poinformować. Oczywiście, ponieważ ten dostęp pojawił się w Agencji...

- Może pani podać nazwisko? - wtrącił Frankel. To pytanie wytrąciło ją z równowagi.

- Hmm, ta... tak. Nazywam się Bonnie Jerome, pracuję w syste...

- Nie pani nazwisko, na miłość boską! - zagrzmiał. - Osoby, która odczytała ten plik! Czy ma pani nazwisko tego, kto dostał się do niego?

Bonnie podskoczyła przestraszona tonem jego głosu i z niewyjaśnionej przyczyny zachciało jej się płakać. Dlaczego on tak wrzeszczy? Zaczęła przeglądać wydruk w poszukiwaniu nazwiska. Powinno być gdzieś na górze, między wersami pozornie bezsensownego tekstu. Zawsze miała problemy z odnalezieniem podpisów.

- O, jest - powiedziała z ulgą. - Nicholas Thomas.

Usłyszała, jak Frankel wyszeptał do siebie to nazwisko, jakby je smakował.

- Nick Thomas?

Bonnie wzruszyła ramionami, jakby mógł dostrzec ten gest.

- No, chyba tak - powiedziała do głuchego już telefonu.

Kiedy zadzwonił telefon, Melissa Thomas miała ręce upaprane po łokcie gliną. To było pierwsze z zamówień świątecznych - od bogatego patrona muzeum w Los Angeles - i gdyby nie zabrała się za nie szybko, wkrótce musiałyby oddawać mnóstwo forsy bardzo wielu bardzo zawiedzionym osobom. Kiedy po raz pierwszy pomyślała o rozesłaniu katalogu ze swoimi

pracami, nigdy, przenigdy nie wyobrażała sobie, że trafi na taki odzew.

- Lauren, kochanie, możesz odebrać? - zawołała do pięcioletniej dziewczynki. - Powiedz, że mamusia nie może podejść do telefonu. - Odgłos szybkich kroczków oznaczał pełne zachwyty "tak".

Nick wyjechał na jakieś służbowe spotkanie, więc sama nie tylko musiała realizować wszystkie zamówienia, ale także lepić, wypalać, malować i lakierować pięć garnków dziennie, aby dotrzymać terminów. Było to wykonalne, ale bardzo trudne.

Melissa usłyszała, jak Lauren podnosi słuchawkę i wsłuchuje się w standardowe pytanie.

- Niestety, nie może podejść do telefonu - cienki głosik wywołał uśmiech na twarzy matki.

Wyrobienie gliny miało terapeutyczny wpływ, skłaniało do refleksji i zadumy. Gdyby Nick potrafił się odciąć od przeszłości, ich małżeństwo właściwie mogłoby przetrwać. Ale jeżeli on sądzi, że ona przeniesie się do Arkansas...

- Ale nie ma go w domu - powiedziała Lauren do słuchawki. Ho-ho! To spora zmiana scenariusza. Ile razy o tym dyskutowali? Lauren nigdy nie miała nikomu mówić, że kogoś nie ma w domu. Melissa wstała i łokciem odkręciła kurek kranu. Właściwa odpowiedź zawsze brzmiała...

- Pojechał do Noah's Ark - mówiła Lauren. Co to, do...

- Lauren! Z kim rozmawiasz?

- Nie! - sprzeciwiła się dobitnie Lauren. - Tam właśnie pojechał! Do Noah's Ark!

Melissa zakręciła wodę i schwyciła ręcznik.

- Lauren! Z kim rozmawiasz, młoda damo?

- Tak, no właśnie! - oświadczyła dumnie Lauren. - Newar... Tak jakoś. Właśnie tak.

Melissa podbiegła do córki, ale niedostatecznie szybko.

- Dobrze, nie ma za co. Do widzenia. - Lauren odłożyła słuchawkę.

- Kto to był? - zapytała groźnie Melissa. Lauren wzruszyła ramionami.

- Nie wiem - bąknęła niepewnie, najwyraźniej zdając sobie sprawę, że złamała żelazną zasadę. - Ktoś, kto chciał wiedzieć, gdzie pojechał tatuś.

Melissa westchnęła z niezadowoleniem i oparła ręce na biodrach.

- Młoda damo - powiedziała - usiądziemy sobie teraz i porozmawiamy na temat rozmów przez telefon.

- Bardzo mi się tu podoba - przyznał Jake, mrużąc oczy w słabym świetle.

- Boże, ale tu śmierdzi! - Travis był bardziej krytyczny.

- Czy to ten sam pokój, który zajmowaliśmy poprzednio? - zapytała Carolyn.

Jake zmarszczył brwi i odwrócił się, aby wyrzeć oknem.

- Może - powiedział, zagryzając wargę. - Chociaż myślę, że wtedy mieszkaliśmy trochę dalej. Ale mimo to blisko.

Nick poprowadził ich do stolika karcianego, gdzie zdążył już uporządkować wszystkie dokumenty. Kiedy usiedli, dotknął ramienia chłopca.

- Hej, kolego, wyświadczysz mi przysługę? Travis zerknął na mamę, która pokiwała głową.

- Chyba tak - bąknął.

Mężczyzna wyjął z kieszeni spodni scyzoryk.

- Świetnie. Weź ten nożyk i pootwieraj tamte pudła, dobra? Ale ostrożnie. Przecinaj ostrzem tylko taśmę. Nie chcę, żeby coś w środku się zniszczyło.

Oczy Trávisa rozszerzyły się, ukazując charakterystyczną dla młodego wieku fascynację wszystkim, co lśniące i ostre.

- Nie ma sprawy - odrzekł radośnie. - Mam je tylko pootwierać, czy chcesz, żebym także powyciągał z nich rzeczy?

- Na razie tylko je otwórz. Muszę zrobić inwentaryzację.

Carolyn przechyliła z zaciekawieniem głowę, patrząc na stertę pudeł.

- To sprzęt?

Nick uśmiechnął się dumnie.

- Mhmm. Trzy osoby potrzebują wielu rzeczy, by wejść na poziom A: kombinezony, butle z tlenem, odpowiednie narzędzia...

- Skąd to wytrzasnąłeś? - Jake potrząsnął głową ze zdumieniem. Nick zmarszczył brwi.

- No cóż, nie mogę tego stwierdzić z całą pewnością. Przypadkiem jednak napomknąłem twojemu wujowi, że w Edison w New Jersey znajduje się ośrodek szkoleniowy Agencji Ochrony Środowiska i są tam całe tony takiego sprzętu. Brak kilku zestawów prawdopodobnie nie zostałby nawet zauważony.

- A jestem pewien - Jake uśmiechnął się - że Harry ma mnóstwo przyjaciół w New Jersey, co, Carolyn?

Zarumieniła się.

- Wszędzie ma partnerów, z którymi robi interesy - odpowiedziała, broniąc się słabo.

- A wiem, że potrafi być bardzo przekonujący - dodał Nick.

Było jak za dawnych czasów. Komentarze, złośliwości, sarkazm. Między członkami

ekip wejściowych, typami raczej awanturniczymi i hałaśliwymi, a personelem administracyjnym - do którego zaliczał się Nick - wykonującym co do joty polecenia przełożonych, w sposób naturalny tworzyła się żartobliwa wrogość. Carolyn zawsze stanowiła w tej kwestii wyjątek. Mała Miss Bezpieczeństwa, jak zwykli nazywać ją koledzy. Gdy Silverados uparcie ignorowali codzienne prelekcje Nicka na temat bezpieczeństwa pracy - bekając, pierdząc i drapiąc się po tyłkach - Carolyn ostentacyjnie

wstawiała i kazała się wszystkim zamknąć. Z reguły rozlegały się wówczas wzdychania i uszczypliwe docinki, ale Nick czuł, że w gruncie rzeczy byli jej wdzięczni. Oczywiście nadal zachowywali się jak macho, mimo że podświadomie chłonęli informacje, które ostatecznie miały zapewnić im przeżycie. Oni rzecz jasna nie chcieli słyszeć tych bajdurzeń - bo prawdziwy mężczyzna pali fajkę, ogryza paznokcie i tego typu sprawy - ale skoro ta urocza dama kazała im słuchać... I tym oto sposobem wszyscy zachowywali twarz.

Boże, stanowili taką zgraną ekipę. Ostro pracowali, ostro imprezowali i mieli na swym koncie imponujące osiągnięcia. Co za strata.

Kiedy Travis zabrał się do pracy przy pudłach, dorośli usiedli na zaskakująco niewygodnych krzesłach.

- Zaczniemy zatem - odezwał się krótko Nick.

- Dzięki, że to robisz - powiedziała Carolyn ze szczerego serca. - Nawet się nie domyślałam, dlaczego zdecydowałeś się nam pomóc, ale wielkie, wielkie dzięki.

Nick spojrzał na nią ciepło, wyraźnie poruszony.

- Powinienem był to zrobić już dawno temu - stwierdził. - Nie mogę mówić o piekle, jakie wy musieliście przejść, ale tamten dzień zrujnował również moje życie.

- My tego nie zrobiliśmy, wiesz o tym - odezwał się nagle Jake, po czym spojrzał zakłopotany. - Nie pytałeś, ale chyba powinienem cię o tym zapewnić.

Nick uśmiechnął się, doceniając słowa przyjaciela.

- Dzięki. Szczerze mówiąc, nigdy nie myślałem, że było inaczej - jego słowa na chwilę zawisły w powietrzu. Najwyraźniej zostało coś jeszcze do powiedzenia.

Nick uśmiechnął się.

- No cóż, ten, kto was wystawia, zrobił kawał niezłej roboty - zwrócił się do Jake'a. - Powiedz mi o tych zwłokach w magazynie.

Jake opowiedział ze szczegółami.

- Ty też słyszałaś, jak mówił wtedy o tym szkielecie? - zapytał Nick Carolyn.

- Oczywiście. A ty nie? Pokręcił przecząco głową.

- Nie mogliśmy korzystać z otwartego kanału, pamiętasz? Sean Foley, kierownik

projektu nie chciał, żebym przeszkadzał. Powiedział, że jak będzie czegoś potrzebował, to poprosi sam. - Rozmowa wzniesła stare emocje, ale Nick szybko powrócił do spraw bieżących. - Myślicie, że ktoś monitorował radio? - ciągnął. - Że słyszał, jak znalazłeś ten szkielet, i po prostu zaczął strzelać?

Jake wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Nie sądzę. Myślę, że od samego początku planował wszystkich zabić.

- No dobrze, moi drodzy, spekulacje na później - ucięła pogawędkę Carolyn. - Mamy robotę do zrobienia. Nick, ty jesteś magikiem od techniki. Czy istnieje duże prawdopodobieństwo, że dożyjemy jutra, jeśli się zdecydujemy na wejście?

Jake rzucił jej pełne dezaprobaty spojrzenie i skinął na pochłoniętego rozpruwaniem kartonów Trvisa, który zdawał się niepomny tego, o czym rozmawiają. Ten dzieciak miał już dosyć zmartwień.

- Szczerze mówiąc, powinno to być całkiem bezpieczne wejście - odrzekł raźnie Nick. - Ale z drugiej strony, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim też tak sądziłem. Mamy sprzęt na poziom A, lecz myślę, że tym razem zagrożenie jest dość szczególne. Po czternastu latach nie unosi się tam żaden gaz, a jeśli kiedykolwiek były jakieś ciecze, dawno już wyparowały, może nawet uległy biodegradacji. Pozostało jednak mnóstwo naprawdę pa-skudnego świństwa, jak pył, osady i popiół. Nie powinniśmy tego wdychać.

- Dlaczego? - zapytał Travis, podnosząc wzrok znad pudeł. - Co by się wtedy stało?

To tyle na temat niezwracania uwagi, co się dzieje wokół - pomyślał Jake. Nick spojrzał na chłopca i uśmiechnął się.

- Cóż, Travis, nie wiemy na pewno. To zależy od tego, co tam wcześniej było i jak się wymieszało podczas pożaru. Spodziewam się poważnego dyskomfortu w układzie oddechowym. Może również problemów z innymi układami wewnętrznymi. Prawdopodobnie wątroba i nerki. Szczerze mówiąc, wszystko ma wpływ na działanie tych narządów.

- To oznacza, że miałbyś kłopoty z oddychaniem i poważnie się rozchorował - przetłumaczyła Carolyn, otrzymując w zamian spojrzenie mówiące: Przecież głupi nie jestem.

- A co ze strażnikami? - spytał Jake. - Czy to duży problem?

Nick przerzucił papiery. Znalazł ten, którego potrzebował: zdjęcie z lotu ptaka ukazujące magazyn i teren dokoła.

- Szczerze mówiąc, to chyba nic wielkiego - wytłumaczył. - W agencji panuje ogólne przekonanie, że na ogół ludzie nie mają tendencji samobójczych. Sądziliśmy, że ustawiając dwa koncentryczne ogrodzenia tutaj i tutaj - wskazał końcem ołówka - oraz umieszczając co parę metrów znaki z napisem "Niebezpieczeństwo! Wejście grozi śmiercią!", odstraszymy po-

tencjalnych ciekawskich.

Uśmiechnęli się.

- A zatem nikt nie widział konieczności zatrudnienia strażników. Byłaby to nie tylko strata czasu. Pracując ponad osiem godzin dziennie przez pięć dni w tygodniu... kto wie? Mogliby ulec jakiemuś skażeniu.

Carolyn nie mogła uwierzyć.

- Chcesz powiedzieć, że nikt nawet nie obserwuje tych ogrodzeń? Mężczyzna pokręcił przecząco głową.

- Nie dokładnie. Jeśli spojrzysz tu na mapę, zobaczysz, że ten stary system dróg - zbudowany Bóg wie kiedy - wciąż istnieje. Ta droga, o tutaj, przebiega najbliższej strefy zagrożonej, w odległości około stu metrów, a ta tutaj - przesunął ołówek - mniej więcej półtora kilometra. Kiedyś uznaliśmy, że sensownie będzie wykorzystać te drogi jako naturalne bariery i zbudować wzdłuż nich zewnętrzne ogrodzenia. Tak więc trzy razy dziennie jakiś glina jeździ tam w poszukiwaniu ewentualnych problemów.

- Problemów typu...? - przerwała mu Carolyn. Nick wzruszył ramionami.

- Do diabła, nie mam pojęcia. Jakichkolwiek. Dziury w ogrodzeniu? Ptaki spadające z nieba?

Wyobrażenie ptaków wzbudziło śmiech Trvisa. Jake odwrócił się i spojrzał na syna.

- Proszę bardzo, podejdź tu i dołącz do nas. Bardzo bym nie chciał, żebyś przetrenował sobie słuch.

Travis posłał mu uśmiezek, po czym powrócił do przecinania taśm.

- Nie, w porządku. Dobrze mi tutaj.

- Nie chcesz chyba powiedzieć, że znasz grafik tych strażników? - zapytała Carolyn.

Nick rzucił jej skromne spojrzenie i podniósł kolejny arkusz papieru.

- Pani Donovan - rozpoczął. - Którą to mamy godzinę? - Spojrzał na zegarek. - Mniej więcej druga. Następny patrol jest o trzeciej, a potem przerwa do dziewiątej. Myślę, że wejdziemy o trzeciej trzydzieści, zrobimy co mamy do zrobienia i wrócimy do Little Rock przed zapadnięciem zmroku.

Jake przeniósł wzrok na Carolyn. Spojrzała na niego niespokojnie. A więc to miało naprawdę się stać. Stracone lata, nieustanna ucieczka, nowe dokumenty, kłamstwa - wszystko sprowadzało się do jednej prostej decyzji. Czy to mogło być aż tak proste?

- Brzmi to jak konkretny plan - przyznał Jake.

Obserwując zmieniający się krajobraz Wirginii Zachodniej półtora kilometra poniżej, Irene próbowała wymyślić przyczynę, dla której Donovanowie wrócili do Arkansas - na "miejsce zbrodni". Chryste, to brzmiało jak wyświechtany frazes. Nie cierpiała tych słów. Ci ludzie ukrywali się tak długo. Jakie korzyści widzieli w wyjściu na światło dzienne? To się kupy nie trzymało.

Frankel jednak był całkowicie przekonany; kiedy siedziało się w takim gabinecie, nawet podejrzenie nabierało wagi prawa. Nie raczył jednak wspomnieć, skąd o tym wie. Jakiś pracownik Agencji Ochrony Środowiska znalazł coś w komputerze, ale nerwowa rozmowa przez komórkę, a w szczególności pompatyczny ton Frankela przyćmiły połowę szczegółów, niezbędnych aby Irene mogła w pełni zrozumieć stan rzeczy. Nie przejmowała się jednak. Jej ludzie w Charleston poskładają wszystkie fragmenty w sensowną całość.

Na ironię zakrawał fakt, że Irene otrzymała wiadomość od Frankela w chwili, gdy jej ekipa znalazła białą furgonetkę Donovanów, porzuconą w walącej się, starej stodole. Donovanowie wykazali się niezwykłym opanowaniem i stalowymi nerwami, pozostając w centrum zakrojonych na pełną skalę poszukiwań. Fakt faktem, że postąpili właściwie. Gdyby próbowali uciekać, niewątpliwie zostaliby złapani.

Oni zawsze postępują właściwie - pomyślała Irene - To naprawdę zaczyna mnie wprowadzać z równowagi.

Sądząc po sprzęcie i zapasach, jakie pozostawili w furgonetce, nie spodziewali się, by schwytano ich w Wirginii Zachodniej. To akurat, jak stwierdziła, było pozytywnym aspektem. Im bardziej pokrzyżuje im plany, tym większe prawdopodobieństwo, że popełnią błąd.

Domyśliła się, że zaplanowali sobie długi tramping. Furgonetka pełna była śpiworów, latarek, nafty do lamp oraz puszek z jedzeniem - mieli tam wszystko, co potrzebne, aby na wiele tygodni ukryć się przed cywilizacją, pomimo nadchodzącej zimy. Co ciekawsze, porzucili cały arsenał broni: trzy strzelby, rewolwer i dostatecznie dużo amunicji, aby najechać Meksyk. Szczerze mówiąc, ta broń nieco ją zdezorientowała. Czy powinna odczuwać ulgę, że nie zabrali tego wszystkiego ze sobą? A może raczej się przejmować, czy aby nie są w posiadaniu bardziej śmiercionośnej broni?

Zawsze lepiej przyjąć tę gorszą alternatywę. Dlatego też listy gończe zawierały informację: "uzbrojeni i bardzo niebezpieczni".

Przez kilka minut - przed telefonem Frankela - Irene była przekonana, że przejrzała ich strategię. Najwyraźniej Donovanowie nauczyli się sztuki przetrwania w naturalnych warunkach. Podejrzenie to uzasadniały czasopisma i literatura znaleziona w przyczepie w

Phoenix. Mogła się założyć, że ruszą w stylu von Trappa po górskich szczytach. Zaczęła już nawet mobilizować ekipę poszukiwawczą w kooperacji z szeryfem federalnym oraz ze strażą leśną, kiedy rozmowa z szefem sprowadziła ją na ziemię.

Jak, do diabła, dostali się do Arkansas? Odpowiedź: dzięki czyjejś pomocy. Paul z trudem zdołał opanować wzburzenie. To on pierwszy podejrzewał Donovanów o kontakty z Harrym Sinclairem - tym tajemniczym człowiekiem - i niewątpliwie wyglądało na to, że miał rację.

Irene zamknęła oczy, wsłuchując się w warkot helikoptera. Oparła głowę o przegrodę i próbowała ustalić, czy zrobiła wszystko, co należało. Dlaczego nie potrafiła posunąć tej sprawy naprzód? Zazwyczaj śledztwo przybierało określony rytm i kiedy już się w niego wpadło, opracowywało się plan schwywania przestępcy. W tym przypadku Irene zawsze pojawiała się za późno, i to tylko po to, aby się po raz kolejny przekonać, że Donovanowie znów okazali się sprytniejsi. Cała ta sprawa zaczęła nabierać charakteru przygody. Zakładając, że Frankel nie mylił się - to znaczy, że Donovanowie istotnie wrócili do Newark - mogła jedynie przypuszczać, że zrobią swoje i uciekną szybciej, niż ktokolwiek zdąży się zorientować.

Ale co mogli zyskać, powracając do tego miejsca?

Przekartkowała raporty dotyczące tej sprawy, odhaczając kolejne punkty, ale wciąż nie wiedziała, co mogła pominąć. Biuro w Little Rock wysłało agentów do Newark, a ona poinformowała tamtejszego szefa policji - faceta o nazwisku Lundsford - żeby miał na oku to miejsce. Jeżeli dokonała właściwych obliczeń, to federalni dotrą na miejsce zbrodni za półtorej, może za dwie godziny, co uzależniało ją całkowicie od umiejętności miejscowych gliniarzy. Na wspomnienie Sherwooda i jego drużyny w Phoenix wszelki optymizm ulotnił się z niej jak dym z komina.

Według oficjalnych danych, dawna fabryka w Newark rozciągała się na powierzchni około hektara. Faktycznie teren ten obejmował siedemset pięćdziesiąt hektarów. Niektórzy przedsiębiorcy po prostu nie chcieli zamieszczać nazwy korporacji na własnych wizytówkach.

Jake odniósł wrażenie, że ponownie wkracza w koszmar. Prawie nic tutaj się nie zmieniło. Tereny, które zostały tak skrzętnie wypielęgnowane w okresie rozkwitu fabryki, w większości padły ofiarą agresywnej roślinności Arkansas. Wysokie trawy pochłonęły całe budynki, a drogi popękały pod naporem przebijających się korzeni.

Duży cadillac sprawiał komiczne wrażenie. Zupełnie nie pasował do otoczenia, podskakując na wybojach i wyrzucając na boki żużel, gdy jechali ku środkowej części sektora południowo-zachodniego. Stroje ochronne były ważniejsze niż komfort jazdy i zmuszały teraz wszystkich z wyjątkiem kierowcy - Nicka - do siedzenia w niewiarygodnych wprost pozycjach

i trzymania się wszelkich możliwych wystających części, aby nie wylecieć przez dach albo nie zostać zmiażdżonym przez spadające pudło.

- Jesteś pewien, że wiesz, gdzie jedziesz? - zapytała z wahaniem Carolyn.

- W stu procentach! - Nick zawołał głośno, żeby go słyszano pośród chrobotu i skrzypienia przesuwającego się sprzętu. - Czekając na was, bardzo dokładnie przestudiowałem mapy. Na razie wszystko wygląda tak jak powinno.

- Ile jeszcze? - zapytał Travis. Z jego głosu można było wywnioskować, że nie jest mu łatwo przyzwyczać się do butli z tlenem.

Nick wzruszył ramionami.

- Może dwie minuty? Może dziesięć? Trudno powiedzieć. Okazało się, że cztery. Droga dojazdowa kończyła się na ogrodzeniu niknącym w dali po lewej i prawej stronie. Co kilka metrów, na wysokości ramion, wisiały na łańcuchu czerwono-białe znaki z napisem:

NIEBEZPIECZEŃSTWO
STREFA SKAŻENIA
WEJŚCIE GROZI ŚMIERCIĄ
NIEBEZPIECZEŃSTWO

- Jesteśmy na miejscu - zakomunikował Nick. Wykonał zamaszty ruch ręką odzianą w lateksową rękawicę. Nie chciał popełnić przynajmniej tego jednego głupiego błędu i zostawić odcisków palców.

Nie odpowiedzieli, w milczeniu wpatrując się w znak ostrzegawczy. Carolyn ścisnęła rękę syna.

- Czułbym się o wiele pewniej, gdyby był tu ten facet, Thorne - mruknął Travis. Niepewność w jego głosie ściągnęła spojrzenie ojca, więc dodał szybko: - Bez obrazy.

Jake nie zareagował.

- I co robimy? - spytała Carolyn. - Nie możemy wlec tego sprzętu przez las kolejny kilometr.

- Tutaj w ogrodzeniu jest jakaś brama - zauważył Travis. Nick pokręcił głową.

- Nic z tego, po otwarciu włączy się alarm. Musimy sforsować ogrodzenie. Jake się skrzywił.

- Mają alarm na głupiej furtce, ale nic się nie dzieje, jak przetniesz siatkę?

- Jake, kto zdrowy na umyśle chciałby się tu włamywać? - Nick roześmiał się. - Nic tu przecież nie można ukraść. Ten alarm blokuje tylko bramę.

Pośród sterty sprzętu przesłanego przez znajomych Harry'ego Sinclaira z New Jersey znajdowały się dwie pary przecinaków do drutu o długich uchwytach, co bardzo ułatwiło wykonanie tego, czego ludzie zdrowi na umyśle nigdy nie odważyliby się zrobić. Wycięli dziurę na tyle dużą, by przejechał przez nią samochód.

Jake skrzywił się boleśnie, słysząc, jak metalowe druty zdzierają lakier z wozu.

Gdy znaleźli się po drugiej stronie, Nick skierował samochód z powrotem na drogę. Niespełna kilometr dalej dotarli do kolejnego ogrodzenia z bramą. Nick odwrócił się.

- Jesteśmy - oświadczył. - Strefa skażona niebezpiecznego obszaru.

- W samym środku lasu? - zdziwił się Travis. - Myślałem, że zobaczę tu jakieś magazyny.

- Przyjrzyj się dokładniej. - Carolyn wskazała ręką. - Są. Tyle że zarosły. W czasach swojej świetności teren był zadbany, trawa systematycznie koszona - zielona równina rozpościerająca się od horyzontu po horyzont, idealnie płasko, z wyjątkiem nie kończących się rzędów magazynów, które wyrastały z ziemi jak grzywy fal na morzu zieleni. Z lotu ptaka to miejsce wyglądało wówczas jak ośła łączka na pozbawionym śniegu stoku narciarskim, zbyt idealnym jak na przypadkowy twór natury.

Dziś przyroda pochłonęła cywilizację. W miejscu gdzie kiedyś przebiegały drogi, teraz rosły drzewa, a gęste poszycie - głównie kudzu, wymieszane z niezliczoną różnorodnością krzaków charakterystycznych dla tego regionu - dawno temu zdusiło trawiasty kobierzec. Przemysłowy obserwator doszedłby do wniosku, że ten dziewiczy las rośnie tu od zarania dziejów. Po bliższym przyjrzeniu się spod gęstwiny zieleni wyłaniał się pewien wzór: teren podnosił się i opadał dokładnie na tę samą wysokość i dokładnie w tych samych odległościach. Travis wpatrywał się w krajobraz jak w wygenerowany komputerowo trójwymiarowy wytwór czyjejś wyobraźni, a im dłużej się przyglądał, tym bardziej zaczynało mu to przypominać przechowalnię ładunków wybuchowych, jaką kiedyś było.

Obraz nabrał klarowności w chwili, gdy chłopiec ujrzał stalowe, wypełnione betonem drzwi, cofnięte nieco w zarośniętym tunelu, dokładnie pośrodku jednego ze wzgórków. Gdy rozpoznał jedne, łatwiej mu było lokalizować kolejne. Po chwili widział już kilkanaście.

- Niesamowite - wysapał zdumiony. - To wszystko jest takie nierealne.

- Nick, czy nic nam nie grozi? - zapytała Carolyn. Nick pokręcił głową.

- No cóż, nie chciałbym tu budować swojego wymarzonego domu, ale nie powinno się nam nic stać. A już na pewno nie, jeśli nie zabawimy w środku zbyt długo. - Wsiadł z samochodu. Pozostali podążyli za jego przykładem i podeszli do ogrodzenia. Wycięli dostatecznie dużą dziurę, żeby przejść na drugą stronę, gdzie wspięli się na szczyt najbliższego

wzgórka.

- Widzicie tam? - zapytał Nick wskazując ręką. Dwa rzędy dalej z pewnym trudem dostrzegli brązowo-czarną plamę na tle jasnego, jesiennego ubarwienia roślinności. - Oto i nasz cel - oświadczył.

- Boże! - Jake nie potrafił powstrzymać emocji. - Księżycowy krajobraz.

- Prawie - zgodził się Nick. - Przez następne sto lat niewiele tu urośnie. - Spojrzał na Carolyn, a potem przeniósł wzrok na przyjaciela. - Gotowi do rock and rolla?

- Hmm - chrząknął Travis z dziwnym wyrazem twarzy. - Ja... ja nie mam pojęcia, jak się posługiwać tym sprzętem.

Jake uśmiechnął się i zmierzwił mu włosy. Schodzili po stromym zboczcu.

- To dobrze - powiedział. - Bo ty zostajesz tutaj.

- Nie ma mowy!

Jake stanął w pół kroku i spojrzał na chłopca bez cienia uśmiechu.

- Nie dlatego, że nie jesteś dostatecznie dobry, Travis, albo nie dość mądry czy silny. Dlatego, że mamy tylko trzy kombinezony. Musisz zostać tutaj i uważać na strażników. Jeśli cokolwiek usłyszysz, musisz nas ostrzec.

Travis przez dłuższą chwilę wyglądał tak, jakby miał zamiar się sprzeczać. W końcu nie odezwał się ani słowem i zabrał się za rozładunek samochodu.

Zastępca szeryfa, Sherman Quill, mamrotał coś pod nosem, wyjmując pałkę zza pasa i wsuwając ją w specjalny otwór obok siedzenia kierowcy. Nie cierpiał tam jeździć.

Od czasu gdy zaczął pracować w zawodzie, baza w Newark stała się zmorą jego życia. Ciągłe działy się tam jakieś pieprzone rzeczy, a ponieważ było ich w departamencie tylko dwóch, on odbierał pięćdziesiąt procent telefonów. Z jakiegoś niewiarygodnego powodu miejscowe nastolatki - do diabła, też mi miejscowe, aresztował ich w Little Rock - uważały to miejsce za wyjątkowo romantyczne.

Jak dotąd, nikt z nich nie okazał się na tyle głupi, żeby przechodzić przez ogrodzenie, aby się pieprzyć, ale bywali już cholernie blisko. Zdradzało ich dłubanie w zamkach na bramach. Nie miał wątpliwości, że gdyby nie drut kolczasty na ogrodzeniu, ludzie przechodziliby przez nie codziennie. Świry.

Teraz jechał na "kontrolę", cokolwiek to, do cholery, oznaczało. Jakaś ważna damulka z FBI dzwoniła do szefa i powiedziała, że należy się spodziewać kłopotów. O ile Sherman dobrze usłyszał - a chyba usłyszał, bo szef powtarzał to dwukrotnie - ci sami ludzie, którzy wzniecili to całe zamieszanie, wracali teraz, żeby zrobić to raz jeszcze.

- W ogóle się kupy nie trzyma - mruknął cofając swoim dziesięcioletnim fordem. - Tam już nie ma co się palić, na miłość boską.

Cholernie miło było jednak pomyśleć, że istniała możliwość dostania w swoje ręce skurczybyków, którzy wycisnęli życie z tego miasteczka. Quillowie żyli tu od wielu pokoleń. Nie ruszyli się stąd nawet w ciężkich czasach - w latach sześćdziesiątych, kiedy Sherman był dopiero nastolatkiem. Wtedy ludzie nie mieli w zwyczaju porzucania starych śmieci. Teraz dzieciaki wyfruwały z Newark, jak tylko wyrastały im skrzydła. Szczęśliwcy lądowali w jakimś koledżu, a potem dostawali przyzwoitą robotę. Inni, tacy jak Sherman, który przebrnął szkołę na ocenach głównie dostatecznych i miernych - mieli problemy ze znalezieniem pracy pozwalającej na godziwe życie. Newark praktycznie wymarło. Przychodnie były otwarte tylko dlatego, że tak nakazywał rząd. Bóg jeden wie, ile mieliby pracy, tyle że żadnego z pacjentów nie było stać na zapłacenie.

Diabli by to wszystko wzięli. Gdyby Shermanowi wpadły w ręce te dranie, które odseparowały jego rodzinne miasteczko od reszty świata, otrzymałby najlepszy prezent w życiu.

Bez względu na to, jak racjonalnie podchodziło się do problemu i na ile słuchało się wszystkich tych napuszonych gogusiów z Agencji Ochrony Środowiska, wysyłanych tu, żeby zapewniać, jakie to wszystko bezpieczne - ciężko było nie słuchać reszty świata. Kiedy wszystkim innym ludziom Newark w Arkansas kojarzyło się z Czarnobylem, trudno było tu pozostać i wmawiać sobie: "Nie, nie. Mój dom jest bezpieczny". Instynkt podpowiadał, aby ich właśnie słuchać. Co więcej, instynkt dodawał, że należy unikać tego miejsca jak zarazy.

Dlatego właśnie Sherman nie cierpiał tu przyjeżdżać. Osiemnaście lat temu został gliniarzem, żeby zwalczać przestępczość i rozprawiać się ze zbrodniarzami. Bóg jeden wie, jak potrafili być niebezpieczni; szczególnie w piątkowe i sobotnie wieczory, kiedy nóż i rewolwer stanowiły świetne uzupełnienie pijackich imprez. Ale najwięksi i najgorsi przestępcy, na jakich się natknął, byli widzialnymi, żywymi istotami. Tam, w Ground Zero, najgorsze niebezpieczeństwo było niewidzialne.

Kombinezony świadczyły o tym najlepiej. Te chemikalia nie wydzielały woni i były bez smaku, a najbardziej toksyczne z nich zabijały przy pierwszym kontakcie. Ci z Agencji najpierw opowiadali takie rzeczy, a potem zapewniali Shermana i jego sąsiadów, że są tu całkowicie bezpieczni. Swoją drogą, rząd naprawdę musiał uważać, że tutejsi mieszkańcy to skończeni idioci.

Sherman zastanawiał się, skąd te wszystkie mądre gogusie wiedzą, że w fabryce nie kryje się nic złego, skoro nie potrafili stwierdzić, czy w ogóle istniało tam jakiegokolwiek

zagrożenie? To wszystko nie miało sensu.

I co robili ci z Agencji Ochrony Środowiska, aby ochraniać mieszkańców? Postawili to cholerne ogrodzenie. Gadają o zagrożeniu, którego nikt nie potrafi wykryć, a potem wznoszą dokoła ogrodzenie! Tak jakby te bakterie, atomy, czy jak tam się nazywa te toksyczne potworki, bały się przekroczyć tę granicę. Kto tutaj sobie z kogo żartował?

Sherman nie był naukowcem; nie miał głowy do nauki i jako pierwszy by się do tego przyznał. Ale wiedział cholernie dobrze, że to, co niewidzialne, nie zatrzymywało się na widok jakiegoś pieprzonego drutu. Wręcz przeciwnie, niesione wiatrem rozprzestrzeniało się błyskawicznie, niszcząc po drodze wszystko i wszystkich. Chyba że rząd wymyślił jakieś szczególne pole energetyczne, o którym nikomu nie powiedział. Z drugiej jednak strony, jeśli te dupki wynalazłyby coś takiego, dlaczego miałyby nikomu o tym nie mówić?

Nie, proszę pana, ogrodzenie to tylko ogrodzenie, nic więcej. Postawiono je, żeby powstrzymywało ludzi i zwierzęta, nic poza tym.

Właśnie, zwierzęta. Sherman pomyślał, że po piętnastu latach życia w sąsiedztwie drutów któregoś dnia wyjdzie z lasu jakiś niezwykle, dziwnie wyglądający łoś. Sherman i jego koledzy - wszyscy zagorzali myśliwi - wiele na ten temat rozprawiali. Sherman zawsze miał ochotę dodać, że pójdzie z tego miasta precz, jeżeli pewnego dnia jeden z tych zwierzaków przemówi do niego ludzkim głosem.

Cholera, jak on nie cierpiał tej roboty.

Ludzie z otoczenia Clayтона Albrichta nazwali jego biuro "Gabinetem Wojny". Ostatnio to miejsce zmieniło się w istny dom wariatów, w którym kilkanaście osób obsługiwało piętnaście linii telefonicznych w zbiorowym wysiłku ocalenia tyłka swego szefa.

Wszyscy stwierdzili zgodnie, że senatorowi nie przystoi siedzenie w domu i stamtąd analizowanie spustoszeń. Przywódca stanu Illinois musiał sprawiać wrażenie silnego i niezachwianego, nawet jeżeli kadłub jego okrętu przeciekał.

Clayton przystąpił do działania około czternastej. Lepiej późno niż wcale. Uśmiechał się grzecznie, machając do morza reporterów i kamerzystów, kiedy cofał swym oldsmobilem z garażu, ale nie odpowiadał na pytania.

- Jest już późno - powiedział przez szybę zza kierownicy, podczas gdy szef jego personelu, Chris MacDonald, oraz rzeczniczka prasowa, Julie Baker, wymknęli się tylnymi drzwiami i pobiegli do swoich samochodów zaparkowanych przecznicę dalej.

Tłum mediów był wart obejrzenia. Clayton, w drodze do siedziby Kongresu ze swego domu w McLean w Wirginii, szczerze martwił się o innych kierowców. Ekipy telewizyjnych były tak pochłonięte filmowaniem każdego ruchu senatora, że prowadzący zapominali o podstawowych zasadach ruchu drogowego. Przy wjeździe na obwodnicę ciężarówka NBC o mało nie wpakowała się na osiemnastokółowego olbrzyma ciągnącego cysterną z benzyną. Dla zachowania bezpieczeństwa senator włączył światła i zwolnił do nienaturalnej prędkości osiemdziesięciu kilometrów na godzinę, pozwalając tym samym ekipom filmującym zaliczyć obowiązkowe zdjęcia polityka w drodze do pracy. Clayton starał się za wszelką cenę zachować obojętny wyraz twarzy, jaki zwykle przybierał na spotkaniach i konferencjach, a równocześnie próbował nie myśleć o tym, jak bardzo chce mu się kichać.

Parking pod gmachem Komisji Senackiej okazał się prawdziwym wychnieniem. Przepisy bezpieczeństwa zabraniały kamerzystom i reporterom wjazdu na jego teren, więc przez kilka minut Clayton znów mógł zebrać myśli, rozkoszując się spokojem w cichym wnętrzu samochodu. Ta paskudna sprawa miała zaledwie dzień, a już zaczynała mu się wymykać spod kontroli.

Senator westchnął. Czekają go ciężkie tygodnie.

Podróż windą trwała zbyt krótko. Kiedy politurowane drewniane drzwi otwarły się na marmurowy korytarz, kłębowisko reporterów podążyło za nim aż do zewnętrznego biura, gdzie Julie Baker zdążyła już przygotować kawę i przekąski dla stada sępów.

W końcu, z ręką na klamce drzwi swego gabinetu, Clayton odwrócił się i po raz pierwszy stanął twarzą w twarz z pogonią.

- Panie i panowie - zaczął, a łagodność jego tonu zmusiła wszystkich do umilknięcia - artykuły wydrukowane dziś rano w "Washington Post" są całkowicie fałszywe. Mam pewne podejrzenia, co mogło spowodować tak zaciekle ataki na moją osobę, lecz dopóki nie zdobędę więcej dowodów, naprawdę nie mam państwu nic do powiedzenia. Obiecuję jednak, że dowiecie się o nich pierwsi. Bardzo dziękuję.

Pokój zalała fala pytań, ale senator odwrócił się i zniknął za drzwiami. Na lewo, w sali konferencyjnej na końcu wewnętrznego korytarza panował hałas, więc tam skierował swoje kroki. Gdy otworzył drzwi i skinął dwoma palcami na Chrisa MacDonalda, w "Gabinecie Wojny" zapanowała cisza. Zgiełk eksplodował na nowo, gdy polityk odwrócił się plecami do zgromadzonych.

- Dzień dobry, senatorze - powitała go Weronika, kiedy przechodził przez jej pokój. W tych niezwykłych okolicznościach wydawała się zbyt radosna, ale Claytonowi zupełnie to nie przeszkadzało. Część jej pracy polegała na nieustannym optymizmie, nawet jeśli nastroje innych były pod psem.

- Dzięki, Ronni - przyjął filiżankę kawy i pozwolił, by kobieta pomogła mu zdjąć płaszcz. - Co u ciebie?

Weronika chrząknęła i zacisnęła wargi, pogłębiając zmarszczki wokół ust.

- Ci dziennikarze doprowadzają mnie do szału - wybuchnęła. - Czasami chciałabym, żeby ktoś spalił wszystkie gazety w tym kraju!

Uśmiechnął się.

- Wiesz co, Ronni, też kilkakrotnie o tym pomyślałem.

- Kupię ładunki wybuchowe - wtrącił Chris MacDonald wchodząc tuż za szefem. Kiedy Chris miał pięćdziesiąt lat, był dzieckiem gabinetu. Dziś, w wieku lat sześćdziesięciu trzech, wzrostem przewyższał innych co najmniej o piętnaście centymetrów.

- Miejmy nadzieję, że w tym pokoju nie ma podsłuchu - mruknął Clayton, po czym poprowadził Chrisa do wewnętrznego gabinetu i zamknął drzwi.

Bez zaproszenia - nie potrzebował takowego po tylu latach - Chris zajął miejsce w skórzanym fotelu naprzeciwko biurka senatora. Pośród panującego chaosu pozostał jak zwykle niewzruszony. Jako dwudziestopięcioletni weteran wojen politycznych senatora Albrichta, Chris MacDonald był dokładnie takim człowiekiem, jakiego powinno się mieć u boku w chwilach kryzysu. Clayton zdawał sobie z tego sprawę. Chris również.

- Pozwolisz, że spojrzę - zaczął Albricht, wyczytując z zachowania szefa personelu, że

nie nadszedł jeszcze czas na pierwsze dobre wieści.

Chris otworzył skórzaną aktówkę, którą trzymał na kolanach, ukazując stertę papierów i gryzmołów.

- Robi się coraz gorzej - powiedział bez ogródek. - Szanowani obywatele z Arizony wzywają pana do rezygnacji z urzędu.

- A to ci niespodzianka - zadrwił Clayton, opadając na skórzany fotel. Chris wyjął z kieszeni okulary i rozłożył je jednym ruchem ręki. Umieścił białe, plastikowe monstrum na nosie, po czym przeczytał głośno.

- "...pedofilia jest tak straszna w oczach Amerykanów, że nawet samo oskarżenie o takie zbrodzenie zmniejsza szansę na zasiadanie..."

- O Chryste! - zagrzmiął Clayton. - I to od człowieka, który pieprzył wszystko co młode i ładne w samej siedzibie Kongresu!

Chris kontynuował, nie zmieniając tempa:

- "...chciałbym wierzyć, że dla dobra nie tylko własnej reputacji, ale i reputacji otaczanej powszechnym szacunkiem Izby, senator z Illinois będzie miał na tyle przyzwoitości, aby zrezygnować z urzędu i oszczędzić nam wszystkim przykrości związanych z nieuniknionym końcem jego kariery". - Podniósł wzrok. - Boże, ale ten człowiek potrafi pieprzyć!

Albricht potrząsnął głową.

- Nie sądzę, żeby wspomniał o miliardach dolarów, które skradł podatnikom tylko po to, aby utrzymywać te bezużyteczne bazy wojskowe w swoim stanie, co?

Chris uśmiechnął się udając, że szuka czegoś w dokumentach.

- Nie, nic podobnego nie rzuciło mi się w oczy.

Zaległa chwila ciszy. Zazwyczaj to Chris pełnił rolę przywódcy tych krótkich sesji odbywających się trzy razy dziennie, ale w obecnych okolicznościach czuł, że senator powinien przejąć inicjatywę.

W końcu Clayton westchnął głęboko.

- Czy ktoś z naszych zwolenników przestał nam pomagać?

Doskonale znał odpowiedź, więc Chris potwierdził ją jedynie spojrzeniem. Albricht rozumiał, że w miarę wzrastania tego obłędu jego koledzy zaczną się od niego odsuwać. Już czuł, że tak się dzieje. Prasa, radio i telewizja odmalowały go w najgorszym świetle, jako zdeprawowanego przestępcę, i choćby ze wszystkich sił przemawiał ludziom do rozsądku, przeważająca część społeczeństwa wierzyła w to, co mówiły media. Niektóre zbrodnie - czy nawet same podejrzenia - były po prostu niewybaczalne dla przeciętnego Amerykanina, a

żaden szanujący się i rozsądny polityk nie dałby swoim wrogom pożywki, jaką było obcowanie nawet na odległość piętnastu metrów z człowiekiem, który pieprzył małych chłopców.

Im bardziej Clayton proklamował swą niewinność, tym bardziej wyglądało, jakby się bronił, a przecież wszyscy wiedzą, że bronią się tylko winni.

Dobry Boże, Frankel naprawdę był niezły. Abstrahując od tego, jak udało mu się to wszystko zorganizować, zrobił kawał dobrej roboty. Oczywiście dla siebie. Na szczęście sama retoryka nie wyrządzała już szkody - co udowadniała codziennie ta kupa gówna, czyli obecny właściciel Białego Domu. Chodziło jedynie o długość macek tej historii. Prezydent i jego przyjaciele czerpali dla siebie korzyść, stając na czele preferowanej przez media strony. Ale kiedy media się znudzą, opinia publiczna zapomni. Niewątpliwie w czasie wyborów jego przyszli oponenti wywloką sprawę z powrotem na światło dzienne, ale do tego czasu emocje głosujących zdążą już zblednąć. Mimo to Clayton nie potrafił sobie wyobrazić pięciu kolejnych lat, w ciągu których ten temat będzie nieustannie powracał.

- Chcę głowy Frankela - oświadczył. Chris wygiął brwi w wysoki łuk.

- Chce pan powiedzieć, że w dalszym ciągu zamierza pan występować przeciwko jego kandydaturze na szefa?

Senator spojrział gniewnie i wypuścił powietrze ustami.

- Pieprzę to jego szefostwo. Gówno mnie to obchodzi. Powieszę tego skurwysyna razem z tym jego dyrektorskim stołkiem. Im wyżej wlezie, tym bardziej tłusta będzie plama, kiedy spadnie na dupę.

Chris stłumił śmiech. Barwna wyobraźnia jego szefa była jednym z atrybutów, który czynił tego najpopularniejszego polityka w Illinois najbardziej znieawidzonym człowiekiem w Waszyngtonie.

- Czyżbym właśnie słyszał tu o jakimś planie, czy raczej to tylko marzenia?

Clayton pochylił się i oparł łokcie o lustrzane, mahoniowe biurko.

- Ten skurwysyn złamał, do cholery, prawo, żeby skrzywdzić mnie i moją rodzinę. Po raz drugi, powinienem dodać. Chcę znaleźć sposób, żeby go udupić, Chris. A kiedy dopnę swego, rozrzucę ochłapy jego ścierwa na oczach całego świata!

Chris zmrużył oczy.

- Co pan sugeruje?

Ton jego głosu zdumiał Albrichta.

- Nie patrz tak na mnie. Nie sugeruję niczego nielegalnego. No, w każdym razie nie tak nielegalnego jak to, co próbował zrobić ze mną.

MacDonald milczał. Poruszył się na fotelu, zamykając skórzaną aktówkę.

- Senatorze - odezwał się ostrożnie - wiem, jak ta sprawa pana deprymuje, ale musi pan pamiętać, z kim mamy do czynienia. To nie jest zwykły rywal polityczny. To szef pieprzonego FBI. I ma pełne poparcie prezydenta Stanów Zjednoczonych. To pan występuje tutaj z pozycji Winowajcy. Jeśli zauważą, że próbuje się pan wykręcić z pułapki, którą tak skrupulatnie zastawili, oskarżą pana o poważne przestępstwo. Ten kraj uwielbia Frankela, a Amerykanie uwierzą, że trawa jest różowa, jeśli prezydent tak oświadczy.

- A wszyscy poza Środkowym Zachodem uważają, że jestem Adolfem Hitlerem - zakończył Albricht.

Chris wzruszył ramionami.

- A czy pan naprawdę chce pozabijać te wszystkie dzieci i starców ze swego otoczenia?

- Nie zaczynaj ze mną! - Clayton pogroził mu palcem, uśmiechając się kwaśno, lecz szczerze. - A zatem, co sugerujesz, Chris? Po prostu usiąść i czekać?

MacDonald wzruszył ramionami.

- No, cóż... tak. Z politycznego punktu widzenia myślę, że to najlepsze rozwiązanie. Jeśli pan pozwoli, to Frankel dostanie swój ważny fotel i z czasem cała sprawa umrze śmiercią naturalną. Za pięć lat, jeśli w ogóle zechce się pan bawić w to niewdzięczne pieprzone zajęcie, szansę będą wciąż takie same.

Albricht odchylił się w tył i odwrócił na fotelu, aby spojrzeć na gmach Kongresu. Przez jakiś czas rozważał radę szefa personelu, po czym powoli obrócił się i spojrzał mu prosto w oczy.

- Do diabła z polityczną ostrożnością. Ostatnim razem pozwoliłem Frankelowi robić to, co chciał. Postanowiłem być pragmatyczny. I co? Ten karaluch powrócił i znów mnie kąsa. Tym razem to już sprawa osobista, Chris.

MacDonald pokręcił głową i zamknął oczy.

- Nie zrobię tego, senatorze, i postępuje pan niewłaściwie, prosząc mnie o to. Janie...

- Na miłość boską, Chris, odpręż się. Nie sugeruję, żeby ktokolwiek łamał prawo, rozumiesz? Nawet nie chcę, żeby je naginać. Chcę tylko, żeby nasi ludzie popracowali nad Frankelem. W idealnym świecie zgromadziłbym na niego tonę gówna i załatwił go na dobre podczas przesłuchania ze świadkami, ale teraz to się nie uda. *C'est la vie*. Frankel ma jednak wielu wrogów w całym kraju i chcę, żebyś poznał ich wszystkich.

- Pod jakimi auspicjami? Albricht wzruszył ramionami.

- Nieważne. Niech to będzie nieoficjalne. Po prostu znajdź ludzi, którzy go nienawidzą, i sporządź jak najwięcej notatek. Prędzej czy później będziemy mieli dosyć materiałów, żeby go zdusić.

MacDonald ponownie otworzył aktówkę i zapisał kilka uwag.

- A co z pieniędzmi na ten cel? - zapytał podnosząc wzrok. Gniewne spojrzenie mówiło: Daj mi spokój.

- Rozumiem. - Chris wstał. - A media? Albricht zmarszczył brwi.

- Powiedz Julie, żeby dobrze ich karmiła.

Otrzymawszy jasne rozkazy, Chris MacDonald wyszedł z gabinetu, zamykając za sobą drzwi.

Zapadła cisza. Senator okręcił się wraz z fotelem, aby spojrzeć na ulubiony widok. Wątpliwości Chrisa były uzasadnione, a Clayton martwił się dalszym ciągiem zemsty Frankela. Niepokoiły go zdjęcia, o których napomknął Wiggins podczas rozmowy telefonicznej - Bóg jeden wiedział, co to za obrzydliwości.

Gra toczyła się o bardzo wysoką stawkę. Prawdę mówiąc, Clayton przestał dbać o swoją przyszłość w senacie - i tak do tej pory nieźle mu szło - ale chodziło mu o to, jak historycy przedstawią tę sprawę.

Clayton Albricht oparł swoją karierę na moralności klasy średniej i to go wiele kosztowało. Podczas gdy jego koledzy kłamali bez zastanowienia, on chełpił się umiejętnością przedkładania mądrości ponad ryzostok politycznego krętactwa. Teraz, kiedy stał nad przepaścią - kolejny bohater gotowy runąć w dół - niewinność i uczciwość w grze stały się jego największymi słabościami, podczas gdy opozycja rosła w siłę dzięki kampanii nieustannego oszustwa.

Może naprawdę nadszedł czas, by przejść na emeryturę? Ostatnimi czasy dużo rzeczy związanych z polityką przestało mu się podobać. Nie mógł jednak poddać się Frankelowi bez walki. W przeciwnym razie dokąd zaszedłby ten świat? Może właśnie takie było posłannictwo Albrichta? Może ta jedna walka, w której Dobry miał zwyciężyć Złego, przyćmi całą jego karierę opierającą się do tej pory na bataliach zgodnych z prawem? Biały kapelusz wygrywa z czarnym, tak jak w filmach, które oglądał w młodości.

Może, po skończonej walce, Piękny Chłopiec zrozumie, że zbyt mocno liczył, iż ludzie zawsze uwierzą blaskowi błękitnych oczu, a nie pomarszczonemu obliczu mądrego starca?

Ale mogło się też okazać, że faktycznie przyszedł czas na ostrożność. MacDonald miał rację co do krzyków o nadużyciach władzy, jakie by się podniosły, gdyby senator kazał swoim ludziom odgrzebywać brudy Frankela. Clayton potrzebował pomocy kogoś innego...

Myśl uderzyła go tak gwałtownie, że odczuł ją niemal fizycznie. Dlaczego wpadł na to dopiero teraz? Nie potrafił tego zrozumieć. Nadszedł czas na dobrą, staromodną politykę w chicagowskim stylu.

A nie znał lepszego gracza od swego starego przyjaciela, Harry'ego Sinclaira. Pomijając zwyczajowe formalności, Clayton wykreślił numer własnoręcznie.

Worek na zwłoki z szybkością.

Jake zapomniał już o szczególnym rodzaju paniki, która ogarniała go za każdym razem, gdy zapinał ten piekielny kombinezon. Świat wydawał się bardzo maleńki, kiedy jedynym słyszalnym dźwiękiem był własny oddech. Sprawdził, czy ma łatwy dostęp do noża, i uśmiechnął się bezwiednie, dotykając niechcący glocka na biodrze. Nie tylko mógł poprzecinać krępujący strój, gdyby zaszła taka konieczność - kilkoma strzałami również mógł wyswobodzić swoje ciało.

Przypuszczał, że ten sprzęt, jak to zwykle bywało ze sprzętem szkoleniowym, był stary, ale funkcjonalny. Przed włożeniem kombinezonów Carolyn uparła się, żeby dokonać próby wytrzymałości materiału, potrząsając nimi w podobny sposób jak przy trzepaniu dywaników, a następnie rozkładając je na ziemi. Zasuwali ekspresy i zwiłali ściśle nogawki i rękawy, po czym wypełniali kombinezony powietrzem. Jeśli nie było wyraźnych ubytków, Carolyn uznawała, że można wkładać.

Z butlą wypełnioną tlenem i z maską na twarzy, Jake wgramolił się z wysiłkiem do kombinezonu i czekał, aż Travis pomoże mu go zapiąć. Przypomnił sobie tępy ból w żołądku, kiedy ostatnim razem patrzył przez podobną osłonę z pleksiglasu, tyle że strzaskaną przez pocisk, który uderzył w sam środek szybki.

Milczeli. Minęło wiele lat, ale Jake pamiętał doskonale, że w tamtych czasach dodawali sobie otuchy żartami, drwinami i udawaniem twardzieli. Teraz odczuwał przede wszystkim strach.

Mam tylko nadzieję, że nie szukamy wiatru w polu - pomyślał. Gdyby ta wyprawa okazała się bezowocna, pozostałoby bez wyjścia.

Travis podchodził do każdego z osobna i zasuwiał grube ekspresy - najpierw Nicka, potem ojca, na końcu matki, przy której zatrzymał się dłużej i powiedział coś, czego Jake nie usłyszał. Padli sobie z nią w objęcia i, przez mgnienie, Jake poczuł ukłucie zazdrości. Mama stawiała się dla chłopca ważniejsza niż tata i Jake w głębi serca zdawał sobie sprawę, że prawdopodobnie miało już tak pozostać na zawsze. Ta świadomość sprawiła, że poczuł ucisk w gardle, a oczy zaszły mu mgłą. Szybko jednak wziął się w garść. Ani czas, ani miejsce nie były odpowiednie na roztkliwianie się.

Kiedy Carolyn została w końcu zamknięta w zielonym, gumowym kombinezonie, podniosła do góry kciuk, a dwaj mężczyźni odpowiedzieli jej tym samym gestem. Nie mieli

łączności radiowej, więc umówili się, że będą przekazywać sobie wiadomości za pomocą prostych gestów, z których najważniejszy był uniwersalny sygnał wzywania pomocy polegający na podniesieniu obu rąk do góry. Nawet kilkanaście lat temu nikt sobie z tego nie żartował. Podnosisz ręce ponad głowę i lepiej żebyś wtedy naprawdę znajdował się w poważnych opałach, bo ludzie ryzykowali życie, żeby cię wyciągnąć z opresji.

Nick zatrzymał się na kilka chwil, aby za pomocą taśmy przymocować sobie do rękawa miernik gazów. Następnie wziął do ręki młot i ruszył na czele niewielkiego pochodu. Istniało małe prawdopodobieństwo, że napotkają tam łatwopalne gazy, ale jedynym zagrożeniem, przeciw któremu gumowe kombinezony nie dawały żadnej ochrony, był ogień. Gdyby detektor na rękawie zaczął wibrować, musieliby czym prędzej się wycofać i wspólnie zastanowić nad dalszymi krokami. Każdy przewiesił sobie przez ramię przenośną latarkę. Jake dodatkowo dźwigał długi łom, a Carolyn wzięła plastikowe worki na zwłoki.

Podnosząc ponownie kciuki, dali sobie znak, że czas przystąpić do akcji. Stracili już pięć minut i kombinezony zaczęły nabrzmiwać od wydechowego powietrza.

Jake zadrzał, kiedy pierwsze krople potu spłynęły mu strużką po plecach mimo chłodu popołudniowego powietrza. Wkrótce będzie zupełnie mokry, wilgoć wypełni rękawice i buty. Zatrzymał się na chwilę, aby spojrzeć na Travisa, który nagle wydał mu się niewiarygodnie mały, gdy stał tam, pośród pustych pudeł. Jake pomachał ręką, ale syn odwrócił się do niego plecami.

- Niech mnie wszyscy diabli - zaklął głośno Sherman Quill, zatrzymując radiowóz przed główną bramą prowadzącą do Newark. Po raz pierwszy od czasu, gdy zaczął przyjeżdżać do tego piekielnego miejsca, zobaczył coś tak niezwykłego, abstrahując oczywiście od wybryków roznamiętnionych nastolatków. No cóż, zawsze musi być pierwszy raz.

Ktoś wyciął dziurę w tym cholernym ogrodzeniu! Sherman widział też ślady kół na trawie w miejscu, gdzie intruz przejechał przez otwór, zmierzając ku zakazanej strefie.

Co tu zrobić - zastanowił się. Dziura w ogrodzeniu nie była na tyle duża, aby przejechał przez nią policyjny wóz z kogutem i długą anteną, a Sherman nie miał przy sobie żadnych narzędzi, żeby ją powiększyć.

Uruchomił nadajnik i podniósł biały mikrofon do ust.

- Jedyńka do bazy - odezwał się monotonnym głosem.

- Mów, Jedyńka - odparła dyspozytorka.

- Sie masz, Nan. Posłuchaj, jestem na miejscu i mam tu pewien problem. Ktoś wyciął sporą dziurę w ogrodzeniu. Idę to sprawdzić, ale chcę, żebyś załatwiła mi jakieś posiłki ze

stanowej, dobra?

- W porządku, Sherm - odparła kobieta. W miasteczku tej wielkości formalne rozmowy przez radio brzmiałyby głupio. - Zaczekasz, aż sprawdzę, czy ktoś jest dostępny?

Sherman zastanowił się przez chwilę. Szczerze mówiąc, ten pomysł nie wydawał mu się wcale głupi, ale nie darowałby sobie, gdyby ptaszki uciekły mu sprzed nosa, podczas gdy on by tu sobie czekał. Z drugiej strony, wolał nie myśleć o tym, że na próżno ściągnie tu chłopaków ze stanowej.

- Nie - odrzekł powoli. - Rozejrzę się w rym czasie. Jak będę czegoś potrzebował, to wezwę cię z przenośnego radia.

- Dobra, Sherm - słyszał, jak Nan wystukuje numer. - Uważaj na siebie, staruszk.

Sherman uśmiechnął się. Nan była "okręgową babcią". Dyspozytorka zarówno dla policji, jak i straży pożarnej, pełniła również funkcję sekretarki.

- Nie ma sprawy - odparł ciepło. Odłożywszy mikrofon na konsolę, wysiadł z radiowozu, nacisnął sobie czapkę głęboko na czoło, wsunął pałkę za pas i zatrzasnął drzwi.

Travis obserwował uważnie z wierzchołka najbliższego wzgórzka, jak rodzice i Nick kolejno znikają z pola widzenia. Nagle poczuł się samotny. Bez towarzystwa otaczający go las wydał mu się podejrzanie cichy, a brak jakichkolwiek odgłosów sprawiał, że wyobraźnia płatała chłopcu różne figle. Za każdym razem, gdy usłyszał jakiś szelest w liściach, okazywało się, że to wiatr albo wiewiórka. Wyobrażał sobie nadchodzących policjantów z bronią i psami. Mógłby przysiąc, że słyszy dźwięk zatraskiwanych drzwiczek samochodu.

Znał zarysy planu, ponieważ przysłuchiwał się rozmowom, chociaż dorośli sądzili, że zajmuje się czymś innym. Najtrudniejszym zadaniem, według znajomego rodziców, było pokonanie potężnych zamków na zewnątrz magazynu. Do tego celu Nick wziął ze sobą coś, co nazywał narzędziem Dremela.

Przypominało ono elektryczny śrubokręt zakończony karbidowym dyskiem. Nick mówił, że gdyby tylko mieć dużo czasu, można by nim przeciąć na pół most Golden Gate. Travis uznał zatem, że młot pneumatyczny i łom stanowiły odwód na wypadek, gdyby zamek okazał się mocniejszy od słynnego mostu.

Już w środku mieli włożyć do worka ten szkielet, o którym ciągle mówił tata, i gdzieś go zanieść. Travis nie wiedział, co miało nastąpić potem. Był pewny jednej rzeczy: strasznie mu się nie podobało, że zostawili go tu samego. Im szybciej stamtąd wyjdą, tym bardziej będzie się cieszył.

Wkrótce poczuł ulgę, słysząc przenikliwy pisk małej piły, dochodzący z kierunku, w

którym zniknęli. Przynajmniej zaczęli działać. Kilka minut później usłyszał brzęk metalu o metal, po którym nastąpił metaliczny szczęk, a dalej cisza. Kiedy nikt nie pojawił się przez kolejną minutę, doszedł do wniosku, że Nick nie mylił się co do zamka i właśnie weszli do środka.

To zajmie zaledwie kilka minut.

Jego ojciec wypowiedział te słowa w przyczepie w Wirginii Zachodniej. Mama wciąż odrzucała ten plan, ale tata zapewniał ją, że to będzie trwało "zaledwie kilka minut". Czy kilka znaczy trzy? Chyba tak. "Parę." oznaczałoby dwie, a "kilka" oznacza trzy. Albo najwyżej cztery. No, z wyjściem na zewnątrz pięć. Potem mówi się już "około dziesięciu" albo "około piętnastu". A więc pięć minut.

Travis usiadł na barwnym poszyciu i oparł się o drzewo. Pięć minut mógł wytrzymać. Właśnie tyle prawie minęło. Przestał się przejmować. Wszystko będzie dobrze.

Co to?

Pewne dźwięki można nieopatrnie wziąć za inne - tego nauczył się dziś po południu. Ale policyjne radio zawsze brzmiało jak policyjne radio, a Travis przysięgłby na Boga, że właśnie taki dźwięk przed chwilą usłyszał. Strach zmroził mu krew w żyłach. Przykucnął lekko, pochylił się do przodu i za chwilę opierał się już na rękach i kolanach, starając się przebić wzrokiem zarośla. Ktoś tam był. Widział, jak porusza się w oddali, kryjąc się za drzewami i starając się za wszelką cenę zachowywać jak najciszej.

Radio znów zaszumiło, tym razem ciszej, jakby człowiek w lesie je ściszył.

- O Boże - wyszeptał Travis, czując jak tętno łomocze mu w skroniach. - Mają nas.

Mimo smugi światła, która przecinała wnętrze betonowego grobowca, ciemności zdawały się nieprzeniknione - czarna dziura tak gęsta, że nawet ostry blask popołudniowego słońca nie mógł się przez nią przebić. Jake czuł się jak cmentarna hiena. Nękała go przesądna obawa, że zbudzi umarłych. Spojrzał za siebie, żeby odzyskać spokój przed wejściem. Ponownie przed oczami pojawiła mu się scena sprzed lat. Wtedy całe wnętrze tonęło w dymie i płomieniach, ale było jedno miejsce - dokładnie naprzeciwko niego - gdzie stał ten człowiek z karabinem ubrany w panterkę i wypuszczał magazynek za magazynkiem w jego przyjaciół. Odwrócił wzrok. Wspomnienia napawały go większym lękiem niż bieżąca sytuacja.

Promienie latarek wyłowiły z mroku setki metrów kwadratowych pustki. Powykręcane szczątki stopionych metalowych półek wyrastały z betonowej podłogi, stojąc na straży niezliczonej ilości zwęglonych łusek po zużytej amunicji. Ciekawe, że pośród tych zgłiszcz dostrzegli szkielety starych, drewnianych skrzyń, które jakimś cudem przetrwały nawałnicę

ognia.

W miarę jak troje ludzi zmierzało ku centralnej części magazynu, ich ruchy wzniewały kłęby trującego pyłu, który leniwie unosił się w powietrzu czarną, brudną mgłą.

Skręcili w prawo, podążając za Jakiem. Wtedy, w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku, poszli w tym samym kierunku. Pamiętał, że dostrzegł, jak członkowie grupy Bravo - Boże, czy to możliwe, żeby zapomniał, jak się nazywali? - machali latarkami ponad głowami. Znajdowali się wtedy po jego lewej stronie, ale czy byli za drzwiami? Usiłował przypomnieć sobie, czy Bravo stali poza stróżką światła, kiedy dali znak, że znaleźli ten szkielet, ale pamięć okazała się zawodna.

Im bardziej Jake starał się przeniknąć wzrokiem chmurę pyłu, tym trudniej mu to przychodziło. Snop światła z latarki przebijał się zaledwie na jakieś pół metra. A jednak to było tutaj. Musiało być: dowody, które miały przywrócić im życie. Kiedy ogarnęły go ciemności, stłumił panikę i opanował się z trudem, licząc własne oddechy.

Wdech i wydech, Jake, stary wapniaku. Jeden oddech co pięć sekund. Dwanaście na minutę. Siedemset dwadzieścia na godzinę...

O mało co nie popuścił, kiedy poczuł szarpnięcie za rękaw. Carolyn! Oceniał po wzroście. Wskazywała promieniem latarki coś leżącego na podłodze. Musiał się bardzo nisko pochylić, żeby zobaczyć, co to jest. Jęknął. Na ziemi leżał wysoki but, taki jakie nosili członkowie grupy wejściowej "Czystej Planety". O dziwo, nie zmienił się nawet odrobinę. Po bliższym sprawdzeniu okazało się, że but wciąż jest przywiązany do nogawki księżycowego stroju. Jake przesunął promieniem latarki po podłodze za zgięcie, które niewątpliwie było kolanem, dalej za talię aż do kaptura. Zamknął oczy, kiedy poświecił na poczerńiałą osłonę z pleksiglasu. Po kilku sekundach uniósł powieki i poczuł ulgę na widok zmatowionej szybki. Mimo to oczami wyobraźni ujrzął w czaszce puste oczodoły wpatrujące się w niego uparcie.

Odwrócił wzrok. To mógłby być on albo Carolyn, gdyby morderca wycelował dokładniej. Mieli cholerne szczęście. Przełknął głośno ślinę, aby zdusić falę nudności, zanim podeszła mu do gardła.

- To jedno - powiedział do siebie, mimo że i tak nikt go nie słyszał. Dźwięk własnego głosu uspokoił go znacznie. - A gdzie to, którego szukamy? - Pokusa odzyskania szczątków kolegów była przemożna, ale przypomniał sobie, że nie na tym polegała ich dzisiejsza misja.

Ciała kolejnych dwóch pracowników "Czystej Planety" - reszty grupy Bravo - leżały kilka metrów dalej. Jake poczuł lekką ulgę na widok niemalże nie uszkodzonych kombinezonów, które tylko gdzieś zostały nadtopione przez płomień. Przynajmniej ci ludzie nie spłonęli żywcem (najstraszliwszy z jego koszmarów). Ciała leżały rozpostarte, nie

skurczone, co świadczyło, że nie cierpieli długo. Dochodząc do tego wniosku, wiedział równocześnie, że rzeczywistość mogła być zupełnie inna. Wolał się pocieszać.

To, po co tu przyszli, znalazł Nick. Dwa metry od najdalej leżącego ciała widniała rozrzucona kupka mniejszych kości - najwyraźniej kości dziecka. Z trudem można było je rozpoznać. Nick dostrzegł jednak kręgi i łukowaty kształt kilku żeber.

Gwałtownie zamachał latarką do Jake'a. Kiedy ten ujrzał kości, zrozumiał, że wyprawa dobiegła końca. Zanim zdążyli dać znać Carolyn, już stała przy nich, trzymając w ręku worek na zwłoki.

Jake nie był człowiekiem z natury religijnym. Pomimo to zmówił krótką modlitwę, prosząc o wybaczenie profanacji, jakiej miał dokonać. Żegnając się znakiem krzyża - nie robił tego od niepamiętnych lat - zaczął wkładać szczątki dziecka do gumowego worka.

Policjant przyszedł po ich śladach. Travis dostrzegł czapkę i odznakę, kiedy mężczyzna ukazał się na polanie. Ze sposobu, w jaki się poruszał, chłopiec wywnioskował, że ten gliniarz dokładnie wie, dokąd iść.

Travis poczuł wzbierającą falę paniki i zerknął niespokojnie przez ramię, sprawdzając, czy dorośli już wracają. Nie było ich o wiele dłużej niż pięć minut.

Cholera! Co robić?

W głowie brzmiały mu ostatnie słowa ojca: "Masz tu czekać i obserwować, czy nie dzieje się coś niezwykłego". Teraz zdał sobie sprawę z bezsensowności tego polecenia, bo właśnie tkwił po uszy w niezwykłym, nie mając jednocześnie żadnej możliwości, by powiadomić o tym rodziców.

Cholera!

Glina zbliżał się szybko, a Travis wiedział, że siedzeniem i wyglądaniem zza drzewa niczego nie zdziała. Musiał jakoś ich ostrzec. Może krzyknie?

Doskonały pomysł, idioto - zbeształ się w duchu. - A może wstaniesz i zaczniesz wymachiwać flagą?

No dobra, krzyki to głupi pomysł. Przynajmniej z tego miejsca. Może jakby się zbliżyć... i zorientować, co się dzieje...

Przesuwał się ostrożnie, możliwie blisko ziemi, a następnie zjechał na pupie po stromym zboczu. Znalazł się na drodze podobnej do tej, na której zaparkowali samochód. Na wprost widniało wejście do innego magazynu, identycznego jak ten, na którym znajdował się przed chwilą. Obiegł kolejny kopiec i nagle znalazł się pośrodku krajobrazu księżycowego. Nie było tu żadnych roślin, nawet trawy. Ziemia zdawała się martwa. Po drugiej stronie kolejnej drogi, może pięćdziesiąt metrów dalej, ziała ciemnością otwarta paszcza spalonego magazynu. Wyobraźnia podpowiedziała Travisowi, że w środku coś się porusza, ale na pewno nie ludzie...

Ponownie zastanowił się, czy nie zacząć krzyczeć, ale było za daleko. No, dalej, Trav, rusz pecyną...

Musiał podejść bliżej. Mógł myśleć przez cały dzień, a mimo to nie znalazłby sposobu na to, aby krzyknąć i jednocześnie nie zostać usłyszanym przez tego glinę. A ten pył? Jezu, ile razy mu powtarzali? Ten kurz zabije go, jeśli będzie nim oddychał. Przynajmniej tak sądzili. Ale przecież teraz też nim oddycha, zgadza się? I wszystko jest w porządku. Może to świństwo się zużyło albo odfrunęło z wiatrem, tak jak sugerował Nick. Zawsze przecież mógł

powstrzymać oddech, jakby coś go zaniepokoiło.

Zerknął nerwowo przez ramię, bo zdawało mu się, że słyszy pisk radia. W porządku, powstrzyma oddech. Jeżeli szybko tam wejdzie i wyjdzie, nic się nie stanie. Czy miał inne wyjście?

Zatrzymał się na granicy, za którą zieleń, czerwień i pomarańcz zmieniały się nagle w czerń. Wziął kilka głębokich oddechów, hiperwentylując się, tak jak pływacy przed startem. Widział w telewizji, więc wiedział, jak to zrobić.

Na miejsca... gotowi...

Kto, u diabła, przyjeżdżałby tu samochodem? Kiedy Sherman Quill podszedł bliżej, zobaczył pełno pudeł i sprzętu porozrzucanego obok cadillaca. Wciąż nie potrafił dojść do sensownego wniosku, ale jedno było jasne: cokolwiek tu się działo i ktokolwiek to robił, wciąż tu był. Chyba że uciekł piechotą.

Może ta damulka z FBI miała rację? Może Donovanowie powrócili, aby skończyć to, co kiedyś zaczęli? Biorąc pod uwagę ostatni napad na bank w Little Rock, który miał miejsce zaledwie kilka tygodni temu, Sherman doszedł do wniosku, że granica głupoty nie istnieje, przynajmniej w przypadku przestępców. Bez względu na to jak wprawnie działali, prędzej czy później robili jakieś głupstwo, przez które wpadali w ręce sprawiedliwości. Tak samo z powrotem na miejsce zbrodni.

Opierając rękę na kolbie trzydziestkiósemki, zbliżył się ostrożnie do cadillaca. Zajrzał przez okna i zlustrował linię drzew.

- Niech mnie wszyscy diabli - wymamrotał, wyjmując przenośne radio zza paska. - Jedyńka do bazy - odezwał się.

Nasłuchiwał uważnie odpowiedzi, ale bez skutku.

- Jedyńka do bazy - spróbował ponownie. - Nan? Jesteś tam? Cisza. Nie było się czemu dziwić. Te radia o niskiej częstotliwości nie sprawdzały się w lesie. Gdyby miał tu radiowóz z pięciowatową przenośną radiostacją, nie byłoby najmniejszego problemu. Przez chwilę zastanawiał się, czy nie wrócić tylko po to, żeby zdać raport, ale w końcu uznał, że to głupi pomysł. Wpadł na trop przestępców. Mógł sprawdzić, co tu robią.

Nagle zdał sobie sprawę z tego, gdzie się znajduje. Słodki Jezu, stał w samym środku najbardziej niebezpiecznego miejsca na Ziemi!

- Pomieszało ci się w pieprzonym łbie - wymamrotał do siebie. Odwrócił się i ponownie pomyślał o powrocie do radiowozu.

Zrobisz to, a ogłoszą cię bohaterem - powiedział sobie w duchu. Wyjął z kabury

rewolwer i ruszył w kierunku strefy skażonej.

Travisowi starczyło powietrza aż do progu i jeszcze około trzech metrów dalej. Gdyby rodzice znajdowali się bliżej wejścia, mógłby wpaść do środka, złapać jedno z nich za rękaw i wybiec na zewnątrz. Jednak w obecnej sytuacji nie był w stanie tego dokonać. Płuca domagały się wytchnienia i kiedy odwrócił się z zamiarem powrotu do drzwi, po prostu nie wytrzymał. Zanim zdążył się powstrzymać, wciągnął duży haust powietrza.

Skrzywił się i zamknął oczy w oczekiwaniu śmierci, ale nic się nie działo. W pomieszczeniu unosiło się mnóstwo pyłu, który smakował fatalnie, ale Travis czuł się dobrze, z wyjątkiem tego, że miał ochotę kichać. Nawet kichnięcie smakowało fatalnie.

Carolyn niczego nie słyszała, ale poprzez warstwy ochronnego stroju wyczuła jakiś hałas. Odwróciła się, żeby spojrzeć na kojący strumień słonecznego światła, i ujrzała na jasnym tle sylwetkę Trávisa.

- O Boże, Travis, nie! - wrzasnęła.

Z łomotem upuściła na posadzkę latarkę i łom i rzuciła się do syna.

- Wychodź stąd! - wrzasnęła. - O Boże, wychodź stąd! - podbiegła do niego, chwyciła i wyniosła na świeże powietrze. Pod wpływem adrenaliny wydawało jej się, że jest lekki jak piórko. - Wstrzymaj oddech, syneczku! - wrzeszczała. - Wstrzymaj oddech!

Travis jednak nie słyszał tych słów.

- Hej! - krzyknął oburzony. - Zostaw mnie! Tam jest jakiś gliniarz! Jezu, ale ona ma siłę!

Jake dostrzegł zamieszanie i w jednej chwili zrozumiał, o co chodzi. Wybiegł za nimi tak szybko, jak tylko pozwalał mu na to kombinezon.

Co ten dzieciak, u diabła, robił w środku?!

Carolyn przerzuciła sobie chłopca przez ramię, podobnie jak strażacy, kiedy wynoszą rannych z płonącego budynku. Wyglądało to dość niezręcznie, ale było skuteczne. Mimo że wił się i szarpał, wyniosła go poza strefę zakazaną do świata żyjącej roślinności. Stamtąd pozostało tylko dwadzieścia czy trzydzieści metrów w dół niewielkiego wzgórka do strumienia, który widzieli wcześniej na zdjęciu. Zrzuciła Trávisa z pleców jak worek ziemniaków i wrzuciła do spienionego, wartkiego nurtu.

Dobry pomysł - pomyślał Jake. Próbowwała go odkazić. Ale mogła mieć problemy, wzięwszy pod uwagę ciężki kombinezon, który utrudniał jej ruchy. Jake wyjął rękę z rękawa i wymacał nóż.

- Hej! - wrzasnął Travis. - Posłuchajcie mnie! Tam jest jakiś...

Nagle znalazł się pod powierzchnią lodowatej wody, a jego własna matka wpychała go do niej z uporem maniaka. Kiedy starał się wypłynąć, weszła do strumienia i przygniotła mu kolanami klatkę piersiową. Mógł oddychać, ale za każdym razem musiał wypluwać wodę z ust.

- Mamo! Jezu! Co ty, do...

Szarpnęła go za przemoczone ubranie i nagle zorientował się, że jest bez koszuli. Próbował walczyć, ale nie miał siły. Ona była szalona. I nie mógł się niczego uchwycić.

- Mamo! Przestań! Aj, to boli...

Teraz trzymała go za nogi. Kiedy poczuł, jak spodnie ześlizgują mu się z tyłka, zaczął kopać i szamotać się ze zdwojoną siłą, ale daremnie. Mógł albo współpracować, albo utonąć.

Nowa para rąk pojawiła się nie wiadomo skąd i schwyciła go pod pachami. To był ojciec w swoich normalnych ciuchach, ale z maską tlenową na twarzy.

- Nie ruszaj się! - wrzeszczał, lecz maska tłumiała jego głos. - Musimy ci zdjąć ubranie! Jesteś skażony.

Przy tym układzie sił nie miał dużego wyboru: musiał współpracować. Ostatnie, ostre szarpnięcie pozbawiło go spodni, prawie wrywając nogi z bioder. W końcu walka ustała i Travis uświadomił sobie z przerażeniem, że zdjęli mu całe ubranie. Był nagi!

Wyszedł na brzeg, zakrywając wstydliwe miejsce. - Odejdź od tych ubrań! - rozkazał ojciec. Usiłował równocześnie pozbyć się pojemnika z tlenem.

- Ale tato, tam jest jakiś gliniarz... Odgłos strzału zagłuszył jego słowa.

Sherman był za stary na takie rzeczy. Łażenie po lesie i tropienie przestępców - to nie dla niego. Co on sobie wyobrażał? Gdyby miał trochę oleju w głowie, zaczekałby na posiłki, które już pewnie były w drodze. Nan na pewno nie traciła czasu i natychmiast skontaktowała się z chłopakami ze stanowej. Dlaczego więc brnął dalej? Kolejne cholernie dobre pytanie. Może czekająca go chwała? To było jego miasteczko, a jeżeli naprawdę miał przed sobą Donovanów, jak się domyślał, mógł im wreszcie odpłacić - ukarać tych skurczybyków za to, że wyszali życie z tego miejsca. Z jego domu.

Serce trzepotało mu jak motyl, w miarę jak każdy krok zbliżał go coraz bardziej do śmierci - jeśli nie z rąk tych morderców, to z własnego kaprysu, bo przecież wdychał te nieznane świństwa unoszące się w powietrzu. Usłyszał jakiś hałas, gdzieś z przodu. Tym razem to człowiek! Serce załomotało mu w piersiach jeszcze silniej. Po co ktoś miałby...

Tym razem do jego uszu doleciał wrzask. Jakieś dziecko w opałach. Sherman przyspieszył kroku - czegoś takiego nie robił już od długiego czasu - i przebiegł przez ostatnią drogę oddzielającą go od cuchnącego, wymarłego obszaru strefy skażonej. Umiarkowany trucht był największą prędkością, jaką udało mu się rozwinąć, a dyndający za pasem radiotelefon dodatkowo go spowolniał.

Postanowił wspiąć się na ostatni kopiec, zamiast go obchodzić. Miał nadzieję, że pozycja na górze zapewni mu element zaskoczenia. Włożył dużo wysiłku we wspinaczkę po stromym zboczu, wciągając się lewą ręką i trzymając rewolwer w prawej. Z trudem dotarł do miejsca nad olbrzymimi drzwiami, gdzie zbocze lekko złagodniało, pozwalając mu dotrzeć do celu głównie na nogach.

Widok zapał mu dech w piersiach. Świat zmienił się raptownie - miejsce niepodobne do żadnego innego w Arkansas, niemalże jednobarwne, jak na starych, pożółkłych fotografiach.

- Święta Maryjo! - wymamrotał do siebie. Usłyszał kolejne krzyki małego dziecka; tym razem dochodziły z lewej strony. Odwrócił się i podążył w tym kierunku, czując ulgę, że może oderwać wzrok od wymarłego pustkowie, gdy jakiś ruch w wejściu do magazynu sparaliżował go całkowicie. Zobaczył postać ubraną w jeden z tych zielonych kombinezonów, które były mu tak dobrze znane dzięki obsesji mediów. "Astronauta" przekroczył próg, niosąc przed sobą plastikowy worek - bardzo uważnie, jakby w środku znajdowało się coś niezwykle kruche - i wszedł ostrożnie, ale zdecydowanie na wymarły teren. Po kilku krokach położył worek na

ziemi. Następnie podniósł z trawy kolejny worek na zwłoki - tym razem fluorescencyjny, w kolorze pomarańczowym, kontrastującym silnie z oliwkową barwą pierwszego - i zaczął go otwierać. Umieścił zielony worek wewnątrz pomarańczowego i zasunął ekspres.

Shermanowi zaczęło się kręcić w głowie na widok tych niewiarygodnych rzeczy. Kiedy astronauta wstał i ruszył z powrotem do magazynu, policjant zrozumiał, że najwyższy czas zacząć działać. Wychylił się zza krzaków porastających wierzchołek wzniesienia i przyjął pozycję strzelecką.

- Policja! - wrzasnął. - Nie ruszać się!

Postać w kombinezonie nawet nie zwolniła kroku. Cholera. On mnie nie słyszy. Spróbował ponownie:

- Policja! Nie ruszać się!

Brak odzewu. Astronauta najwyczejniej kontynuował swoją tajemniczą misję.

Sherman nie miał wyboru. Wycelował i pociągnął za spust.

Pięć minut wcześniej Nick zdał sobie sprawę, że jest sam w magazynie. W jednej chwili przyglądali się w trójkę znalezionym kościom, a w następnej Jake i Carolyn upuścili latarki i zniknęli. Domyślił się, że jedno z nich miało jakiś problem i wyszli, żeby wspólnie go rozwiązać. Czuł się trochę poirytowany - było nie było, to ich tyłki wyciągał z opałów - lecz druga część jego umysłu, całkowicie pochłonięta wykonywanym zadaniem, skupiła się na tym, co do niej należało.

Zdumiał go mały rozmiar kości, które chował do zielonego worka. Co za szalenie mógł zabić takie małe dziecko, a następnie wywołać całe to spustoszenie, aby wszystko zatuszować? Jeden fragment szczególnie przykuł jego uwagę i przez chwilę nie był pewien, czy to w ogóle jest kość. Przyglądał mu się uważnie, po czym wrzucił do worka wraz z innymi. Lepiej teraz wziąć, niż potem pluć sobie w brodę.

Miał wielką nadzieję, że teoria Jake'a się sprawdzi - to znaczy, że zidentyfikowanie tych szczątków umożliwi im sprowadzenie przed oblicze wymiaru sprawiedliwości prawdziwych sprawców tego nieszczęścia. Potwór, który tego dokonał, w pełni zasługiwał na surową karę.

Gdy zebrał już wszystkie kości, wymacał w ciemnościach zamek błyskawiczny i zasunął go do końca. Niosąc lekki jak piórko pakunek w stronę wyjścia, poczuł łzy w oczach, a w momencie gdy przekraczał szczątki jednego z kolegów, uświadomił sobie, że jeszcze minuta i przestanie wierzyć, że dobrze zrobili, wchodząc ponownie do tego magazynu.

Drugi worek leżący w trawie na zewnątrz stanowił dodatek, jaki Nick osobiście wniósł do planu. Przewidział zagrożenie związane z pyłem wewnątrz magazynu i bardzo wysoki

poziom skażenia ciała. Wkładając worek do drugiego worka, w dużym stopniu zredukuję niebezpieczeństwo. Kiedy jakiś lekarz otworzy ten pakunek, będzie musiał zachować te same środki ostrożności, co w przypadku postępowania z ofiarą infekcji wirusowej.

Widok wymarłej roślinności przeraził Nicka. Łudził się, że minęło dość czasu, aby matka natura załagodziła, przynajmniej w pewnym stopniu, skutki katastrofy. Było jednak kilka budzących nadzieję oznak. Na przykład nie zauważył martwych zwierząt. Gdyby pył w dalszym ciągu zabijał, to żadne stworzenie nie uszłoby stąd z życiem. Tymczasem kiedy przywdziewał ochronny strój, zauważył kilka biegających po drzewach wiewiórek, zajętych przygotowaniami do nadchodzącej zimy.

Kiedy ponownie zbliżył się do drzwi, wydało mu się, że słyszy jakiś dźwięk. Jakby krzyk? Powiódł wzrokiem po horyzoncie i uznał, że nie ma się czym przejmować. Prawdopodobnie to Jake i Carolyn.

Kiedy jednak kawał betonu eksplodował z framugi drzwi, a on przez gumę kombinezonu poczuł wstrząs wystrzału, mimowolnie uskoczył w bok i przypadł do ziemi. Na granicy strefy skażonej, może w odległości dwudziestu metrów, dostrzegł mężczyznę w policyjnym mundurze mierzącego do niego z rewolweru. Usta gliniarza poruszały się, a choć Nick nie słyszał słów, nie słowa były w tej chwili ważne.

Znieruchomiał, po czym powoli podniósł obie ręce do góry.

Jake zareagował instynktownie na odgłos wystrzału, ściągając maskę z twarzy jedną ręką, a drugą wyciągając glocka. Opadł na jedno kolano gotowy do strzału, niemalże w tej samej chwili silnym ciosem w klatkę piersiową powalając Trvisa na ziemię. Zdał sobie sprawę, że uderzył zbyt mocno, bo chłopiec wypluł prawie całe powietrze z płuc. Nie było jednak czasu, aby się teraz tym przejmować.

- Aj, tato! - wysapał Travis.

- Cicho bądź! - Jake spiorunował go wzrokiem. - Masz - wyciągnął z kieszeni nóż i rzucił go chłopcu. - Pomóż mamie wyjść z kombinezonu.

- Ale moje ubrania...

- Pieprzę twoje ubrania - syknął Jake. - Rób, co każę.

Ojciec patrzył w ten sam sposób, co w szkole i w samochodzie, kiedy ich zatrzymano. Travis zadrżał. Po raz kolejny przypomniał sobie, że w chwili zagrożenia ten człowiek stawał się bardzo niebezpieczny. Dla wszystkich.

Kiedy chłopiec mocował się ze składanym nożem, Jake wyswobodził się z uprzęży podtrzymującej butlę z tlenem i zaczął wspinać się w kierunku, z którego doleciał huk broni

palnej. Gdy od celu dzieliło go jakieś sześćdziesiąt kroków, zrozumiał, że sytuacja nie przedstawia się najlepiej. Patrzył, jak bojowo nastawiony gliniarz wykrzykuje jakieś komendy Nickowi, który stał z rękami w górze, niewątpliwie nie słysząc ani słowa.

- Cholera! - syknął Jake. Co teraz zrobić? Był dobrym strzelcem i w razie konieczności mógł trafić policjanta z tej odległości, ale nie chciał tego. Zabicie człowieka zniweczyłoby ich przedsięwzięcie. Gdyby teraz zamordował glinę, nikogo by już nie obchodził fakt, że nigdy wcześniej nikogo nie zabił.

Wyglądało na to, że na nic się nie zanosi, przynajmniej dopóki któraś ze stron nie wymyśli sposobu na komunikowanie się. Jake poczuł haniebną pokusę, by pozostawić Nicka samemu sobie.

Rodzina najpierw, wszystko inne na drugim miejscu.

Gdyby po prostu zaprowadził żonę i syna na drugą stronę wzniesienia, udałoby im się dobiec niepostrzeżenie do cadillaca...

I do końca żyłby ze świadomością, że sprzedał przyjaciela.

Nagle to wszystko wydało mu się strasznie skomplikowane. Wstał z ziemi i zaczął obchodzić wzniesienie, gdy charakterystyczny odgłos rozrywanego materiału na mgnienie oka odwrócił jego uwagę. Carolyn za pomocą noża wyswobadzała się z kombinezonu, Travis pomagał jej, aczkolwiek z pewnym wahaniem. Miał utrudnione działanie, jako że jedną ręką ciągle zakrywał sobie genitalia. Jake chciał do niego krzyknąć, ale po chwili doszedł do wniosku, że nie ma potrzeby. Chłopiec zachowywał się jak typowy dzieciak - wstyd brał górę nad wszystkim innym.

Jake musiał zrobić swoje. Szedł najciszej jak potrafił, mając nadzieję, że znajdzie gliniarza od tyłu.

- Tylko nie strzelaj - mamrotał pod nosem modlitwę w intencji bezpieczeństwa Nicka.

Gdy znalazł się z przodu magazynu, po przeciwnej stronie od strefy zakazanej, popędził drogą, aby dostać się na drugą stronę kopca. Kiedy ostatnim razem widział policjanta, znajdował się on w połowie wzniesienia i bacznie unikał granicy, gdzie kończyło się życie. Najlepsze zatem wydawało się podejście od strony wierzchołka. Sądząc po wyglądzie liści i połamanych gałęziach, gliniarz przebył dokładnie tę samą drogę zaledwie kilka minut temu.

Jake bez trudu wspiął się na wzgórek i tuż przed krawędzią wierzchołka wyjął broń. Wyrzał ponad grzbietem, starając się za wszelką cenę pozostać niewidocznym wśród zarośli. I w tym momencie uświadomił sobie z dreszczem, że stoi dokładnie w miejscu, w którym czternaście lat temu czał się snajper. Po raz milionowy umysł Jake przywołał tamten obraz: zamaskowany facet strzelający na oślep do ludzi, którzy uciekają przed płomieniami...

Wspomnienia wciągały, ale Jake wysiłkiem woli zmusił się do pozostania w terażniejszości. Miał do wykonania niezwykle trudne zadanie. I musiał temu sprostać. Lekko pochylony, widział z tego miejsca jedynie głowę i ramiona policjanta - łatwy, pewny strzał, ale wciąż nie chciał się na to decydować.

Naprawdę, Wysoki Sądzie, musiałem mu strzelić w plecy...

Gdy zaczniesz biec, glina bez wątpienia usłyszysz kroki i pomimo niewielkiej odległości, około sześciu metrów, wystarczy mu czasu na oddanie strzału. Gdyby krzyknął, żeby tamten rzucił broń, facet i tak odwróci się i dojdzie do wymiany ognia. Jake prawdopodobnie wyszedłby z niej zwycięsko, ale rezultat byłby taki sam: martwy policjant. Wracamy do punktu wyjścia.

Cholera. Cholera. Cholera.

Nagle przyszedł mu do głowy pomysł.

- FBI! - wrzasnął tonem, jaki słyszał w warsztacie zaledwie trzy dni temu. - Nie ruszać się!

Gliniarz podskoczył na dźwięk głosu i zaczął się odwracać. Jake wystrzelił w powietrze.

- Powiedziałem, nie ruszać się, do diabła! A teraz rzuć broń!

- Ale przecież jestem policjantem! - zaprotestował Sherman, ponownie robiąc ruch, jakby zamierzał się odwrócić.

- A ja jestem pieprzoną Królową Śnieżką! - wrzasnął Jake. - Rzuć broń albo rozwalę ci łeb!

- Ale ja...

- Wykonać!

Sherman z rezygnacją opuścił ramiona i pokręcił głową, upuszczając rewolwer na ziemię.

- Grzeczny chłopiec - odezwał się Jake. - Dobrze, a teraz ręce za głowę i spleć palce.

Mężczyzna wykonał polecenie wkurzony jak stary kogut.

- Jestem gliniarzem, do cholery! Przestępca jest tam na dole...

- Zamknij się i słuchaj - przerwał mu Donovan. - Odejdź od broni, w górę tego zbocza w moim kierunku - glina posłusznie wykonał polecenie, a Jake znalazł się w kropce. Nie miał pojęcia, co robić dalej. Naprawdę nie chciał robić temu człowiekowi krzywdy, ale nie wiedział, co innego mógłby...

- Mam go, Jake. Podejdz i załóż mu kajdanki - z lewej strony, z tyłu doleciał go głos Carolyn. Trzymała w drżących dłoniach trzydziestkęósemkę.

Sherman poderwał głowę.

- Jake - powtórzył, a ramiona obwisły mu jeszcze bardziej. - Jezu Chryste! Jake uśmiechnął się, wkładając glocka do kabury i podszedł ostrożnie do niegroźnego już mężczyzny.

- Obawiam się, że tak, panie policjancie - powiedział. - Dał się pan zrobić. A teraz dobra wiadomość. Żyjesz. Rób co się każe, a pozostaniesz w tym stanie. Tylko nie próbuj ze mną żadnych sztuczek, rozumiemy się? - ten człowiek nie mógł wiedzieć, że Carolyn, podobnie jak nie umiała zamachać rękami i odlecieć, nie potrafiłaby zastrzelić człowieka.

Sherman zdawał się kompletnie załamany. Wykonał wszystkie polecenia, ze wstydem pochylając głowę.

- Jak mogłem być taki głupi? - łajał się na głos.

Jake w milczeniu wyjął mu zza pasa kajdanki. Chwytnąjąc splecione palce gliniarza, poprowadził go tyłem kilka kroków i kazał usiąść. Piętnaście sekund później Sherman siedział przykuty do młodego drzewka.

- Nigdy się nie dowiesz, jak bardzo chciałem cię przyskrzytnić, Donovan - burknął. Czuł więcej gniewu i zażenowania niż strachu.

Jake nie odezwał się ani słowem. Wyjął przenośny radiotelefon zza jego pasa i rozbił o drzewo, wieńcząc tym samym największą zbrodnię, jaką popełnił w swym życiu. Dzięki ci, Boże.

- Chodź tu, Jake - ponagliła Carolyn lekko drżącym głosem. - Tam jest niebezpiecznie.

- Dobra, dobra - odparł. Oczywiście miała rację, ale chciał przekazać Nickowi, że niebezpieczeństwo minęło. Kiedy jednak się odwrócił, przyjaciela już nie było.

- Gdzie Nick? - zapytał, odwracając się do Carolyn.

- Nie mam pojęcia - odparła. - Ale wracaj tu. Nie powinieneś podchodzić tak blisko.

- Mówisz jak moja matka - zachnął się. - Zaraz przyjdę. - Nachylił się, aby porozmawiać z gliną jak mężczyzna z mężczyzną.

- Tam jest! - krzyknęła Carolyn.

Podniósł wzrok i zobaczył, jak Nick wywleka na zewnątrz ciało jednego z kolegów.

- Co on robi? - zastanowił się na głos Jake. Nick ponownie wszedł do środka.

- To, co powinien - odpowiedziała Carolyn. Z tonu jej głosu wynikało, że całkowicie aprobowwała decyzję Nicka. - Teraz będą ich musieli pochować. Jeśli ekipy telewizyjne sfilmują te ciała z helikopterów, władze nie będą miały wyboru.

Jake popatrzył jeszcze przez chwilę, po czym odwrócił się i przyklęknąwszy przy swoim więźniu, spojrzał mu prosto w oczy.

- Posłuchaj, panie policjancie... - zerknął na tabliczkę z nazwiskiem. - Posłuchaj, Quill.

Nazywam się Jake Donovan. Słyszałeś o mnie, prawda?

- Pieprz się, Donovan - wyrzucił z siebie Sherman. Jake uśmiechnął się smutno.

- Posłuchaj. Chcę, żebyś przekazał ode mnie wiadomość, kiedy ten, co cię tu wysłał, przyjdzie po ciebie.

- Niczego nie przekażę.

Jake westchnął. Nie będzie łatwo.

- W porządku, glino. Niczego nie przekazuj. Ale coś sobie zapamiętaj. Mogłem cię zabić tego pięknego popołudnia i niczego byś się nie dowiedział. Ale cię nie zabiłem, prawda?

- Tylko dlatego, że ja...

- Nie chcę się tutaj z tobą sprzeczać - uciął krótko Jake. - Faktem jest, że nie odstrzeliłem ci tej głupiej pały. Moje motywy niech będą takie, jak sobie chcesz, ale mówię ci, że jesteś żywy, bo ja nie zabijam ludzi. Nigdy nikogo nie zabiłem i mam nadzieję, że tego nie zrobię. Ludzie w to nie wierzą, ale tak jest.

Sherman oderwał wzrok od oczu Jake'a i spojrzał w niebo. Wszystko wskazywało na to, że gdyby tylko mógł zatkać sobie uszy palcami, niewątpliwie by to uczynił.

- Kiedy będziesz pisał raport - a jestem pewien, że w ciągu najbliższych dni napiszesz ich sporo - chcę, żebyś o czymś pamiętał - ciągnął Jake. - Jesteśmy tutaj, żeby udowodnić, że nie zrobiliśmy tego, o co wszyscy nas oskarżają.

- Taak, rozumie się - parsknął Sherman.

Jake poczuł nagły gniew i z trudem stłumił w sobie ochotę przywalenia temu burakowi. Chciał mu wszystko szczegółowo wyjaśnić, powiedzieć policjantowi Quillowi o tych ciałach w magazynie i o tym, jak trudne było ich życie. Nie zrobił tego jednak. Ten glina był tylko gliną. Pod koniec dnia jego opinia nie będzie miała najmniejszego znaczenia.

Wstał, świadomie demonstrując przewagę nad swym więźniem, który teraz dopiero zaczął objawiać strach.

- No dobrze, panie władzo. Niczemu nie wierz. Tylko napisz dokładny raport, ponieważ właśnie zamierzam powiedzieć ci całą prawdę: nie zabiliśmy tych ludzi w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym trzecim roku. Niczego nie wysadziliśmy w powietrze. Tak naprawdę sami o mało nie zginęliśmy. A jeśli szefowie zapytają cię; co mieliśmy do powiedzenia na swoją obronę, powiedz im, że nigdy w życiu nie popełniliśmy nic złego. I zamierzamy to udowodnić.

Travis poczuł pierwsze ukłucie bólu po godzinie jazdy do Little Rock. Nie było to nic wielkiego; takie lekkie ukłucie w piersiach, gdzieś głęboko w środku. Odczuwał już podobne bóle wcześniej, kiedy wkładał spodnie tego policjanta, ale nie powiedział rodzicom. Nie odzywał się do nich. Był za bardzo wkurzony, że rozebrali go do naga i o mały włos nie utopili. Uratował im życie, do cholery, a co otrzymał w zamian?! Czuł się totalnie upokorzony. Te olbrzymie spodnie mogły równie dobrze uchodzić na nim za sukienkę, a do tego nie miał nawet koszuli. Przecież gliniarz był przywiązany do drzewa i z łatwością mogli ściągnąć z niego koszulę; Travis odmówił, gdy ojciec zaproponował mu swoją. Jeśli chodziło o jakąkolwiek pracę na dzisiaj, Travis dał sobie luz. Nawet nie ruszył palcem, żeby pomóc rodzicom i Nickowi załadować te rzeczy w workach do bagażnika. Prawie się załamał w swoim postanowieniu milczenia i okazywania braku zainteresowania czymkolwiek, kiedy rozpalili ogień, żeby zniszczyć kombinezony i sprzęt - wszystko, na czym mogli zostawić odciski palców - ale w końcu wytrwał.

Siedział w posępnym nastroju, przytulony do tylnych drzwi. Czuł się głupio. No i oczywiście udawał, że nie czuje bólu, jaki sprawiał mu każdy oddech. Gdyby rodzice nie pytali go co pięć sekund, jak się czuje, może by im coś powiedział, ale już miał dość wykładów na temat tego, jak to głupio postąpił wchodząc do środka, żeby uratować ich żałosne tyłki.

Wszystko będzie dobrze. Był o tym święcie przekonany.

Aj!

Ten oddech naprawdę zabolął i Travisowi zebrało się na kaszel. Ale kiedy wciągnął powietrze, żeby odkaszlnąć, ukłucia przerodziły się w straszliwe rżnięcie, a oddech zarządził mu w płucach. Kiedy w końcu odkaszlnął, miał wrażenie, że stało się to w zwolnionym tempie, jakby coś blokowało wylot powietrza.

Zerknął na mamę akurat w chwili, gdy ona spojrzała na niego, a grymas, jaki odmalował się na jej twarzy, przeraził go bardziej niż ból w piersiach.

- Travis! - wrzasnęła. - O Boże, Jake! Travis!

Ojciec odwrócił się. Jego mina pogłębiła przerażenie chłopca jeszcze bardziej.

- O nie! - krzyknął Jake i zaczął gramolić się przez fotel.

O co chodzi? - chciał zapytać Travis. - Coś nie tak? Głos odmówił mu jednak posłuszeństwa. Ból w piersiach wzmagał się z każdą chwilą, a serce łomotało trzykrotnie szybciej. Tym razem kiedy kaszlnął, odniósł wrażenie, że ktoś wyszarpnął mu z płuc kawał

solidnie przyklejonej taśmy samoprzylepnej.

- O Boże! Moje dziecko! Jake!

Teraz czuł krew w ustach. Widział ją na rękach. Skąd się tam wzięła? Musiał zaczerpnąć powietrza, ale kiedy próbował, znów kaszłał, a wtedy jeszcze bardziej krwawił. Nigdy nie widział matki tak przerażonej. I taty.

Travis wiedział, że powinien odczuwać lęk. Tak naprawdę jednak pamiętał, że jakąś chwilę temu bał się, ale teraz nie. To było dzisiaj, prawda? Chciał coś powiedzieć, ale nagle nie wiedział, jak to zrobić. A nawet gdyby wiedział, zapomniał, co to miało być. Brakowało mu powietrza. Zmusił się do głębszego oddechu i znów pojawił się ból, gorszy niż poprzednie, ale, co dziwne, Travis już się tym tak nie przejmował.

Tata siedział teraz przy nim, z wyrazu jego twarzy wynikało, że coś krzyczy, ale Travis naprawdę nic nie słyszał. Przez sekundę próbował obserwować usta ojca, ale nagle przed oczami zawirowały mu czarne płyty.

Kiedy świat wyzbył się już wszelkich barw, nadszedł sen.

Irene wysiadła z samolotu i skierowała się do terminalu. Zdziwił ją widok czekającego George'a Sparksa. Jako agent kierujący biurem w Little Rock powinien mieć ważniejsze sprawy na głowie niż witanie przybywających pasażerów. Zawsze chudy jak tyczka, wyglądał, jakby przez te lata wrzucił kilka kilogramów, a to, co niegdyś stanowiło burzę ognisto-czerwonych włosów, zmniejszyło się do siwiejącego lauru otaczającego piegowatą głowę.

Irene przełożyła torbę z ubraniami do lewej ręki i podała mu dłoń.

- Witaj, George - powitała go radośnie. - Tyle czasu minęło. Sparks posłał jej wymowny uśmiech.

- Tak, wiem - powiedział, czytając z jej spojrzenia. - Za to ty wcale się nie zmieniłaś.

Roześmiała się.

- O Boże, George - zadrwiła. - Nie słyszałeś, że kłamcy idą do piekła? Pochylił się ku niej i pocałował ją przyjaźnie w policzek.

- To właśnie Arkansas, moja droga. Już w nim jestem. - Dawniej, kiedy chodzili razem na zajęcia w akademii, George był dopiero co nawróconym ateistą, nie wierzącym zasadniczo w nic poza Biurem i dobrym martini.

Irene przedstawiła Paula, pozwalając, by Sparks wziął od niej torbę.

- Słyszałam, że wojażowałaś ostatnio - zagadnęła. Sparks kiwnął głową.

- Taak, byłem w Iraku. Chciałem rozprawić się z tym syfem na łepetynie - podrapał się po czubku głowy. - W ciągu ostatnich trzech tygodni zgromadziłem sporą kolekcję kapeluszy.

- No dobrze - odezwał się Paul. - Moja kolej. Dlaczego agent z Little Rock pojechał do Iraku?

George pochylił się nieco w przód, żeby wyrzeć zza Irene, kiedy szli.

- Świat naprawdę się skurczył - odpowiedział. - Zdaje się, że resztki Gwardii Republikańskiej ukrywały chemiczne głowice bojowe. Inspektorzy Narodów Zjednoczonych natknęli się na jedną z takich kryjówek i znaleźli numery seryjne, które zaprowadziły nas do Fabryki Granta.

- Żartujesz? - zapytała Irene.

- To nie żart. To świństwo było stare jak cholera - z lat sześćdziesiątych - ale eksperci wojskowi mówią mi, że wciąż działa. No, to znaczy już teraz oczywiście nie. Na pustyni piec do spopielania działa non stop.

Paul skrzywił się.

- To wygląda trochę jak "Strefa mroku", nie uważasz? - powiedział. - Ni stąd, ni zowąd Newark w Arkansas staje się pępkiem wszechświata.

George roześmiał się.

- Najwyraźniej nigdy nie widziałeś Newark. Może pachną wszechświata, ale nigdy pępkiem. To coś raczej wygląda jak strefa mroku - wyraźnie rozbawił go własny żart.

- Czemu więc zawdzięczam zaszczyt osobistych usług? - Irene zmieniła temat.

- Pomyślałem, że chciałybyś o tym wiedzieć, jak tylko wysiądziesz z samolotu - odrzekł George coraz bardziej konspiracyjnym tonem. - Twój przyjaciele uderzyli.

Irene stanęła jak wryta pośrodku korytarza i jakaś nerwowa kobieta pchająca wózek o mało na nią nie wpadła.

- Nabierasz mnie?

Uśmiechnął się, widząc pomieszanie na jej twarzy.

- Nie nabieram. Jakies pół godziny temu dzwoniła stanowa z Arkansas. Zdaje się, że gang Donovanów przeciął ogrodzenie, żeby najechać znajomy bunkier.

Przechyliła głowę, jakby nie usłyszała dokładnie.

- Wrócili tam? Sparks pokiwał głową.

- Tak, dobrze słyszałaś. Włamali się do tego magazynu, który wcześniej wysadzili w powietrze - zarechotał. - Najwyraźniej jeden z miejscowych gliniarzy ich wystraszył, ale poradzili sobie z nim bez pudła. Chłopaki ze stanowej znaleźli go przywiązanego do drzewa w samej bieliźnie - historia wydawała się Sparksowi niezwykle zabawna i śmiał się całym ciałem, zginając się w pasie, trzęsąc ramionami i czerwieniejąc na twarzy.

Niech cię licho - pomyślała z goryczą Irene. - Ty nie przypląciłeś tego karierą.

- W bieliźnie? - zapytał z niedowierzaniem Paul.

Sparks szybko się opanował. Zdał sobie sprawę, że śmieje się sam.

- Taak. Z tego co się zorientowałem po rozmowie z policjantem, który do mnie zadzwonił, Donovanowie wrócili tam, żeby udowodnić, że nie zrobili nic złego. Nie pytaj, bo ja też tego nie rozumiem. Tak czy siak, byli z tym dzieciakiem i on musiał się jakoś wystawić na działanie toksyn. Rozebrali go do naga, a on nie chciał się nigdzie ruszyć bez ciuchów. Więc zabrali spodnie temu gliniarzowi.

- Broń też? - zapytał Paul. George wzruszył ramionami.

- Policjant nic o tym nie wspomniał. Co za różnica? Chryste, i tak mają cały arsenał, no nie?

Ruszyli dalej, tym razem w milczeniu. Irene starała się ułożyć informacje w sensowną

całość.

- Włamali się tam? Aby udowodnić, że są niewinni? - pokręciła głową i spojrzała na Paula, szukając u niego pomocy. - Nie rozumiem.

- Ja też nie - skrzywił się. - Nie mogło tam zbyt wiele zostać. Niewątpliwie nie na tyle, aby ryzykować życie dzieciaka...

- Mam! - krzyknęła Irene. - Tak właśnie ich dostaniemy! Sparks i Paul wymienili zdezorientowane spojrzenia.

- Szpitale! - wykrzyknęła. - Jeśli temu chłopakowi coś jest, będą musieli zabrać go do szpitala, zgadza się? A więc my musimy tylko...

- ...dać znać wszystkim szpitalom w stanie, żeby uważali na chorego chłopaka? - kiedy George dokończył za nią, ten pomysł wydał jej się mniej odkrywczy.

Paulowi się podobał.

- Oczywiście! - zgodził się. - Tyle że ja włączyłbym w to również sąsiednie stany. Na wypadek gdyby odjechali za daleko.

Ponownie wymienili spojrzenia w milczącej zgodzie.

- A zatem dobrze - oświadczyła Irene. - To nasz plan. - Odebrała torbę od Sparksa. - Wy dwaj to rozkręćcie, dobrze? Ja muszę zadzwonić.

- Do kogo?

- Do Frankela - rzuciła odwracając się. - Już mnie zmęczyły te ciągłe wyjaśnienia, że pozostajemy w tyle i ciągle nic nie mamy. Musi się dowiedzieć, że w końcu mamy konkretny plan. - Kiedy odeszła w poszukiwaniu telefonu, pogratulowała sobie pierwszego, wielkiego przełomu w sprawie. Wiedziała, że wystarczy cierpliwie czekać, a Donovanowie popełnią jakieś głupstwo.

Teraz należy tylko mieć nadzieję, że ten dzieciak poważnie zachorował. Poczowała dreszcz i odległe ukłucie skruchy, że coś takiego w ogóle przyszło jej na myśl.

- Dalej, Nick, wdepnij mu! - głos Jake'a oscylował na krawędzi desperacji i paniki.

- Nie mogę już szybciej - odkrzyknął Nick. - Rozwalenie samochodu o drzewo nikomu nie pomoże.

To, że nas zatrzymają za przekroczenie prędkości też nie - dodał w duchu. Mimo to każdy rżący oddech chłopca pobudzał go do stopniowego wciskania pedału gazu.

- Ile jeszcze? - zapytała Carolyn.

- Według ostatniego znaku, do Little Rock jeszcze trzydzieści kilometrów. Nie mam pojęcia, gdzie tam jest szpital.

- On tyle nie wytrzyma!

Travis od czasu do czasu otwierał oczy, ale już dawno stracił przytomność. Skóra mu pobraźla, stając się prawie przezroczysta. Oddychanie przychodziło mu z coraz większą trudnością, a w kącikach ust i w nozdrzach pojawiła się różowa piana. Jake wszedł między Trávisa a oparcie fotela i trzymał chłopca w pochyleniu do przodu, tak aby cieknąca z ust krew i ślina nie doprowadziły do zakrztuszenia się. Carolyn wyjęła z torebki starą serwetkę z MacDonalda i ocierała nią górną wargę i podbródek syna. Co chwila nachylała się nad nim i całowała jego włosy.

- Och, moje dziecko - powtarzała. - Wszystko będzie dobrze...

Kiedy wskazówka prędkościomierza dotarła do stu sześćdziesięciu kilometrów na godzinę, Nick skoncentrował się wyłącznie na prowadzeniu samochodu. Starał się nie słyszeć żalosego charczenia wydobywającego się z płuc chłopca ani płaczu rodziców. Do niego należało utrzymanie tego szerokiego wozu na szosie w zasięgu wytyczonych linii. Ruch był bardzo niewielki i kiedy Nick napotykał od czasu do czasu jakiś samochód, dawał mu sygnał światłami w nadziei, że zjedzie mu z drogi. Tylko kilka zjechało, ale żaden nie zareagował głupio. Mógł sobie wyobrazić komentarze kierowców, obok których przemykał z zawrotną prędkością.

Zgodnie z planem mieli zawieźć Trávisa do najbliższego szpitala, który, jak zakładali, znajdował się w Little Rock. Teraz, po trzydziestu minutach szaleńczej jazdy, Nick zaczął w myślach kwestionować mądrość tej decyzji. Sądząc po oddechu dziecka, obawiał się, że może im zabraknąć czasu.

W innych okolicznościach prawdopodobnie nie zwróciłby uwagi na żółtą, metalową tablicę, która pojawiła się w pewnej odległości. Widział wiele podobnych przy drogach, ale nigdy nie miały dla niego znaczenia. Teraz jednak przyszło mu na myśl, że to może być coś dla nich: punkt pierwszej pomocy.

Wdepnął mocno pedał hamulca, starając się nie stracić panowania nad kierownicą, kiedy wielki wóz poślizgnął się na zakręcie. Nagłe hamowanie sprawiło, że siedzący na tylnym siedzeniu spadli na podłogę, gniewnie protestując.

- Co się stało?! - krzyknął Jake.

Nick zazgrzytał zębami i zamknął jedno oko. Cadillac zahamował ostro na wąskim podjeździe.

- Bardziej niż przejażdżki samochodem twój syn potrzebuje pomocy medycznej - odpowiedział.

- Gdzie, do diabła, jesteśmy? - denerwował się Jake, ale Nick, zamiast odpowiedzieć,

wyskoczył z samochodu i podbiegł do drzwi, aby ściągnąć pomoc.

Travis spadł na podłogę i Carolyn próbowała go podnieść, lecz chłopiec wylądował twarzą w dół i miał poskręcane nogi.

- O mój Boże, Travis! - płakała. - Mój maleńki. Mój synuś!

Jake oparł stopy o poduszki tylnego siedzenia i spróbował podnieść chłopca, ale nie bardzo mu się udawało. Nawet nie zauważył, kiedy jego syn aż tak przybrał na wadze, a ponieważ nie miał na sobie koszuli, nie było za co go schwycić. Jakiś ciemny zakątek umysłu podpowiadał mu złowroźnie, że Travis nie żyje - był kompletnie bezwładny, nie reagował na jakiegokolwiek bodźce. Odepchnął jednak czarne myśli. Do cholery, jego syn oddychał. A dopóki oddycha, jest nadzieja.

Niejasno zdał sobie sprawę z odgłosu szybkich kroków. Po chwili tylne drzwi od strony kierowcy otworzyły się. Odwróciwszy głowę, zobaczył mężczyznę i kobietę w biało-zielonych strojach. Ogromny facet miał ponad metr dziewięćdziesiąt wzrostu i płową brodę jak święty Mikołaj. Ona, niewysoka, może z metr sześćdziesiąt, patrzyła z przejętą miną szkolnej nauczycielki.

- Witam - powiedział jowialnie mężczyzna, nachylając się, żeby zajrzeć do środka. - Jesteśmy pielęgniarzami. Nazywam się Bob Faylon, a to moja żona Barbara. Jaki mamy problem?

- Chodzi o naszego syna! - wyrzuciła z siebie Carolyn. - Ma tylko trzynaście lat i chyba umiera. Nawdychał się jakiś chemikaliów i...

Jake dotknął delikatnie jej ramienia. Urwała w pół zdania, ale stało się. Dostrzegł rozpoznanie w oczach Boba i zdał sobie sprawę, że ten potężny mężczyzna ma nad nim całkowitą przewagę. Rozpoznanie szybko przerodziło się w strach, a tego uczucia Jake obawiał się najbardziej.

Odpowiedział na pytanie, zanim jeszcze zostało zadane.

- Tak, to my - rzekł spokojnie. - Nie grozi wam żadne niebezpieczeństwo. Chcemy tylko, żebyście pomogli naszemu synowi.

Bob wskazał broń zwieszającą się z biodra Jake'a.

- To dlaczego się tego nie pozbędziesz?

Jake zerknął na glocka, po czym powoli podniósł wzrok.

- Bo przewyższasz mnie o pół głowy i ważysz jakieś sto kilo - odparł szczerze. - Ale jeśli nie będziesz wobec nas agresywny, ja też nie będę.

Bob cofnął się i zwrócił do żony.

- Barbara, wejdz do środka i zadzwoń do centrali. Powiedz, że mamy tu Donovanów.

Potrzebny będzie lekarz. Natychmiast.

- Będę wdzięczny, jeśli tego nie zrobisz! - zawołał Jake do drobniutkiej kobiety.

Znieruchomiała, najwyraźniej nie wiedząc, co robić. Spojrzała na męża, szukając pomocy, ale Bob nie spuszczał wzroku z Jake'a. Ten człowiek brał już udział w wielu walkach i niewątpliwie zdążył nabrać pewności siebie.

- Zabronisz jej... tak, Jake?

Travis zaniósł się straszliwym kaszlem, na ułamek sekundy skupiając uwagę wszystkich.

- Zrób coś! - krzyknęła Carolyn.

Jake przeniósł wzrok z syna na Carolyn, a potem na Boba.

- Nie - wypłynęło powoli z jego ust. - Nie będę nikogo powstrzymywać. Chcę tylko, żebyście pomogli memu synowi.

Potężny mężczyzna złagodniał, słysząc kaszel chłopca.

- Barbara, pomóż mi - polecił. Odsunął Jake'a na bok, wchodząc głębiej do samochodu.

- Musimy go położyć na ziemi.

Bob stanął przy ramionach Trávisa, a Barbara przy jego stopach i bez większego trudu wynieśli chłopca z samochodu.

- Uważajcie - obszerne spodnie zjechały nieco, gdy go przenosili, i Carolyn kazała im się zatrzymać, aby je podciągnąć. Travis by tego chciał.

Jake i Carolyn przytulili się do siebie w przenikliwie zimnym powietrzu, patrząc, jak małżeństwo pielęgniarzy bada ich syna. Milczeli. Obejmowali się tylko i patrzyli.

Bob bezsprzecznie grał w tym duecie pierwsze skrzypce. Polecił żonie wyprowadzić karetkę na podjazd; na jego twarzy malował się niepokój. Nie uszła jeszcze trzech kroków, kiedy krzyknął za nią:

- Zadzwoń do centrali! Powiedz im, że potrzebny nam będzie helikopter policji stanowej. Ten dzieciak nie przeżyje, jeśli go natychmiast nie wyślemy do szpitala.

Barbara odbiegła.

- Jakiego rodzaju substancje chemiczne? - zwrócił się Bob do Carolyn. Wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. Stare, spalone materiały wojskowe. Na pewno pan słyszał o tej historii.

Bob pokiwał ponuro głową, wyjmując stetoskop z tylnej kieszeni i przyciskając słuchawkę do gołej piersi Trávisa. Nasłuchiwał przez chwilę, po czym przesunął w inne miejsce. Potem w jeszcze inne. Po piętnastu sekundach wyjął słuchawki z uszu i przewiesił je sobie przez szyję.

- Ten chłopiec jest bardzo chory - powiedział. - Ma w płucach pełno płynu, a sądząc po krwawieniu, tkanka w środku też została uszkodzona.

Carolyn zadrżała na całym ciele.

- Czy on... czy... - nie potrafiła wypowiedzieć tego słowa. Bob odwrócił wzrok.

- Mam nadzieję, że wyjdzie z tego, proszę pani - odezwał się posępnym tonem. - Zrobimy wszystko, żeby wyzdrowiał. - Ulżyło mu wyraźnie, kiedy uchylna brama garażu uniosła się do góry i warkot silnika wypełnił powietrze. - Mogę mu z grubsza pomóc, ale koniecznie trzeba go przewieźć do szpitala Świętego Łukasza w Little Rock. Tam zajmą się nim odpowiedni specjaliści.

Karetka zatrzymała się tuż przy cadillacu i ciemności eksplodowały jaskrawobiałym światłem rzucanym przez halogeny po obu stronach pojazdu. Ich blask uwydatniał bladość skóry Trávisa, która w zestawieniu z czerwienią krwi wydawała się tym bielsza.

Jake i Carolyn patrzyli w milczeniu. Nick stanął cicho za ich plecami.

- Wybaczcie - powiedział najdelikatniej, jak potrafił - ale musimy jechać. Niedługo będzie tu całe mnóstwo glin, a ja nie chcę mieć z nimi nic wspólnego.

- Nigdzie nie jadę - odrzekła stanowczo Carolyn. Jej ton nie pozostawiał miejsca na jakąkolwiek dyskusję.

Jake'owi głos uwiązł w krtani. A więc to koniec. Po czternastu latach ucieczki wszystko się zawaliło przed budynkiem, którego nigdy wcześniej nie widzieli, i w mieście, o którym nigdy nie słyszeli. Żadnej strzelaniny ani krzyków; po prostu pozwolą się zaaresztować. Co dziwne, ta ewentualność, która tak ich przerażała zaledwie kilka godzin temu, teraz wydawała się zupełnie bez znaczenia wobec grożącej im utraty syna.

- Ja też zostaję - stwierdził krótko.

- Chyba żartujecie! - Nick rozdziawił usta. Jake zaatakował przyjaciela jak kłapiący pies.

- To mój syn, Nick! Jak sobie wyobrażasz - co mi pozostaje? Zostawić go na pastwę losu?

Nick cofnął się zaskoczony atakiem. Nie miał odpowiedzi na to pytanie, ale niewątpliwie nie po to przejechał taki szmat drogi, żeby odlecieć policyjnym śmigłowcem. Wyświadczał im przysługę i nie chciał składać siebie w ofierze policji. On też miał rodzinę, która była dla niego ważna.

- Jedź z nim, Jake - powiedziała dobitnie Carolyn.

- Kochanie, nie mogę... - Jake czuł, że traci kontrolę nad sytuacją.

- Musisz. Nie ma innego wyjścia - ujęła jego twarz w dłoń i zniżyła głos prawie do

szeptu. - Jeśli zostaniesz, nigdy się już nie zobaczymy. Wiesz o tym. Poddanie się niczego nie rozwiązuje.

Nagle poczuł się, jakby sam był małym chłopcem. Mięśnie twarzy napięły mu się, pokręcił głową.

- A co z tobą? Co z Travem?

Serce Carolyn zmiękło na widok płaczącego męża.

- Będę przy nim - szepnęła. - Tak długo, ile mi pozwolą.

- Ale pójdiesz do więzienia...

- ...a ty mnie z niego wyciągniesz - uśmiechnęła się drżącymi ustami. - Jesteś teraz sam, Jake. Tylko ty i Nick... - umilkła i rzuciła krótkie spojrzenie na przyjaciela.

Nick machnął ręką, odpędzając sentymentalizm. Odwrócił się.

Jake patrzył długo na Carolyn. Zawsze wszystko robili wspólnie. Dzielili chwile dobre i złe. To nie mogło się skończyć w ten sposób. Zawsze będą razem. Tylko wtedy życie miało sens. Czy mógł patrzeć, jak wysyłają Trávisa do szpitala, a Carolyn do więzienia? Nie wyobrażał sobie, w jaki sposób pociągnie to w pojedynkę. A jeśli mu się nie powiedzie? Uświadomił sobie, że może już nigdy ich nie zobaczyć. Nigdy nie usłyszeć gardłowego śmiechu żony; nigdy nie potargać włosów syna. Przytulił Carolyn, owładnięty poczuciem bezradności. Zawsze istniała jakaś alternatywa, zawsze były plany. Teraz nie pozostało nic. Teraz został sam. Nie mógł przecieżyć...

- Jake, musimy jechać - ponaglił Nick.

Carolyn odepchnęła męża i otarła mu łzy z policzków.

- On ma rację - zgodziła się. - Musicie jechać. Ja zostanę przy Travisie.

Jake potrząsnął głową.

- Zawsze razem, pamiętasz? - prosił.

- Najpierw rodzina - poprawiła, poprawiając jego włosy. - To jedyna możliwość.

Chciał się z nią spierać. Otworzył usta, ale zabrakło mu słów. Poddał się bezwolnie, gdy Nick pociągnął go za ramię. Carolyn opuściła głowę na piersi. Po chwili odwróciła się i pobiegnęła do karetki, gdzie Bob i Barbara wsuwali Trávisa przez tylne drzwi.

- Kocham cię! - krzyknął za nią Jake grubym, ochrypłym głosem. Nie wiedział, czy go słyszała przez warkot silnika.

Irene przedzierała się przez tłum reporterów przed Aresztem Śledczym w Little Rock, ignorując wykrzykiwane pytania. Koncentrowała się na tych, które zamierzała sama zadać. Paul pojechał do szpitala, na wypadek gdyby stan chłopca poprawił się na tyle, aby dzieciak mógł wyjaśnić parę spraw. George Sparks pozostał przy niej. Na miejscu dołączył do nich Tom Flaherty, kierownik aresztu. Powitał ich ciepło - wyraźnie był na przyjacielskiej stopie ze Sparksem.

- Od kiedy tu jest? - zapytała Irene, idąc równym krokiem przez korytarz.

- Od jakiejś godziny - odpowiedział Flaherty. - Wystarczająco, żebyśmy zdążyli ją zaewidencjonować. Słyszałaś coś o jej mężu?

Pokręciła przecząco głową.

- Jeszcze nie. Ale się pojawi. Zbyt wiele stracił, żeby po prostu zniknąć. - Może gdyby włożyła w te słowa więcej pewności siebie, byłyby bardziej przekonujące. Frankel nie cieszył się, tak jak oczekiwała, faktem, że pięćdziesiąt procent poszukiwanych znajduje się w areszcie.

- Nikt jeszcze z nią nie rozmawiał, prawda?

- Nie. Tylko zwykłe formalności wstępne. Wiesz, nazwisko, zawód i numer ewidencyjny.

- Czy raa już adwokata? - pytanie padło ze strony Sparksa.

- Nic mi o tym nie wiadomo - odparł Flaherty, wzruszając ramionami. - Szczerze mówiąc, nie jestem pewien, czy w ogóle się odezwała. Mówiono mi, że jest mocno przygnębiona.

Irene chrząknęła znacząco.

- No tak, warunki życia nieco się jej pogorszą.

Zatrzymała się na granicy obszaru strzeżonego, gdzie zdeponowali z George'em broń w specjalnie do tego celu zbudowanych szafkach. Następnie złożyli swoje podpisy i Flaherty poprowadził ich do pokoju przesłuchań. Pomimo nowoczesnej infrastruktury budynku, miejsce to bardziej przypominało więzienie niż areszt i wpływało przygnębiająco na Irene.

- Chciałabym porozmawiać z nią w cztery oczy, jeśli nie macie nic przeciw temu - oznajmiła, zatrzymując procesję przy drzwiach. - Wiecie, jak kobieta z kobietą. Myślę, że może się bardziej otworzyć.

Flaherty'emu zupełnie to zwisało, a Sparks, chociaż sprawiał wrażenie zawiedzionego, nie sprzeciwił się. Tak czy owak mogli obserwować to spotkanie na monitorach. Wyraził zgodę

lekkim wzruszeniem ramion.

- Dzięki, George. - Irene skinęła głową. - A zatem do dzieła.

Strażnik wsunął klucz do drzwi pokoju przesłuchań i otworzył je.

Irene zawahała się, kiedy drzwi się za nią zamknęły. Weszła i usiadła przy stoliku dokładnie naprzeciwko kobiety, którą rozpoznała ze zdjęć.

Szczerze mówiąc, była zaskoczona. W porównaniu z innymi przestępcami ta kobieta wydała się jej wyjątkowo drobna - i wyjątkowo zdruzgotana. Najwięksi Przestępcy - ludzie, którzy popełniali Największe Zbrodnie - zwykle tak nie wyglądali. Zazwyczaj za wyglądem zbitego psa na uwięzi płonął nieugięty opór; błysk czegoś podłego, nikczemnego.

U Carolyn Donovan dostrzegła jedynie smutek. Kobieta siedziała wciśnięta w metalowe krzesło, z prawą ręką unieruchomioną kajdankami, zwisającą bezwładnie. Błada i wymizerowana, zdawała się niknąć w zbyt dużym, niebieskim stroju więziennym. Wyglądała bardziej na matkę niż na kryminalistkę; bardziej na gospodynię niż morderczynię.

Nic dziwnego, że udało jej się tak długo pozostać na wolności.

- Witaj, Carolyn - odezwała się wesoło Irene, podchodząc do stołu. - Agentka specjalna Irene Rivers z FBI. Nie wyobrażasz sobie, jak bardzo się cieszę, że w końcu mogę cię poznać - usiadła na krześle i położyła ręce na stole. - Jak się pewnie domyślasz, mamy dwa, a może trzy tysiące pytań. - Chciała, by zabrzmiało to swobodnie, ale przestraszyła się, że w gruncie rzeczy wyszło okrutnie.

Odpowiedziało jej milczenie.

- Carolyn, możemy to załatwić na kilka sposobów - kontynuowała. - Możesz tu siedzieć ponura i milcząca, i ogólnie mówiąc pogarszać swoją sytuację, albo możesz...

- Jak się czuje mój syn? - przerwała jej Carolyn.

Pytanie zupełnie zbiło Irene z tropu. Umilkła na chwilę, żałując straszliwie, że przed przyjściem tu nie spytała o stan jego zdrowia.

- Nie wiem - odparła szczerze. - Ale jest tu ze mną agent, który na bieżąco śledzi tę sprawę.

- Dlaczego nie pozwolili mi zostać przy moim dziecku? - jęknęła Carolyn. Zdawała się otepiała od żalu. Może była pod wpływem narkotyków?

Irene pokręciła głową.

- Nie mogli. Daj spokój, zbyt długo próbowaliśmy was złapać. Ostatnią rzeczą, jaką...

- Nawet nie pozwolili mi się z nim pożegnać. Przylecieli tym helikopterem i zabrali go. Nawet nie zdążyłam go pocałować na pożegnanie - miała oczy utkwione w jednym punkcie, gdzieś pośrodku stołu.

- Powinnaś o tym pomyśleć, zanim go w to wplątałaś - powiedziała Irene, ściągając na siebie piorunujące spojrzenie.

- Wy nie macie pojęcia, coście nam zrobili - warknęła Carolyn. - Myślicie, że macie wyjaśnienia, dowody, ale tak naprawdę to macie tylko własną głupotę i nienawiść. Nic złego nie zrobiliśmy. Nigdy nie zrobiliśmy nic złego, a wy chcecie nam wyrządzić krzywdę.

Irene poczuła się dziwnie zepchnięta do pozycji defensywnej.

- Nie chcę nikogo skrzywdzić - odpowiedziała. - Ja po prostu...

- Chcecie skrzywdzić mojego syna - przerwała jej Carolyn. - Ponieważ krzywdząc jego, wyrządźcie krzywdę mnie i mojemu mężowi. Dla was liczy się tylko zemsta.

Irene przez długą chwilę przypatrywała się kobiecie, szukając w jej oczach ukrytych motywów. Najwięksi kryminaliści byli najlepszymi oszustami i jeśli tylko dało się im szansę, potrafili się wgryźć pod skórę i dokuczyć jak odleżyna. W ciągu wielu lat, kiedy przesłuchiwała przestępców, spotkała tylko kilku, którzy przyznali się do popełnionych zbrodni. Wszyscy pozostali utrzymywali, że są niewinni, co kazało jej snuć nie kończące się spekulacje na temat ludzkiej zdolności do oszukiwania samego siebie.

Dowody były zbyt oczywiste. Jako agentka Federalnego Biura Śledczego, Irene miała obowiązek gromadzenia i analizowania dowodów i aresztowania ludzi uznanych przez prokuratora generalnego Stanów Zjednoczonych za gwałcicieli prawa federalnego. Wina i niewinność stanowiły bardziej ulotny obszar jurysdykcji. Nie mogła sobie pozwolić na luksus współczucia ludziom, których aresztowała. Mimo że Carolyn Donovan była wyraźnie przygnębiona i pełna żalu, Irene wmawiała sobie w duchu, że nie ma to żadnego związku ze sprawą.

- Zdaje się, że chcesz złożyć zeznanie - powiedziała, przerywając ciszę. Carolyn podniosła oczy i utkwiała je w rozmówczyni. Powoli skinęła głową.

- Zgadza się - pochyliła się do przodu, opierając się na wolnym przedramieniu. - Tak, agentko Rivers. Złożę zeznanie. Może zaczniemy od Newark w Arkansas, rok tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego .

- To mi się podoba - zgodziła się Irene. Skinęła do kamery po prawej stronie, w rogu pod sufitem, jakby chciała przypomnieć Sparksowi, że przesłuchanie jeden na jeden to jej pomysł.

Carolyn opowiedziała jej całą historię równomiernym głosem, nie pozwalając się ściągnąć na boczne tory pytaniami Irene, które ta od czasu do czasu zadawała. Mówiła bez przerwy przez pół godziny, zaczynając od tego pierwszego dnia pośród dymu, pożaru i zwłok, a kończąc na chorobie Travisa dzisiejszego popołudnia. Starannie unikała podawania takich szczegółów jak nazwiska, którymi posługiwali się w ciągu tych lat, czy osoby, które pomagały

im w ucieczce.

Jedną okoliczność podkreśliła szczególnie: że Travis nigdy o niczym nie wiedział i był jedynie biernym uczestnikiem wydarzeń.

Irene w całej swojej karierze nie słyszała bardziej zaskakującej historii.

- Zdajesz sobie chyba sprawę, że znaleźliśmy wiadomość, jaką zostawiliście na miejscu zbrodni? - zapytała.

- Nigdy nie napisaliśmy nic takiego - odparła bez zmrużenia oka Carolyn. - Tak samo jak nigdy nikogo nie skrzywdziliśmy. Skoro macie taką wiadomość, oznacza to, że ktoś ją tam podłożył.

Irene roześmiała się słysząc taki absurd.

- To wszystko? To cała twoja relacja? Chcesz, żeby ludzie uwierzyli, że ktoś to wszystko uknuł? Że zadał sobie tyle trudu, żeby z państwa Zwyczajnych Obywateli zrobić Najbardziej Poszukiwanych, a wszystko po to, żeby zatuszować jakieś morderstwo? Daj spokój, Carolyn, stać cię na więcej.

Carolyn niemal przewierciła ją na wylot spojrzeniem pełnym nienawiści.

- Niech cię wszyscy diabli! - zawrzała. - Po co w ogóle zadajesz pytania, skoro znasz odpowiedzi?

Irene słyszała to samo pytanie z ust wielu więźniów.

- Ponieważ chcę usłyszeć, jak na nie odpowiadasz, Carolyn. Chciałabym, żebyś dała mi jakąś wskazówkę, że mogą ci zaufać. Że będziesz współpracować.

Tym razem Carolyn roześmiała się w głos.

- Zaufanie? Współpraca? Chyba sobie żartujesz. Czternaście lat temu zrobiliście z naszego życia piekło! - podniosła głos i spróbowała wstać, ale krzesło, do którego przykuto ją kajdankami, było mocno przytwierdzone do podłogi. - Jak śmiesz mówić mi o zaufaniu! Gdybyście zrobili to, co do was należało na samym początku, nic podobnego by się nie wydarzyło! Mój syn... on by... - głos się jej załamał.

Przesłuchanie dochodziło do momentu, na który czekała Irene: kiedy emocje aresztowanego wylewają się poza ochronne bariery, zbudowane przez niego wokół prawdy. Irene, tak jak ją uczono, przyjęła błyskawicznie ton matki - spowiedniczki.

- Zrobiliśmy, co do nas należało - powiedziała miękko, kojąco. - Poszliśmy w kierunku wskazanym przez dowody. Zrozum, proszę, nie mamy wobec was żadnych nieprzyjaznych uczuć. Wy też zrobiliście, co mieliście do zrobienia. Uciekliście, tak jak postąpiłby każdy, kto obawiałby się kary.

- Uciekliśmy, ponieważ nie mieliśmy innego wyboru! - załkała Carolyn. -

Wiedzieliśmy... - w jednej chwili uświadomiła sobie, do czego zmierza Irene. Zrozumiała grę i opanowała falę emocji. Przypomniało jej się, co dawno temu mówił im Lanny Skiles, kiedy zaznajamiał ich z prawami ulicy: policja postrzegala ludzi jak pionki, rzeczy, którymi można manipulować. Będą kłamać, będą zwodzić, zrobią wszystko, abyś ułożył oskarżające siebie słowa w jedno gotowe zdanie. Zanotują je, wypiorą z emocji i spreparują tak, żeby posłużyło jako dowód przyznania się do winy.

Nagle poczuła potworne zmęczenie. Zdążyła już zapomnieć, co do tej pory powiedziała, ale czuła, że i tak za wiele. Nie mogła pozwolić sobie na okazywanie gniewu, strachu i nienawiści. Najwyższy czas, aby zmienić strategię w tej grze.

Znieruchomiła na chwilę, napinając kajdanki i zaczerpnęła głęboko powietrza. Zatrzymała je na kilka sekund w płucach, po czym powoli wypuściła. Powrócił spokój. Oderwała wzrok od Irene, żeby nadać twarzy łagodniejszy wyraz i usiadła wygodniej na krześle.

- Która godzina? - zapytała.

Irene spojrzała na nią z zaciekawieniem, z trudem maskując rozczarowanie.

- Masz coś ważnego do załatwienia? Carolyn wzniosła oczy do góry i chrząknęła.

- No nie, wy naprawdę jesteście kapitalni! - chrząknięcie zmieniło się w śmiech. - To dla ciebie jedna wielka podróż do władzy!

Śmiech wzrastał się i stawał coraz bardziej szczery. Łzy napłynęły Carolyn do oczu i otarła je wolną ręką.

- Dobrze, agentko Rivers - wykrztusiła nie przestając się śmiać. - Jeśli dzięki temu czujesz się ważna, to proszę bardzo, możesz ukrywać przede mną, która godzina. Na Boga, nieźle się kontrolujesz.

Irene rozdziawiła usta, słysząc te szydercze słowa, i nagle zdała sobie sprawę z obecności ludzi, obserwujących ją po drugiej stronie kamery. Teraz nie mogła się poddać.

- Tak czy owak - zakończyła Carolyn - robi się późno, a ja jestem coraz bardziej zmęczona. Pozwól, że zadam ci jeszcze jedno pytanie.

- Jeżeli musisz... - tak jakby Irene miała wybór.

- Nie masz zamiaru dopuścić do siebie myśli o spisku. Pokazałaś to dostatecznie jasno. W ten sposób odpowiedziałaś sobie na pytanie, dlaczego uciekaliśmy. To teraz ja cię pytam: po co wróciliśmy do Newark, jeśli nie po to, żeby zebrać dowody, o których mówiłam? Wiesz z własnego doświadczenia, że jesteśmy ekspertami w ukrywaniu się. Dlaczego zatem wyszliśmy na zewnątrz? Dlaczego się ujawniliśmy?

Irene rozegrała swoją część z kamienną twarzą pokerzysty, choć pytanie było cholernie

dobre. Warte zgłębienia. Ale teraz dobrzy przesłuchiwali złych, a nie odwrotnie. Jedna z najbardziej podstawowych zasad przesłuchania mówiła, by przesłuchujący ani na chwilę nie stracił kontroli, a to oznaczało unikanie odpowiedzi na pytania podejrzanego. Skontrowała pytaniem zmieniając temat.

- Twój wuj, Harry Sinclair, też jest w to zamieszany, prawda? Pytanie zupełnie zaskoczyło Carolyn, jak wymierzony znienacka policzek. Starła się nie pokazać po sobie żadnej reakcji.

- Już mówiłam - powiedziała po sekundzie wahania - że czuję się coraz bardziej zmęczona. Chciałabym zakończyć tę rozmowę.

Jednakże Irene dopiero się rozgrzewała. A przynajmniej tak sądziła. Po półgodzinie przyszpilania, przyciskania, obelg i krzyków nie uzyskała nic poza chwilowym kontaktem wzrokiem z podejrzaną. W końcu agentka Rivers poddała się i poleciała Flaherty'emu, żeby odprowadził Carolyn do celi.

Jake był zaskoczony, że plan Nicka sprawdził się tak dobrze. Podczas zamieszania w punkcie pierwszej pomocy Nick przeniósł pomarańczowy worek ze zwłokami oraz dwie torby z pieniędzmi z bagażnika cadillaca na tył toyoty pikapa należącego do Boba i Barbary, który stał zaparkowany, z kluczykami w środku przed tylnym podjazdem. Zdawało się, że nikt nie zauważył, kiedy skręcili z maleńkiej drogi dojazdowej z powrotem na szosę. Przejechali zaledwie o dziesięć metrów od karetki, która stała na podjeździe z przodu, kołyszac się lekko: wewnątrz trwała walka o życie Trávisa.

Jechali w milczeniu. Nick nie wiedział, co mówić. Jake, starając się zachować pozory opanowania, utkwiał zahipnotyzowany wzrok w żółtych liniach na asfalcie. Ciągnęły się bez końca, idealnie prosto, błyszcząc w świetle reflektorów. Zastanawiał się, jak w takiej sytuacji można nie zasnąć.

Nagle wszystko przestało się liczyć. Teraz, gdy Travis był bliski śmierci, a Carolyn poszła do więzienia, cała ta historia z szukaniem sprawiedliwości i ściganiem się z policją wydała mu się tragicznie bez znaczenia. Cała odpowiedzialność za to, czy będą znowu mogli być razem, spoczywała teraz na nim, ale miał duże wątpliwości, czy zdoła udźwignąć to brzemień. Spasowanie wydawało się o wiele łatwiejsze. Więcej, przyniosłoby ulgę - od tego bólu w sercu, który rozrastał się niczym guz. Dlaczego byłem dla niej taki oschły?

Czuł się wyczerpany. Nie mógł przypomnieć sobie, kiedy ostatni raz nie czuł strachu - nieodłącznego towarzysza ich życia. Nawet najradośniejszym chwilom na przestrzeni tych lat towarzyszył podskórny lęk, że śmieją się wspólnie po raz ostatni. Jedyne ostami rok czy dwa wydawały się lepsze. Po kilku miesiącach spędzonych w jednej miejscowości poczuł ulgę, że im się udało. Później jednak przyszedł czas na dalszą ucieczkę, co dało mu wyraźnie do zrozumienia, że ich przetrwanie wisi na włosku. Wystarczyłby jeden człowiek, który by ich rozpoznał.

Najgorszy okres przypadł na rok tysiąc dziewięćset dziewięćdziesiąty, kiedy jedna ze stacji telewizyjnych wyemitowała film o Donovanach i ich wieloletniej ucieczce przed prawem. Miliony ludzi obejrzało ów dokument, a mimo to nikt nie dostrzegł podobieństwa. Ciągłe napięcie przytłaczało: zakupy w sklepie spożywczym, obsługa klientów, gdy wiedział, że połowa z nich zastanawia się usilnie, czy gdzieś go już nie spotkali...

Dla Carolyn ten stres okazał się zbyt silny. Program telewizyjny, pustka anonimowości, demony dzieciństwa - wszystko sprawiło, że zaczęła pić. Wtedy nienawidził jej za tę słabość.

Cóż to za egoizm - myślał - szukać zapomnienia w alkoholu, tylko pogarszając w ten sposób żalną egzystencję najbliższych, zmuszonych osłaniać jej wpadki! Travis strasznie to przeżywał i Jake był przekonany, że skończyła z pić właśnie dla niego.

Teraz uświadomił sobie i docenił hart, jakiego wymagało od Carolyn odcięcie się od tej drogi ucieczki. Pluł sobie w twarz, że nigdy jej tego nie powiedział.

Gdyby mógł cofnąć czas o kilka dni. Gdyby choć chwilę dłużej kłócił się tamtego ranka z Travisem, nic podobnego by się nie wydarzyło. Gdyby nie skrócił sobie drogi, aby uniknąć korków, albo zatrzymał się na jakiś posiłek, wówczas federalni przyjechaliby przed nim, a on nawet nie zatrzymałby się przed warsztatem, widząc policyjne wozy. Przypadek zadrwił sobie z niego. Po tylu latach skrupulatnego planowania i obmyślania strategii siedział teraz w środku gigantycznego gówna, twarzą w twarz z możliwością, że już nigdy w życiu nie zobaczy tych dwojga, którzy nadawali sens jego życiu.

Ciekawe, że minęli w drodze tylko dwa radiowozy. Jakies piętnaście minut od rozstania z Carolyn spotkali gliniarzy pędzących z szaloną prędkością w przeciwnym kierunku, z włączonymi syrenami. Nick coś wtedy powiedział, ale Jake nie dosłyszał.

Plan, przekazany Nickowi parę godzin wcześniej przez kierowcę o kamiennej twarzy, zakładał ich przyjazd na lotnisko Little Rock, skąd mieli skierować się ku małemu centrum handlowemu położonemu kilka kilometrów dalej. Tam należało zaparkować przed sklepem sportowym i czekać, aż ktoś po nich przyjedzie i odtransportuje - przypuszczalnie ulubionym gulfstreamem Nicka - do jakiegoś nowego miejsca.

Kłopot polegał na tym, że wyznaczony szofer będzie szukał białego cadillaca, a nie błękitnej toyoty. Kiedy odczekali pięć minut i nikt do nich nie podchodził, Nick zaproponował, żeby wyjść na zewnątrz i usiąść na masce, a wtedy potencjalny obserwator zwróci na nich uwagę.

Minęło kolejne pięć minut. Potem dziesięć. W końcu z dalekiego krańca parkingu nadjechał jakiś samochód. Z początku kierowca sprawiał wrażenie, że się zgubił i objeżdżał powoli rzędy sklepów. Potem zniemacka włączył długie światła i skręciwszy, ruszył prosto na nich. Nick zsunął się z maski i cofnął kilka kroków Jake wsunął rękę pod kurtkę, kładąc dłoń na zimnej kolbie pistoletu. Gdyby okazało się, że to gliniarze, nastąpiłby głośny koniec całej historii. Jeżeli to jakieś dzieciaki, każe im się wynosić do domu. Miał nadzieję, że to ani jedni, ani drudzy.

Samochód zwolnił i zatrzymał się. Ponownie mrugnął światłami. Drzwi otworzyły się, a wewnętrzne światło wyłowiło z ciemności znajomą twarz Thorne'a. Gdy potężny facet gramolił się z przedniego siedzenia, Jake zeskoczył z maski pikapa.

- Gdzie Promyczek? - zapytał Thorne. Jego silny środkowozachodni akcent nie pasował do wąskich oczu i twarzy w kształcie litery V.

- Gliny ją dorwały - powiedział ponuro Jake. - Travis zachorował i Carolyn została przy nim.

- Pan Sinclair się wścieknie - słowa Thorne'a zabrzmiały jak groźba.

- To mi złamie serce - mruknął Jake. Spośród wszystkich bolesnych konsekwencji ujęcia Carolyn wściekłość wujka Harry'ego nie znajdowała się w pierwszej setce.

- Co to za gówno? Gdzie jest wynajęty wóz?

- Musieliśmy go zostawić. Ten zabraliśmy medykom.

Na twarzy Thorne'a pojawił się wyraz totalnego niesmaku.

- A paczka? Gdzie jest?

Nick podszedł, trzymając w ręku worek na zwłoki.

- Tutaj. Wygląda to na małe dziecko.

Na drągalu nie wywarło to najmniejszego wrażenia. Z kamienną twarzą otworzył bagażnik, włożył zwłoki i zamknął klapę.

- Cały czas miałeś na rękach te rękawice? - zapytał.

- Nie ruszam się bez z nich z domu - odciął się Nick. Thorne przewrócił oczami.

- Wsiadajcie.

Usiedli z tyłu, kładąc między sobą torby z pieniędzmi.

Jak się okazało, lotnisko stanowiło tylko punkt zborny. Cel ich podróży leżał jakieś czterdzieści pięć minut drogi dalej. Jechali coraz węższymi i coraz gorszymi drogami, aż dotarli do miejsca, gdzie las otwierał się, ukazując przedwojenną, zbudowaną z cegły rezydencję, wyrastającą niczym średniowieczny zamek wśród bezkresu pól. Jasne światła zalewały fasadę budowli, nadając jej wygląd lunaparku.

- Co to jest? - zapytał Nick, ale nie otrzymał odpowiedzi.

Skręcili na kilometrowej długości podjazd, miażdżąc oponami żwir. Wkrótce budynek przesłonił całą przednią szybę. Jake powrócił myślami do ostatniego spotkania z ludźmi Harry'ego. Wtedy korzystali z o wiele skromniejszych klejnocików, choć usytuowanych podobnie - w miejscu gdzie pieprz rośnie.

- To tyle na temat nieafiszowania się - mruknął.

- Nie chodzi o afiszowanie - odburknął Thorne. - Chodzi o ochronę. Tutaj każdy nadjeżdżający pojazd dostrzeżecie na dwa kilometry.

Podjazd kończył się rozległym kołem otaczającym wytworną fontannę, która, o ile Jake dobrze widział, przedstawiała stadko łabędzi.

- Możecie wejść - poinstruował Thorne. - Nie trzeba pukać. Ja zajmę się tym, co w bagażniku.

Nick i Jake wymienili niespokojne spojrzenia. Wysiedli z wozu i wspięli się po szerokich, marmurowych schodach prowadzących do podwójnych drzwi.

Jake podał przyjacielowi torbę i sięgnął do klamki. Zawahał się, po czym wyciągnął glocka z kabury i opuścił ramię wzdłuż tułowia. Dawno temu nauczył się ufać instynktowi, a właśnie teraz nakazywał mu on pędzić z powrotem do samochodu.

Ostrożnie otworzył drzwi. Najpierw sprawdził, czy ktoś nie kryje się za framugą. Lśniący, wieloramienny żyrandol z mosiądzu zwieszał się nad zdobnym foyer, którego lustrzane podłogi z orzechowego drewna były inkrustowane hebanem i perłą we wzór przedstawiający rodzinny herb.

- Tu są dopiero ciężkie pieniądze - wymamrotał Nick pod nosem.

Poruszali się ostrożnie w ciszy gigantycznego domu, kierując się na prawo - ku drzwiom małego pokoju. Jego wystrój był olśniewający. Dwa skórzane zielone fotele pełniły straż po obu stronach wspaniałego kominka, naprzeciw niego zaś dostrzegli obitą jedwabiem sofę. Jake doszedł do wniosku, że to pomieszczenie pełni tu rolę salonu.

- Hej! - zagrzmiął głos za ich plecami.

Jake, który szedł przodem z wyciągniętym pistoletem, wykonał błyskawiczny zwrot. Przez drzwi frontowe wchodził Thorne, jedną ręką ciągnąc worek na zwłoki, z telefonem komórkowym w drugiej.

- Jezu, Thorne - wyrzucił z siebie Jake, opuszczając broń. - Ale mnie wystraszyłeś.

Mężczyzna zatrzymał się na widok pistoletu i popatrzył na Jake'a z niesmakiem.

- Odłóż to pieprzone ścierwo - rozkazał. - Powiedziałem wyraźnie, rezydencja jest czysta. Jesteśmy tu bezpieczni. - Przeciągnął pomarańczowy worek przez foyer i rzucił telefon Donovanowi. - Łap - powiedział. - Pan Sinclair chce z tobą rozmawiać.

Pan Sinclair może pocałować mnie w dupę - pomyślał Jake, łapiąc aparat. Thorne zwrócił się do Nicka.

- Reszta waszego gówna jest w kuchni. To też tam zaniosę.

Nick kiwnął głową i podążył za nim korytarzem, znikając na osobliwych, krętych schodach.

Jake przyłożył słuchawkę do ucha.

- Tak, Harry, to ja, Jake.

- Gdzie Promyczek? - zapytał stary głosem ostrym jak brzytwa. Cała nienawiść, jaką Jake darzył tego nadzianego bufona, wypłynęła nagle na powierzchnię jak oliwa.

- Carolyn tu nie ma. - Choć myślał, że jego głos zabrzmiał stanowczo, odpowiedział niepewnie, jak dziecko, które spowiada się przed rodzicami. Było nie było, rozmawiał z człowiekiem, któremu sprzedał duszę w zamian za wolność. - Musiałem ją zostawić. - W ciągu minuty podał Harry'emu szczegóły dramatu.

- A więc po prostu uciekłeś! - zaatakował stary. - Po prostu zostawiłeś ją tym świniom!

- Harry, ja nie miałem wyboru!

- Gówno prawda! Zawsze jest jakiś wybór!

Jake milczał. Opał ciężko na wytworną sofę. Oczywiście, że istniały alternatywy, ale co innego...

- To wszystko przez tego waszego cholernego dzieciaka! - wrzeszczał Harry. - Mówiłem, żadnych dzieci! A wyście mnie świadomie zignorowali! Dlaczego nie słuchaliście, co mówiłem?

Jake zaniemówił. Jeszcze przed paroma sekundami czuł, że splukuje w kiblu własne "ja", rozmawiając tak a nie inaczej z rym człowiekiem. Teraz był gotów do walki. Cholerny dzieciak? Jak on śmiał! Przez długą chwilę wpatrywał się w słuchawkę z otwartymi ustami.

- Zadałem ci pytanie, Jake! - zahuczał w słuchawce głos Harry'ego.

- Posłuchaliśmy cię - wycedził Jake, koncentrując się na słowach i kontrolując barwę głosu. - Zrobiliśmy każdą cholerną rzecz, jaką nam kazałeś, i zobacz, dokąd zaszliśmy.

- Właśnie że nie słuchaliście! - zagrzmiął Harry. Pieprzyć samokontrolę.

- Właśnie że słuchaliśmy! - odparował. - Mówiłeś, że mamy uciekać - uciekaliśmy. Kazałeś nam zmienić nazwiska i wygląd. Zmieniliśmy. Przez czternaście pieprzonych lat, Harry, wypełnialiśmy tylko twoje polecenia! Fakt, mieliśmy też syna...

Nagle słowa uwięzły mu w gardle i umilkł, jakby się zadławił. Przerazenie sparaliżowało mu mowę na ułamek sekundy.

- Mieliśmy syna - powtórzył ledwie szeptem. Podświadomie użył czasu przeszłego.

O Boże...

- To jedyna słuszna rzecz, jaką kiedykolwiek zrobiliśmy, Harry, a teraz myślę, że go zabiłem - popatrzył przez chwilę na telefon, opuścił go opierając na brzuchu, po czym wyłączył i upuścił na podłogę.. Harry Sinclair był ostatnim człowiekiem, któremu należały się wyjaśnienia.

Oparłszy łokcie na kolanach, pochylił się i zanurzył palce we włosach. Beznadziejność sytuacji zaparła mu dech w piersiach.

Co ze mnie za bydlę - myślał. - Zabijam własnego syna i poświęcam żonę, byle tylko ratować własną skórę.

- O mój Boże - wyszeptał. - O słodki Jezu. Co ja zrobiłem?

Cały świat legł w gruzach. Jake przycisnął pięści do oczu, ale nie mógł zatamować goryczy. Wylała się z niego przerywanym łkaniem i nagle przeniósł się myślami gdzie indziej. Nie był już w Arkansas. Przytrzymał swojego małego synka, który po raz pierwszy jechał na rowerze. Potem przypomniał sobie przykrość malującą się na twarzy chłopca za każdym razem, gdy mówili mu, że czas się przenieść do innego miasta. Te kamienice, w których mieszkali, te rojące się od karaluchów kempingi. Te siniaki, kiedy chłopak nie miał zamiaru po raz kolejny kajać się przed miejscowymi dzieciakami, które chciały się przekonać, co to za materiał z tego nowego.

Boże, Jake tak się starał być dobrym ojcem. A jednak przez jego obsesję, by syn nie odstawał od innych pod żadnym względem, nigdy tak naprawdę nie stali się przyjaciółmi. Ta myśl zaboląła najbardziej. Z trudem oddychał.

A w najbardziej heroicznym momencie jego życia - kiedy chciał ich ratować - on potrafił tylko wrzeszczeć. I obdrzeć go z godności.

Jake zapragnął być ze swoją rodziną. Chciałby się do nich przytulić, jak za dawnych czasów, kiedy to robili "kanapkę": on i Carolyn byli kromkami chleba, a Travis - wołowiną. Myśl, że miałby ich już nigdy w życiu nie dotknąć, była nie do zniesienia. Jego umysł wytworzył makabryczny obraz: wzgórek ziemi, pod którym spoczywa jego jedyne dziecko. I Carolyn w więziennym stroju, modląca się o dzień, w którym będzie mogła do niego dołączyć.

Ta ostoja cnoty, ten Jake Donovan. Zawsze gotów, aby kobiety i dzieci cierpiały zamiast niego. W języku jest określenie na takich jak on: tchórz. Najbardziej ekskluzywna odmiana łajdaka. Człowiek, który odsuwa się na bok, pozwalając innym umrzeć za siebie. Przyszli mu na myśl dezertery i migający się od wojska. Albo kapitanowie statków, którzy odpływali w ostatniej szalupie, podczas gdy pasażerowie tonęli błagając o pomoc.

Jakby wpadał do studni bez dna. Złapał się na tym, że pogrąża się coraz bardziej w najczarniejszej rozpacz, jaką kiedykolwiek przeżył. Wszystko, co do tej pory kochał, odeszło, i to z jego winy. Jak żyć z tą świadomością? Wiedząc, że zabił własnego syna, jak będzie mógł kiedykolwiek spojrzeć na swoje odbicie w lustrze? Jak będzie mógł spojrzeć w oczy kolejnemu światowi?

- Jake!

Szorstkość głosu zaskoczyła go. Nick sprawiał wrażenie podekscytowanego.

- Co?

- Idziesz czy nie?

Jake był zdezorientowany i otępiały; chyba musiał tak siedzieć jakiś czas? Spojrzał na

zegarek i ze zdumieniem stwierdził, że pół godziny jego życia po prostu wyparowało.

- Dokąd? - zapytał schrypniętym głosem.

- Do kuchni - powiedział Nick, jakby była to najbardziej oczywista rzecz na świecie, po czym spoważniał na twarzy. - Dobrze się czujesz?

Jake wstał niepewnie, nie wiedząc, czy zdoła zachować równowagę.

- Taak, chyba wszystko w porządku. Po prostu odpłynąłem na chwilę. - Po kilku sekundach rozjaśniło mu się w głowie. Podążył za Nickiem i zatrzymał się w foyer. - Co jest w kuchni?

Przyjaciel najwyraźniej czuł się nieswojo.

- Chciałem spojrzeć na te szczątki, zanim prześlemy je do Chicago. Najlepszym do tego miejscem będzie chyba ta kuchnia - na zaciekawione spojrzenie Jake'a odpowiedział obojętnym wzruszeniem ramion. - Nie przejmuj się. Coś po prostu zauważyłem w tym magazynie. Prawdopodobnie nic takiego, ale pomyślałem, że trzeba to sprawdzić.

- Co zauważyłeś? - naciskał Jake, kiedy szli korytarzem.

- Powiem ci, jak rzucimy okiem na ten szkielet. - Nick uchylał się od odpowiedzi. - Tak jak mówiłem, prawdopodobnie to nic takiego.

Jake zrozumiał, że dalsze indagowanie nie ma sensu.

Kuchnia była olbrzymia, jak w eleganckiej restauracji w centrum miasta. Sztuńce z nierdzewnej stali błyszcząły niczym miniaturowe lustra. Miedziane garnki i patelnie zwieszały się z sufitu nad błyszczącym sześcioramionowym piecem. Białoczarne szachownice płytek na podłodze lśniły nieskazitelną czystością i Jake złapał się na tym, że stąpa ostrożnie, jakby dopiero co ją umyła.

Pomarańczowy worek na zwłoki leżał w prawym rogu, ciśnięty tam z szacunkiem i dbałością, jaką okazuje się poduszce.

- Co to za dom? - zapytał Jake.

- Należy do jakiegoś lekarza, kolegi pana Sinclaira - wyjaśnił Thorne. - Pozwolił nam jakiś czas z niego korzystać.

- Gdzie on teraz jest?

Nick uśmiechnął się wymownie na to pytanie. Najwyraźniej przerabiali je już z Thorne'em.

- Wyjechał - asystent Harry'ego mówił z denerwującym, pobłażliwym uśmiechem, jakby reagował na żart, który rozumiał tylko on. Każdy jego ruch zdawał się zaprogramowany tak, by trzymać ludzi na krawędzi wytrzymałości. Tego człowieka należało się obawiać.

- A skażenie? - zapytał Jake.

- Nie martw się. - Nick machnął ręką. - Mamy tu kombinezony z saraneksu i respiratory. Nie powinno być problemu.

- Nie chodzi o nas, tylko o pomieszczenie. Z tej kuchni ktoś będzie korzystał, na miłość boską.

- Nie przejmuj się tym - poradził Thorne. - Potrzebny ci pokój, to go używaj. Nasz gospodarz nie będzie miał nic przeciw temu.

Jake i Nick spojrzeli po sobie w milczeniu.

- Te rzeczy, które, jak mówiliście, będą potrzebne, są w tamtych pudłach. - Thorne wskazał palcem. - Potrzebujecie mnie, czy mogę sobie odpocząć?

Po jego wyjściu Nick ukląkł, aby otworzyć pudła.

- Wygląda na to, że wszystko tu jest. - Z największej paczki wyjął dwa białe kombinezony z kapturami i jeden z nich podał Jake'owi. W pudle zostało jeszcze dziesięć. - Boże, wystarczy dla całej armii.

Jake przesunął materiał między palcami i spojrział z ciekawością na Nicka.

- Z czego one są?

- Z saraneksu. Widzisz, co się dzieje, jak na jakiś czas tracisz kontakt z zawodem? Ten kombinezon to cudo w przypadku skażenia pyłem.

Jake przyjrzał się dokładnie.

- W dotyku przypomina pampersy - ocenił, chichocząc. Strzepnął kombinezon i wsadził jedną nogę w nogawkę. Z trudem przebijał się przez zeszywniałe fałdy. Nagle znieruchomiał.

- Thorne!

Minęło trochę czasu, zanim drągał nadszedł wolnym krokiem.

- Sprawdź, co dałoby się dowiedzieć o Carolyn i Travisie, dobra? Thorne przechylił na bok głowę i oparł pięści na biodrach.

- A jak, kurwa mać, wyobrażasz sobie, że mam to zrobić? Może zadzwonić do FBI i zapytać? - potrząsając z niesmakiem głową, odwrócił się i zniknął za drzwiami.

- Kutas! - Jake splunął na podłogę.

- Ważniak - zakonkludował Nick. - Ale niech cię to nie rusza. Taki już jest.

Strój ochronny w przypadku tak niewielkiego ryzyka skażenia nie był zbyt skomplikowany. Ubieranie się przypominało przygotowania do operacji chirurgicznej, z tą różnicą, że zamiast masek założyli respiratory podobne do maski tlenowej pilota z dodatkami przejrzystej osłony z lexanu, która tworzyła próżniową przestrzeń wokół całej twarzy od brwi aż po brodę. Zamiast sztucznego zapasu powietrza respiratory wykorzystywały dwa filtry w kształcie dysku, które miały eliminować wszelkie niepożądane cząsteczki, zanim dotarłyby do

nosa czy ust.

Nakryli głowy kapturami i włożyli rękawice z lateksu, po czym podeszli do blatu przeznaczonego najwyraźniej do rąbania mięsa. Mieli badać zwłoki na powierzchni przeznaczonej do przyrządzania potraw... To niemal świętokradztwo! No, ale cóż robić.

Pomarańczowy worek leżał pod fluorescencyjnymi lampkami, które nie dawały tyle światła, ile by sobie Nick wymarzył. Musiały jednak wystarczyć. Przez pół minuty mozolili się z rozprostowaniem worka, by znaleźć dostęp do ekspresu. Pomarańczowa warstwa otworzyła się jak obierana skórka banana, ujawniając zielony worek, który Jake podniósł na tyle, aby Nick mógł ściągnąć zewnętrzną, pomarańczową powłokę i położyć ją na posadzce.

- To teraz powiedz mi - zaczął Jake głosem tłumionym przez respirator - cóż to za wielka tajemnica?

- Za chwilę się przekonamy - rzucił Nick, unikając wzroku partnera.

- O co chodzi?

Nick zignorował pytanie, mocując się z jeszcze jednym workiem. Tu, w świetle dostrzegli po raz pierwszy, jak drobny był pył, na działanie którego byli wystawieni: miał konsystencję talku. Jake wziął odrobinę substancji w palce i poczuł rozpacz. Naturalne filtry w organizmie człowieka były bezużyteczne wobec tak drobnych cząsteczek. To, co wdychał Travis, bez trudu powędrowało do najgłębszych pokładów płuc. Można sobie wyobrazić, jakiego spustoszenia dokonało... Jake zamknął oczy i wziął głęboki oddech.

Uspokój się - powiedział sobie w duchu, szukając jakiegoś promyka nadziei. - Nie jesteś lekarzem. Przestań się brać za medycynę. Może nie jest aż tak fatalnie, jak sądzisz?

Pomieszanе kości tworzyły bezładną kupkę na dnie worka. Nick zagłębił rękę do łokcia i wyjął je na blat. Podnosił każdy fragment pojedynczo do światła, obracając go w rękawicach, po czym sięgał po kolejny.

- Co tam widzisz? - zapytał Jake. Upłynęło już zbyt wiele lat od czasu, gdy uczył się anatomii i fizjologii.

Nick nie oderwał oczu od szczątek.

- Bardzo zniszczone przez ogień - zaopiniował. - To chyba część kręgosłupa. Widzisz tę wypukłość? - przesunął po niej palcem.

Jake widział wyraźnie.

- W porządku, co nam to daje?

Nick ponownie zignorował pytanie, sięgając po kolejną kość.

- O, jest - powiedział. - Tej właśnie szukałem. - Obrócił w palcach coś w rodzaju wydłużonego V o dość niezwykłych zgrubieniach na krawędziach. Opuścił dłonie na stół,

ramiona mu zwisły. Kiedy podniósł głowę, nawet przez lexan Jake widział bruzdy na jego czole.

- Co się stało? - zapytał, czując jak serce łomocze mu w piersiach. - Co to jest?

Nick podniósł kość do światła.

- To żuchwa - powiedział ledwo dosłyszalnie.

Jake wziął od niego kość i podniósł ją na wysokość oczu.

- Żuchwa? Nie wygląda jak... - tu zrozumiał. Wrzucił kość z powrotem do worka i złapał się za krawędź stołu, żeby nie stracić równowagi.

- To pies, Jake - powiedział cicho Nick. - Albo może wilk czy lis. W każdym razie to nie jest ludzka kość.

Jake zagryzł wargę i zamknął oczy, by nie dopuścić myśli, która torowała sobie drogę przez jego umysł.

- Pies? Kto by popełnił masowe morderstwo, żeby ukryć śmierć psa? Nick odwrócił wzrok.

- Cholera jasna! - krzyknął Jake. - To nie te kości!

- Jake... - Nick zbliżył się do przyjaciela, obchodząc stół dookoła. - Posłuchaj...

- Odwal się! Przeoczyliśmy ten szkielet. Musi tam być!

- Ale go nie ma. - Nick położył mu dłoń ramieniu. Jake odepchnął rękę.

- O Boże - załkał. Z gardła wydarł mu się dźwięk, jakiego Nick nigdy nie słyszał. Wzniósł się jak krzyk agonii, odbijając echem od ścian.

Jake odepchnął się od stołu i potykając się, ruszył ku wyjściu. Nagle ta olbrzymia kuchnia wydała mu się dziwne mała. Musiał wyjść na zewnątrz. Natychmiast.

Kopniakiem otworzył drzwi, zrzucając z trzaskiem na podłogę lśniąca, mosiężną lampę ze ściany. Kawałki szkła rozprysły się po korytarzu. Nie mógł w to uwierzyć. Coś przeoczyli. Tam był szkielet. Na pewno. Miał być kluczowym dowodem, miał oczyścić ich z winy; miał przywrócić im życie!

Teraz nie mieli nic. Zdarł respirator z głowy i cisnął na oślep, trafiając w wazon na misternie rzeźbionym, hebanowym stojaku.

- Szlag by to...

Nick podszedł do niego.

- Uspokój się...

Jake odwrócił się. W oczach miał obłęd.

- Odwal się, Nick! Pieprzę spokój! - zdarł rękawice i rzucił nimi kolejno o ścianę. - O Boże, nie! - chwycił się rękami za głowę i usiadł ciężko na podłodze. - O Boże, o Boże, nie.

Na korytarz wypadł Thorne z dużą, chromowaną czterdziestką gotową do strzału.

- Co tu się, do diabła, dzieje?

Nick zdjął respirator i wskazał podbródkiem kuchnię.

- Tego się właśnie obawiałem - powiedział cicho. - To nie są ludzkie kości.

Jake podniósł wzrok i spojrzał na nich z udreką.

- Zabiłem własnego syna - jęknął - i wysłałem żonę do więzienia na resztę życia - wziął głęboki oddech i dopiero po chwili dokończył myśl: - Dla jakiegoś psa.

Travis już wcześniej miewał dziwne sny, ale nigdy takie jak te. Wszystkie wiązały się jakoś z bólem. Wydawało mu się, że unosi się w powietrzu, a równocześnie nie mógł się poruszyć. Im bardziej próbował, tym bardziej bolało.

W ciemnościach towarzyszyli mu jacyś ludzie. Dużo mówili, ale ich słowa pozbawione były jakiegokolwiek sensu. Mnóstwo głosów, ale żaden nie miał twarzy. Gadali jakieś głupoty, o sprawach, o których nigdy nie słyszał. Niechby sobie gadali, tylko dlaczego to go tak bolało?

Bolał go fiutek. Przypomniawszy sobie, że w najgłębszych odmętach snu jeden z tych ludzi bez twarzy wpychał mu tam coś dużego. Pomyślał, że to nie w porządku, ale potem stracił wątek i nie wiedział, dlaczego miałby się sprzeciwiać.

Dryfowanie... Czuł, że się rozprzestrzenia, podróżuje. Tam daleko... co to było?

Ktoś podpałił mu płuca. Płomień zwiększał się z każdym oddechem. To było jak wdychanie żarzących się węgli. Zaczerpniesz kolejny oddech, wypalisz sobie jeszcze jedną dziurę w płucach. To się w ogóle kupy nie trzymało.

Mógłby po prostu przestać oddychać.

A zatem koniec z oddechami. Kiedy ustana, ból również zniknie.

Mimo to zaczerpnął kolejny haust powietrza. Nakazał sobie przestać, ale płuca odmawiały posłuszeństwa. Wessały kolejną porcję ognia; kolejną garść żyłek.

W jego głowie pojawił się obraz węża. Nie cierpiał węży. Ten był bardzo duży. Pełził po jego ciele, aż dotarł do gardła i zrobił mu oddychanie metodą usta-usta, zmuszając udręczone płuca do pracy.

Przepraszam - zwrócił się po cichu do węża. - Przepraszam, jeżeli coś źle zrobiłem. Już będę grzeczny, tylko przestań zadawać mi ból.

Wąż ukąsił go znowu, tym razem wyjątkowo dotkliwie, i Travisowi popłynęły z oczu łzy. Może po prostu powinien się poddać. Nie wiedział jednak, jak to zrobić.

Jake czuł się odurzony. Wydawało mu się, że to, co przeżywa, zdarza się komuś innemu. Nick i Thorne odprowadzili go z powrotem do salonu i posadzili na fotelu, ale nie za bardzo zdawał sobie sprawę z tego, co się dzieje. Przedtem zawsze była nadzieja. Zawsze był plan - jedyna rzecz, której się trzymali, kiedy wszystko dokoła zaczynało się walić. Zawsze mieli siebie.

Najpierw rodzina...

Teraz to wszystko wydawało mu się koszmarną kpiną. Nigdy nie panowali nad sytuacją. Ten, kto poskładał to wszystko do kupy, zamknął ich w hermetycznym pudle, zniszczył ich. Zabił im syna. Teraz pozostała tylko pustka. I poczucie winy.

Dziwne, że nikt nie dostrzegał bezsensowności tego wszystkiego. Nick ciągle pytał, co teraz mają robić, tak jakby Jake nadal był dowódcą. Czy nie rozumiał, że bez Carolyn i Tralisa dowodzenie nie miało żadnego sensu? Nick zdawał się nie chwytać oczywistego faktu, że ta akcja przestała mieć jakąkolwiek przyszłość. A właściwie nie miała od samego początku. Jake nagle zdał sobie sprawę z absurdalności tej gry. Postawił wszystko - wszystko - na jeden rzut kostką i przegrał.

Znów poczuł atak paniki. Nie potrafił nad nią zapanować.

- Jezu, Jake, otrząśnij się! - wrzasnął Nick. Złość i wzburzenie podwyższyły jego głos o oktawę. - Masz całe życie na zamartwianie się. Teraz musimy zaplanować kolejny krok!

- Nic z niego nie będzie - zaopiniował Thorne, stając w drzwiach. - Nie poradzi sobie z tym.

- Czyżby? - mruknął Nick. - No, lepiej żeby sobie poradził. - Położył dłoń na głowie przyjaciela i podniósł ją na tyle, aby nawiązać kontakt wzrokowy. - Wkurzasz mnie, Jake! Nikt nie wątpi, że masz za sobą cholernie trudny dzień, ale nie ty jeden tkwisz po pas w tym gównie. Złapali nas, człowieku. Wszystkich. Są świadkowie. Możliwe, że ja wpakowałem się w to z innych przyczyn niż wy, ale...

Jake drgnął, jakby coś go zdumiało, i spojrzał przytomniej. Schwycił Nicka za rękę.

- Co jest? - Nick cofnął się o krok.

Jake mozolnie usiłował połączyć informacje w spójną całość. - Masz rację - powiedział zniechęcony. - Oni... oni nas złapali. W jaki sposób nas złapali?

Nick spojrzał spode łba.

- W jaki sposób? Gliny nas znalazły. Myślę, że kiedy zrobiliśmy dziurę w ogrodzeniu, gdzieś rozdzwonił się alarm.

Jake zamachał przecząco ręką.

- Nie. - To przecież niczego nie wyjaśniało. - Mówiłeś, że musimy uważać na strażników. Ale to był glina.

- Nie zapominaj, że pojawiliście się w wiadomościach - odezwał się wzgardliwie Thorne. - Więc nic dziwnego, że zwiększyli ochronę. Prawdopodobnie spodziewali się was.

Jeszcze nie rozumieli, o co mu chodzi.

- Dokładnie, Thorne. Spodziewali się nas. Ale dlaczego? Dlaczego, na Boga, mieliby się spodziewać, że tu wrócimy? Skoro naprawdę myślą, że wysadziliśmy ten magazyn w

osiemdziesiątym trzecim, to byłoby to ostatnie miejsce, w którym powinni się nas spodziewać. Chryste, gdybym miał głowę na karku, byłbym teraz w Arizonie!

- Nie rozumiem, do czego zmierzasz - wzruszył ramionami Nick, ale wyraz jego twarzy świadczył, że wywody Jake'a wyraźnie go zaintrygowały.

- Ktoś spodziewał się, że tam wrócimy - powtórzył Jake, zirytowany, że nie udaje mu się przekazać, co myśli. - Oni czekali, wiedząc, że wrócimy. Czekali na coś, czego nigdy byśmy nie zrobili, gdybyśmy byli naprawdę winni.

Nick zmarszczył brwi.

- Nawet gdyby ktoś wiedział o waszej niewinności, dlaczego miałby zakładać, że wróciacie, zwłaszcza po tylu latach? Pamiętaj, że ta historia z ukrytymi zwłokami zrodziła się w naszych umysłach.

- Może z początku nie połączyli się, że zmierzacie w kierunku Newark - odezwał się w zamyśleniu Thorne. - Ale skoro przygotowali pułapkę... to znaczy jeśli w ogóle brali pod uwagę, że możecie wrócić, może przedsięwzięli środki ostrożności.

Jake zastanowił się nad możliwością pułapki.

- Myślisz, że nakrył nas miejscowy glina? Ktoś, kto ma pełno oczu i uszu wokoło Newark i dostał cynk, że wjeżdżamy do miasta?

- Nie ma mowy. Wjazd był czysty. - Thorne poczuł się urażony. Nick zamyślił się głęboko. Taką pułapkę trzeba odpowiednio przygotować. Czy było coś, co mogło ich zdradzić?

- Może - powiedział w końcu - zostawiliśmy jakiś elektroniczny ślad. Jake rozważał przez chwilę jego słowa, ale odrzucił ten pomysł.

- W jaki sposób? Przecież nie kupowaliśmy biletów lotniczych, żeby się tu dostać, ani nie płaciliśmy kartą kredytową za obiad.

Nick bawił się w myślach w teleturniej skojarzeń, próbując połączyć słowo "elektroniczny" z wydarzeniami dwu ostatnich dni. Dopiero co musiał przecież przeszukiwać pamięć w poszukiwaniu odpowiedniego hasła... A właściwie po co to mu było potrzebne?

- O, cholera! Ten plik komputerowy! - rąbnął się otwartą dłońią w czoło. - Musiałem wejść do komputera w Waszyngtonie, żeby dotrzeć do danych archiwalnych na temat bazy w Newark. Wchodząc tam, uruchomiłem alarm. Ktoś go usłyszał. Biorąc pod uwagę dzień, w którym to robiłem, musieli się domyślić, że wrócimy. Cholera! - tupnął nogą.

- O to chodzi - stwierdził Jake.

Nick zwiesił głowę i podrapał się po karku.

- O Boże! Tak mi przykro. Powinienem był... Jake machnął ręką. Przeprosiny były absurdalne.

- Skąd mogłeś wiedzieć? Kto by w ogóle podejrzewał... - przerwał w pół myśli. Oczy mu się rozszerzyły. Czy to w ogóle możliwe? - Cholera, mam! - wykrzyknął.

- Co? - zapytali jednocześnie Nick i Thorne.

Jake miał wrażenie, że serce za chwilę mu eksploduje. Wyciągnął przed siebie rękę, żeby się uspokoić. Już nie uważał się nad sobą, jak parę minut temu. Czuł rosnące podekscytowanie.

- W porządku - zaczął. - Wróćmy do podstawowego założenia. Bez względu na to, czy obserwowali drogi, czy komputerowy plik, faktem jest, że nas obserwowali, zgadza się? To znaczy, że musieli być przygotowani na nasz ewentualny powrót do Newark - czyli coś, co nie miałoby sensu, gdybyśmy byli naprawdę winni i gdyby oni nie chcieli czegoś ukryć. Rozumiemy się?

- Co za "oni"? - przerwał Thorne. Jake machnął niecierpliwie ręką.

- Właśnie do tego zmierzam. A więc, kimkolwiek jest ten człowiek, ma możliwość dotarcia do plików komputerowych Agencji Ochrony Środowiska, zgoda? Zdawał sobie sprawę, że gdyby ktoś chciał ponownie wejść do tego magazynu, musiałby najpierw dostać się do tego pliku.

Nick wzruszył ramionami, zmęczony długim wywodem. Chciał usłyszeć ostateczne wnioski.

- No dobra. Zgoda. A więc twierdzisz, że to Agencja Ochrony Środowiska? Ktoś z mojej firmy chce was trzymać z dala od Newark? Po co, u diabła?

Jake jemu również dał znak, żeby się nie wtrącał.

- Musisz sięgnąć pamięcią nieco dalej. Kiedy Agencja Ochrony Środowiska zaczęła mieć związek z bazą w Newark? W osiemdziesiątym trzecim? Osiemdziesiątym drugim?

Nick pokiwał głową.

- No, coś w tym rodzaju. Ale o co ci chodzi?

- Od tego momentu magazyn B-2740 został zamknięty, zgadza się? No oczywiście, że tak. Byłem tam rok później i byłem świadkiem rozbrajania zamka. Nikt nie mógł się tam wcześniej dostać.

- Chyba masz rację - zgodził się Nick. Trudno było coś twierdzić z całą pewnością po tylu latach.

Jake umilkł, zastanawiając się nad następnym krokiem.

- A więc musiano przyłapać złych facetów z gaciami w rękach, kiedy Agencja zamknęła to miejsce na klucz. To, co chcieli ukryć, zostało zamknięte wewnątrz magazynu. Musieli siedzieć cicho przez dwa lata. Pierwsza okazja do wejścia nadarzyła się, kiedy otworzyliśmy im

drzwi.

Pokiwali głowami. To brzmiało sensownie.

- A zatem Agencja Ochrony Środowiska odpada.

- No dobra, facet - ponaglił Thorne, wyraźnie zniecierpliwiony. - Powiedz nam kto.

- A kto może zaglądać do plików komputerowych innych agencji? - Jake spojrzał na Nicka, jakby naprawdę już wiedział.

- FBI - zażartował Nick, ale kiedy Jake się nie roześmiał, uśmiech zniknął z jego oblicza. - Daj spokój, FBI? Oszalałeś!

- Zastanów się - upierał się Jake. - Prawdopodobnie mogłaby to być każda federalna agencja - CIA, tajne służby, nawet policja skarbową - ale kto tak naprawdę jest w stanie uknuć taką intrygę? Kto jest w stanie tak skutecznie zrobić z niewinnego - winnego? Jezu Chryste, Nick, chodzi mi o tę wiadomość na miejscu zbrodni. Kto, do kurwy nędzy, zostawiałby wiadomość? I kto ma władzę, żeby zdecydować, że taka niedorzeczność wcale nie jest niedorzeczna?

Nick złapał się na tym, że niemo potakuje głową. Zaczynało mu się zgadzać.

- A kto nas popychał do tego, żebyśmy tak szybko zamknęli to miejsce? Jake westchnął. Poszczególne fragmenty ułożyły się w całość.

Nick usiadł ciężko.

- O cholera, to poważna sprawa. Jesteśmy skończeni. Jake drgnął na te słowa.

- Jak to, jesteście skończeni? Właśnie do czegoś doszliśmy! - Akurat - zadrwił Thorne. - Możesz sobie wymyślać teorie, jakie ci się żywnie podoba, ale dopóki nie znajdziesz odpowiedzi dlaczego - i nie udowodnisz tego - Nick ma rację. Jesteś skończony.

- To FBI - upierał się Jake. - A konkretnie Peter Frankel. Wniosek Jake'a, nieoczekiwany jak erupcja wulkanu, sprawił, że zapadła cisza. Po chwili Thorne i Nick wybuchnęli gromkim śmiechem.

- A to dobre! To ci detektyw - kpił Nick. - Peter Frankel w bibliotece ze świecznikiem, co? - Ponownie się roześmiał. Jake zignorował docinki.

- On prowadził śledztwo w osiemdziesiątym trzecim, pamiętasz?

- Oczywiście, że pamiętam. Ale Jezu, Jake, było mnóstwo ...

- I to on nalegał, żeby zamknąć wstępne dochodzenie, zgadza się, Nick? Przynajmniej tak mi mówiłeś. Za każdym razem, kiedy wspominałeś o kontynuowaniu śledztwa, on cię po prostu gasił.

Nick nie chciał tego słuchać.

- Mogłem bardziej naciskać...

- Nie! - krzyknął Jake. - Otwórz oczy! To jedyny człowiek, który miał prawo zakończenia śledztwa. Zakończył je, jak tylko miał odpowiedzi, które chciał mieć. Od początku był pewien, że je otrzyma, ponieważ sam sporządził dowody. Od tamtej pory miał mnóstwo czasu, żeby popracować nad tą sprawą. Jest dostatecznie bystry, żeby znać wartość tamtych danych komputerowych, gdybyśmy kiedykolwiek zdecydowali się powrócić. A już na pewno ma takie połączenie, że jeśli ktoś wejdzie do tych plików, on się o tym natychmiast dowie. Teraz znów jest w wiadomościach, codziennie, mizdrzy się do kamery i opowiada światu, jacy to z nas dranie. To musi być on. - Milczenie słuchaczy świadczyło, że jest bliski sprzedania swojej koncepcji. - Frankel to jedyna osoba posiadająca władzę, aby to wszystko zadziało wedle jego woli.

Nick zwrócił się do Thorne'a o pomoc.

- Dalej, Thorne, powiedz mu, że ta teoria jest gównem warta. Wyraz twarzy drąga wskazywał jednak na coś zupełnie innego.

- Wiecie co - zaczął. - Szczerze mówiąc, to natknąłem się na tego Frankela już wcześniej. Ten kutas zrobił parę najazdów na dobrego znajomego pana Sinclaira. Senatora. Frankel ostro pogrywa. A już na pewno nie przejmuje się łamaniem prawa, o ile tylko służy to jego osobistym celom.

Thorne zamyślił się i utkwiał wzrok w Jake'u.

- Skoro był w stanie zrobić takie coś temu senatorowi, to myślę, że jest zdolny do wszystkiego. A jaka trudność w ogłupieniu prowadzących śledztwo, jeżeli samemu się je nadzoruje?

Nick otworzył usta, żeby się spierać, ale zamknął je z powrotem.

- O kurde...

- Wciąż jednak pozostaje pytanie: dlaczego - biadał Jake. - Po co by coś takiego robił?

Thorne wszedł wreszcie do salonu i zagłębił się w fotelu. Wyciągnął długie nogi i splótł palce na piersiach.

- Cholera, Jake - powiedział z uśmiechem. - "Dlaczego" to najłatwiejsze pytanie. Dużo trudniej wysadzić w powietrze magazyn, a to przecież jedno z twoich klasycznych zagrań.

- Teraz - zakończył Thorne - trzeba tylko to udowodnić.

- Nie da się - pokręcił głową Nick. - Za wiele tu różnych ewentualności, domniemywać. Poza tym nikt i tak nie będzie nas słuchał.

- Może udałoby się załatwić, żeby zajęła się tym jakaś żadna sensacji gazeta - główkował Thorne.

- Nie - sprzeciwił się Jake. - To tylko wystraszy Frankela i sprawi, że stanie się jeszcze bardziej ostrożny. Poza tym nawet prasa musiałaby zwariować, żeby to publikować bez dowodów.

Nick wstał i zaczął przechadzać się po salonie.

- Cały problem w tym, że FBI przez czternaście lat forsowało własną teorię. Nigdy nie otworzą się na inną. Szczególnie kiedy wskażemy palcem na ich szefa.

Jake rozumiał to doskonale.

- A zatem musimy doprowadzić do tego, żeby sami się o tym przekonali - powiedział. Przyszła pora na rozstrzygającą rozgrywkę. - Czy wiemy, gdzie przebywa teraz główny agent FBI? Jak ona się nazywa? Rivers.

Thorne wzruszył ramionami.

- Nie powinno być problemu z ustaleniem. Dlaczego pytasz?

- Zamierzam złożyć jej wizytę.

- Pleciesz bzdury - rzucił porywczo Thorne. - To samobójstwo.

- Mogę spróbować ją przekonać, żeby mi uwierzyła - obstawał Jake. - Już raz próbowałem, w warsztacie, kiedy się to wszystko zaczęło. Jeśli uda mi się ją wprowadzić na właściwy trop, myślę, że będzie w stanie udowodnić naszą teorię.

- Nie! - sprzeciwił się stanowczo Thorne.

- A masz lepszy pomysł? - Jake'owi głos załamywał się ze wzburzenia. - Bo jeśli nie, to jesteśmy załatwieni!

Drągał usiłował znaleźć jakąś odpowiedź. W końcu odwrócił wzrok i zacisnął gniewnie zęby.

- No, ja nie zamierzam maczać w tym rąk - rzucił. - I nie ma mowy, żeby pan Sinclair pakował się wprost pod piłę elektryczną.

- Widzisz go tutaj? - Jake wzruszył ramionami. Thorne nie zadał sobie trudu, żeby odpowiedzieć. - A ty, Nick?

Ten wzdrygnął się na samą myśl. - Nie, chyba nie!

- Będziesz tylko prowadził samochód, dobra? Obiecuję. Potrzebuję twojej pomocy, żeby to ruszyć. Nie musisz w ogóle wychodzić z samochodu.

- Posłuchaj, Jake - Nick zawiesił głos. - Wiesz, że chciałbym ci pomóc, ale ktoś musi w końcu pomyśleć o konsekwencjach.

- O co ci chodzi?

Nick spojrzał na Thorne'a. Wzrok tamtego wyrażał pełne zrozumienie i poparcie.

- Na Boga, nie sądzę, żebyś miał szansę. To zbyt duża sprawa? Przyjechałem tutaj z

nadzieją, że będę trzymać się z daleka od władz. A teraz ty sam zaczynasz ich szukać - patrzył gdzieś w bok. - Ja po prostu nie mogę.

- Tak, Jake, to bez sensu - powtórzył Thorne. - Posłuchaj go. Musi być jakiś lepszy sposób.

Jake spojrzał na nich z gniewem.

- Tylko że szukanie go zajmie znacznie więcej czasu, niż mam. - A więc go opuścili. Co tam, do diabła z nimi. Poradzi sobie, z nimi czy bez. Ponownie spojrzał na Thorne'a. - Daj mi kluczyki.

Thorne zwlekał chwilę, ale w końcu podał mu je z wahaniem. Jake podrzucił je na dłoni.

- Okazuje się, że straszny z ciebie twardziel - powiedział gorzko. Rzucił Nickowi przelotne spojrzenie i ruszył do drzwi. Słysząc było jedynie lekkie mlaskanie jego gumowych podeszew o podłogę.

Nick spojrzał na Thorne'a i zawstydził się. Wiedział, że to sentymentalne i głupie, ale po prostu nie mógł zostawić Jake'a. I to po raz drugi.

- Boże, dopomóż - jęknął podrywając się z krzesła i pognął za przyjacielem.

Thorne został sam. Zrobił sobie drinka i sięgnął po telefon. Pora zadzwonić wreszcie do szefa i poinformować go, co się tu dzieje.

Strażnicy nie chcieli jej nic powiedzieć, choć błagała ich z płaczem. Wiedziała jedynie, że Travis żyje. Upierali się, że nie mają żadnych informacji. Jasne, gdyby zdecydowała się podać więcej szczegółów na temat Jake'a, cóż, wtedy może udałoby im się dowiedzieć czegoś więcej o jej synu. Dupki.

Leżała na betonowej półce pełniącej rolę łóżka. Osłonięta grubym drutem lampa rzucała na ściany izolatki upiornie żółte światło. Carolyn rozwinęła materac, a wojskowy koc i plastikową poduszkę pozostawiła zwinięte, by służyły za oparcie dla stóp. Oficjalnie umieszczono ją w izolatce jako groźnego przestępcę, ale wiedziała, że chodzi o złamanie jej psychiki.

Nie wiedziała, jak długo wytrzyma. W samotności niełatwo jest radzić sobie ze strachem, a świadomość, że oprawcy czerpią radość z jej lęku, tylko pogarszała sytuację. Próbowwała skupić myśli na Jake'u i na tym, co robi, aby ją stąd wyciągnąć. Pobrali się przeszło piętnaście lat temu i jeszcze nigdy jej nie zawiódł. Bóg jeden wiedział, jak zamierzał jej pomóc, ale musiała mu zaufać. Bez tej nadziei nic nie miało sensu.

Słyszała już dawniej, że jedną z rzeczy, do których najtrudniej przyzwyczać się w więzieniu, jest nieustanny hałas. Wentylatory furkotały nieprzerwanie, utrzymując w celi tak niską temperaturę, że można było przechowywać tu mięso, równocześnie sprawiając, że nieliczne chwile spokoju wcale nie były spokojne ani ciche. Już zdążyła zatęsknić za szelestem jesiennego wiatru czy ciszą śnieżnej nocy. Wiedziała jednak, że z czasem przyzwyczai się do tego mechanicznego hałasu. Najbardziej przerażał ją ludzki zgiełk.

Znajdowała się sama w niewielkim skrzydle składającym się z czterech małych izolatek, a pomimo to stale słyszała głosy współwięźniów odbijające się echem od betonowych ścian. Krzyczeli niemal na cały głos, dyskutując o sprawach tak przyziemnych jak pogoda i tak sensacyjnych, jak powiększenie populacji więzienia o terrorystkę z Newark.

- Jeszcze nie widziałas terroru, paniusiu - wrzeszczała jedna z więźniarek. - Poczekaj, jak dołączysz do nas! Pożałujesz, że nie masz przy sobie gazu!

Carolyn zacisnęła mocno powieki, próbując nie myśleć o przyszłości. Ci twardzi, brutalni ludzie wierzyli, że ona również jest twardzielem. Kiedy dostrzegą jej przerażenie, pożą ją żywcem. Myśl o zorganizowanej przemocy, od której nie było ucieczki, wywoływała ucisk w żołądku.

Nie możesz w ten sposób myśleć - powiedziała sobie w duchu. - Przeżyłaś już wiele

mrocznych dni. No, ale nigdy aż tak czarnego jak ten.

Próbowała myśleć o Travisie. Jeżeli w przeszłości ciemne dni zmieniały się w jasne, prawie zawsze zawdzięczali to jemu. Ten jego uśmiech! Przy tym doskonale wiedział, jak ją rozbawić, który guzik nacisnąć, aby wprowadzić ją na orbitę. Zacisnęła powieki i przywołała ten uśmiech, ukazujący lekko skrzywione przednie zęby, tę rozpromienioną buzię, kiedy łaskotała go lekko po brzuszku...

Ból w sercu nieco złagodniał. Uśmiechnęła się lekko.

Za chwilę jednak przypomniała sobie, jak niedawno krztusił się w samochodzie, z pianą na ustach, walcząc o każdy oddech. Co on sobie o niej myślał, kiedy mocowała się z nim w tej wodzie, odzierając go z ubrania i godności! Dlaczego nie potrafił tego zrozumieć? Dlaczego musiał się tak rozzłościć na końcu?

Zabiłam własnego syna - pomyślała.

Nie! On żył, do cholery. Na pewno, czuł się całkiem dobrze, tylko strażnicy trzymali to przed nią w tajemnicy, żeby ją jeszcze bardziej udręczyć.

Powróciła myślami do Baltimore, kiedy trzy lata temu nadepnął gołą stopą na rozbitą butelkę. Biedne dziecko wyło z bólu, błagając, żeby przestała, gdy własnoręcznie wygrzebywała z rany kawałki szkła i brud. Powinna go była zawieźć do szpitala, gdzieś, gdzie zszyliby ranę. Ale nie mogli go zabrać nawet na pogotowie. Zbyt wiele kręciło się tam glin. Gdyby chodziło o zagrożenie życia, to co innego. Albo jeśli przecięłby sobie żyłę, czy połamał kości. Ale coś tak powszedniego - choć bolesnego - jak poszarpane ciało nie było warte ryzyka. Rana goiła się przez wiele tygodni i doskwierała jeszcze zimą.

Carolyn usiłowała odpędzić te wspomnienia. Jaki rodzic pozwoliłby, by jego dziecko tak cierpiało? Dzięki Bogu, to twardy chłopak - pomyślała ze smutkiem.

A teraz został zupełnie sam.

Jakiś hałas przy drzwiach sprawił, że Carolyn wróciła do rzeczywistości. Szybko podniosła się, przenosząc stopy na podłogę, i przetarła oczy dłońmi, zaskoczona, że przysnęła. Przekręcono klucz i stalowe drzwi otwarły się szeroko, ukazując strażniczkę, niejaką Gladys, w towarzystwie mężczyzny w szarym, prążkowanym garniturze rządowego agenta, ze skórzaną walizką w ręku.

- Gość do ciebie, morderczynie - rzuciła Gladys. - FBI.

- Agent Wiggins - przedstawił się mężczyzna z przesadnym spokojem, jakby nie po raz pierwszy przypominał jej, jak się nazywa.

Gladys spojrzała na niego, jakby cuchnął.

- Zgadza się. Będą jakieś kłopoty, pan krzyknie. - Zamknęła drzwi wychodząc i

przekręciła klucz w zamku.

Carolyn przyglądała się agentowi podejrzliwie. Miał w sobie coś z drapieżnika i czuła się w jego towarzystwie nieswojo.

- Która godzina? - zapytała.

Zdawał się nieco zdumiony tym pytaniem, jakby szczegóły tego typu zupełnie się nie liczyły. Po chwili wahania zerknął na zegarek.

- Minęła trzynasta - odparł.

Potrafiła oceniać ludzi i coś ją w tym człowieku niepokoiło. Tamta Rivers, z którą rozmawiała wcześniej, była świrem na punkcie własnej pracy. Miała do wykonania konkretne zadanie polegające na udupieniu ofiary i w jej przypadku reguły gry były jasne. Wiggins był zupełnie inny. Bała się go. Co więcej, mogłaby przysiąc, że gdzieś go już widziała.

- Powiedziałam już wszystko, co miałam do powiedzenia - mruknęła, maskując strach stanowczością.

Sprawił wrażenie rozbawionego, kiedy zerknął na swoje odbicie w talerzu ze stali nierdzewnej, który, zawieszony nad toaletą, służył za lustro. Poprawił krawat, przyglądził rzadkie włosy i usiadł na skraju pryczy.

- No cóż, pani Donovan - odezwał się łagodnie - nie interesuje mnie zbytnio, co ma pani do powiedzenia.

Zmrużyła oczy. Wspomnienie wróciło. Coś w wyrazie jego oczu, twarzy. Zastanowiła się, czy nie zawołać strażniczki, ale natychmiast odrzuciła ten pomysł. Co by jej mogła powiedzieć?

Uchwycił jej spojrzenie umykające w kierunku drzwi i odwrócił się na chwilę.

- Tylko nie rób nic głupiego, Carolyn - ostrzegł. - Prawda jest taka, że tkwisz po uszy w gównie. Jeśli mam być szczery, zrobilibyście dużo lepiej, nie wychodząc z nory.

Carolyn poczuła, że krew odpływa jej z twarzy.

- Cholernie nieszczęśliwy zbieg okoliczności, wiesz? To, że znowu jesteście w świetle jupiterów. Gdybyście się, do diabła, nie wychylali i trzymali z dala od Arkansas, to prawdopodobnie nigdy nie musielibyśmy się znów spotykać.

Znów spotykać? Umysł zaczął pracować na najwyższych obrotach, starając się poskładać w całość poszczególne informacje. Znów? Wreszcie zrozumiała. Ten facet na wzgórk. Ten zakamuflowany facet z bronią.

- O Boże - wyszeptała, podnosząc rękę do ust. Zdjęta paniką ponownie spojrzała ku drzwiom.

- Nie rób tego - ostrzegł czytając w jej myślach. - To byłby ogromny błąd. A więc, jak

widzę, pamiętasz. - Uśmiechnął się i pokręcił powoli głową. - Najgorsze strzały, jakie kiedykolwiek oddałem. Nie wiem, jak ty i ten twój kochaś stamtąd uciekliście, ale muszę ci powiedzieć, że kiedy zobaczyłem, jak wypadacie z tego ognia, po prostu nie mogłem uwierzyć własnym oczom - roześmiał się niegłośnie. - Byłem tak cholernie przerażony tą chmurą dymu, że myślałem tylko o ucieczce. Pociągałem tylko za spust, bo wreszcie miałem wymówkę, żeby stamtąd spieprzać.

Wpatrywała się w niego z otwartymi ustami.

- Ale dlaczego? - pytanie zabrzmiało jak westchnienie. Spojrzał na nią i pokręcił głową.

- Szczerze mówiąc, nie powinno cię to obchodzić - odezwał się. Znów zachowywał się oficjalnie. - Powinna cię natomiast obchodzić, moja droga Carolyn, przyszłość twojego syna. Musisz się bardzo mocno postarać, aby temu przystojnemu młodemu człowiekowi nie stała się jakaś krzywda.

Słyszając, jak ten drapieżca wymawia imię jej syna, poczuła falę mdłości. - Ani się waż... Przerwał jej śmiechem.

- A ty możesz mnie powstrzymać, co? - roześmiał się ponownie. - Zajrzałem do tego gnojka, zanim tu przyszedłem. Jezu, wydaje się taki mały i bezradny tam na tym wielkim łóżku. Rurki wychodzą z niego we wszystkich kierunkach - potrząsnął głową ze współczuciem. - Lekarze mówią, że jest chory, chory, chory. Ale przy odpowiedniej opiece prawdopodobnie dojdzie do siebie. - Umilkł i spojrzał przenikliwie na Carolyn. - O ile, oczywiście, nie stanie mu się coś złego.

Poczuła w piersiach sopel lodu i na mgnienie miała wrażenie, że traci przytomność. Musiał istnieć sposób, aby go powstrzymać...

- Wystraszyłem cię - zauważył. - To niegrzecznie z mojej strony. No cóż, rozluźnij się. Zabijam tylko dorosłych. Hmm, w głównej mierze. - Uśmiechnął się. - Proszę, mam tu coś dla ciebie - otworzył walizkę, wyjął z niej notes, kalkulator oraz legitymację FBI i położył to wszystko na łóżku. Posłał jej konspiracyjne spojrzenie, a następnie otworzył fałszywe dno, ukazując zwiniętą nylonową linkę.

- Oto jak to działa - wyjaśnił, wkładając wszystkie przedmioty z powrotem do walizki i zatraskując ją. - Ta linka może uratować życie twojego syna. - Wskazał sufit. - Myślę, że obudowa lampy jest dostatecznie silna, aby utrzymać taką drobinę jak ty.

Carolyn poczuła, jakby uderzono ją obuchem w głowę. Nie zdając sobie nawet z tego sprawy, zaczęła łkać.

- No, no, rozluźnij się - pocieszał. - Ludzie ciągle się wieszają w więzieniach. Posłuchaj, na czym polega umowa. Jeśli jutro rano przy odczytywaniu listy obecności nadal będziesz żyła,

biedny mały Travis jeszcze przed śniadaniem wyzionie ducha. Widzisz, jakie to proste? - uśmiechnął się i wstał.

Wpatrywała się bezwiednie w linkę trzymaną w rękę, po czym podniosła wzrok ku mordercy.

- Ale dlaczego? - zapytała, płacząc. Wzruszył ramionami.

- Bo tak powiedziałem, Carolyn. Pasuje?

Patrzyła w milczeniu. To, co się działo, przerastało ją. Pochylił się i odebrał jej zwój.

- Wetknijmy ją tutaj - powiedział, wciskając linkę pod koc i poduszkę. - W ten sposób strażniczka nie dowie się o naszym małym planie. - Poklepał Carolyn po głowie. - Dałem ci dużo do myślenia. Przepraszam, ale naprawdę nie ma innego sposobu. Przypuszczam, że w pewnym momencie zaczniesz się zastanawiać, czy nie blefuję. Ja na twoim miejscu też bym się zastanawiał - pochylił się jeszcze bardziej, tak że owiewał oddechem jej twarz. - Przysięgam, jeśli mnie zawiedziesz, nie będzie mu lekko. Rozumiesz? - zniżył głos do szeptu. - Sprawię, żeby cierpiał. On będzie cierpiał, Carolyn.

Pozwolił słowom zawisnąć na dłuższą chwilę w powietrzu i wyprostował się.

- No dobra, fajnie było. - Zawołał strażniczkę. - A tak przy okazji, gdzie Travis nabawił się tej rany na podeszwie?

Serce Carolyn przestało na chwilę bić. Ten człowiek naprawdę był u jej syna.

- Młody szybko rośnie, nie sądzisz? - dodał z uśmiechem.

Czuła nudności. Chciała wydrapać mu oczy i chociaż wyobraziła to sobie, wiedziała, że jest bezradna. Myśli wirowały w głowie, gnane przerażeniem. Klucz zazgrzytał w zamku.

- Muszę iść - podniósł się ciężko.

- Zaczekaj! - zawołała, mimo że słyszała, jak klucz ponownie się obraca. - Skąd będę wiedzieć, że i tak go nie zabijesz?

Drzwi otworzyły się i już nie byli sami. Ostatni raz błysnął w jej kierunku tym poważnym uśmiechem.

- Nie będziesz - odparł. - Przyjemnych snów, Carolyn.

Będziesz tylko prowadzić samochód - zadrwił Nick pod nosem, przechodząc przez niegdyś imponujący korytarz hotelu Radford. Niósł pudełko od pizzy z logo reklamującym "Najlepszą pizzerię papy Lorenzo". Oczywiście pudełko było puste. Nick wraz z Jakiem zjedli cały krążek, siedząc przecnicę dalej w wynajętym przez Thorne'a samochodzie, gdzie opracowali dokładnie poszczególne etapy planu. Pizza smakowała naprawdę nieźle, szczególnie zważywszy na fakt, że papa Lorenzo oraz wszyscy jego pracownicy nosili na głowach turbany.

Mimo że Little Rock wedle wszelkich standardów było małą miejsciną, zlokalizowanie w stogu siana w postaci kilkudziesięciu hoteli jednej igielki o nazwisku Irene Rivers wydawało się z początku niemożliwe. Potem Jake wpadł na pewien pomysł - a właściwie zalała go istna powódź pomysłów. Nawet dobrych. Nick nie potrafił wyjść ze zdumienia, gdy przypomniał sobie stan, w jakim jego przyjaciel znajdował się zaledwie parę godzin temu.

Zrobili coś bardzo prostego: podzielili książkę telefoniczną na pół i zostawili tonę dwudziestopięciocentówek w automatach telefonicznych, dzwoniąc do niezliczonych recepcji i prosząc o połączenie z pokojem Irene Rivers. Ta strategia kosztowała ich już cztery dolary, kiedy Jake trafił w dziesiątkę. Hotel Radford. Gdy telefon w jej pokoju zadzwonił dziesięć razy i nikt nie odbierał, odwiesił słuchawkę. Najwyraźniej pani agent była zajęta ratowaniem świata przed jemu podobnymi typami.

Znalezienie hotelu to był zaledwie pierwszy krok. Musieli zdobyć numer pokoju, i to zadanie przypadło Nickowi. Jego twarz, jak na razie, nie pojawiała się w wiadomościach.

Radford, duży, stary hotel, gościł niegdyś w swoich progach prezydentów i inne sławne osobistości odwiedzające Little Rock. Po kilkunastu latach zaczął jednak odstawać od Grand Marquisa i Crown Plaza, a klientela zwróciła uwagę w innym kierunku. Wciąż jednak dzieliło go parę gigantycznych kroków od otrzymania statusu przytułku dla bezdomnych, choć w ręcznie tkanych orientalnych dywanach i zniszczonych wiśniowych draperiach pozostało niewiele uroku.

Irene Rivers musiała chyba wyprowadzić z równowagi pracownika biura podróży, skoro umieszczono ją w takim miejscu.

Nick podszedł do dwóch młodziutkich recepcjonistek, które podniosły równocześnie wzrok i posłały mu podobne uśmiechy.

- Dzień dobry. Czym mogę służyć? - zapytała jedna z nich.

Nick dostrzegł podobieństwo w rysach dziewcząt - obie miały nawet pieprzyki w tych samych miejscach na brodzie - i zastanowił się w duchu, czy są siostrami. Odwzajemnił uśmiech, starając się sprawiać wrażenie nieco zagubionego. Równocześnie modlił się, żeby nie drżały mu ręce.

- Witam - odpowiedział. Aby bardziej przypominać miejscowego, mówił z wykałaczką w ustach, którą wyniósł od papy Lorenzo. - Jeden z waszych gości zamówił pizzę. Niestety, zapodziałem gdzieś kartkę z numerem jej pokoju. Mam za to imię i nazwisko. Rivers. Irene Rivers. Możecie mi podać numer pokoju?

"Bliźniaczki" wymieniły między sobą spojrzenia, po czym pokręciły przecząco głowami.

- Nie, obawiam się, że nie - powiedziała ta po prawej stronie. - Nie wolno nam nikomu podawać numerów pokoi naszych gości.

- Mogę jednak do niej zadzwonić i poprosić, żeby zeszła i odebrała pizzę - zaproponowała bliźniaczka po lewej.

Nick poczuł ucisk w żołądku. Ogarnęła go panika, ale zmusił się do uśmiechu.

- Och, nie - powiedział szybko. - Proszę, nie rób tego. Posłuchajcie, sprawa jest taka, że i tak mam piętnaście minut spóźnienia z tą pizzą, a dzisiaj już drugi raz zgubiłem adres. Szef mówił mi, że ta Rivers to dość przykra osoba. Jak się wścieknie i do niego zadzwoni, to leżę i kwiczę, rozumiecie?

Dziewczęta ponownie spojrzały na siebie i kiwnęły głowami. Najwyraźniej też miały do czynienia z trudnymi klientami, a może nawet pracowały dla jakiegoś dupka.

- Naprawdę nie powinnyśmy... - zaczęła ta z lewej.

- Proszę - przymlał się Nick. - To i tak upokarzające, żeby mężczyzna w moim wieku rozwoził pizzę. Naprawdę mógłby mnie ominąć wykład...

Kolejne spojrzenie, kolejne równoczesne westchnienie.

- No, niech tam - odezwała się ta z prawej, stukając w klawiaturę komputera. - Tylko nie zrób nam kłopotu, dobrze? Pokój 405. - Podniosła wzrok i wskazała przez korytarz. - Możesz skorzystać z tamtych wind.

Nick uśmiechnął się i podziękował. Podeszedł do wind i nacisnął guzik, ale zdawało mu się, że wieki minęły, zanim nastąpiła jakaś reakcja. Nawet windy w tej ruderze najwyraźniej czuły zmęczenie. Na szczęście był jedynym pasażerem. Gdy wielkie drzwi zamknęły się z łoskotem, nacisnął jednocześnie dwa przyciski - drugiego i czwartego piętra, tak by wskaźnik w korytarzu wskazał piętro agentki Rivers, mimo że on wysiądzie niżej.

Korytarz był jasny, choć nieco wąski, w stylu starych hoteli w centrum. Nick stanął oko

w oko z pierwszym problemem: co zrobić z tym cholernym pudełkiem od pizzy? W końcu zrezygnował z poszukiwania kosza na śmieci i wsunął karton pod automat z coca-colą.

Zbiegł schodami do wybranego wcześniej bocznego wejścia na pierwszym piętrze. Sprawdziwszy ponownie, czy klatka schodowa jest pusta, otworzył drzwi - i o mało nie krzyknął na cały głos. Zaledwie pół metra przed nim stał Jake.

- Jezu! Ale mnie wystraszyłeś!

Jake spojrzał na Nicka, jakby ten postradał zmysły.

- Powiedziałem ci, że będę tu czekał.

- No dobra. Mieszka w pokoju 405. Jak się tam dostaniesz?

Jake wzruszył ramionami i wyciągnął szyję, aby zerknąć na klatkę schodową.

- Jeszcze nie wiem. Ale uda mi się.

Weszli dwa piętra wspólnie, po czym Nick odłączył się i wsiadł do windy.

- Będę czekał w samochodzie - powiedział, ale jego twarz mówiła coś zupełnie innego.

Jake uśmiechnął się.

- Niedługo się zobaczymy. - Brzmiało to jednak tak, jakby sam w to nie wierzył.

Irene wróciła wyczerpana do swego pokoju hotelowego dopiero przed drugą. Czowała trudy dnia, ale jej umysł pracował na zbyt wysokich obrotach, aby mogła zasnąć. Miała nadzieję, że martini przed kolacją oraz dwa kieliszki wina w trakcie zlikwidują napięcie, ale nic z tego. W ciągu tych kilku ostatnich dni jej kariera kurczyła się kawałek po kawałku, a alkohol zamiast ukojenia przynosił jedynie zgaę.

Ostatnią nadzieją była wanna. Uwielbiała gorącą kąpiel, kiedy palce u nóg i rąk marszczyły się jak suszona śliwka, a ciepło wysysało z umysłu zdolność koncentrowania się na czymkolwiek oprócz snu. Czy zamartwianie się kiedyś komuś pomogło?

Jake Donovan wciąż pozostawał nieuchwytny, mimo że jego żona i syn byli pod kluczem. To ją zdumiewało. Sądziła, że jest bardziej rodzinnym człowiekiem.

Nie rozbierając się, Irene wsadziła zatyczkę do wanny i odkręciła kurek od gorącej wody. Po kilku sekundach zmniejszyła lekko strumień wrzątku, zamknęła za sobą drzwi i powoli przeszła do sypialni, aby się przebrać.

Wiedzieli z całą pewnością, że Donovanowi ktoś pomagał. Ten miejscowy glina z Newark wspomniał w raporcie o trzeciej osobie, podobnie zresztą jak ci pielęgniarze z punktu pierwszej pomocy. Technicy kryminalistyki odkryli ślady po rękawicach w toyocie Faylonsów, ale nie znaleźli żadnych materiałów dowodowych. Cadillac, wynajęty na fałszywe nazwisko, nosił na sobie setki najróżniejszych odcisków palców. Oczywiście wszystkie wrzucili do

komputera, ale od wynajęcia pojazdu do podejrzenia o zbrodnię było dość daleko.

Agenci z biura terenowego w Chicago podążali tropem teorii Irene Rivers mówiącej o udziale Harry'ego Sinclaira, ale po całym dniu wywracania jego domu do góry nogami nie znaleźli najmniejszego dowodu. Harry nawet wrócił do domu, po dniu, który nazwał "czasem na samotność". Najwyraźniej od czasu do czasu takie znikanie pomagało mu radzić sobie z falami ostrego picia.

Ted Greenberg z Chicago wysłał przez kuriera taśmę z przesłuchania Sinclaira do biura George'a Sparksa w Little Rock. Irene słuchała kopii w samochodzie w drodze na kolację. Zabawnie było słuchać, jak Ted stara się podejść starego lisa.

- A zatem jak pan wyjaśni telefon od Trávisa Donovanana?
- Przypuszczam, że chciał ze mną porozmawiać.
- Doprawdy?
- A może pan mi to powie.
- Niech pan posłucha, Sinclair, współpraca leży w pana najlepiej pojętym interesie.
- Może mnie pan uważać za wzór współpracy.
- Świetnie. Czy rozmawiał pan z Travisem Donovanem?
- Obawiam się, że połączenie zostało przerwane.
- A więc nie rozmawiał pan z nim.
- Skoro połączenie zostało przerwane, to jak mogłem rozmawiać?
- Proszę o odpowiedź na pytanie. Tak czy nie? - z głosu Greenberga przebijała wyraźna irytacja. - Czy rozmawiał pan, czy też nie rozmawiał przez telefon z Travisem Donovanem?
- To byłoby bardzo trudne bez połączenia, nie sądzi pan? - równie oczywiste było rozbawienie Sinclaira.

I tak ciągnęło się to przez czterdzieści pięć minut. Harry ani się nie obarczał winą, ani nie kłamał. Irene przyszło nagle do głowy, że ze starego byłby doskonały polityk. Prawdopodobnie przesłuchanie ciągnęłoby się w nieskończoność, gdyby nie zjawił się adwokat Sinclaira i nie położył kresu bezowocnej rozmowie. Zdążył już złożyć apelację w sprawie wycofania nakazu rewizji i likwidację podsłuchu z uwagi na brak dowodów.

Co u diabła? - zapytała samą siebie. - Ślepa uliczka.

Rozebrała się szybko, niedbale zrzucając buty ze stóp i strząsając garsonkę. Znieruchomiała przez chwilę, dostrzegłszy plamkę po spaghetti na bluzce, i pomyślała, że trzeba odesłać ją jutro rano do pralni, zanim plama wgryzie się na dobre w tkaninę. Następnie przyszła kolej na broń - czarny, półautomatyczny rewolwer Smith-Wesson kaliber 40 odpięła od paska spodnicy i rzuciła z łomotem na nocną szafkę. Po niecałej minucie stała naga, gotowa

do zanurzenia w wodzie. W drodze powrotnej z sypialni stanęła na chwilę, aby przejrzeć się w lustrzanych drzwiach szafy, najpierw z przodu, następnie z profilu.

- Całkiem nieźle jak na czterdzieści dwa lata - powiedziała na głos. Następnie, aby przypomnieć sobie, jak wyglądała w wieku dwudziestu dwóch lat, wciągnęła brzuch tak mocno, że nie mogła oddychać.

- Super jest się starzeć - mruknęła i uświadomiła sobie, że coraz częściej używa słownictwa swoich dzieci.

Muszę do nich zadzwonić - pomyślała. - Jutro z samego rana. Minęły już dwa dni. A dwa dni z ich ojcem to więcej, niż można od kogokolwiek wymagać.

Zanim umyła zęby, poziom wody w wannie sięgnął niebezpiecznej granicy. Ostrożnie, żeby się nie przelało, zanurzyła się w parującą kąpiel. Och, jak cudownie! Nawet lepiej, niż się spodziewała. W ogromnej wannie woda zakrywała jej piersi i muskała lekko podbródek. Napięcie i troski odpłynęły, kiedy oparła głowę na krawędzi i zamknęła oczy. Jak w niebie. Gdyby tylko pomyślała wcześniej, by wyłączyć światło, mogłaby tu z powodzeniem zasnąć.

Z półdrzemki wyrwał ją odgłos otwieranych drzwi łazienki.

- Nie krzycz - ostrzegł Jake, celując w Irene z rewolweru. - Nie odzywaj się. Jeżeli zaczniesz wzywać pomocy, zabiję cię.

Nie poruszyła się. Jednym ruchem było drżenie, choć woda była niemal wrząca.

- Wierzysz, że to zrobię? - zapytał.

Twarz uciekiniera nie zdradzała żadnych emocji, ale oczy patrzyły ciepło. Ten kontrast przeraził ją. Skinęła głową. Tak, wierzyła mu. Pokiwał głową wraz z nią.

- To dobrze. - Zdjął ręcznik z metalowego wieszaka obok umywalki. - Proszę - wyciągnął rękę. - Okryj się.

Sięgnęła po ręcznik zbyt szybko i trochę wody przelało się poza porcelanową krawędź wanny na czarno-białą posadzkę. Owinęła się ręcznikiem i wzdrygnęła uświadomiwszy sobie, że ma przed sobą lufę własnej broni. Upokarzający koniec upokarzającego dnia.

- Czego chcesz? - zapytała, zdumiona siłą własnego głosu.

- Jak się czuje mój syn?

Spojrzała na niego. Jej strach przeobraził się w gniew.

- Co ty sobie wyobrażasz? Kim ty jesteś, żeby wdzierać się do mojego pokoju...

- Wiesz, kim jestem – przerwał jej. - I jeśli naprawdę wierzysz w te brednie, które o mnie wypisują, to powinnaś teraz srać ze strachu. A jeśli im nie wierzysz, to chyba zdajesz sobie sprawę, jak wściekły i niepoczytalny mam prawo być. - Przesunął się nieco i oparł broń

na kolanie. - Tak czy owak, zdaje się, że powinnaś dobrze się zastanowić, zanim zaczniesz mnie wkurzać.

Nie odrywała od niego wzroku. Teraz w jego oczach czaił się strach, a gdy dodała do niego całą gamę uczuć, jakie wcześniej zauważyła, nie wiedziała już zupełnie, co myśleć o niepoczytalności, o której wspomniał. Może rzeczywiście lepiej zachować ostrożność.

Wziął głęboki, drżący oddech i spróbował od nowa.

- Nie pytam cię o tajemnice państwowe, Rivers. Jestem ojcem chorego dziecka. A teraz proszę, odpowiedz mi na pytanie. Co z nim?

Odwróciła wzrok i to powiedziało mu więcej niż słowa. Ramiona mu zwisły.

- Mówią, że będzie żył - powiedziała łagodniej niż dotąd. - Ale jeszcze za wcześnie, żeby stwierdzić, jak duże jest uszkodzenie płuc.

No, tak. Jake zamknął na moment oczy. Ale przynajmniej żyje - powiedział sobie w duchu. Musiał myśleć pozytywnie.

Odgłos chlupnięcia sprawił, że natychmiast otworzył oczy. Irene zamarła w połowie skoku. Gdyby się nie poślizgnęła, może by jej się udało.

- Nie! - wrzasnął głośniejszym głosem niż nakazywały względy bezpieczeństwa o tej porze nocy. O mały włos by ją zabił i zdawało się, że jest tego świadoma, ponieważ wpatrywała się jak zahipnotyzowana w lufę rewolweru. - Siadaj! - rozkazał ostro. - Cholera, Rivers, nie rób mi tego!

Usiadła i patrzyła, jak Jake walczy ze swymi uczuciami. Niewątpliwie pociągnąłby za spust i wyglądało na to, że ta możliwość przeraziła go w równym stopniu, co ją.

Minęła dobra minuta, zanim się odezwał.

- Widziałas go? To znaczy, Trávisa? Skinęła głową.

- Tak, widziałam. Jest pod dobrą opieką. Leży na pediatрії, podłączony do respiratora, ale nie wygląda, żeby go coś bolało.

Przez moment rozważał jej słowa, po czym pokiwał głową.

- To dobrze - powiedział jakby do siebie. - Dobrze, że jest pod opieką. Wszystko da się załatwić, o ile tylko będzie żył. - Kolejna długa chwila ciszy. - Masz dzieci, Rivers?

Pytanie sprawiło, że poczuła się nieswojo, ale chyba jednak nie było w nim groźby.

- Uhm - mruknęła. - Dwie córki.

Pokiwał znowu głową, chociaż nie była pewna, czy usłyszał jej odpowiedź.

- Dzieci to coś wspaniałego, prawda? Nic tak nie ucieszy ani nie zasmuci, jak dziecko. - Znowu wyglądało na to, że odpłynął w głąb własnego umysłu.

- Po co tu przyszedłeś, Donovan? - zapytała, przywracając go rzeczywistości. - Bez

urazy, ale jak na inteligentnego faceta, nie postąpiłeś zbyt mądrze, przychodząc właśnie tutaj.

Podniósł wzrok i roześmiał się.

- Już to słyszałem. Cóż, przyznaję, że ten pomysł wydawał mi się znacznie lepszy na początku niż teraz. Ale prędzej czy później musiałem komuś zaufać. Wybór padł na ciebie.

- Jak się tu dostałeś?

Skłonił go, żeby mówił o sobie - pomyślała, przypominając sobie szkolenie na temat negocjacji z porywaczami. Dopóki czuje w swoim zakładniku przyjaciela, jest mniejsze prawdopodobieństwo, że wyrządzi mu krzywdę. Chyba jednak opuściła lekcję, na której mówiono, co robić w przypadku, gdy negocjator i zakładnik to ta sama osoba.

- Nie uwierzyłbyś, ile kluczy leży o tej porze w recepcji - odparł.

- Błyskotliwa odpowiedź - oceniła z uznaniem. - Nie wiem, czy sama bym na to wpadła.

Skrzywił się lekko. Po chwili grymas zmienił się w uśmiech, a następnie w gromki śmiech.

- O co chodzi? - najwidoczniej nie lubiła, gdy się z niej śmieli.

- No cóż, agentko Rivers, myślę, że próbujesz mnie zjednać. Czy to jedna z lekcji o postępowaniu z zakładnikami? - ponownie się roześmiał.

Spojrzała gniewnie.

- Nie wiem...

- Proszę - przerwał jej machnięciem ręki - oszczędź mnie. Nie chcę od ciebie niczego poza rozmową. Jeżeli zachowasz spokój i zrobisz, co ci powiem, za chwilę stąd pójde. Sama rozumiesz, czuję się tutaj trochę na widoku. - Zerknął na jej ręcznik i znów się zaśmiał. - No, może nie tak na widoku jak ty, ale mimo wszystko...

Uśmiechnęła się mimo woli i otuliła szczelniej ręcznikiem.

- No więc, powiedz mi, Rivers, czy naprawdę wierzysz, że w osiemdziesiątym trzecim zabiliśmy tych ludzi?

Zmrużyła oczy, szukając właściwej odpowiedzi. Jake westchnął.

- Rozluźnij się. To nie żaden quiz. Przyszedłem, żeby ustalić fakty.

- No cóż... wierzę - wzruszyła ramionami.

Przez chwilę rozważał jej odpowiedź. Rzecz jasna, nie zdziwiła go. - To wszystko wydaje ci się jak najbardziej logiczne, tak? Że moja żona i ja - oboje bez kryminalnej przeszłości - zastrzeliliśmy swoich przyjaciół, wysadziliśmy w powietrze połowę stanu i potem zostawiliśmy wiadomość?

Wzruszyła ramionami.

- Z całym szacunkiem, Donovan, wiadomo, że mordercy robią nieraz bardzo głupie

rzeczy. Szczególnie napaleńcy.

- Napaleńcy. - Wymówił to słowo powoli, jakby je smakował. - A więc jesteśmy napaleńcami, tak? Przypuszczam, że archiwa roją się od przykładów naszych napalonych pobudek? A może ta sprawa była pierwsza na naszym konczie?

- Posłuchaj, Jake...

- Nie, to ty posłuchaj, Irene - powiedział z naciskiem. - Czy znalazłaś jakiś dowód tego napadu? Może karty rejestracyjne Amerykańskiej Partii Nazistowskiej? A może - o cholera, kto to podpalił wszystkie kampusy w latach sześćdziesiątych? Aha, SDS, teraz sobie przypomniałem. Studenci Demokratycznego Społeczeństwa. Czy znalazłaś coś takiego? Czy udało ci się wygrzebać choć jeden przykład, że Carolyn albo ja na coś się napaliliśmy?

Irene wzniosła oczy.

- Daj spokój, Donovan. Nawet Fidel Castro miał kiedyś swój pierwszy raz. Dowody mówią same za siebie. Szczerze mówiąc, cała ta wasza akcja w związku z odkryciem jakiegoś szkieletu jest dość smutna. Może gdybyście wtedy z czymś takim wyszli, ale teraz...

Jake spiął się na wzmiankę o szkielecie, ale natychmiast zdał sobie sprawę, że Irene przesłuchiwała Carolyn.

- Okazało się, że to ślepa uliczka - przyznał. Na tym etapie uczciwość mogła pomóc.

- Przepraszam, że co?

- Te kości, po które tam wróciliśmy, okazały się szkieletem psa. Musiał wejść do magazynu i zginąć przed całym tym wydarzeniem.

Teraz była naprawdę zdezorientowana. - A więc, co...

- Wracając do tej wiadomości - powiedział, wskazując lufą rewolweru jak przedłużeniem palca - mówisz, że w najmniejszym stopniu nie uważasz tego za absurdalne? Za zbyt dogodne? Jezu!

Irene nie wiedziała, do czego zmierza rozmowa, więc milczała. Domyślała się, że prędzej czy później wyjaśni, o co mu chodzi.

- Zdarzyło ci się przesłuchiwać podpalaczy, Rivers? Wzruszyła ramieniem. Raptowna zmiana tematu zirytowała ją.

- To należy do moich obowiązków. Pokiwał głową z aprobatą.

- Tak myślałem. Widziałem kiedyś w telewizji program o tym, że czasami podpalenie wykorzystuje się dla zatuszowania innej zbrodni. Czy spotkałaś się z takimi przypadkami?

Patrzyła na niego długo, zanim wreszcie odpowiedziała.

- Powiedzmy, że słyszałam.

- W porządku. Niech będzie. A zatem nie wykluczyłybyś takiej opcji, gdybyś się

dowiedziała, że coś takiego zdarzyło się w Newark? Nie uznalabyś z góry, że to niemożliwe?

Irene nie podobało się, że znajduje się w krzyżowym ogniu pytań mordercy.

- Woda mi stygnie, Jake. Proszę, przejdź do sedna.

- Oczywiście. - Nadszedł czas na wielki blef. - W podziemiu, gdzie żyłem przez ostatnie lata, nawiązałem ciekawe znajomości z ludźmi, którzy mają dostęp do niewiarygodnych informacji.

- I Harry Sinclair jest jednym z nich - przerwała.

- Kto taki? - Jake był na to przygotowany. Przewróciła oczami.

- W porządku - jęknęła. - Kontynuuj. Wzruszył ramionami.

- No cóż, te informacje, muszę przyznać, nie zawsze są dobrze wykorzystywane, ale okazały się bardzo wiarygodne. - Przerwał, obserwując jej reakcję. - Ci ludzie przedstawili mi ostatnio dowody, że twój szef, Peter Frankel, na początku lat osiemdziesiątych maczał ręce aż po same łokcie w działaniach niezgodnych z prawem...

- Daj spokój! - ucięła. - Nie chcę tego słuchać.

- Wysłuchaj mnie do końca - nalegał.

Wyglądało, że Irene chce się sprzeczać, ale po chwili zrezygnowała.

- Domyślam się, że nie mam zbyt dużego wyboru, prawda?

Dobra, jedziemy z tym koksem. Nadszedł czas, aby sprzedać domysły jako fakty.

- Frankel był szefem w Little Rock w osiemdziesiątym trzecim, prawda?

- Mówisz, czy pytasz?

- Próbuję otworzyć ci umysł, do cholery! - warknął.

- A zatem tracisz czas - uśmiechnęła się chytrze. Dobrze. Falstart. Spróbował ponownie.

- No, ale jeżeli poszperasz, przekonasz się, że był odpowiedzialny za całe to śledztwo.

Siedział na tyle wysoko, żeby maczać łapy we wszystkim, co wychodziło z twojego biura w Little Rock.

- Agent nadzorujący ma do tego pełne prawo - przerwała. Bingo. Domysł numer jeden potwierdzony.

- Cóż, moi ludzie mówią, że twój szef wiedział wszystko na temat tego chemicznego gówna, które przechowywano w tamtym magazynie, ale miał powody, żeby trzymać to w tajemnicy przed wszystkimi... włącznie ze swoimi przełożonymi.

- A jakież to mógł mieć powód? - udawała zdziwienie, mimo że słabiutkie światełko zatliło się gdzieś w głębi jej umysłu.

- Mnóstwo forsy z nielegalnej sprzedaży broni.

Serce Irene zatrzymało się na chwilę, kiedy przypomniała sobie cel ostatniej misji

George'a Sparksa w Iraku. Jake zarejestrował jedynie leciutkie drgnięcie prawej powieki i nieznaczne rozchylenie ust - jak gdyby ciche westchnienie. Nie odezwała się jednak ani słowem i szybko się opanowała.

- A więc prowadzi regularną sprzedaż poza oficjalnym sklepem Wuja Sama, a tu ni z tego, ni z owego pojawia się Agencja Ochrony Środowiska i zakłada zamek w drzwiach. Facet zostaje nagle odcięty od zapasów, a wszystkie dowody leżą zamknięte w środku do czasu, gdy zostaną użyte przeciwko niemu.

- To tylko twoje przypuszczenia - odparła szorstko. - Nie masz dowodów.

Jake poczuł się zachęcony, mimo że walnęła prosto w gwóźdź. To było zbyt logiczne, żeby nie mogło być prawdziwe, ale rzeczywiście nie miał dowodów. Jeżeli jednak dobrze spełni swoją misję, ona powęszy za niego.

- Ależ są na to dowody - blefował. - Masz je już w głowie. Wiem, że tak jest. Opierasz się, ale one już tam są, może nie? A jeżeli chcesz dotrzeć do dowodu, który mam ja, musisz tylko zadać sobie trochę trudu i poszukać go.

- Gdzie? - naciskała. - Gdzie mam szukać tej rewelacji? Kogo odpytać?

- Daj spokój, Rivers. Za odpowiedź na takie pytanie można zapłacić życiem. - Ten tekst przećwiczył z Nickiem w samochodzie. Tajemnica maskuje braki konkretów.

Irene pokręciła z uporem głową. Nie miała zamiaru tego kupić.

- Dlaczego po prostu nie wysadził tego magazynu w powietrze? Po co mordowałby tylu ludzi, skoro próbował tylko ukryć pewne braki?

Jake zmrużył oczy i uśmiechnął się gorzko.

- Po co zabijać tylu ludzi... - skandował powoli. - Zadajesz to pytanie, kiedy chodzi o jednego z twoich, a jednak dopuszczasz takie szaleństwo, kiedy chodzi o Carolyn i mnie. Dziwne, prawda?

Przyjęła argument, odwracając wzrok.

- Zastanów się nad tym, Rivers - poprosił Jake, mówiąc coraz dobitniej. - Załóż choć na sekundę, że to ja mówię prawdę. Że jesteśmy niewinni. A teraz przyjrzyj się faktom. Jeśli chcesz naprawdę ukryć jakąś tajemnicę, nie wystarczy samo zniszczenie dowodów. Musisz dostarczyć alternatywne wyjaśnienie tej destrukcji. Ostatnią rzeczą, jakiej chciał Frankel, było otwarte śledztwo. Bez dowodów, które wskazywałyby na kogoś innego, ślad mógł zaprowadzić do niego. No więc wskazał rzekomych winowajców od razu pierwszego dnia i w parę tygodni miał sprawę załatwioną. Był na tyle dużą szyczą, że nikt niczego nie kwestionował.

Irene zastanawiała się nad jego słowami i na jej twarzy malował się coraz większy przestach.

- Skąd mógłby wiedzieć, że Carolyn i ty przeżyjecie? Jeżeli planował zrzucić winę na was, skąd wiedział, że uciekniecie?

Jake patrzył na nią przez kilka sekund, czekając, aż sama odpowie sobie na pytanie.

- Nazwisko Tony Bernard coś ci mówi? - zapytał. Dopiero po paru sekundach zlokalizowała je w myślach.

- Tak. To jedna z osób, które zginęły tamtego dnia. W pokoju motelowym.

- A dlaczego on był wtedy w motelu? Pamiętasz? - jeśli to miało dać odpowiedni skutek, musiała pewne fragmenty sama ułożyć w całość.

Irene zamknęła oczy. Rano po raz kolejny czytała akta śledztwa, ale teraz wydawało jej się, że miało to miejsce wiele lat temu.

- Był chory, tak? Coś z żołądkiem. Jake czekał, lecz ona wciąż nie chwyciła.

- Trochę dziwne, nie sądzisz? Młody mężczyzna nagle rozchorowuje się tak, że nie jest w stanie iść do pracy, a potem ci barbarzyńcy wracają do motelu tylko po to, żeby go stuknąć... no i zostawić wiadomość?

Oczy Irene rozgorzały ogniem, kiedy kawałki ułożyły się w logiczną całość.

- Myślisz, że to Tony Bernard był planowaną ofiarą. Jake uśmiechnął się.

- Szczerze mówiąc, wiem, że nią był - skłamał.

- A co z jego chorobą? Byli świadkowie...

- A co to za problem załatwić komuś ból brzucha? Ja też go widziałem tamtego ranka. Wyglądał, jakby miał z siebie flaki wypruć. Sądził, że zaszkodziło mu jedzenie. Kupiłem to wtedy, tak jak inni. Ale, do diabła, wszyscy jedliśmy to samo w tej samej stołówce. Dlaczego tylko on zachorował? - słowa zawisły w powietrzu na kilka sekund. - Kiedy razem z Carolyn przeżyliśmy, Frankel musiał dokonać pewnych korekt, ale zasadniczo plan się nie zmienił. Myślę, że zabicie Tony'ego było polisą ubezpieczeniową. Nie wiadomo, co on mógł wiedzieć.

Zastanawiała się dłuższą chwilę.

- A gdyby was aresztowano, to i tak nie miałyby znaczenia, prawda? - snuła głośno swoje przypuszczenia.

- Dla Frankela nie - zgodził się Jake. - Co więcej, gdyby przyparto twego szefa do muru, przedstawiłby kolejne fałszywe dowody, jestem tego całkowicie pewien. Jeszcze jedno. Kiedy emocje są tak gwałtowne, jak po wypadku w Newark, ludzie stają się mniej wybredni w stosunku do materiału dowodowego. Po co przetrząsać krzaki, skoro odpowiedź leży pod drzwiami? Ludzie w takich momentach chcą szybkich rozwiązań.

Poczuła zawrót głowy od natłoku nowych możliwości. Nigdy nie przyszło jej na myśl, by uwierzyć w historię Carolyn. Czy to możliwe, aby Donovanowie mówili prawdę?

- Co z Carolyn? - zapytał Jake. Kolejna radykalna zmiana tematu. Irene popatrzyła na niego zdezorientowana. - Rozumiem, że z nią rozmawiałaś?

Skinęła głową.

- W porządku. Jest przestraszona, przygnębiona i zła, ale poza tym wszystko w porządku.

- No to dobrze - uśmiechnął się. - Kiedy spotkasz się z nią następnym razem, powiesz jej, że ją kocham? I że robię co w mojej mocy, żeby wszystko pozafatwiać?

Dostrzegła szansę.

- A może ty jej to powiesz, Jake? Pozwól się zabrać, a wyprostujemy to wspólnie. Obiecuję ci, że pójde każdego tropem, który mi wskażesz.

- Żartujesz, prawda? - Mówiła poważnie i zdawał sobie z tego sprawę. - No cóż, doceniam tę propozycję, ale nie miej mi za złe, jeśli odmówię. Nie jestem całkiem przekonany, czy ufając ci nie popełniam wielkiego błędu. Tak się składa, że moja wiara w prawo karne nie jest już tak silna jak kiedyś - mówiąc, wyrzucił naboje z rewolweru Irene do sedesu. Dostrzegł jej pełne dezaprobaty spojrzenie i uśmiechnął się. - Wiem, że to może przesada, ale nie mogę cię przecież zostawić z naładowaną bronią, prawda? Nie sądzę, by któreś z nas chciało narobić hałasu jakąś niepotrzebną strzelaniną o pół do trzeciej nad ranem.

- A więc co teraz? - zapytała ostrożnie. Wzruszył ramionami.

- To już zależy od ciebie. Musisz zdecydować, czy pracujesz, żeby walczyć o sprawiedliwość, czy tylko żeby wypełniać rozkazy. - Kiedy usunął wszystkie pociski, zatrzasnął bębenek rewolweru i wyciągnął swojego glocka. - Na koniec jeszcze jedna frapująca rzecz, którą powinnaś przemyśleć.

- Zamieniam się w słuch.

- Wiem, że zastanawiasz się, dlaczego tu dzisiaj przyjechaliśmy, próbując wyjaśnić tę sprawę. Odpowiedź brzmi: po ten szkielet psa i był to okropny błąd. Głupi powód, co? Zupełnie bez sensu. Ale jak to się stało, że się nas spodziewaliście?

Nie czekając na odpowiedź, przekręcił klamkę w drzwiach, aby wyjść.

- A tak przy okazji - wyszczerzył zęby w uśmiechu - siedziałem w tej szafie, kiedy się przeglądałaś, i muszę przyznać ci rację. Całkiem nieźle jak na czterdzieści dwa lata.

Nie było teraz mowy o śnie. Irene postanowiła co prawda spróbować, ale chociaż ciało domagało się odpoczynku, umysł wirował jak oszalały bąk.

Wizyta Donovana całkowicie zbiła ją z tropu. Przez cały dzień starała się wymyślić logiczny powód ich powrotu do Arkansas. I chociaż nie należy opierać się na frazesach, to fakt

pozostaje faktem, że rozsądni przestępcy nigdy nie wracali na miejsce zbrodni. A przez te czternaście lat przebywania na liście dziesięciu najbardziej poszukiwanych Donovanowie udowodnili, że są wyjątkowo rozważni i sprytni.

Wyłowiła naboje z muszli klozetowej - całe szczęście, że ją splukała po ostatnim użyciu - i poszła do sypialni, gdzie znalazła broń leżącą pośrodku wielkiego łóża. Nie zadała sobie trudu poinformowania kogokolwiek o wizycie Jake'a. Z pewnością był już daleko, a udokumentowana ucieczka poszukiwanego należała do ostatnich rzeczy, na jakie mogła sobie pozwolić.

Włożyła flanelową koszulę nocną, którą zawsze zabierała na wyjazdy, i usiadła ciężko na krześle o twardym oparciu przy starym drewnianym biurku. Akta Donovanów leżały w walizce, za daleko, by do nich sięgać. I tak nie musiała ich w tej chwili przeglądać. Chciała zrekonstruować w pamięci oskarżenia wysuwane przeciwko nim.

Co tak naprawdę miało Biuro? Pozostawioną wiadomość. Szesnaście trupów. I dwójkę uciekinierów. Co jeszcze?

Nic. Jęknęła głucho na samą myśl. To, co wydawało jej się tak niepodważalne, tak oczywiste jeszcze godzinę temu, teraz jawiło się jako żałośnie sztuczne. Niemal kruche. Przypuszczała, że w materiałach było dosyć danych, aby wprawny prokurator wygrał sprawę, ale nagle ujrzała w nich ogromne, ziejące pustką dziury. Dziury na tyle duże dla wprawnego obrońcy, żeby przejechać przez nie mercedesem.

Może o to właśnie chodziło - pomyślała, wskrzeszając swój naturalny cynizm. Może ich powrót był sztuczką zaprojektowaną, żeby wzbudzić wątpliwości w umysłach ławników? Może chcieli postawić wszystko na jedną kartę? Gdyby wygrali, mogliby dołączyć do społeczeństwa jako pełnoprawni obywatele. Czy taki plan naprawdę nie był możliwy w przypadku ludzi tak inteligentnych jak Donovanowie? Szczególnie jeśli mieli do dyspozycji pieniądze Harry'ego Sinclaira.

Z pewnością nie było to tak absurdalne, jak zapewnienie Jake'a, że Peter Frankel był zamieszany w handel bronią i masowe morderstwo.

Dlaczego więc Donovanowie wrócili? Dlaczego po prostu nie uciekli po raz kolejny? Udało im się, na miłość boską - kompletnie zniknęli z ekranu radaru, kiedy porwali swego dzieciaka ze szkoły. Niewątpliwie i tym razem pomógł im Sinclair. Po co podejmowali tak wielkie ryzyko?

I dlaczego, do diabła, tak po prostu by się poddali po wieloletniej ucieczce?

Ale przecież oni się nie poddali! Ich dzieciak rozchorował się i musieli szukać pomocy medycznej. Czy w innym razie też by się ujawnili? Do cholery, dlaczego te pytania nie przyszły

jej do głowy, kiedy Donovan był jeszcze w łazience?

Może choroba dziecka stanowiła część planu? Niewątpliwie wzbudziłiby więcej współczucia ze strony sędziów. Czy nie trudniej oskarżać lamentujących rodziców, niż parę zatwardziałych morderców?

Niewykluczone. Widziała jednak ból na twarzy Carolyn. I na twarzy jej męża. Czasami sama zaniedbywała matczyne obowiązki i z łatwością rozpoznawała winnych rodziców. Uczucia, które zobaczyła dzisiaj u Donovanów, były szczerze. Nie da się udawać takiego cierpienia.

Jakie Jake rzucił jej wyzwanie? Czy pracujesz, by walczyć o sprawiedliwość, czy tylko by wypełniać rozkazy? Zastanowiła się z goryczą, czy własna kariera mogła stanowić trzecią możliwość.

Gdyby więc nadszedł wreszcie dzień, w którym świadczyłaby przeciwko Donovanom przed sądem, czy mogłaby przekonać ławę przysięgłych, że te brednie o spisku były tylko absurdalnym wymysłem, opracowanym, aby odwrócić uwagę od popełnionych zbrodni? Oczywiście. A czy mówiąc to, postąpiłaby zgodnie ze swoim sumieniem? Przerazała ją odpowiedź na to pytanie.

A Frankel? Jezu!

Jake blefował, zapewniając, że ma niezbite dowody i zdawała sobie z tego sprawę. Najwidoczniej kłamstwo, nawet po tylu latach ciągłego lawirowania, nie jest jego mocną stroną. Mimo to, chociaż bardzo chciała uznać jego teorie za szalone, musiała przyznać, że zawierały wiele logiki.

O co to on prosił wychodząc? Pytanie, jakie miała zadać samej sobie. Ach, tak. To Frankel powiedział jej o tym, że Donovanowie wracają do Arkansas. Coś o komputerze Agencji Ochrony Środowiska. O co tam chodziło? Kodują pliki. Jeśli ktoś próbuje się do nich dostać, wtedy ostrzeżenie...

Wreszcie zrozumiała.

- O cholera! - wyrwało się jej z ust. - On wiedział, że wróca, prędzej czy później.

Jej twarz płonęła. Fragmenty układanki wskoczyły na miejsce. O Boże, to samobójstwo!

Teraz chodziło tylko o to, by znaleźć dowody, nie rujnując jednocześnie swojej kariery. Złapała się na tym, że lubi tego kryminalistę, Jake'a Donovana, i chociaż czuła się głupio myśląc w ten sposób, wydawał jej się o wiele miłszy niż Peter Frankel. No i, szczerze mówiąc, mniej przypominał zabójcę.

Działała szybko, by maksymalnie wykorzystać te kilka godzin, które pozostały do

świtu. Otworzyła walizkę i wysunęła laptopa spod akt Donovanów. To cholerstwo ciężko się uruchamiało, ale jeśli jej się uda, reszta będzie drobnostką. O tej porze internet nigdy nie jest zawalony.

Pomimo ogromu rezydencji usadowionej wśród łąk - Jake oceniał ją na jakieś trzy tysiące metrów kwadratowych - pozostali w maleńkim salonie. Po powrocie z Radfordu Jake, który nigdy nie przepadał za brandy, wziął się za degustację armagnaca, zachęcony uwagą Thorne'a, że trunek ten sprzedawano po czterysta dolarów za butelkę.

Nick zjawił się po chwili i zasiadł na małej, podwójnej sofie, pozostawiając fotele dla Jake'a i Thorne'a. Totumfacki Harry'ego Sinclaira wyglądał na wyczerpanego, ale z zaciekawieniem słuchał relacji ze spotkania z Irene. Szczególnie zainteresował go moment, kiedy to "dama z FBI" została zaskoczona na golasa. W innych okolicznościach Jake może by się nawet zastanawiał, czy nie pokusić się o zabawę w kojarzenie par, ale tu nie miał wątpliwości, że jedynym celem Thorne'a było przekazanie wszystkich wiadomości szefowi.

- Myślę, że Rivers jest bystra - zakończył Jake. - Jestem pewien, że zrobi tę robotę. - Czy ja naprawdę to powiedziałem? Zastanawiał się, czy nie próbuje przekonać samego siebie. Istniało również prawdopodobieństwo, że agentka przekaże te informacje bezpośrednio Frankelowi, załatwiając w ten sposób Jake'a. Nie, poprawka - załatwiając wszystkich. Możliwe, że nawet mocarnego Harry'ego Sinclaira - biorąc pod uwagę zainteresowanie Irene jego udziałem w tej sprawie, lecz o tym nie wspomniał w swojej relacji.

Kiedy drągał zdrzemnął się na chwilę, Jake pogрузzył się w niewesołych myślach o Travisie. Czyjego syn był bezpieczny? Chciał wierzyć, że nawet gdyby walka o udowodnienie niewinności jego i Carolyn ciągnęła się dalej, chłopiec zostanie od tego odsunięty i...

I co?

Nawet jeśli spełniłoby się najgorętsze pragnienie Jake'a i Travis w pełni wróciłby do zdrowia, istniało prawdopodobieństwo, że opiekę nad nim przejmie stan.

Nagle w głowie zaświtała mu myśl - z gruntu szalona, jedna z tych, których źródłem jest raczej wyczerpanie niż logika. Mimo to w ciągu paru sekund pomysł zmienił się w decyzję. Jake odwrócił się do Thorne'a i poklepał go po kolanie, wrywając z drzemki.

- Mam pytanie. Thorne uniósł brwi.

- Jak według ciebie zareagowałby Harry, gdybym go poprosił, żeby zajął się Travisem do czasu, aż to wszystko się wyjaśni?

- Powiedziałby: nie - odparł gderliwie Thorne. Najwidoczniej lepiej czuł się z zamkniętymi oczami.

- Jak to? - Jake usiadł prosto. - Przecież jest rodziną, prawda? Sąd z pewnością

przyznałby rodzinie prawo do czasowej opieki. Chryste, a Carolyn sądzi, że słońce wschodzi i zachodzi dzięki temu staremu skurczybykowi.

Thorne pokręcił przecząco głową.

- Pan Sinclair przewidział, że padnie takie pytanie. Odpowiedź brzmi: nie.

- To by było lepsze, niż żeby biedny dzieciak tułał się po obcych - skontrolował Jake. - Harry mógłby dać mu jakąś namiastkę stabilizacji.

- Twój chłopak nie jest problemem pana Sinclaira - powiedział Thorne bez ogródek. - To znaczy, jeśli chodzi o dzieci, wasze nie jest takie złe, ale dzieciak to zawsze dzieciak. Słyszałeś o jakichś dzieciach pana Sinclaira? Bo ja nie. On po prostu nie lubi dzieci.

Jake nie miał zamiaru tak łatwo się poddać.

- No, a Carolyn? Jego Promyczek?

- Ona jest inna - przerwał Thorne. Chciał powiedzieć coś jeszcze, ale powstrzymał się. - Ona jest inna.

Jake dostrzegł na twarzy olbrzyma czułość, o jaką nigdy by nie podejrzewał człowieka jego pokroju.

- Opowiedz mi o jej dzieciństwie - poprosił. Thorne zmrużył oczy.

- Co chcesz wiedzieć? Zwyczajnie, była dzieckiem. Pan Sinclair ją lubił.

- Ale ona ma koszmary. Straszne. Nieraz budzi się z krzykiem, ale nie chce o nich mówić. Nic nie wiem o jej rodzicach. Kiedy próbuję drążyć ten temat, zamyka się w sobie.

Thorne odwrócił wzrok.

- No więc nie chce, żebyś wiedział - burknął. - Powinieneś po prostu dać sobie z tym spokój.

- A dlaczego tak uwielbia Harry'ego? - nalegał Jake. - Co takiego jest w tym złośliwym staruchu, że wzrusza ją sam dźwięk jego imienia?

Thorne w milczeniu pokręcił głową. Na takie pytania nawet nie warto było odpowiadać.

- Czy Harry wykorzystywał Carolyn? - zapytał niespodziewanie Jake. - Co?

- Czy Harry wykorzystywał moją żonę, kiedy była mała? - powtórzył stanowczo i bez wahania. - Są pewne oznaki, że mogła być molestowana seksualnie jako dziecko. Czasem mnie odtrąca, często nie może spać. I te koszmary. Pomyślałem sobie, że może... - głos uwiązł mu w krtani. Nigdy dotąd nie dzielił się z nikim tymi troskami i zmartwieniami i zaskoczyły go własne emocje.

Spojrzenie Thorne'a stwardniało.

- A więc uważasz, że pan Sinclair gwałcił swoją siostrzenicę? I że po tym wszystkim postanowiła go uwielbiać? - powtórzył dobitnie słowo, którego użył Jake.

Ten wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Czyta się czasem o takich dziwnych przypadkach w psychologii. Pomyślałem, że może...

- Ty naprawdę myślisz, że on wyrządził krzywdę Promyczkowi? - Thorne sprawiał wrażenie zdumionego.

Jake, zakłopotany, odwrócił wzrok.

- Bardziej niż sobie wyobrażasz - odrzekł krótko.

Thorne wciągnął powietrze nosem i wypuścił, nadymając policzki.

- Młodsza siostra pana Sinclaira, Rebeka, nie była zbyt twarda... nie bardzo w siebie wierzyła - zaczął niegłośno. - W dzieciństwie często chorowała, a później, jak to większość nastolatek, zaczęła jęczeć, jaka to jest brzydka i jak to żaden facet nie będzie jej chciał. Nie znałem jej wtedy, ale pan Sinclair bardzo się przejmował jej zachowaniem. Podobno była całkiem niezła, ale jak przemówić do rozsądku własnej siostrze? Poruszył się na fotelu.

- No i kiedy miała osiemnaście lat, pojawił się taki jeden pętaś. Nazywał się Mike Skepanski. Jego zdążyłem już poznać. Na oko było widać, że to kupa gówna. Pan Sinclair nienawidził go. Zresztą nikt go nie cierpiał - oczywiście z wyjątkiem Rebeki. Zakochała się w nim, a potem za niego wyszła. Ledwo skończyła liceum, o niczym nie miała pojęcia, a związała się z tym dupkiem na resztę życia.

Opowieść nabierała rozpędu i pochłaniała Thorne'a coraz bardziej.

- No i co? Facet jakiś czas pracuje na budowie, ale biedactwo robi sobie kuku w rączkę i ochota do pracy się ulatnia. Siedzi w domu przez parę miesięcy, aż tu jakiś głupi skurczybyk zatrudnia go jako strażnika. Drań może nosić broń i czuje się twardzielem. Ale oczywiście to też nie wypaliło. To był pieprzony leser. Zdaje się, że złapali go, jak spał w robocie, czy coś w tym rodzaju, w każdym razie wyleciał z hukiem. I tak w kółko. Żadna praca się go nie trzyma, Rebeka nieszczęśliwa, a pośrodku tego bajzlu rodzi się Carolyn.

Na twarzy Thorne'a pojawił się uśmiech.

- Wiesz, nie przepadam specjalnie za dzieciakami, ale Carolyn to był cukiereczek. Taka przylepa z wielkimi oczami. I po raz pierwszy Rebeka zaczyna wierzyć w siebie, rozumiesz? - Thorne spochmurniał. - Dopóki ten Polaczek nie zaczął jej lać. Bez żadnego powodu, kurwa mać. Rebeka nie pisnęła słówka, ale zaczęła ćpać, ostro popijać i tego typu głupoty.

Umilkł na moment, po czym kontynuował opowieść.

- Któregoś dnia dostaję telefon. Dzwoni Rebeka i słyszę, że coś z nią nie tak, no wiesz. Chce rozmawiać z bratem. Chyba wtedy po raz pierwszy dowiedziałem się o tym picciu. No dobra, pan Sinclair pogadał z nią i wychodzi z pokoju rozwścieczony do białości. Każe mi się

szukować i jedziemy do Milwaukee. Nie powiedział po co, ale ciągle mnie popędzał, że jadę za wolno.

Przyjechaliśmy koło szóstej nad ranem. Rudera, a ze środka dochodzi krzyk. A raczej wrzask. Wrzask przerażonego dziecka. Wbiegamy do środka i lecimy na górę. No i zastajemy całą trójkę w sypialni Carolyn. Miała wtedy dziewięć, może dziesięć lat.

Zachrypl. Wziął głęboki oddech i wyprostował nogi.

- Ten Polaczek, pijany jak świnia, tłukł je obydwie jak oszalały. Carolyn błaga go, żeby przestał, a on wali gdzie popadło.

- O Boże - jęknął Jake.

- Rebeka już o tym nie wiedziała - ciągnął Thorne coraz grubszym głosem. - Bo straciła przytomność od ciosów. Może też zrobiły swoje te narkotyki, w każdym razie nigdy już nie wróciła do siebie. - Umilkł. - Pan Sinclair zabrał je do szpitala, a ja zająłem się tym sukinsynem.

Ton głosu i pozycja świadczyły, że Thorne skończył opowieść, ale Jake chciał słuchać dalej.

- Co z nim zrobiłeś?

- Nic - odparł olbrzym wzruszając ramionami. - Ale pan Sinclair dopilnował, żeby Rebeka i Promyczek miały wszystko, co trzeba - spojrzał chmurnie na Jake'a.

- A co zrobiłeś z tym człowiekiem?

Thorne zmrużył oczy i zacisnął szczęki. Odchylił się do tyłu i położył otwarte dłonie na oparciu fotela.

- Zadajesz mnóstwo pytań. Czy na pewno chcesz znać odpowiedź? Jake długo milczał.

- Tak - powiedział powoli. - Chcę wiedzieć. Chyba powinienem wiedzieć.

- No dobra - odpowiedział Thorne, opierając łokcie o kolana - ale niech to zostanie między nami, w porządku? Zabrałem Mike'a na małą przejażdżkę za miasto. Chwilkę porozmawialiśmy, a potem rozwaliłem mu ten pieprzony łeb - uśmiechnął się, zadowolony z siebie nawet po tylu latach. - Użyźnia teraz glebę i z tego co wiem, nikt nigdy nie doniósł o jego zniknięciu.

Słowa zawisły w powietrzu jak drażniący odór, wywracając Jake'owi wnętrzności. Jednocześnie poczuł osobliwe spełnienie.

- Zamordowałeś go?

Thorne odpowiedział jednym ze swych niewesołych uśmiechów.

- Czy Harry wie? To znaczy, czy on ci kazał go zabić?

- Jasne, że nie - prychnął drwiąco Thorne, tak jakby Jake zadał najbardziej absurdalne pytanie pod słońcem. - Pan Sinclair nie działa w ten sposób. Myśli, że wsadziłem Polaczka w

samolot i wysłałem gdzie pieprz rośnie, z poleceniem, żeby nigdy nie pokazywał się nam na oczy. Zakładał, że zrobiłem, co mi kazał, a ja nigdy nie zadałem sobie trudu, żeby go wyprowadzić z błędu.

Jake nie kupił tego.

- Daj spokój! Chyba nie myślisz, że ci uwierzę... Thorne uniósł rękę.

- Wciąż nie kapujesz, co? Moja praca polega na likwidowaniu problemów. W dziewięćdziesięciu procentach pan Sinclair nie ma pojęcia, co robię. Szczerze mówiąc, płaci mi mnóstwo pieniędzy za to, żebym go nie informował.

- Ale gdyby wiedział...

- Zdenerwowałby się. O tak - odparł Thorne. - Ale, jak już mówiłem... Carolyn była słodka. A co do mnie, to zawsze miałem słabość do trwałych rozwiązań.

Travis pamiętał ten tunel. I tak jak poprzednio, nie był w nim sam. Te same głosy unosiły się dokoła w ciemnościach, mówiąc rzeczy, których nie rozumiał.

Wąż wciąż siedział w gardle, ale zdawało się, że spełził nieco niżej. Już nie kąsał. Jezu, ta suchość w ustach. Travis próbował przełknąć ślinę, ale wąż mu nie pozwalał. Dobrze, że przynajmniej już nie syczał. I zwrócił mu kontrolę nad oddechem. Miło z jego strony.

Coś ciągnęło Travisa w kierunku światła, a kiedy się zbliżył, zdał sobie sprawę, że wcale nie jest w tunelu. Spał. Chociaż starał się ze wszystkich sił, nie mógł się obudzić. Głosy stawały się coraz bardziej donośne. O ile się nie mylił, ktoś wypowiadał jego imię.

Ale miał koszmary! Pościg, toksyny, wrzaski, walka. Nie pamiętał, co jadł wieczorem przed pójściem spać, ale miał nadzieję, że nie popełni już podobnego błędu.

Właściwie co się wydarzyło wczoraj wieczorem?

Światło przybrało na jasności.

Już nie unosił się w powietrzu. Szczerze mówiąc, czuł, że jest zakotwiczony, jakby przyklejony do podłogi. Próbował się poruszyć, ale odczuwał straszliwy ból w klatce piersiowej. Jakby ktoś go poobijał. A może właśnie o to chodziło? Może ciągle leżał na ziemi, dochodząc do siebie po walce z Terryem Lampierem, a cała reszta to był tylko sen?

Światło pomknęło ku niemu z zatrważającą prędkością. Głosy stały się jeszcze donośniejsze i bardziej wyraźne. Ktoś naprawdę wymawiał jego imię.

Travis otworzył oczy, ale wciąż nie wiedział, gdzie się znajduje. Próbował się odezwać, ale duży przedmiot w ustach skutecznie mu to uniemożliwiał. Stary kumpel, wąż.

Jakaś twarz pojawiła się nad nim. Nieznajoma kobieta uśmiechnęła się do niego w taki sposób, że włosy stanęły mu dęba.

- Cześć, Travis - powiedziała. - Wróciłeś. Trochę się o ciebie martwiliśmy.

Była pewna, że minęło już parę godzin. Nie miała możliwości, żeby sprawdzić czas, ponieważ zegarki, jak wiele innych przedmiotów ułatwiających ludziom życie, nie należały do standardowego wyposażenia izolatek. Więźniowie z tego skrzydła nie widzieli świata zewnętrznego. Jedyne wysłanniki rzeczywistości byli strażnicy. Przyszło jej do głowy, że z łatwością mogli manipulować ludzkimi umysłami. Światło paliło się przez całą noc. Dzień za dniem bez spokojnego snu, a po nich kolejne dni ciemności gwarantowały kompletną zmianę poczucia rzeczywistości. W jakim celu? W takim, jaki dla niej przeznaczili.

Od dłuższego czasu siedziała bez ruchu na betonowym łóżku, obracając w palcach linkę, którą zostawił Wiggins. Starła się pojednać z Bogiem. Czy Bóg istniał? Mimo doświadczenia minionych lat nie mogła oprzeć się myśli, że gdzieś było miejsce lepsze od tego i ktoś - jakaś siła, która dążyła do tego, aby ona, Jake i ich mały chłopczyk znowu byli razem. Jeśli nie tutaj, to tam.

Co mogła zrobić? Czy było jakieś inne wyjście? Mogła zabić siebie albo syna. Ale co potem? Jaką miała gwarancję, że Wiggins dotrzyma słowa i nie zabije jej syneczka? A może to jeden wielki blef...

Nie - odpowiedziała sobie szybko. - Mówił śmiertelnie poważnie. On zabije moje dziecko.

Przez długą chwilę zastanawiała się, czy nie opowiedzieć o tym szefowej strażniczek, ale w końcu odrzuciła ten pomysł. Przecież ta kobieta nigdy jej nie uwierzy. Potem nastąpi przesłuchanie i termin minie.

Odczytywanie listy. Nie miała pojęcia, kiedy to robią. Chyba rano, domyśliła się, ale o której? Sądząc po rytmie tego miejsca, krytyczna godzina zbliżała się szybkimi krokami. Dawno już minął czas, kiedy umilkły wszelkie hałasy i od betonowych ścian odbijało się echem jedynie kilka impertynenckich rozmów, które z czasem też ucichły. Teraz hałas znowu przybierał na sile.

Najpierw zawiązała pętlę do zaciskania. Nic skomplikowanego - zupełnie niepodobną do węzłów, jakie uwielbiał robić Travis na każdym kawałku sznurka czy liny, jaki wpadł mu w ręce. Najzwyklejsza pętla, zawiązana tak, jak ją uczono wiele lat temu w Brownies.

Wspomnienia z dzieciństwa - te najstraszliwsze - próbowały wślizgnąć się do jej świadomości, ale odpędziła je wysiłkiem woli. Po raz ostatni - uświadomiła sobie z pewną ulgą. Być może nigdy więcej nie doświadczy tych koszmarów.

Czas pomyśleć o Jake'u. I o Travisie. O dobrych czasach.

Zaczeplenie umykającej linki o obudowę lampy okazało się nie lada zadaniem. Uformowała pewnego rodzaju lasso i próbowała zarzucić je na obudowę, jak kowboj chwytający konia. Stalowa rama znajdowała się daleko poza zasięgiem jej dłoni, więc nie mogła liczyć na ewentualne poprawki czy zmiany. Nie miała możliwości, by poluzować raz zaciśnięty węzeł.

Weszła na łóżko. Po czterech czy pięciu próbach wreszcie dopięła swego i poczuła ulgę. Teraz musiała wychylić się dostatecznie daleko, aby szyja trafiła w dyndającą pętlę.

Gdzieś daleko zadźwięczał dzwonek. Przeszył ją prąd przerażenia.

- Odczytywanie listy! - usłyszała wrzask strażnika. - No, panienki, wstajemy i dajemy głos!

Serce skoczyło jej do gardła, kiedy usłyszała zbliżające się kroki.

- Naprzód, pani Donovan!

Stanęła na czubkach palców i wyciągając całe ciało, jak dziecko próbujące wyrzeć zza płotu na boisko, zaledwie zdołała zaczepić podbródkiem o pętlę. Otworzyła szeroko usta, usiłując naciągnąć linkę głębiej na głowę. W umyśle zawirowały obrazy Jake'a i Trávisa, obrazy, jakie pragnęła zabrać ze sobą. Szepnęła, że ich kocha.

- To nowy dzień...

Wtedy straciła równowagę. Pętla zacisnęła się - niewiarygodnie mocno - kiedy ciało pofrunęło szerokim łukiem od łóżka; palce stóp instynktownie szukały oparcia, które pozostawało zaledwie cal niżej. Przez mgnienie pomyślała, czy cienka linka nie przetnie jej szyi, i wczepiła się paznokciami w miejsce, gdzie pętla werżnęła się w skórę.

Potem nastąpił czerwony błysk, po którym zapadła ciemność.

Baza danych "Orion" była dostępna dla wszystkich mających dość gotówki na uiszczenie opłaty za subskrypcję, na tyle wysokiej, że nie mogło być mowy o natłoku żadnych informacji klientów. Oczywiście nie dotyczyło to FBI i kiedy Irene znalazła się już w bazie danych, mogła odszukać wszystkie artykuły, jakie ukazały się na przestrzeni ostatnich pięćdziesięciu lat w ponad tysiącu dzienników, tygodników i miesięczników, istniejących nadal lub też nie.

Gdzieś w powodzi słów musiało kryć się coś na temat fabryki Granta. Poruszała się trochę na oślep, ponieważ komputery nigdy nie były jej najmocniejszą stroną i do tej pory po prostu wydawała odpowiednie polecenia swoim pracownikom, którzy zajmowali się podobnymi poszukiwaniami. Dość szybko przekonała się, że sukces czy porażka zależały od odpowiedniego doboru parametrów, w obrębie których oscylowały poszukiwania. Nie doceniając w pełni rozmiarów i możliwości bazy danych, wpisała "Newark + Arkansas" i otrzymała propozycję przejrzania sześciuset dwudziestu siedmiu tysięcy ośmiuset trzydziestu ośmiu artykułów.

Cholera!

Przy drugiej próbie Irene ustaliła parametry czasu między rokiem tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym, a chwilą obecną. Liczba artykułów została zredukowana o połowę.

- Ciepłej - powiedziała do siebie, odchylając się do tyłu na nieprawdopodobnie twardym krześle. A więc istniał jakiś sposób. Problem polegał na tym, że temat katastrofy z roku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego trzeciego i jej skutków dominował we wszystkich tytułach. Musiała w jakiś sposób przefiltrować te wiadomości.

Następnie sprawdziła rok po roku artykuły sprzed czasów eksplozji, ale nawet wtedy otrzymała ponad setkę publikacji, przeważnie w magazynach dotyczących myślistwa i rekreacji.

W końcu poddała się temu, co nieuniknione.

- W porządku, Irene - mruknęła po jakichś czterdziestu pięciu minutach tej zabawy. - A może po prostu poprosisz ten komputer o to, na czym ci zależy?

Wklepała: Newark + Arkansas + Frankel/ 1-1-80 do 8-21-83.

W głębi serca miała nadzieję, że na ekranie pojawi się sygnał błędnego polecenia. Zdumiała się więc, otrzymawszy szesnaście artykułów traktujących o tym samym: niewyjaśnionej śmierci generała armii Dallasa Albemarle'a i jego żony. Wypadek miał miejsce

w Wirginii. Postanowiła wrócić do tego później i skupiła się na siedemnastym tekście, w tygodniku "Freedom Report", którego podtytuł głosił: "Dziennik poświęcony zachowaniu demokracji". W artykule cytowano wiarygodne, lecz anonimowe źródła, podając do wiadomości, że agent specjalny, Peter Frankel, prowadził śledztwo w sprawie sprzedaży broni chemicznej z "tajemniczego miejsca" w Newark w Arkansas. Artykuł donosił, że dochodzenie okazało się bardzo owocne, lecz nie doszło do aresztowania podejrzanych. Potem autor przystępował do tyrady na temat majaczącej groźby potencjału militarnego Trzeciego Świata.

- No tak, oto jego niezbite dowody - bąknęła pod nosem Irene. Szczerze mówiąc, liczyła na coś bardziej konkretnego.

Ziewnęła przeciągle i po kolejnej bitwie z krzesłem o kontrolę nad jej kręgosłupem zwróciła uwagę na historie dotyczące samobójstwa. Po ich przeczytaniu w umyśle Irene rozdzwonił się alarm. Zdaje się, że ten generał Albemarle w roku tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym czwartym nadzorował zamknięcie Wojskowej Fabryki Broni imienia Ulyssesa S. Granta.

To dlatego wydawało jej się, że słyszała już gdzieś to nazwisko. To właśnie tego faceta Agencja chciała rozedrzeć na strzępy, kiedy po raz pierwszy odkryto magazyny z niebezpiecznymi odpadami.

Z niewyjaśnionych przyczyn generał ów zastrzelił swoją żonę w sypialni ich domu w Clifton, w Wirginii, a sam pojechał szmat drogi na pole bitwy pod Manassas, żeby strzelić sobie w głowę przed posągiem Stonewalla

Jacksona. We wszystkich artykułach powoływano się na to samo źródło - na agenta specjalnego FBI, Petera Frankela - podając, że generał Albemarle nie mógł dojść do siebie po niedawnej śmierci córki oraz skutkach skandalu związanego z bronią chemiczną w Newark. Według Frankela, generał wyraził jasno swoje intencje w liście pożegnalnym znalezionym w sypialni.

- Pierwszy w kolejce do wywiadów. Nawet wtedy, co, Peter? - mruknęła Irene, przeglądając kolejne artykuły. Zbieg okoliczności związany z pozostawieniem wiadomości na łożu śmierci nie był dla niej bez znaczenia.

To dziwne - pomyślała. - Jakiś nie znany nikomu facet rozwał sobie mózg, a historia obiega lotem błyskawicy cały kraj. Za to wzmianka o śledztwie w sprawie nielegalnego handlu bronią pojawia się tylko raz. To świadczyło o wiarygodności informacji podawanych w "Freedom Report" przez brat dziennikarską. Prawdopodobnie reszta gazety poświęcona była latającym spodkom i temu, kto i kiedy widział Elvisa.

Z czystego kaprysu porównała daty artykułów: tego dotyczącego broni i tego o śmierci

generała. Historia z "Freedom Report" ukazała się zaledwie trzy tygodnie przed zamieszczeniem wznieconym przez wojskowego.

No właśnie.

Prawdę mówiąc, Irene wierzyła w zbiegi okoliczności. Zdarzały się ciągle - czasami tak niesamowite, że przeczyły logice. W gruncie rzeczy najbardziej brutalna zbrodnia dokonana na niewinnych ludziach oznaczała właśnie to: tragiczny zbieg okoliczności dla ofiar wypadku.

Irene doskonale wiedziała, że obecność dwojga ludzi w tym samym miejscu i tym samym czasie niekoniecznie odzwierciedla intencje jednej czy drugiej strony. Przychodzi jednak moment, w którym zbiegów okoliczności jest tyle, że usprawiedliwienie ich przypadkowości kosztuje więcej wysiłku, niż uznanie tych faktów za godne rozważenia. Sprawa Frankela gwałtownie zaczęła zbliżać się do tego punktu.

Nadeszła pora, by na jakiś czas zapomnieć o zabawie w agenta śledczego i spojrzeć na sprawę jak przypadkowy obserwator. Gdyby skłaniała się w stronę Donovanów, mogła wyobrazić sobie Frankela w biurze terenowym w Little Rock, gdzie miał możliwość manipulowania śledztwem, a równocześnie mógł bez przeszkód sprzedawać broń na tylnym podwórku. Sięgając pamięcią wstecz wiedziała, że podobne rzeczy się zdarzały. Jakie to smutne, pomyślała, że tak często gliniarze popełniają takie same przestępstwa co ludzie, których ścigają.

Hmm...

Wróciła do punktu wyjścia i rozpoczęła kolejne poszukiwania, zmieniając daty, miejsca i nazwiska. Wszystkie hasła miały wspólny wyznacznik: "chemiczny + broń". Po kilku próbach lista była możliwa do zaakceptowania, a po godzinie Irene dotarła do tego, czego szukała.

- Niech mnie wszyscy diabli - powiedziała do siebie. Aż roіło się od zbiegów okoliczności.

Kiedy minutę później zadzwonił telefon, nawet nie podskoczyła. Dochodziła szósta i telefonistka właśnie znalazła czas na obiecane budzenie o piątej czterdzieści pięć.

- Nie śpię, dziękuję - powiedziała, podnosząc słuchawkę z biurka.

- Irene?

Znieruchomiała na dźwięk swego imienia.

- Tak?

- Cześć. Tu George Sparks - przedstawił się mężczyzna po drugiej stronie linii. - Właśnie dzwonili z aresztu. Carolyn Donovan powiesiła się w swojej celi.

Strażniczka zajrzała przez wizjer i natychmiast przystąpiła do działania. Manipulując

kluczem jedną ręką, drugą nacisnęła przycisk radiotelefonu.

- Czwórka do centrali, mamy bujacza w izolatce numer dwa - mówiła pośpiesznie, ale bez śladu paniki.

- Świeża czy nadpsuta? - zapytał głos.

- Jeszcze się buja! Daj tu prędko sanitariusza!

Twarz wiszącej kobiety była purpurowa od ciśnienia w głowie, a jej ręce i stopy drgały spazmatycznie. Strażniczka wiedziała ze szkolenia, jakie przeszła pięć lat temu, że o ile ofiara nie skręciła sobie karku i nie pękło jej jakieś naczynie w głowie, da się ją odratować. Właściwie niepotrzebnie. Po co się wysilać, jeśli istniało prawdopodobieństwo, że sąd i tak skaze delikwentkę na śmierć?

Szefowa strażników - chociaż słyszała dudnienie butów na korytarzu - opasała rękami talię Carolyn i podniosła ją do góry, starając się zmniejszyć nacisk pętli na szyję. Bez względu na to, jak wysoko podnosiła bezwładne ciało, tułów nieprzytomnej kobiety przechylał się na boki, naciągając linę. Z twarzą wciśniętą w ubranie ofiary, strażniczka czuła gęsią skórę na ciele. Gdyby nie bliskość kroków, możliwe, że dałaby sobie spokój i pozwoliła jej wisieć dłużej.

Pierwszy zjawił się dyżurny sanitariusz, student medycyny o imieniu Dan. Nie wpadł do celi, tylko niespiesznie wszedł.

- Czołem, Gladys. Ho-ho! - wykrzyknął, krzywiąc się nieco. - Ładniutka, nie?

Gladys była zbyt zajęta, żeby się roześmiać.

- Zamknij się - warknęła. - I pomóż mi tu.

- Szefowa jak zawsze - zaśpiewał wesoło Dan. Należał do niewielu osób mających pozwolenie na noszenie noża w tym bloku. Oczywiście chodziło o podobne przypadki. Nigdy nie schodził tu, dopóki ktoś nie umarł albo nie umierał, a nawet wtedy często czekał, aż pozostałe więźniarki zamknięto w celach. Wolał pracować w kontrolowanych warunkach.

Wyjął leathermana z pochwy na pasku, wysunął ostrze, a następnie sięgnął wysoko, aby przeciąć nylonową linkę. Kiedy skończył, obie kobiety runęły na podłogę.

- Nic ci nie jest, Gladys? - zapytał, powstrzymując się od uśmiechu.

- Nie, w porządku. Ściągnij ze mnie tę sukę!

W drzwiach pojawiło się jeszcze dwóch sanitariuszy. Jeden z nich pchał wózek załadowany sprzętem do reanimacji.

Dan ukląkł przy pacjentce i włożył lateksowe rękawiczki. Carolyn odzyskiwała naturalne kolory, choć dokoła jej szyi widniała sina obroża. Chłopak przycisnął dwa palce, wyczuwając tętnicę i wygiął brwi w wysoki łuk.

- Hej, mamy tu żywca - oświadczył. - Puls trochę nierówny, ale jest. Czas do pracy, moi drodzy. Czy ktoś wezwał już karetkę?

- Są w drodze - padła odpowiedź.

W ciągu kolejnych trzydziestu sekund Dan dostrzegał same pozytywne objawy. Stetoskop nie wykazał żadnych niepokojących zmian w obu płucach. Jediną komplikacją zdarzenia, które w raporcie należałoby ująć eufemizmem "prawie się powiesiła", było pęknięcie krtani. Jako organ unaczyniony jak diabli, pęknięta krtani będzie krwawić jak cholera i spuchnie do rozmiarów grejpfruta, zatykając tchawicę ofiary. To wymagało natychmiastowego zabiegu tracheotomii, którego nie próbował robić już od ponad roku. Pętla najwyraźniej ominęła główne struktury samego gardła.

Dan wyjął cieniutką latarkę z kieszeni na piersiach i poświecił w jedno oko kobiety, a następnie w drugie. Źrenice zmniejszyły się, właściwie reagując na bodziec świetlny.

- Normalny oddech, płuca w porządku, źrenice bez zarzutu - oświadczył stale rosnącemu zgromadzeniu. Żaden z gapiów nie orientował się dokładnie w znaczeniu tych słów, ale dowcipkowanie pomagało mu w koncentracji. - Niezła widownia - zaobserwował wesoło.

Nie miał dużo pracy. Stan pacjentki zdawał się zadowolający, mogła sama oddychać. Już teraz mógł stwierdzić, że wyżyje. Dla zabicia czasu zabrał się za podłączanie kroplówki.

- Hej, doktorze! - zawołał ktoś z tłumu.

Dan podniósł wzrok. Uwielbiał, kiedy tytułowano go w ten sposób. - Tak?

- Mam tu kogoś z FBI pod telefonem. Chce wiedzieć, czy mamy tu łóżko, czy trumnę.

Dan roześmiał się.

- Powiedz, że dzisiaj ma dyżur Dan Schearer. A on załatwia tylko łóżka.

O szóstej rano ulice Little Rock były wciąż opustoszałe. To jednak nie powstrzymało Irene od włączenia sygnału świetlnego i syren. Paul siedział obok niej z taką miną, jakby wciąż nie mógł się pogodzić z nadejściem wczesnego poranka. Irene dała mu tylko pięć minut na pozбиерanie się i zejście na dół.

Od aresztu śledczego dzieliły ich tylko trzy przecznice, kiedy George Sparks zadzwonił do Irene na komórkę z informacją, że Carolyn żyje i właśnie wiozą ją do szpitala Świętego Łukasza. Zwrot, jaki zrobił samochód pośrodku ulicy, pozostawił ślady na chodniku na wiele przyszłych lat.

Paul sprawdził swój pas bezpieczeństwa. Całkowicie rozbity gwałtowną pobudką, szaleńczą jazdą Irene i tą absurdalną opowieścią o zeszłej nocy, najchętniej sprzedałby duszę za jakiegoś mocnego drinka.

- Powiedz to jeszcze raz i wolno - poprosił niedowierzającym tonem. Irene uśmiechnęła się i pokiwała głową.

- Tak, dobrze usłyszałeś. Myślę, że to Frankel rozpoczął ten cały bałagan i do tej pory go ciągnie.

Paul zagwizdał.

- Jezu, Irene, jeśli cię kiedyś wkurzę, dasz mi przynajmniej ostrzeżenie?

Roześmiała się.

- To nie żarty - upierała się. - Mówię ci, to poważna sprawa.

- I przekonał cię nie kto inny, tylko sam Jake Donovan - zakończył Paul. - Przynajmniej nie ma tu mowy o konflikcie interesów. Zmieniła pas ruchu.

- Nie zrozum mnie źle. Nie sądzę, żebyśmy mieli już gotowy akt oskarżenia, ale zapewniam cię, że fragmenty pasują do siebie. - Opowiedziała mu pokrótce o wszystkich zbieżnościach. - I nie zapominajmy o tej broni chemicznej, którą George Sparks śledził na pustyni. Ale mam jeszcze prawdziwą bombę. Gotowy?

- Wstrzymuję oddech. Widzisz ten stojący samochód, prawda? Prawdę mówiąc, nie widziała. Skręciła gwałtownie w lewo, a następnie wróciła na właściwy pas, nie wyłączając syren ani świateł.

- Przepraszam - bąknęła. - Ale przynajmniej się już obudziłeś, co? . Odpowiedział wymownym spojrzeniem.

- No dobra - ciągnęła. - Oto bomba. Założmy, że kradziono i sprzedawano tę broń na początku lat osiemdziesiątych...

- ...i robił to twój szef.

Machnęła ręką na znak, żeby się nie wtrącał. Jego defetyzm czasami naprawdę ją irytował.

- Nieważne. Przynajmniej na razie. Założmy tylko, że ją kradziono i sprzedawano.

- Rozumiem: kradziono, sprzedawano.

- Posłuchaj, Boersky - burknęła. - Co wiemy? Do tamtego czasu na całym świecie nie opublikowano ani jednego artykułu o wypadkach z bronią chemiczną. Potem, począwszy od osiemdziesiątego czwartego, wypadki zaczynają się mnożyć. Iran, Irak, Libia, nawet Tokio, na miłość boską!

Paul spojrział na nią z dezaprobatą.

- I myślisz, że to wszystko przez Frankela? Obawiam się, że nie widzę związku przyczynowego.

Spróbowała ponownie. Zauważyła, że żaden z tych wypadków nie wystarczał, aby

wyciągnąć wnioski, ale wzięte razem, jako mozaika pewnych zdarzeń, zaczynały tworzyć logiczną całość. Nazwisko Frankela pojawiało się przy każdej okazji: w artykule o generale Albemarle'u oskarżano go o złowrózne prorocтва dotyczące Newark. On prowadził śledztwo po eksplozji. Potem te pozostawiane wiadomości, no i kruchość całej sprawy.

- Powiedz mi - kontynuowała Irene - dlaczego Frankel nie drążył? Dlaczego w dokumentach nie ma raportów z przesłuchań znajomych, współpracowników i nauczycieli Donovanów?

- Są - odezwał się wzgardliwie Paul. - Aż się od nich roi. Czytałem je.

- Uhm - pokręciła wymownie głową. - Wcale nie czytałeś. Posłuchaj. O czym tak naprawdę traktują te raporty? Agenci chcieli wtedy złapać Donovanów; nie próbowali zbierać przeciwko nim materiałów dowodowych.

- Co za różnica?

- Ogromna! Przejrzyj jeszcze raz te dokumenty, a sam zobaczysz. Frankel i spółka pytali jedynie, dokąd mogli uciec Donovanowie. Nie szukali dowodów, czy to naprawdę oni zrobili, czy też nie. Nikt nigdy nie zwrócił uwagi na te śliskie informacje, ponieważ wszyscy sądzili, że znają odpowiedź. Frankel zamierzał oprzeć całe oskarżenie na pozostawionej wiadomości i ich ucieczce.

Znaczenie tych słów powoli docierało do świadomości Paula, podczas gdy Irene robiła zdradliwe skręty w centrum miasta.

- A ten drugi facet? Tony Bernard? Był po prostu trupem ekstra?

- Nie. Myślę, że to on był przewidziany jako sprawca. Ale kiedy Donovanowie przeżyli, źli chłopcy musieli się w pośpiechu przegrupować. A to oznaczało wyeliminowanie Bernarda.

- I pozostawienie wiadomości.

- Tak - pokiwała głową. - I pozostawienie wiadomości. Istnieje szansa, że przygotowano też drugą wiadomość, oskarżającą Bernarda. Co za sprawa tylko ją przepisać?

- Jesteś szalona, Irene.

Travis czuł się już zmęczony bólem. Męczyły go te wszystkie pytania i badania. Przede wszystkim miał dość rurki, którą mu wetknęli do gardła, aby wspomóc oddychanie. Dobrze, że już nie syczała, o ile sam tego nie chciał; nie tak jak wcześniej, kiedy zmuszała go do oddechu wbrew jego woli.

Ten syczący wąż. Kiedy Travis po raz pierwszy wygrzebywał się z głębokiej jaskini nieświadomości, w tych straszliwych momentach, gdy zacierała się granica między rzeczywistością a strachem, potrafił myśleć wyłącznie o wężu w ustach. Panikował, wczepiał się paznokciami w rurkę, próbując ją wyrwać. Mówili mu, że jest silny. Dwóch lekarzy i pielęgniarka przytrzymywali mu ręce na łóżku. Walka, oczywiście, nie trwała długo. Ktoś wstrzyknął mu coś do wenflonu i natychmiast wszystko uległo zmianie. Już nie bał się węża. Szczerze mówiąc, przestał się czegokolwiek obawiać.

Potem przepraszała go i nieustannie zapewniali, że nie zrobił nic złego, przykuwając go jednocześnie do metalowych ram łóżka za pomocą miękkich, skórzanych pasów, które nazywali uchwytami.

- Nie możemy dopuścić, żebyś wyjął tę rurkę - usprawiedliwiał się jeden z lekarzy.

Zrozumiał, żałując jednocześnie, że tak trudno mu znaleźć sposób, by odzyskać ich zaufanie. Dobrze, że mógł się podrapać po nosie. Przepraszając tych ludzi, ale nie mógł wydobyć z siebie żadnego dźwięku. Najwidoczniej ten długi kawał plastiku przechodził dokładnie między strunami głosowymi, uniemożliwiając im pracę. Mówili mu, żeby się nie przejmował. Jeśli nadal w takim tempie będzie dochodził do zdrowia, wyjmą rurkę najdalej za dwa dni. Nazwali to "niewiarygodną poprawą".

Oczywiście fakt, że nie mógł mówić, nie powstrzymał ich przed zadawaniem mu pytań. Niezliczonych pytań. Czujesz to? Słyszysz? Możesz ucisnąć mi rękę? I tak dalej, i tak dalej, a on jedynie kiwał głową. Na szczęście, z tego co się zorientował, udzielał dobrych odpowiedzi.

Szkoda, że nie przychodzili grupami. Każda nowa twarz zadawała te same pytania co jej poprzedniczka. Zwycięzcą w kategorii najczęściej zadawanego pytania został pewien lekarz w brzydkim kitlu: Czy boli cię, kiedy oddychasz?

Dzięki Bogu, w końcu mógł powiedzieć, że nie. Jeżeli nigdy nie powtórzy się wczorajsza noc, umrze szczęśliwy. Gdyby tylko mogli coś zrobić z tymi monitorami. Syczenie respiratora i nieustanne pikanie EKG doprowadzały go do szału. Te dźwięki kazały mu myśleć o rzeczach, których zazwyczaj człowiek nie jest świadomy - sprawach czysto fizjologicznych.

Czekał i nasłuchiwał, kiedy odgłosy ucichną. Wiedział z telewizji, że w tym momencie umrze.

Postaraj się o tym nie myśleć.

Tęsknił za mamą. Zdawał sobie sprawę, że to słabość, lecz nie potrafił nic na to poradzić. Kochała go ponad wszystko i gdyby ta była, czułby się dużo lepiej; martwiłaby się za niego. Gdyby nie ci gliniarze, nigdy by go nie opuściła. Siedziałyby tutaj, trzymając go za rękę i nie przestawałyby mówić.

Martwił się o nią. Ciągle miał przed oczami jej przerażone spojrzenie, tuż przed tym, jak zaczęło się z nim dzieć coś dziwnego. Nie lubił oglądać mamy w takim stanie. To przywoływało wspomnienia strasznych dni, kiedy piła. Czuł złość na siebie, że stał się przyczynkiem tego nawrotu.

Za tatą też tęsknił, ale inaczej. Tata sobie poradzi sam. Mama go potrzebowała.

Kobieta o imieniu Jan - przedstawiała się jako asystentka doktora, cokolwiek to znaczyło - powiedziała mu, że mama i tata czują się dobrze. Nie mogą jednak go odwiedzić. Nie wiedział, co to oznacza, ale w głębi serca wierzył, że prędzej czy później po niego przyjdą. Muszą to zrobić. Widział to w oczach ojca, kiedy Jake odebrał go ze szkoły pana Menefee. Czasami tata był zbyt spięty, ale za to kiedy sobie coś postanowił, nikt nie potrafił go powstrzymać. Wystarczy zapytać FBI. Ta myśl wywołała uśmiech na twarzy Travisa.

Spośród wszystkich lekarzy i pielęgniarek, których poznał w ciągu ostatnich kilku godzin, Jan stała się jego faworytką. Uśmiechała się często, ukazując nieskazitelną biel zębów, i zawsze bez pośpiechu wyjaśniała niezrozumiałe dla niego sprawy. Tak jakby potrafiła czytać w jego myślach, skupiając się na nurtujących go pytaniach, których nie mógł zadać. Kiedy zostawał sam, a miał jakieś pytanie, wystarczyło tylko, żeby odwrócił głowę w prawo, a ona zerknęła na niego przez okienko oddzielające jego salkę od pokoju pielęgniarek. Po kilku sekundach stała tuż przy nim.

To ona powiedziała mu o tym monitorze od serca. Wyjaśniła, jak kształt tych małych wygibasów na ekranie pokazuje, że jego serce pracuje bez zarzutu.

- To twój monitor dobrych wieści - powiedziała.

Widział te zielone kresczki miliony razy w telewizji i nigdy nawet nie zastanowił się nad ich znaczeniem. Z bliska okazało się, że są fajowe. Zdumiał go również fakt, że te lepkie białe macki na piersiach rejestrują każdy skurcz serca. Pomyślał, że może pewnego dnia zostanie doktorem. A może asystentem lekarza. Z tego co zdążył się zorientować, nikt na świecie nie miał lepiej od nich: robili superciekawe rzeczy i nie musieli ciągle chodzić do szkoły.

- Chcę, żebyś myślał o mnie jak o swojej mamie - powiedziała mu Jan. - Jak będziesz

czegokolwiek potrzebował, naciśnij ten przycisk, tutaj na kontrolce. - Pokazała mu beżową plastikową puszkę mniej więcej w kształcie grubej litery T. - Zawieszę to na ramie łóżka, żebyś mógł łatwo dosięgnąć. Musisz tylko nacisnąć ten przycisk na dole.

Kiedy demonstrowała, zdawało mu się, że słyszy jakiś dzwonek w pokoju pielęgniarek. Spróbował raz i zadziało, ale ze względu na uchwyty i ten wenflon wbity w żyłę nie miał łatwego zadania.

Jan, jak zawsze, właściwie zinterpretowała jego spojrzenie.

- Może później, po południu poluzujemy te pasy, dobrze? Na razie myślę, że tak jest najbezpieczniej.

Pokiwał głową, ale na jego twarzy malowało się rozczarowanie. Nachyliła się i powiedziała konspiracyjnym szeptem:

- W szpitalu jest super.

Uśmiechnął się mimo tkwiącej w ustach rurki. Nacisnął palcem przycisk na górze kontrolki oznaczony jako "Telewizor". Spochmurniała na twarzy i odwróciła wzrok.

- Hmm, lekarz mówi, że w obecnym stanie nie możesz oglądać telewizji. Natychmiast pojął, że kłamie. No dobrze, trochę kręci. Za bardzo ją lubił, żeby oskarżać ją o kłamstwo.

- Coś ci jednak powiem - dodała szybko. - Wkrótce kończę dyżur, ale wracam dzisiaj o szóstej. Może przyniosę ci wideo i trochę kaset, żebyś się tak strasznie nie nudził?

Pokiwał ponownie głową, choć bez wielkiego entuzjazmu. Za późno na takie rzeczy - pomyślał. Czas nie mógł wlec się jeszcze wolniej. Mam tylko nadzieję, że to nie będą bajki Disneya.

Poklepała go po dłoni i wyszła. Miało to miejsce jakąś godzinę temu i od tego czasu nie wydarzyło się zbyt wiele.

Wystraszyły go odgłosy zamieszania. Pokój pielęgniarek, zazwyczaj oaza spokoju, eksplodował zgiełkiem. Przez okno po prawej stronie zobaczył, jak wszyscy pozrywali się z miejsc, przewracając krzesła i filizanki po kawie, i wybiegli pospiesznie na korytarz. Oni również wyglądali na przerażonych, jakby dowiedzieli się o jakimś pożarze czy czymś w tym rodzaju. Próbował usiąść prosto. Chciał obserwować rozwój sytuacji, ale wszyscy zniknęli.

Opadł na prześcieradło, aby oddać się rutynowemu odliczaniu płytek na suficie, kiedy jakiś lekarz zajrzał do niego przez okno. Kolejna nowa twarz.

Jejku, ciekawe, o co ten się będzie pytał?

Lekarz poszedł dalej i kilka sekund później Travis usłyszał, jak z kimś rozmawia. W końcu wszedł i zamknął za sobą drzwi.

- Witaj, Travis - odezwał się.

Facet miał na sobie krawat i fartuch, jaki chłopiec widział już u kilku lekarzy, lecz wyglądał jakoś inaczej. Jego obecność zaniepokoiła Travisa. Chyba chodziło o sposób, w jaki się uśmiechał. Usta układały się tak, jak powinny, lecz czegoś brakowało w tym uśmiechu. Czegoś bardzo istotnego.

Temu mężczyźnie wyraźnie się nie spieszyło, a przynajmniej takie sprawiał wrażenie. Podczas gdy wszyscy inni pracownicy szpitala próbowali półgodzinną pracę odbębnić w dziesięć minut, ten zachowywał się jak podczas przerwy śniadaniowej. I po co, do diabła, włożył te rękawiczki chirurgiczne? Travis obserwował, jak lekarz zasłania żaluzje, izolując małą salkę od pokoju pielęgniarek.

- Potrzebuję nieco prywatności - wyjaśnił.

To już było wyjątkowo dziwne. Z tego co Travis zdążył się zorientować, nikomu w tym szpitalu nie zależało na prywatności. Tak wielu ludzi widziało go już nago, że prawie przestał się tym przejmować. Do czego w takim razie zmierzał ten facio? Travis poczuł rosnące zdenerwowanie.

Kto ty jesteś?

Lekarz odwrócił się do niego, dopiero gdy zaciemnił cały pokój.

- Wczoraj w nocy rozmawiałem z twoją mamą...

George Sparks pojechał prosto do szpitala Świętego Łukasza. Właśnie czekał w izbie przyjęć, kiedy podjechała karetka z Carolyn. W Little Rock, jak na miasteczko tej wielkości, notowano sporą przestępczość, więc pacjentka z aresztu nikogo specjalnie nie dziwiła.

Najwyraźniej jednak wiele się zmieniło od ostatniego raportu radiowego do momentu, gdy karetka podjechała tyłem na wyznaczone miejsce. Personel zdawał się podekscytowany, pospiesznie otwierając drzwi i niezdarnie mocując się z noszami. Gdy lekarz z pogotowia, Oscar LeGrand, zobaczył całe to zamieszanie przez okno, zostawił pacjenta w połowie szycia, żeby sprawdzić, co się dzieje. Sparks podążył za nim.

Kiedy drzwi otwarły się, z wnętrza pojazdu posypały się przekleństwa i dramatyczne prośby o pomoc wykrzykiwane przez pacjentkę, która najwyraźniej odzyskała przytomność.

- On próbował mnie zabić! - krzyczała. - A teraz chce zabić mojego syna, do cholery!

Pielęgniarze wymienili między sobą wymowne spojrzenia i lekkie uśmiešky. Nie było tu mowy o zagrożeniu życia.

- W porządku, Carolyn - odezwał się jeden z nich. - Słyszemy cię, kochana, ale rozluźnij się, dobrze? Nie widzę tu żadnego mordercy.

Doktor LeGrand spotkał ich w połowie drogi.

- Myślałem, że jest nieprzytomna - sięgnął obojętnie po skrępowany pasami nadgarstek Carolyn, żeby zmierzyć puls.

- No, jeszcze minutę temu była nieprzytomna - powiedział starszy mężczyzna. - Potem oprzytomniała. Nagle. - Pstryknął palcami. - Tak po prostu. Wykrzykuje teraz jakieś bzdury o zamachowcu i planowanym morderstwie.

LeGrand podniósł brwi.

- A małe zielone ludziki? Czy o nich też wspominała?

Wszyscy zgodnie wybuchnęli śmiechem.

Kiedy umundurowany policjant z Little Rock pojawił się, aby przejąć nadzór nad aresztowaną, Sparks cofnął się parą kroków. Nie cierpiał tych medycznych procedur, więc cieszył się, że ktoś inny zajmie się przenoszeniem niedoszłej samobójczyni na łóżko. Poza tym ta sprawa należała do Irene i kiedy przyjedzie, on będzie mógł się ulotnić. Teraz miał tylko nadzieję, że Carolyn nie powie czegoś, co będzie wymagało z jego strony napisania raportu.

Obserwując osobliwe zapasy, zdał sobie sprawę z siły, z jaką kobieta kopała i wrzeszczała. Próbowwała nawet ugryźć gliniarza! Sparks poczuł dla niego szacunek, że od razu nie dał jej na odlew. Może jest naćpana? - pomyślał. Słyszał, że u więźniów odkryto ostatnio środki przeciwbólowe.

Nagle Carolyn spojrzała bystro i uspokoiła się na widok policyjnego munduru.

- O Boże - powiedziała z wyraźną ulgą. - Pan jest policjantem! Dzięki Bogu. Musi pan mnie wysłuchać! Musi pan mi pomóc!

Umundurowany gliniarz poczuł się nieswojo i uśmiechnął się głupawo do zebranych wokoło ludzi.

- To mi wygląda na miłość od pierwszego wejrzenia - zażartował LeGrand.

Carolyn rzuciła mu pełne nienawiści spojrzenie i ponownie skoncentrowała uwagę na policjancie.

- Proszę, niech mnie pan wysłucha! - błagała. - Nikt, do cholery, nie chce mnie wysłuchać!

- Proszę bardzo - powiedział glina, wzruszając ramionami. - Niech pani mówi.

- Spróbujmy pięć miligramów valium - zwrócił się LeGrand do pielęgniarki. - Zanim wszystkich nas tu poustawia po kątach. - Pielęgniarka niezwłocznie zaczęła przygotowywać zastrzyk.

- Boże, nie! Nie, proszę! - krzyknęła Carolyn w kierunku lekarza. Następnie szybko odwróciła się do policjanta. - Zeszłej nocy przyszedł do mojej celi jakiś mężczyzna. Wiem, że to brzmi jak szaleństwo, ale to prawda, przysięgam na Boga. Powiedział, że jeśli do

dzisiejszego rana nie będę martwa, zabije mojego synka. Był ubrany jak agent FBI i powiedział, że zabije Trávisa.

Policjant spojrział na nią spode łba.

- Czy pani syn nie leży tutaj na górze? Pilnuje go nasz człowiek. LeGrand przyjął strzykawkę od pielęgniarki i wsunął igłę w wenflon.

- Wszystko będzie dobrze, Carolyn - zapewnił.

- Nie, proszę tego nie robić! - błagała. - On... zabije... proszę...

Sanitariusze pokiwali z zadowoleniem głowami, kiedy pacjentka straciła przytomność. Tymczasem umundurowany policjant spojrział na Sparksa, który wygiął brwi w wysoki łuk.

- Co pan myśli?

- Cóż, ta część o FBI to brednie - odparł szybko Sparks. - Reszta tak samo. Jestem przekonany. Ale ona najwyraźniej też jest przekonana o swoich racjach.

Policjant spojrział na Carolyn, a następnie na Sparksa.

- Cholera, nie mogę od niej odejść - rzucił. - Powinienem powiedzieć temu facetowi przy drzwiach małego... O co tu chodzi, do diabła?

George zgodził się. No właśnie, o co tu chodzi? Zerknął na zegarek i westchnął.

- W porządku, coś ci powiem. Zostań tutaj i doglądaj śpiącej królowny, a ja pójdę na górę i powiem twojemu koleśowi.

- Jeśli mógłby pan, będę bardzo wdzięczny.

- Nie ma sprawy.

Travis zobaczył na monitorze, jak serce stanęło mu na chwilę, kiedy lekarz wspomniał imię jego matki. Działo się tu coś bardzo niedobrego. Mógł to stwierdzić po sposobie, w jaki mówił ten mężczyzna.

- Była naprawdę smutna, synu. Strasznie się tobą przejmowała. Jest w więzieniu, wiesz.

Nie, tego nie wiedział! Monitor pikał teraz jak szalony i instynkt podpowiadał Travisowi, że ten facet przyniósł kłopoty, przez duże K. Żałował, że nie ma tu Jan. Albo innego doktora. Każdy dorosły by tu pomógł, byle tylko nie był sam na sam z tym człowiekiem. W jego oczach była śmierć. W jednej chwili Travis pojął, że ma przed sobą jednego z tych facetów, do których wozów nie wolno mu było wsiadać, kiedy był mały.

Musnął palcem przycisk. Jak będziesz czegoś potrzebował...

Wiggins uchwycił ten ruch i szybko odsunął kontrolkę poza zasięg dłoni chłopca.

- Ho-ho, kolego! Chyba nie będziesz na mnie skarżył, co? - roześmiał się. Oczy Trávisa rozszerzyły się pod wpływem paniki. Zerknął ku oknu, oczekując stamtąd pomocy, ale

dostrzegł jedynie ścianę beżowego plastiku. - Nie, tak jest dobrze, Travis - powiedział obcy, czytając w jego myślach. - Tylko ty i ja. Wszyscy są zbyt zajęci, żeby ci pomóc. - Zniżył głos do szeptu. - Zdaje się, że serce jakiegoś małego dzieciaczka zatrzymało się w pewnym momencie. Jakie to straszne, jakie straszne. Ktoś wpompował ogromną ilość chlorku potasu do wenflonu i powstrzymał serduszko jak nic. - Żeby nie być gołosłownym, Wiggins wyjął strzykawkę z kieszeni fartucha i wyrzucił ją do śmietniczki stojącej w nogach łóżka. - Mówią, że to gówno zatrzymuje serce na zawsze.

Travis próbował krzyknąć, mocując się z pasami, ale wszystko na próżno. Ten facet był obłąkany! Ten facet był mordercą!

- Podskakuj, chłopcze. Wyglądasz jak ryba w łódce - zachichotał, po czym wysunął błyskawicznie ręką i ścisnął twarz Travisa. Uścisk wywołał dotkliwy ból w szczęce, jako że zęby natrafiły na twardy plastik rurki. - Spokój ma być - rozkazał Wiggins. - Jak nie, to dam ci więcej takich przyjemności. - W jego ręku pojawiła się druga strzykawka.

O cholera! O Boże! Travis znieruchomiał. Przenosił przerażone spojrzenie od igły do twarzy oprawcy i z powrotem. Błagał oczami o litość, ale w zamian otrzymał tylko lodowate spojrzenie. Krew w ustach, wilgotna i gorąca, smakowała dziwnie w połączeniu z kredową suchością języka.

Wiggins patrzył, jak strach potęguje się na twarzy chłopca, i uśmiechnął się z zadowoleniem.

- Taak, tak jest dobrze, mały. Teraz okazujesz szacunek. - Nie zwalnając uścisku, przeniósł uwagę na respirator. Włożywszy pełną strzykawkę do kieszeni, wymacał połączenia i przesunął palce wzdłuż nich, aż do połączenia przy ustach chłopca.

Przerwał i odezwał się miękkiem, prawie pieszczotliwym głosem:

- Zanim skończymy, powinieneś wiedzieć, że to w ogóle nie musiało się stać. Powiedziałem twojej matce dokładnie, co ma zrobić, żebym cię nie skrzywdził, ale nie posłuchała - cmoknął językiem, kręcąc ze smutkiem głową. - Czy boli, kiedy oddychasz, chłopcze?

Travis poczuł, jak wzbiera w nim fala paniki. Monitor pikał zbyt szybko, żeby można było policzyć poszczególne sygnały. Travis wciągał mocno powietrze, ale respirator nie dostarczał go w wystarczającej ilości do płuc. Przerazenie sprawiło, że chłopak przestał cokolwiek słyszeć. Zdawał sobie sprawę, że facet zadał mu pytanie, ale nie miał pojęcia jakie.

- Ból to straszliwa rzecz - ciągnął obcy. - Szczególnie dla dzieci. Nie lubisz bólu, prawda, Travis?

Pytanie o ból - i sposób, w jaki zostało zadane - przywróciło słuch Travisowi. Potrząsnął

głową nerwowo. Proszę, nie rób mi krzywdy! Proszę, proszę, proszę!

Wiggins skrzywił się, jakby sam czuł panikę chłopca. Wskazał monitor.

- Boisz się, co? Taak, popatrz tylko. Sto osiemdziesiąt cztery uderzenia na minutę. - Zastanowił się chwilę. - To dobrze - mruknął. - To dobrze, że cię wystraszyłem, bo to właśnie obiecałem twojej matce. To właśnie miałem zrobić, zanim cię zabiję.

O Boże! Jezu! W desperackim wysiłku Travis rzucił się na łóżku, szarpiąc za nieustępliwe pasy. Wiggins cofnął się o krok i mocno uderzył chłopca w klatkę piersiową, powalając go z powrotem na prześcieradło. Siła ciosu wydarła Travisowi powietrze z płuc i wznieciła ogień, z którym męczył się dzień wcześniej. Proszę, nie!

- Nie próbuj ze mną walczyć, dzieciaku - mruknął Wiggins. - Za każdym razem popełniasz błąd. - Wskazał palcem respirator. - Czy wiedziałeś, że ta tutaj maszyna zapewnia ci odpowiedni rytm oddychania? - poklepał górną część panelu kontroli, jakby był to jego stary kumpel. - Każda cząstka powietrza, którą oddychasz, musi przez to przejść - pociągnął za końcówkę rurki w miejscu, gdzie łączyła się z węzłem wychodzącym z maszyny.

Przerażenie Travisa wykroczyło daleko poza granice paniki. Za wszelką cenę próbował dosięgnąć przycisku alarmu. Wiggins zdawał się bawić próżnymi wysiłkami swojej ofiary. Po raz pierwszy uśmiech na jego twarzy wyglądał szczerze.

- Chcesz poczuć coś naprawdę przerażającego? Nie! Proszę, Boże... Nie!

Wiggins wyszarpnął podłączenia respiratora z końcówki rurki. Travis skrzywił się, spodziewając, że zacznie się dusić, lecz gdzieś pośrodku wszechogarniającego strachu odczuł ulgę, kiedy powietrze nadal wpływało do płuc.

Wiggins zakrył palcem otwór.

Oddział pediatrii stanowił miłą zmianę po izbie przyjęć. Trudno polubić szpitale, ale tutaj przynajmniej obrazki z "Ulicy Sezamkowej" i bohaterowie komiksów na ścianach polepszały ogólną atmosferę. Sparks domyślał się, że praca z dziećmi, których choroby pozbawiły części dzieciństwa, wymagała wiele trudu. Na szczęście milusińscy mieli w sobie sporą dozę naturalnego optymizmu, który sprawiał, że ta ciężka praca wydawała się warta zachodu.

Wyszedł z windy i zatrzymał się, próbując ustalić odpowiedni kierunek. Przed nim otwierał się oddział dziecięcy - gigantyczny kwadrat, w którym dominował, usytuowany centralnie, pokój pielęgniarek. Rozejrzył się dookoła, ale nie dostrzegł ani śladu policjanta. Świadom stukotu własnych obcasów na lśniącej posadzce, podszedł na palcach do jakiejś kobiety w niebieskim stroju. Całkowicie zaprzątnięta zapiskami, jakich dokonywała w notesie,

nie od razu go zauważyła. Odchrząknął.

- Przepraszam - odezwał się cicho.

Pielęgniarka podniosła palec na znak, że chce dokończyć myśl, którą właśnie przelewała na papier.

- Przepraszam - powiedziała, skończywszy pisać. - W czym mogę pomóc? - Z szyi zwieszały jej się słuchawki z dyndającymi małymi pluszowymi misiami koala. Na ogromnym żółtym guziku nad kieszenią na piersiach widniał napis: "Dziś jest wspaniały dzień!"

- Dzień dobry, nazywam się George Sparks, FBI.

Nawet pielęgniarki są tu weselsze. Odwzajemnił jej uśmiech i pokazał legitymację.

- Macie tu pacjenta o nazwisku Travis Donovan? Muszę z nim porozmawiać. Uśmiech zbladł, a na czole kobiety pojawiły się głębokie bruzdy.

- Travis Donovan? Na tym piętrze? Hmm... - obróciła się na fotelu ku stercie dokumentów i zaczęła je przeglądać. - Nie widzę tu Travisa Donovana - powiedziała. - Jest pan pewny, że przebywa na oddziale pediatrii?

George wzruszył ramionami.

- No, cóż, wiem, że ma trzynaście lat.

- To znaczyłoby, że powinien być właśnie tutaj - potwierdziła pielęgniarka. Ponownie obróciła się na fotelu i podjechała kawałek do komputera, gdzie nacisnęła kilka klawiszy. - Nie mamy na tym piętrze nikogo o tym nazwisku - wyjaśniła, kiedy komputer z lekkim szmerem szukał odpowiednich danych. - Postaram się sprawdzić przyjęcia. Może położyli go na izbie przyjęć? To nazwisko coś mi mówi... Zaraz, zaraz! To ten chłopiec od tych rodziców, tak? - przypomniała sobie.

To określenie wywołało uśmiech na twarzy George'a.

- Właśnie ten.

Kobieta klepnęła się otwartą dłonią w czoło.

- O rany! - wykrzyknęła. - Oczywiście, że jest w szpitalu, dwa piętra wyżej, na intensywnej terapii oddziału dziecięcego.

Płuca rozpaczliwie domagały się tchu. Travis kopał i wił się na łóżku, starając się wyrwać z uścisku Wigginsa. Szarpnął gwałtownie głową, lecz silna dłoń ani na moment nie zwolniła morderczego uchwytu. Chłopiec czuł, jak długa plastikowa rurka przesuwana się z boku na bok głęboko w jego piersiach. Oczami błagał o litość, ale równie dobrze można było prosić rekina wciągającego swoją ofiarę coraz głębiej pod wodę.

Kołdra dawno spadła z łóżka. Spocona skóra chłopca napięła się do granic możliwości,

a żebra omal jej nie przebiły, kiedy usiłował zaczerpnąć powietrza, walcząc o życie. Wyglądało, jakby pępek na zapadniętym brzuchu za chwilę miał dotknąć kręgosłupa.

Proszę, przestań! O Boże, spraw, żeby przestał! Już będę grzeczny! Łzy trysnęły Travisowi z oczu, gdy zdał sobie sprawę, że za chwilę umrze. Uszy wypełniał mu ten sam dźwięk, który słyszał w samochodzie, a otoczenie szybko zaczęło tracić barwy...

Wiggins puścił.

Travisowi zawirowało przed oczami pod wpływem silnego strumienia powietrza, które wdarło mu się z impetem do płuc. Jakby ktoś zaczął nagle obracać jego łóżkiem. Całe powietrze świata nie mogłoby w tej chwili sprostać potrzebom chłopca. Wessał je, napęniając płuca po brzegi i prawie tyle samo połykając. Zadławił się i chciał zwymiotować, ale nie miał czym. Żył! Uczucie ulgi spłynęło na niego jak cudowny balsam.

- Mówiłem ci, że będzie strasznie, co? - odezwał się Wiggins, nie przestając się uśmiechać. - Liczyłem czas. Półtorej minuty. Tylko tyle. A wydawało się, że o wiele dłużej, co?

Temu dupkowi to nie wystarczy! Przecież powiedział, prawda? Powiedział, że zamierza zabić! Travis przypomniał sobie strzykawkę i panika wezbrała w nim jeszcze silniej niż przedtem.

Wiggins nie przestawał mówić, jakby zastanawiał się na głos, gdzie dzisiaj zje obiad.

- To znaczy, mnie się wydawało, że trwało to o wiele dłużej, a ja tylko tu stałem. Tobie musiało się dłużyć jak cholera.

Walka wyczerpała Travisa. Był cały mokry. Nawet poprzez strach czuł woń swojego potu i wydało mu się to okropne. Mięśnie podpowiadały, żeby się poddał, ale mózg nakazywał walczyć. Poruszył prawą ręką i poczuł, że miękki pas jakby przesunął się nieco w dół nadgarstka. Wyobraźnia podpowiadała, że uda mu się wysunąć dłoń.

Nagle Wiggins poczuł się zmęczony zabawą.

- Chcesz się przejechać jeszcze raz, czy mam przejść do rzeczy? - podniósł strzykawkę tuż przed twarz chłopca i powolnym ruchem zdjął plastikową nakładkę z końca igły. - Chyba już dość się nacierpiałeś - powiedział, strzykając strumieniem trucizny w powietrze.

Oddział intensywnej terapii nie napawał optymizmem. Miał taki sam kwadratowy kształt jak oddział pediatrii, ale był znacznie niniejszy. Tutaj leżały bardzo, bardzo chore dzieci i malowidło na ścianie przedstawiające dinozaura Barneya zdawało się fatalnie nie na miejscu.

Panował tu nieopisany harmider. Po przeciwnej stronie pokoju pielęgniarek aż się roiło przy łóżku jakiegoś dziecka, które wydawało się o wiele za małe na tak wielki problem. Sparks dostrzegł bezradność na twarzach i wiedział, co ona oznacza. Odwrócił się. Od bardzo dawna

nie miał bezpośredniego kontaktu ze śmiercią. A tu, co gorsza, padło jej ofiarą małe dziecko...

- Co się stało? - spytał, podchodząc do umundurowanego mężczyzny stojącego przy drzwiach Trávisa.

Zamieszanie w dalszej części korytarza rozstroiło również policjanta.

- Czym mogę służyć? - zapytał głosem uprzejmym, ale szorstkim. Agent rozłożył czarny portfel, ukazując legitymację.

- George Sparks, FBI.

Na twarzy policjanta odmalował się błysk rozpoznania.

- Ach, oczywiście - powiedział. - Znam pana. Bill Rubie - przedstawił się i spojrzał w głąb korytarza. - Nie wiem, ale z tego co się zorientowałem, właśnie umarła jakaś dziewczynka. Ściągnęli wszystkich lekarzy, żeby ją uratować - spuścił wzrok i westchnął. - To daje do myślenia. - Po chwili odpędził posępne myśli i spojrzał na Sparksa. - Co pana tu sprowadza?

- Matka Trávisa próbowała się powiesić zeszłej nocy - wyjaśnił George, wydzierając jęk z piersi Rubiego. - Byłem na dole, kiedy ją tu przywieźli. Bełkotała, że ktoś dybie na życie jej syna. Obiecałem jednemu z waszych ludzi, że ci o tym powiem.

- A kto niby chce go zabić?

Sparks prychnął śmiechem, ale pohamował się, przypominając sobie o śmierci małej dziewczynki.

- FBI - odpowiedział ze śladami uśmiechu w kącikach ust. Rubie wznosił oczy do góry.

- Aha, rozumiem. No cóż, z dzieciakiem mogą się kontaktować tylko lekarze i pielęgniarki, a przychodzi ich całe mnóstwo.

- Sprawdzałeś, jak się czuje? - Sparks sięgnął do klamki. Glina wzruszył ramionami.

- Widzę go za każdym razem, kiedy otwierają się drzwi, ale poza tym co tu sprawdzać? George rozważał te słowa przez chwilę, po czym pokiwał głową.

- Słusznie. Nie będziesz miał jednak nic przeciw, jak zajrzę? Policjant zrobił wymowny grymas.

- Proszę bardzo. Teraz jest tam jakiś lekarz. Powiedział, że chce pobyć sam z tym chłopakiem.

Sparks zawahał się przed drzwiami.

- Zaczekam - stwierdził. - Nie cierpię widoku krwi i tych fizjologicznych wydzielin.

Rubie roześmiał się, słysząc to wyznanie.

- Ja też nie rozumiem, jak oni mogą robić takie rzeczy - zgodził się.

Travis zamknął oczy na widok igły. To koniec. Za piętnaście sekund będzie albo żywy,

albo martwy, w zależności od tego co zrobi. Koncentrując się wyłącznie na prawej ręce, przesunął kciuk możliwie jak najdalej w kierunku środka dłoni. Poczł ból w nadgarstku, dłoń stała się niemożliwie wąska. Szarpnął raz, bardzo mocno, i obrócił nadgarstek w otworze pasa. Opór trwał może pół sekundy. Uwolnił dłoń!

Działał szybko i Wiggins nie zdążył zareagować. Igła znajdowała się zaledwie o centymetr od brązowego, gumowego wlotu wenflonu. Nie mając pojęcia, co się może stać, Travis schwycił wszystkie rurki i pociągnął mocno. Nieoczekiwany ruch spowodował, że Wiggins odskoczył w tył. Rurki, niczym przezroczyste węże, upadły na nogi chłopca.

Rozwścieczony morderca rzucił się do przodu i silnie zamachnął. Travis bardziej usłyszał niż poczuł jakieś chrupnięcie w szczęce, ale nie zwrócił na to uwagi. Skupił się na stojącym po lewej stronie monitorze EKG. Przecież ktoś musi zareagować. Kiedy Wiggins zamierzył się ponownie, Travis przeturlał się przez lewe ramię i z całej siły grzmotnął pięścią w urządzenie warte tysiące dolarów, posyłając je z hukiem na podłogę.

- Co to, u diabła, było?

Sparks i Rubie obrócili się jednocześnie i wpadli do pokoju Trávisa. Żaden z nich nie spodziewał się zobaczyć czegoś takiego. Lekarz bił własnego pacjenta!

- Hej! - wrzasnął Sparks. - Co, u diabła... - W chwili gdy mężczyzna odwrócił się, Sparks zrozumiał, że to nie lekarz, i instynktownie sięgnął po broń.

Atakujący poruszał się niesłychanie szybko. Wymierzył szaleńczego kopniaka w rękę Sparksa dokładnie w chwili, gdy ten wyjął rewolwer z kabury. Broń potoczyła się po podłodze. Drugi kopniak - będący w istocie kontynuacją pierwszego - złamał Rubiemu nogę w kolanie, co praktycznie wyłączyło policjanta z walki.

Sparks próbował się zasłonić, ale przeciwnik nie dał mu szansy. Dostrzegł, że coś poruszyło się w dłoni "doktora", i natychmiast cały świat eksplodował czerwienią. Strzykawka utkwiła mu w prawym oku. Ciało przeszył niewiarygodny ból, wydawało mu się, że słyszy, jak końcówka igły odbija się od kości. Wrzasnął; nieludzki skowyt zrodził się w miejscu znajdującym się znacznie głębiej niż gardło, kiedy Sparks wczepił się palcami w twarz i upadł na podłogę.

- O Boże! Moje oko! Moje oko!

Rubie również krzyczał, ściskając obiema rękami strzaskane kolano, jakby uściskiem mógł uśmierzyć rozdzierający ból. Krzyk urwał się raptownie, ucięty kolejnym kopnięciem, które zmiażdżyło mu krtań i przesunęło dolną szczękę z ogromną siłą ku górnej, rozcinając język.

Runął plecami na podłogę. Próbując złapać oddech i krztusząc się krwią, tylko niejasno uświadamiał sobie, że ktoś podniósł go za włosy. Nie czuł absolutnie nic, kiedy jego głowa uderzyła w twardą posadzkę.

Wszystko działo się zbyt szybko, by Travis potrafił ogarnąć to umysłem. Nie widział szczegółów, ale dostrzegł krew i usłyszał krzyki. Boże, a on nie mógł wydobyć z siebie najmniejszego dźwięku! Hałas. Ludzie biegnący zobaczyć, co się dzieje.

- O cholera! - ktoś krzyknął. - Jezu Chryste! Sprowadźcie pomoc! Boże, tyle krwi! Ten widok sparaliżował Trávisa. Pracowników szpitala też. Dopiero po paru chwilach zdali sobie sprawę, że ich głównym pacjentem jest ten nagi chłopiec, którego twarz zrobiła się nagle równie biała, jak prześcieradło na łóżku. Dopadli do niego, wykrzykując rozkazy i ponownie podłączając respirator, wyszarpując stary wenflon i zakładając nowy. Nie mówili, wrzeszczeli.

Gdzie on się podział? Umysł Trávisa krzyczał, kiedy jego oczy lustrowały kłębiące się dookoła twarze w poszukiwaniu człowieka, który próbował go zabić. Bił wyciągające się w jego kierunku ręce w obawie, że to morderca. Nie widział go, ale to nie znaczyło, że facet nie czaił się gdzieś obok, czekając na okazję.

Ręce były wszędzie, popychając go i ciągnąc, przyciskając i wbijając mu się w ciało. Wszyscy mówili do niego, kazali mu się rozluźnić, ale nikt się nie zainteresował, gdzie przepadł ten łotr - sprawca całego zamieszania.

Mieli pilniejsze sprawy na głowie - na przykład ten facet na podłodze, którego wrzaski były bardziej zwierzęce niż ludzkie. No i ten drugi, którego mózg wypłynął pod nogi miotającymi się ludziom.

Travis zamknął oczy. Boże, niech skończy się ten koszmar. Chciał do mamy i taty. Chciał wrócić do Farm Meadows, poczuć woń porannej rosy i odór gromadzących się śmieci. Chciał umrzeć - tym razem szybko i łatwo. Chciał być wszędzie, tylko nie tutaj.

Gdzieś spośród ciemności wyłoniła się delikatna dłoń i dotknęła jego policzka.

- Travis, kochanie, dobrze się czujesz? - to był ton jego mamy, ale czyjś inny głos. Otworzył oczy i ujrzał Jan. Obdarzyła go najmiłym uśmiechem, na jaki mogła się zdobyć. - Zdążyłam dojść tylko do kawiarni - wyjaśniła łagodnie. - Tak się o ciebie martwiłam.

Zamierzał się podnieść choć odrobinę, ale ktoś powiedział, że ma się nie ruszać. Próbował uwolnić rękę, lecz czyjeś silne ramiona skutecznie ją przytrzymały.

- Pozwól im zrobić swoje, Travis, dobrze? - odezwała się kojąco Jan, głaszcząc go po ramieniu. - Już dobrze. Będę tu przy tobie. Nikt cię nie skrzywdzi, dopóki tu jestem.

Rozluźnił się i zamknął oczy. Poczł jej rękę na włosach. Gładziła go delikatnie i

szeptala o sprawach, które nie miały najmniejszego znaczenia. Ten dotyk przypominał mu, jak mama siedziała przy nim całe noce, kiedy był chory. Pomyślał o śmiechu taty, o tym, jak zawsze cieszył się z nieprzyzwoitych żartów, na które mama reagowała gwałtownie, udając, że się obraża.

Pomyślał o tych strasznych rzeczach, które mówił, o swoich uczuciach tego ostatniego dnia, kiedy byli razem. Nagle przestraszył się, że nigdy więcej rodziców nie zobaczy.

Wchodząc na izbę przyjęć szpitala Świętego Łukasza, Irene sprawdziła, czy jej odznaka za paskiem spódnicy jest dostatecznie widoczna. Sądząc po krzątaniu, spodziewała się zobaczyć żniwo jakiejś kolejowej katastrofy. Ludzie biegali we wszystkich kierunkach, wykrzykując polecenia i zmieniając to miejsce w istny dom wariatów. Dwukrotnie próbowała zapytać kogoś z personelu, co się dzieje, ale nikt nie zwracał na nią uwagi.

Nagle dostrzegła Carolyn Donovan, bez ochrony i całkowicie ignorowaną przez lekarzy i pielęgniarki. Kobieta leżała na szpitalnym łóżku na kółkach, z nadgarstkami przymocowanymi do metalowych ram.

- Oni ją tak zostawiają bez ochrony? - spojrzała na Paula z niedowierzaniem.

- Co tu się, do diabła, dzieje? - odpowiedział pytaniem.

Jedno było pewne: odbędzie długą rozmowę z szefem policji z Little Rock na temat procedur stosowanych w przypadku aresztu. Pozostawianie bez nadzoru osoby takiej jak Carolyn Donovan było niewybaczalne.

- Popatrz tam! - Paul wskazał palcem.

Największe zamieszanie było przy windzie, gdzie dostrzegła grupkę lekarzy i pielęgniarek oczekujących na otwarcie drzwi. Stojący w pobliżu policjant miał przygotowaną broń i Irene z trudem powstrzymała się od wyciągnięcia własnej. Od windy dzieliło ją jeszcze jakieś dziesięć kroków, kiedy drzwi otworzyły się i oczekujący tłumek ożywił się jeszcze bardziej. Poprzez płataninę nóg dostrzegła, jak z windy wyjeżdża łóżko na kółkach. Jakiś lekarz przeprowadzał reanimację.

Kłębowisko ludzi przesunęło się, odsłaniając na podłodze obfite ślady krwi. Kiedy przechodzili obok, przez chwilę mignęła jej przed oczami koszula policyjnego munduru.

Policjant - ten z wyciągniętą bronią - wyraźnie potrzebował usiąść, ale podążył za procesją. Zaczepiła go, wyszarpując odznakę zza paska i podsuwając mu ją przed oczy.

- Co tu się dzieje? - zapytała bez wstępów. - I dlaczego nie schowasz tej broni?

Gliniarz wyglądał na śmiertelnie przerażonego. Najpierw zerknął na odznakę, potem na twarz Irene. W końcu przeniósł wzrok na własny rewolwer i bezmyślnie wsunął go z powrotem do kabury.

- Ktoś tam na górze go zabił - powiedział, wyraźnie oszołomiony tym, co widział. - Pilnował jakiegoś dzieciaka. Jeden z waszych też dostał. - Wyszarpnął się i pobiegł za grupą.

Irene spojrzała na Paula.

- Jeden z naszych? Zrozumieli jednocześnie.

- Sparks!

Jake, odrętwiały po niespokojnym trzygodzinnym śnie, zwałół się z zawałonego ciuchami fotela w wytwornym pokoju telewizyjnym. Przecierając zmęczone oczy, człapał do kuchni po drugą filiżankę kawy, kiedy jego uwagę zwrócił komunikat specjalny. Spiker ze stacji telewizyjnej w Little Rock zdawał właśnie relację z bieżących wydarzeń. Po obu stronach ekranu widniały zdjęcia Carolyn i Trávisa.

- Policja potwierdza, że dziś rano udaremniła próbę morderstwa nieletniego syna słynnych terrorystów, Jake'a i Carolyn Donovanów. Chłópiec leżał na oddziale intensywnej terapii w szpitalu Świętego Łukasza, wracając do zdrowia po skażeniu, jakiemu uległ wczoraj, wchodząc na niebezpieczny teren wojskowego składowiska w Newark... Jake znieruchomiał z rozdziawionymi ustami, wsłuchując się w słowa spikera. Stacja telewizyjna połączyła się bezpośrednio z młodym reporterem w szpitalu, który opisywał szczegóły zdarzenia, używając możliwie najbardziej dramatycznych określeń. W czasie gdy mówił, na ekranie pojawiły się zbliżenia krwawych plam na szpitalnej posadzce.

- Jak na ironię - kontynuował dziennikarz - atak na Trávisa Donovana miał miejsce tego samego ranka, kiedy, zgodnie z raportem policji, jego matka próbowała powiesić się w areszcie śledczym...

Jake'owi zabrakło tchu. Opadł bezwładnie na fotel. To nie może się dziać naprawdę...

Relacja przeniosła się znów do studia.

- Brian, otrzymaliśmy właśnie raport, że Carolyn Donovan zaalarmowała personel szpitala o planowanym ataku na swego syna, lecz, jak się okazuje, nikt nie zareagował na jej błagania o pomoc. Czy masz jakieś szczegóły w tej sprawie?

- No cóż, Perry, jak możesz sobie wyobrazić, tego typu plotki rozchodzą się błyskawicznie. Dlatego też pracujemy usilnie, by oddzielić prawdę od fikcji. My również słyszeliśmy takie pogłoski, ale do tej pory nie udało nam się ich potwierdzić. Szczerze mówiąc, od momentu zdarzenia, czyli od jakichś trzydziestu minut policja i agenci federalni przesłuchują personel szpitala i potwierdzenie czegokolwiek staje się coraz trudniejsze...

Reporterzy kontynuowali rozmowę, powtarzając się często, aby wypełnić czas antenowy, ale Jake nie słuchał już, jakby umysł wypełnił mu się po brzegi i nie był w stanie przetworzyć ani jednego słowa.

Najwidoczniej Frankel dowiedział się, że jego tajemnica ujrzała światło dzienne. I próbował zamknąć usta Donovanom.

- Zabiję go - wycedził Jake. Głęboko w jego wnętrzu niedowierzenie przeobraziło się w gniew, a gniew w furję, kiedy nagle zrozumiał, że pokojowe rozwiązanie tej sprawy przestało być możliwe. - Ten skurwysyn jest już martwy.

Drgnął ze strachu, kiedy odwróciwszy się, zobaczył Thorne'a stojącego w drzwiach.

- Słyszałem - powiedział wielkolud. - Przykro mi. Ale przynajmniej żyją. - Rozstawiał szeroko nogi i opierał pięści na biodrach, celowo blokując przejście. - Może powinieneś usiąść.

Jake spojrzał gniewnie i zacisnął szczęki.

- Nie możesz mnie powstrzymać - mruknął.

Thorne przechylił głowę. Wyglądał, jakby tłumił śmiech.

- Mogę. I zrobię to.

- Zabiję go - powtórzył Jake. Thorne zbliżył się do niego.

- Kogo, asie? Kogo zabijesz? Jake spojrzał mu prosto w oczy.

- Frankela.

Olbrzym przechylił głowę w drugą stronę.

- Jasne. Zastępca szefa FBI, a ty zamierzasz tam wejść i odstrzelić mu dupę, tak?

Jake poczuł się głupio, słysząc swoje myśli wypowiedane przez kogoś innego. Odwrócił wzrok.

- Nie będzie łatwo, tego jestem pewien, ale zrobię to.

- Hmm. Ty naprawdę sądzisz, że to był on? Najszynniejszy gość w aparacie sprawiedliwości po prostu wszedł do szpitala jakiegoś tam i próbował zabić twojego dzieciaka?

- Próbował go udusić! - wrzasnął Jake.

- Nie! - odwrzasnął Thorne. - Ktoś inny to zrobił! A instynkt mi mówi, że to był ten sam, co próbował powiesić Promyczka - poruszył nerwowo brwiami. - Chyba że naprawdę sama próbowała się zabić...

Jake spojrzał szyderczo i machnął wymownie ręką. Pomysł był absurdalny.

- Co tu się dzieje? - Nick, półprzytomny, wszedł do pokoju powłócząc nogami. Włosy po lewej stronie głowy stały mu na sztorc.

Jake w dziesięć sekund streścił mii ostatnie wieści. Nick opadł ciężko na sofę.

- O mój Boże... co to u... - próbował przetrwać to wszystko.

- Jesteś wściekły, Jake - ostrzegł Thorne, zaambarasowany. - Możesz sobie cały czas myśleć, że to sprawka Frankela, ale to nic nie da! Po prostu nie możesz podejść do faceta o takiej pozycji i odstrzelić mu łba. Świat i tak już myśli, że jesteś świrem. Po co udowodniać, że ma rację?

Jake opuścił ramiona, czując, jak gaśnie w nim ogień. Słowa Thorne'a miały sporo

sensu i nienawidził go za to.

- Co zatem sugerujesz? Po prostu siedzieć z założonymi rękami? Thorne długo zastanawiał się nad odpowiedzią.

- Tak - stwierdził w końcu, wzruszając ramionami. - Tkwisz na mieliźnie, dopóki nie udowodnisz tego, co twoim zdaniem wiesz z całą pewnością. Szarpanie się nic tu nie da, tylko pogorszy sytuację. - Zagryzł dolną wargę, zastanawiając się nad czymś. - Musimy dobrać się do dupy facetowi, który naprawdę to zrobił. Założę się, że on mógłby nam powiedzieć wszystko, czego potrzebujemy.

Jake pokręcił głową z dezaprobatą.

- A jakie jest prawdopodobieństwo, że go dorwiemy?

- Powiedziałbym, że całkiem spore - nieoczekiwanie włączył się Nick, ściągając na siebie spojrzenia obu mężczyzn. Jego twarz była maską przerażenia. - Szczególnie że wiemy, gdzie się teraz skieruje.

Thorne jeszcze tego nie załapał, ale Jake tak. - O mój Boże!

- Frankel wie, że jestem w to wmieszany - wyjaśnił Nick ledwo dosłyszalnym głosem, trzymając się za skronie. - Wiedział to od chwili, gdy wstałem od tego komputera. Nie wie tylko, ile powiedziałem, i pewnie tego obawia się najbardziej. - Utkwił w przyjacielu szeroko otwarte oczy. - Moja rodzina jest następna na liście.

Carolyn otworzyła oczy i natychmiast odzyskała świadomość.

- Gdzie Travis?! - krzyknęła na cały głos. Odpowiedź nadeszła z bardzo bliska.

- Ma się dobrze. - Irene siedziała na stołku tuż obok łóżka i wyglądała na bardzo zmęczoną. Jej niebrzydka twarz zniekształcona była głębokimi zmarszczkami biegnącymi wzdłuż czoła i po obu stronach ust.

- Ktoś chce go skrzywdzić! - zawołała Carolyn, nie zdając sobie sprawy, ile czasu upłynęło.

Irene utkwiała wzrok w podłodze.

- Już próbował - powiedziała. - Ale na szczęście Travisowi nic się nie stało. Masz naprawdę zaradnego syna.

Ale ja właśnie go nie mam - pomyślała z goryczą Carolyn. Ty go masz. Nie wiedziała, czy krzyżeć z radości, czy z gniewu. Mówiła im, do cholery, ale nikt jej nie wierzył! Nikt nie słuchał, nawet przez chwilę!

- Przykro mi, że twoje ostrzeżenie nie zostało potraktowane poważnie - powiedziała Irene.

- Czy to był ten sam facet?

Irene spojrzała prosto w oczy Carolyn.

- Ten sam, który przyszedł zeszłej nocy do twojej celi?

- A więc wiesz? Irene skinęła głową.

- No tak, teraz wiemy. Zbyt duży zbieg okoliczności polegający na próbie samobójstwa i ataku na twojego chłopca świadczył sam za siebie, więc sprawdziliśmy informacje w areszcie. Mamy zdjęcie z kamery i istnieje duże prawdopodobieństwo, że uda nam się go zidentyfikować. Niemniej fakt pozostaje faktem, że sukinsyn uciekł.

Niczego nie zidentyfikujecie - pomyślała Carolyn.

- Przynajmniej bilans aresztowań pozostaje nadal bez zmian - mruknęła drwiąco.

Irene wyglądała na coraz bardziej zmęczoną.

- Wiem, że jesteś zdenerwowana - zaczęła ostrożnie. - Bóg świadkiem, że masz do tego pełne prawo. Ale powinnaś wiedzieć, że to bydłę, które zaatakowało twego syna, zabiło również siedmioletnią dziewczynkę - coraz bardziej podnosiła głos. - Lekarze mówią, że podał jej olbrzymią dawkę chlorku potasu - tego samego, którego używa się przy egzekucjach. Nie miała żadnych szans.

Carolyn doznała szoku.

- Dlaczego?

Irene wzruszyła ramionami. Rozmowa przypominała teraz dialog między dwoma matkami.

- Kto może wiedzieć na pewno? Przypuszczamy, że chciał po prostu odwrócić uwagę personelu szpitala, żeby zaatakować twojego syna.

- Nie było tam żadnego strażnika? To nie do...

- Zabił go - przerwała Irene. - Ten policjant zginął, próbując uratować Trvisa. A mój bardzo dobry przyjaciel jest poważnie ranny. Tylko dzięki nim twój syn żyje.

- A dzięki twojej wendecie tam się znalazł. - Wymaganie od Carolyn współczucia wobec innych nie było na miejscu.

Irene zmieniła temat.

- Twój mąż odwiedził mnie zeszłej nocy - powiedziała, zwracając na nią nieufne spojrzenie. - Opowiedział mi bardzo ciekawą historię o waszej niewinności i o sprzedaży broni z magazynu w Newark.

Carolyn słuchała z zamkniętymi oczami, mając nadzieję, że jej twarz pozostaje obojętna, nawet znudzona, podczas gdy umysł pracował usilnie, próbując zrozumieć, dlaczego ta agentka mówi jej takie rzeczy.

- Gdzie on teraz jest? - spytała. Irene uśmiechnęła się z przekąsem.

- Jak powiedziałaś, bilans aresztowań nie uległ zmianie.

Sprzedaż broni z magazynu to ciekawy zwrot w sprawie - pomyślała Carolyn. Do tej pory nie brali podobnej możliwości pod uwagę.

- Mam ci powiedzieć, że cię kocha.

Carolyn patrzyła na nią przenikliwym wzrokiem w poszukiwaniu blefu. Ta Rivers była chyba dobrym człowiekiem. Sprawiała wrażenie szczerzej. Ale Carolyn już raz stoczyła z nią bitwę i nie zamierzała robić tego ponownie. Słuchała w milczeniu opowiadania o koncepcjach Jake'a i o tym, jak Irene próbowała je zweryfikować.

- Twoja sytuacja jest naprawdę poważna - zakończyła agentka. - Ktoś próbuje zabić ciebie i twoją rodzinę. Jedynie trzymając cię w areszcie, możemy cię ochronić. Ty i Travis jesteście teraz bezpieczni - dopilnujemy tego - ale dopóki twój mąż działa na własną rękę, znajduje się w wielkim niebezpieczeństwie.

Carolyn zaśmiała się gorzko.

- Chyba sobie żartujesz. Po czternastu spokojnych latach ucieczki moja rodzina zostaje zaatakowana w areszcie. Nie ma dla mnie bardziej niebezpiecznego miejsca na świecie niż to, w którym jestem.

Carolyn pociemniała na twarzy, przewiercając spojrzeniem swojego oprawcę.

- Ta symulacja współczucia jest nawet miła, Rivers. Naprawdę chciałabym wierzyć, że choć trochę ci na nas zależy. Ale wczoraj powiedziałaś, co naprawdę o tym myślisz. Wszyscy mamy jakąś robotę do zrobienia. Ja zawałam swoją i dlatego jestem tutaj. Teraz wszystko spoczywa na barkach Jake'a. On jest moją jedyną nadzieją. Ja po prostu nie wierzę, żebyś nam dobrze życzyła.

Irene przez chwilę patrzyła na nią tak, jakby miała zamiar się spierać, ale w końcu zrezygnowała. Traktując jej milczenie jako potwierdzenie, Carolyn postanowiła naciskać dalej.

- Chciałabym zobaczyć się z moim synem. Proszę, zabierz mnie do niego. Irene ponownie zerknęła na swojego więźnia i odwróciła wzrok.

- Bardzo żałuję, ale nie mogę tego zrobić. Lekarz powiedział, że nie powinnaś się ruszać z tym uszkodzeniem szyi.

- To przyprowadź do mnie Trava.

Irene zacisnęła wargi i pokręciła przecząco głową.

- Tego też nie mogę zrobić. Wciąż jest podłączony do respiratora i tych wszystkich urządzeń.

Carolyn poczuła, jak ogarnia ją gniew, likwidując resztki oszołomienia pozostałego po

środku uspokajającym. Miała ochotę kląć i grozić, ale uświadomiła sobie, że w ten sposób straciłaby jedynie czas, a może nawet zaszkodziłaby sobie. Wzięła głęboki oddech i postarała się, aby jej głos brzmiał spokojnie.

- On jest moim synem, Rivers. Moim jedynym dzieckiem, a ktoś próbuje go zabić. Musisz mi pozwolić się z nim zobaczyć.

Irene patrzyła na nią przez kilka sekund, coraz bardziej wyczerpana wrażeniami ostatnich dni.

- Zobaczę, co da się zrobić - stwierdziła w końcu. Słowa te brzmiały dość pusto, nawet dla niej samej.

Carolyn nie miała zamiaru mówić nic więcej, a Irene, która nauczyła się już rozpoznawać pewne sygnały, zamknęła oczy i spróbowała odpędzić nasilający się ból głowy. Kłębiła się w niej osobliwa mieszanina strachu i poczucia winy. Irene po raz pierwszy w życiu pożałowała, że nie wybrała innego zawodu. Biuro miało ucieleśniać tylko dobro, do cholery! Jeżeli jej podejrzenia były słuszne, ta nieszczęsna, przywiązana do łóżka kobieta wytrzymała więcej, niż można sobie wyobrazić.

Podczas tych wszystkich lat pracy w Biurze Irene nieraz czuła nienawiść bijącą od przestępców, ale nigdy wcześniej jej to nie przeszkadzało. Chciała zapewnić Carolyn, że teraz już wierzy w jej historię; chciała jej powiedzieć o Frankelu i przeprosić ją w imieniu rządu federalnego. Ale zdawała sobie sprawę, że to wykluczone. Tak naprawdę liczył się jedynie fakt, że nie mogli niczego udowodnić. Na razie.

Odwróciła głowę, słysząc delikatne pukanie do drzwi. Paul Boersky skinieniem ręki wywołał ją na korytarz i zaprowadził do pustego pokoju.

- Z twojego zachowania wnioskuję, że nasze domysły się sprawdziły? - zaczęła Irene.

Paul obejrzał się instynktownie.

- To mnie cholernie przeraża, Irene - wyszeptał. - Wygląda na to, że Donovanowie trafili w dziesiątkę. Rozmawiałem z facetem z archiwum - tak przy okazji, wiesz mu sto dolców - który pogrzebał dla mnie w dokumentach Frankela. Miałaś rację. Od tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego pierwszego do początku tysiąc dziewięćset osiemdziesiątego drugiego roku nasz nieustraszony przywódca prowadził z biura w Little Rock śledztwo w sprawie szwindlu bronią z Newark. Poszlaki najwyraźniej prowadziły do ostatniego dowódcy wojskowego w tym miejscu - tego samobójcy, generała Albemerle'a. Zdaje się, że ta sprawa dość niespodziewanie zniknęła z pola widzenia.

Przerwał na chwilę

- A zatem Albemerle - ten strający w gacie bohater wojenny, od drugiej wojny światowej

przez Koreę, a nawet w pewnym stopniu Wietnam - odstrzelił sobie głowę w tysiąc dziewięćset osiemdziesiątym drugim, tuż po tym, jak Agencja Ochrony Środowiska odkryła tę przechowalnię broni. W pożegnalnym liście wspominał coś o napięciu związanym ze śledztwem. - Paul podniósł wzrok znad zapisków i westchnął. - To jest zbyt podobne, Irene. Myślę, że go mamy. To Frankel wysadził ten magazyn, aby zatuszować braki w sprzęcie, a załatwiając tych ludzi, odwrócił uwagę od siebie.

Irene wpatrywała się w jakiś punkt na podłodze, czując, że nie może się odnaleźć pośród natłoku nowych informacji.

- Nadążasz? - zapytał Paul.

- Co? A, tak, oczywiście. Głowa mnie boli.

- Taak - ciągnął dalej. - Wiesz co, może lepiej nagraj to na taśmę, wtedy lepiej się przyswaja. Pamiętasz Tony'ego Bernarda? Tego faceta z motelu?

- Tak.

- No to posłuchaj. Jedyne dziecko pary dzieci-kwiatów - takich prawdziwych ćpunów, które ciągały Tony'ego po wszelkich hippisowskich norach w Berkeley. Później jego zdjęcie trafia do "Chicago Tribune" jako - i tu cytuję - "młodego buntownika" podczas Konwencji Demokratycznej w sześćdziesiątym ósmym.

Spojrzała zdezorientowana.

- Nie łapię.

- Oczywiście, że łapiesz. Czy znalazłabyś lepszy egzemplarz, żeby powiesić na nim tabliczkę obłąkanego środowiskowca? To on miał pójść pod topór za tę całą sprawę, a nie Donovanowie. Im się dostało, bo nieoczekiwanie przeżyli katastrofę. Skoro żyli, Frankel nie miał innego wyboru. Musiał zabić Bernarda - bez względu na to, jak wielkie dziury w planie zrobiły te nagłe zmiany.

Irene otworzyła szeroko oczy i głęboko odetchnęła. - Cholera jasna!

- Martwiliśmy się o nasze kariery, a tu proszę, uderzamy w samo sedno! Irene spiorunowała go wzrokiem.

- Co takiego? Uniósł brwi.

- Zwariowałaś - oświadczyła. - Nie mamy żadnych szans.

- Gówna prawda.

Uświadomiła sobie, że zachęciła go do obrony, i machnęła ręką.

- Nie, nie to mam na myśli. Sprawa jest w porządku i myślę, że znaleźliśmy odpowiedź, ale Frankel nie podda się ot tak, po prostu. Chryste, on ma zeznania i mnóstwo dowodów, a przynajmniej tyle co my.

Paul wzruszył ramionami.

- Uzasadnione wątpliwości, tak?

Roześmiała się.

- Och, tak, to świetne wieści dla Donovanów. Wrócą bezpiecznie do domu, o ile tylko zorganizujemy im proces. Ale ty mówiłeś o karierze. Jeżeli nie odstawimy Frankela od żłobu, to wiesz, co się stanie? Donovanowie wyjdą na wolność, a my wykopimy sobie wspólny grób.

Paul otworzył usta, żeby skontrolować, ale po chwili je zamknął.

- Cholera.

Melissa Thomas uwielbiała swój duży, stary dom. Żałowała, że nie ma dość pieniędzy i czasu, aby się nim zająć tak, jak kiedyś rodzice. Dom i otaczające go trzy hektary lasu dostała w spadku, będąc jedynym dzieckiem i jednocześnie przekleństwem swych rodziców. Zmarli prawie dziesięć lat temu, a mimo to Melissa wciąż nie mogła sobie pozwolić na zmianę mebli, które znała od dzieciństwa.

Mądrze zainwestowany spadek przynosiłby wystarczająco dużo gotówki, aby opłacić coroczny podatek od nieruchomości oraz trzy koledze. To miejsce kojarzyło jej się jednak z ciepłem domowego ogniska i przywoływało wszystkie dobre wspomnienia. No, ostatnio również i złe. Chociaż solidny dom zbudowano w czasach, gdy rzemieślnicy szczylic się swoją pracą, od jakiegoś czasu zaczął wykazywać oznaki starzenia się. Dach wymagał naprawy, ściany wołały o nową warstwę farby, a erozja zaczęła wrzynąć się w fundamenty od frontu. Melissa miała czym się martwić. Nie było ich stać na to, żeby zapłacić za remont, a Nick nigdy nie miał żyłki do majsterkowania. Szczerze mówiąc, nie potrafiłby porządnie wbić gwoźdź. Tak więc remont czekał na czasy, gdy będą mieli parę dolarów, których nie musieliby natychmiast oddawać wierzycielom. Nick widział rozwiązanie w sprzedaży domu. Typowe. Wylać dziecko z kąpielą. Zabić muchę z karabinu maszynowego.

Była trochę zła, że Nick wyjechał akurat teraz, gdy potrzebowała jego pomocy - dziś rano otrzymała jeszcze dwanaście świątecznych zamówień - ale równocześnie musiała przyznać, że w domu zapanował błogi spokój. Tylko ona i dzieci. Właściwie nigdy nie oczekiwała czegoś więcej od małżeństwa. A jeżeli ten służbowy wyjazd miałby nieco ożywić zamierającą karierę jej męża, byłoby to z korzyścią dla nich wszystkich. Sprawa z Donovanami, którą na okrągło relacjonowały środki masowego przekazu, wprawiła ją jednak w pewne zdenerwowanie.

Ten garnek na kole wyjątkowo ją irytował. Urna Azteków, jak nazwała swój wyrób w katalogu, z długą, smukłą szyjką, której uformowanie wydawało się najprostszą rzeczą pod słońcem. Mimo to jakoś nie potrafiła odpowiednio dobrać proporcji. Próbowała już po raz trzeci.

- Cholera! - zatrzymała koło i cisnęła bezkształtne naczynie do pojemnika z gliną. Czuła, że powinna zrobić przerwę, ale może jeszcze trochę wytrzyma. Jeszcze tylko ten i będzie miała komplet do wypalenia, a wtedy w nagrodę zje sobie późny lunch. Powinna była coś przekąsić w południe, kiedy karmiła Lauren, ale nie była jeszcze głodna.

Lauren coś dawno już do niej nie zaglądała. Pewnie ogląda na wideo "Króla Iwa". Melissa westchnęła. Wiedziała, że dziecku potrzebny jest częstszy kontakt z rodzicami, ale po prostu nie miała czasu, żeby wciąż bawić się w mamusię. W przyszłym roku mała pójdzie do szkoły i wszystko się ułoży.

Może za bardzo się staram - pomyślała, ponownie wprawiając w ruch koło. Czasami tak się spinała, żeby zrobić coś dobrze, że przestawała czuć materiał. To był jej główny problem. Spróbowała się rozluźnić, zamykając oczy. Małe słuchawki wypełniły jej umysł spokojem "Cichego miasta" Copelanda. Gdy magiczne solo trąbki wtopiło się w melodię, podstawa garnca sama uformowała się w jej dłoniach.

Nagle jej twarz przesłonił cień. Podniosła oczy. Jakiś mężczyzna, którego nigdy wcześniej nie widziała, stał w drzwiach oddzielających pracownię od kuchni. Trzymał w ramionach jakiś przedmiot. W zielonkawym świetle przefiltrowanym przez żaluzje przedmiot wydał jej się łudząco podobny do istoty ludzkiej. Może jakaś lalka? Miała na sobie takie same ubranko jak Lauren...

Melissa krzyknęła przeraźliwie.

Nick odwiesił słuchawkę na widelki i nerwowo przejechał ręką po włosach.

- Do cholery! - zerknął na zegarek. - Już po czternastej, na miłość boską! Myślałem, że te samoloty latają szybciej! - W tych szczególnych okolicznościach nie wystarczyłoby nawet, gdyby gulfstream leciał z prędkością kosmiczną.

- Odłóż ten telefon - warknął Thorne chyba już po raz setny. - Każda z takich rozmów to nitka, po której federalni dojdą do kłębka.

Nick odpowiedział mu gniewnym spojrzeniem. W tym momencie wsparcie FBI wcale nie wydawało mu się takim złym pomysłem.

- Może akurat wyszła z domu - zasugerował Jake. Mężczyzna pokręcił głową.

- Nie ma szans. Jest zakopana w zamówieniach z katalogu. Wyszłaby z pracowni, dopiero gdyby dom stanął w płomieniach. - Zagłębił się w miękkim fotelu i położył ręce na kolanach. - Zawsze tak robi, kiedy jest naprawdę zajęta - po prostu wyłącza telefony. Mamy automatyczną sekretarkę i pod koniec dnia odsłuchuje nagrane wiadomości. Mnie doprowadza to do obłądzenia. Załóżmy, że któreś z dzieci zachorowałoby w szkole czy coś w tym rodzaju, co wtedy?

- Ale mają dokąd pójść, prawda? - zapytał Jake. - To znaczy, kiedy ich powiadomisz, mogą od razu wyjechać?

Nick zamarł z otwartymi ustami. Nie pomyślał aż tak daleko w przód.

- Sądę, że pójdą do jakiegoś hotelu.

- Powiedz, żeby koniecznie płacili gotówką - ostrzegł Thorne. - Kolejny elektroniczny ślad to ostatnia rzecz, jakiej potrzebujemy.

- Nie wiem, czy mam tyle gotówki. - Nick wyraźnie sposepniał.

- Nie martw się - powiedział Jake z uśmiechem, poklepując w nieodłączną torbę. - Masz to u mnie bez problemu.

Pilot poprosił, żeby wszyscy wrócili na miejsca i zapięli pasy. Za dziesięć minut lądowanie. Cel podróży, lotnisko Manassas na dalekich przedmieściach Waszyngtonu, było na tyle duże, by mogły na nim lądować prywatne odrzutowce, a z drugiej strony wystarczająco małe, by pasażerowie w razie potrzeby mogli zachować anonimowość.

Thorne założył nogę na nogę i splótł dłonie na kolanie.

- A co z tobą, bohaterze? Co się stanie, jak podczas tego połowu rekinów trafi ci się taki jeden? - usta ponownie ułożyły mu się w pobłażliwym uśmiechu, którego Jake tak nie cierpiał.

- Zmuszę go do mówienia - odpowiedział krótko. Starał się, by jego głos brzmiał stanowczo, lecz wszyscy i tak wiedzieli, że ma stracha.

- Hmm - chrząknął Thorne. - A jak nie zechce współpracować?

- Musi.

- Ale przypuśćmy, że nie będzie chciał?

Jake popatrzył na niego uważnie. Wiedział doskonale, do czego zmierza, nie chcąc nazwać rzeczy po imieniu.

- Będzie mówił - powiedział z przekonaniem. - Ludziom rozwiązują się języki, kiedy im przystawić spluwę do głowy.

Thorne uśmiechnął się i spojrział przez okno.

- Pytanie tylko, czy nasz facet należy do tych ludzi?

Melissa zerwała się, przewracając koło garncarskie i upuszczając na podłogę urnę Azteków.

- O Boże! - wrzasnęła. - Lauren!

Pracownia zatrzęsa się, kiedy przemierzyła ją w kilku susach, a kabel od słuchawek ściągnął kompaktowy odtwarzacz z hukiem na podłogę.

- Lauren! O Boże, córciu, co ci jest?

Dziewczynka nie ruszała się. Mężczyzna miał wyraźne trudności z utrzymaniem jej bezwładnego ciała. Kiedy przekazał dziecko matce, oboje próbowali podnieść zwisającą rękę. Melissa odwróciła się w pośpiechu do nieznanego, rzucając niewyraźne podziękowanie.

Mężczyzna podążył za nią bez zaproszenia.

Pobiegła pędem do ogromnego salonu o wysokim suficie i ostrożnie położyła dziewczynkę na sofie.

- Lauren, kochanie, obudź się. Obudź się, córciu...

- Wszystko będzie dobrze - odezwał się nieznajomy.

Jego głos wystraszył Melissę. Zdążyła już zapomnieć o obecności tajemniczego mężczyzny.

- Skąd pan wie? Co się z nią stało? - Podniósłszy wzrok, dostrzegła lodowaty chłód bijący z oczu nieznajomego, a potem rewolwer.

- Niezbyt dobrze wypełnia polecenia, prawda? - zagadnął.

Jake nie był na lotnisku od wielu lat, a nawet na tym małym terminalu kłębiło się pięć razy więcej ludzi, niżby sobie tego życzył. Podobne podróże najlepiej odbywać nocą, ale Nick uparł się, że muszą lecieć jak najszybciej. Thorne powtarzał ciągle, że to najgłupsza rzecz, jaką mogli zrobić, bo zawodowi zabójcy działają wyłącznie w nocy, ale Nick uparł się, że musi natychmiast ostrzec rodzinę. Skoro telefon w jego domu nie odpowiadał, nie było innego wyjścia,

Jake, w okularach przeciwsłonecznych i czapce bejsbolówce, starał się być niewidzialny. Czekał na zewnątrz terminalu, podczas gdy Thorne zajął się wypożyczeniem samochodu. Nick chodził nerwowo tam i z powrotem. Zbyt nerwowo.

W końcu olbrzym wyłonił się zza uchylnych szklanych drzwi z kluczykami w dłoni. Podążyli za nim przez parking w stronę pięciu wozów do wynajęcia: czterech escortów i grand marquisa. Thorne wyglądał na zadowolonego.

- Włóżcie rękawiczki - poinstruował, wciskając pilota, aby otworzyć drzwi grand marquisa.

- Ja poprowadzę. - Nick wysunął się przed Thorne'a. - Wiem, dokąd jechać.

- Świetnie. To siadaj z przodu i wskazuj drogę - Thorne nie zamierzał oddać kluczyków. Nick pokręcił głową z desperacją w oczach. - Ale...

- Ja prowadzę, Nick - uciął Thorne. - Możemy się o to sprzeczać albo możesz ze mną walczyć, ale jak skończymy, i tak będę za kółkiem. Jesteś za bardzo rozdrażniony, żeby brać się za prowadzenie.

- Tracimy czas, chłopcy - włączył się Jake, siadając z tyłu.

Nick zdał sobie sprawę, że nie ma innego wyjścia, i zrezygnował z walki. Kiedy usiadł na swoim miejscu, od razu zaczął tłumaczyć.

- Na lewo z lotniska w ulicę Nokesville. Jedź według znaków na Warrenton. - Zerknął na zegarek. - I na miłość boską, wdepnij mu. To za długo trwa.

Melissa czuła absolutną pustkę. Kręciło jej się w głowie, a nogi miała jak z waty, kiedy próbowała nadać sens słowom, które usłyszała. Niezbyt dobrze wypełnia polecenia?

- Wyglądasz na zdezorientowaną- stwierdził mężczyzna z dziwnym uśmiechem. - Pozwól, że ci wyjaśnię pewne sprawy. Jestem tutaj po to, żebyś mogła uratować swoje dzieci.

- Kim jesteś? - wyrzuciła z siebie Melissa. Mężczyzna zachichotał.

- Wszyscy zawsze zadają to pytanie. Jakby to miało jakieś znaczenie - uśmiechnął się. - Możesz mnie nazywać Wiggins, jeśli chcesz.

Wciąż nie była w stanie się poruszyć.

- Ale dlaczego... Co... - sparaliżowany strachem umysł nie był zdolny do formułowania pełnych zdań.

- Wiem, że to wytrąca z równowagi - przyznał ze skruchą. - Ale naprawdę nie chcę jeszcze bardziej krzywdzić twoich dzieci.

Melissa spojrzała z trwogą na bezwładne dziecko. Oczy miała jak spodki.

- Nie martw się - pocieszył ją. - Wyjdzie z tego. Niestety, musiałem być stanowczy, bo próbowała mi się wywinąć. Ale jak tylko powąchała moją magiczną chusteczkę, uspokoiła się. Powinna tak leżeć spokojnie przez przynajmniej pół godziny.

Twarz Melissy straciła wszelkie barwy.

- Wiesz, naprawdę nie powinnaś pozwalać, żeby taka mała dziewczynka sama otwierała drzwi - znęcał się nad nią. - Nic się oczywiście złego nie stało. Zdąży się obudzić, żeby powitać Nicky'ego i Joshuę wracających ze szkoły.

Melissa poczuła, że świat wiruje jej przed oczami, i musiała przysiąść na sofie. Domyśliła się, że na chwilę straciła przytomność. Otworzywszy oczy, poczuła twarz tego człowieka tuż przy swojej twarzy. Przytknął pistolet do jej skroni.

- Nie roztkliwiaj się nad sobą, Melissa. Nie ma czasu. Czeka nas mnóstwo pracy, zanim chłopcy wrócą do domu.

- Proszę, nie... - zatkąła.

- Po prostu pomyśl o swoich dzieciach, jakbyś myślała o indykach na Święto Dziękczynienia - szepnął. - Jak by było strasznie, gdybyś musiała je krajać żywcem.

- Dzieje się coś bardzo niedobrego - jęknął Nick. - Czuję to. Według Jake'a sceneria nie zmieniła się od ostatnich dwudziestu minut. Do diabła, tu się od roku nic nie zmieniło. Gęste

lasy prowadziły do jeszcze bardziej gęstych lasów, a monotonię krajobrazu przerywały tylko pojedyncze domostwa albo jakaś stacja benzynowa. Wiejska Wirginia nie różniła się od wiejskiej Karoliny Południowej czy wiejskiego Arkansas. Inne było tylko ukształtowanie terenu i roślinność. Ogólnie dominowało wrażenie pustki i odizolowania.

Z drogi 28 zjechali na szosę Vint Hill, kierując się na drogę 29, a stamtąd do Warrenton. Potem było tyle zakrętów i numerów dróg, że Jake stracił rachubę. W tym stanie nikt nie zadawał sobie trudu nadawania nazwy drodze. Przylepiano tylko numer na słupie i po wszystkim.

Wkrótce lasy zaczęły ustępować polom i wzgórzom, a kamienne murki wyparły druty wzdłuż dróg. Multimilionowe rezydencje zostały zastąpione skromniejszymi domami farmerów i ledwo nadającymi się do zamieszkania chałupami.

- Jak daleko jeszcze? - zapytał Jake. Chciał powiedzieć cokolwiek, aby rozładować napięcie.

- Z pięć kilometrów.

- A teraz podpisz to - rozkazał Wiggins. Znajdowali się w sypialni na górze przy maleńkim antycznym biurku.

- Nikt w to nie uwierzy - łkała Melissa. Łzy spadały ciężko na fiołkowo-różowy papier, zamazując tekst jej samobójczego listu.

Mężczyzna uśmiechnął się.

- Zdziwiłabyś się, w co ludzie wierzą. A teraz pospiesz się i podpisz. Zostało ci niewiele czasu. Minęła trzecia.

Nic się w tym liście nie zgadzało! To nieprawda, że nienawidziła siebie, że czuła się beznadziejnie samotna. Kochała swoje dzieci, a one odwzajemniały jej miłość. Nawet ten kawałek o Nicku też zupełnie odbiegał od prawdy. Nie był najlepszym mężem pod słońcem, ale mogła trafić o wiele gorzej. Ta cała sprawa w ogóle nie miała sensu.

Jeżeli podpisze ten list - podyktowany przez tego szaleńca - co dzieci pomyślą sobie o niej, kiedy dorosną? Przez resztę życia będą nienawidzić swojej matki za to, że je porzuciła; albo za to, że wypełniła ich umysły scenami znalezienia jej zwłok.

- Nie zrobię tego - oświadczyła.

Oczy Wigginsa rozblęły - wściekłością, którą natychmiast zastąpił zawodowy spokój. Spojrzał jej w oczy, sięgając niemal do samego mózgu.

- Doskonale - powiedział. - Nie podpisuj. Nie chcę, żebyś cokolwiek podpisywała. - Wyszarpnął kartkę spod jej ręki, zmiął i wsunął sobie do kieszeni. Kiedy wyjął ponownie dłoń,

trzymał w niej składany nóż. Otworzył go jednym ruchem, ukazując idealnie ostre, ośmiocentymetrowe ostrze. - Tylko nie mów, że cię nie ostrzegalem.

Skrzywiła się w oczekiwaniu bólu, ale zalała ją fala paniki, kiedy zobaczyła, że wyszedł z sypialni na schody.

- Dokąd idziesz?

Nie zwolnił ani nie odezwał się słowem.

- O Boże! - wrzasnęła. - Lauren! - Zerwała się z krzesła i pobiegła za mordercą. Dopadła go na szczycie schodów i próbowała zatrzymać. Opędził się od niej jak od natrętnej muchy. Upadła na podłogę i uwiesiła się jego nogi, ale wyswobodził się kopniakiem.

- Błagam! - krzyczała wniebogłosy. - Błagam! Zrobię to! Proszę, nie krzywdź jej!

- Mówiłem ci, Melissa - odezwał się spokojnie Wiggins, stąpając po wyłożonych dywanikiem schodach. - Mówiłem ci, że to się stanie, ale ty mi nie wierzyłaś. - Obcasy zastukały głucho, kiedy szedł po parkiecie w foyer. - Będę musiał zastosować coś naprawdę twórczego w przypadku chłopców.

- Nie! - krzyknęła przeraźliwie. - Zrobię to! - Rzuciła się w dół po schodach, zaledwie muskając je w pędzie. - Tylko dotknij mojego dziecka, ty skurwysynu, a zabiję cię!

Dzieliło ją od Wigginsa zaledwie półtora metra, kiedy zatrzymał się raptownie i odwrócił na pięcie, wyrzucając rękę w powietrze jak policjant kierujący ruchem na skrzyżowaniu. Stała jak wryta, o mało się nie przewracając.

Przysunął ostrze noża zaledwie kilka centymetrów od jej twarzy.

- Czy prosisz mnie o jeszcze jedną szansę? Potrząsnęła głową jak szalona.

- Tak.

- A zatem poproś - zniżył głos do szeptu.

- Proszę cię - odszepnęła. - Proszę cię o jeszcze jedną szansę. Uśmiechnął się.

- Poproś mnie, abym pozwolił ci się zabić.

- Proszę - jęknęła. Zakrzuszyła się od płaczu. Opadła na kolana. - Proszę...

- Wymów te słowa - nalegał - albo pokroję twoją córunię tam na sofie. Spróbowała raz jeszcze. Naprawdę chciała, ale słowa nie wychodziły jej z ust.

- Proszę...

- Wymów te słowa! - jego głos zatrzęsł szybami w szafce. Wreszcie je wyskrzeczwała.

- Proszę. Pozwól... mi... się zabić.

Wiggins stał nad nią, rozkoszując się zwycięstwem. W końcu nachylił się i jednym palcem podniósł jej brodę tak, żeby ich spojrzenia się spotkały.

- Zazwyczaj nie daję jeszcze jednej szansy - wyszeptał.

- To tutaj! - wrzasnął Nick. - Ta biała skrzynka po prawej stronie. To mój podjazd!

Thorne wrzucił migacz i zwolnił, aby skręcić. Bardzo poprawnie. Bardzo wolno.

- Do cholery jasnej, Thorne! Ruszaj się!

- Zamknij się! - warknął olbrzym. - Jeżeli nasz obiekt już tam jest, to nie mam najmniejszego zamiaru szarżować prosto w pułapkę! I tak nie zrobi to różnicy...

Jake dostrzegł, że te słowa ugodziły Nicka w samo serce.

- ...a jeśli go jeszcze nie ma, to nie mamy się czym martwić. - Thorne minął skrzynkę na listy i zaczął wolniutko jechać długim podjazdem, lustrując otoczenie w poszukiwaniu ewentualnego zagrożenia.

- Czyja to furgonetka? - zapytał Jake, wskazując na koniec alejki. Napis na boku samochodu głosił: "Mike. Usługi hydrauliczne".

- O, cholera - jęknął Nick. - Zatrzymaj się, Thorne. Ten zawahał się, po czym wcisnął pedał hamulca.

- To nie wróży nic dobrego.

Dochodziło dwadzieścia po trzeciej i szkolny autobus z chłopcami miał przyjechać lada chwila.

Tym razem notka była krótka: "Żegnam". Melissa zaadresowała ją do wszystkich członków rodziny i podpisała bez słowa sprzeciwu. O ile jej dzieciom nie groziło niebezpieczeństwo, własne życie nie miało dla niej znaczenia.

Wiggins poprowadził ją do małego balkonu wychodzącego na foyer i wręczył dwu i półmetrową nylonową linkę. Zwykła linka do wieszania bielizny, o niewielkich, białych pędzelkach wystających z obu końców.

- Przywiąż to do barierki - poinstruował.

Kobieta poruszała się mechanicznie. Ze zdumieniem stwierdziła, że dłonie przestały jej drżeć. Była przerażona, a mimo to pogodzona z losem. Robiła to dla dzieci.

Wiggins obserwował jej pracę, zwracając uwagę na każdy szczegół.

Zrobiła węzeł. Upewniła się, czy będzie trzymał. Co prawda bardziej się obawiała, że balustradka może nie wytrzymać szarpnięcia, ale prawdopodobnie i tak nie będzie to miało znaczenia. Kiedy pęknie jej kark, reszta sama się rozwiąże.

- Bardzo dobrze - pochwalił Wiggins. - Widzisz tę małą pętlę, którą zawiązałem na drugim końcu?

Spojrzała na niego pytająco, po czym skinęła głową.

- Świetnie. A teraz przeciągnij linkę przez pętlę, żeby utworzyć stryczek. Wypełniła polecenie, patrząc na swego oprawcę, czy robi to właściwie.

- Trochę większy - powiedział.

Przesunęła więcej linki. Zdawała sobie teraz sprawę, że jedno niedociągnięcie odbierze życie jej dzieciom. Wcześniej miała wątpliwości, teraz już nie.

Morderca cofnął się o parę kroków.

- W porządku, Melissa - powiedział łagodnie. - Reszta należy do ciebie. - Zszedł po schodach, aby obserwować scenę z foyer.

Popatrzyła na niego, jakby nagle nie wiedziała, co to za jeden i skąd się tu wziął. Wciąż nie rozumiała dlaczego, ale nadszedł czas, aby się zabić. Modliła się w duchu, żeby za bardzo nie bolało. Spojrzała na linę trzymaną w rękach, po czym powoli, w pełni świadomie przełożyła stryczek przez głowę. Poprawiła go na szyi, przesuwając węzeł do tyłu, w kierunku kręgosłupa.

Plakała, chociaż wciąż towarzyszył jej zdumiewający spokój, kiedy przekładała za balustradkę jedną nogę, a potem drugą, ostrożnie, żeby nie spaść. Jakby to miało jakieś znaczenie. Mały występ za białą drewnianą barierką zaledwie pomieścił jej stopy; wcisnęła pięty w szpary między pionowymi szczeblami. Trzymając ręce za sobą, ścisnęła balustradę tak, że pobieleły jej kostki. Łzy spływały jej strumieniami po policzkach, kiedy patrzyła w dół na swego oprawcę.

- Doskonale sobie radzisz, Melissa - odezwał się. Mówił teraz spokojnym, łagodnym tonem, który przerażał ją bardziej niż wcześniejszy gniew. - Już prawie, prawie. Tylko krok do przodu.

Patrzyła na niego, chcąc błagać o litość, w nadziei że znajdzie choć ślad współczucia. Ale w tych oczach nie dostrzegła litości. Chciała coś powiedzieć, ale zdawało jej się, że w gardle ma piasek. Połknęła pełne kurzu powietrze i ponowiła próbę.

- Obiecuj, że nie skrzywdzisz moich dzieci - wycharczała. Oparł pięści o biodra i pokręcił głową.

- Już to przerabialiśmy.

- Obiecuj mi.

Zmrużył oczy, a rysy twarzy napięły mu się.

- Skacz, Melissa. Skończ z tym. Natychmiast. Zaraz będą w domu.

- Obiecuj mi! - na powrót poczuła w sobie gniew. To już nie była prośba, tylko żądanie.

Wyraźnie go to rozbawiło. Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, aż wreszcie wzruszył ramionami.

- W porządku - powiedział. - Obiecują. A teraz skacz!

Spojrzała na niego, próbując zabić łotra samą siłą nienawiści. Nie odwracał wzroku, a nawet uśmiechnął się do niej. Zrozumiała, że przegrała ten ostatni pojedynek. Usłyszała, jak zegar w salonie wybił połowę godziny. Nicky i Joshua zjawią się w domu lada chwila. Musiała z tym skończyć.

Wybaczenie mi - pomyślała i po raz ostatni poprawiła linę na szyi. Potem puściła ją. I skoczyła.

- On tam jest - szepnął Thorne, wysiadając ostrożnie z samochodu. Jake podążył za nim.

- Skąd wiesz?

- Bo na taki sam pomysł bym wpadł, jakbym musiał pozbyć się paru osób. Możesz to nazwać intuicją.

Nick pozostał w samochodzie, a Jake i Thorne zaczęli przemykać się cicho po trawniku w kierunku domu.

- Pieprzę to - wyrzucił z siebie Nick. Jednym ruchem znalazł się za kierownicą i wcisnął gaz do dechy. Tylne koła wyłobily głęboką koleinę w trawie, kiedy wielki wóz ruszył do przodu, a przyspieszenie spowodowało samoczynne zamknięcie drzwiczek, które Jake zostawił otwarte.

Minął swych towarzyszy, pędząc prosto ku wejściu. W okamgnieniu przebył sto metrów, niszcząc po drodze kilkanaście azalii oraz trzydziestoletni bukszpan, i zahamował ostro przed schodkami.

Nie zważając na zachowanie środków ostrożności, wyskoczył z wozu i jednym susem pokonał dwa stopnie dzielące go od frontowych drzwi. Ogarnęła go panika, kiedy zobaczył, że są otwarte. Wpadł do foyer.

- Mel... o Boże!

Melissa dostrzegła otwierające się drzwi w momencie skoku i nadzieja ratunku uderzyła w nią niczym błyskawica. Szarpnęła się, wygięła ciało i w locie spróbowała złapać się barierki. Lewa ręka musnęła balustradkę, chybiając o włos celu, prawa błyskawicznie zatoczyła łuk nad głową i palce instynktownie zacisnęły się na politurowanej poręczy.

Kobieta rąbnęła ciężko o występ i słupki. Wystraszył ją odgłos chrupnięcia i na ułamek sekundy obawiała się, że drewno pękło. Po chwili jednak do mózgu dotarł przenikliwy ból złamanego barku. Bariierka wydała jej się rozgrzana do białości. Zanim zaczęła zwalniać uchwyt, zdążyła wyszeptać jeszcze jedną modlitwę za dzieci.

Nick nigdy w życiu nie widział tego faceta, ale jedno spojrzenie w zimne oczy wystarczyło, by zrozumiał, z kim ma do czynienia. Błyskawicznie ustalił sytuację: morderca w foyer, w górze żona walcząca o życie.

Mała Lauren, zaspana i rozczochrana, stanęła w drzwiach kuchni.

Wiggins skoczył z zastraszającą szybkością i gdyby nie odległość dzieląca obu mężczyzn, Nick zginąłby w tej samej chwili. Wigginsowi zabrakło pół metra. Musiał postawić jeszcze jeden krok i Nick wykorzystał to półsekundowe opóźnienie, aby dać nura w bok. Atakujący wykonał gwałtowny półobrót.

Nick przeturlał się na prawo, unikając silnego kopnięcia, i w tym momencie usłyszał przerażony głos Lauren.

- Tatusiu! - Kopniak go minął, ale Wiggins złożył się ponownie, celując tym razem w kostkę. Po prostu na nią stąpnął z siłą zapaśnika sumo, tak jakby rozdeptywał muchę.

Nick zawył z bólu. Próbował odciągnąć nogę, lecz stopa zwisała, jakby nagle przestała być częścią jego ciała. Jak przez mgłę widział zbliżający się z prędkością światła but napastnika. Nie zdążył zasłonić głowy.

Lauren wrzasnęła jeszcze raz.

Thorne wpadł do foyer z prędkością afrykańskiego kota. Ostatnie metry praktycznie przeleciał, lądując na ramionach Wigginsa i rzucając go na przeciwległą ścianę. Morderca zamachnął się, potrącając przeszkloną szafkę i najcenniejsze rękodzieła Melissy Thomas rozbiły się o podłogę w drobny mak.

Thorne szybko doszedł do siebie, ale Wiggins zareagował jeszcze prędzej, podcinając przeciwnikowi nogi straszliwym kopnięciem. Morderca znalazł się na nim w chwili, gdy Thorne runął na podłogę. Nagle walka zmieniła się w bijatykę, jaką często można oglądać na szkolnych korytarzach: mocowanie się, zapasy z nielicznymi celnymi, ale nieszkodliwymi ciosami. Każdy z przeciwników usiłował znaleźć się na górze.

Jake wpadł do domu z przygotowanym do strzału pistoletem i natychmiast odciągnął Nicka na bok.

- Pomóż mojej żonie - jęknął Nick, wskazując na górę.

Melissa przebierała bezradnie nogami w powietrzu, trzymając się sprawną ręką za barierkę. Co u diabła? - pomyślał Jake, ale w tej samej chwili zauważył linkę.

- O Boże!

Walczący mężczyźni rozdzielili się, kiedy głowa Thorne'a odskoczyła w tył, a z jego ust chlusnęła krew. Olbrzym skontrował dwoma lewymi sierpowymi. Oba dosięgnęły celu. Jakiś

zab potoczył się po podłodze, a zapaśnicy ponownie zwarli się w śmiertelnym uścisku.

Jake pędził po schodach, przeskakując po dwa stopnie naraz. Na górze zdał sobie sprawę, w jak rozpaczliwej sytuacji znajduje się kobieta. Gdyby puściła poręcz, zginęłaby.

Melissa spojrzała na Jake'a i w jej oczach błysnęło rozpoznanie.

- Za... - wydyszała skupiając wzrok na pistolecie w jego dłoni - ...zastrzel go.

Jake zawahał się na ułamek sekundy. Musiał wziąć zabójcę żywcem i modlił się w duchu, by Thorne wytrzymał jeszcze chwilę. Teraz należało przede wszystkim pomóc Melissie. Spojrzał na skomplikowany węzeł na barierce i po sekundzie wahania sięgnął nad poręczą, schwycił za koszulę kobiety i pociągnął na tyle wysoko, że mogła oprzeć się na drewnianym występie.

- Zastrzel go! - krzyknęła, gdy powietrze na nowo wypełniło jej płuca.

Pomógł jej przejść przez poręcz.

- Nie mogę - odpowiedział krótko.

Nagle usłyszał ciężki łomot oraz ogłuszający brzęk. Spojrzał w dół, gdzie Thorne i Wiggins ponownie odlecieli od siebie, padając plecami na drewnianą podłogę. Thorne wylądował na potłuczonym szkłe. Wiggins na Lauren.

- Maaaamuuuusiuuuu!!!

W okamgnieniu morderca schwycił dziecko w pasie, przyciskając je do siebie przedramieniem tak mocno, że twarz małej zrobiła się purpurowo-czerwona. W drugiej ręce mężczyzny pojawiła się beretta, którą przyłożył do głowy swej zakładniczki.

- Nie!! - Melissa i Nick krzyknęli jednocześnie.

Thorne przeturlał się po podłodze i błyskawicznym ruchem wyjął z kabury srebrną, połyskującą broń. Zdradziecki jęzor płomienia wystrzelił z lufy potężnej czterdziestkapiątki i cały dom zatrzęsł się od huk. Broń Wigginsa upadła na podłogę, a palce poszybowały w powietrzu, podobne do rozrzuconych frytek z keczupem.

Siła strzału rzuciła napastnika na ścianę, lecz ani na chwilę nie wypuścił dziewczynki, która zwisała na jego ramieniu jak lalka.

Jake zbiegł po schodach, gdy Thorne szykował się do śmiertelnego strzału.

- Boże, Thorne, nie! - podbił ręką chromowaną czterdziestkapiątkę, gdy huk ponownie zatrzęsł całym domem. - Potrzebujemy go żywego, do cholery!

- Zejdz mi z drogi, do kurwy nędzy! - zagrzmiał Thorne, powtórnie składając się do strzału.

Było jednak za późno. Wiggins przełożył małą do drugiej ręki; potrzaskane kości i mięso rannego malowały przerażające czerwone smugi na różowym kombinezonie Lauren,

która zwisała nieruchomo, z dyndającymi przy jego kolanach stopami. Przycisnął jej ostrze noża pod szczękę, na tyle mocno, że kropla krwi potoczyła się po szyi dziecka.

- Odłóż pukawkę albo poderżnę jej to pieprzone gardło! - rozkazał. Thorne ani na chwilę nie przestał celować.

- Jakby mnie to, kurwa, obchodziło - mruknął. - No, dalej, podrzynaj. Muszę zobaczyć twój mózg na podłodze.

- O Boże! - wrzasnęła przeraźliwie Melissa.

Nick wstał z wysiłkiem, opierając ciężar ciała na jednej nodze.

- Thorne! - wrzasnął. - Na miłość boską, odłóż broń. To moja córka!

- To zrób sobie drugą. Zabiję tego kutasa.

Wiggins posłał mu zimny uśmiech, wycofując się z foyer w kierunku kuchni.

- Przestrzelisz ją na wylot, twardzielu? Thorne wzruszył ramionami.

- Jak będzie trzeba.

Jake nie wiedział, co robić. Nie miał najmniejszej wątpliwości, że Thorne'owi zupełnie nie zależało na dziecku. Stanął za nim, trzymając w pogotowiu własną broń, i wspólnie zmuszali zabójcę do cofania się przez kuchnię w kierunku pracowni.

- Nie zabijaj go, Thorne - wyszeptał Jake. - Jeżeli to zrobisz, już po wszystkim. Nie będziemy mieć wiarygodnych dowodów. Po to tu jesteśmy, pamiętasz?

- Nie wchodź mi w drogę, Jake.

Melissa i Nick dołączyli do nich, pomagając sobie wzajemnie iść. - Nick! - łkała. - Powstrzymaj go! Boże, kim są ci ludzie? Co oni tu robią?

Thorne zasyczał, ani na moment nie spuszczał wzroku ze swojego celu:

- Wyświadc mi przysługę, Nick, i ucisz swoją żonę.

- Pieprz się! - krzyknęła Melissa. Wybiegła przed Thorne'a, stając na linii ognia.

Nicka ogarnęła nagła panika.

- Melissa, nie!

- Proszę, puść ją - błagała. - Próbowałam...

Wiggins zniknął. Zasłaniając się łkającą dziewczynką, wymknął się z kuchni i wybiegł przez szklane drzwi pracowni.

- Zejdź mi z drogi! - krzyknął Thorne, kiedy Melissa próbowała blokować mu drogę.

- On ją zabije! - wrzeszczała. Wczepiła się w jego kurtkę. - Pozwól mu odejść!

Thorne zakończył sprawę, uwalniając się od kobiety jednym uderzeniem.

Jake patrzył przerażony. Melissa upadła pogruchotanym barkiem na podłogę i zawyła z bólu. Nick rzucił mu pełne nienawiści spojrzenie i pokuśtykał, by pomóc żonie. Jake przez

chwilę chłonał gniew przyjaciela, nie wiedząc, co powiedzieć. W końcu puścił się pędem na podwórze w pogoni za mordercą.

Skraj trawnika porastały krzaki i zarośla, które nieco dalej zmieniały się w gęsty zagajnik czarująco barwnych, młodych drzewek.

Jakiś ruch na lewo ściągnął uwagę Jake'a. Dostrzegł plecy Thorne'a znikające w kolorowej gęstwinie. Rzucił się pędem. Słońce wisiało już nisko nad horyzontem i strumienie światła sączące się przez liście malowały w powietrzu osobliwą mozaikę. Nigdzie nie mógł dojrzeć uciekającego mordercy.

Thorne zatrzymał się i Jake natychmiast się z nim zrównał.

- Gdzie oni są?

Olbrzym w milczeniu wskazał lufą, kiedy przeczesywał wzrokiem las w poszukiwaniu jakiegoś ruchu.

- Widziałem go - wyszeptał. - On tu jest.

Te słowa przyprawiły Jake'a o dreszcz. Gdzie on się schował?

- Tam! - wskazał. - Czy to nie krew?

Z oddali doleciał ich żaloszny głos Melissy:

- Lauren! Lauren, kochanie, idziemy do ciebie!

Tuż przed sobą, lekko na prawo usłyszeli stłumiony płacz dziecka. Ruszyli w tym kierunku, podążając za śladem krwi i nasłuchując niespotykanych w lesie odgłosów.

- Lauren! - tym razem był to głos Nicka. Zbliżali się.

Wkrótce las znów się otwierał, ukazując polanę z wyrastającą pośrodku, walącą się stodołą. Obaj mężczyźni zatrzymali się na skraju.

- Jak myślisz? - wyszeptał Jake. - Są w środku? Thorne pokręcił głową.

- Jest zbyt przebiegły, żeby dać się zapędzić w kozi róg.

- Dlaczego więc...

Liście zaszeleściły po lewej stronie. Obaj jak na komendę wykonali natychmiastowy obrót i wycelowali broń w... maleńką Lauren. Krzyknęła przestraszona, ale mimo że miała dopiero pięć lat, zrozumiała nie wypowiedziane pytanie.

- Puścił mnie! - krzyknęła.

Jake dostrzegł błysk stali w chwili, gdy opuścił pistolet. Wiggins wyskoczył z zarośli, rzucając nóż klasycznym łukiem. Jake usiłował zasłonić się ręką, ale nie zdążył. Jęknął, gdy ostrze rozorało mu ciało w okolicy żeber, i upadł na liście, aby uchylić się przed kolejnym uderzeniem.

Szybkość ataku zaskoczyła również Thorne'a, ale gdy tylko oprzytomniał, zareagował jak wąż, wymierzając dwa szybkie ciosy, jeden w kikut ręki Wigginsa, drugi prosto w twarz. Zabójca upadł na ziemię, przeturlał się przez ramię i stanął na nogach. Przyjął postawę ze sztuk walki, a raczej żalostną jej imitację i chyba po raz pierwszy dostrzegł, że jego prawa ręka jest o jakieś dziesięć centymetrów krótsza od lewej. Spojrzał z niedowierzaniem na kikut i w tej samej chwili otrzymał straszliwy cios z łokcia prosto w szczękę.

Thorne stracił panowanie nad sobą. Podniósł zabójcę i rąbnął go jeszcze raz.

- Kim jesteś, ty skurwysynu?

Nie doczekał się odpowiedzi. Przez chwilę Jake zastanawiał się, czy facet jeszcze dycha.

Thorne z furią kopnął go krocze. Wiggins wydał z siebie jakiś zwierzęcy głos, próbując się zasłonić, lecz ciężki but trafił go tym razem w twarz.

- Przestań! - wrzasnęła Melissa, ukazując się wraz z Nickiem na skraju polany.

- Jak się nazywasz, dupku? - wrzasnął Thorne, przygotowując się do kolejnego kopnięcia.

- Wiggins! - odpowiedziała Melissa, biegnąc do swej córeczki. - Zdążył mi powiedzieć, że nazywa się Wiggins!

Thorne pokręcił głową.

- Chcę to usłyszeć od niego.

- Nie tutaj! - krzyknął Nick, najwyraźniej wahając się, czy dołączyć do żony, czy też powstrzymać tego szalonego olbrzyma. Bładoszary na twarzy od bólu i strachu, wybrał to drugie. - Nie na oczach mojej córki!

Thorne spojrzał na niego z obrzydzeniem.

- Czy ty wiesz, co to szczurze łajno próbowało zrobić? Tym razem przyszła kolej na Jake'a.

- To niezgodne z planem - powiedział, spoglądając na przerażoną dziewczynkę, która siedziała pod drzewem obejmując kolana. Krew ciekła strużką z jej brody, Melissa próbowała ścierać ją zdrową ręką. - Trzymajmy się planu.

Thorne roześmiał się głośno i bezczelnie.

- Planu? Jakiego planu? Ty nie masz żadnego pieprzonego planu! Jake poczuł, jak czerwienieje na twarzy.

- Zgodziliśmy się...

- Gównu się zgodziliśmy! - oświadczył Thorne. - To ty wymyśliłeś sobie w tym ptasim mózdzku, że pan Terminator wypruje z siebie bebechy. A my tylko powiemy "proszę". -

Roześmiał się i wymierzył kolejnego kopniaka w zebra Wigginsa.

- Ale moja córka... - zaczął Nick.

- Co córka? Zabieraj ją stąd, kurwa mać, jak sobie chcesz. Nie zatrzymuję cię!

Nick przełknął ślinę, zerknął nerwowo w kierunku żony i dziecka i wyszeptał:

- Nie możesz tego tu zrobić. Nie chcę się w to mieszać. Pod tym się nie podpisywałem.

Thorne zacisnął gniewnie szczęki. Walczył z sobą przez długą chwilę, a kiedy wreszcie przemówił, głos drżał mu wyraźnie.

- Tkwisz w tym po same uszy, Nick. Nie zapominaj o tym. Nawet przez chwilę nie ośmielaj się myśleć, że nie jesteś częścią tego wszystkiego. - Podniósł palec wskazujący i zniżył głos. W oczach płonął mu gniew i szczerą nienawiść. - Wyświadczyć sobie przysługę i pomyśl naprawdę długo zanim zmięknie, słyszysz mnie? - Poczekał, aż znaczenie słów dotarło do jego rozmówcy. - A teraz może ty i twoja pani pójdziecie do domciu i posprzątaacie? Jake i ja zajmujemy się tym, co do nas należy. Jutro rano możesz naopowiadać dzieciakowi o nocnych koszmarach - umilkł dla wywarcia większego wrażenia. - Posiadłeś tajemnicę, Nick, i mam nadzieję, że jej nie wypaplesz. A teraz, kurwa mać, zabieraj się stąd. Znajdź ten hotel, o którym mówiłeś, i postaraj się, żeby był jak najdalej stąd.

- A jak cię ktoś zobaczy?

Na takie pytanie Thorne nie był przygotowany. Spojrzał gniewnie.

- Co jest w tej stodole? - zapytał wskazując palcem.

- To zwykła szopa - odpowiedział Nick. Thorne zaczął wlec swoją ofiarę w tym kierunku.

- Idziesz ze mną, asie! - zawołał przez ramię.

Jake zignorował go i podszedł do swego starego przyjaciela. W oddali usłyszał głosy dzieci nawołujące rodziców.

- Czy to twoi chłopcy? Nick skinął głową.

- Chyba właśnie wrócili do domu.

Jake pokiwał głową. To nie był zbyt odpowiedni moment.

- Posłuchaj, Nick...

- Nie ma sprawy, w porządku? Zostawmy to, jak jest.

Jake przez chwilę stał nieruchomo, chcąc coś powiedzieć, ale nie potrafił sformułować najprostszego zdania. W końcu skinął głową.

- W porządku, Nick. Dzięki. I przepraszam. Thomas również skinął głową, ale odwrócił wzrok.

- Cieszę się, że mogłem zrobić to, co do mnie należało. A teraz oddaj nam wszystkim

przysługę i skończ to.

- Jeśli chodzi o twoją żonę...

- Po prostu skończ to, Jake. Ja będę się martwić o moją żonę.

To było straszne widowisko. Wiggins siedział wyprostowany pośrodku zrujnowanej stodoły, podczas gdy Thorne przywiązał mu szyję szeroką taśmą bezpośrednio do centralnego słupa wspornikowego. Opaska zaciskająca na nadgarstku zabójcy, wykonana ze starej szmaty i śrubokręta, miała powstrzymać go przed wykrwawieniem się na śmierć; krew i smarki spływały mu z potrzaskanego nosa. Uporawszy się z szyją, Thorne wziął się za ramiona, krępując je pętlą za pętlą tuż ponad łokciami.

- Chcesz, żeby cię nazywać Wiggins? - mruknął nie przerywając pracy. - Mnie to odpowiada. Chcę jednak wiedzieć, dla kogo pracujesz. I dlaczego. Każdy pieprzony szczegół. - Oderwał ostatni kawałek taśmy i odrzucił rolkę na bok. - Czyż nie szykuje się dobra zabawa?

Jake nigdy nie widział Thorne'a tak ożywionego. Tak... zadowolonego.

- Dla kogo pracujesz? - Olbrzym umilkł zaledwie na chwilę - prawdopodobnie jego jeniec nie zdążyłby wyartykułować słowa, nawet gdyby chciał - aby rąbnąć na odlew, wysyłając w powietrze krwawą mgłę.

Jake poczuł mdłości i właśnie chciał się odwrócić, kiedy zdarzyła się najbardziej zdumiewająca rzecz. Wiggins uśmiechnął się. Jego zęby - a raczej to, co z nich zostało - lśniły od krwi, ale ten sukinsyn wciąż dobrze się bawił.

To naprawdę rozwścieczyło Thorne'a. Wymierzył kopniaka prosto w okaleczoną rękę więźnia. Twarz Wigginsa stężała i napięła się, ale kiedy minęła fala największego bólu, uśmiech powrócił.

- Jezu Chryste, Thorne - jęknął Jake. - Czy o to chodzi? Masz zamiar zamęczyć go na śmierć?

Olbrzym właśnie szykował się do kolejnego ciosu, lecz odwrócił głowę, żeby spojrzeć na Jake'a.

- Szczerze mówiąc, to zależy od niego. Wcale nie musi umierać. Przestanę, jak tylko zaczniesz mówić.

Wiggins zachichotał. I zarobił kopniaka w zębra.

To było błędne koło. Zabójca zdawał się rosnąć w siłę wraz z kolejnymi uderzeniami, odmawiając skorzystania z tego jedyne go klucza, jaki oferował mu jego kat. A im więcej wytrzymywał, tym zacieklej spadały na niego razy.

Po trzech minutach Jake uświadomił sobie ze zdziwieniem, że zaczyna mu być żal tego

skurwysyna. Wtedy pomyślał o Travisie i o cierpieniu, jakie zadał mu ten łotr. Pomyślał, jak ta bestia wieszala Carolyn w celi, i wyobraził sobie rozpacz rodziny tej małej dziewczynki w szpitalu, której jedyną winą było to, że znalazła się akurat na drodze mordercy.

Dzięki wściekłości, jaką w sobie wzbudził, Jake wytrzymał kolejną minutę, ale w końcu się wypalił. Złapał się na tym, że desperacko poszukuje jakiejś alternatywy dla tych przedłużonych tortur. Z drugiej strony opór tego dupka mógł doprowadzić do białej gorączki. Jego życie leżało w ich rękach, a mimo to te popodbijane, napuchnięte oczy niezmiennie sobie z nich szydziły.

Patrząc na to niecodzienne zjawisko, Jake uświadomił sobie jasno i wyraźnie, że w tym pojedynku woli między zawodowymi handlarzami bólu nie mierzyło się zwycięstwa przegranej tym, komu biło jeszcze serce pod koniec dnia. Zwyciężał ten, kto nie dawał przeciwnikowi przyjemności oglądania swego strachu. Ludzie tego pokroju zadali w życiu zbyt wiele bólu, żeby można ich było zmusić do poddania się tak prostymi metodami. Ból już dawno przestał ich przerażać. Podobnie jak śmierć.

Czy naprawdę niczego się nie bali?

Gorączkowo zaczął przeczesać wnętrze stodoły w poszukiwaniu odpowiedzi. Na przeciwległej ścianie wisały przeróżne narzędzia: do malowania, hydrauliki. To nie to. Tuż na prawo zauważył wąską półkę zastawioną chemikaliami. Wszystkie etykiety były zwrócone w jego kierunku, tak że widział dokładnie ostrzeżenia przed niebezpieczeństwem. Odwrócił wzrok, po czym szarpnął z powrotem głowę. I o to chodzi!

- Przestań! - rozkazał i Thorne znieruchomiał w połowie zamachu.

- Nie wtrącaj się do tego, Jake - warknął. - Jeżeli nie możesz tego znieść...

- Zamknij się. Teraz moja kolej.

- Twoja kolej? - Sama myśl wydawała mu się nie do pomyślenia.

- Taak. Moja kolej. On próbował zabić moją rodzinę. Mam z nim porachunki do wyrównania. Nie mogę być gorszy od ciebie, zgadza się, Thorne?

Pobity mężczyzna uśmiechnął się szeroko.

Thorne myślał przez kilka sekund, po czym wzruszył ramionami i wycofał się.

Jake minął słup i podszedł do półki wiszącej poza zasięgiem wzroku Wigginsa. To, czego potrzebował, musiało gdzieś tu się kryć.

- Oto jak ja to widzę, kolego - powiedział do Wigginsa, przeglądając pojemniki. - Śmierć to złoty medal dla takich jak ty. Ból czyni cię jeszcze twardszym. To chore, ale co zrobić, do diabła? Tak to jest, jak ktoś zarabia na życie zabijaniem kobiet i dzieci.

Szperał między buteleczkami, zatrzymując się na chwilę przy jednej, która zawierała

jakiś środek owadobójczy, po czym szukał dalej. O! W końcu znalazł to, czego szukał. Teraz potrzebował jedynie szmatki.

- Z tą twoją ręką, domyślam się, ciężko ci będzie znaleźć robotę - kontynuował. - Jak się już rozniesie w twoich kręgach, to sądzę, że nadejdą dla ciebie trudne czasy.

- Co ty, do diabła, wyprawiasz? - szczechnął Thorne, opierając ręce na biodrach.

O, tu jest. Jake znalazł starą szmatę na ławce.

- Teraz uważaj, asie. - Potrzebował również rękawic, które leżały tuż obok szmatki.

Podszedł leniwie do więźnia i stanął nad nim.

- Według mnie tracimy tu czas, zgadza się? Zakładasz się pewnie, że możesz wytrzymać na tyle długo, aby Thorne zatłukł cię na śmierć. To cię niejako zwolni z aresztu i będziesz się miał czym chwalić w piekle. Ciepło?

Zabójca patrzył butnie, choć opuchnięta powieka zasłaniała mu całkowicie lewe oko, a prawe nie wyglądało dużo lepiej.

Jake skrzywił się, kiedy założywszy czarne, gumowe rękawiczki odkręcił brązową butelkę. W powietrzu rozniosła się słaba woń zgniłych jaj.

Podniósł butelkę do góry i pokazał wyraźnie etykietkę, tak jak koneser zachwala butelkę dobrego wina.

- Kwas solny - wyjaśnił. - Doskonały do czyszczenia betonu, ale trzeba go rozcieńczyć, człowieku. W przeciwnym razie pali jak cholera.

Przechylił butelkę i wylał kroplę przejrzystej cieczy na nogawkę spodni Wigginsa, tuż ponad kolanem. Bawełna natychmiast zaczęła się rozchodzić, a odór zbuków stał się nie do zniesienia. Wkrótce dołączył do niego smród spalonego mięsa, kiedy kwas pożarł kawałek ciała wielkości dziesięciocentówki.

Oczy zabójcy rozszerzyły się, na ile pozwalała opuchlizna. Najwyraźniej nie przygotował się psychicznie na coś takiego. Rozumiał istotę bólu. Teraz jednak otwierało się nieznane terytorium.

Jake uśmiechnął się niewesoło.

- Tak jak powiedziałem, śmierć niewiele dla ciebie znaczy. Skutki nie mają żadnego znaczenia. Przypuszczam, że wkrótce, po tym, jak skończyłeś z moim synem, poszedłeś na pizzę. Sama myśl sprawiła, że ręce zaczęły mu dygotać. Wiggins dostrzegł to i uśmiechnął się z satysfakcją.

- Ręce? - zapytał Jake. - Myślisz, że to śmieszne? Oznaka słabości? - on również posłał mordercy szeroki uśmiech. - No, cóż, strzał w dziesiątkę.

Nigdy nie był ze mnie żaden zabójca. Nawet myśl o zabiciu takiego bezwartościowego

tchórza jak ty przyprawia mnie o ból żołądka.

- Na miłość boską... - Thorne miał już dosyć.

- Zamknij się, Thorne, kurwa mać! - wrzasnął Jake. Wiggins podskoczył zaskoczony tym wybuchem. Jake zwrócił się do więźnia. - Zdaje się, że zupełnie do siebie nie pasujemy, Wiggins. Nie chcę cię zabić, a mimo to ty najwyraźniej masz zamiar odejść z tego świata. - Podszedł teraz na tyle blisko, że czuł woń krwawego oddechu mężczyzny. - Jeżeli nie będziesz mówił, zmuszę cię do życia - wyszeptał.

Wiggins spojrzał zdezorientowany na Thorne'a, a jego oczy mówiły wyraźnie: Ten facet to *świr*.

- Masz rację - przyznał Jake, odpowiadając na jego myśli. - Jestem krańcowo zdesperowany. Straciłem rozum. A oto moja propozycja. Widziałeś już, jak działa ten specyfik. Poczujesz, jak pali. No cóż, następna dawka idzie do oczu.

Umilkł, czekając, aż groźba nabierze znaczenia.

- Naprawdę. Jedna kropelka i po wszystkim. Po dziesięciu sekundach zamiast oczu będziesz miał węgielki i kończymy przedstawienie. Po prostu pozwolimy ci odejść.

Wiggins spoglądał dziko w kierunku Thorne'a. Jake wychwycił jego wzrok i roześmiał się. Miał go.

- Wyobraź sobie, jak to by było nie widzieć. Nie mógłbyś znaleźć swoich ofiar, nawet gdybyś miał dwie zdrowe ręce.

Cofnął się, czując, że słowa wywarły odpowiednie wrażenie. Szczerze mówiąc, bawiło go przerażenie, które dostrzegł w oczach Wigginsa.

- Będziesz brzydki, aż miło. Odrażające blizny od poparzeń na całej twarzy. Ludzie będą wytykać cię palcami. Popatrzcie tylko na tamtego gościa, będą mówić. Oczywiście, ty nie zobaczysz tych palców.

Wiggins oddychał teraz szybciej, a czerwone, opuchnięte oczy strzelały to na Jake'a, to na butelkę.

- No dobrze, a zatem zacznijmy od prostego pytania. Dla kogo pracujesz?

Mężczyzna milczał, spoglądając na Thorne'a w nadziei, że ten znów zacznie go bić. Na jego twarzy malowała się panika.

- Nie patrz na niego, patrz na mnie - zwrócił mu uwagę Jake z twarzą czerwoną od wściekłości. - Przecież to wydaje się takie słuszne, prawda? Ja nie zobaczę więcej mojej rodziny, a ty nic już nie zobaczysz. Będę za ciebie odliczał. Na zero światło gaśnie. Pięć...

Wiggins obserwował z rosnącym przerażeniem, jak Jake nasącza szmatkę kwasem. Nadmiar skapnął na spodnie Wigginsa, natychmiast wypalając kilka dziur w nogach.

- ...cztery...

Nasączona szmatka zaczynała się rozpuszczać pod wpływem żrącej cieczy. Jake przysunął ją jeszcze bliżej do twarzy mordercy, któremu odór siarki wycisnął łzy z oczu.

-...dwa... jeden...

- Frankel! - Wiggins wrzasnął na cały głos na wypadek, gdyby Jake nie usłyszał wyraźnie. - Peter Frankel mnie wynajął!

Gdy szmatka znalazła się zaledwie centymetr od oczu, Wiggins zacisnął powieki, jakby to mogło cokolwiek pomóc. Przez sekundę Jake trzymał ją nieruchomo, by cuchnąca woń drażniła oczy zabójcy.

Potem zwrócił się do Thorne'a, który sprawiał wrażenie rozstrojonego pokazem.

- W porządku, myślę, że jest teraz gotowy - powiedział z uśmiechem.

Skończyli dwie godziny później. Ściana milczenia, jak się okazało, posiadała cechy każdej innej ściany - kiedy w jednym miejscu pojawiła się rysa, pękała dalej aż do całkowitego zawalenia. Wiggins dał im wszystko, czego potrzebowali, i ani razu nie musieli uciekać się do gróźb. Jake zdawał sobie sprawę, że to właśnie on złamał zabójcę, chociaż nie był pewien, co o tym myśleć.

Kiedy skończyli przesłuchanie, zaciągnął Thorne'a w kąt stodoły.

- Co teraz?

- Z nim? - zapytał Thorne, nie odwracając głowy.

- No tak. Z Wigginssem, Daltonem, czy jak on tam się nazywa. - Morderca podał swoje prawdziwe nazwisko: Clyde Dalton. - Co z nim zrobimy?

Thorne rzucił Jake'owi jedno ze swoich pogardliwych spojrzeń.

- A jak myślisz? Wybieramy się w trójkę na przejażdżkę, z której wracamy tylko my dwaj.

Jake poczuł ucisk w żołądku. Blisko połowę życia uciekał przed oskarżeniem o morderstwo. Po prostu nie wydaje się to sprawiedliwe...

Thorne wyczytał odpowiedź z jego spojrzenia i przewrócił oczami.

- Rozluźnij się, Jake. Nie będziesz musiał tknąć go nawet palcem, kapujesz? Zostaw to mnie.

Nagle usłyszeli jakiś hałas i odwrócili się jak na komendę. Wiggins zniknął! Uciekł! Taśma, która wcześniej opasywała mu szyję, zwisała luźno ze słupa.

Przez ułamek sekundy Jake zastanawiał się: Jak ten facet może chodzić? Był zdumiony, że mógł w ogóle stać.

Thorne tupnął w zakurzoną podłogę.

- Kurwa mać!

Obaj wyciągnęli broń.

- Gdzie mógł się schować? - zapytał Jake. Thorne spojrzał na niego.

- Gdzieś w pobliżu.

- Są tu jakieś tylne drzwi?

- Skąd, u diabła, mam wiedzieć? Sam poszukaj. - Nagle rzucił w powietrze: - Jesteś trupem, Wiggins!

Na zewnątrz zapadł zmrok i w środku zrobiło się ciemno, gdyż pojedyncze fluorescencyjne światło nad ich głowami tylko w niewielkim stopniu rozświetlało mrok stodoły. Jake stał sparalizowany strachem, nie mogąc zrobić kroku. Śmierć czaiła się w pobliżu - jego własna śmierć, a wcale nie chciał jej spotkać.

- No, idź - rozkazał Thorne. - Ja pójdę...

Głośne pacnięcie - jakby odgłos mocno odbitej piłki do bejzbola - zamknęło mu usta. Wiggins zamachnął się trzonkiem siekiery i rąbnął nim prosto w czubek głowy Thorne'a. Olbrzym runął jak długi, tracąc przytomność zanim jeszcze ugięły się pod nim kolana. Jake zareagował błyskawicznie, odwracając się z wyciągniętym glockiem, ale Wiggins zdążył zamachnąć się ponownie i uderzył prosto w lufę pistoletu, wysyłając go głęboko w mrok.

Jake uniknął kolejnego ciosu, dając nura w bok. Upadł tuż przy nieruchomym cieple Thorne'a, szukając po omacku chromowanej czterdziestkiipiątki. Wiggins odkopnął ją daleko i rąbnął trzonkiem siekiery o drewnianą podłogę. Dwukrotnie, uchylając się zaledwie o centymetry przed ciosami, Jake przeturlał się szybko na prawo - nie próbował takiego manewru od czasu, gdy jako mały dzieciak turlał się ze wzgórza sąsiada.

Morderca poruszał się z zaskakującą szybkością.

Jake zerwał się na nogi i zorientował się, że stoi plecami do słupa, który parę minut temu był miejscem tortur Wigginsa. Bardziej wyczuł, niż usłyszał kolejny cios i uchylił się instynktownie. Stodoła zatrzęsała się, kiedy trzonek siekiery ugodził w słup.

Wiggins nie wypuścił z rąk trzonka, który rozszczerzył się po zderzeniu z twardym drewnem. Runął do przodu, ale Jake i tym razem zdążył się uchylić. Schwyciwszy młotek z pobliskiej półki, cisnął nim, zyskując dodatkową sekundę, gdy trafiony przeciwnik wykonał w powietrzu dziwaczny piruet. Jake odbiegł dwa kroki i dostrzegł stojące w rogu widły. Jednym zwinnym ruchem chwycił je i stanął twarzą w twarz z mordercą.

Przez chwilę myślał, że rozpędzony Wiggins nadzieje się na ostre zęby, ale ten zareagował błyskawicznie, zatrzymując się zaledwie o parę centymetrów.

Spojrzał na Jake'a i uśmiech wykrzywił mu twarz pokrytą zakrzepłą krwią.

- Chyba wygrałeś, Donovan - powiedział, spoglądając czujnie na zęby wideł. W tej chwili nawet najmniejszy ruch mógł skończyć się jego śmiercią. - Wygląda na to, że jestem twoim więźniem.

Jake zdawał sobie sprawę, że morderca próbuje zyskać na czasie. Patrzył na jego tors i zastanawiał się, jak mocno musiałby dźgnąć, żeby przebić mu serce. Zacisnął zęby, napinając mięśnie twarzy. Czas na decyzję.

Wiggins dostrzegł coś w oczach Jake'a... Wahanie?

- Chcesz mnie znowu związać? - zapytał, odchylając się lekko do tyłu.

- Nie, dziękuję. - Thorne zmaterializował się nie wiadomo kiedy i skąd, wymierzając mu kopniaka w podstawę czaszki. Wiggins nadział się brzuchem na widły.

Jake zapał się, patrząc zahipnotyzowany, jak oczy mordercy rozszerzyły się, a usta otwały i zamknęły bezradnie. Walczył o oddech, lecz udało mu się jedynie odkaslnąć powodzią krwi. Nagle zwiotczał, rzucając Jake'owi ostatnie, zdumione spojrzenie.

- Ten skurwiel prawie że rozłupał mi łeb na pół - wysapał Thorne, kiedy Jake zachwiał się, z trudem utrzymując trupa na widłach. Ramiona i barki mdlały od wysiłku, a równocześnie wydawały mu się w jakiś dziwny sposób oddzielone od ciała. Minęły sekundy. W końcu rozluźnił mięśnie i osunął się wraz ze zwłokami na klepisko.

Jake siedział obok Thorne'a, który prowadził furgonetkę. Jechali już od kilku godzin. Szosy ustąpiły miejsca drogom, a te zmieniły się w wąskie ścieżki. Kiedy się zatrzymali, Jake nie miał pojęcia, gdzie się znajdują, ale wiedział, że wszelkie ślady cywilizacji pozostawili daleko za sobą.

Thorne podszedł do okienka od jego strony.

- Jak się zachowywał nasz pasażer?

Jake obrzucił go gniewnym wzrokiem. Jeżeli to miał być żart, to nie miał za grosz poczucia humoru.

- No cóż, chyba trudno o lepsze miejsce. - Thorne wskazał ręką za siebie. - Pomóż mi wykopać dół.

Wcześniej zawinęli ciało w wełniany koc, wynieśli je z lasu otaczającego dom Nicka i włożyli do furgonetki. Teraz, kiedy położyli je na ziemi, zobaczyli, że wojskowy zielony pled nabrał ciemnomiedzianego koloru. Wokół rozeszła się woń śmierci.

Pracowali w milczeniu, używając narzędzi zabranych ze stodoły Nicka. Wykopali na tyle głęboki dół, by ukryć ciało przed wygodniałymi zwierzętami i zabłąkanymi wędrowcami.

Pakunek mlasnął miękko, opadając na dno grobu, i po raz setny tej nocy Jake stłumił falę mdłości.

Musieli się pozbyć furgonetki. Zachlapaną krwią i bez wątpienia pokryta odciskami palców, nadawała się wyłącznie do zniszczenia. Pojechali jakiś kilometr z powrotem, oblali samochód resztkami benzyny z kanistra i podpalili.

Żadna z tych czynności nie zadowoliła Jake'a tak, jak sobie to wcześniej wyobrażał. Jeszcze tego ranka rozmyślał z dreszczem satysfakcji o zabiciu człowieka, który torturował jego żonę i dziecko. Teraz, kiedy patrzył, jak płomienie pożerają ostatnie ślady tego koszmaru, po prostu poczuł się... winny.

Wrócił do wynajętego wozu i wślizgnął się na miejsce pasażera, zatrzasnąjąc za sobą drzwi. Thorne ruszył w dół zbocza. Obaj patrzyli w milczeniu, jak czarna chmura dymu pożera szlak.

- On załatwił twoich kolegów, Jake - odezwał się w końcu Thorne. - Próbował zabić twoją rodzinę. Prawie zakatrupił mnie. Ty o mały włos nie zginąłeś z jego ręki. My tylko wyrównaliśmy rachunki.

Jake spoglądał niewidzącymi oczami przed siebie. Dopiero teraz zdał sobie sprawę, że - przynajmniej w pewnym stopniu - stał się tym, kim był od początku w oczach ludzi.

Zerknął na zegarek i westchnął. Druga piętnaście. W końcu wstanie nowy dzień i niech się pali i wali, a to wszystko musi się zakończyć, zanim zostanie odwrócona kolejna kartka w kalendarzu. Odchylił się w tył, oparł głowę o zagłówek i zamknął oczy.

Momentalnie zasnął.

Lekarze pozwalali już Carolyn siadać. Coś w rodzaju gorsetu z wysokim kołnierzem z twardego plastiku podtrzymywało jej kręgosłup. Ostry ból zaczął się dopiero późno w nocy i przychodził falami, szarpiąc jej ciałem. Lekarze proponowali środki przeciwbólowe, ale odmówiła. Mając świadomość, że ktoś dybie na życie Trávisa i jej, chciała w miarę możliwości zachować czujność.

Postanowienie osłabło około trzeciej nad ranem, kiedy ból rozrywający mięśnie doprowadził ją na skraj wytrzymałości. Zgodziła się wziąć dawkę środka rozkurczowego i od tej pory czuła się nie najgorzej.

Najbardziej dawała jej się we znaki szyja. Lekarze nie potrafili jeszcze stwierdzić na pewno, czy uszkodzenia da się całkowicie wyleczyć, czy też nie, ale przynajmniej przestali straszyć Carolyn paralizem.

Tego ranka powitały ją najrozmaitsze dobre wieści. Najlepsza dotyczyła Trávisa i jego szybkiego powrotu do zdrowia. Uszkodzenie płuc nie było tak poważne, jak obawiali się początkowo specjaliści. Dużo płynu pozostało nadal w klatce piersiowej, ale czas i odpowiednia terapia miały sobie z tym poradzić.

- Za miesiąc chłopiec dojdzie do siebie, za trzy będzie zdrów jak ryba - mówili.

Dzięki Ci, Boże, że go oszczędziłeś. Nie uważała za stosowne modlić się o siebie, czy nawet o Jake'a. Gdyby nie oni, w ogóle nie doszłoby do tych wszystkich nieszczęść.

Dopiero po jakimś czasie uświadomiła sobie, że płacze - emocjonalne mechanizmy obronne zostały osłabione przez flexeril. Dlaczego nie pozwalali jej zobaczyć syna? Czy nie widzieli, że karząc ją, wystawiali na cierpienia niewinne dziecko? Travis potrzebował mamy. Wszystkie dzieci potrzebują swych matek, na Boga! Czy ta Rivers naprawdę nie zdawała sobie sprawy z krzywdy, jaką wciąż im wyrządzała? Dlaczego sama nie potrafiła wpaść na to, że rozdzielając ich, opóźnia zdrowienie Trávisa?

- Przepraszam, pani Donovan - odezwał się jakiś głos. - Nie śpi pani? Carolyn sama nie była pewna, dopóki nie otworzyła oczu. W słabym świetle przyciemnionego korytarza zobaczyła wysoką, młodą pielęgniarkę stojącą w drzwiach w towarzystwie umundurowanego policjanta.

- Uhm - z uszkodzonego gardła wydobył się ochryply skrzek. - Nie śpię, nie śpię.

Mężczyzna i kobieta podeszli do jej łóżka. Przez chwilę zastanawiała się, czy powinna się ich bać.

- Nazywam się Jan, pani Donovan. Pracuję na intensywnej terapii oddziału dziecięcego. Przyszłam zabrać panią do Trávisa.

Wraz ze wschodem słońca w McLean w Wirginii reporterzy i ekipy telewizyjnych wiadomości zaczęli odjeżdżać po bezowocnej nocy spędzonej przed domem senatora Albrichta. Przybywała teraz druga zmiana, tych kręcących na żywo, starając się nie spóźnić na poranne wydania. Wytrwali napaleńcy z zaczerwienionymi oczami mogli teraz wrócić do domów z pustymi rękami i czekać na jakiś dramatyczny obrót wydarzeń.

Ludzie potrafiący nie spać o tak bezbożnej godzinie byli ulepieni z twardej gliny, ale w prestiżowym Waszyngtonie tylko najsilniejsi mogli przetrwać. I nie liczyło się, że przeciętny widz jest zbyt senny, aby zapamiętać daną twarz czy wydarzenie. Chodziło wyłącznie o pieniądze.

Clayton nie mógł tego pojąć. W swoim życiu miał się wielu zajęć, pracował nawet jako pomocnik dekarza. Szanował każdą pracę, która dawała uczciwą tygodniówkę, a mimo to nigdy nie potrafił zrozumieć powabu dziennikarskiego świata. Reporterzy niczego nie budowali, nigdy nie zrobili czegoś wielkiego czy dobrego. Wprost przeciwnie, zarabiali na życie niweczeniem ciężkiej pracy i reputacji innych ludzi.

Odszedł od okna, kręcąc głową. Pod wpływem wyczerpania zaczął ujawniać się typowy dla niego sceptycyzm. Może Alba miała rację. Może czas zrezygnować z władzy na rzecz młodszych lalusiów i wziąć się za naprawianie duszy.

Przedtem jednak musiał spłacić dług i połatać własną reputację. Podczas ostatniej rozmowy z Chrisem MacDonaldem, około jedenastej w nocy, szef personelu oświadczył, że jest gotowy do ataku na Frankela, w chwili gdy Clayton da sygnał. Chris powiedział, że przesadzi tylko trochę, twierdząc, że mógłby wypełnić stadion piłkarski ludźmi gotowymi zapłacić z własnych pieniędzy, byle tylko mieć swój wkład w udupieniu Frankela. Zdołał zgromadzić niezliczone przykłady bezwzględności zastępcy szefa FBI i mogli udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że ten człowiek jest skończonym draniem.

Niestety, potrzebowali jeszcze człowieka, który by zaświadczył, że Frankel na jego oczach złamał prawo.

- Nie o to chodzi, że nie widzieli, jak to robił - pospieszył z wyjaśnieniem Chris. - Oni po prostu tego nie powiedzą pod przysięgą.

- A jak wezwiemy ich do stawienia się przed sądem? - zaproponował Clayton.

Chris roześmiał się.

- Czy określenie "nie przypominam sobie" coś ci mówi?

Istotnie, mówiło. Sam użył go kilkakrotnie na przestrzeni minionych lat.

I znów nastał ranek. Straszliwe plotki postarzały się o jeden dzień, a mimo to ci dobrzy nie posunęli się nawet o krok w kierunku zniszczenia człowieka, który to wszystko rozpętał. Clayton pocieszał się, że jest to trudny okres wymagający cierpliwości. I kolejnej filiżanki kawy.

Ostrożnie ominął śpiącą żonę. Alba zdecydowała się w końcu na zażycie antyhistaminy, która najwidoczniej robiła swoje. Clayton odczuł satysfakcję. Ostatnio jego żona wyglądała na cholernie zmęczoną. Chciał, by wyspała się dzisiaj za wszystkie czasy. W związku z tym wyłączył telefony na piętrze, by zapewnić jej spokój. Nic się nie stanie, jeśli ewentualne problemy, jakie pojawiły się w nocy, poczekają do rana.

Idąc korytarzem do sypialni zamienionej w gabinet, podniósł stos faksów - w większości listy poparcia od kolegów, senatorów. Czytał kolejno każdy z nich i odpisywał ręcznie na osobistym papierze listowym z adnotacją, by wysłano je jeszcze tego samego dnia. Kiedy już przeczytał i odpowiedział na wszystkie, włożył oryginały do niszcarki.

Reszta była na ogół nic nie znaczącymi bzdetami od radnych. Kilku nerwowych zwolenników domagało się wyjaśnienia jego prawdziwej roli w tej całej kontrowersyjnej sprawie. Te zachował. Przed wieczorem Chris się nimi zajmie.

Gumowe kółka wózka inwalidzkiego toczyły się bezszelestnie po lśniącem linoleum. Jan podjechała z Carolyn do łóżka Trávisa.

- Właśnie śpi - wyszeptała pielęgniarka. - Daliśmy mu środek uspokajający. Wszystko będzie z nim dobrze. - Opuściła ramę łóżka i przysunęła Carolyn na tyle blisko, na ile pozwalał wózek. - Niech pani zostanie, jak długo zechce.

Wyglądał na takiego... małego. Niewielkie wybrzuszenie na białej pościeli.

- Synku - szepnęła Carolyn, ledwo słysząc własne słowa. - Maluszk. - W jej oczach Travis wyglądał teraz tak jak dawno temu, kiedy siadywała przy nim, czuwając nad jego snem. W jej wyobraźni pociągała twarz syna znów stała się pulchniutka, a zmierzwiona czupryna - kępką płowego jedwabiu. To były najszczęśliwsze dni - dni pełne nadziei. A teraz? Co oni mu zrobili?

Z grymasem bólu na twarzy napięła mięśnie szyi, kiedy wyciągnęła rękę, by dotknąć kosmyka przetłuszczonych włosów na czole syna. Tak naprawdę nie zostało w nim już nic z dzidziusia. Wciąż jednak miał te długie rzęsy - rzęsy Bambi, jak je nazywała, prowokując wybuchy złości. Tak się wtedy wściekał...

Rzęsy zatrzepotały nagle i za chwilę otworzyły się oczy - zamglone, z powiekami

ciężkimi od snu.

- Cześć, kochanie - szepnęła. - To tylko ja. Śpij dalej.

Oczy zamknęły się ponownie i zdała sobie sprawę, że chłopiec nic nie usłyszał. Chciała, żeby się obudził; chciała mu tyle powiedzieć. Ale on potrzebował snu i odpoczynku. Odchylając się ponownie w tył, aby złagodzić narastający ból w szyi, podniosła rękę Trávisa z kołdry i ucałowała ją, uważając, żeby nie poruszyć wenflonu. W żółtawej poświacie przyglądała się długim, zgrabnym palcom chłopca. Paznokcie domagały się obcięcia i wyczyszczenia, jak zawsze. Pośród sterylnej czystości i natłoku techniki te brudne paznokcie wydawały się ostatnią resztką j ego chłopiękości.

- Kocham cię - szepnęła.

Palce chłopca poruszyły się w jej uścisku - senna próba uzmysłowienia matce, że mimo wszystko jest z nią. Ponownie uniósł powieki i Carolyn odniosła wrażenie, że próbuje się uśmiechnąć. Usta drgnęły, po czym zaczęły się trząść wokół tej brzydkiej rurki z białą końcówką, która wciąż pozbawiała go głosu. Patrzył przez długą chwilę, a w tym spojrzeniu wyczuwała strach i gniew.

- Travis, kochanie, tak mi przykro. Tak mi... - głos uwiązł jej w gardle.

Travis walczył, by się opanować, zaciskając mocno oczy i marszcząc czoło, ale ta walka była z góry przegrana. Łzy trysnęły spod powiek i popłynęły strumieniami po bladej, naciągniętej skórze policzków. Ścisnął mocno rękę matki. Ciało zaczęło mu dygotać, a maska odwagi opadła nie wiadomo kiedy. Tłumione respiratorem łkanie było zaledwie szmerem w wyciszonej sali i wydawało się tym bardziej żałosne, że towarzyszyło mu rytmiczne buczenie maszyny, której żadne dziecko nie powinno oglądać.

Ponownie pocałowała go w rękę i oparła czoło o poręcz łóżka, ignorując ukłucia bólu. Jej dziecko bardzo potrzebowało swojej mamy. Postanowiła pozostać przy nim, dopóki znów nie ujrzy jego uśmiechu.

Dopiero koło ósmej senator Albricht niechętnie włączył telefon i po niecałych dwóch minutach rozbrzmiał pierwszy sygnał. Zaczyna się. Przez chwilę zastanawiał się, czy odebrać. W końcu wziął głęboki oddech.

- Halo?

- Cześć, Clayton - odezwał się znajomy głos z drugiej strony linii. - Tu Harry Sinclair. Chyba właśnie nastąpił przełom w sprawie, o której rozmawialiśmy parę dni temu.

Serce senatora zabiło szybszym rytmem. Rozmawiał tylko o jednej sprawie ze swoim starym przyjacielem i skoro teraz usłyszał, że nastąpił przełom, to musiało wydarzyć się coś

niezmiernie ważnego.

- Dzień dobry, Harry. Brzmi to interesująco.
- Co dzisiaj robisz w porze lunchu?

Thorne nie bywał zbyt często w Waszyngtonie i teraz miał kłopoty ze znalezieniem adresu w Alei Connecticut. Musiał objeżdżać przecznice kilkakrotnie, zanim wreszcie wrzucił migacz i skręcił w wąską uliczkę między dwoma budynkami. Ten po lewej reklamował się jako sklep z artykułami gospodarstwa domowego, a ten po prawej - który okazał się celem ich podróży - nie miał żadnego oznaczenia.

- Jesteśmy na miejscu - oświadczył Thorne.

Jake sprawiał wrażenie, jakby nie zdawał sobie sprawy, że się zatrzymali. Bez słowa oderwał wzrok od jakiegoś punktu na desce rozdzielczej i rozejrzał się po otoczeniu. Pociągnął za klamkę, zamierzając wysiąść z wozu.

- Ej! - zawołał Thorne. Jake znieruchomiał. - Co?

- Odpręż się. Już prawie wygrałeś. Teraz możesz się uśmiechać.

Jake patrzył na niego przez moment, zastanawiając się, czy odpowiedzieć. Śmierć Wigginsa i usunięcie ciała wciąż zbyt mocno na nim ciążyły. Ostatnią rzeczą, na jaką miał ochotę, był uśmiech.

- To był pasożyt. Zaraza. I zdusiliśmy ją w zarodku. Daj sobie z tym spokój.

Jake pokiwał z rezygnacją głową i powoli wysiadł z samochodu. Wyprostował się, jakby zamierzał odejść, po czym nachylił się nad okienkiem od strony kierowcy.

- Jestem ci wdzięczny, Thorne - powiedział. - I podziękuj ode mnie Harry'emu, jak się z nim zobaczysz.

Drągał podniósł z podłogi torby z pieniędzmi.

- Trzymaj, o mały włos byś zapomniał. Jake machnął ręką.

- Nie, zatrzymaj je. Tak czy siak, nie będą mi już potrzebne.

- Odbiło ci? - odezwał się wzgardliwie Thorne. - Pan Sinclair nie potrzebuje tych pieniędzy.

- To powiedz, żeby je rozdał potrzebującym - mruknął Jake. - Ja też ich nie chcę.

Thorne patrzył na niego przeciągle, po czym wzruszył ramionami.

- Twoja sprawa. - Ponownie wzruszył ramionami i wrzucił bieg. - Jak zobaczysz się z Promyczkiem, powiedz, żeby do nas zadzwoniła, dobra?

- No pewnie - odparł Jake, patrząc, jak wóz zjeżdża z krawężnika.

Wszedł po schodkach i stanął przed drzwiami. Wziąwszy głęboki oddech, zadzwonił. Instynktownie unikał obiektywu kamery, udając, że sprawdza czystość swoich butów. Po paru

sekundach drzwi zahuczały i Jake wszedł do środka.

Po przekroczeniu progu znieruchomiał, czekając, aż oczy przyzwyczają mu się do ciemności. Dopiero po kilkunastu sekundach zaczął powoli zdawać sobie sprawę, w jak wspaniałym miejscu się znalazł; aromatyczna woń wyszukanych potraw rywalizowała z przepychem i elegancją wnętrza. Restauracja, w sposób typowy dla waszyngtońskich budowli ery federalnej, zdawała się rozciągać bez końca we wszystkich kierunkach. Szerokie schody w centralnej części hallu, nieco na prawo, łamały nienaganną symetrię. Gdziekolwiek spojrzeć, widać było śnieżnobiałe płótna i olśniewające kryształy.

Stał w wejściu, czekając, aż ktoś wyjdzie mu na powitanie.

- Jest tu kto? - zawołał z cicha.

Po chwili, krótszej niż mgnienie oka, zza schodów wyłonił się mężczyzna w wytwornym smokingu.

- Witam szanownego pana - odezwał się wesoło, zbliżając się sprężystym krokiem. - Pan Donovan, jak mierniam.

Jake odwzajemnił zdecydowany i energiczny uścisk dłoni.

- A pan musi być Eddie Bartholomew. Eddie pokiwał głową.

- Dużo o panu słyszałem, panie Donovan.

- Proszę mówić mi Jake.

- A ty możesz mi mówić Eddie. - Poprowadził gościa w kierunku recepcji, gdzie przystanęli. - Rozmawiałem z panem Sinclairem - powiedział - i całkowicie za ciebie zaręczył, lecz mimo to musisz zrozumieć, że przestrzegamy tu, w Smithville, pewnych zasad. - Wysunął zdobioną, drewnianą szufladę i położył ją na blacie. - Wyjmij broń i połóż ją tutaj.

Jake poczuł złość. Thorne wyjaśnił mu w samochodzie, że Smithville stanowiło neutralny grunt - miejscowy odpowiednik Szwajcarii - ale ten facet, Eddie Bartholomew, wydał mu się mieszaniną sprzeczności. Niebezpieczny, a z drugiej strony uprzejmy; pełen czaru, a mimo to bezwzględny. Jake znał jednak zasady gry, więc włożył glocka do szuflady.

- Jeżeli masz jakąś amunicję, to też - dodał Eddie. - To oszczędza nam tej niewdzięcznej chwili, gdy używamy wykrywacza metalu.

- To co, nie ufasz mi? - zapytał Jake w formie żartu, ale mężczyzna potraktował pytanie poważnie.

- Nie, nie ufam - odpowiedział. - Rozumiesz, nie chodzi o osobiste urazy. Ja nikomu nie ufam. Nie mogę sobie na to pozwolić - uśmiechnął się.

Jake nie wysilił się na odwzajemnienie uśmiechu. I tak nie dostrzegł nic zabawnego w słowach Eddiego. Posłusznie wyjął z kieszeni kurtki dwa dodatkowe magazynki i włożył je do

szuflady.

- To wszystko? Żadnych noży? Jakiejś broni przy kostkach? Jake pokręcił przecząco głową.

- To wszystko.

Eddie zrobił zdumioną minę.

- Pan Sinclair zapewnił mnie, że tego popołudnia nie będzie tu mowy o przemocy.

Jake poczuł nagłe rozbawienie, zdając sobie sprawę, że pod warstwami czaru i ogłady wnętrza Eddiego było istną kopalnią strachu.

- Nie martw się - uspokoił go. - Moja misja polega wyłącznie na rozmowie. - Spojrzał przez ramię. - Gdzie reszta twojego personelu?

Właściciel restauracji wzruszył ramionami i odwrócił głowę.

- Wzięli sobie kilka godzin wolnego. Biorąc pod uwagę listę gości na dzisiejszym spotkaniu, wydawało się to najbardziej wskazane. Pan Sinclair zapewnił mnie również, że skończysz przed porą obiadową.

- Z tym nie powinno być większego problemu - odrzekł Donovan. Odpowiedź wyraźnie zadowolona Eddiego, który wsunął szufladę na

miejsce i poprowadził gościa ku schodom.

- Proszę za mną - powiedział krótko. - Rozumiem, że potrzebujesz raczej intymnego miejsca.

- Jak przez całe życie - mruknął pod nosem Jake.

Tym razem prowadził Paul. Zanim samolot skończył kołować i zatrzymał się na środkowym terminalu lotniska Dullesa, skąd pojechali autobusem do miejsca, gdzie mogli złapać kolejny autobus do agencji wynajmu samochodów, Paul stwierdził, że równie dobrze mógł prowadzić całą drogę z Arkansas.

Złapali samolot w ostatniej chwili. Mimo że nikt nie zwrócił na nich najmniejszej uwagi, Paul był podenerwowany, nie mając pojęcia, jaki jest cel ich podróży. Jego umysł wypełniały same znaki zapytania.

- Cieszę się, że wydaje ci się to logiczne, Irene - powiedział, jadąc po zdradliwie wąskich pasach szosy 66 przez Arlington. - Bo mnie wątpliwości spędzają sen z powiek.

Irene wyglądała oknem, z trudem powstrzymując się od popędzania kolegi. Prowadził jak stara baba, przestrzegając ograniczeń szybkości i prowokując wściekłe reakcje innych kierowców.

- Co tu ma być logiczne? Kiedy przewodniczący Komisji Sędziowskiej każe ci stawić

się na spotkanie, to przychodzisz na spotkanie.

- Nic nikomu nie mówiąc? To nie w porządku. Tak się nie robi. Chryste, my nawet nie powiadomiliśmy tutejszego biura terenowego.

Wzruszyła ramionami, wciąż unikając jego wzroku.

- On jest senatorom. Skoro chce poufności, musimy mu ją zapewnić.

- To cholernie nie w porządku, Irene! Kim, do diabła, jest ten senator, żeby wydawać nam rozkazy? Założę się o twoją tygodniówkę, że to ma jakiś związek z jego alternatywnym stylem życia. A kiedy wieść o tym spotkaniu przedostanie się do prasy, to jesteśmy udupieni.

W końcu odwróciła ku niemu głowę.

- Nie, Paul. To ja będę udupiona. Ty tylko siedzisz w tym samochodzie, pamiętasz? Poza tym powiedział, że chodzi o Donovanów. To właśnie mnie powinien wezwać jako agentkę, która zajmuje się tą sprawą. Nie widzę w tym nic niewłaściwego.

- A zatem dlaczego mnie nie zaprosił?

Spojrzała na niego z pobłażaniem, wyraźnie znudzona.

- To pierwsze pytanie, jakie mu zadam - odrzekła. - Szczerze mówiąc, domyślam się, że ma coś na Frankela i tak jak my jest przerażony swoim odkryciem.

Kiedy przejechali przez Potomac, droga 66 przeszła w Aleję Konstytucji. Stamtąd musieli jedynie pokluczyć jednokierunkowymi uliczkami, aby znaleźć się na Alei Connecticut, gdzie oczekiwał ich senator Clayton Albricht. Biorąc pod uwagę ostrożność Paula, nie wspomniała w ogóle, że podczas rozmowy telefonicznej zgodziła się oddać przy drzwiach broń. Bogiem a prawdą miała już dosyć jego zrzędzenia.

Clayton Albricht przybył do Smithville o pół do czwartej, a do tego czasu tłum, tak typowy dla tego lokalu w porze lunchu, zdążył już rozpląnąć się w powietrzu. Poza Eddiem Bartholomew senator nie zauważył ani jednego pracownika restauracji.

Skoro Claytonowi udało się przekonać Irene Rivers, żeby w tajemnicy przyjechała do Waszyngtonu, a Petera Frankela, żeby pojawił się w Smithville na kolejne popołudniowe spotkanie, jak uzgodnił z Harrym Sinclairem przez telefon, cała ta bomba o pieprzeniu chłopców może zakończyć się w ciągu godziny. Sinclair zwykle nie wdawał się w szczegóły, rozmawiając o tego typu sprawach, a z drugiej strony Clayton też wolał nie słyszeć nic więcej przez telefon.

Przesiadł się bliżej wejścia, skąd mógł obserwować wchodzących i wychodzących z restauracji. Niestety, Eddie Bartholomew nawet nie chciał o tym słuchać.

- Proszę - powiedział, prowadząc senatora ku dużemu stolikowi dla czterech osób,

usytuowanemu w tylnym rogu sali. - Tu będzie panu bardzo wygodnie.

Albricht próbował się sprzeciwić, ale szybko zrezygnował z jakichkolwiek sporów. Eddie sprawiał wrażenie niezwykle spiętego i lepiej było go nie prowokować, ponieważ nawet w spokojne dni bywał nieprzewidywalny.

Nie minęło nawet pięć minut, gdy usłyszał, jak ciężkie drzwi wejściowe otworzyły się i zamknęły, a z przedsionka dobiegł go arogancki głos Petera Frankela.

Jake przysłuchiwał się rozmowie, siedząc w kucki u szczytu schodów. Gdyby chciał, mógł wyciągnąć szyję na tyle daleko, by dostrzec nogi przybywających osób, ale nie widział takiej potrzeby. Wkrótce zobaczy ich od stóp do głów.

Czuł się jak dziecko ukrywające jakiś sekret - gotowe wybuchnąć, jeśli się szybko nim nie podzieli.

Kiedy Frankel wszedł do foyer, Jake'owi krew uderzyła do głowy. Trudno mu było nawet oddychać tym samym powietrzem co ten skurwiel.

Eddie Bartholomew był dla niego równie serdeczny jak dla innych. Wymienili uprzejmości przy wejściu, gdy Frankel oddawał broń, i Jake usłyszał na żywo słynny, telewizyjny śmiech.

Jeszcze kilka minut - mówił sobie - a przylepię ci ten uśmiech to dupy.

- Jesteś pewna, że to tu? - zapytał z niedowierzaniem Paul, kiedy wjechał tyłem w wąską alejkę. - Nie widać żadnego znaku ani nic w tym stylu.

Irene sprawdziła jeszcze raz notatki.

- Tak, to ten adres. Pokręcił głową.

- Muszę ci powiedzieć, szefowo, że coś mi tu śmierdzi. Wzruszyła ramionami, mimo że też nie czuła się zbyt pewnie.

- No dobra, jesteśmy na miejscu. Jeśli to nie tu, to wrócę naprawdę szybko. - Otworzyła drzwiczki samochodu.

- Będę tu, gdybyś mnie potrzebowała - powiedział.

Wchodząc po schodkach, wyczuła pierwsze sygnały niebezpieczeństwa i złapała się na tym, że bacznie rejestruje każdy najmniejszy szczegół otoczenia: stalowe spojenia w marmurowych schodach, wycieraczka do butów przed progiem. Ktoś wydał fortunę na te cacka. Nacisnąwszy dzwonek, czekała cierpliwie, chociaż nie słyszała, żeby zadzwieczał po drugiej stronie drzwi. Aby ułatwić sprawę temu, kto wpatrywał się w monitor, patrzyła prosto w oko kamery. Zwalczyła chęć oparcia ręki na kolbie rewolweru, wmawiając sobie, że takie

środki ostrożności świadczyły o pewnego rodzaju obsesji właściciela tego lokalu. A w tym momencie z pewnością nie chciała denerwować jeszcze bardziej ludzi za tymi potężnymi drzwiami.

W końcu elektroniczny zamek zahuczał i popchnęła drzwi. Eddie czekał na nią, uśmiechając się uprzejmie.

- Pani Rivers? Skinęła głową.

- Agentka Rivers, tak. Mam się tu z kimś spotkać. Eddie gestem zaprosił ją do środka.

- Oczywiście z senatorem Albrichtem. Czekaliśmy na panią. Pewnie słyszała pani o naszych wyjątkowych środkach ostrożności?

Po raz kolejny skinęła głową. Z wahaniem wyjęła rewolwer zza paska od spódnicy i położyła go na blacie.

Eddie wprawnie omiół jej kibić wykrywaczem metalu, po czym zamaszystym ruchem ręki wskazał kierunek, w którym miała się udać.

- Proszę wejść. Czekają na panią.

Czekają? - zastanowiła się. - Czyli nie tylko Albricht? Senator siedział zwrócony twarzą do drzwi i wyraźnie rozpromienił się na jej widok.

- Witamy, witamy - powiedział wstając z krzesła.

Nigdy wcześniej się nie spotkali, ale rozpoznała go z wiadomości. Ten drugi mężczyzna - odwrócony plecami - wydawał jej się dziwnie znajomy. Kiedy Frankel odwrócił się, aby powitać gościa, na jego twarzy odmalowało się to samo zdumienie, jakie poczuła Irene.

- Co ty tu, u diabła, robisz?! - krzyknęli jednocześnie.

Jake wciąż siedział na schodach, wyczekując odpowiedniego momentu, aby zejść na dół. Nagła eksplozja głosów najpierw go wystraszyła. Potem uśmiechnął się, wyobraziwszy sobie, co czuje każdy z uczestników tego spotkania.

Jeśli wydawało im się, że są zdumieni, niech poczekają jeszcze pół minuty!

Zaczerpnął pełne płuca powietrza i spróbował opanować nerwy. Musi zachować spokój. W końcu miał publiczność, o jakiej marzył, i wreszcie wiedział, co powiedzieć. Teraz wystarczyło trochę znajomości psychologii. Po czternastu latach ucieczki - po tych wszystkich dniach i nocach niepewności, lęków i kłamstw - wszystko sprowadziło się do jednego zwyczajnego spotkania.

Jeden rzut kośćmi.

Powrócił myślą do ostatniego razu, gdy bawił się w hazard, który tak wiele go kosztował. Tym razem miał jedyną szansę - ostatni rzut.

Jake wstał, aby wygładzić nieco zmięte ubranie przed zejściem po schodach. Eddie czekał na niego na dole.

- Jesteś gotowy?

- Nie - odparł, ale Eddie pospieszył przodem, eskortując kolejnego gościa do sali jadalnej. Nie zatrzymali się ani na chwilę. Jake wszedł do jaskini lwa, jakby był jedną z przekąsek.

W chwili wejścia następnego gościa rozmowa urwała się raptownie. Irene rozpoznała go pierwsza. - O mój Boże! - wyszeptała. Jej reakcja zwróciła uwagę Frankela.

- Donovan! - zerwał się z krzesła i instynktownie sięgnął do pustej kabury po broń, którą oddał wcześniej przy drzwiach. Eddie natychmiast wkroczył do akcji, aby rozproszyć wszelką myśl o podjęciu walki, jaka mogła się pojawić w umyśle jego gościa.

Senator patrzył szeroko otwartymi oczami.

- Co on tu robi? - zapytał groźnie Frankel. Zwrócił się do Albrichta. - W co ty sobie, do cholery, pogrywasz?

Ten wzruszył ramionami, najwyraźniej zdezorientowany, a mimo to lekko rozbawiony.

- Nie mam pojęcia. Agentko Rivers?

Irene mierzyła Jake'a badawczym wzrokiem, tłumiąc uśmiech. A więc Jake wspiał się na samą górę.

- Nie mam zielonego pojęcia - skłamała. Eddie położył potężną dłoń na ramieniu Frankela.

- Proszę zająć miejsce - powiedział.

Frankel próbował strząsnąć jego rękę, ale Eddie okazał się nieustępliwy. W końcu zastępca szefa FBI usiadł posłusznie. Jake skinął głową i Eddie wycofał się z sali, by wszyscy mogli spokojnie pogadać o tym, co im leży na sercu. Jake przysunął sobie krzesło i usiadł przy końcu stołu, by być twarzą do pozostałych.

- Dziękuję państwu za przybycie - zaczął.

- Posłuchaj, Donovan - wycodził Frankel. - Nie wiem, do czego zmierzasz, ale nie będę...

- Rozluźnij się, Peter - powiedział spokojnie Jake. - Jestem tu po to, aby oddać się w ręce agentki Rivers. Nie mam zamiaru więcej uciekać.

Frankel umilkł z rozdziawionymi ustami. Jake uśmiechnął się do Irene.

- Ale myślę, że dobrze będzie, jeśli najpierw złożę oficjalne zeznanie.

- Myślę, że nie - wybuchnął Frankel. - To nie czas ani miejsce do tego...

- Zamknij się, Peter - rozkazał Albricht. - Ten człowiek wiele przeszedł.

- Do diabła, nie pozwolę na to! - zagrzmiął Frankel.

- Ciężko jest żyć z takim sekretem, prawda, Peter? - zadrwił Jake. - Szczególnie jeśli wszyscy wokół zaraz go poznają.

Frankel ponownie zerwał się z krzesła.

- Agentko Rivers, proszę nie spuszczać tego człowieka z oka, a ja... Jake również wstał i mocno popchnął Frankela na krzesło. Ten potknął się o nie i wylądował pod stołem.

- Kurwa mać, siadaj, Peter!

Irene poruszyła się instynktownie, chcąc interweniować, ale powstrzymała się w ostatniej chwili. Przyjemnie się na to patrzyło.

Frankel, wciągając się z powrotem na krzesło, miotał przekleństwa.

- No, dalej, Donovan. Powiększaj sobie konto oskarżeń. Będziemy musieli sklonować ci dupę, żebyś dożył do wcześniejszego zwolnienia. Rivers, jesteś świadkiem.

Irene wessała powietrze.

- Jak dotąd, nie jestem pewna, co tu zobaczyłam.

Po raz pierwszy Jake usłyszał, jak Irene udziela wymijającej odpowiedzi, biorąc jego stronę. Postanowił natychmiast z tego skorzystać.

- Peter, czy mówi ci coś nazwisko Wiggins?

Frankel zignorował pytanie, ale uwagi Jake'a nie uszło ledwie słyszalne westchnienie Albrichta.

- No, dalej, Peter - drażył Jake. - Na pewno go znasz. O ile mi wiadomo, to znany jest również pod nazwiskiem Clyde Dalton, jeśli tu bardziej dzwoni. Niewątpliwie on zna ciebie. Dziś rano odbyłem z nim długą rozmowę. Powiedział, że wasza znajomość ma korzenie w Wietnamie.

Frankel wpatrywał się w stół, zaciskając mocno zęby.

- Służyliście razem w siłach specjalnych marynarki wojennej Stanów Zjednoczonych, zgadza się? Ty sterowałeś łodzią, on wykonywał mokrą robotę. - Jake zerknął na Irene. - Może chciałaby pani robić notatki - zaproponował. - Nie powinno być problemu z weryfikacją tych danych.

Irene zdawała się zdumiona tą prośbą, a następnie zażenowana, że sama na to nie wpadła. Frankel zgromił ją wściekłym spojrzeniem, kiedy wyjęła notes i poklepała się po bocznych kieszeniach w poszukiwaniu długopisu. Albricht użyczył jej swojego.

Jake ciągnął dalej:

- Wiggins powiedział, że po wojnie poszliście innymi drogami. Ty dołączyłeś do tych dobrych, twój kolega wybrał tę bardziej interesującą działkę. Zdaje się, że znakomicie wyszkolił się w zabijaniu ludzi.

- Gdzie teraz przebywa ten człowiek? - wtrąciła Irene.

- Wyjechał z kraju - skłamał Jake, wpatrując się bez przerwy we Frankela, który z kolei

patrzył na Irene takim wzrokiem, że gdyby mógł, przeciąłby ją na pół. - Proszę słuchać uważnie. Wszystko zaraz się wyjaśni.

Trącił łokciem ramię Frankela.

- Jak mi dotąd poszło, Peter? - Frankel nie odpowiadał i Jake roześmiał się. - Tak, wiem. To straszne, prawda? Ale wróćmy do lat osiemdziesiątych. Proszę bardzo, ten oto, wtedy młody kogut, pnie się po szczeblach kariery, wyróżnia dobrą pracą w Biurze, aż zdarza się ta sprawa w Arkansas, kiedy to podstarzały generał o nazwisku Albemarle zostaje zanęcony przez Irakijczyków i sprzedaje im broń chemiczną, by dzięki temu sfinansować leczenie jedynej córki. - Jake spojrział na Irene. - Znalazła pani na to dowody, prawda?

Pokiwała głową. Wiedziała dokładnie, do czego Jake zmierza.

- A więc pojawia się nagle Peter Frankel, superglina - kontynuował - i znajduje dla siebie idealne wprost przestępstwo. Nikt oprócz tego kłowna Albemarle'a nie wie o składnicy broni w Arkansas. Stary robi ogromną fortunę. Nasz ambitny agent proponuje mu układ. Generał wciągnie go do interesu, a on zaniecha śledztwa. - Jake pochylił się w przód, opierając dłonie na stole. - Jaki był ten podział, Peter? Sześćdziesiąt do czterdziestu? Siedemdziesiąt do trzydziestu? Znajac cię, musiałeś go ostro kantować.

Frankel milczał.

- No cóż, nie można sprzedać od razu całego zapasu broni, zgadza się? Ludzie mogą zauważyć transporty. A więc skapujesz Irakijczykom po troszeczkę za koszmarną forszę. Jeżeli nie pomyliłem się w obliczeniach i jeżeli twój kumpel, Wiggins, mówił całą prawdę, to zakładam, że ciągnąłeś to przez dobre sześć miesięcy. Może dłużej. A wtedy fatalne zaskoczenie. - Jake wydał teatralny jęk i chwycił się w dramatycznym geście za serce. - Ktoś znajduje twoją jaskinię pełną skarbów i składa raport w Agencji Ochrony Środowiska! Cóż można zrobić? W ciągu jednej nocy - dosłownie - zostajesz na lodzie.

Jake ponownie odsunął się od blatu i aktorsko poklepał się po skroniach.

- Teraz muszę co nieco pozgadywać, ale wszystko mi mówi, że poczciwy generał otrzymał niezły stosik oskarżeń i chciał odparować atak. Ciepło?

Frankel nie poruszył się.

- Ale ty nie możesz na to pozwolić. Dzwonisz więc do swego starego koleśia Wigginsa, żeby zainscenizował samobójstwo. No bo czemu nie? Wasza ofiara i tak już straciła honor, no i dziecko. Ma mnóstwo powodów, żeby się usunąć z areny. Załatwiasz go, zostawiasz wiadomość i brniesz dalej. Proste?

W miarę rozwoju opowieści Jake patrzył z satysfakcją, jak Frankel zagłębia się coraz bardziej w krzesło. Miał nadzieję, że ten skurczybyk naprawdę cierpi.

- Ale nie możesz zabić tylko jednego, prawda, Peter? Założę się, że jest cholernie ciężko ustalić, kiedy przestać zabijać. Tak dla bezpieczeństwa załatwiasz żonę tego starego, na wypadek gdyby za dużo wiedziała. Od tego momentu - podsumował Jake - rozegrała się istna komedia pomyłek. Stworzyłeś ten wielki plan zatuszowania śladów: wsypać coś do jedzenia Tony'emu Bernardowi, żeby się porzygał, a potem go udupić za twój wybuch. Nie potrafię wyrazić słowami, jak mi przykro, że Carolyn i ja tak strasznie spieprzyliśmy ci robotę.

Irene z uwagą słuchała szczegółowej relacji, ale cała sprawa wciąż wydawała jej się mało konkretna i oparta głównie na spekulacjach. Wielki spisek ze świadkami znikającymi w tajemniczych okolicznościach mógł również być doskonałym alibi dla Donovanów.

- Ten facet, któremu kazałeś do mnie zadzwonić, żeby mnie szantażował, też nazywał się Wiggins, Peter - powiedział Clayton, pochylając się do przodu. - Cóż to za zbieg okoliczności?!

- To wszystko gównie warte brednie - wybuchnął Frankel i w tej chwili, z samego wyrazu jego twarzy, wszyscy zebrani dostrzegli, jak bliska prawdy jest teoria Jake'a.

- O Boże! - jęknęła Irene. - Coś ty narobił?

Frankel próbował udawać wzburzenie, jakby nigdy w życiu nie słyszał czegoś tak niedorzecznego. Mimo to strach wyzierał z jego gestów i ruchów.

- Nie mam zamiaru wysłuchiwać tych bzdur! - ponownie zerwał się z krzesła.

Jake również wstał, żeby go usadzić na miejscu, jak poprzednio. Frankel pchnął na niego stół. Jake przeleciał tyłem przez oparcie krzesła.

- Zejdz mi, kurwa, z drogi - warknął Frankel, przygotowując się do wymierzenia mu śmiertelnego kopniaka w głowę.

- Przestań! - rozkazała Irene. Rzuciła się przez stół, aby interweniować, ale silny cios na odlew odrzucił ją w tył.

- Ty niekompetentna suko...

Eddie Bartholomew zmaterializował się w drzwiach z przygotowaną do strzału bronią.

- Wszyscy stać! - wrzasnął. - Powiedziałem, zero przemocy i nie chcę tu widzieć żadnych burd! A teraz, panie Frankel, niech się pan cofnie.

Frankel nie ruszył się z miejsca. Dyszał ciężko, czerwony na twarzy.

- Zabijesz przyszłego szefa FBI, Eddie? Nie pomogłoby ci to w interesach.

Bartholomew zignorował groźbę.

- Wręcz przeciwnie. Ta knajpa stałaby się mekką turystów. Mógłbym podwyższać ceny za jedzenie w miejscu, gdzie upadniesz.

To był niezły dowcip i Frankel roześmiał się. Oczy strzelały mu z jednej strony na

drugą, jak zwierzęciu zapędzonemu w pułapkę. Wszyscy zdawali sobie instynktownie sprawę, że w tej chwili lepiej trzymać się od niego z daleka.

- Nikt nie uwierzy w twoje kłamstwa - powiedział i niespodziewanie oczy zasły mu łzami.

- Nic ci nie jest, Jake? - zapytał Eddie.

Jake usiadł na podłodze i pokręcił głową, badając palcami obolałe żebro.

- Nie, w porządku.

- Agentko Rivers? Senatorze Albricht?

Clayton pomógł Irene podnieść się na nogi. Pocierała spuchnięty policzek.

- Chyba wyżyję - powiedziała. Sprawiała wrażenie bardziej zażenowanej niż rannej.

- To dobrze - stwierdził Eddie. - A teraz wynoście się stąd, wszyscy.

- Tak, Frankel - rzekł Jake. - Wynoś się stąd. Teraz ty trochę pouciekaj, ty plugawa kupo gówna.

Frankel zaniemówił. Przebiegł wzrokiem po twarzach zebranych.

- To jeszcze nie koniec - odezwał się wzgardliwym tonem.

Kiedy odwrócił się, żeby wyjść, przeniósł wzrok z oczu Eddiego na lufę broni.

- Odłóż tę pieprzoną pukawkę - wydał ostami rozkaz przed zakończeniem panowania.

Eddie zawahał się, ale w końcu spełnił polecenie, opuszczając broń, tak by lufa nieszkodliwie celowała w podłogę.

Frankel błyskawicznie zaatakował. Zanim Eddie zdążył zareagować, wykrecono mu rękę pod niemożliwym kątem. Jęknąwszy głucho, wypuścił pistolet, a ułamek sekundy później poczuł zimną stal wciskającą się w podstawę czaszki. Po chwili jego mózg zboczył kosztowny orientalny dywan.

Czekanie było jednym z aspektów pracy w policji, do których Paul Boersky nigdy nie potrafił się przyzwyczaić. Z początku, kiedy pracował w Minneapolis, zdawało mu się, że ta praca polega głównie na czekaniu - a w części świata, gdzie panują tylko dwie pory roku, każde oczekiwanie było równie dokuczliwe pod względem fizycznym, co psychicznym.

Wtedy przynajmniej widział w tym jakiś cel. Może ten zły facet przebiegnie z jednego miejsca na drugie albo jakiś nie zidentyfikowany przestępca złapie przynętę. Dzisiaj, na tej chłodnej waszyngtońskiej ulicy, Paul wcale nie był pewien, dlaczego zdecydował się na tę wycieczkę. To była sprawa między senatorem a Irene - wyraźnie to zaznaczyła. Jeśli chodzi o jego rolę, no cóż, nie miał tu nic do roboty.

A jednak wiele przeszli razem przez ostatnie lata i mieli jeszcze dużo do zrobienia przy

tej konkretnej sprawie. Bez względu na jej finał, czuł, że powinien teraz stać u boku swojej partnerki. Bóg świadkiem, że nikt poza nim nie zbliżał się teraz do niej bardziej niż na odległość piętnastu metrów. Tak zaważyła sprawę.

Czekał więc. Minęło już pół godziny i zastanawiał się, czy nie powinien chociaż zajrzeć do środka i zobaczyć, co się tam dzieje. Jak dotąd nie przyjechał tu nikt inny i niewątpliwie nikt nie wyszedł - nie miał co do tego wątpliwości pomimo częściowo przesłoniętego wejścia do restauracji.

Wysiadł z samochodu o 4:37, zgodnie z czasem na zegarze cyfrowym na tablicy rozdzielczej. Wieloletnia praca w terenie nauczyła go, by zawsze skrupulatnie sprawdzać czas. Plecy bolały go od długiego siedzenia i miło było rozprostować kości. Jesienne powietrze przyjemnie orzeźwiało. Mieszkając na Dalekim Południu, najbardziej odczuwał brak czterech pór roku. Oczywiście liście zmieniały kolor jesienią, ale jeżeli nie towarzyszył temu przejmujący chłód, zmiany były mniej odczuwalne. Oczywiście z nadejściem lutego, kiedy reszta świata zostanie zagrzebana pod śniegową kołdrą, Paul będzie zadowolony, że wybrał południowy klimat.

Akurat w połowie przeciągłego ziewnięcia usłyszał pierwszy strzał. Umysł błyskawicznie przetworzył ten dźwięk, oceniając i odrzucając setki możliwości. Nie pękł żaden balon, nie wystrzeliła petarda. Jezu Chryste, ten odgłos doleciał z wnętrza budynku!

Paul wyciągnął broń i wbiegł po schodach, przeskakując po trzy stopnie naraz, zanim w ogóle pomyślał, że należy zareagować. Znalazłszy się na progu, przekreślił klamkę i popchnął. Nic. Zaczął walić pięścią w ciężkie drzwi.

- Policja federalna! - wrzasnął. - Otwierać! Usłyszał drugi strzał, a po nim od razu trzeci.

Cholera jasna! Dlaczego nie poinformowali biura w Waszyngtonie? Wtedy przynajmniej dostaliby samochód i kanał radiowy. Cholera! Rąbnął ramieniem w ciężkie, drewniane panele, lecz drzwi ani drgnęły.

Z wnętrza doleciały go jakieś wrzaski. I kolejny huk wystrzału.

- Cholera! - krzyknął na cały głos. Odszedł krok na bok i wycelował w zamek.

Jake wrzasnął na widok eksplodującej głowy Eddiego Bartholomew. Ułamek sekundy później dostrzegł broń w ręku Frankela.

Zareagował, zanim jeszcze umysł zdążył go powstrzymać. Kiedy Irene i senator zanurkowali w bok, aby uciec z linii ognia, zaszarżował na Frankela, popychając go całym ciężarem ciała na szafkę. Ten jednak nie upadł. Poleciał w tył, drobiąc nogami, aby złapać równowagę. Jake skupił uwagę na ręce, w której przeciwnik trzymał broń. Przez chwilę lufa

mignęła mu tuż przed oczami, ale Frankel nie dostrzegł szansy na pewny strzał.

Jake pchnął go mocno na ścianę. Mógłby przysiąc, że słyszał, jak coś pękło Frankelowi w plecach, ale sukinsyn wciąż stał na prostych nogach. Pistolet wypalił zaledwie kilkanaście centymetrów od twarzy Jake'a i w suficie powstała wielka dziura. Pół sekundy później kolejny pocisk rozbił w pył kryształową kulę żyrandola. Jake skrzywił się, gdy ziarenka płonącego prochu wgrzyły mu się w policzki.

Trzymał teraz obie dłonie na broni, dążąc do tego, by Frankel rozluźnił uścisk. Sięgnął do jego twarzy i zawył z bólu, gdy przeciwnik zatopił zęby w jego ramieniu. Ból był straszliwy. Jake nie dawał jednak za wygraną, zdając sobie sprawę, że najmniejsza słabość oznacza pewną śmierć.

Kątem oka dostrzegł przebiegającą Irene. Ona ucieka! - pomyślał. Po chwili jednak zrozumiał. Szuflady z bronią!

Irene uświadomiła sobie, że pora na działanie. Jake wciąż się trzymał, ale obawiała się, że gdy Frankel zdoła jakoś wyswobodzić rękę, wszyscy staną się trupami. Gdyby tylko miała swój rewolwer!

Jezu, no właśnie! Pozostawiając senatora samego, popędziła przez salę jadalną i dalej do hallu, modląc się przez cały czas, żeby Eddie nie zaniknął szuflad na klucz. Było ich osiem; pociągnęła za tę, która, jak sądziła, kryła jej broń. Szuflada poddała się bez oporu, ukazując czarny smith-wesson.

Schwyciwszy go w obie dłonie, wymierzyła w jednego z dwóch najpotężniejszych ludzi w amerykańskim systemie sprawiedliwości.

- Mam go, Jake! - krzyknęła. - Odsuń się!

Frankel zachowywał się jak pieprzony wampir! Zatopił zęby w ramieniu Jake'a i po prostu nie chciał puścić. Ból wzrastał z każdą sekundą, wysyłając błyskawice ognia sięgające opuszków palców. Kiedy Jake stracił czucie w ręce, zaczął bezwiednie zwalniać uchwyt.

W chwili gdy usłyszał rozkaz Irene, aby zejść z linii strzału, nogi ugięły się pod nim i upadł na podłogę, niespodziewanie odsłaniając Frankela.

Irene, widząc, jak Jake pada, zrozumiała, że ma idealną sytuację strzelecką.

- Nie ruszaj się, do cholery! - krzyknęła i w tej samej chwili zamek drzwi eksplodował na tysiące kawałków. Na odgłos strzału Irene odwróciła się instynktownie, uświadamiając

sobie niemalże w tej samej chwili swój błąd. Opadła na jedno kolano, próbując ponownie wycelować, ale nie zdążyła.

Pierwsza kula trafiła ją w prawe ramię, wypychając całe powietrze z płuc i wysyłając jej pistolet wysoko w górę. Drugi strzał, oddany w niecałą sekundę później, ugodził ją tuż nad lewym uchem, ale wtedy już nic nie poczuła.

Paul odwrócił głowę, zasłaniając oczy przed odłamkami drewna i stali. Gdy pięć pocisków starło na proch część zamka, w której zasuwa łączyła się z wędzidłem, jednym potężnym kopnięciem otworzył masywne drzwi.

Wszystko, co zobaczył, to błyski z lufy, kiedy jakiś mężczyzna w garniturze zaczął do niego strzelać. Rzucił się szczupakiem na podłogę, czołgając się szybko w poszukiwaniu ukrycia. Okno z matową szybą po przeciwnej stronie Alei Connecticut rozbiło się i wypadło z zawiasów.

Paul strzelał na chybił trafił, szukając schronienia za ceglana ścianą budynku. Ani razu nie wycelował; chwila bezruchu równałaby się samobójstwu. Wystawiał jedynie rękę i broń, oddając strzał za strzałem w nadziei, że zmusi napastnika do wstrzymania ognia.

Poczuł, jak pistolet przeładował się, gdy ostatni pocisk opuścił komorę. W chwili gdy cofnął rękę, by zmienić magazynek, ceglana fasada tuż za jego plecami ożyła. Napastnik znalazł cel, ale pociski nie potrafiły przeniknąć muru. Tak jak go uczono podczas długich szkoleń w FBI, wypuścił zużyty magazynek, sięgając jednocześnie po zapasowy znajdujący się przy pasku i załadował. Przygotował się do strzału. Całkowity czas przerwy: niecałe pięć sekund.

Na ulicy widać było pierwsze oznaki paniki. Usłyszał za sobą głośny huk zderzenia samochodów, ale zignorował go. Kiedy przechodnie i kierowcy zaczęli w popłochu umykać, szukając ukrycia, skierował zamaszystym ruchem rękę ku wnętrzu restauracji i zaczął pociągać raz za razem za spust.

Jake nie zauważył, kiedy Irene upadła. Pośród dzikiej, dochodzącej ze wszystkich stron kakofonii ognia widział tylko pistolet na podłodze i zaczął się ku niemu czołgać. Przestał liczyć strzały oddane przez Frankela, ale każde naciśnięcie cyngla było jak sople lodu przebijający mu bębrenki w uszach. Dopiero minawszy łukowate wejście prowadzące do głównego hallu, usłyszał kanonadę od drzwi frontowych - szczerze mówiąc, strzały na chybił trafił. Jakiś pistolet wystający zza otwartych drzwi wypuszczał pociski z taką szybkością, z jaką właściciel broni potrafił poruszać palcem wskazującym.

Kto to, u diabła, jest?

To tłumaczyło, dlaczego Frankel nie powstrzymał Jake'a. Najpierw musiał wyeliminować o wiele groźniejszego przeciwnika. Przywierając jak najściślej do podłogi, Jake rzucił się po broń Irene. Skierował lufę na Frankela akurat w momencie, gdy ten wyszarpnął martwemu Eddiemu zapasowy magazynek i załadował.

- Nie rób tego - wrzasnął Jake, ale nie słyszał nawet sam siebie.

Frankel nie zawahał się nawet sekundy.

Jake również. Poczul, jak wielki smith-wesson podskoczył mu w rękę, zanim zdał sobie sprawę, że pociągnął za spust. Frankel zachwiał się, ale nie upadł. Jake wypalił ponownie. I jeszcze raz. Za każdym razem pocisk trafiał w cel: brzuch, brzuch, prawa ręka, klatka piersiowa. Ten ostatni strzał okazał się decydujący. Frankel opadł na kolana. Jego twarz zmieniła się w maskę przerażenia, kiedy zdał sobie sprawę, że właśnie umiera i kto go zabił.

Jeszcze jedna kula pomknęła zza otwartych drzwi, odrywając Frankelowi dolną szczękę. Ciało wykonało ćwierć obrotu i runęło jak kłoda na dywan.

- Nie ruszać się, do cholery! - broń za drzwiami przemówiła ludzkim głosem i Jake rozpoznał kolejnego agenta FBI.

Znieruchomiał, tak jak mu kazano, a wtedy agent wbiegł do sali i rzucił go twarzą do podłogi, wykopując rewolwer z ręki.

- Jezu Chryste, coś ty zrobił? - wydyszał.

- Przynajmniej jedno - odezwał się senator Albricht, wstając zza przewróconego na bok stołu. - Uratował mi życie przed tym szaleńcem na podłodze.

Paul wyglądał na zdezorientowanego. Wśród całego zamieszania, hałasu, fruwającego drewna i szkła ani razu nie przyjrzał się dobrze człowiekowi, który do niego strzelał. Teraz to uczynił i w jego oczach pojawiło się rozpoznanie.

- O Boże! - wyszeptał.

- Postrzelił twoją partnerkę - poinformował Jake. - Potrzebna będzie karetka - zaczął się szarpać, próbując ułożyć twarz tak, by zmniejszyć ból.

Paul spojrział na niego jeszcze bardziej oszołomiony, kiedy dotarło do niego, kogo przyciska do podłogi.

- Jake Donovan! - wyjąkał.

- Pomóż swojej koleżance - ponaglił Jake. - Ja nigdzie nie ucieknę.

Paul najwyraźniej to właśnie chciał uczynić, ale najpierw zajął się swoim więźniem. Kiedy sięgnął po kajdanki, senator Clayton Albricht położył mu delikatnie dłoń na ramieniu.

- Proszę, niech pan tego nie robi - powiedział spokojnie. - To naprawdę nie jest

konieczne.

Travis pociągnął za kołnierzyk od koszuli, w nadziei że materiał rozciągnie się nieco i przestanie wrzynać mu się w szyję. Nie cierpiał krawatów.

- Przestań się kręcić - szepnęła Carolyn. - Siedź prosto. - Nie potrafiłaby zliczyć, ile razy wymówiła te słowa w tej samej kolejności w ciągu ostatnich lat, ale z jakiejś przyczyny wydawały jej się nowe i nie wytarte. Cud, że w ogóle miała okazję je wypowiadać.

Po pięciu tygodniach leczenia szyja zagoiła się prawie całkowicie, ale specjaliści wciąż mieli wątpliwości, czy Carolyn kiedykolwiek odzyska pełną sprawność. Biorąc jednak pod uwagę naturę uszkodzenia i postępy w odzyskiwaniu zdrowia, istniało sporo powodów do radości.

Travis przestał się kręcić, ale nie wyprostował pleców. Przecież to były jego plecy, więc mógł sobie z nimi robić, co mu się podoba.

- Dlaczego tata ciągle chodzi? - zapytał.

Jake odwrócił się od okna wychodzącego na Stare Miasto w Aleksandrii i spojrzał na syna.

- Bo chodzenie powstrzymuje mnie od wybuchu - odpowiedział szczerze. Chłopiec oparł się ciężko o zabytkowy dębowy stół konferencyjny i, zniecierpliwiony, wziął głęboki oddech. Powietrze uwięzło mu jednak w gardle, prowokując silny kaszel.

- Nic ci nie jest? - zapytali jednocześnie rodzice. To kasłanie już na zawsze zagościło w ich nocnych koszmarach.

- Jezu, to nie wolno mi już kasłać? - Od kiedy Travis wyszedł ze szpitala, jego starzy właśnie tak się zachowywali - wszystko, co robił, każdy dźwięk, który z siebie wydawał, wszystko ich niepokoiło. Czuł się tak, jakby żył pod mikroskopem. Bóg jeden wie, co się będzie działo, jak zachoruje na gripę.

Carolyn zamknęła oczy i pokręciła głową, ale dała spokój uwagom. Dopiero niedawno głos chłopca nabrał tego szorstkiego, tubalnego Brzmienia, w które wsłuchiwali się z zafascynowaniem, bez względu na to, co mówił. Carolyn nie była pewna, czy to wynik uszkodzenia strun głosowych, czy też krok ku dojrzałości.

Martwiła się natomiast o Jake'a. Niewątpliwie wygrali wojnę, a mimo to jej mąż wciąż nie pozwalał sobie na świętowanie tej okazji. Zweryfikowanie ostatnich faktów zabrało trochę czasu i musiał spędzić dwie doby w więzieniu, zanim nastąpiło oficjalne zakończenie sprawy.

Stali się sławni i realizatorzy programów telewizyjnych z całego kraju nękali ich

prośbami o wywiad. Wydawcy książek, producenci filmowi i redaktorzy różnych czasopism opadli ich zewsząd, rywalizując ze sobą o największą sensację roku - przynajmniej do czasu pojawienia się kolejnej bomby - a coraz większe grono sław świata prawniczego ubiegało się o możliwość ich reprezentowania.

Cała sytuacja sprawiała, że Jake coraz bardziej zamykał się w sobie. Tak jakby bał się bardziej niż podczas ich wieloletniej ucieczki. Nie chciał na ten temat rozmawiać, ale Carolyn domyślała się, że ma to związek z tamtym okresem, który spędził z Thorne'em. Stało się wówczas coś strasznego i Jake zbyt się obawiał albo wstydził, aby o tym rozmawiać. W chwilach spokoju, gdy spędzali czas razem w pokojach hotelowych wynajętych i chronionych przez FBI, Carolyn próbowała wyciągnąć to z męża. Niestety, bez powodzenia.

Z biegiem czasu to minie - pocieszała się. - Czas goi rany.

Kiedy dwa dni temu odebrał telefoniczne zaproszenie na dzisiejsze spotkanie w sądzie federalnym w Aleksandrii, widziała, że ogarnia go panika. Po pięciu tygodniach wywiadów i przesłuchań prowadzonych przez Paula Boersky'ego ta jedna rozmowa zrobiła z niego istny wrak człowieka. Zeszłej nocy zaczął nawet wspominać, że nie pójdzie - że może lepiej będzie, jak znów zaczną uciekać.

- Po co, Jake? - zapytała Carolyn. - Czym się tak martwisz?

Nie odpowiedział. W ogóle przestał z nią rozmawiać. Dzisiaj rano bąknął może jedno słowo. Carolyn, przygotowując się razem z Travisem do wyjścia, obserwowała przez okno, jak chodzi tam i z powrotem po parking. Wpatrywał się w drzewa i zaciągał listopadowym powietrzem, tak jakby robił to po raz ostatni.

I oto stał przy oknie, znów zamyślony i nieobecny.

Kiedy otworzyły się drzwi do sali konferencyjnej, Jake wzdrygnął się. Niegdyś tak przebojowy, dziś stał się niemal nieśmiały. To było naprawdę niepokojące. Carolyn podeszła i stanęła obok męża. Jake wygładził garnitur.

Procesję prowadził Paul Boersky. Tuż za nim szedł senator Albricht, dalej jakaś kobieta, która wydawała się Jake'owi znajoma, i na końcu Irene Rivers.

Jake uśmiechnął się do niej szeroko, a Carolyn cofnęła się o krok.

- Witam, agentko Rivers - widząc obandażowane prawe ramię Irene, wyciągnął do niej na powitanie lewą rękę. - Jak się czujesz?

Odwzajemniła uścisk z ciepłym uśmiechem.

- Mówią, że jest o wiele lepiej, jeśli kula nie przejdzie przez mózg - odpowiedziała bez zastanowienia. - A jeśli chodzi o ramię, to cóż, da się widzieć.

Grupka wymieniała przez chwilę powitania i uprzejmości. Ani Carolyn, ani Travis nie

znali wcześniej senatora, który przedstawił ostatniego gościa.

- Proszę państwa, oto pani Emma Sanders, prokurator generalny Stanów Zjednoczonych.

Ze swoim krótkimi siwymi włosami i drobną figurą pani Sanders mogłaby uchodzić za babcię kogoś z obecnych albo za miejscową bibliotekarkę, ale jej przenikliwe, poważne, szmaragdowozielone oczy nie pozostawiały cienia wątpliwości, że to twarda sztuka. Wymieniła uprzejme uściski dłoni, po czym zaprosiła obecnych, aby zajęli miejsca.

- Czy orientujecie się państwo, dlaczego się tu dzisiaj znaleźliście? - spytała.

Jake i Carolyn wymienili między sobą porozumiewawcze spojrzenia.

- Nie, nie mamy pojęcia - powiedział w imieniu wszystkich Jake.

- To dobrze - stwierdziła Sanders. - Szczerze mówiąc, to bardzo dobrze. Zdaję sobie sprawę z ogromnego zainteresowania mediów waszymi osobami, a nie chciałam, żeby był jakiś przeciek, zanim umówimy się tu co do pewnych rzeczy.

Jake rzucił spojrzenie na Paula - osobę, z którą miał największy kontakt przez ostatnie tygodnie. Agent podniósł palec, nakazując cierpliwość.

- Przepraszam - wtrącił senator Albricht. - Może byłoby lepiej, gdyby chłopiec zaczekał na korytarzu.

Travis spojrział na niego zdziwiony, po czym przeniósł wzrok na rodziców.

- Nigdzie nie pójde!

Jake rzucił spojrzenie na Boersky'ego, który odpowiedział na jego milczące pytanie skinieniem głowy.

- To nie potrwa dłużej niż kilka minut - wyjaśnił.

- Idź, Trav - zwrócił się Jake do syna. - Nie!

Jake wstał i odsunął krzesło chłopca od stołu.

- Proszę - odezwał się łagodnie. - Nie nalegaliby, gdyby to nie było istotne.

Travis przesunął wzrokiem po zebranych w poszukiwaniu poparcia, ale go nie uzyskał. Najwyraźniej nie wiedział, jak ma postąpić.

- Proszę - ponaglił Jake.

- To tylko parę minut - dodała Carolyn.

Chłopiec wstał z ociąganiem i pozwolił się odprowadzić do dużych drewnianych drzwi przeszklnych na górze przyciemnioną szybą. Jake otworzył je i wskazał drewnianą ławkę pod ścianą.

- Poczekał tam na nas.

Travis patrzył przerażony. Czuł, że dzieje się coś niedobrego.

- Tato?

Jake mrugnął do syna, starając się powstrzymać drżenie ust.

- Wszystko będzie dobrze, Trav - obiecał. - Wyjdziemy za kilka minut. Chłopiec chciał coś powiedzieć, ale wyglądało na to, że słowa uwięzły mu w gardle. Jake patrzył, jak syn niechętnie idzie w kierunku ławki, po czym odwrócił się, aby stanąć przed obliczem sprawiedliwości.

- Ma pan potężnych przyjaciół w tym mieście, panie Donovan - zaczęła Sanders, kiedy zajął miejsce przy stole. - Zdaje się, że te osoby uważają, iż na przestrzeni kilku ostatnich lat byliście bardzo źle traktowani.

- Masz talent do niedomówień, Emma - wtrącił z uśmiechem senator. Sanders zignorowała ten przytyk.

- Tak czy inaczej - kontynuowała - może to wprowadzić pewien chaos. Wiem na przykład z rozmów z panem Boerskim oraz ze środków masowego przekazu, że wiele różnych organizacji i instytucji namawiało pana, żeby publicznie wylał pan swe żale.

- Jake, ona próbuje ci zasugerować - przerwał ponownie Albricht - że prezydent trzęsie się ze strachu, że się na niego wysikasz. Przejdź do sedna sprawy, Emma.

Spojrzenie Sanders mogłoby stopić górę lodową, ale na senatorze najwyraźniej nie robiło najmniejszego wrażenia. Po przeciwnej stronie stołu Irene i Paul staczali przegrany bój, aby ukryć swój niepokój. Prokurator generalny mógł zniweczyć każdą karierę w Departamencie Sprawiedliwości.

Sanders podjęła rozpoczęty wątek.

- Przychodzę tu dzisiaj z jedną niepowtarzalną ofertą - sięgnęła do przepastnej torby na ramieniu i wyjęła złożony dokument. - To amnestia prezydencka, panie Donovan. Dokument jest pański pod trzema warunkami. Po pierwsze: przez pięć lat powstrzyma się pan od szukania rozgłosu w związku z tym epizodem w pańskim życiu...

- Chyba pani żartuje! - zareagowała impulsywnie Carolyn, ale wyraz twarzy pani prokurator upewnił ją, że o żartach absolutnie nie ma mowy. - Po co w ogóle ...

- Tylko do następnych wyborów - wyjaśnił Albricht.

- Wysłuchaj do końca, Carolyn - poprosiła Irene. - To ważne. Sanders rzuciła Irene niemożliwe do zinterpretowania spojrzenie, po czym ciągnęła dalej:

- Po drugie, musi się pan zgodzić, że nigdy nie wystąpi pan na drogę sądową przeciwko rządowi Stanów Zjednoczonych za jakiegokolwiek domniemane szkody spowodowane...

Carolyn zerwała się z miejsca.

- Domniemane szkody! Jezu Chryste, droga pani...

Jake uchwycił spanikowane spojrzenie Paula i szybko zareagował.

- Carolyn, proszę. Przynajmniej wysłuchajmy tej propozycji, zanim ją odrzucimy.

Sanders podziękowała mu za pomoc skinieniem głowy.

- Ostami punkt: nigdy nie wyjawicie nikomu zasad tej umowy.

- Teraz? - Carolyn ponownie wstała z krzesła. - To absurd! Przecież zostaliśmy oczyszczeni z zarzutów, na miłość boską! Po co miałabym się godzić na te warunki, skoro i tak uznano, że jestem niewinna?

Irene odpowiedziała za prokurator.

- Odstąpiono od zarzutów dotyczących wyłącznie tego ataku terrorystycznego w Arkansas.

- Aha, chodzi o naszą ucieczkę, tak? To jest pozbawione jakiegokolwiek sensu.

Irene pokręciła głową i zamknęła oczy. Zabolało ją

- Nie, oczywiście, że nie. Nie popełniście żadnego przestępstwa, więc trudno was oskarżać o to, że uchylaliście się od postępowania sądowego. Ta amnestia, o której mówi pani Sanders, dotyczy wszelkich innych przestępstw, które mogły zostać popełnione podczas waszej ucieczki.

Carolyn wciąż nie rozumiała.

- Chcicie, żebym zrezygnowała z mojego prawa, aby was sądzić, tylko dlatego, żebyście nas nie dopadli jakimś wymyślonym oskarżeniem?

Tym razem głos zabrał Clayton.

- Musi pani zrozumieć, że na przestrzeni tych czternastu lat mogliście wielokrotnie łamać prawo - zmrużywszy oczy spojrział na Jake'a, ale nie zmienił przyjaznego tonu. - A nigdy nie wiadomo, czy jakiś ambitny młody oskarżyciel nie natknie się na nowy dowód i znów nie zaciągnie was pod światła jupiterów. Jeśli zgodzicie się na ten układ, nic takiego się nie zdarzy. Nigdy. Nawet gdybyście kogoś zabili, nie można byłoby was za to sądzić.

Jake odczuł te słowa jak uderzenie w pierś. Przebiegł wzrokiem po twarzach zgromadzonych i jego uwagę przykuło twarde spojrzenie Albrichta.

- Od kilku tygodni wiemy, że Nick Thomas miał związek z tą sprawą, Jake - powiedziała Irene łagodnie. - Jego odciski palców znajdowały się na cadillacu wśród setki innych odcisków. Może ucieszy cię fakt, że odmówił jakichkolwiek komentarzy w tej sprawie.

- Za to jego żona - dokończył Paul - to całkiem inna bajka. Jak już zaczęła mówić, to nie chciała się zamknąć.

Carolyn nie miała pojęcia, o czym teraz mówili, ale widząc bladość na twarzy męża, usiadła i mocno ścisnęła jego rękę pod stołem. Do prokurator Sanders należało ostateczne słowo.

- W zeszłym tygodniu w Parku Narodowym Shenandoah znaleziono zwłoki. Trudne do zidentyfikowania z uwagi na obrażenia. Najwyraźniej zostały wykopane przez drapieżniki.

W sali zaległa cisza. Jake błyskawicznie analizował to, co usłyszał. Jego twarz nie potrafiła już nic ukryć i wszyscy dokładnie to widzieli. Carolyn podniosła jego dłoń i ucałowała ją.

- Rozluźnij się, Jake - powiedział łagodnie Albricht. - Nikt nie będzie dochodził tożsamości zwłok. Nikt też nie będzie was pytać o szczegóły tajemniczego zniknięcia pana Wigginsa, czy o to jak udawało się wam uniknąć więzienia przez te wszystkie lata. Cały ten bałagan skończy się raz na zawsze.

Jake, wyraźnie oszołomiony, spojrzał na Carolyn, szukając rady. Posłała mu ciepły uśmiech.

- Nie ma co tu główkować, kochanie. - Skinęła, żeby podano jej dokumenty przez stół, a następnie poprosiła o długopis. Albricht wyjął kosztowne pióro kulkowe i wręczył je Jake'owi, który podniósł odpowiednie kartki i spojrzał na miejsca oznaczone iksem *Złożył* czytelne podpisy na trzech stronach, inicjały na czterech. Przekazał papiery Carolyn i po chwili mieli to już za sobą.

Sanders przyjęła podpisane dokumenty, po czym wręczyła ułaskawienie i wstała, zbierając się do wyjścia.

- Jest tu również czek - powiedziała. - Trzysta tysięcy dolarów. Jako rekompensata za poniesione trudy. - Podeszła do drzwi i zatrzymała się. - Nawiasem mówiąc, ta kwota jest zwolniona od podatku - przez ułamek sekundy uśmiech zabłąkał się w kącikach jej ust.

Paul Boersky podążył za nią, a Clayton pomógł podnieść się z miejsca Irene. Jake i Carolyn również wstali.

- Ja... nie wiem, co powiedzieć - wymamrotał Jake. Irene uśmiechnęła się i wzruszyła ramionami.

- Nie musisz nic mówić. - Przeniosła wzrok na jego żonę, która również szukała odpowiednich słów. - Ty też nie, Carolyn. Byłam wam to winna. I on. - Wskazała na Albrichta, który uśmiechnął się skromnie.

Senator wyciągnął rękę.

- Uratowałeś mi życie, Jake. A w polityce nie można zejść tak daleko jak ja, nie wiedząc, co to wdzięczność. - Spojrzał na Carolyn i wyciągnął z kolei rękę do niej. Kiedy odwzajemniła uścisk, przykrył jej dłoń swoją. - Obawiam się, że w tym całym pośpiechu pani Sanders zapomniała powiedzieć, jak bardzo rząd ubolewa nad tym, że kazał wam przejść przez to całe piekło.

Carolyn uśmiechnęła się, zaskoczona łzami, które niespodziewanie napłynęły jej do oczu.

- Dziękuję, panie senatorze - powiedziała. - To *znaczy* dla nas więcej, niż pan sobie wyobraża.

Cisza, jaka zapadła po tych słowach, wydłużyła się kłopotliwie. Nikt nie wiedział, co dalej. W końcu Irene przerwała milczenie.

- Senatorze Albricht, czy byłby pan tak miły i pomógł mi zejść po schodach?

Oczywiście była to wymówka do opuszczenia sali. Irene zatrzymała się jeszcze raz przy drzwiach.

- Aha, Jake! Mam dla ciebie odpowiedź. Czasami naprawdę chodzi o sprawiedliwość.

Travis nigdy nie przyznałby się do tego na głos, wiedząc, że takie myśli są oznaką słabości, ale bał się zostawać sam. Spędził zbyt dużo czasu w samotności, kiedy obcy ludzie próbowali nim manipulować, a nawet go zabić. Myślał, że ma to już za sobą, kiedy tata wyszedł z więzienia i wszyscy spotkali się w szpitalu, ale teraz znów nie wiedział, co o tym wszystkim sądzić.

Rozpoznał tę panią z FBI i jej kolegę. Zdawało mu się, że tego staruszka widział kiedyś w telewizji, ale ta prokurator w ogóle mu nie przypadła do gustu. Miała oczy drapieżnika i usta, które chyba bardzo rzadko się uśmiechały.

Najbardziej wstrząsnął nim wyraz twarzy taty, kiedy ta kobieta weszła do sali. Był przerażony. Naprawdę przerażony; nie tak jak wtedy w szkole z panem Menefee, czy w furgonetce, czy na wzgórzu przed magazynem. Dziś przerażeniu towarzyszyła bezsilność.

Za długo tam siedzieli. Mieli być tylko kilka minut i podejrzewał, że w gruncie rzeczy nie trwało to wiele dłużej, ale miał wrażenie, jakby minęły wieki. O czym to rozmawiali, że nie mógł tego słuchać? Było nie było, miał swój udział w tej sprawie, i to nie mniejszy niż rodzice.

Nagle ogarnął go strach - stary znajomy z przeszłości - przed sierocińcem i rodziną zastępczą. Jeżeli znów zabiorą mu rodziców, przekonają się, co to jest prawdziwa walka.

Właśnie powziął decyzję, że wpadnie do sali jak burza, gdy drzwi otworzy się i wyszła ta pani o kwaśnym wyrazie twarzy, a za nią Paul Boersky.

Travis wstał i zablokował im drogę, rozkładając ręce na boki. Dorośli nie mieli innego wyboru, jak się zatrzymać.

- Dlaczego nie zostawicie nas w spokoju? - zapytał ostro.

Paul zmusił się śmiechu, mimo że sprawiał wrażenie zakłopotanego.

- Hej, mały - powiedział. - Odpuść się. Wszystko będzie dobrze. Naprawdę.

Travis zignorował go, nie odrywając wzroku od świdrujących, zielonych oczu Emmy Sanders. Po paru chwilach dostrzegł, jak miękną.

- Znowu nas aresztujecie?

Usta prokurator rozciągnęły się w uśmiechu - nie pobłażliwym, jakie widywał często w ciągu ostatnich kilku tygodni, lecz w szczerym, babcinym uśmiechu. Pokręciła głową.

- Nie, Travis, nie przyszliśmy tutaj, żeby kogokolwiek aresztować. Nie tego się spodziewałem i odebrało mu na chwilę mowę.

- Aha - bąknął i opuścił ramiona, pozwalając im przejść. Odwrócił się. - Wiecie, że oni nigdy nie zrobili nic złego.

Pani Sanders stanęła i odwróciła się. Wyciągnęła rękę, aby dotknąć twarzy chłopca, ale cofnęła się o krok. Przez kilka sekund wyglądała, jakby chciała zaprzeczyć, ale w końcu uśmiech znów powrócił na jej twarz.

- Masz rację - odrzekła. - A teraz może wejdiesz do środka? Rodzice z pewnością czekają na ciebie.

Travis minął się w wejściu z Irene i senatorem.

- Czy to się już skończyło? - zapytał, kiedy zostali sami.

Jake spojrzał najpierw na Carolyn, a później na syna. Uśmiechnął się, ale oczy pozostały smutne.

- Tak, Trav, już się skończyło. Możemy wracać do domu. Travis spojrzał na niego poważnie.

- Czy my mamy dom?

Mieli. Był wszędzie tam, gdzie mogli być razem.

Jake po raz pierwszy zdał sobie z tego sprawę i poczuł wstrząs. Zobaczył w wyobraźni twarze starych przyjaciół - wszyscy od dawna nie żyli; zginęli w akcie przemocy, który miał zabrać również jego życie. Ciężar wszystkich kłamstw, lęków i przelanej krwi stał się nagle nie do zniesienia i Jake zrozumiał, że już nie potrafi go udźwignąć.

Najpierw rodzina, za wszelką cenę. Powtarzał te słowa tyle razy, że zaczęły tracić znaczenie. A teraz stali przed nim ludzie, dla których wziął na siebie cały ten ból i ryzyko. Minęło jednak niebezpieczeństwo, a wraz z nim powody, by zachować siłę.

Łzy pojawiły się nie wiadomo skąd, wyciśnięte z głębi duszy niewymownym smutkiem. Bólem, jaki zadał. Bólem, jaki wytrzymał. Dzieciństwem skradzionym ich jedyńemu dziecku.

- Przytulcie mnie - próbował powiedzieć, ale głos zagubił się w powodzi uczuć.

Nie musieli jednak słyszeć tych słów. Sami do niego podeszli. Nawet ten szorstki

chłopak, który odrzucał wszelkie gesty tliwości, był teraz przy nim. I wszyscy płakali, otwarcie, bez wstydu, wyzwalając się z horroru, który przetrwali.

Jake modlił się, aby Bóg wybaczył mu kiedyś grzechy, jakie popełnił w obronie swej rodziny. Ale to mogło poczekać. W tej chwili doznał cudownego błogosławieństwa ludzkiego wybaczenia.

Znów stali się rodziną. Rodziną Donovanów. A to, co ich czekało, nazywało się przyszłością.

Podziękowania

Rodzina jest wszystkim. Bez codziennego wsparcia, miłości i zachęty ze strony Joy i Chrisa nic nie miałyby wartości. Kocham was całym sercem.

Jestem niezmiernie wdzięczny mojemu przyjacielowi Bruce'owi Navarro za to, że przedstawił mnie Remowi Dickensonowi, który o Kongresie i Kapitolu wie więcej niż ktokolwiek inny. Tak, Rem, wiem, że sporo pozmieniałem, ale właśnie dlatego nazywamy to literacką fikcją.

Mój dług wdzięczności wobec Brie Combs rozrasta się do wprost niebotycznych rozmiarów. Ostra i błyskotliwa, z doskonałym wyczuciem języka, jest najwłaściwszą osobą na świecie, która powinna oglądać pierwsze szkice.

Mój redaktor, Rick Horgan, dostrzegł serce tej historii na długo przede mną. W czasach, gdy redaktorzy znający się na swoim fachu są gatunkiem zagrożonym, dopisało mi ogromne szczęście, że trafiłem na największego profesjonalistę w tej dziedzinie.

Trudno o lepsze połączenie agenta i przyjaciela niż Molly Friedrich, istna czarodziejka w tym biznesie podrzynania gardeł, która mimo to ma serce wielkości Montany. To naprawdę niełatwe. Bardzo dziękuję.